



ELIZA DROGOSZ

WŁADCA PIASKÓW

ELIZA DROGOSZ

WŁADCA PIASKÓW

 WYDAWNICTWO
POLIGRAF

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2015

© Copyright by Eliza Drogosz, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment ani zdjęcie nie mogą być publikowane ani reproduktowane bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Izabela Surdykowska-Jurek, Magdalena Muszyńska

Redakcja: Monika Wójtowicz

Korekta: Klaudia Drózdź, Maciej Zalewski, Joanna Kokocińska

Skład: Wojciech Ławski

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad

Książka wydana
w Systemie Wydawniczym Fortunet™

www.fortunet.eu

ISBN: 978-83-63506-80-3

Wydawnictwo Poligraf

ul. Młyńska 38

55-093 Brzezina Łąka

tel./fax (71) 344-56-35

DLA ANIELKI,

MOJEJ NAPRAWDĘ

WYJĄTKOWEJ SIOSTRY

Spis treści

Prolog

Rozdział pierwszy: W Egipcie

Rozdział drugi: Wieczorem

Rozdział trzeci: Senna mara

Rozdział czwarty: Głosowanie

Rozdział piąty: Podejrzenia

Rozdział szósty: Niezdarny Szpieg

Rozdział siódmy: Znak Izydy

Rozdział ósmy: Zaufanie

Rozdział dziewiąty: Cienie

Rozdział dziesiąty: W mroku piramid

Rozdział jedenasty: Prawda w świetle błyskawic

Rozdział dwunasty: Gra

Rozdział trzynasty: Wiadomości

Rozdział czternasty: Zebranie

Rozdział piętnasty: Finał

Rozdział szesnasty: W zamknięciu

Rozdział siedemnasty: Sojusz

Rozdział osiemnasty: Bogowie

Rozdział dziewiętnasty: Sonia

Rozdział dwudziesty: Sahara

Rozdział dwudziesty pierwszy: Władca Piasków

Rozdział dwudziesty drugi: Odwieczni wrogowie

Rozdział dwudziesty trzeci: Wybrana

Rozdział dwudziesty czwarty: Serce pustyni

Rozdział dwudziesty piąty: Pałac Pośród Piasków

Rozdział dwudziesty szósty: Straszna prawda

Rozdział dwudziesty siódmy: Briant de Ramen

Rozdział dwudziesty ósmy: Zemsta demona

Rozdział dwudziesty dziewiąty: Cienie tajemnic

Rozdział trzydziesty: Pod Wieżą Ratuszową

Epilog

Prolog

Nic nie zapowiadało burzy. Ani tej prawdziwej, ze stalowoszarą, ciężką, ołowianą niebem oraz jasnymi błyskawicami, ani tej, która miała zniszczyć niejedno poukładane życie, zamącić w umysłach całego świata. Przed niektórymi odsłonić nieskończone możliwości, innych natomiast popchnąć ku zupełnie nowej drodze życia.

Tego dnia słońce pięknie świeciło, wiał lekki wiaterek, śnieżnobiałe obłoczki leniwie przemieszczały się po błękitnym, pełnym głębi niebie. Nieliczne złociste promienie przebijały się przez zielone listowie drzew jednej z paryskich alei, rzucając na chodnik jasne, migotliwe refleksy.

Pewien chłopiec starannie unikał świetlistych plam, pewnym krokiem wędrując niemal całkowicie opustoszałą promenadą. Szedł półcieniem, uważając, by nie wejść czasem w oświetlone miejsca, aby ich nawet nie dotknąć dłonią. To była jedna z zasad. „Przed i po spotkaniu zawsze trzymaj się cienia, chyba że jest to niemożliwe”. Dzięki temu nie rzucał się w oczy, co było dość istotne, jeśli chciał, żeby spotkanie było udane.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem z zadowoleniem. Dziś wreszcie miał się dowiedzieć, co odkrył jego przyjaciel i czy warto było to zdobywać. Na pewno wiele się także nauczy, jak zwykle. Miał też kilka ważnych pytań, które męczyły go mniej więcej od tygodnia, a na które sam nie mógł sobie odpowiedzieć. Dziś wreszcie wszystkiego się dowie. Tak długo na to czekał.

Mógł już zobaczyć uliczkę, przy której mieli się spotkać. Zerknął na zegarek. Przyszedł w samą porę.

Skręcił w ślepy, ale jasno oświetlony zaułek. Uniósł wzrok, wcześniej utkwiony w szarym podłożu, i zamarł w bezruchu. Zmarszczył niepewnie brwi, zastanawiając się, co oznacza to, co właśnie zobaczył.

Ujrzał swojego przyjaciela, rozpoznał go po jasnych włosach i równie jasnym spojrzeniu. Mężczyzna stał na dodatek przodem. I bynajmniej nie był sam, jak być powinno. Jak zawsze było. Stał naprzeciwko pięciu ludzi, których chłopiec nie mógł rozpoznać z racji tego, że widział tylko ich plecy. Nie zauważyli, jak się pojawił. W sumie nic dziwnego, chodził przecież cicho jak duch.

Tylko co oni tu robią? Umowa była przecież jasna. Żadnych towarzyszy. Uważnie przyjrzał się całej grupie. Nieznajomi byli ubrani na czarno, a jeden z nich mówił coś cichym głosem do jego jasnowłosego przyjaciela. Nie mógł jednak zrozumieć ani jednego słowa, które padało z ust obcego mężczyzny, może dlatego, że ten strasznie mamrotał.

Chłopak rozważał właśnie, co ma zrobić i jak się zachować, czy podejść i przywitać się, czy może po prostu odejść? Wtedy znajomy blondyn wreszcie go zauważył. Utkwił w nastolatku swoje jasne, intensywne spojrzenie, tak mocne, jak zwykle, pomimo dzielących ich metrów.

Uciekaj, mówiły jego przerażone oczy. Uciekaj, póki możesz.

Chłopiec zmarszczył brwi, czując, jak chłodny dreszcz przebiega mu po plecach. Jego przyjaciel nie był strachliwy. Kim zatem są ci nieznajomi, którzy sprawiają, że jedna z najodważniejszych osób, jakie zna, drży jak osika? Czego chcą?

Nagle straszna myśl wpadła mu do głowy. Czyżby wiedzieli...? Nie, niemożliwe! Nie mogą wiedzieć. To wykluczone. *A może jednak...?* – szeptał jakiś uparty, cichy głosik. Chłopiec zadrżał w duchu. To rzeczywiście byłoby przerażające! Prawdziwa katastrofa, rodem z koszmarów. Zwłaszcza jeśli chcą tego, o czym opowiadał mu jego znajomy.

Powinien uciekać. Uciekać, i to natychmiast. Wiedział, że tak powinien zrobić. Lecz z drugiej strony... Ma zostawić przyjaciela? Tego, który wszystko mu pokazał? Przecież może pomóc! W kasztanowych oczach chłopca błysnęło zdecydowanie. Nie zostawi go samego! Przecież nawet go nie trzymają, na pewno razem dadzą radę.

Nie rób tego, przemówiły stanowczo oczy mężczyzny, gdy błyskawicznie odgadł jego myśli. Zdawały się także mówić: Pamiętaj o umowie. Chłopak zagryzł wargę. Według ich ustaleń, w takiej sytuacji powinien od razu uciec niedostrzeżony przez nikogo. To był prawdopodobnie jedyny sposób na uniknięcie wielkiego niebezpieczeństwa.

Ale zaraz. Ma zostawić przyjaciela na pastwę tajemniczych nieznajomych? Co powinien zrobić? Co zrobiłby jego znajomy? Na pewno by go ratował. W takim razie on też nie zawiedzie!

Jasnowłosa mężczyzna zmarszczył delikatnie brwi. Nie zgadzał się z jego decyzją. Próbował mu coś przekazać, ale tym razem nie było to tak oczywiste, więc równocześnie mogło mieć miliony znaczeń. Chłopak intensywnie, ale całkowicie bezskutecznie próbował odszyfrować spojrzenie przyjaciela. W końcu ten przymknął na chwilę oczy, a chłopiec poczuł, jak coś pojawia się w jego dłoni. Uniósł ją i delikatnie rozsunął palce. Błyskawicznie przebiegł wzrokiem po skrawku papieru pokrytym eleganckim, drobnym pismem w lśniącym, złotym kolorze.

„Nie dasz im rady, nawet nie próbuj. Ja nie dałem, a umiem więcej niż Ty. Oni wiedzą, kim jesteśmy. Są bardzo potężni, nie lekceważ ich. Myślałem, że wreszcie ich zgubiłem, ale oni i tak mnie znaleźli. A szukają i mnie, i Ciebie. Ale na Tobie bardziej im zależy. Jesteś ich głównym celem. Wiesz, dlaczego. Więc

musisz uciekać. Możliwe, że znają Twoją twarz. Pamiętaj jednak, że na pewno nie wiedzą, jak się nazywasz. Jest mnóstwo podobnych osób na świecie. Nie będą mieli pewności, która z nich to naprawdę Ty. Prawdopodobnie tylko to może Cię uratować. Z tego powodu masz większe szanse niż ja. Nie daj się złapać, chroń też rodzinę. Za wszelką cenę nie daj się podejść, nie poddawaj się nigdy. Działaj zawsze sam. Nie ufaj nikomu. Nie wyróżniaj się i cały czas miej się na baczności. I jeszcze jedno. Oni też nie są zwykli. Za dużo potrafią. Musisz na nich bardzo uważać.

A teraz uciekaj, szybko! I nigdy nie zapomnij, kim jesteś oraz czego Cię nauczyłem”.

Chłopak ponownie spojrzał na mężczyznę, delikatnie chowając kartkę do kieszeni. Wahał się i bał. Nie tylko o swoją przyszłość, tak niepewną, jeśli wierzyć wiadomości. Również o swojego przyjaciela. Co go czeka? Wyglądał na przestraszonego. Co aż tak go przerażało? Czyżby ci dość niepozorni nieznajomi byli aż tak groźni? Co on powinien zrobić? Pomóc mimo wszystko? Uciec, a potem zawsze rozmyślać, co by było gdyby? Nieznajomi wcale nie wyglądali potężnie. Może dałby im radę? Jeśli ich zaskoczy... Ważne, by nie dowiedzieli się, że tu jest, a potem...

Ale wtedy karteczka, którą wkładał do kieszeni, zaszeleściła cicho. Zastygł w bezruchu, błagając w myślach, by jednak nikt go nie usłyszał.

I wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Jeden z nieznajomych, ten, który wciąż coś mamrotał, odwrócił się z niezwykłą zwinnością, wlepiając w zaskoczonego chłopca płonący wściekłością wzrok. Nastolatek odruchowo cofnął się o krok. Z przerażeniem uświadomił sobie, że skądś zna te upiorne, rozżarzone oczy. Poczul obezwładniający lęk, jakiego nie doznał nigdy wcześniej. Nie mógł się ruszyć, po prostu stał i patrzył z przestachem. Nieznajomy uśmiechnął się drapieżnie.

– Kogo my tu mamy? Przypadkowa ofiara, jak sądzę? – syknął jadowicie głosem, który sprawił, że chłopak zadrżał.

Ale jednocześnie poczuł ledwie dostrzegalny cień ulgi oraz nadziei. Na szczęście nie został rozpoznany!

Jednak w tym samym momencie mężczyzna przekrzywił badawczo głowę, przyglądając mu się strasznym wzrokiem, w których błyskała złowroga inteligencja.

– Czy to możliwe...? – mruknął, mrużąc uważnie oczy.

Chłopak w jednej chwili poczuł napływającą panikę. On nie może go poznać! To będzie katastrofa! Ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Nie mógł się ruszyć ani o krok.

– Na co czekasz?! Uciekaj! – krzyknął nagle z trudem jasnowłosej mężczyzna, którego głos dotarł do niego jakby z bardzo daleka. Był bodźcem,

który przywrócił go do normalnego stanu. Dziwny bezruch minął.

Chłopiec błyskawicznie odwrócił się na pięcie i pomknął przed siebie, nie słysząc niczego oprócz ogłuszającego szumu w głowie. Skąd on zna te oczy?! Te straszne, przerażające oczy? I ten ochrypły głos, jakby zza grobu?

Biegł przed siebie najszybciej jak mógł. Nie zwracał już uwagi na unikanie światła. I tak go widzieli, więc nic mu to nie da. Zerknął za siebie i z przerażeniem ujrzał ścigający go tłum. Nieznajomych było więcej niż w zaułku. I cały czas ich przybywało.

Przyspieszył jeszcze bardziej, choć wcześniej nie wydawało się to możliwe. Przemknął przez ruchliwą ulicę, cudem tylko unikając przejechania. Wpadł na grupkę oburzonych, otyłych turystów. Potrącił ulicznego sprzedawcę pamiątek. Pędził jak na skrzydłach wiatru, co chwilę zerkając za ramię.

Nagle odskoczył gwałtownie w bok, unikając rozpędzonego czarnego samochodu. Rzucił szybkie spojrzenie do jego wnętrza, od razu rozpoznając w kierowcy mężczyznę z upiornymi oczami, który szczerzył się złowrogo oraz zawzięcie pochylał nad podrapaną kierownicą.

Zrobił gwałtowny zwrot i wpadł w uliczkę za wąską dla wielkiego auta. Przeskoczył rządkiem potężnych donic, wyminął elegancko ubraną kelnerkę i pobiegł dalej.

Skręcał na chybił trafił, starając się za wszelką cenę zgubić pościg. W końcu tupot butów ścigających wydawał się coraz dalszy, jednak cały czas niósł się echem gdzieś za nim. W pewnym momencie, po tym, jak całkowicie pogubił się w miejskim labiryncie, tupot ledwo docierał do jego wyczulonych uszu. Chłopak uśmiechnął się z dumą oraz ulgą, pędząc cichą uliczką. Poczuli się odrobinę lżej, straszne napięcie trochę ustąpiło. Zaraz ich zgubi! Skręcił, gdy skręcała droga, pewny, że doprowadzi go ona do jakiejś głównej ulicy.

I wtedy, gdy ujrzał to, co skrywało się za zakrętem, zatrzymał się gwałtownie. Z niedowierzaniem wypisanym w powiększonych, przestraszonych oczach wpatrywał się w wysoki mur, odgradzający go od wolności. Ślepy zaułek! Wbiegł w drogę bez wyjścia.

Odwrócił się szybko, tylko po to, by odkryć, że wrócić może jedynie takim sposobem, jakim tu trafił. Ale na to było już za późno. Tupot stóp goniących był coraz głośniejszy. Wbiegli już w bardzo długą, ale ślepią uliczkę. Był w pułapce. Nie znał sposobu, by się stamtąd wydostać.

Z desperacją rozglądał się dookoła, ale nie znalazł jakiegokolwiek drogi ucieczki. Nawet okna były za wysoko, by do nich doskoczyć. Żadnych drzwi, żadnej bramy. Nic. Na dodatek gładkie ściany. To koniec. Nie ucieknie.

Wciąż rzucając dookoła szybkie spojrzenia, z niedowierzaniem obrócił się wokół własnej osi, równocześnie cofając się powoli od zakrętu ślepego zaułka, zza którego nieubłaganie zbliżali się oni. Kimkolwiek byli.

Nie mógł uwierzyć w swoją sytuację. Wydawała się taka nierealna. Czy to dzieje się naprawdę? Wiedział, że niestety tak, że to nie zły sen, z którego można się obudzić. Ale nie mógł dać temu wiary. Albo raczej nie chciał.

W końcu oparł się plecami o mur lodowaty niczym jego drżące dłonie. Droga się skończyła. Naprawdę się skończyła. Z przerażeniem uświadomił sobie, że to już jego prawdziwy koniec. Faktycznie był w sytuacji bez wyjścia, w której nikt mu nie pomoże. No bo jak? Przecież nikt nie wiedział, dokąd się wymknął. Zrobił to w całkowitej tajemnicy. Jak zwykle zresztą.

Wzdrygnął się z przerażenia. Co go czeka? Po złapaniu na pewno gdzieś go wywiozą. Już nigdy więcej nie ujrzy nikogo znajomego. Z rozpaczą pomyślał o rodzinie, która nigdy nie doczeka się jego powrotu do domu.

Już nigdy nie pokłóci się z braćmi, nie kupi siostrze ciastek. Nigdy ich nie zobaczy. W jego oczach błysnęły łzy. Nawet się nie pożegnał. Na dodatek wychodził skłócony z młodszym bratem. Czy któryś z nich kiedykolwiek będzie żałował swego zachowania? Z pewnością. Ale już nigdy się nie przeproszą.

A co się stanie z nim samym? Skoro wiedzą, kim jest, na pewno nie czekają go miłe przeżycia. Wolał o tym nie myśleć. Jeszcze nie. Później będzie miał na to mnóstwo czasu. A czy w ogóle będzie żył? Zapewne nie mogą go zabić, ale kto wie, podobno aż tyle wiedzą?

Przypomniał sobie przerażonego przyjaciela. Skoro on się tak strasznie bał, to co dopiero ktoś dużo młodszy? No i ten mężczyzna z upiornymi oczami. Emanował okrucieństwem. Złem. Ciemnością. Jeśli go na dodatek pozna, co zapewne nastąpi dość prędko, na pewno będzie chciał się zemścić. Chłopak miał bardzo mgliste wspomnienie, jakby zrobił mu kiedyś coś bardzo złego. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, co to mogło być. A dziwne wrażenie było bardziej podobne do odległego snu niż do jawy.

Nie miał szans. To koniec. Odgłos kroków biegnących był coraz głośniejszy. Czas jakby zwolnił. Miał wrażenie, że nigdy do niego nie dobiegną. Bał się tego, co potem nastąpi, ale oczekiwanie oraz pogrążanie się w czarnych myślach było co najmniej tak samo straszne.

Na nowo napłynęła fala myśli o rzeczach, których nigdy nie robi, o ludziach, których nigdy nie zobaczy, pogłębiając rozpacz z powodu braku możliwości ucieczki.

– Nie – jęknął pobladły chłopak, z całej siły zaciskając powieki.

Nigdy więcej nie zobaczy domu... Nigdy więcej nie zobaczy rodziny... Nigdy więcej nie nakrzyczy na brata... Nigdy więcej... Już nigdy... To koniec... Wiedział, że był zgubiony. Ale buntownicza dusza wołała, że to niemożliwe. On nie może tak skończyć! Tyle chce zrobić w życiu. Przed nim wielka przyszłość. Droga na szczyt. Wielkie możliwości. Czy to możliwe, by to wszystko miało się tak nagle urwać? Co z jego marzeniami? Na zawsze zaginą wraz z nim? Będzie żył

nie wiadomo jak, nie wiadomo gdzie? Przystanie być sobą? Będzie więźniem bez rodziny, bez przyjaciół?

– Nie – warknął, otwierając nagle oczy.

Czy to sprawiedliwe?! On chce nadal żyć jak dawniej! Nie odbiorą mu jego życia. Nie podda się tak łatwo. Miał nie dać się złapać. A zatem, czy ma zawieść już na samym początku? Nie. Nie będą mieli z nim aż tak łatwo, jak myślą.

– Nie macie pojęcia, z kim zadarliście – mruknął chłopak, wpatrując się w róg uliczki z niezwykłą determinacją. Skąd się ona wzięła? Zapewne nikt nie wiedział.

Słyszał, że ścigający zaraz tu dotrą. Wskoczą zza zakrętu. To było pewne. Ale nie ujrzą kogoś przestraszonego. Raczej kogoś bardzo złego. W końcu miał tak zawsze. Strach szybko ustępował miejsca gniewowi. Zaciśnął zęby. Gdyby teraz ktoś uważnie mu się przyjrzał, być może ze zdumieniem dostrzegłby dziwne zjawisko. Wydawało się, jakby jego brązowe oczy nabrały lekko czerwonego odcienia. Ale czy to możliwe?

Ścigający byli coraz bliżej. Bardzo blisko.

Wtedy w tęczówkach nastolatka zawirował złoty piasek.

W momencie, w którym pierwszy rozpędzony mężczyzna wypadł zza zakrętu, gdzieś tam, wysoko na niebie, piorun błysnął oślepiającym blaskiem. Rozległ się ogłuszający grzmot. Pierwsza ciężka kropla deszczu spadła na nagrany paryski chodnik. Czy tego chciano, czy nie, burza się zaczęła.



Rozdział pierwszy

W EGIPCIE

Sonia westchnęła głęboko, układając się wygodnie w lekkiej pościeli. Uśmiechnęła się z radością, w jej oczach zabłyśły gwiazdy, które obserwowała przez idealnie czystą szybę okna.

Jutro pierwsze zajęcia obozowe! Co będą robić? Niestety, aż do rana pozostawało to tajemnicą. Może będą mieli jakąś wycieczkę? Cóż, przekona się już wkrótce.

Wróciła myślami do zdarzeń sprzed kilku godzin, kiedy to po raz pierwszy samotnie postawiła nogę na kairskim lotnisku. Przyleciała samolotem bezpośrednio z Krakowa, gdzie mieszkała. Miała brać udział w międzynarodowym obozie młodzieżowym, zorganizowanym pod hasłem „Na piaskach egipskiej pustyni”.

Kilka miesięcy przed zakończeniem roku szkolnego dostała list z propozycją uczestnictwa, lecz pomimo egzotyki miejsca, atrakcyjnego programu i możliwości wspaniałej praktyki w posługiwaniu się angielskim, nie była zainteresowana. Po pierwsze, zaplanowali sobie wspaniałe rodzinne wakacje. Po drugie, tylko ona z jej znajomych dostała taką propozycję „w uznaniu za wybitne wyniki w nauce”, a sama obawiała się trochę jechać do obcego kraju, na obcy kontynent. Jednak wszystko się zmieniło, gdy jej siostra dość pechowo złamała sobie nogę podczas spaceru. Rodzinne plany runęły w gruzach, a Sonia miała dwie opcje: albo obóz w Egipcie, albo wakacje w domu. Naturalnie, choć nie bez wahania, wybrała to pierwsze. Tak oto zaczęła się jej przygoda, choć sama nie miała jeszcze pojęcia, jak niezwykła.

Z Kairu ją, a także czternaścioro innych uczestników, zawieziono na miejsce busikiem, którego wnętrze miało kolor zachodzącego słońca i było w miarę nowe, co naprawdę bardzo ucieszyło Sonię. Obawiała się, że będą podróżować

rozpadającym się gratem! Na szczęście dużo mu do tego brakowało.

Usiadła obok ładnej dziewczyny o brązowych oczach. Okazało się, że także była Polką, a nazywała się Estera Czarna. Estera była bardzo ładna, to nie ulegało wątpliwości. Była właścicielką długich, brązowych włosów, zaplecionych w gruby warkocz po lewej stronie głowy. Miała duże, pogodne, lazururowe oczy, kształtny nosek oraz różane usta. Była ładnie opalona, ubrana w delikatną tunikę zdobioną motywami błękitnych kwiatów, białe legginsy długości trzy czwarte oraz również niebieskie sandały w kwiatowy wzór na niewysokich, beżowych koturnach.

Sonia Milewska była wysoką, smukłą piętnastolatką o długich, wycieniowanych ciemnoblonde włosach spływających na plecy łagodną falą. Cechowała ją piękna, słowiańska uroda i jasna karnacja. Jej zamyślane, duże, śliczne oczy, błyszczące niczym dwie gwiazdy na pogodnej, uroczej twarzy, były w kolorze zieleni, a otaczała je obwódka czarnych, długich rzęs. Miała kształtne malinowe usta i niewielki, zgrabny nosek, a z częściowo zakrytych uszu tego dnia zwisały srebrne, długie kolczyki z kryształkami. Była ubrana w granatowe, przylegające spodnie sięgające trochę powyżej kolan oraz białą bluzkę w złote słoneczniki otoczone kilkoma liśćmi w żywym, zielonym kolorze.

Niemal od razu dziewczyny zaczęły ze sobą rozmawiać. Sonia zapytała wówczas, jak dawno Estera przyjechała do Kairu.

– Och, ja przyjechałam samochodem na miejsce zbiórki – wyjaśniła szatynka, ale widząc przerażone spojrzenie swojej rozmówczynie, dodała szybko, śmiejąc się: – Ale nie z Polski! Z centrum Kairu. Moi rodzice i tak jechali na lotnisko, więc mnie podrzucili.

– Byliście na wakacjach w Egipcie? – zapytała wtedy zaciekawiona Sonia.

Estera wytłumaczyła, że jej rodzice są archeologami i była z nimi na wykopaliskach. Zostały one jednak nagle zamknięte, dlatego musieli wrócić do kraju.

– Podczas zeszłorocznych wakacji odkopywali piramidę na środku pustyni, świetnie zachowaną i nigdy nieobrabowaną – wspomniała Estera w zamyśleniu. – Zabrali mnie ze sobą. Było fantastycznie, widziałam prawdziwą mumię. Przeżyłam mnóstwo niesamowitych przygód z moim niezwykłym przyjacielem. Było cudownie! Jednak tylko do czasu... – Tu jej głos zadrżał, a Sonia spojrzała na nią, przekrzywiając głowę. Estera zakończyła cicho i jakby z goryczą: – Wcześniej nie wierzyłam, że jedna osoba może zepsuć dosłownie wszystko. Wtedy przekonałam się o tym bardzo dotkliwie.

Blondynka zerknęła wówczas na koleżankę niepewnie. Estera szybko przywołała na twarz swobodny uśmiech, po czym powiedziała:

– No, ale może pogadajmy o czymś innym. Na przykład o nim – wskazała brodą na sąsiada Soni, siedzącego po drugiej stronie wąskiego przejścia między

siedzeniami. Blondynka również na niego spojrzała.

Ujrzała ładnego, wysokiego, szczupłego i dobrze zbudowanego chłopaka. Przypomniała sobie, że opiekunka mówiła, iż nazywa się Oliver Green. Miał on czarne oraz raczej krótkie włosy, niewyróżniający się niczym szczególnym nos, a także ładnie zarysowane usta, teraz zaciśnięte w wąską linię. Jego duże, wyraziste oczy miały kolor, jeśli dobrze kojarzyła, kasztanowy. Teraz spał, opierając głowę na szybie, za którą widać było zatłoczony Kair. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu drżenie pojazdu ani słońce, świecące prosto na niego.

– Nawet nie zasłonił sobie firanki – zauważyła Estera drwiącym tonem, wpatrując się w Olivera z niechęcią. – Idiota jakiś, mówię ci.

Sonia spojrzała na nią zaskoczona. Z dalszych słów szatynki wynikało, że czuje do niego dziwną, bardzo mocną niechęć. Na dodatek, ku zdumieniu blondynki, pogardliwie mówiła o nim „blondaś”, choć Sonia widziała przecież, że miał czarne włosy! Jednak nie przejęła się tym zbytnio. Uznała, że Estera mówi tak specjalnie. Choć gdyby zapytała innych, jakiego koloru są jego włosy, usłyszałyby zgodną odpowiedź: „blond”. Na pewno zdumiałoby ją to, dlaczego ona widzi coś zupełnie innego i może odkryłaby coś bardzo dziwnego, ale... Ale nieszczególnie zwróciła na to uwagę i szybko zapomniała o temacie.

W końcu udało jej się wyciągnąć z koleżanki, dlaczego tak strasznie nie lubi kogoś, z kim nawet nie zamieniła słowa. I nie miała zamiaru, chyba że z konieczności. Okazało się, że bardzo przypominał jej kogoś, kogo знаła. Kogoś, z kim miała związane bardzo przykre wspomnienia. Kogoś, przez kogo spotkało ją mnóstwo nieprzyjemności.

– Zresztą, nie tylko mnie, ale innych ludzi także – westchnęła niechętnie Estera. – Istny koszmar, taka znajomość. Aż wstyd się przyznać.

– Kto to był? – zapytała po chwili Sonia. – Powiesz mi o nim coś jeszcze?

– Po co? – Estera wyglądała na bardzo zdziwioną tą prośbą. Nie chciała zdradzić nic więcej, ale w końcu uległa prośbom koleżanki. – Ale pamiętaj, sama tego chciałaś!

Sonia zrobiła zdumioną minę.

– Na pewno o nim słyszałaś – oznajmiła Estera, dziwnie się uśmiechając, aż jej rozmówczyni przeszedł dreszcz po plecach. – To Briant de Ramen.

Blondynka zaskoczona wytrzeszczyła wtedy oczy, robiąc przerażoną minę, a Estera roześmiała się trochę upiornie, a przy tym bardzo głośno, aż gwałtownie obudzony Oliver podskoczył na swoim fotelu i obrzucił rozmawiające w niezrozumiałym dla niego języku dziewczyny potępiającym spojrzeniem.

– Znałaś go?! – wyjęczała Sonia. – Tego... tego... no, wiesz, kogo?!

– Tak, niestety. – Szatynka westchnęła z przygnębieniem, po czym zerknęła na blondynkę uważnie, mówiąc: – Tylko nie mów nikomu. Tobie mogłam powiedzieć, bo chciałaś, i wydaje mi się, że jesteś sensowną osobą, ale inni...

Lepiej niech nie wiedzą. Chcę mieć przyjaciół na tym wyjeździe. A teraz przepraszam, ale jestem trochę zmęczona.

Estera z odrobiną ponurą miną odwróciła się plecami do towarzyszki, zamykając oczy oraz opierając głowę o oparcie fotela. Tymczasem wciąż zszokowana blondynka wpatrywała się w nią wielkimi oczami. Po głowie szalały jej gwałtowne, nieuporządkowane myśli.

Ona знаła Brianta de Ramena! Biedna, musiała rzeczywiście przeżyć istny koszmar w czasie poprzednich wakacji, kiedy go spotkała! Aż dziw, że zachowuje się normalnie, a nie jak jakaś histeryczka. Po takich przeżyciach! Już sama świadomość, że się go znało, jest pewnie straszna. Sonia poważnie zastanawiała się, czy ona w ogóle dałaby radę tak funkcjonować.

Briant de Ramen. Jego nazwisko nie schodziło z pierwszych stron gazet już od trzech tygodni! Każdy czytał z przerażeniem o tym, co on zrobił. Zabił swoją najbliższą rodzinę, specjalnie wywołując pożar, potem próbował udawać, że to nie on, ale zdemaskowały go nagrania z kamer. Uciekł więc i ukrywał się tak świetnie, że nikt nie mógł trafić na jego ślad. Był całkowicie nieuchwytny. „Wariat”, mówili ludzie. Bardzo sprytny wariat, a także groźny morderca. Nikt nie mógł uwierzyć, że miał tylko piętnaście lat.

– Biedna Estera – wyszeptała wówczas strwożona Sonia, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Miała do czynienia z Briantem de Ramenem!

Wtedy ktoś lekko poruszył się po jej prawej stronie. Odruchowo tam zerknęła. To był ten czarnowłosy chłopak, Oliver, spoglądający na nią badawczo przymrużonymi kasztanowymi oczami, z kamienną twarzą. Szybko odwrócił wzrok, a Sonia poczuła się bardzo nieswojo.

W końcu, po trzygodzinnej jeździe przez pustynny, opustoszały rejon, busik gwałtownie skręcił w prawo i oczom Soni ukazało się miejsce, w którym miała spędzić najbliższe dziewięć dni, odgradzone od nieuczęszczanej, piaszczystej drogi wysokim, kamiennym murem oraz bramą składającą się z żelaznych prętów. Była otwarta na oścież, a przez całą jej szerokość przewieszono jaskrawopomarańczowy transparent, głoszący:

„Serdecznie witamy uczestników
międzynarodowego obozu dla młodzieży

NA PIASKACH EGIPSKIEJ PUSTYNI”.

Pierwszą rzeczą, jaką Sonia i jej towarzysze zauważyli po wjechaniu na

rozległy, ogrodzony teren, był duży, dwupiętrowy budynek z wielkimi, lśniącymi oknami, w których, niczym w lustrze, odbijało się piękne, błękitne niebo, jaśniejące słońce oraz złote fale pustyni. Na jego jasnobrązowej elewacji wymalowano sporych rozmiarów palmę oraz zarys piramidy – zapewne logo obozu, jak pomyślała sobie Sonia. Budynek miał kształt zbliżony do litery L, której krótsze ramię znikало w głębi posesji, wśród grupy zielonych palm oraz pokrytych delikatnym kwieciem roślin.

Na lewo od głównego gmachu znajdował się drugi, większy obiekt, odgrodzony od pierwszego pasem piaszczystej ziemi, urozmaiconym nielicznymi kępkami przesuszonej trawy oraz kamienistymi ścieżkami. Kształt tego beżowego, trzypiętrowego budynku można było porównać do kanciastej, grubej litery C. Od strony pustyni przez całą jego szerokość ciągnęły się odgrodzone od siebie balkony, a w przypadku parteru – tarasy. Natomiast od strony wjazdu ściany urozmaicały jedynie proste, szerokie okna.

Za gmachem głównym znajdowały się trzy małe, prostokątne budyneczki, przypominające trochę białe pudełka po butach, także z racji tego, że miały tylko jedno, małe oraz wąskie okno, umieszczone na dodatek tuż pod płaskim dachem. Wejścia do nich broniły potężne drzwi na szyfrator oraz zamek magnetyczny.

Natomiast na prawo od głównego budynku, tuż przy wjeździe, zaczynał się całkiem spory, piaszczysty parking, na którym stało, między innymi, kilka busów podobnych do tego, którym przyjechała Sonia. Na dachu stojącego w głębi garażu królował duży, pomarańczowy helikopter z wymalowaną na boku palmą przy piramidzie, przyciągający wzrok zachwyconych nastolatków.

Za parkingiem znajdowało się ziemiste boisko, potem czerwony kort tenisowy, a na samym końcu spory basen, zabudowany oszklonymi ścianami, zapewne w ochronie przed pustynnym piaskiem.

Pomarańczowy busik wraz z przyklejonymi do szyb nastolatkami zaparkował przed wielkimi, przeszklonymi drzwiami wejściowymi budynku głównego, w których stał grubawy mężczyzna średniego wzrostu. Jego okrągłą twarz z wąskimi ustami, ciemnymi oczami oraz dużym nosem otaczała gęsta aureola kędzierzawych, krótkich i niemal czarnych włosów. Wyglądał na trochę ponad trzydzieści lat, a jego ciemnawa, śniada skóra sprawiała, że Sonia natychmiast pomyślała o Hiszpanii lub Portugalii. Mężczyzna miał na sobie jasny garnitur, żółty krawat oraz lekkie, kremowe buty.

Po chwili, gdy piętnastoosobowa grupka wypadła na skąpany w czerwonym blasku zachodzącego słońca, kamienny, półokrągły placyk znajdujący się przed samym wejściem, mężczyzna odchrząknął i przemówił. Leżąc na łóżku, Sonia przypomniała sobie jego słowa.

– Witajcie! Nazywam się Juan Mandara i jestem właścicielem tego uroczonego

miejsca! Tak, to dzięki mnie tutaj jesteście, gdyż to ja jestem organizatorem obozu, na który przyjechaliście! Bardzo się cieszę, widząc kolejną grupkę obiecująco wyglądających młodych ludzi, pragnących osiągnąć coś w życiu! Ja wam w tym pomogę, odsłonię przed wami tajemnice starożytnego Egiptu, a szczególnie jego... bogów! Tak, bogów, fantastycznie, prawda? – Mężczyzna uśmiechnął się promiennie i objął całą wymęczoną podróżą grupę radosnym wzrokiem, a następnie, gdy zamiast okrzyków zachwytu otrzymał tylko kilka zmęczonych spojrzeń, dodał z nieco mniejszym entuzjazmem, opuszczając ręce. – Cóż... Widzę, że mieliście dziś naprawdę męczący dzień... To w takim razie mowy powitalnej wysłuchacie tylko raz, a konkretnie jutro po śniadaniu, gdy uczestnicy obozu będą już w komplecie. A teraz musicie wiedzieć tylko jedno: wszyscy jesteście jedną grupą i będziecie razem mieć zajęcia! Razem mieszkanie, razem się trzymacie! Poza tym wszystko, co musicie wiedzieć, przekaze wam mój asystent, który zaraz do was przyjdzie... Miłego pobytu, do zobaczenia na kolacji!

Pan Mandara zniknął za przeszklonymi drzwiami, a następnie prędko odszedł gdzieś w głąb budynku, zostawiając na zewnątrz zdumioną oraz zmęczoną grupę.

– Eee... To co teraz? – zapytał niepewnym, piskliwym głosem jeden z obozowiczów, któremu blond grzywka opadała prawie do końca nosa, całkowicie zasłaniając oczy. Stał tuż obok swojego brata bliźniaka, niczym się od niego nieróżniącego. Obaj uśmiechali się szeroko.

Pytając, chłopak równocześnie rozejrzał się dookoła, o czym świadczyły tylko ruchy jego głowy. Sonia mogła sobie wyobrazić, że miał zdziwione spojrzenie, czego nie mogła jednak sprawdzić z powodu jego fryzury.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, rozległ się gruby głos kierowcy:

– Bagaże wypakowane, możecie je sobie wziąć.

I w momencie, w którym wszystkie twarze, nawet plotkującej wcześniej zawziętej grupki dziewczyn, zwróciły się w jego stronę, mężczyzna wsiadł do pojazdu, mrużąc pod nosem beznamienne „do widzenia”, z piskiem opon zaparkował nieopodal, obok innych, podobnych busów, a potem wysiadł oraz prędko odszedł w głąb działki i zniknął im z oczu.

– Cóż za niezwykle wylewne, przyjazne pożegnanie – prychnęła wtedy któraś z dziewczyn. – Niby jak teraz nasze bagaże znajdują się w naszych pokojach? Chyba nie mamy ich wynieść?

– A czemu nie? – zapytał blondyn z kolczykiem w nosie, zerkając na nią niechętnie.

– No wiesz... Mogłabym się przeciążyć... Albo, co by było wprost okropne, złamać paznokieć! Lub dostać odcisków!

Wszyscy chłopcy, których było sześciu, jak na zawołanie wywrócili oczami, a sześć dziewcząt w tym samym momencie zrobiło współczujące lub przerażone

miny. Tylko Sonia i Estera powstrzymały się od bardzo widocznej reakcji na to oświadczenie, zadowolając się rzuceniem sobie szybkich, rozbawionych spojrzeń.

Nagle od strony budynku ktoś głośno, a także bardzo teatralnie odkaszlnął, więc wszystkie głowy zwróciły się tym razem ku niemu. W drzwiach wejściowych stał wysoki, chudy Arab o nieprzeniknionym wyrazie twarzy, z ciemnymi, przeciwśłonecznymi okularami na długim nosie.

Odezwał się dopiero po chwili, mówiąc dostojnie:

– Witam was wszystkich. Jestem tu, by zapoznać was z tym miejscem, a także z rozkładem dnia, który właściwie obowiązuje was już od dzisiejszego wieczoru. A teraz, proszę za mną.

Mężczyzna odwrócił się w stronę wnętrza budynku, w którego wejściu stał, a potem rzucił, nie oglądając się za siebie:

– Po walizki wrócimy później! Proszę je zostawić.

I wszedł do środka, a rudowłosa dziewczyna spojrzała dookoła nieufnie, ściskając swoją wielką, czarną, wygrzebaną przed chwilą ze sterty innych walizkę, jakby obawiała się, że za marnymi krzakami czają się tłumy złodziei, tylko czekających na to, aż sobie pójdzie, by ją ukraść. W końcu jednak chyba nikogo podejrzanego nie zauważyła, gdyż położyła swój bagaż delikatnie na ziemi, a potem błyskawicznie dogoniła resztę grupy, która zniknęła już w głębi nowoczesnego budynku.

Sonia dowiedziała się, że znajdują się w nim między innymi: jadalnia, rozległy salon wspólny, coś w rodzaju sali konferencyjnej ze specjalnym podium do przemówień oraz jeszcze kilka innych pomieszczeń.

Arab pokazał im jadalnię i poinformował o godzinach posiłków. Potem wskazał im resztę sal, a następnie wszyscy skierowali swe kroki w stronę basenu, w którym pływało sobie beztrudnie kilkanaście osób, śmiejąc się radośnie.

Gdy bez słowa mijali trzy białe, niewielkie budynki, chłopcy rzucali w ich stronę zaciekawione spojrzenia. Oliver, stale trzymający się na samym końcu grupy, zapytał w końcu, co w nich jest. Oprowadzający ich mężczyzna odpowiedział, że są to prywatne pomieszczenia pana Mandary, zamknięte dla przyjeżdżających obozowiczów, czym jednak nie zaspokoił ciekawości niektórych chłopców, już obmyślających, jak by tu dostać się do środka.

Po obejrzeniu basenu, kortu oraz boiska, a także po wysłuchaniu przy każdym z nich nudnych zasad dotyczących ich użytkowania, skierowali się z powrotem do głównego budynku, przy którym na ziemi leżały ich walizki. Kiedy wszyscy się tam zbrali, Arab machnął ręką w stronę beżowego obiektu, w którym jeszcze nie byli, oraz powiedział ze znudzonym wyrazem twarzy:

– Tam będziecie mieszkać. Pokoje są trzyosobowe, więc macie pięć minut, by się jakoś dobrać w obrębie waszej grupy. Ja zaraz wrócę i zapiszę, jak się podzieliliście.

Mężczyzna zniknął w głębi budynku, zostawiając ich samych.

Sonia postanowiła zamieszkać z Esterą, ale musiała do nich dołączyć jeszcze jedna osoba.

– Właśnie obradują, która u nas wyląduje. – Estera z dość niewielkim entuzjazmem wskazała na zawzięcie kłójącą się grupkę dziewczyn.

– Albo wszystkie chcą być z nami, więc nie mogą się dogadać – stwierdziła wtedy Sonia, uśmiechając się szeroko.

– Na pewno – prychnęła Estera, a potem z rozbawieniem zaczęła oglądać coraz bardziej gwałtowną kłótnię, która przekształcała się właśnie w jedno wielkie przepychanie.

W końcu pewna farbowana blondynka została wypchnięta z kółka, aż wyróciła się na ziemię. Natychmiast wstała, tupnęła nogą, pokazała śmiejącym się z niej koleżankom język i obrażona stanęła do nich tyłem, dumnie unosząc głowę.

– No to już wiemy, która będzie z nami mieszkać – mruknęła cicho Sonia, a stojąca obok niej Estera tylko pokiwała głową.

Pokoje ich grupy mieściły się głównie na trzecim piętrze, z pewnym wyjątkiem. Jedna trójka miała mieszkać na drugim.

– Jakies pytania? – zapytał na koniec Arab, gdy już wyjaśnił, gdzie mieszczą się ich pokoje.

– Co z bagażami? – zadała pytanie rudowłosa dziewczyna, która wcześniej tak bardzo obawiała się o bezpieczeństwo swoich.

– Sami musicie wnieść sobie walizki, jeśli o to ci chodzi – odparł zdziwiony mężczyzna.

Dziewczyna jęknęła z rozpaczą, a jakaś inna zapytała zdławionym głosem:

– Jest chociaż winda?

– Nie, nie ma. To przecież tylko trzy piętra. – Arab wzruszył ramionami i dodał szybko, gdy kilka dziewcząt spojrzało na niego błagalnie oraz otworzyło usta, by go o coś poprosić: – Chętnie bym wam pomógł, ale niestety mam mnóstwo rzeczy do pilnowania, więc wybaczenie, lecz tego nie zrobię. A teraz – miłego wieczoru, mam nadzieję, że spodobają się wam pokoje, i do kolacji!

Prędko zniknął w głębi budynku, nie oglądając się za siebie, a Sonia z Esterą natychmiast wzięły swoje bagaże oraz udały się w stronę bloku mieszkalnego, by zająć sobie któryś z pokoi na trzecim piętrze.



Rozdział drugi

WIECZOREM

Sonia obróciła się na drugi bok. Zupełnie nie mogła zasnąć. Westchnęła i wróciła myślami do momentu, gdy biorąc swoje torby, ze zdumieniem zerknęły na bagaże pozostałych dziewczyn, które składały się co najmniej z dwóch wielkich waliz oraz z kilku mniejszych, które były jednak prawie tak duże, jak ta Soni.

– Ciekawe, jak one to wniosą – zdziwiła się wówczas Estera.
– Raczej ciekawe, jak one to zmieszczą w pokoju – poprawiła ją blondynka.
– Prawda. – Jej koleżanka uśmiechnęła się, a po chwili dodała z rozbawieniem: – Och, chyba już wiem, jak je przetransportują do swoich pokoi. Sama zobaczysz.

Sonia odwróciła się w ich stronę, akurat, by ujrzeć, jak wszystkie dziewczyny uśmiechają się przymilnie i rozmawiają z chłopakami, chcąc ich naciągnąć na bycie tragarzami. Obie obserwatorki wybuchły nagle śmiechem, gdy Oliver obrzucił otaczające go, trzepoczące rzęsami dziewczęta niechętnym spojrzeniem, powiedział coś z kpiącym uśmiechem na twarzy, a potem odszedł dumnie w stronę wszystkich bagaży, zostawiając je za sobą zamarłe, z wyrazem całkowitego zaskoczenia oraz niedowierzania na twarzach.

Wciąż chichocząc, dwie koleżanki weszły w końcu do środka budynku przez wejście w jednej z dwóch wysuniętych do przodu części. Stały na lśniącej podłodze z dużych, czekoladowych płytek, które odbijały sufit oraz ściany niczym wielkie, ciemne lustro. Dziewczęta z zaciekawieniem rozglądnęły się dookoła.

Stały przy szerokiej, szklanej klatce schodowej, usytuowanej w samym centrum przejścia. Po jej lewej stronie ciągnął się ślepy, pusty korytarzyk, graniczący z jednym z pokoi. Był on zakończony wielkim oknem, przez które wpadały do środka oślepiające promienie słońca, rozjaśniając nieco czekoladę

podłogi. Jeśli przeszło się obok spirali schodów, trafiało się na właściwy, szeroki oraz długi korytarz, prowadzący do pokoi. Jego ściany miały kolor kawy z dużą ilością mleka. Zostały ozdobione srebrnymi, prostymi kinkietami oraz kolorowymi, bardzo nowoczesnymi i niezwykle brzydkimi obrazami. W biały sufit zostały wkomponowane lampy stanowiące komplet z kinkietami.

Na parterze znajdowało się kilka pokoi należących do kadry obozowej, stanowisko gospodyni, która zajmowała się także kwestią czystości, oraz wielki apartament kierownika, czyli pana Mandary.

Po rozejrzeniu się po czekoladowym, lśniącym holu wejściowym, Sonia i Estera wyniosły swoje walizki na trzecie piętro, które na pierwszy rzut oka niczym nie różniło się od pozostałych kondygnacji. Ten sam kawowy kolor, te same brązowe płytki, te same nieładne obrazy na ścianach.

Obie dziewczyny podeszły do najbliższych, ciemnobrązowych drzwi oraz spojrzęły na umieszczony na nich lśniący, srebrny numerek.

– Numer trzysta osiem – zauważyła Sonia. – My mamy pokoje od trzysta jeden do trzysta cztery. Nasz musi więc być gdzieś po drugiej stronie.

Obróciły się w prawo. Nagle, dokładnie na drugim końcu długiego korytarza pojawiła się cała reszta ich grupy, taszcząca gigantyczny stos bagaży.

– Szybko! – zawołała Estera. – Bo wylądujemy na dole!

Obie puściły się biegiem w momencie, w którym inni zrobili to samo. Kółka walizek terkotały ogłuszająco na płytkowej posadzce. Siedmioosobowa grupka dziewczyn, niosąca tylko swoje torebki, natychmiast zajęła dwa najbliższe im pokoje. Do pomieszczenia obok błyskawicznie wpadli trzej chłopcy, bezceremonialnie porzucając na korytarzu kilka różowych, zdecydowanie nienależących do nich bagaży.

Wolna zastała jeszcze trzysta czwórka i oczywiście dwieście jedyńka. W stronę tej pierwszej oprócz Soni i Estery, które zostały opuszczone przez farbowaną blondynkę, biegli jeszcze dwaj jasnowłosi bracia, dźwigający stos walizek w kwiatki, również pozostawieni bez wsparcia przez swojego kolegę. Ten ostatni dopiero teraz pojawił się na korytarzu, z wielkim plecakiem na ramieniu, nie spiesząc się ani trochę oraz rozglądając się dookoła z zaciekawieniem.

Z powodu tego, że chłopcy taszczyli tyle ciężkich toreb, dwie dziewczyny biegły od nich szybciej i dopadły drzwi z numerem trzysta cztery jako pierwsze. Zrobiły to dosłownie sekundę przed braćmi, którzy, widząc to, wyhamowali z trudem, piszcząc gumowymi podeszwami, jęknęli z niezadowoleniem, a następnie ze złością puścili na ziemię wszystkie nieswoje bagaże.

– To nasz pokój! – huknął jeden blondyn grubym głosem.

– Idźcie sobie gdzie indziej! – dodał piskliwie drugi. – To my tu chcemy mieszkać!

– My też – zauważyła Estera.

– A byliśmy pierwsze – dorzuciła Sonia.
– Możecie się z nami zamienić – powiedział jeden z braci z nadzieją w głosie.

– Nie.

– Na pewno? Na dole jest fajniej – kusił drugi.

– To się cieszcie. Zostawiamy wam lepszy pokój. – Estera się uśmiechnęła.

– Ale my możemy się zamienić. Żebyście wy miały fajniej – ofiarował się brat o grubym głosie.

– Nie trzeba. Jakoś damy radę i zadowolimy się tym. No wiecie, nie chcielibyśmy odbierać wam lepszego pokoju.

– Nie żądamy od was aż takiego poświęcenia – dodała Sonia, a widząc, że blondyni chcą coś powiedzieć, dorzuciła szybko: – I nie zmienimy zdania.

– Ale możecie spróbować dogadać się z nimi. – Szatynka wskazała na drzwi z numerem 303. – Może się uda.

Bracia mruknęli coś pod nosem i z naburmuszonymi minami weszli do pokoju obok, skąd natychmiast dało się słyszeć powiedziane przez nich głośno: „To nasz pokój! Wynocha!” oraz gwałtowne kłótnie.

W tym samym czasie zadowolona Sonia otworzyła drzwi trzysta cztery magnetycznym kluczem i razem z Esterą weszły do środka jasnozielonego pomieszczenia.

Rozglądały się dookoła z niedowierzaniem. Pokój był ogromny w porównaniu z typowymi obozowymi pomieszczeniami. Jedną z jego ścian zajmowało wielkie okno ze śnieżnobiałymi, zwiewnymi firankami oraz wyjściem na balkon. Widać przez nie było panoramę złotej Sahary, poprzecinaną wstęgami piaszczystych wydm, rzucających pofalowane cienie. Przekraczając próg pokoju, stawało się jakby w niedużym, przytulnym przedpokoju z dużym lustrem oraz wieszakami na ścianie. Na prawo od wejścia znajdowały się drzwi do jasnej łazienki, wyłożonej zielonymi płytkami. Przedpokój płynnie zamieniał się w przestronny salon-sypialnię, po którego lewej stronie, tej bliżej wejścia, ustawiono niewysoki, drewniany stolik ze szklanym, lśniącym blatem, nakrytym ręcznie robioną matą, na której stał smukły wazon z bukietem pozornie prawdziwych kwiatów. Obok stolika, przy ścianie, znajdowała się miękka, kawowa sofa, a naprzeciwko niej dwa równie wygodne fotele do kompletu. Po dwóch stronach sofy umieszczono drewniane, eleganckie oraz zgrabne biblioteczki, tylko w niewielkiej części wypełnione książkami.

Na przeciwległym końcu pokoju ustawiono równoległe do siebie trzy proste łóżka, stykające się ze ścianą drewnianymi wezglówkami. Przy każdym stała stylowo dobrana szafka, a na niej nowoczesna lampka, stanowiąca komplet z dużą, wiszącą na suficie lampą, budzik oraz kilka kamiennych figurek. Niemal cała ściana odgradzająca salon-sypialnię od łazienki była zasłonięta wielką, pojemną

szafą.

Na ścianach wisiało kilka obrazów, przedstawiających, co Sonia stwierdziła po bardzo długiej analizie, prawdopodobnie burzę piaskową w centrum kolorowego miasta. Choć tak właściwie mogły przedstawiać dosłownie wszystko.

Całość przestronnego, nasłonecznionego oraz niezwykle przytulnego pomieszczenia była utrzymana w ciepłych kolorach zieleni oraz brązu, włącznie z puszystym, beżowym dywanem na podłodze.

Sonia, cały czas rozglądając się dookoła wielkimi oczami, położyła na miękkim dywanie swoją walizkę, podeszła do sofy i opadła na nią z westchnieniem, natychmiast zagłębiając się na kilka centymetrów.

– Tu jest cudownie. – Sonia uśmiechnęła się radośnie do Estery. – Jeszcze nigdy na obozie nie miałam takiego pokoju!

– Ja też nie. – Jej koleżanka oparła swój bagaż o ścianę, a następnie skierowała swe kroki w stronę wyjścia na balkon, porzucając po drodze na fotelu swój wypchany plecak.

Po chwili otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

– Musisz to zobaczyć! – zawołała z zachwytem. – Widok jest wprost niesamowity!

Sonia trochę niechętnie opuściła wygodną sofę, a następnie również wyszła na wyłożony beżowymi płytkami balkon, mający szerokość całego ich pokoju, a długość około trzech metrów. Na nagrzanym słońcem posadzce został ustawiony drewniany stolik, złożony parasol oraz trzy rozkładane leżaki.

Spojrzała za należącą jeszcze do ośrodka, piaszczystą przestrzeń, urozmaiconą kilkoma marnymi, nawet nie zielonymi, lecz brązowymi krzakami. I natychmiast przyznała Esterze rację. Widok rozciągający się przed nimi dosłownie zapierał dech w piersiach, był przepiękny, niemal nie do opisanego. Sięgające aż za horyzont morze złocistego piasku, z zawijasami wzorzystych wydm, ich niezwykłym ułożeniem oraz cieniami o niesamowitych kształtach, w które można się było wpatrywać godzinami, nie znudzwszy się ani odrobinę, bez przerwy wynajdując nowe formy, kryjące się w tym podobno monotonnym oraz jednolitym pustynnym oceanie, było jedną z najwspanialszych rzeczy, jaką kiedykolwiek widziała. Pomimo tej obfitości piaszczystych wzniesień i ich cieni, krajobraz, jaki się przed nimi rozpościerał, był niezwykle spokojny, pełen harmonii, jakby świętości, lecz również potężny oraz groźny. Patrząc na niego, podświadomie wyczuwało się, że w jednym momencie może zamienić się w niszczącą wszystko na swej drodze burzę piaskową. Jednak, widząc całe piękno tego suchego morza, ciężko było sobie wyobrazić jego drugą, bardziej mroczną stronę. Było przecież takie zjawiskowe... takie pozornie spokojne... takie niesamowite oraz tajemnicze. Po prostu najbardziej niezwykle oraz zapadające w pamięć miejsce na świecie.

– Nie wiedziałam, że pustynia może być taka cudowna – szepnęła Sonia.

– Ja też nie...

Na dłuższą chwilę zapadła między nimi cisza. Pierwsza przerwała ją Estera, wzdychając z rozmarzeniem:

– To zdecydowanie jeden z najbardziej niesamowitych widoków, jakie w życiu widziałam.

– Aż trudno mi w to teraz uwierzyć, ale jak jechaliśmy, nie wyglądała tak wspaniale – dodała jej koleżanka zamyślonym tonem. – Tylko nudno i sucho...

– Możliwe, że dlatego, że obecnie jesteśmy wyżej niż wcześniej... I nie patrzemy przez szybę.

– Może... – Sonia wzruszyła ramionami, a potem dodała: – Mam ochotę podziwiać ją już zawsze...

– Zróbmy zdjęcie! – Estera ożywiła się nagle i wbiegła z powrotem do pokoju.

Wróciła bardzo szybko z czarnym, profesjonalnym aparatem w dłoni. Natychmiast zaczęła pstrykać mnóstwo zdjęć. Gdy skończyła, zerknęła na ekranik, przeglądając uwiecznione przed chwilą widoki, a następnie westchnęła:

– Nie są tak piękne jak oryginał... Ale to niemożliwe, by go uwiecznić na czymś tak małym... No i w rzeczywistości wygląda zupełnie inaczej.

– Pokaż. – Sonia wyjęła z rąk koleżanki aparat i spojrzała na ekran. Rzuciła Esterze zdziwione spojrzenie, a następnie powiedziała z zachwytem: – No, co ty! Przecież one są cudowne! Jeszcze nigdy nie widziałam takich pięknych fotografii, naprawdę!

– Dziękuję. – Szatynka zarumieniła się lekko. – Bardzo lubię robić zdjęcia. Zawsze, jak...

Jednak nie dane jej było dokończyć, gdyż nagle ktoś bardzo głośno i bardzo natarczywie zaczął dobijać się do drzwi wejściowych, wrzeszcząc coś, czego jednak nie dało się zrozumieć.

– Kto to może być? – zdziwiła się Sonia, odwracając twarz od pustyni.

– Nie wiem – odparła jej koleżanka. – Ale lepiej otworzę.

Estera szybko podeszła do drzwi, a Sonia weszła za nią do środka. Po chwili do pokoju wpadła farbowana blondynka, rzucając dookoła niezbyt przyjazne spojrzenia i równocześnie odpychając na bok Esterę, która obijała się o ścianę.

– Co robiłyście? Czemu musiałam tak długo czekać? – wykrzyknęła z oburzeniem po angielsku, a następnie zmrużyła podejrzliwie oczy, mówiąc: – Obgadywałyście, tak? Kogo, mnie?

– Eee... – Estera rzuciła zaskoczonej Soni zdumione spojrzenie. – Szczerze mówiąc, nie...

– Nie? – prychnęła dziewczyna z lekceważeniem. – To przecież oczywiste, że musiałyście kogoś obgadywać. W przeciwnym razie natychmiast byście mi

otworzyły. No, więc o kim mówiłyście? Chętnie posłucham i dodam coś od siebie.

Farbowana blondynka rozsiadła się na sofie, a następnie, czekając na relację, obrzuciła dwie koleżanki władcym spojrzeniem swoich dużych, czarnych oczu. Coś w jej wyglądzie oraz zachowaniu sprawiało, że Sonia nie czuła się dobrze w jej towarzystwie. Na dodatek tak bardzo przypominała rybę... Jej rysy twarzy, wydatne usta... A także coś w wyrazie oczu. Sonia pomyślała, że gdyby dziewczyna chciała ubrać się na bal przebierańców za jakiegoś morskiego stwora, to jej strój naprawdę nie musiałby być wyszukany. Wystarczyłaby lśniąca sukienka. I już. Ryba gotowa.

– Nikogo nie obgadywałyśmy – powtórzyła ze zdziwieniem Estera.

Farbowana blondynka tylko spojrzała na nią długo, unosząc brwi oraz prychnąwszy z niedowierzaniem. Na jej twarzy odbiło się coś w stylu pobłażliwości zabarwionej poczuciem wyższości. Jakby wiedziała wszystko lepiej od innych. Sonia zacisnęła pięści. Nie znosiła takiego zachowania! Dlatego też dorzuciła, mrużąc niechętnie jasne oczy:

– Mamy po prostu lepsze rzeczy do robienia i omawiania, ale może osoby takie jak ty są za głupie, by to zrozumieć.

Farbowana blondynka otworzyła usta z niedowierzaniem i wytrzeszczyła oczy, i teraz jeszcze bardziej wyglądała jak wielka, bardzo brzydka ryba, a Sonia usiadła na fotelu, nie patrząc na nią, lecz gdzieś za okno. Estera również usiadła na drugim fotelu, a potem oznajmiła:

– Podziwialiśmy widoki z balkonu, są naprawdę piękne. Może też chcesz je zobaczyć?

– Nie. Co może być ładnego w pustyni? Nic, to tylko piach i brud – odparła lekceważąco farbowana blondynka, wreszcie zamykając usta i prawie tracąc okropny wygląd ryby.

Estera stłumiła westchnienie, a następnie powiedziała miłym głosem:

– Jestem Estera, a ty?

– Amanda Pescador – odpowiedziała dumnie dziewczyna.

– Och, jesteś z Hiszpanii, tak? – Szatynka wyglądała na autentycznie zaciekawioną.

– Nie.

– Nie? To skąd?

– Z Portugalii.

– Aha. To fajnie. – Estera pokiwała głową, nie bardzo wiedząc, jak dłużej podtrzymać rozmowę.

Zapadła dość niezręczna cisza.

W końcu Amanda prychnęła, że jej współlokatorki są nudne oraz że ona wyniesie się do kogoś innego, bo z nudów zaraz pęknie, a następnie wyszła.

Sonia wymieniła z koleżanką zdumione spojrzenia. Nie za bardzo wierzyły,

że się wyprowadzi, lecz postanowiły tego nie komentować. Ale Amanda zabrała swoje rzeczy jeszcze tego samego wieczora.

Jakiś czas później, po rozgoszczeniu się w pokoju, udały się na kolację.

Weszły do sali jadalnej, utrzymanej w brązach i żółciach. Naprzeciwko wejścia znajdowała się oszklona ściana z widokiem na kort oraz boisko. Na lewo od wejścia stały w szerokim okręgu stoły nakryte białymi obrusami, na których położono napełnione jedzeniem półmiski, talerze oraz patery. Dodatkowo na mniejszym stole przy ścianie ustawiono najróżniejsze napoje, a tuż obok bogaty wybór pieczywa. Na prawo od wejścia znajdowało się sześć ustawionych nieregularnie okrągłych stołów, nakrytych obrusami w kolorze śniegu, z dodatkami, czyli między innymi serwetkami, w kolorze piasku oraz dekoracjami z bukietów ususzonych kwiatów.

Po wejściu na salę obie dziewczyny ze zdumieniem rozglądnęły się dookoła, zauważając, że przy szwedzkim stole kręcą się tylko trzy nieznane im osoby.

– Na pewno przyszliśmy o dobrej porze? – wyszeptała Sonia niepewnie, zerkając na swój zegarek.

– Chyba tak. Kolacja miała być przecież o wpół do ósmej. Inni pewnie się spóźnią.

Blondynka rozejrzała się dookoła, czując się trochę niepewnie. Estera wzruszyła ramionami i zapytała, wskazując na sześć okrągłych stołów:

– Gdzie siadamy?

– Nie wiem. Myślisz, że miejsca są jakoś specjalnie rozdzielone?

– Nie sądzę. Jeżeli już, to może każda grupa ma swój stół.

– Jaka grupa? – zapytała zdeorientowana Sonia, tłumiąc ziewnięcie.

– No... Ten asystent czy ktoś tam mówił prze... – zaczęła Estera, ale przerwał jej trochę, a raczej bardzo zirytowany głos, odzywający się po angielsku zza ich pleców:

– Co tak stoicie? Ruszcie się, tamujecie przejście.

Obie koleżanki odwróciły się jak na komendę i ujrzały Olivera, spoglądającego na nie nieprzyjaźnie. Soni wydawało się również, że mruknął pod nosem coś w stylu „głupie baby”, ale nie była tego do końca pewna.

– Przecież masz wystarczająco dużo miejsca, by przejść. – Estera zmarszczyła brwi, zerkając w obie strony. – Drzwi, jakbyś nie zauważył, są szerokie, a my nie jesteśmy grube.

Oliver tylko spojrział na nią z wyższością.

– Nie będę się przeciskał bokiem, bo wam nie chce się ruszyć.

– Jest tyle miejsca, że nie musisz się przepychać – zauważyła szatynka.

– Chyba, że jesteś gruby – dodała Sonia, ale natychmiast tego pożałowała, gdyż chłopak zmroził ją wrogim spojrzeniem lekko przymrużonych oczu.

– Nie jestem gruby, jakbyś nie zauważyła, ty...

Na szczęście w tym momencie obok Olivera pojawili się bliźniacy z wielkimi zębami, szczerząc się radośnie i przerywając koledze.

– Ale jestem głodny – chrząknął jeden z nich, kiwając energicznie głową.

– Ja też – pisnął drugi, a następnie chwycił Olivera za ramię i wrzasnął w jego stronę, jakby dzieliły ich kilometry. – Hej, brachu, czy ty też jesteś głodny?!

– Nie jestem twoim brachem – warknął chłopak, odchylając się jak najdalej od niego oraz strzepując jego rękę. – I już ci mówiłem, że nie mam zamiaru z tobą rozmawiać.

– Ups – pisnął bliźniak i odbiegł w stronę szwedzkiego stołu.

Drugi pobiegł tuż za nim, najpierw jednak poprosił, żeby wybaczyć jego bratu, gdyż grzywki zasłaniają im całe otoczenie, więc nic nie widzą, a co za tym idzie, często myślą ludzi. Oliver odprowadził ich obu niechętnym spojrzeniem, z odrazą wymalowaną na twarzy, a dwie dziewczyny prędko od niego odeszły, bardzo starając się stłumić chichot.

Skierowały się w stronę szwedzkiego stołu, cały czas zerkając dookoła, by zaobserwować, gdzie usiądą ich koledzy, jednak oni również najpierw skierowali się po jedzenie. Bracia natychmiast rzucili się na półmisek z gorącym bekonem, a Oliver rozpoczął obchód w poszukiwaniu czegoś dla siebie, odpychając tych, którzy stanęli mu na drodze lub, co gorsza, formowali się w małą kolejkę przy czymś, co go zainteresowało.

Nastolatków bowiem przybywało z każdą chwilą. Wkrótce zajęli trzy z sześciu stołów, śmiejąc się i hałasując. Sonia spoglądała na nich ciekawie, zastanawiając się, jacy są, skąd pochodzą oraz jak wygląda ich życie tam, gdzie mieszkają. Widziała krążących po sali przedstawicieli całej Europy, od czarnowłosych, o ciemniejszym odcieniu skóry nastolatków z południa, po jasnowłosych, białych z północy. Rozmawiali między sobą po angielsku, ale było słychać również gwar najróżniejszych, rodzimych języków.

Sonia czuła się bardzo szczególnie, przebywając pośród nich wszystkich. Było to dla niej całkowicie nowe doświadczenie. Bardzo cieszyła się, że przyjechała na ten obóz. Była pewna, że będzie się dobrze bawić. Zapowiadało się przecież ciekawie.

Nawet nie podejrzewała, jak ciekawie.

– Idziemy usiąść? – zapytała nagle Estera, zjawiając się obok Soni.

– Tak, jasne – odparła, zerkając w stronę stołów.

Przy jednym z nich siedział samotnie Oliver i z kamienną twarzą smarował sobie chleb grubą warstwą dżemu. Wyglądało to dość dziwnie, szczególnie, że przy pozostałych stolikach wszyscy się śmiali oraz żartowali.

– Taa... nasza grupa już teraz jest... inna – westchnęła z rezygnacją Estera, a następnie obie udały się w stronę Olivera i jego stolika.

Gdy położyły swoje tacki na miejscach jak najdalej od chłopaka, ten odłożył

kanapkę na talerz oraz spojrział na nie niechętnie, krzywiąc się lekko.

– Możemy się dosiąść? – zapytała Estera, uśmiechając się szeroko.

Sonia od razu przywołała na twarz taki sam uśmiech.

– A niby po co usiadłem sam...? – prychnął i wywrócił oczami. – Idźcie sobie gdzie indziej.

– Mieliśmy siedzieć w grupach – przypomniała mu szatynka, a następnie, zupełnie nie zwracając uwagi na jego straszliwe spojrzenie, spokojnie usiadła przy stole.

Sonia zerknęła na Olivera, który wyglądał, jakby miał zamiar zaraz wybuchnąć, a następnie zajęła miejsce obok koleżanki. Chłopak miał właśnie wygłosić jakiś komentarz, kiedy nagle po obu jego stronach trzasnęły talerze i odezwał się wrzaskliwy chórek:

– Wreszcie cię znaleźliśmy, brachu! Ale pyszna kolacja, co? Mniam, mniam! Lubimy bekon, a ty?

– Nie cierpię – warknął, rzucając dwóm Anglikom jeszcze straszliwsze spojrzenie. Jeden brat zajął miejsce po jego lewej stronie, drugi po prawej. – I ile razy mam wam jeszcze powtarzać, że nie jestem waszym brachem!

– Ho, ho! Ma poczucie humoru, co? Bekon jest pyszny! Ale mama nigdy nie pozwala nam go jeść, bo jest wegetarianką i uważa, że zamiast bekonu powinniśmy raczej jeść brokuły – chrząknął jeden blondyn, szczerząc się radośnie oraz nabijając na widelec mnóstwo zawartości swojego talerza. Całkowicie zignorował także drugą część wypowiedzi kolegi, co ten oczywiście zauważył, a skwitował wywróceniem oczu.

– Właśnie! A zielenina jest obrzydliwa – dodał drugi, spoglądając z niesmakiem na sałatkę w naczyniu Soni, która zmarszczyła lekko brwi na ten komentarz, ale nie odezwała się ani słowem.

Za to Oliver mruknął pod nosem coś o tłustym bekonie i z krzywą miną sięgnął po swoją kanapkę, rzucając niechętnie spojrzenia na braci oraz ich wypełnione talerze.

– Mama też zabrania nam jeść kisiel, bo mówi, że jest tuczący, sztuczny, a także niezdrowy. No i że to sama chemia. Ona promuje zdrową, naturalną żywność – kontynuował tymczasem jeden z braci ze smutną miną. – A on jest taki dobry!

– Naprawdę? – zdziwiła się Estera. – I nigdy nie jedliście w domu kisielu?

– Tylko raz, kiedy mama miała wyjechać na trzy dni. Niestety, okazało się, że odwołali jej klubowy wyjazd, więc musiała wrócić. Weszła do domu akurat wtedy, kiedy powoli kończyliśmy jeść...

– Zrobiła straszną awanturę – dodał drugi blondyn z ponurą miną.

– Od tamtego zdarzenia kisiel jemy tylko na wyjazdach szkolnych oraz wakacyjnych, gdy możemy być pewni, że nas nagle nie odwiedzi. Szkoda, że taką

okazję mamy tylko dwa razy na rok – zakończył Anglik z żalonym westchnieniem, po czym po kilku sekundach ciszy rozpogodził się nagle i krzyknął radośnie, wymachując rękami: – Hura! Dziś nareszcie zjemy kisiel! Czekaliśmy na to pół roku!

– Tu nie podają kisielu ani tym bardziej go nie sprzedają, jakbyś nie zauważył – powiedział Oliver. – Niby skąd chcesz go wziąć?

– Nie martw się, wzięliśmy zapasy!

– Gromadziliśmy je w tajemnicy przez sześć miesięcy. Dużo się uzbierało!

Dwie dziewczyny i chłopak spojrzeli na braci ze zdumieniem, a w przypadku tych pierwszych także z rozbawieniem.

– Gdzie trzymaliście kisiele przez ten cały czas? – zapytała Sonia.

– Pod materacami.

– A nie zepsuły się przez te miesiące? – odezwał się Oliver, unosząc brwi.

– Chyba nie – odpowiedział jeden z braci z niepewną miną.

– Co nie? – Dziewczęcy głos odezwał się nagle, a sekundę później do stołu przysiadła się siódemka wymalowanych i wystrojonych jak na bal dziewcząt.

Sonia wytrzeszczyła oczy na widok ich dziesięciocentymetrowych szpilek, zastanawiając się, jak one mogą w nich chodzić. Widząc ich kreacje oraz dobrany do nich makijaż, zrozumiała również, dlaczego przyszły dopiero teraz. Była pewna, że trudziły się nad nimi od przyjazdu i że nie starczyło im czasu do rozpoczęcia kolacji.

– Nieważne – powiedzieli szybko bracia, nie chcąc drażnić tematu daty ważności ich skarbów.

Tuż za grupką dziewczyn przy stole usiedli pozostali chłopcy. Ich stolik po chwili również był roześmiany. Wyglupiali się, opowiadali różne żarty. Dzięki nim kolacja minęła naprawdę przyjemnie. Było już bardzo późno, gdy zdecydowali się udać do swoich pokoi.

Coraz bardziej senna Sonia przypomniała sobie, jak korzystając z wolnej chwili, otworzyła drzwi balkonowe. Natychmiast owiał ją cudowny, chłodny podmuch wiatru, przynoszący zapach pustyni. Oczarowana wyszła na zewnątrz i oparła się o kamienną, wciąż lekko nagrzaną balustradę, podziwiając rozpościerający się przed nią widok. Co prawda, niewiele tak naprawdę było widać, gdyż w zasięgu wzroku nie było żadnych świateł, a gorące słońce już dawno schowało się za horyzontem, lecz to, co nie skrywało się w mroku, wystarczało całkowicie, by popaść w stan zachwytu. Delikatne zarysy pofalowanych wydm pobudzały wyobraźnię, która odnajdywała w nich najróżniejsze kształty. Pustynia odcinała się łagodnie od czarnego, bezchmurnego, nocnego nieba, gdzie od razu skierował się roziskrzony wzrok oczarowanej dziewczyny. Miliony pulsujących, jaśniejących gwiazd, ułożonych jakby w specjalne, misterne spirale oraz skupiska, zachwycały nie tylko swą ilością, lecz także oszałamiającym pięknem. Sonia

wodziła po nich oczami, nie mogąc do końca uwierzyć w tak wielką liczebność malutkich słońc. Śledziła wzrokiem świetnie widoczną, niemal całkowicie białą od świetlistych punkcików Drogę Mleczną, odnajdywała na nieboskłonie najróżniejsze wzory. Miała wrażenie, że śni. Nocne niebo było wspaniałe. Nigdy nie myślała, że może ją aż tak zachwycić. Cały czas nie mogła do końca uwierzyć, że naprawdę może je widzieć.

Po chwili uniesienia do jej serca wkradł się jednak smutek. Niewiele istniało już miejsc, w których tak naprawdę widać było niebo. Najczęściej widziało się tylko kilka jasnych punkcików. Czasem nie można było dostrzec ani jednej gwiazdy. W niektórych miejscach niebo nocą zawsze było jasne od sztucznych świateł, a ci, którzy tam mieszkali, nie mieli pojęcia o tym, jak wiele tracą. Tyle piękna ich omijało.

Rozmyślenia przerwał jej zachwycony głos Estery, przebranej już w letnią, zwiewną piżamę, która cichutko wyszła na balkon i z oczarowaniem wpatrzyła się w nocne niebo, pełne diamentowych, jaśniejących punktów.

– Jeszcze nigdy nie widziałam tylu gwiazd – szepnęła, a następnie zamilkła, w ciszy chłonąc piękno krajobrazu.

Sonia uśmiechnęła się w zamyśleniu, rozcierając sobie ramiona. Pustynia nocą robiła się bardzo zimna.

Leżąc w miękkiej pościeli, nie doszła myślami do następnych wydarzeń. Usnęła głębokim, spokojnym snem, z którego wybudził ją dopiero jakiś ogłuszający rumor.



Rozdział trzeci

SENNA MARA

– Cicho bądźcie! – jęknął Oliver spod puchatej poduszki, za pomocą której próbował odciąć się od otaczającego go świata.

Niestety, co stwierdził z ubolewaniem, nie podziałało. Wciąż wszystko słyszał. Wcale się nie uciszyli.

Od kilku bardzo długich godzin, czyli od momentu, kiedy bracia, z którymi mieszkał, wreszcie poszli spać i przestali ganiać po pokoju, obrzucając się garściami torebek malinowego kisielu, równocześnie wiwatując na cześć swojego ulubionego przysmaku, bliźniacy chrapali jak na wyścigi. Na dodatek głośno niczym przez tubę albo potężny głośnik. Dźwięki przyprawiające Olivera o dreszcz przebijały się przez każde możliwe zabezpieczenia. Próbował dosłownie wszystkiego, co przyszło mu do głowy, między innymi zatyczek, a także najbardziej absurdalnych pomysłów, byleby tylko ich nie słyszeć. Bezskutecznie. Nie działało nic. Co gorsza, nie dało się ich uciszyć. John oraz Steve nie budzili się, kiedy nimi potrząsał, nie otwierali oczu, jak na nich wrzeszczał. Nawet nie drgnęli, gdy rzucił w nich tym, co miał pod ręką, czyli swoimi butami. Spali jak kamienie.

W efekcie od kilku godzin próbował jakoś usnąć, starając się zignorować albo przyzwyczaić do hałasu. Niestety, okazało się to całkowicie niemożliwe. Gdy wydawało się, że bracia wreszcie się uspokoili, a on powoli zasypiał, nagle na nowo rozlegał się chrapliwy chór, niemal przyprawiając go o zawał. Tak go to wykończyło, że teraz nie miał już siły nawet na to, żeby się porządnie zezłościć. Pokonali go. Pokonali go chrapaniem!

Nagle zrobiło się cicho. Oliver z niedowierzaniem wsłuchał się w głęboką ciszę, która trwała coraz dłużej. Jeszcze trochę i... tak! Pobiła rekord najdłuższej przerwy między „koncertami” braci. Niemożliwe... czyżby wreszcie nadszedł

koniec..? Czyżby w końcu...?

I wtedy jeden z blondynów chrapnął przeciągle, sprawiając, że nadzieje jego nieszczęśliwego współlokatora legły w gruzach. Drugi z braci natychmiast mu zawtórował. Oliver jęknął jeszcze głośniejsze, przewracając się na drugi bok. Nagle wytrzeszczył oczy i z głośnym hukiem wylądował na podłodze.

Przez chwilę leżał na dywanie, zbyt zaskoczony, by się ruszyć. Do rzeczywistości pomogło mu wrócić długie, głośne chrapnięcie dochodzące z sąsiedniego łóżka. Drgnął, obrzucił jednego z braci zmęczonym, złym spojrzeniem i zerknął na mebel, z którego właśnie spadł. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu kłaść się z powrotem.

– I tak już dzisiaj nie usnę – westchnął ponuro, a następnie zebrał się z podłogi. – Bardzo możliwe, że do końca obozu nie zmrużę oka nawet na chwilę.

Spojrzał na świecące wskazówki zegarka stojącego na stoliku nocnym. Trzecia trzydzieści nad ranem. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę okna. Jeszcze ciemno. No tak, w końcu jest bardziej noc niż rano. Świetnie. I co tu robić do siódmej?

Zdecydował, że, po pierwsze, ubierze się w coś, co nie jest piżamą, a potem może posiedzi na balkonie. Piorunując braci wzrokiem, pokonał skomplikowany tor przeszkód, który ułożyli na drodze do szafy.

Oliver uznał, że świetnie widzi w ciemności, więc nie zdecydował się na włączenie światła. I to był błąd.

Po pierwsze, na podłodze znajdowały się pozostałości toru przeszkód, o których oczywiście zapomniał. W efekcie potracił misternie ułożoną wieżę z plastikowych butelek, która się na niego zawaliła i narobiła sporego hałasu, poślizgnął się na sprytnie ukrytej, śliskiej, dwuwarstwowej folii oraz oparł się o podstępnie przyczepioną do fotela kartkę wysmarowaną grubą warstwą lepkiego mydła. Zirytowany obrzucił ubrudzoną koszulkę złym spojrzeniem. Teraz na pewno będzie musiał się przebrać!

Po drugie, może przy świetle by dostrzegł, że coś jest nie tak z jego częścią szafy. Jednak po ciemku nic nie zauważył. A już szczególnie wystającego z wnętrza materiałowego paska, podejrzenie zgniecione w ciasnej szparze.

Sięgnął do drzwiczek, a następnie pociągnął za uchwyt. Szafa ani drgnęła. Szarpnął ponownie, zastanawiając się, co się dzieje. Nadal nic się nie zmieniło. O co chodzi? Przecież ta szafa nie była zamykana na klucz!

Przyjrzał się jej uważniej i ze zdumieniem spostrzegł dwie dziwne rzeczy. Szafa prawie w całości była zaklejona czarną taśmą klejącą, a drzwiczki dodatkowo zostały unieruchomione za pomocą szczotki, która opierała się drugim końcem o trwałą, ciężką piramidę z foteli.

– Nie wierzę – sapnął Oliver. – Zabarykadowali mi szafę!

Zaciskając ze złości zęby, błyskawicznie pozbył się zabezpieczeń. Zmięta

w kulkę taśmę odrzucił na chrapiących braci, a szczotkę oparł o kanapę, zastanawiając się ze zdumieniem, skąd bracia ją wzięli i kiedy zdążyli zrobić za jej pomocą barykadę. Przecież nie ruszał się z pokoju ani na krok, odkąd wreszcie do niego wszedł, po znalezieniu bliźniaków oraz odebraniu im klucza! Swoją drogą, nie było to łatwe zadanie, ponieważ chowali się w najdalszym kącie działki, w sobie tylko znanym celu.

Oliver jednym szybkim ruchem otworzył drewniane drzwiczki.

I wtedy runęła na niego z hukiem lawina ciężkich bagaży.

Wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy, a w następnej sekundzie boleśnie wylądował na podłodze wraz z hałaśliwymi walizkami, które w jednym momencie przygniotły go do dywanu pokrytego mnóstwem różnych dziwnych rzeczy.

Stęknął, czując, jakby siedział na nim ważący tony kanciasty słoń. Na dodatek upadł na twarde, górski but, który teraz wżynał mu się w plecy. Obtarty łokieć piekł oraz szczypał, kilka przyszlących siniaków także dawało mu się we znaki.

– Ja ich normalnie zatłukę! – sapnął wściekły Oliver, próbując jakoś oddychać i równocześnie uwolnić się spod ciężkiej sterty.

Głupie walizy na pewno narobiły takiego hałasu, że zbudziły dosłownie wszystkich!

Nagle rozległo się donośne chrapnięcie. Najwyraźniej braci nie ruszył ogłuszający rumor. To może nie był aż tak głośny, jak by się mogło wydawać? Choć nie, na pewno był. Bracia nie byli dobrym miernikiem hałasu, więc nie można było go oceniać na podstawie ich zachowania. Spaliby spokojnie i chrapali nawet wtedy, gdyby na głowy runął im ryczący meteoryt. A spadające bagaże były od niego trochę cichsze. Ale miał wrażenie, że tylko trochę.

Gdy Oliver w końcu wygrzebał się spod ważących chyba tonę bagaży, co zajęło mu denerwująco dużo czasu, zastanowił się, skąd bagaże wzięły się w jego szafie. Przecież to JEGO szafa, więc kto śmiał tam włożyć coś nienależącego do niego? Odpowiedź była oczywista – bracia.

Oliver zatrząsł się ze złości, gdy w tym samym momencie, kiedy o nich pomyślał, bliźniacy chrapnęli jeszcze głośniej niż zwykle. Z całej siły kopnął jeden bagaż, leżący sobie niewinnie oraz bezpiecznie na dwóch innych. Waliza zakołysała się na krawędzi i... TRZASK! Z hukiem runęła na podłogę. Rozległ się dźwięk, jakby stłukła się co najmniej jedna zastawa stołowa.

Oliver zamarł. Co oni trzymają w tych bagażach?! Czy coś im zniszczył? Miał nadzieję, że nie było to nic cennego.

Ostrożnie, pełen złych przeczuc, zerknął na leżącą bokiem walizkę. Natychmiast zbladł i jęknął słabym głosem. Z otwartego wnętrza wysypały się na dywan jakieś szklane mokre szczątki, błyszczące w nocnym świetle niczym kryształami. Były wszędzie, dosłownie wszędzie! Cały dywan w ostrych odłamkach.

Nie trzeba było dużej wyobraźni, by wiedzieć, co stanie się rano. Roztrzępani bracia wleżą prosto w środek szklanych okruchów, w efekcie czego wylądują w szpitalu. Oliver drgnął. Ludzie będą chcieli wiedzieć, jak to się stało. Oczami wyobraźni widział, jak przyjeżdża policja, jak przesłuchuje go godzinami. Zrobią aferę na cały świat. A potem zamkną go w więzieniu. Nici z anonimowości. Nici z planu.

– O, nie... – jęknął i opadł na inną walizkę, czując napływającą falę słabości.
– Tylko nie to! Ja nie chcę... nie! To jakiś koszmar... Dopiero co przyjechałem!

Przesiedział tak dłuższą chwilę, pogrążając się w czarnych, nieszczęśliwych wizjach, głuchy na wszystko dookoła. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, że pierwszy raz tej nocy udało mu się odciąć od dźwięków wydawanych przez śpiących braci. Był zbyt załamany, by czuć czy zauważyć cokolwiek oprócz zniechęcenia czy rezygnacji. Gnany posępnymi myślami rozważał nawet ucieczkę z obozu pod osłoną nocy.

Jednak po kilku minutach czarny nastrój zaczął odpływać, błyskawicznie zastępowany przez złość. W końcu niedługa chwila słabości odeszła w niepamięć. Oliver zacisnął pięści oraz spiorunował odłamki wzrokiem.

– Co za głupek zostawia otwartą walizkę wypełnioną czymś szklanym i zamyka ją w nie swojej szafie, na dodatek układając ją w stercie wraz z innymi?!
– zezłościł się, a następnie zerknął w stronę chrapiących bliźniaków, mrużąc oczy.
– Oczywiście jest takich tylko dwóch na całym świecie, a ja miałem pecha wylądować z nimi w jednym pokoju!

Zmarszczył brwi, znów skupiając się na szkle. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś musi je posprzątać.

A gdyby tak... – zastanowił się, ale szybko odrzucił tę myśl.

Choć bracia na pewno by się nie obudzili, ktoś zaintrygowany wcześniejszym hałasem mógłby zajrzeć do ich pokoju i Oliver dopiero miałby problem. Nie wiadomo, kto oprócz nich miał jeszcze klucz do drzwi. Uznał, że lepiej nie ryzykować oraz trzymać się postanowienia sprzed przyjazdu na obóz.

– Żadnych udogodnień, pamiętaj – mruknął do siebie, a następnie wstał i podszedł do szaf braci.

Wyjął z nich naręczę pierwszych lepszych ubrań, które następnie rozrzucił na podłogę, dbając o to, by dokładnie przykryły niebezpieczny teren. Nie miał zamiaru marnować swoich rzeczy, skoro on z pewnością nie nadeptnie na to nieszczęsne szkło. Jeśli bracia to zdeptają, to poniszczą swoje ubrania, nie jego. A znając swoje szczęście, Oliver uznał, że bardzo prawdopodobna jest możliwość, że, gdyby udał się po odkurzacz, nie zabezpieczywszy wcześniej dywanu, bracia zbudziliby się z kamiennego snu oraz zdecydowali pójść do łazienki. W efekcie cała akcja zakończyłaby się całkowitą katastrofą, gdyż z pewnością nadepnęliby na rozbite butelki.

Gdy upewnił się, że jest już bezpieczniej niż przedtem, zgrabnie przeskoczył groźny teren, korzystając z fotela oraz sofy. W ostatniej chwili przed opuszczeniem pokoju chwycił jeden z trzech kluczy magnetycznych i wyszedł na korytarz, który natychmiast rozbłysnął sztucznym światłem uruchomionym przez czujkę ruchu. Oliver skrzywił się, równocześnie zasłaniając oczy przed oślepiającą jasnością. Zdecydowanie wolał ciemność, zwłaszcza w nocy, gdy jego oczy nie były przyzwyczajone do światła. Na dodatek jego wzrok był wrażliwszy na jasność niż innych, co dodatkowo wzmacniało dyskomfort gwałtownego wkraczania w oświetloną strefę.

Stojąc oraz intensywnie mrugając, zastanowił się, skąd wziąć odkurzacz. Chyba na parterze było jakieś pomieszczenie sprzątaczkowe czy coś takiego. Zdaje się, że bracia o tym wspominali, gdy zastanawiali się, skąd pożyczą łyżeczki do kisielu, których zapomnieli wziąć z domu. Tak, tam na pewno będzie odkurzacz. Każę sprzątaczkę przyjść, ona odkurzy i będzie po sprawie! Oby tylko miała nocny dyżur.

Dużo bardziej zadowolony skierował swe kroki w stronę klatki schodowej. Wciąż przesłaniał zmrużone oczy ręką, co jednak nie przeszkodziło mu w zauważeniu czujnego obiektywu kamery, skierowanej prosto na niego. Zadrżał nerwowo. Kamery budziły w nim bardzo nieprzyjemne wspomnienia. To one go zdradziły. A właściwie wrobiły. Od tamtego czasu czuł się nieswojo zawsze, jak jakąś widział.

Uśmiechnął się jednak w duchu na myśl, jaką zdumioną minę może mieć na jego widok strażnik, jeśli w ogóle tu takiego mają. Odnotował także w głowie, że w przyszłości warto zająć się tymi okropnymi, zdradzieckimi kamerami. I światłem na korytarzu, które informowało dokładnie cały świat o tym, że ktoś wyszedł z pokoju. To było zdecydowanie niekorzystne dla jego planów.

Bez żadnych przeszkód zbiegł po schodach dwa piętra niżej, gdzie, rozglądając się uważnie dookoła, zaczął szukać odpowiednich drzwi, przy okazji notując w pamięci rozmieszczenie kolejnych kamer. Przeszedł cały parter, ale nie znalazł żadnego pomieszczenia sprzątaczkowego. Zmarszczył brwi, decydując się sprawdzić jeszcze raz, ale uważniej. Wreszcie z wahaniem zatrzymał się przed wejściem oznaczonym etykietką „Tu mieszka gospodyni”. Przez chwilę zastanawiał się, czy gospodyni to wymiennik sprzątaczkowy. W końcu uznał, że nie za bardzo, ale to najprawdopodobniej tutaj znajdzie odkurzacz oraz kogoś, kto za niego uprzątnie całe szkło z podłogi.

Zapukał do drzwi. Zero odzewu.

Zmrużył oczy i ponowił próbę, tym razem energiczniej. Ponieważ ciągle nic nie wskazywało na to, że gospodyni go usłyszała, zacisnął usta z irytacją oraz załomotał z całej siły, aż dudniące echo rozeszło się po długim, pustym korytarzu.

– Już, już – powiedział ktoś zaspanym głosem zza drzwi tak cicho, że Oliver

w pierwszej chwili pomyślał, że mu się przesłyszało.

Z wahaniem przestał dobijać się do pomieszczenia, licząc, że wreszcie ktoś z nim porozmawia, ale kiedy nadal nikt nie wpuszczał go do środka, jeszcze bardziej zirytowany powrócił do łomotania.

– Już idę. – Tym razem głos był trochę mniej zaspany i wyraźniej głośniejszy.
– Tylko proszę przestać, bo drzwi wylecą mi z zawiasów!

– To niech mnie pani wpuści, wtedy nie wylecą – mruknął Oliver, ale posłusznie ucichł.

Kiedy nadal nikt mu nie otwierał, zacisnął ze złością pięści oraz uniósł je, by zacząć dobijać się jeszcze intensywniej. Na szczęście dla drzwi, w tym momencie ktoś uchylił je nieznacznie, a w szparze pojawił się fragment zaspanej twarzy. Chłopak natychmiast opuścił ręce, a kobieta o pokrytym zmarszczkami licu obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem nie do końca obudzonych oczu.

– Przyszedłem po odkurzacz – oznajmił Oliver, prostując się dumnie. – Roztłukło się trochę szkła w moim pokoju, więc ktoś musi je posprzątać. Liczę, że pojawi się pani pod numerem dwieście jeden najpóźniej za pięć minut. Nie będę długo czekał, więc proszę się pospieszyć. Zrozumiała pani, czy mam powtórzyć?

Starsza pani tylko wybałuszyła ze zdumienia oczy, wpatrując się w niego trochę nieprzytomnie. Zastanawiała się, czy to nadal jej sen, czy może jednak rzeczywistość?

Widząc całkowity brak reakcji na jego przemówienie, Oliver poczerwieniał odrobinę, wziął głęboki oddech, zmusił się do zachowania w miarę kamiennego wyrazu twarzy i odezwał się przez zaciśnięte zęby:

– Świetnie, czyli powtarzam. W moim pokoju, rozumie pani, w MOIM POKOJU roztłukło się szkło. Podkreślam, SZKŁO SIĘ ROZTŁUKŁO. Ktoś, tak, KTOŚ, czyli PANI, musi to posprzątać. Uwaga, POSPRZĄTAĆ. Czy wyrażam się jasno?

Kobieta tylko zamrugła sennie oczami.

– Czy wyrażam się jasno?! – wrzasnął zirytowany Oliver, aż starsza pani podskoczyła zaskoczona. Następnie spojrzała na rozmówcę, jakby dopiero teraz go zauważyła.

– Mówiłeś coś, młodzieńcze? – zapytała z miłym uśmiechem na ustach.

– Ma pani posprzątać mój pokój!!! – wydarł się czerwony ze złości Oliver. – Numer dwieście jeden! Ma pani trzy minuty! I ani sekundy więcej!!!

Trzęsąc się z wściekłości, odwrócił się na pięcie, a następnie szybkim krokiem skierował się w stronę schodów. Tymczasem kobieta odprowadziła go zdziwionym spojrzeniem, mrużąc pod nosem: „Ach, ta dzisiejsza młodzież! Taka niewychowana! Zupełny brak szacunku dla starszych. Nie to, co za moich czasów...”. Zniknęła za drzwiami swojego pokoju, dochodząc do wniosku, że to chyba był bardzo dziwny sen. Jednak zdążyła zrobić tylko kilka drobnych

kroczków w stronę swojego posłania, kiedy ktoś zapukał do jej drzwi. Otworzyła dopiero po trzecim odgłosie i ujrzała mocno zaniepokojonego Juana Mandarę, kierownika ośrodka.

– Słyszałem jakieś krzyki – zaczął mężczyzna. – A następnie ujrzałem, jak zamykają się drzwi do pani pokoju. Czy wszystko dobrze? Nic się pani nie stało?

Kobieta nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tym samym momencie za plecami kierownika pojawiły się głowy pozostałych dorosłych zamieszkujących parter.

– Co to były za wrzaski?

– Co tu się dzieje?

– Ja chcę spać!

– Tak, jutro męczący dzień!

– Raczej dzisiaj.

– Och, racja. To jeszcze gorzej!

Grupka bezceremonialnie wparowała do pokoju. Gospodyni spojrzała na nich zmieszana. W tym samym momencie przez otwarte drzwi zajrzało do środka kilka nastoletnich głów.

– Dzień dobry! Albo może dobranoc. Słyszeliśmy niepokojące hałasy. Możemy wejść?

Choć starsza pani nie kiwnęła potwierdzająco głową, powiększający się z każdą chwilą tłumek nie zwrócił na to zbyt dużej uwagi i momentalnie dołączył do zbiorowiska dorosłych.

Podeksytowana młodzież przekrzykiwała się nawzajem, chcąc wiedzieć, co to były za hałasy. Czy napaść? Może złodziej? Albo jakieś inne tajemnicze wydarzenie? Teorii było mnóstwo, ze trzy razy tyle, co obecnych.

W końcu dosłownie cały obóz, wystrojony w najróżniejsze piżamy, zebrał się w mieszkanku gospodyni, która czuła się bardzo przytłoczona tym nadmiarem krzyczących osób. Dotychczas jej rekord w liczbie naraz przyjmowanych gości wynosił trzy osoby, więc czuła się bardzo zagubiona. Niepewnie obserwowała, jak do środka wchodzi dwaj kulejący bracia z długimi grzywkami, a tuż za nimi grupka zaspanych dziewcząt w papilotach, na których widok wszyscy inni zareagowali gwałtownym wybuchem śmiechu.

Zamęt uczynił się straszliwy, a głośno było niczym w licznie zamieszkanym przez pszczoły, dużym ulu.

– Cisza! – wykrzyknął w końcu pan Mandara mocnym głosem.

Wszyscy uciszyli się niemal całkowicie, ale dopiero po chwili.

– Zamknijcie drzwi i zachowajcie spokój!

Dopiero gdy uczyniono, o co prosił, mężczyzna ponownie się odezwał:

– Bardzo dobrze. Teraz możemy rozmawiać. Proszę pani, niech nam pani opowie, co to były za krzyki. Czy to jakiś obozowicz tak wrzeszczał?

– Nie, skąd – odparła kobieta, uśmiechając się z zakłopotaniem, a następnie

dodała: – To tylko moja senna mara.

Kilka osób spojrzało na nią niepewnie.

– Pani senna mara? – zdumiał się pan Mandara.

– Tak. Nic groźnego, zapewniam was.

– Ale ona krzyczała. I to bardzo głośno – zaniepokoiła się jedna z opiekunek.

– To trochę frapujące, nieprawdaż?

– O, nie. Często miewam senne mary. Jednak dotąd tylko ja je słyszałam.

Teraz zaczyna się to zmieniać. Myślę, że to przychodzi wraz z wiekiem, moi drodzy. Też kiedyś będziecie widzieć oraz słyszeć senne mary.

Prawie wszyscy obecni zadrżeli i zrobili niepewne miny. Nie uśmiechała im się perspektywa wrzeszczących sennych mar. Zapadła cisza.

Nagle zebrane towarzystwo zeszywniało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, usłyszawszy jakiś odległy, lecz coraz bliższy oraz głośniejszy głos z korytarza:

– Siedem...

Kilka osób spojrzało na siebie niepewnie.

– Sześć.

– O, moja senna mara – zauważyła starsza pani.

– Pięć...!

– Chyba do nas idzie – szepnął ktoś z napięciem.

– Cztery!

– Boję się – pisnęła jakaś dziewczyna.

– TRZY...!

– Jest już pod drzwiami! – stwierdził ktoś, a wszyscy natychmiast odsunęli się od wejścia.

– DWA!

– Zaraz tu wejdzie! – Jakaś blondynka wzdrygnęła się z przerażeniem.

– JEDEN!!! – Klamka drgnęła i opadła niżej. Gwałtownie popchnięte drzwi wystrzeliły z framugi oraz obity się o ścianę, a do środka wpadł zezłoszczony Oliver, wrzeszcząc: – Trzy minuty minęły! Spóźniła się pani! Teraz pani tego pożałuje!

Błyskawicznie uniósł nad głowę zaciśniętą z całej siły dłoń. Meble zadrżały ledwo dostrzegalnie i... I wtedy Oliver zauważył tłum wlepiający w niego oczy. Zamilkł, zamrugał oczami oraz zamarł w miejscu, nie wiedząc, co się dzieje. Skąd to całe zbiorowisko? Po co tu przyszli?

W pokoju zapanowała bardzo niezręczna cisza. Nikt nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Poza jedną osobą.

– To właśnie moja senna mara. A nie mówiłam, jest niegroźna – odezwała się starsza pani z dumą, przerywając pełną napięcia chwilę.

Oliver spojrział na nią, marszcząc brwi. W tym samym momencie

uświadomił sobie, że jego uniesiona dłoń może wyglądać dość dziwnie. Natychmiast ją opuścił, palcami przeczesał sobie niedbale włosy oraz schował ręce za plecami. Następnie ogarnął wytrzeszczający oczy tłum uważnym, ale równocześnie niewinnym spojrzeniem, mówiącym „ja wcale nie chciałem nic zrobić, tak sobie przyszedłem”.

– Ojej, to przecież Oliver! – zauważył nagle stojący w tłumie Steve, jeden z jasnowłosych braci. – Co on tu robi?

– Stałeś się senną marą? – zdumiał się John, jego bliźniak.

Oliver zbladł oraz wytrzeszczył na nich oczy. Skoro oni tu są, to znaczy, że... że jego plan zakończył się totalną katastrofą jeszcze zanim zabrał się na poważnie do jego realizacji! To jakiś koszmar!

– Przeszliście po szkle? – jęknął słabo, mając cichą nadzieję, że może jednak postanowili dostać się na parter, skacząc po fotelach albo spuszczac się z balkonu na ziemię za pomocą liny. Wiedział jednak, że to całkowicie niemożliwe. Po prostu znał ich odpowiedź.

– Tak.

Poczuł, że robi mu się słabo. Zacisnął powieki, nie mogąc uwierzyć, że to rzeczywistość. Czemu on musi mieć takiego pecha?! Dlaczego to nie może być ktoś inny? Ktokolwiek, byle nie on!

– Po jakim szkle? – zapytał kierownik obozu groźnym głosem.

– A, po takim rozsypanym po dywanie w naszym pokoju, w którym mieszkamy razem z Oliverem.

Wymieniony po imieniu chłopak jęknął cicho. To już jego koniec!

– A skąd ono się tam wzięło? – chciał wiedzieć pan Mandara.

– Nie wiem. – Steve wzruszył ramionami. – Ale to prawdopodobnie nasz zapas bogatej w minerały wody, którą mama kazała nam wziąć na obóz. Ona ma obsesję na punkcie zdrowia. A tę wodę można kupić jedynie w szklanych butelkach. Niestety.

– Tylko że wieczorem były jeszcze bezpiecznie zamknięte w walizce – dodał John. – A przed chwilą, gdy chcieliśmy wyjść z pokoju, wdepnęliśmy w szklane odłamki zamaskowane jakimiś ubraniami. Nie widzieliśmy, że tam były, i trochę poraniliśmy sobie stopy.

– Ale nie jakoś strasznie – uściślił jego brat, nie chcąc wyjść na mięczaka. – Bo my jesteśmy twardzi!

Ci, którzy zdążyli trochę lepiej poznać braci, stłumili szerokie uśmiechy.

– Mój Boże! Biedactwa – przejęła się jedna z opiekunek, załamując ręce. – Siadajcie prędko, a ja zaraz przyniosę apteczkę!

Szybko opuściła pokój, mijając skamieniałego, a także bladego jak upiór Olivera, który tylko czekał, aż ktoś zacznie wypytywać go o okoliczności wcześniejszych zdarzeń. Jednak jak na razie uwaga wszystkich skupiła się na

bliźniakach, którzy opadli na sofę oraz ostrożnie unieśli poranione stopy, czym przyprawili kilka osób o dreszcze, pobladnięcie oraz natychmiastową słabość.

Pełen złych przeczuć Oliver również na nie spojrzął i... uśmiechnął się z ulgą. Nie było aż tak źle, jak myślał, żadnych bardzo poważnych ran! Więc może nie wszystko stracone? Widocznie ubrania spełniły swoją rolę! Czując, jak wielki ciężar spada mu z serca, pomyślał, że jest uratowany. Od razu odzyskał pewność siebie.

W momencie, w którym wróciła opiekunka z pudłem pełnym bandaży, zebrana młodzież zaszumiała cicho. Pan Mandara spojrzął na nich tak, jakby widział ich pierwszy raz w życiu, a następnie odezwał się mocnym głosem:

– A co wy tu jeszcze robicie? Nic tu po was, a trzeba wcześniej wstać! Mamy dużo do zrobienia. Wracajcie do siebie i od razu do spania. No, już! Do zobaczenia za kilka godzin!

Zebrani poruszyli się podobnie do traw na wietrze, a następnie powoli skierowali się w stronę wyjścia, rzucając braciom współczujące spojrzenia. Oliver także odwrócił się na pięcie, uznając, że nie warto wywoływać wilka z lasu. Skoro nikt go nie woła, to najlepiej zrobi, gdy sobie stąd pójdzie. Zresztą, dobrze wiedział, że nawet gdyby ktoś go zawołał, to zostałby zignorowany. Był zbyt śpiący i nie miał teraz nastroju na długie, nudne słuchanie pouczających mów. A takie czekały go z pewnością. Co prawda, niekoniecznie muszą go kojarzyć ze szkłem w pokoju, do którego, swoją drogą, nie miał zamiaru się przyznać. Ale co innego z wizytą u sprzątaczkii oraz obudzeniem całego budynku. Wiadomo, że to jego sprawka. Pewnie czeka go rozmowa z kierownikiem, ale najlepiej odwlec ją do normalniejszej pory, kiedy nie będzie tak strasznie śpiący. Teraz mógłby palnąć jakieś głupstwo. A nie może sobie pozwolić na wpadkę. Szczególnie, że na samą myśl o rozmowie mimowolnie ziewał.

Już chciał opuścić pokój, by następnie prędko zniknąć w głębi korytarza, kiedy nagle jakaś dziewczyna pisnęła przeraźliwie. Rzucił jej zdziwione spojrzenie i wtedy zauważył, że była to ta Amanda z jego grupy, która chciała go uczynić tragarzem. Swoją drogą, beznadziejny pomysł.

– Ble, Oliver, twoja piżama! – wykrzyknęła z obrzydzeniem.

Odruchowo spojrzął na swój ogniście pomarańczowy strój, nie rozumiejąc, co z nim nie tak. Przystanął, uniósł jedną rękę i dopiero wtedy to spostrzegł. Rozległa plamę lepkiego mydła na krańcu koszulki, o której zupełnie zapomniał. Zmarszczył brwi. No tak, przez akcję ze szkłem zupełnie wyleciało mu z głowy to, że miał się przebrać.

– Co to jest? – Jakaś inna dziewczyna, której zupełnie nie kojarzył, wzdrygnęła się.

– Mydło, nie widzisz? – warknął niezadowolony z faktu, że okrzyk Amandy zwrócił na niego uwagę.

I wtedy to usłyszał. Surowy, przywołujący głos kierownika.

– Właśnie, Oliver, zaczekaj! Musimy poważnie porozmawiać!

Natychmiast ponownie skierował się do wyjścia.

– Sam sobie poczekaj – mruknął bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać. Szczególnie o czwartej nad ranem. Nie ma mowy.

Wraz z tłumem hałaśliwych nastolatków dotarł na drugie piętro, gdzie zniknął za drzwiami swojego pokoju. Bez trudu minął niebezpieczne szkło, uśmiechając się szeroko. Wreszcie cisza! Przynajmniej przez chwilę będzie mógł spać spokojnie.

Tymczasem dwa piętra niżej Juan Mandara zacisnął ze złością zęby, nie mogąc uwierzyć, że został całkowicie zignorowany. I to przez jakiegoś nastolatka!



Rozdział czwarty

GŁOSOWANIE

Pomimo uzasadnionych obaw, że nie zmruży już oka do samego rana, Sonia usnęła od razu po przyłożeniu głowy do poduszki. Obudził ją dopiero straszliwie głośny budzik, którego dźwięk gwałtownie przedarł się przez jej śpiącą świadomość, a po chwili ucichł automatycznie. Z trudem otworzyła oczy, opuszczając krainę snu. Mimowolnie uśmiechnęła się na widok pokoju skąpanego w jaśniejących, nieuchwytnych promieniach słońca. Uwielbiała mieć okna zwrócone na wschód!

Zerknęła na sąsiednie łóżko. Estera jęknęła oraz wtuliła głowę w poduszkę, mrużąc coś niezrozumiałego.

Oczy Soni zabłyśły. Dziś pierwszy dzień obozu! Co będą robić? Nie mogła się już doczekać zajęć czy wycieczek!

Pełna energii wyskoczyła z łóżka i w jednym momencie znalazła się przy szafie. Otworzyła ją na oścież, a następnie obrzuciła spojrzeniem zawartość. Po chwili namysłu sięgnęła po krótkie dżinsowe spodenki oraz białą bluzkę na szerokich ramiączkach, ozdobioną nadrukiem dużej piwonii.

Następnie zniknęła w łazience, skąd wyłoniła się już całkowicie gotowa na śniadanie. Spojrzała na Esterę i zaśmiała się, widząc, że koleżanka jeszcze nie ruszyła się spod kołdry.

– Hej, masz zamiar dzisiaj wstać? – zapytała wesoło, równocześnie otwierając drzwi na balkon.

– Nie. – Dobiegł ją stłumiony przez poduszkę głos, jednak sekundę później jego właścicielka z głębokim westchnieniem zmusiła się do opuszczenia posłania.

Tymczasem Sonia weszła na balkon skąpany w oślepiającym blasku słońca. Na zewnątrz było już bardzo ciepło, jednak nie aż tak gorąco jak w południe.

Mrużąc oczy oraz robiąc z dłoni daszek, dziewczyna przyjrzała się suchemu krajobrazowi pustyni. Po chwili jednak nie mogła już patrzeć z powodu królującego tam niesamowitego blasku, wróciła więc do środka, mrugając intensywnie naświetlonymi oczami.

– Chyba nie ma co wychodzić bez okularów przeciwsłonecznych – zauważyła Estera, ubrana już w żółte krótkie spodenki i czerwoną bluzkę z falbanką, machając swoją parą okularów.

– Oj, nie – zgodziła się Sonia, przeszukując torebkę. W końcu z triumfującym uśmiechem wyjęła z niej elegancki, dziewczęcy futerał, a z niego duże, ciemne okulary.

Dopiero tak zabezpieczone udały się na śniadanie. Po drodze minęły kilkoro otwartych na oścież drzwi oraz biegających rówieśników, wciąż w piżamach, którzy obrzucali je zdumionymi spojrzeniami. Na schodach wyminęły nieśpieszącą się gospodynię, która zносиła na dół podzwaniający szkłem worek. Domyśliły się, że posprzątała odłamki, o których mówili ranni bliźniacy kilka godzin temu.

Przechodząc przez przestrzeń między budynkami, upewniły się, że wzięcie okularów było dobrym pomysłem. Mrużyły oczy, nawet mając je na nosie, a co by było dopiero bez!

Rozmawiając, wesoło wkroczyły na prawie pustą salę jadalną, nałożyły sobie jedzenie na białe talerze i zajęły miejsce przy swoim stoliku.

Rozkoszując się smakiem melona, blondynka wróciła myślami do poprzedniego wieczoru, kiedy to ktoś zaproponował, żeby każda osoba krótko opowiedziała coś o sobie, dzięki czemu lepiej poznają się w grupie. Wszystkim spodobał się ten pomysł, nie licząc Olivera, który skrzywił się niechętnie, ale przy próbie wygłoszenia zgryźliwego komentarza został zagłuszony przez innych, więc umilkł obrażony.

Sonia mówiła pierwsza. Opowiedziała, że mieszka w Polsce, w Krakowie, że ma młodszą siostrę Lilię, krótko opisała swoje zainteresowania. Wbrew pozorom nie było to takie proste – przedstawić się przed kompletnie obcymi osobami w taki sposób, żeby ich nie zanudzić, a przez to nie zniechęcić.

Później mówili inni. Estera, zielonooka Astrid ze Szwecji, Bairre o włosach w kolorze ognia, mieszkająca w Irlandii, blada Betina z Niemiec, roześmiana Anita z Rumunii, która nazwała swojego kota Dracula, nieśmiała Reet z Estonii, John oraz Steve, dwaj bracia z Anglii o grzywkach tak długich, że zupełnie zasłaniały oczy, siedzący pomiędzy nimi Oliver (trochę czasu zajęło im zmuszenie go do opowiedzenia o sobie czegokolwiek, a gdy w końcu im się to udało, poczęstował ich tylko banałami), potem pełna energii Anetta z Danii, przypominająca rybę Amanda z Portugalii, rozpromieniony Otto z Węgier, zamyślony Marko z Chorwacji, wreszcie pewny siebie Oliver z Francji. Sonia z rozbawieniem przypomniała sobie chwilę, kiedy przedstawiał się ten ostatni.

– Cześć wszystkim – powiedział najpierw. – Jestem Oliver Verver.
– Zaciąłeś się? – prychnął natychmiast drugi Oliver, wywracając oczami.
– Nie. Tak mam na imię.
– Oliververver?
– Oliver to moje imię. Verver to nazwisko.
– Ale to głupie. – Siedzący między braćmi chłopak skrzywił się.
– Wiem, że według niektórych – tu blondyn rzucił znaczące spojrzenie na skrzywionego kolegę – brzmi to trochę dziwnie, dlatego chciałbym, żebyście mówili na mnie Brian.

Drugi Oliver wytrzeszczył oczy i dostał gwałtownego ataku kaszlu.

– Brian?! – wykrztusił w końcu. – Dlaczego akurat Brian?

– Bo to całkiem ładne imię.

– Pewnie, że ładne. Ale do ciebie nie pasuje. Wybierz jakieś inne.

– Dlaczego?

– Bo tak. Zmień je – powiedział szybko chłopak tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie. Już się przyzwyczailem, że ludzie mówią do mnie Brian, więc Brian zostanie. Bo, cóż, ja zawsze chciałem mieć tak na imię...

– Ale to brzmi beznadziejnie! – jęknął Oliver. – Już wolę Oliververver!

– Dlaczego? – Blondyn spojrział na niego dziwnie. – Przed chwilą twierdziłeś, że to głupie.

– Ale to było przed tym, jak oznajmiłeś, żeby mówić ci Brian!

– Dlaczego aż tak bardzo zależy ci na tym, żeby się tak nie nazywał? – zdziwiła się Estera, patrząc na Olivera bardzo uważnie.

– Bo tak. Mam swoje powody, z którymi bynajmniej nie mam zamiaru was zapoznawać – burknął niezadowolony chłopak. – Tylko to zmień!

– Nie. Mówcie mi Brian, dobrze?

– Jasne – zgodziła się większość.

– Nie – mruknął wtedy Oliver, zerkając na blondyna nieprzyjaźnie, jednak nikt nie zwrócił na niego większej uwagi.

– Brian, opowiedz nam coś więcej o sobie – poprosiła Astrid. – Skąd jesteś?

– Z Francji – odpowiedział, co spowodowało, że Oliver zrobił bardzo krzywą minę i spojrział na niego, a szczególnie na jego srebrny kolczyk w nosie, jeszcze bardziej marszcząc brwi.

– Masz rodzeństwo? – zapytała Betina.

– Tak. Dwóch braci oraz siostrę. – W tym momencie Oliver zmrużył oczy i założył ręce na piersi, obserwując blondyna z uważną niechęcią.

– A zwierzęta? – zaciekawiła się Bairre.

– Tak. Cztery psy.

Słyszając to, Oliver jeszcze bardziej się nachmurzył.

– Oh! – zachwyciła się rudowłosa. – Jakiej są rasy?
– To dogi niemieckie – odpowiedział Brian, przez co sprawił, że Oliver wytrzeszczył na niego oczy z niedowierzaniem.

– Co lubisz robić?

– Hm, trudno powiedzieć. Wszystko i nic. – Tu Oliver nieco się odprężył.

Przynajmniej to się nie zgadza! Ja bym tak z pewnością nie odpowiedział – pomyślał wtedy z ulgą.

W pewnym momencie, gdy już wszyscy się przedstawili, a Sonia z Esterą nie miały pomysłu, o czym mogłyby porozmawiać, blondynka zapytała koleżankę, czy zna może jakąś ciekawą historię. Estera zamyśliła się, po czym kiwnęła głową z zadumą.

– Opowiesz?

– Hm, dobrze.

Ledwo zaczęła, kiedy ktoś zapytał, o czym rozmawiają. Doprowadziło to do tego, że Estera opowiedziała swoją historię całemu stolikowi. Była to legenda, zasłyszana podczas zeszłorocznych wykopalisk na Saharze. Soni niezmiernie się spodobała, zapewne dlatego, że kochała wszystkie tajemnicze opowieści, a najbardziej te zawierające w sobie coś magicznego.

– W zeszłym roku na środku pustyni znaleziono świetnie zachowaną piramidę pewnego faraona, o którym nikt wcześniej nigdy nie słyszał – mówiła Estera, uśmiechając się delikatnie. – Na ścianach jednej z komnat została przedstawiona historia złotego wisiora, nazywanego Amuletem Ozyrysa. Według legendy posiadał on moc wskrzeszania zmarłych. Podobno brało się to stąd, że kiedyś rzeczywiście należał do Ozyrysa. Jednak gdy pewien faraon stracił całą swoją rodzinę i poprosił boga o możliwość zobaczenia ich jeszcze chociaż jeden raz, Ozyrys ulitował się nad nim i wręczył mu swój złoty wisior, dokładnie instruując go, co ma zrobić. Jakie było zdumienie faraona, gdy zamiast widm przywołał zmarłych bliskich z powrotem do życia! Od tamtego czasu Amulet Ozyrysa był bardzo pilnie strzeżony w obawie, by nie wpadł w niepowołane ręce. W końcu pamięć o nim zaginęła. Na nowo odkryto tę legendę na ścianach królewskiego grobowca w zeszłym roku. Ponoć to właśnie gdzieś w tej piramidzie został schowany złoty wisior! Z powodu tej pogłoski ludzie zaczęli się bać, że mumia faraona powstanie z grobu i zacznie się mścić za naruszenie jej spokoju. W końcu dopięli swego. Wykopaliska zamknięto, piramidę na nowo zakrył piasek. Szkoda, co?

Sonia uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Uwielbiała takie historie! Przypomniała sobie, że cały stół także zainteresował się tą historią. Zaintrygowała ją wtedy reakcja Olivera, który tylko wpatrywał się w stół z kamienną twarzą i zaciśniętymi ustami. Poblądł, a jego kurczowo zaciśnięte na krawędzi stołu dłonie drżały prawie niedostrzegalnie. Nie wiedziała, czemu aż tak

go to poruszyło. I nie miała żadnych pomysłów, które mogłyby to wyjaśnić.

Myśli Soni wróciły do rzeczywistości, ponieważ w tej chwili do stolika podeszli lekko kulejący bracia. Rzuciła im współczujące spojrzenie, zresztą tak samo jak cała reszta sali.

Wkrótce stolik ich grupy rozbrzmiewał wybuchami śmiechu oraz wesołymi rozmowami. Dopiero gdy dołączył do nich, jako ostatni zresztą, Oliver, ucichli nieco i obrzucili go dyskretnymi, w ich mniemaniu, spojrzeniami. Chłopak oczywiście je zauważył, więc wywrócił oczami, a następnie spiorunował wzrokiem każdego ciekawskiego.

Sonia również zerknęła na niego spod rzęs. Wydawał się bardzo niewyspany, ale w stosunkowo dobrym humorze. Oczywiście jak na niego. Zauważyła też na jego głowie dużego siniaka, na granicy czoła i włosów, przez co był mniej widoczny, oraz jeszcze jednego na ręce.

Przypomniała sobie nocne wydarzenia, gdy została gwałtownie obudzona przez głośny huk, podobny według niej do dźwięku, z jakim wali się budynek. Spojrzała wtedy na również obudzoną Esterę, która zrobiła zdziwioną minę i wzruszyła ramionami. Zaczęły szeptem rozmyślać, co to mogło być. Potem nagle usłyszały jakieś krzyki. Zdrętwiały oraz wsłuchały się w nie, jednak nie zrozumiały ani słowa. Po szybkiej naradzie ostrożnie podeszły do drzwi wejściowych i uchyliły je na kilka centymetrów. Kiedy nikt się na nie nie rzucił, odważyły się wysunąć głowy na korytarz oraz rozglądać się dookoła. Jakie było ich zdumienie, gdy ujrzały głowy wystające ze wszystkich pozostałych pokoi!

Nagle tajemnicze wrzaski ucichły. Wspólnie z całym piętrem uznały, że trzeba by zejść na dół i sprawdzić, co to było. Podzielono się na grupy, które, jedna po drugiej, znikwały na klatce schodowej, starając się poruszać bezszelestnie. Po drodze łączono się z pozostałymi piętrami oraz wspólnie schodzono na parter. Tam wszyscy zebrali się i, jakimś cudem, zmieścili w pokoju gospodyni. A potem nagle do środka wpadł Oliver. Sonia nic nie rozumiała z jego zachowania. To było bardzo... dziwne.

Nagle dziewczyna zarumieniła się i błyskawicznie odwróciła wzrok, gdyż została spiorunowana spojrzeniem przez coraz bardziej nachmurzonego oraz rozdrażnionego chłopaka.

– O co wam wszystkim dzisiaj chodzi? – zezłościł się, choć doskonale znał odpowiedź na swoje pytanie. – Aż tak dawno mnie nie widzieliście, że zapomnieliście jak wyglądam?

Nikt mu tego nie wyjaśnił. Może i Oliver miał zamiar się dopytać, ale na szczęście nie minęło dużo czasu, kiedy rozległ się donośny głos pana Mandary, który oznajmił, że już pora, by wszyscy udali się do auli na oficjalne rozpoczęcie obozu. Powstali zatem ze swoich miejsc i podążyli za kierownikiem. Po chwili weszli do dużej, wysokiej, prostokątnej sali, w której znajdowało się mnóstwo

czarnych krzeseł, ustawionych w pięć pięciorzędowych grup oraz eleganckie podium do przemówień z rzutnikiem. Przestronne pomieszczenie sprawiało raczej chłodne wrażenie, pomimo że jego puste ściany zostały pomalowane na ciepły, kawowy kolor. Niwelowało się to przy tak dużej powierzchni i całkowitym braku ozdób. Na podłodze auli ułożono zimne, białe płytki. Do jednej z bocznych ścian przylatywała się delikatna spirala schodów, łącząca się z zamkniętymi drzwiami prowadzącymi gdzieś na piętro.

Pan Mandara od razu wdrapał się na podium, a stamtąd poinstruował wszystkich, że mają usiąść grupami, każda osobno. Sonia i Estera szybko zajęły jeden ze środkowych trzyosobowych rzędów. Były bardzo zadowolone, że zdążyły przed innymi, dzięki czemu nie musiały usiąść na samym przodzie. Jednak ich entuzjazm opadł, gdy przysiadł się do nich nachmurzony Oliver, niemający zamiaru siedzieć obok braci, przez co skazał na ich towarzystwo przerażoną tym faktem Reet.

Dwie koleżanki rzuciły sobie szybkie, niepewne spojrzenia, a następnie zamrugały ze zdziwieniem, widząc, jak siedząca z przodu Amanda wwierca w nie zazdrosne spojrzenie.

– A jej co się stało? – zdziwiła się Sonia po polsku.

– Chyba ktoś wpadł jej w oko. – Estera mrugnęła, próbując nie wybuchnąć śmiechem.

– Coś ty! – Blondynka błyskawicznie zerknęła na obrażonego, tłumiącego ziewnięcie Olivera. – On? Jej?!

– Chyba tak!

– Biedak... – uśmiechnęła się szeroko Sonia, również próbując się nie roześmiać.

– Chyba raczej ona!

Zachichotały cichutko, jednak dalszą rozmowę uniemożliwił im głos pana Mandary, wzywający do uciszenia się oraz poświęcenia mu chwili. Spojrzały na niego, starając się opanować mimikę twarzy.

– Dziś chciałbym oficjalnie powitać was wszystkich na międzynarodowym obozie, na który przyjechaliście, a który zorganizowałem pod hasłem „Na piaskach egipskiej pustyni”! Bardzo się cieszę, że przybyliście tak licznie, mam nadzieję, że będzie wam się podobało.

Kierownik zaczął następnie szczegółowo opisywać cały kompleks budynków, zajęcia, w jakie można się zaangażować na jego terenie, panujące zasady. Było to bardzo nudne, na dodatek trwało niezwykle długo.

Sonia przypomniała sobie, co pan Mandara mówił poprzedniego dnia. Chciał wygłosić powitalną mowę, ale zrezygnował, widząc, jacy byli zmęczeni. W związku z tym mieli jej wysłuchać tylko raz, po śniadaniu. Jeśli to ta mowa, to Sonia bardzo się cieszyła, że nie zapoznaje się z nią ponownie. Pierwszy raz to już

było stanowczo za dużo, a co dopiero przeżywać tę koszmarną nudę po raz kolejny!

Siedzący obok niej Oliver bez przerwy ziewał, robił dziwne miny oraz wywracał oczami, dając znać, jak bardzo mu się nudzi. Miała ochotę go za to udusić.

Następnie kierownik przeszedł do prezentacji kadry obozowej. Na początku opowiedział coś o sobie. Oznajmił, że jego zadanie to przede wszystkim organizacja wszystkiego. Wspomniał także, że oprócz tego będzie prowadził lub nadzorował niektóre zajęcia czy wycieczki.

Później wywołał na podium swojego tyczkowatego asystenta. Chudy, wysoki Arab dzisiaj także miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Jego oczy, tak jak w dniu poprzednim, kryły się za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych, choć nie byli przecież narażeni na działanie oślepiających promieni.

– Dziwak – mruknął Oliver.

Asystent wyszedł na podwyższenie bardzo sztywnym krokiem, zmusił swoją głowę do drgnięcia, które miało być czymś w stylu ukłonu, a następnie wrócił na swoje miejsce. Podczas jego manewrów kierownik go przedstawił. Sonia nadstawiła uszu, bowiem, chociaż mężczyzna ich oprowadzał, to nie powiedział, jak się nazywa. Zawiodła się jednak odrobinę, gdy Juan Mandara powiedział, żeby do asystenta zwracać się „pan Omar”. Równocześnie nie mogła powstrzymać się od szerokiego uśmiechu.

– Prawie jak komar – szepnęła do Estery po polsku.

– Z wyglądu pasuje. – Jej koleżanka uśmiechnęła się szeroko.

Ponownie przyjrzały się chudemu asystentowi. Rzeczywiście przypominał trochę komara! Obie zachichotały, czym zwróciły na siebie uwagę Olivera.

– Z czego się śmiejecie? – zapytał po angielsku, marszcząc brwi.

– Nieważne – odparła blondynka.

– Powiedz.

– Oj, to nic takiego, co chciałbyś wiedzieć.

– Powiedz.

Sonia westchnęła i poddała się. Szybko wyjaśniła mu, o co chodzi. Oliver tylko wzruszył ramionami, jednak pozostali chłopcy z grupy, którzy podsłuchali, o czym mówiła, zachichotali radośnie, a następnie zaczęli szeptać coś między sobą.

Blondynka z powrotem zwróciła wzrok na podium, z którego schodziła właśnie jedna z pań. Dowiedziała się, że oprócz pana Omara jest jeszcze kilku innych opiekunów: czterech mężczyzn i cztery kobiety, jednak nie zapamiętała dużo szczegółów na ich temat, a tego, co zostało jej w głowie, nie potrafiła dobrze do nich dopasować.

Po prezentacji kadry kierownik przeszedł do celu obozu.

– Podczas całego wyjazdu będziemy poznawać Egipt – mówił, żywo

gestykulując. – Jego historię, kulturę, architekturę, ale przede wszystkim – wierzenia. Pomogą nam w tym rozmaite wycieczki, zaplanowane na prawie każdy dzień waszego pobytu tutaj. Będziecie jeździć na nie grupami. Przez pozostały czas także nie powinniście się nudzić, to mogę wam obiecać!

Mężczyzna roześmiał się donośnie, zacierając ręce. Następnie odchrząknął i kontynuował:

– A teraz przejdźmy do następnego punktu programu, bez którego nie będziemy mogli ruszyć dalej. Chodzi mianowicie o nazwanie swoich grup.

Przez salę przeszedł pomruk lekkiego zdziwienia.

– Czy tak nie robi się w podstawówce? – szepnął ktoś w rzędzie za Sonią.

Tymczasem pan Mandara uniósł brwi, a następnie uśmiechnął się szeroko, równocześnie podnosząc dłonie w geście podkreślającym jego następne słowa.

– Jednak nazwa nie będzie dowolna, o nie! Wybierzecie sobie egipskie bóstwo, które będzie jakby, hm... patronem waszej grupy. Dzięki temu lepiej poznacie wierzenia starożytnego Egiptu, a przecież jest to jeden z głównych celów waszego przyjazdu tutaj, o czym chyba już wspominałem! Ale, uwaga, możliwość wyboru będzie ograniczona. Zaraz skrótowo zaprezentujemy wam kilku ważniejszych bogów, z których wybieriecie jednego. Czy wszystko jasne? Jakies pytania?

Zapadła cisza. Nikt nie podniósł ręki, ani się nie odezwał. W takim wypadku uruchomiono rzutnik, a na specjalnej białej tablicy zabłysło zdjęcie piramid oświetlonych złocistopomarańczowymi promieniami zachodzącego słońca. Pojawił się ozdobny napis:

„Kilku głównych bogów Egiptu faraonów”.

Sekundę później obraz zmienił się na inny slajd, na którym przedstawiono pierwsze z bóstw oraz jego skrócony opis w języku angielskim. Sonia przyjrzała się istocie ubranej w białą egipską spódniczkę oraz mającej głowę sokoła, nad którą widniał złoty dysk symbolizujący Słońce.

– To jest Ra – zaczął pan Mandara, wciąż stojąc na podium – zwany także Re. Był bogiem Słońca, panem ładu we wszechświecie oraz stwórcą ludzi. Wierzono, że każdego dnia płynie swą barką po niebie, a w nocy odbywa niebezpieczną wędrówkę przez krainę umarłych, by rankiem narodzić się na nowo wraz ze światem.

Na ekranie pokazano następnie wizerunek człowieka-bóstwa o zielonej twarzy, spowitego w bandażę niczym mumia. Miał on na głowie białą koronę,

a w rękach insygnia władzy królewskiej.

– Widzicie teraz Ozyrysa, sędziego umarłych, boga śmierci i życia. Władał ziemią, podziemiem oraz krainą umarłych. Został zabity przez swojego brata Seta, który chciał zająć jego miejsce na tronie. Izyda, która była żoną Ozyrysa, magicznie przywróciła męża do życia, dzięki czemu stał się pierwowzorem mumii. Ale mimo ożywienia nie był taki jak wcześniej, ponieważ nie mógł żyć na ziemi. Zamieszkał zatem w zaświatach, których stał się władcą.

Następnie wyświetlono zdjęcie bardzo podobne do pierwszego przedstawiającego bóstwo. Również był to człowiek z głową drapieżnego ptaka, zwieńczoną złotą tarczą.

– Horus, często przedstawiany jako sokół, był panem nieba, Księżycą, Słońca, wojny, Egiptu oraz opiekunem monarchii egipskiej – oznajmił kierownik. – Utożsamiali się z nim faraonowie, dlatego jest kojarzony z władzą królewską. Był synem Ozyrysa i Izydy. Chcąc pomścić ojca oraz przywrócić sprawiedliwe rządy w Egipcie, toczył długą oraz ciężką walkę z Setem, którego w końcu pokonał, co umożliwiło mu wstąpienie na tron.

Na kolejnym slajdzie Sonia ujrzała boginię o czarnych włosach, ze słonecznym dyskiem umieszczonym między krowimi rogami wieńczącymi jej głowę.

– Oto Izyda, bogini miłości, nieba, ziemi, magii, opiekunka rodzin, władzy królewskiej i świata. Była wcieleniem dobroci, a jej święte zwierzę to krowa, stąd rogi na jej głowie. To właśnie ona wskrzesiła Ozyrysa po tym, jak został zamordowany przez brata.

Następnie wyświetlany obraz zmienił się, ukazując boga o bardzo dziwnej głowie jakiegoś zwierzęcia. Sonia przyjrzała się jej ze zdumieniem, zastanawiając się, czy to skrzyżowanie mrówkojada z szakalem o dużych uszach. Tymczasem pan Mandara odchrząknął, a następnie oznajmił:

– To jest właśnie Set, bóg burz, piorunów, ciemności, nocy, chaosu oraz pustyni. Był, że tak powiem, wcieleniem zła. Patronował obcokrajowcom. By zostać królem, uknuł podstęp, zabił swojego brata Ozyrysa i pociął jego ciało na kawałki, które potem rozrzucił po całym Egipcie, by trudniej go było ożywić. Został w końcu pokonany przez Horusa.

– I dobrze – szepnęła po polsku Sonia do Estery. – Okropny typ, co nie?

Szatynka kiwnęła potwierdzająco głową. Niemal w tym samym momencie odezwał się Oliver, żądając przetłumaczenia niezrozumiałych dla niego słów.

– Dlaczego? – zdziwiła się blondynka. *Co mu tak nagle zależy na tym, co powiedziałam?*

– Bo tak – odpowiedział tylko, wruszając ramionami z obojętną miną i po raz kolejny tłumiąc ziewnięcie.

Rzucił jej przy okazji błyskawiczne spojrzenie, z którego wyczytała, że tak

naprawdę bardzo zależy mu na tym, by zrozumieć jej słowa. Nie pojęła jednak, dlaczego. Zamyśliła się na chwilę, ale nic nie przyszło jej do głowy.

Właśnie miała otworzyć usta, by zrobić, o co ją prosił, a raczej, czego chciał, kiedy Oliver spojrział na nią chmurnie, wywrócił oczami, robiąc kwaśną minę, i mruknął coś w stylu: „Nie to nie. Wielkie dzięki, ja też nie zrobię niczego, o co mnie poprosisz”. Sonia zmarszczyła niechętnie brwi, a następnie powiedziała urażonym głosem:

– Tak? To ciekawe, bo w tym momencie chciałam ci przetłumaczyć, co chciałeś, ale ponieważ jesteś taki miły, to możesz o tym zapomnieć. Naucz się cierpliwości, bardzo ci się przyda. I nie obrażaj się, jeśli ktoś nie odpowie ci w tej samej sekundzie, w której zadałeś pytanie!

Odwróciła dumnie głowę, ponownie skupiając się na przemawiającym kierowniku. W związku z tym nie mogła zobaczyć, jak Oliver spojrział na nią z zaskoczeniem, a potem zamyślił się głęboko.

Tymczasem kierownik opisywał bóstwo z ptasią głową o długim, cienkim dziobie.

– Thot był bogiem Księżyca, czasu oraz mądrości – mówił. – Przypisywano mu wynalezienie wielu rzeczy, takich jak hieroglify, kalendarz, geometria. Był także lekarzem, zarówno bogów, jak i ludzi. Przedstawiano go pod postacią ibisa, pawiana lub człowieka z głową jednego z nich.

Pan Mandara odetchnął, po czym oznajmił:

– To już koniec prezentacji. Macie do wyboru jednego z tych bogów na waszego patrona. Naradźcie się w grupach, a potem przekażcie nam swój wybór. Ale uwaga, patroni nie mogą się powtarzać, zatem – kto pierwszy, ten lepszy!

Mężczyzna zszedł z podium, a rzutnik wyświetlił listę imion zaprezentowanych przed chwilą bóstw.

Grupa Soni zgodnie uznała, że nie ustalą nic przy krzesłach ustawionych w rzędy, ponieważ nie będą mogli się dogadać. Natychmiast zarządzono przemeblowanie. Wszyscy wstali i z głośnym szuraniem zaczęli ustawiać z mebli coś, co z założenia można było nazwać kołem. Sonia przesunęła swoje krzesło, a potem zmarszczyła brwi, widząc, że pozostali zupełnie sobie nie radzą. Wciąż ustawiali krzesła w rzędy, co było zupełnie bez sensu. Dwie osoby uganiały się w całym tym zamieszaniu, wykrzykując, co trzeba zrobić, by było lepiej.

Nagle blondynka została mocno popchnięta i ze zduszonym okrzykiem boleśnie wylądowała na podłodze. Czując przejmujące zimno posadzki, na którą upadła, obróciła się lekko, by zobaczyć, czyja to wina. Spojrzała w czarne, złośliwe oczy. Na twarzy Amandy pojawił się wywyższający uśmiech. Prychnęła oraz odeszła, rzucając znieruchomiałej Soni kpiące, dumne spojrzenie. Blondynka odprowadziła ją przez chwilę wzrokiem, który następnie spuściła na podłogę.

W tym momencie jakieś ręce pociągnęły ją w górę i po chwili spojrzała

w roześmiane oczy Estery.

– Hej, wiem, że te krzesła nie są jakieś super wygodne, ale bez przesady, na podłodze nie będzie lepiej. – Szatynka żartobliwie mrugnęła. – A tak na serio, to dlaczego siedzisz na ziemi?

– Amanda mnie popchnęła. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi! – odparła z rozdrażnieniem blondynka, pocierając obolały nadgarstek.

Estera zmarszczyła brwi i nachyliła się tak, by spojrzeć koleżance w oczy.

– Ja chyba wiem. Ale nie powinnaś się nią zupełnie przejmować.

– To dlaczego tak mnie nie lubi? Przecież nic jej nie zrobiłam.

– Nie widziałas, jak się na nas patrzyła dzisiaj na początku, zanim kierownik zaczął mówić?

– Widziałam...

– No właśnie! Jest zazdrosna, bo siedziałyśmy obok Olivera!

Sonia przekrzywiła głowę, zastanawiając się. To mogło mieć sens.

– Co ja? – zapytał nagle chłopak, zjawiając się nie wiadomo skąd oraz patrząc na nie uważnie.

– Nic. Idź sobie. – Estera machnęła ręką, po czym zwróciła się do blondynki po polsku: – Jest zazdrosna o chłopaka! Swoją drogą, nie wiem, co ona w nim widzi. – Tu spojrzała znacząco w bok, gdzie Oliver marszczył gniewnie brwi i robił dziwne miny. – To nie zależy od ciebie. A zatem, to jej problem, że coś do nas ma.

– Ale to nie ciebie popchnęła – zauważyła blondynka. – Ona ma coś tylko do mnie.

– A wiesz dlaczego?

– Nie.

– Zwróć uwagę, że siedziałaś właśnie obok niego, prawda? Rozmawiał z tobą...

– Wiesz, ciężko to nazwać rozmową – skrzywiła się Sonia.

– No, może i masz rację. – Estera uśmiechnęła się szeroko, po czym kontynuowała poważniejszym tonem: – Ale jestem pewna, że u niej nawet jedno niemiłe słowo, które on rzuca pod twoim adresem, powoduje falę zazdrości. W końcu jej nie lubi jeszcze bardziej niż ciebie czy mnie. Myślę, że to jest główny powód, dla którego ona tak cię traktuje. A skoro jest taka okropna i zazdrosna o byle co, to nie trzeba się nią przejmować oraz traktować jej podobnie, prawda?

– Chyba tak. – Na twarzy blondynki także zagościł nieśmiały uśmiech.

– Nie chyba, tylko na pewno!

– Hej! Ja też tu stoję! – odezwał się nagle Oliver ze zniecierpliwioną miną. – I chcę rozumieć, o czym mówicie.

– To zapisz się na kurs polskiego – prychnęła Estera.

– Nie. Po co? To wy przejdźcie na jakiś normalny język, czyli na przykład angielski. Albo, jeszcze lepiej, na francuski.

– Sam jesteś nienormalny – skomentowała szatynka, spoglądając na niego wrogo, a następnie pociągnęła koleżankę w stronę krzeseł, gdyż reszta ich grupy wreszcie ułożyła je w koło.

Gdy wszyscy usiedli, niemal natychmiast wybuchła kłótnia dotycząca wyboru patrona. Brian wykrzykiwał ile sił w płucach:

– Set!!! Niech będzie Set!!! Wybierzmy Seta!!! Set górą!!! Set!!!

Powodowało to lawinę dziwnych spojrzeń rzucanych mu przez znużonego Olivera, który wyjątkowo milczał i tylko marszczył brwi, myśląc nad czymś bardzo intensywnie oraz starając się nie ziewać bez przerwy. Pozostali próbowali się nawzajem przekrzyczeć. Część dziewczyn piszczła „Horus!!! On jest idealny!”, kilku chłopców domagało się wyboru Ra, tupiąc przy tym donośnie.

W końcu ten piekielny hałas przerwała jedna z opiekunek, zjawiając się przy kręgu stworzonym przez ich krzesła z plikiem niewielkich karteczek oraz garścią długopisów, które natychmiast wręczyła pierwszej lepszej osobie.

– Proszę, nie krzyczcie tak! – odezwała się, błagalnie załamując ręce. – Przeprowadźcie głosowanie!

Po burzliwej naradzie zgodzono się na ten sposób wyboru. Każdy dostał karteczkę i napisał na niej imię wybranego boga. Sonia nie wahała się ani chwili, podobnie jak cała reszta. Tylko Oliver niezdecydowanie wpatrywał się w świstek papieru. W końcu zacisnął zęby, nakreślił coś eleganckim, ale chaotycznym pismem i wrzucił go do podsunętej przez kogoś czapki. Nakrycie głowy należało do jednego z braci, którzy przyszli na śniadanie z przekonaniem, że od razu potem wyruszą na wycieczkę.

Gdy zebrano wszystkie głosy, Marko wziął do rąk czapkę, a następnie wyciągnął z niej pierwszą karteczkę. Rozprostował ją, zmarszczył czoło oraz przyglądał się ze skupieniem napisowi. W końcu zrobił bezradną minę i poskarżył się, że ktoś tak nabazgrał, że nie może się doczytać.

– Daj – zaproponowała Sonia, a po chwili odcyfrowywania bazgrołów uśmiechnęła się triumfująco. – Już wiem! Tu jest napisane „Izyda”.

Marko natychmiast odebrał jej karteczki, mając na twarzy niepewny uśmiech. Nie spodobało mu się to, że dziewczyna była w czymś lepsza od niego, więc chciał udowodnić wszystkim, a szczególnie sobie, że to było jednorazowe działanie. W ekspresowym tempie zaczął wykrzykiwać odczytywane imiona. Najśmieszniej było, gdy doczytał się, co prawda z wielkim trudem, imienia boga pustyni. Brian w tej samej sekundzie ryknął z zadowoleniem tak głośno, że wszyscy mimowolnie podskoczyli na krzesłach. Później śmiali się bardzo długo i dlatego, że tak zareagował, i dlatego, że wybrał akurat tego boga, czego nikt nie mógł zrozumieć. Tylko Oliver siedział nieruchomo, z markotną miną, czekając, aż skończą.

W końcu zliczono wszystkie karteczki.

– Po jednym głosie na Seta, Thota i Ozyrysa, po trzy na Izydę oraz Ra, cztery na Horusa! Jeden głos pusty. I jeszcze nasz kolega Oliver awansował na bóstwo! Serio! Ktoś napisał jego imię na karteczce! – wykrzyknął Marko, wybuchając śmiechem.

Wszyscy natychmiast mu zawtórowali. Oliver tylko wytrzeszczył oczy i zaczerwienił się odrobinę. Po chwili zmusił się do krzywego uśmiechu, nie przestając jednak piorunować wszystkich wzrokiem. Wydawał się obrażony tym, że wszyscy się teraz z niego śmiali, ale równocześnie sam fakt oddania takiego głosu trochę poprawił mu humor. Choć z drugiej strony dawał do myślenia, czy to kawał, czy wyraz uwielbienia.

Sonia oraz Estera nie miały oczywiście wątpliwości, że to drugie. Domyślały się nawet, kto mógł to napisać. Oczywiście Amanda. Zerknęły na nią, ale musiała bardzo dobrze udawać, że to nie ona, gdyż nie było po niej widać niczego, co mogłoby potwierdzić ich przypuszczenia.

Gdy cała grupa w miarę spoważniała, Marko podsumował głosowanie, wykrzykując:

– Horus wygrał!

Kilka dziewcząt zaklaskało w dłonie, a Oliver nachmurzył się jeszcze bardziej, przez co wyglądał jak chmura gradowa.

– A ty kogo wybrałaś? – zapytała Estera swoją sąsiadkę, próbując przekrzyczeć hałasujące otoczenie.

– Izydę – odparła Sonia. – A ty?

– Ja też. Szkoda, że nie wygrała.

W tym momencie rozległ się zaniepokojony głos Amandy, która niezwykle głośno zwróciła się w stronę niezadowolonego, rozdrażnionego oraz zmęczonego kolegi, pytając:

– Ojej, Oliver, a na kogo ty głosowałaś?

Wszyscy umilkli i spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Nie umknęło ich uwadze, że był zły z wyników głosowania. Chcieli wiedzieć, dlaczego tak bardzo nie pasował mu Horus, a także, oczywiście, na kogo oddał swój głos.

– Na Ra – burknął niezadowolony chłopak. – A co?

– Och, jestem po prostu ciekawa. – Amanda zatrzepotała rzęsami, rumieniąc się.

– A czemu jesteś taki zły? – spytał natychmiast Steve. – Chciałeś zostać patronem naszej grupy, ale wybrała cię tylko jedna osoba?

– Nie. – Oliver wywrócił oczami.

– Nie? – chciał się upewnić John.

– Nie!

– Dlaczego?

– Ponieważ, po pierwsze, nie mam zamiaru nikomu patronować, zwłaszcza,

gdy chodzi o kogoś podobnego do was. Po drugie, czy widzisz imię „Oliver” na tamtej liście? – Oliver ze zniecierpliwieniem machnął ręką w stronę rzutnika.

– Nie... – przyznał Steve, ale zaraz dodał: – A jednak ktoś cię wybrał.

– Przecież nie naprawdę! – zezłościł się chłopak. – Czy ja wyglądam na egipskie bóstwo?!

– Tak! – pisnęła natychmiast Amanda, ale została w jednym momencie zmrożona złym spojrzeniem.

Pozostali zdecydowanie pokręcili głowami.

– No właśnie! Nie wyglądam. – Tu spojrzął groźnie na Portugalkę, która właśnie chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zamilkła. – A zatem, przypominam, nie mogę zostać naszym patronem, bo mamy wybrać jednego z tych sześciu bogów!

– Już wybraliśmy – przypomniała Betina. – Horusa.

– Tak, niestety – mruknął Oliver. – Już gorzej być nie mogło.

– Hej! – oburzyła się Bairre. – Co masz do Horusa?

– Jest głupi. Nudny. Nie lubię go.

– Widać – stwierdziła Anetta. – Ale został wybrany i tego nie zmienisz.

– Ale ja mogę to zmienić! – wykrzyknęła Amanda, a potem dodała ciszej, zerkając na Olivera: – Dla ciebie...

Kilka osób stłumiło gwałtowny napad śmiechu. Oliver zmarszczył brwi, a następnie spojrzął na zarumienioną dziewczynę, jakby była nienormalna. Tymczasem Portugalka zaczęła mówić:

– Bo, widzicie, ja zagłosowałam na Horusa...

Słyszając to, Sonia z Esterą wymieniły zdumione spojrzenia. A zatem – kto napisał jego imię na karteczce?

– Niezbyt mnie to interesuje – zauważył w tym samym momencie Oliver, ponownie tłumiąc ziewnięcie.

– Tak, wiem, ale posłuchaj! Dla ciebie mogę zmienić swój wybór!

– Nie można! – wykrzyknął ktoś stanowczo.

Natychmiast wybuchła kłótnia, czy jest to możliwe, czy jednak nie. Amanda cały czas krzyczała wniebogłosy:

– Ale ja chcę! I zrobię to! Uwaga! Odwidziało mi się, jednak głosuję na Ra! Zmieniam zdanie!

W końcu, po kilku bardzo długich minutach, gdy większość osób zdarła sobie gardła, uzgodniono, że zrobią dla niej wyjątek. Zapewne, gdyby tego nie zrobili, musieliby do końca dnia, a może nawet wyjazdu, słuchać wrzasków Amandy oraz znosić niezadowolenie Olivera. Dlatego ostatecznie podjęto korzystną dla Portugalki decyzję. W związku z tym Marko ponownie przedstawił wyniki:

– Po jednym głosie na Thota, Ozyrysa, Seta oraz Olivera, jeden pusty, po

trzy na Izydę i Horsa, cztery na Ra! Bóg Słońce wygrywa!

Amanda zaczęła klaskać z radością, z oczu Olivera odpłynęły burzowe chmury, a przedstawiciel całej grupy pobiegł do znudzonej opiekunki, by oznajmić, kogo wybrali na swojego patrona. Okazało się, że byli ostatnią grupą i że czekała tylko na nich. Na szczęście Ra jeszcze nikomu nie patronował, więc zadowoleni rozeszli się do swoich pokoi. Zostali poinformowani, że za piętnaście minut będzie można zejść na parter budynku mieszkalnego, by zapoznać się z planem na dalszy ciąg dnia.



Rozdział piąty

PODEJRZENIA

– Grupa Ra. Dzień pierwszy zostanie poświęcony na zapoznanie się z historią Egiptu, co pozwoli lepiej zrozumieć przekaz wycieczek zaplanowanych na kolejne dni – przeczytała na głos Sonia, a następnie zwróciła się do Estery, równocześnie śledząc wzrokiem rozkład zajęć. – Zobacz, mamy teraz chwilę czasu wolnego, potem od jedenastej trzydzieści zajęcia z opiekunem, a następnie sportowe.

– To niesprawiedliwe! – jęknęli stojący obok nich bracia. – Inne grupy oprócz nas i jeszcze jednej jadą na wycieczki! Dlaczego my musimy zostać i słuchać jakichś nudów?

– Może nie będzie aż tak źle – pocieszyła ich Estera. – W końcu mamy też zajęcia sportowe, a z tego chyba się cieszycie, prawda?

– Żartujesz? – prychnęli bliźniacy. – A komu by się chciało biegać za piłką w taki upał?!

Zaskoczona dziewczyna odprowadziła ich wzrokiem, gdy, gwałtownie gestykulując oraz kulejąc, odeszli w stronę schodów.

– No, w sumie mogą mieć rację – zauważyła niepewnie Sonia. – Słońce pali niemiłosiernie, zbliża się południe... I jest naprawdę gorąco.

– Dlatego zaplanowali sporty po południu, kiedy powinno być trochę chłodniej. – Szatynka uśmiechnęła się uspokajająco, po czym zwróciła z ciekawione spojrzenie na tablicę informacyjną. – Ciekawe, jakich patronów wybrali pozostali?

– Grupa pierwsza – Ozyrys, druga – Horus, trzecia – Izyda, piąta – Thot – przeczytała natychmiast blondynka. – No i oczywiście my – Ra.

– O, nikt nie wybrał Seta.

– Ciekawe, dlaczego? – udała zdziwienie Sonia. – Bóg zła oraz chaosu to przecież idealny patron!

– Tak, masz rację – roześmiała się Estera, po czym obie skierowały swe kroki do głównego budynku, bardzo chcąc dowiedzieć się, jak wygląda pokój wspólny, o którym mówił pan Omar.

Wdrapały się po schodach na piętro i rozglądnęły po ciągnącym się w obie strony korytarzu, oblanym ciepłym, złotym światłem słonecznym. Przystanąły niepewnie, zastanawiając się, czy iść w prawo, czy w lewo. Nagle podskoczyły ze strachu, gdy usłyszały za sobą czyjś zmęczony, rozdrażniony oraz niezadowolony głos.

– Znowu tamujecie mi przejście. Robicie to specjalnie, czy jakoś samo tak wychodzi?

Obróciły się błyskawicznie i ujrzały Olivera, który stał na ostatnim schodku oraz patrzył na nie z dołu, ale takim wzrokiem, jakby to on nad nimi górował.

– Ale nas wystraszyłeś! – oburzyła się Estera. – Ciszej nie mogłeś się skradać?

Chłopak obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

– Nie muszę się skradać, nie jestem złodziejem. A teraz przesuniecie się wreszcie, bo nie lubię się przepychać. I nie, nie jestem gruby.

– A kto mówi, że jesteś? – zdziwiła się Sonia, po czym natychmiast przypomniała sobie sytuację z wczorajszego wieczora.

No tak. Przecież musiał o tym przypomnieć.

– Ty. – Chłopak zmrużył oczy, patrząc na nią nieprzyjaźnie, a następnie rzucił ponagląco: – No, z drogi, dziewczyny! Nie chcę się tu zestarzeć.

Nie chcąc się dłużej kłócić, odsunęły się posłusznie, a Oliver minął je dostojnym krokiem, skręcił w lewo, przystanął przed trzecimi drzwiami oraz zapukał w nie po sekundzie wahania. Po chwili, gdy usłyszał donośne „Proszę!”, wziął głęboki oddech, a następnie wkroczył w półmrok eleganckiego biura.

Sonia i Estera obserwowały go do momentu, gdy zniknął za tajemniczymi drzwiami.

– On się porusza jak duch... prawda? – szepnęła niepewnie blondynka.

Jej koleżanka tylko kiwnęła głową. Później obie podkraśli się, by zobaczyć tabliczkę na drzwiach pokoju, do którego wszedł. Na widok napisu „Kierownik” uniosły brwi oraz spojrzały na siebie porozumiewawczo. Domyślały się, że chodzi o nocną aferę związaną z krzykami oraz budzeniem całego budynku. Potem czym prędzej udały się na poszukiwanie salonu.

Tymczasem Oliver skierował się w stronę wielkiego, drewnianego biurka stojącego na końcu pomieszczenia, tuż pod oknem wychodzącym na wjazd. Równocześnie powiódł wzrokiem po całym prostokątnym pokoju, urządzonego w bardzo eleganckim stylu. Po obu stronach wejścia ciągnęły się regały

wypełnione lśniąco, wyglądającymi na nieużywane książkami, różnymi błyszczącymi przedmiotami, przywodzącymi na myśl kolekcję średniowiecznych narzędzi nawigacyjnych oraz zbiorów egipskich staroci. Tam, gdzie meble ustępowały miejsca zwykłej ścianie, pokrytej zresztą boazerią, wisiały obrazy w przepysznych ramach. Bystre oczy Olivera dostrzegły w głębi pokoju częściowo zamaskowane drzwi, które odróżniały się od drewna tylko zarysem zawiasów. Na wypolerowanych stolikach, nierzadko za szklanymi szybami, stały eksponaty większe niż te umieszczone w szafkach. Na podłodze rozłożono miękki, kolorowy, perski dywan, ze śnieżnobiałego sufitu zwisał szklany żyrandol, rzucający jasne refleksy na pograżone w półmroku otoczenie. Na prawo od wejścia królował komplet miękkich mebli wypoczynkowych ustawionych przy podłużnym, niskim stoliku do kawy. W głębi pomieszczenia stało masywne biurko pokryte różnymi papierami oraz drobiazgami. Znajdował się na nim także duży, czarny laptop.

W całym pomieszczeniu panowała w pewien sposób niepokojąca atmosfera. Świetliste smugi nieśmiało wpadały przez okna. W powietrzu czuć było mocne, cytrusowe kadzidełko, wytwarzające mgliste ramiona dymu w jednym z kątów. Wystrój wnętrza zupełnie nie harmonizował z pozostałą częścią kompleksu. Kiedy wchodziło się do biura, odnosiło się wrażenie, że przekracza się bramy zupełnie innej rzeczywistości.

W pierwszej chwili, bezszelestnie krocząc po miękkim dywanie, Oliver pomyślał, że jest w pokoju sam. Zmarszczył brwi, przypominając sobie głos kierownika, który zaprosił go do środka.

Wtedy dostrzegł minimalny ruch przy jednym z okien. Natychmiast skierował spojrzenie w tamtą stronę, mrużąc oczy przed oślepiającą jasnością. Zamrugał intensywnie i spuścił wzrok, czując, jak do jego wrażliwych oczu napływają łzy. Zdecydowanie nie powinien patrzeć prosto w źródło tak mocnego światła.

Postać stojąca w blasku poruszyła się ponownie, powodując falowanie świetlistych promieni.

– Świetnie, że przyszedłeś, chłopcze – odezwał się Juan Mandara, zerkając badawczo na obozowicza stojącego w cieniu ze spuszczoną głową.

Odczuł satysfakcję, że chłopak czuje się winny nocnych wydarzeń, co wywnioskował z jego postawy. Chcąc się jeszcze upewnić oraz usłyszeć to z jego ust, zagrzmiął groźnie:

– Cóż to? Czemu na mnie nie patrzysz? Boisz się mnie? No, dalej, spójrz mi prosto w twarz, przecież cię nie zjem!

Chłopak posłusznie, ale niechętnie uniósł głowę oraz skrzywił się, mrużąc oczy tak bardzo, że przypominały dwie wąskie szparki.

– Wcale się nie boję. – Wzruszył ramionami z obojętnością, po czym dodał oskarżycielsko głosem, przez który nieznacznie przebijało się znużenie: – Tylko że

stoi pan w oknie i strasznie razi mnie słońce. Jeśli się pan odsunie, wtedy może spojrzę tak, jak pan woli.

Kierownik poczuł gigantyczny zawód. A zatem ten chłopiec wcale przed nim nie drży? Westchnął, a następnie podszedł do biurka, starając się przypomnieć sobie mowę, jaką miał wygłosić na temat jego zachowania.

– Usiądź, proszę. – Pan Mandara machnął ręką i sam zajął wygodny fotel, nie odwracając od Olivera wzroku nawet na chwilę.

A on ani drgnął. Jak skamieniały wpatrywał się w miejsce, które przed chwilą zasłaniał kierownik. Bardzo pobladał, czego na szczęście nie można było zauważyć w panującym w pomieszczeniu półmroku. Z całej siły zacisnął pięści, chcąc opanować, a raczej zakamuflować ich drżenie. Zakręciło mu się w głowie, przed oczami pociemniało. Świat wokół niego zatrzymał się, podobnie jak czas. Miał w głowie pustkę. Liczyło się tylko to.

Rzecz, która mogła zmienić wszystko. Rzecz, której szukał. Rzecz, którą tak bardzo chciał odzyskać. Rzecz, dla której tu przyjechał, nie wierząc, że naprawdę tu jest.

Nagle w jego głowie eksplodowała lawina gwałtownych, chaotycznych myśli. Świat na nowo ruszył. Czas pomknął naprzód. Wrócił mu słuch, czucie, świadomość, gdzie jest, z kim jest. W tej samej chwili Oliver odzyskał zdolność widzenia, zamrugał, z trudem przełknął ślinę i zmusił się do odwrócenia wzroku od lśniącego przedmiotu umieszczonego za grubą, ochronną szybą. Spojrzał prosto na zdumionego kierownika, wpatrującego się w niego dość dziwnie błyszczącymi triumfalnie oczami.

– Proszę? – zapytał chłopak wciąż odrobinę roztrzęsionym i wyższym niż normalnie głosem, mając nadzieję, że aż tak tego nie słyhać. – Mówił pan coś? Trochę się zamyśliłem.

– Nie da się ukryć – mruknął Juan Mandara, przypatrując mu się badawczo. – Mówiłem, że możesz usiąść, i jeszcze zapytałem, jak się nazywasz oraz czy wiesz, co to jest?

W ręce mężczyzny spoczywało dziwne, małe urządzenie przypominające trochę telefon.

– Jakiś pilot? – strzelił, siadając na twardym krześle ustawionym przed biurkiem oraz próbując zachowywać się normalnie.

Cały czas starał się powstrzymać od wlepiania oczu w rzecz, o której myślał bez przerwy od kilku tygodni. Przyciągała go jak magnes przyciąga żelazo, jak kamienie szlachetne łowców skarbów, jak studnia spragnionych. Musiał ze sobą walczyć, by nie ulec tej pokusie. Ale zacisnął zęby, dłonie i wytrwał.

– Nie. To wykrywacz kłamstw – oznajmił pozornie obojętnie kierownik, równocześnie zerkając uważnie na obozowicza, który tylko wzruszył ramionami oraz powiedział krótkie „Aha”, czując jednak w duszy szybko rosnący niepokój.

Czy to coś działa? I czy wykryje jego kłamstwa? Bynajmniej nie chodziło mu tylko o to, by nie wyszedł na jaw fakt, że to przez niego bliźniacy poranili sobie stopy.

– Pamiętaj zatem, że będę wiedział o wszystkim, co zmyślisz. Mów prawdę, a wyjdzie ci to na dobre. To urządzenie jest niezawodne, a kłamstwo ma krótkie nogi – podkreślił pan Mandara groźnie.

– Postaram się zapamiętać – obiecał Oliver, marząc o tym, by móc stąd uciec.

– Świetnie. W takim razie powiedz, jak się nazywasz? – zapytał mężczyzna, niemal z chorobliwą fascynacją wlepiając oczy w wykrywacz kłamstw.

Chłopak spojrzał na niego, marszcząc brwi, a potem zerknął tęsknie na egipski wisior. Musi mu się udać. Nie ma innej opcji. Szczególnie, że wreszcie go znalazł. Znalazł Amulet Ozyrysa, wskrzeszający zmarłych. Jego ostatnią nadzieję.

Wziął głęboki oddech, czując, jak przyspiesza mu puls, a serce łomocze niewiarygodnie głośno. Wyprostował się, a następnie powiedział pozornie spokojnym, mocnym głosem, mając wrażenie, jakby czas zwalniał:

– Jestem Oliver Green.

Zacisnął powieki oraz wstrzymał oddech, oczekując alarmu. Ale nic się nie stało. Ostrożnie uchylił jedno oko i ujrzał kierownika z zawodem wpatrującego się w swój przyrząd. Zegarek powrócił do odmierzania upływających sekund w normalnym tempie.

Chłopak miał ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem. Zachichotał w duchu, czując z gigantyczną ulgą, jak wraca mu pewność siebie, a z serca spada wielki ciężar.

Przecież wykrywacz miał być niezawodny!

* * *

Siedzieli w nasłonecznionej salce z rzutnikiem, którym wyświetlano kolorową prezentację o historii starożytnego Egiptu. Równocześnie opiekunka opowiadała o niej z niezwykłą pasją, którą zarażała wszystkich słuchaczy, z jednym tylko wyjątkiem.

Sonia z autentycznym zainteresowaniem wsłuchiwała się w opowieść o tym, jak powstało państwo zwane „darem Nilu”, zjednoczone, według legendy, przez Menesa nazywanego także Narmerem, jak rozwijało się, przeżywało wzloty i upadki, jak panowało w nim trzydzieści jeden dynastii, jak stopniowo podupadało, by zostać włączonym do Imperium Rzymskiego. Opiekunka raczyła

obozowiczów rozmaitymi ciekawostkami, legendami oraz mitami, odkrywała przed nimi tajemniczy świat sprzed tysięcy lat. Dzięki sposobowi, w jaki prowadziła prezentację, historia przestawała być tylko odległymi datami, a stawała się czymś na wyciągnięcie ręki, gotowym, by porwać w wir ciekawych zdarzeń, niezwykłych splotów sytuacji, oryginalnych postaci oraz aury tajemnicy, nieprzerwanie towarzyszących tej starożytnej cywilizacji przez ponad trzy tysiące lat.

Tylko Oliver nie słuchał przemawiającej z entuzjazmem opiekunki. Z roztargnieniem wpatrywał się w zasłonięte żaluzją okno, przeżywając wewnętrzną burzę. Wciąż od nowa wracał do wizyty w biurze.

Zastanawiał się, czy to przypadek, że kierownik akurat stał tam, przed tą gablotą, jakby chcąc zwrócić na nią uwagę. Czy to był test? I jak go zdał? Pewnie dla tamtych świetnie, ale dla siebie kiepsko, bo oczywiście nie potrafił ukryć, jak bardzo wstrząsnął nim widok Amuletu. Zapewne kierownik tylko na to czekał. Czy więc wie?

Oliver zmarszczył brwi. W końcu nawet zdjęcie na głównej stronie internetowej obozu przedstawiało Juana Mandarę trzymającego w wyciągniętej ręce złoty wisior. Mężczyzna miał na nim minę, jakby znał jakiś wielki sekret. I jeszcze ten wyzywający uśmiech, mówiący: „Przyjmiesz moje wyzwanie? Jeśli chcesz swój skarb, to przyjedź. Będę na ciebie czekał”. Zadrżał na samo wspomnienie fotografii.

Gdy kilka miesięcy temu dostał list z propozycją przyjazdu na ten obóz, w ogóle się nim nie zainteresował. Zrzucił ofertę gdzieś na podłogę i zupełnie o niej zapomniał. Ale potem wszystko się zmieniło.

Gdy rozpaczliwie poszukiwał jakichś śladów Amuletu, przypadkiem natrafił na stronę obozu „Na piaskach egipskiej pustyni”. Pamiętał, jak zamarł, widząc wisior w ręce nieznanego. Nie wierzył, że to ten prawdziwy, ale z braku innych tropów postanowił zaryzykować. Dlatego natychmiast potwierdził swój przyjazd, mając świadomość, że pewnie pakuje się prosto w pułapkę.

A zatem tak, możliwe, że coś podejrzewają, ale nie mogą mieć pewności. Na szczęście zadbał o mylące szczegóły. A jeśli nie popełni już żadnego błędu, wszystko powinno się udać.

Uśmiechnął się lekko na wspomnienie wykrywacza kłamstw, który na sto procent zachwiał ich pewnością dotyczącą prawdziwości oraz słuszności wszystkich poszlak, jakie mogły przemawiać przeciwko niemu. Zrobił najpiękniejszą rzecz na świecie – nie zadziałał! Zapewne to dzięki temu Oliver wciąż był bezpieczny. Dopóki nie mają pewności, nie ośmielą się go tknąć. Dlatego musiał się strzec. Cały czas.

Ale... czy kierownik naprawdę wiedział, kim on jest? Jeśli tak, to skąd? Bo chyba coś podejrzewał. Gdyby o niczym nie wiedział, nie starałby się z tym wykrywaczem kłamstw. Zapytał, jak się nazywa, i spojrzął na przyrząd, oczekując,

że ten wykryje kłamstwo. Że Oliver to tak naprawdę nie Oliver.

Potem, gdy wykrywacz kłamstw nie zadziałał, kierownik wyglądał na tak zawiedzionego... Jakby był pewien, że powinien zareagować. Dziwne. I przerażające.

Przypomniał sobie, jaki był na siebie zły, że zamiast pójść w nocy do pokoju, włóczył się po korytarzach i nie dopilnował braci, którzy wdepnęli w szkło. Ale dzięki temu dokonał przełomowego odkrycia w swoich poszukiwaniach, jeszcze zanim zajął się nimi na poważnie.

Zmarkotniał, gdy zdał sobie sprawę z tego, jak dziwacznie i podejrzanie musiała wyglądać jego uniesiona ręka, gdy wpadł do pokoju sprzątaczkii. Kolejna poszlaka, którą im dostarczył. Świadomość, do czego mógł doprowadzić, męczyła go przez cały ranek. Gryzł się z tym do momentu, gdy ujrzał Amulet. Wtedy na nowo wstąpiła w niego nadzieja. Przestał się aż tak bardzo martwić. Co się stało, to się nie odstanie, ale przecież można wpłynąć na to, co się dopiero stanie! Albo raczej nie stanie.

Swoją drogą, jeśli rzeczywiście kierownik szuka poszlak, to będzie ich miał pod dostatkiem. Oczywiście fałszywych. Tak, on o to zadba. To była część wspianego planu, który wpadł mu do głowy podczas gonitwy myśli w biurze pana Mandary.

Oliver skrzywił się na wspomnienie minionej godziny, kiedy to miał okazję wysłuchać chyba najnudniejszej oraz najdłuższej przemowy z morałem w dziejach całego świata. Co prawda, i tak błędził myślami gdzie indziej, ale samo siedzenie oraz słuchanie jakiegoś monotonnego mrużenia było strasznie męczące. Szczególnie przez niemal magnetyczny Amulet. No, dzięki przynudzaniu kierownika, teoretycznie miał wystarczająco dużo czasu na obmyślenie dobrej strategii działania, ale równocześnie musiał się zmuszać do zachowania względnego spokoju. Starał się oprzeć pokusie, by nie wpatrywać się w złoty wisior, by nie rozłuc ochronnej szyby, by nie uciec ze skarbem jak najdalej stąd. Starał się opanować drżenie rąk, nienaturalny blask nadziei oraz potęgi w oczach, wyraz nieopisanego ulgi oraz szczęścia, chcący wypłynąć na twarz. Cały się gotował, miał ochotę biegać, krzyżeć, a nie siedzieć nieruchomo niczym kamienny posąg, i to na dodatek ze skruszoną miną. Swoją drogą, to ostatnie zupełnie mu się nie udawało.

Pierwszy raz od dawna miał ochotę uśmiechać się bez przerwy, i to nie sztucznie czy z drwiną, ale tak niemal prawdziwie, prawie jak ktoś najszczęśliwszy na świecie. Bowiern od tego zdarzenia, nawet wówczas, gdy śmiał się z czegoś, był to śmiech pusty oraz wymuszony. W głębi duszy Oliver był cały czas poważny, ponury, niby niewzruszony niczym głąz. Nie odczuwał radości, jedynie przejmujący smutek i... palącą złość. Uśmiechał się na zewnątrz, choć wewnątrz miał raczej ochotę płakać albo krzyżeć. Częściej krzyżeć.

A przecież kiedyś było inaczej... Tylko że to „kiedyś” nigdy już nie wróci. Prawdziwe szczęście uciekło z jego życia i serca, wydawałoby się, że na zawsze.

Jednakże na widok Amuletu miał ochotę roześmiać się jak dawniej, kiedy życie było prawdziwie beztroskie, pomimo pozorów tworzonych przez błahe sprawy. Nie mógł jednak tego zrobić, by nie zdradzić się, jak bardzo poruszyła go wizyta w biurze kierownika. Już i tak miał przerażające wrażenie, że Juan Mandara wie o wszystkim, na dodatek dał mu tyle poszlak, że bez trudu mógł się domyślić, jeśli jeszcze nie był pewny. Gdyby tylko bardziej nad sobą panował... Ale to zawsze była jego słaba strona.

Teraz na szczęście był już spokojniejszy. Targały nim różne emocje, od zniecierpliwienia, przez podejrzliwość, po nienaturalną dla niego ostrożność, ale ręce już nie drżały, a na twarzy ponownie zagościł w miarę nieodgadniony wyraz.

Tak, plan. Wymyślił sposób, jak włamać się do środka. A właściwie, jak się przy okazji nie zdemaskować, gdyż samo włamanie nie było czymś trudnym. Bo nie mogli się dowiedzieć, kim jest. Nie mogli wiedzieć. Gdyby wydało się to za wcześnie... Wolał o tym nawet nie myśleć.

Nie ulegało wątpliwości, że musiał jeszcze poczekać, choć tego nie cierpiał, a już szczególnie w takich sytuacjach. Zadowolili się dość skromną, jak na niego, metodą. Jeszcze tej nocy postanowił zrobić dyskretny rekonesans. Ale tylko tyle. Jutro wyłączy kamery. Pojutrze wykradnie Amulet. I już, po sprawie.

Jak tylko zdobędzie skarb, zaniknie stąd i tyle go będą widzieć. Oczywiście nie będą też wiedzieli, kto zrobił to tak naprawdę. Cudnie. Ale jego plan wymagał odrobiny cierpliwości. Stłumił westchnienie, żałując, że natura obdarzyła go talentami oraz cechami całkowicie się do tego nienadającymi.

Przerzucił się na rozmyślanie o egipskich bogach. Przypomniał sobie komentarz jednej blondynki, Soni, na temat boga chaosu. Tuż przed rozpoczęciem wykładu wreszcie udało mu się dowiedzieć, co takiego powiedziała. Teraz skupił się i dokonał jak najbardziej obiektywnej oceny oraz porównania wszystkich prezentowanych bóstw. Z niechęcią stwierdził, że nielubiany przez niego Horus bynajmniej nie wyszedł najgorzej. Na tym miejscu wylądował Set.

Oliver zmarszczył brwi i spróbował w podobnych kryteriach ocenić siebie, a potem pozostałe osoby z jego grupy. On sam wyszedł najlepiej, a najgorzej Amanda, tuż po dwóch braciach oraz Oliverververze.

Wszystko zależało od punktu widzenia. Już wcześniej miał tego świadomość, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wiele prawdy ma w sobie to zdanie.

Tak, Oliververver... To takie dziwne, ile mieli ze sobą wspólnego. Bardzo dziwne. Za dziwne. Podejrzone. Oliver próbował rozwikłać tajemnicę tego niezwykłego zbiegu okoliczności, w który zdecydowanie nie wierzył. Jednak ten temat wprowadził go w jeszcze większe rozdrażnienie, więc prędko go porzucił.

Później pograżył się we wspomnieniach, szczególnie w tych, od których wszystko się zaczęło. Zastanawiał się, kim by był, gdyby nie zagubił się na pustyni, a raczej, czy wciąż nie wiedziałby, kim jest tak naprawdę. Rozmyślając, wpatrywał się nieobecny wzrokiem w kartkę do notatek, ściskając w dłoni niebieski długopis.

– Ojej, co to? – Dziewczęcy głos rozległ się nagle, przywołując go do rzeczywistości.

Oliver zamrugał i spojrzał na jego właścicielkę z zaskoczeniem. Ach tak, to ta Sonia, nawet nie wiedział, że znowu obok niego siedzi.

– O co ci chodzi? – zapytał ją, marszcząc brwi.

Wciąż słyszał przemawiającą opiekunkę, która jeszcze nie skończyła swojego wykładu o historii.

– O twój rysunek – odpowiedziała z uśmiechem. – Co przedstawia? Nigdy nie widziałam takiego zwierzęcia. Czy to rodzaj szynszyli?

W pierwszej chwili Oliver nie wiedział, o co jej chodzi. Jaki znowu rysunek? A potem, pod wpływem szybkiej myśli, spojrzał na kartkę do notatek. Drgnął.

– To taki pies – powiedział niechętnie, błyskawicznie odwracając ją na drugą stronę.

Lepiej, żeby nikt więcej tego nie zobaczył. To dopiero byłaby poszlaka! Swoją drogą, nie wiedział, że umie tak rysować... Trzymał się od tego z daleka, od kiedy brat powiedział mu, że to zajęcie dla dziewczyn.

Tymczasem Sonia uniosła ze zdziwieniem brew, ale pod wpływem niechętnego spojrzenia rzuconego jej przez sąsiada odwróciła głowę, równocześnie z zastanowieniem przywołując przed oczy bardzo realistyczny rysunek małego pieska z wielkimi uszami oraz puszystym ogonem, który według niej wyglądał odrobinę jak szynszyla.

* * *

Sonia krytycznie przyjrzała się swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze. Sprawdziła, czy dwuczęściowy zielono-złoty kostium kąpielowy nigdzie się nie zagiął, po czym, uśmiechając się z zadowoleniem, wróciła do pokoju. Estera także była już przebrana. Jej strój również składał się z dwóch części, a lazuruowy materiał, z którego go wykonano, został ozdobiony kwiecistymi wzorami.

Prezentacja opiekunki trwała dwie godziny. Potem była przerwa, po której cała grupa udała się do jadalni na obiad, a następnie rozeszła do swoich pokoi. Mieli godzinę czasu wolnego, by odpocząć. Później odbyły się zajęcia na korce

tenisowym, a następnie była kolejna wolna chwila, by przygotować się na basen, na który mieli pójść o siedemnastej trzydzieści.

– Ile jeszcze do wyjścia? – zapytała blondynka, kierując się w stronę balkonu.

Gdy była sama ze swoją współlokatorką, rozmawiały po polsku, natomiast w grupie raczej po angielsku, chyba że nie chciały, żeby wszyscy je rozumieli.

– Dwadzieścia minut – oznajmiła szatynka, wstając z sofy. – Nie musimy się spieszyć. Jeszcze dużo czasu.

Obie wyszły na zewnątrz oraz rozłożyły leżaki na słońcu, nie zapominając oczywiście o kremie ochronnym oraz ciemnych okularach.

– Dzisiejszy dzień jest trochę leniwy, nie sądzisz? – zapytała Sonia, układając się wygodnie.

– Ale chyba tylko dla nas i tej drugiej grupy, która też nigdzie nie pojechała – zauważyła Estera. – Pozostali są na wycieczkach, więc raczej się nie lenią.

– No tak, pewnie masz rację – zgodziła się jej koleżanka, wpatrując się w jasne wydmy Sahary. – Ciekawe, co będziemy jutro robić?

– Myślę, że gdzieś pojedziemy. Może do Gizy... – rozmarzyła się szatynka.

– Może... – zamyśliła się głęboko Sonia.

Zapadła cisza. Blondynka potrzebowała chwili, by porozmyślać, więc nie kwapiła się do zacznania rozmowy.

Zauważyła, że Oliver był dzisiaj strasznie rozkojarzony. Nie żeby zwracała na niego jakoś szczególnie uwagę! Ale po tym, jak wyszedł od kierownika, nie był taki, jak przedtem: w jednej chwili był straszliwie przygnębiony, w drugiej niezwykle zadowolony – szczególnie, gdy grali w tenisa.

– Bo wygrywał, to dlatego. – Estera wzruszyła ramionami.

– Nie! – zaprotestowała wtedy Sonia. – Nawet jak wystrzelił piłkę za ogrodzenie i nakrzyczał na niego opiekun, to się cieszył.

– Bo jest dziwny – stwierdziła jej koleżanka.

– To prawda, ale nie jest aż tak dziwny, by rano obrażać się na cały świat z byle powodu oraz być w podłym nastroju, a chwilę później szczerzyć się radośnie!

– Wiesz, po nim nigdy niczego nie można poznać, ale może masz rację...

Jednak Estera nie wyglądała na przekonaną. Ani na zainteresowaną.

Sonia sama była trochę zdziwiona, że tak się tym interesuje. No bo co jej do tego, jak ktoś się zachowuje? Ale odruchowo zwróciła na to uwagę. A ponieważ teraz nie miała nic innego do roboty, zagłębiła się w rozmyślania, dlaczego miał takie humory. Wymyśliła nawet teorię, co mogło go tak poruszyć. Przypuszczała, że coś stało się podczas jego wizyty u kierownika. Coś, co bardzo poprawiło mu humor. Tylko co to mogło być? Nie miała pojęcia. Gdyby udało jej się tam wejść i rozejrzeć... może trafiłaby na jakiś ślad?

Jednakże nie ma pewności, czy to na pewno coś materialnego w biurze, czy może coś, co powiedział mu kierownik. Przecież chyba poszedł tam, by wysłuchać nagany za to, że obudził cały ośrodek, oraz za dziwne zachowanie... To go chyba nie ucieszyło? Chyba nie. No, możliwe, że usłyszał, że ktoś inny zostanie ukarany za coś tam, to może mogłoby go uradować... Chociaż to kiepska teoria.

– Jak myślisz, można tak po prostu wejść do biura kierownika? – zapytała nagle Sonia, przerywając pełną harmonii ciszę. Chciałaby się tam znaleźć, chociaż na chwilę... Może to pozwoliłoby poznać odpowiedź na jej pytania.

– Raczej nie – stwierdziła Estera, zerkając na koleżankę ze zdziwieniem.

– Hm...

– A co, chciałabyś tam wejść?

– No... tak. Tylko na chwilę.

– W takim razie możemy się o to postarać. – Estera uśmiechnęła się tajemniczo.

– Jak? – Sonia spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Wystarczy, że złamiesz jeden z setki punktów regulaminu! Wybór masz duży, więc możesz wybrzydząć.

– Ha, ha, ha. Ja mam złamać regulamin? To będzie trudne do zorganizowania...

– Coś wymyślimy – obiecała Estera, a jej koleżanka z odrobinę markotną miną zapatrzyła się w dal.

Ona i złamanie zasad? To sprzeczne z jej naturą... Chyba że zasady są bezsensowne. Może znajdzie się jakiś punkt kompletnie pozbawiony sensu? O, na przykład zakaz przesadzania kaktusów i innych roślin. Tak, od tego można zacząć. Choć, z drugiej strony... To nie było chyba aż tak ważne, by łamać regulamin. Sonia uśmiechnęła się krzywo. Zastanowi się nad tym później. Chociaż wiedziała, że w końcu i tak tego nie zrobi.

Gdy przez dłuższą chwilę panowała cisza, zagadnęła:

– Widziałas, jak Oliver zareagował na twoją wczorajszą legendę?

– Nie, nie widziałam. Jak?

– Wydawał się bardzo przejęty i wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Pobladł, drżały mu ręce... Dziwne, co? Szczególnie, że chyba nie jest kimś, kogo można poruszyć byle historią.

– Tak... – Estera zmrużyła w zamyśleniu oczy.

To, czego właśnie się dowiedziała, sprawiło, że coś niepokojąco drgnęło w głębi jej duszy. Postanowiła baczniej przyglądać się jego zachowaniu. W końcu wiele pozornie niemożliwych rzeczy okazuje się prawdą... A co, jeśli pewne przerażające, całkowicie nierealne podejrzenie też? Nawet jeśli to ostatnia absurdalna rzecz, która, według niej, mogłaby być prawdą?

– Zauważyłaś coś jeszcze? – zapytała po chwili szatynka, z uwagą

przekrzywiając głowę.

Może jest jeszcze jakaś rzecz, która zaprzeczyłaby jej obawom, albo, co gorsza, je umocniła?

Sonia zawahała się, po czym odezwała się niepewnym głosem:

– Nie, chyba nie.

Ale w rzeczywistości mogłaby powiedzieć całkiem sporo. Nie była jednak pewna, czy to rzeczywiście warte opowiedzenia. Nie była na dodatek przekonana, w jaki sposób zareagowałaby Estera. Może jak lepiej się poznają...

– Wiesz, on cały czas zachowuje się dziwnie, więc trudno wyłapać coś naprawdę ważnego – prychnęła z trochę wymuszonym rozbawieniem Estera, równocześnie myśląc bardzo intensywnie. Spojrzała na zegarek, po czym wykrzyknęła: – Ojej, już czas! Chodźmy, bo się spóźnimy!

* * *

Zajęcia sportowe na basenie oraz boisku okazały się przyjemne, ale męczące. John oraz Steve zostali z nich zwolnieni, co przyjęli bardzo entuzjastycznie, natychmiast odbiegając w stronę budynku mieszkalnego.

Soni najbardziej podobało się na pierwszych zajęciach, na korcie tenisowym. Co prawda została pokonana przez niezwykle dumnego z siebie Olivera, ale zatriumfowała też nad Amandą, która nie chciała dobrze chwycić rakiety, z obawy, że zniszczą się jej świeżo pomalowane paznokcie.

Z basenu Sonia też była zadowolona. Natomiast gry na boisku nie należały do najbardziej udanych, oczywiście zdaniem blondynki. Nie lubiła piłki nożnej, a właśnie ją ćwiczyli przez cały czas. Po upływie wyznaczonego czasu z ulgą przyjęła wiadomość, że są już wolni i że za pół godziny kolacja.

Po posiłku niemal cały obóz zebrał się w salonie, gdzie rozmawiano, oglądano telewizję oraz grano w rozmaite gry. Jednak stopniowo wszyscy się wykruszali, znikali w korytarzu prowadzącym do klatki schodowej, by następnie udać się do swoich pokoi. Tak dla większości osób zakończył się drugi dzień obozu. Ale nie dla wszystkich...



Rozdział szósty

NIEZDARNY SZPIEG

Przez przymknięte drzwi balkonu przedostawał się dźwięk przytłumionego chrapania. Jednak kanonada nie była aż tak uciążliwa na zewnątrz, jak w środku, co Oliver przyjął z wielką ulgą. Oznaczało to, że wreszcie będzie mógł się wyspać.

Wieczorem wyszedł z salonu dość wcześnie, i tak nie odnajdując radości w siedzeniu z gadającymi o głupotach dzieciakami.

Dzieciaki. Tak właśnie o nich myślał, gdy patrzył na te ich wyglupy, tępe uśmiešky, wiecznie roześmiane twarze. Czuł, że dzieli go od nich przepaść albo mur, co prawda niewidzialny, ale jednak istniejący. Całkiem niedawno sam był jak oni. Ale teraz wszystko się zmieniło. On się zmienił. Nie wiedział, czy na lepsze, czy nie, ale wiedział, że oddałby wszystko za to dawne życie, którego nie był już częścią. Może inni tak tego nie zauważali, lecz on czuł to bez przerwy. Nie pasował do zwykłych ludzi. Już nie. Nawet jeśli nie chciał w to wierzyć.

Oliver z ponurą miną wpatrzył się w rozgwieżdżone niebo. Wyniósł materac, kołdrę i poduszkę na balkon jeszcze zanim wrócili wykończeni bracia. Jednak, gdy zobaczyli jego przeprowadzkę, natychmiast się ożywili oraz zorganizowali piknik na świeżym powietrzu, mimo protestów przerażonego współlokatora, który marzył o wszystkim, tylko nie o ich towarzystwie. Nie dali sobie jednak wmówić, że są zbyt zmęczeni na biesiadę, więc przesiedzieli z nim dwie godziny, opowiadając kiepskie kawały.

Gdy wreszcie sobie poszli, oczywiście nie posprząтали ani papierków po ciastach, ani dziwnym trafem poplamionego czajnika, ani stosu pustych opakowań

po kisielu. Rozdrażniony Oliver ze złością w oczach wpadł do pokoju niczym burza, chcąc nawrzeszczyć na nieznośnych bałaganiarzy, ale gwałtownie zatrzymał się w wejściu i tylko zmarszczył ze zdziwieniem brwi. Bracia już spali. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że bez kąpieli. Ale jakim cudem...? W kilka sekund zdążyli dojść do łóżek, położyć się oraz usnąć. Nie miał pojęcia, jak zdołali tego dokonać, ale jedno było pewne: nie posprzątają już niczego, przynajmniej do rana. Z doświadczenia wiedział, że nie ma co zabierać się do budzenia ich, zatem z całej siły trzasnął balkonowymi drzwiami i zrzucił śmieci na taras należący do pokoju piętro niżej. Natomiast czajnik oraz brudne kubki wylądowały na balkonie obok.

Dopiero wówczas w miarę zadowolony położył się na materacu, który przygotował wcześniej na chłodną, pustynną noc, używając rzeczy wyniesionych z pokoju. Co prawda, nie miał pewności, czy na pewno ich potrzebował, czy zmarzłby bez nich, ale wołał nie ryzykować. Jeszcze musiałby przenosić kołdrę w środku nocy, po raz kolejny ryzykując wdepnięcie w różne dziwne rzeczy porzucane na podłodze.

No, w ostateczności, gdyby było mu zimno, mógł wrócić do pokoju, ale zdecydowanie wołał tego uniknąć. Już wystarczyło, że tego dnia ziewał prawie bez przerwy. Niewyspanie powodowało brak czujności i jasności myślenia. A tego nie mogło mu zabraknąć. Zwłaszcza że rozdrażniony wpadał w złość jeszcze częściej oraz szybciej niż zazwyczaj.

Oliver z trudem powstrzymywał sen. Nic nie mógł na to poradzić, oczy same mu się zamykały. Co chwila zerkał na zegarek, ale wciąż było za wcześnie, by rozpocząć rekonesans. Musiał czekać, choć było to bardzo trudne. Nie tylko z powodu braku wrodzonej cierpliwości, lecz także z powodu otępienia, które powoli go ogarniało. Był taki zmęczony... A gdyby tak się położyć oraz odpłynąć w sen, taki cudowny, spokojny, cichy sen...

Nie! Oliver gwałtownie otworzył oczy, z rozdrażnieniem zauważając, że nie pamiętał, kiedy je zamykał. Jeśli się czymś nie zajmie, w końcu zaśnie i nici z nocnego planu!

Sięgnął do kieszeni plecaka leżącego na podłodze balkonu. Po chwili trzymał w rękach pomiętą kartkę. Rozprostował ją ostrożnie, a następnie uśmiechnął się odrobinę na widok narysowanego pieska. Widział każdy szczegół rysunku, choć był środek nocy, a jedyne światło, malutkie zresztą, było gdzieś w dole, na parterze, na ścianie tarasu. Ale, cóż, on nie potrzebował światła. W ciemności widział świetnie. Na dodatek nic go nie raziło. Dlatego wołał noc.

Przyjrzał się badawczo szkicowi, przekrzywiając głowę.

– Wcale nie wygląda jak szynszyla – mruknął, wspominając pytanie Soni.

To prawda, że zwierzątko miało puszysty ogon, ale to pies, nie jakiś szczur!

Przymrużył oczy, co pomogło mu ożywić w myślach rysunek, oszukać

zmysły i znów spojrzeć w wielkie, inteligentne oczy pustynnego pieska, będące w kolorze płynnego złota. Ujrzał, jak z nieopisanej radości macha swoim dziwnym ogonem, jak strzyże dużymi uszami.

Potem wspomnienie nagle się zmieniło. Zobaczył, jak zwierzątko znika wśród oddalających się wydm, usłyszał jego żalony pisk. On odjeżdżał, ona zostawała. Poczuł, jak wypełnia go poczucie winy. Zostawił małego, samotnego, ufego pieska tylko dlatego, że ktoś mu powiedział, by to zrobić. Że nie można go zabrać do Europy, bo pustynia to jego dom. I że jest dziki. A przecież od ich pierwszego spotkania, gdy zgubieni natknęli się na siebie na Saharze, gdy osłaniając oczy przez piaskiem, potknął się o coś puszystego oraz jak to zagubione, przerażone coś natychmiast przytuliło się do niego, odkrył, że coś łączy go z dziwnym stworzeniem. Było mu bliższe niż ktokolwiek inny. A on je zostawił.

Oliver podniósł głowę i objął mrocznym wzrokiem czarny, powyginany kształt, który niczym wielki ocean rozciągał się przed nim, jakby w oczekiwaniu na jakiś znak. Pustynia. Gdzieś tam jest ona. A on kiedyś ją znajdzie. Znów się spotkają. Czuł to. A kiedy wreszcie się to stanie, już na zawsze będą razem, już nigdy jej nie zostawi.

Leżąc nieruchomo na balkonie, zerknął na zegarek. Druga. Już czas! Właśnie miał wyskoczyć spod kołdry, kiedy nagle, na sąsiednim tarasie, rozległ się straszny hałas, jakby ktoś potknął się i runął na podłogę z głośnym hukiem.

Oliver zamarł. Zapadła pełna napięcia cisza. Od strony pustyni zawiął chłodny, nocny wiatr, przemknął przez rząd balkonów oraz przyniósł zapach człowieka. A zatem ktoś jeszcze nie spał. Na dodatek też wyszedł na zewnątrz. Niemal w tym samym momencie, kiedy on...

Poczuł, jak ogarnia go chłód. Gdyby spojrzeć na zegarek sekundę wcześniej... Przemknęło mu przez myśl, że chyba jednak ma szczęście. Pozostał niezauważony, a nieznajomy się zdemaskował. Całe szczęście, że nie odwrotnie!

Na sąsiednim balkonie błysnęła latarka. Oliver z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem, gdy usłyszał dochodzący stamtąd gniewny pomruk:

– Co tu robi ten głupi czajnik?!

Bracia go uratowali! Oni, ich niechęć do sprzątanania oraz głęboki sen. Wciąż tkwiąc w bezruchu, wsłuchał się w noc.

Powiedziała mu, że jego sąsiad odstawił czajnik na stolik, a następnie, mrużąc coś pod nosem, pozbierał brudne kubki po kisielu i ze zniecierpliwieniem oraz złorzeczeniem postawił je obok niego. Gdy wreszcie uporał się z porządkami, zapanowała cisza, w której jednak dało się słyszeć szybki oddech nieznajomego. Nagle gwałtowny podmuch wiatru szarpnął włosami Olivera, zgasła lampka, rozległ się tajemniczy szelest, a później szum oraz trzepot jakby ptasich skrzydeł. Potem wszystko ucichło. Nawet oddech sąsiada.

Oliver bezszelestnie odrzucił kołdrę i dopadł grubej, drewnianej poręczy

barierki. Jedno spojrzenie na sąsiedni balkon wystarczyło, by upewnić się, że jest pusty. Spojrzał w stronę ziemi i natychmiast skulił się za balustradą. Zza metalowych prętów obserwował wąskie światło latarki, przecinające mrok jakby na pół.

Nieznajomy w ciągu paru sekund pojawił się na parterze. To nie było normalne.

Teraz ostrożnie rozglądał się dookoła, z dość głośnym pstryknięciem zgasił latarkę oraz zaczął skradać się w stronę rogu budynku, zadowolając się półmrokiem, a także obecnością nielicznych lampek na ścianie.

No, skradać się to za dużo powiedziane. Oliver ze zgorzaniem śledził jego ruchy, nie mogąc uwierzyć, jak można aż tak bardzo odcinać się od otoczenia. Tajemniczy osobnik zupełnie nie miał doświadczenia ani talentu do bycia niewidocznym. Skradał się jak złodzieje w grach komputerowych, zamiast przemykać chyłkiem, cicho jak cień. Był beznadziejny.

Oliver wyprostował się, marszcząc brwi. Kim on jest? I czego chce? Musiał to sprawdzić.

A także musiał zignorować daną sobie obietnicę. Teraz nikt go przecież nie zobaczy. Noc to jego czas. Przymknął oczy, skupiając się wewnątrz. W tym samym momencie od strony pustyni nadleciał gorący podmuch wiatru, przynosząc wirujące ziarenka piasku. Gdy otworzył pełne blasku oczy, pod stopami czuł nierówności terenu. Zabłąkana kępka trawy połaskotała go w kostkę. Wciągnął świeży aromat zieleni oraz suchy zapach pustyni. Stał w cieniu rzucanym przez samotną palmę, trzy piętra niżej niż wcześniej. Uśmiechnął się, a następnie bezszelestnie wtopił w mrok nocy, podążając łatwo dostrzegalnym śladem wciąż słyszalnego nieznajomego.

* * *

Oliver bacznie przyglądał się każdej osobie, która pojawiała się w drzwiach prowadzących do jadalni. Nie słuchał bezsensownego trajkotania siedzących obok bliźniaków, nie zwracał uwagi na hipnotyzującą go wzrokiem Amandę.

Liczyły się tylko drzwi.

Był zadowolony, że miał miejsce z dobrym widokiem, w przeciwnym razie musiałyby kogoś podsiąść, co bez wątpienia wywołałoby gwałtowną kłótnię. Co prawda i tak postawiłby na swoim, ale każda sekunda złościła się na kogoś mogła być tą chwilą, w której on przyjdzie.

Choć jego wåtpliwa cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę,

wiedział, że w końcu doczeka się jego przyjścia. Więc czekał.

Nagle w wejściu pojawił się rozgadany tłumek nastolatków z grupy Horsa. Oliver wyprostował się odruchowo na widok pewnego tryskającego energią chłopaka. Zmrużył w zamyśleniu oczy, porównując go z obrazem zachowanym w pamięci.

Tak. To na pewno on. Niezdarny Szpieg, jak nazywał go w myślach.

Cóż, w towarzystwie lepiej sobie radził niż podczas beznadziejnej, skazanej na porażkę próby skradania się.

Nie spuszczać błyszczących oczu z sylwetki wysokiego blondyna, otoczonego wianuszkami roześmianych koleżanek i kolegów, wrócił myślami do nocnej wyprawy.

Nieznajomy skradał się beznadziejnie, dlatego Oliver musiał go ratować przed wykryciem co najmniej trzy razy. Nie robił tego bynajmniej z chęci pomocy, o nie! Raczej z czystej ciekawości, czego obozowy kolega szuka.

Już na początku Niezdarny Szpieg próbował niespostrzeżenie przemknąć obok ruchomej kamery, umieszczonej na rogu budynku mieszkalnego, ale jej czujny obiektyw namierzył go praktycznie od razu. Prawie bezszelestnie obróciła się w jego stronę. I wtedy zgasła.

Oliver opuścił wówczas rękę z zadowoloną miną, a w tym samym momencie nieznajomy zniknął w krzakach rosnących przy ogrodzeniu. Chłopak poszedł za nim cicho, jak duch skrywając się w mroku. Niezdarny Szpieg zatrzęsł kwitnącymi roślinami, aż pospadały z nich płatki kwiatów. Gdy w końcu się przedarł, co trwało długo, a było niezwykle głośne, odetchnął z ulgą. Oliver zmarszczył brwi. Za osłoną krzaków nieznajomy może i był niewidoczny od strony budynków, ale przecież na murze są kamery. *Gdy następnym razem wybierzesz się beze mnie, mogę się założyć, że wpadniesz od razu* – pomyślał, robiąc krzywą minę.

Wyciągnął dłoń, skierował ją na pierwsze widoczne urządzenie, a sekundę później powoli przesunął rękę wzdłuż całego widocznego ogrodzenia. Kamery zgasły, jedna po drugiej, jak gasną gwiazdy na nocnym niebie, gdy zbliża się poranek.

Tymczasem Niezdarny Szpieg ruszył przed siebie. Szło mu zdecydowanie lepiej niż przedtem, poruszał się szybciej, zapewne czując się pewniej za krzakami. Jednak nie było idealnie – pod jego stopami co chwila trzaskały gałęzie. Oliver obserwował go z przerażeniem. Nawet nie myślał, że ktoś może się skradać aż tak niezdarnie, głośno, po prostu okropnie! Pomyślał, że to chyba najgorszy szpieg na świecie. Jeśli oczywiście próbował być szpiegiem, ale co do tego nie było wątpliwości. Raczej na spacer się nie wybrał.

Oliver cały czas posuwał się za nieznajomym, narzekając w duchu na jego zółwie tempo, w którym zbliżał się do budynku głównego. Nagle kątem oka

zauważył jakiś ruch. Przystanął i błyskawicznie zwrócił w tamtą stronę uważny wzrok. Natychmiast znieruchomiał oraz rzucił skradającemu się szybkie spojrzenie. Jak na razie na jego drodze nie znajdowało się dużo gałęzi, tylko kilka całkiem sporych, więc może w nic nie wdepnie...

Oliver ponownie skupił się na strażniku, który spacerowym krokiem zbliżał się w stronę krzaków. Prawdopodobnie nie wiedział o obecności chłopców. Zaraz ich minie i pójdzie dalej... Jeszcze chwila... Już odszedł kawałek dalej...

CHRUP!

Strażnik zamarł, nasłuchując, a Oliver z niedowierzaniem spojrzął na Niezdarnego Szpiega. Na serio wdepnął w taką wielką gałąź?! Przecież to niemożliwe! Teraz balansował na jednej nodze, chyba nie chcąc narobić więcej hałasu przez nadeptanie na resztki przełamanej patyki, które rozsypały się dookoła. Zamachał nogą, zbierając się do skoku, zachwiał się i...

TRZASK! CHRUP! BUCH!

... runął na rosnący obok krzak, łamiąc mnóstwo gałęzi. Oliver chwycił się za głowę. To jakaś masakra!

Niezdarny Szpieg jęknął i zaczął szamotać się bezładnie, próbując wstać.

– Kto tam jest? – krzyknął strażnik groźnym głosem, błyskawicznie zapalając oślepiająco mocną latarkę.

Oliver w jednym momencie padł na ziemię, a w tej samej sekundzie nad jego głowę przemknął rażąco jasny snop światła. Mało brakowało! Choć w cieniu był całkowicie niewidoczny, to w świetle wręcz przeciwnie.

Zerknął na nieznanego, który zastygł w bezruchu. Utknął w krzaku, bez możliwości szybkiej, cichej ucieczki. Na dodatek strażnik skierował oślepiającą łunę latarki tuż obok niego, równocześnie podchodząc coraz bliżej.

Oliver ujrzał błysk spanikowanych oczu Niezdarnego Szpiega. Natychmiast zdecydował się mu pomóc. Od strony pustyni napłynął mocny podmuch suchego wiatru, zaplątał się we włosy strażnika, wpadł mu do oczu oraz nosa. Liście zaszumiały głośno, co zabrzmiało jak trzepot motyli skrzydeł.

Mężczyzna kichnął oraz potarł oczy, a światło jego latarki w tym momencie chaotycznie przemknęło po otoczeniu. Oliver jęknął, stracił koncentrację i zasłonił twarz dłońmi, gdy łuna padła na krzak, przy którym się skrywał. Pomknęła dalej, ale on musiał chwilę odczekać, aż odzyska zdolność widzenia. Nie cierpiał światła, szczególnie nocą!

Wiatr ucichł, a pocierający oczy strażnik podjął swój marsz w kierunku znieruchomiałego nieznanego. Oliver wyciągnął rękę w stronę krzaka Niezdarnego Szpiega. Rozległ się trzask, roślina się zatrzęsła, a następnie wyskoczył z niej jakiś ciemny kształt, który natychmiast wzbił się w powietrze ze spłoszonym krzykiem.

Nieznanomy wzdrygnął się, ale pozostał cicho. Strażnik przystanął

i skierował latarkę do góry, jednak niby-ptak zniknął już dawno.

Mężczyzna zmarszczył brwi, po czym spojrzał badawczo na roślinę, w której utknął Niezdarny Szpieg. W jego oczach pojawiła się wątpliwość. Iść czy nie iść?

W końcu zwyciężyło poczucie obowiązku i ponowił zbliżanie się do krzaka.

Oliver uniósł brwi, a następnie zgarnął z ziemi garść piachu. Na bardzo upartych też miał sposoby. Niestety, musiał zrezygnować ze swojego ulubionego, by nie wpędzić Niezdanego Szpiega w jeszcze większą panikę, ale druga metoda także była skuteczna. Zacisnął dłoń, w której trzymał piasek, równocześnie zamykając oczy. Następnie zbliżył rękę do twarzy, otworzył ją i z całej siły dmuchnął w jej zawartość. Złote drobinki zawirowały w nocnym powietrzu, lśniąc od zimnego blasku księżyca, a potem gnane łagodnym, ale szybkim podmuchem wiatru pomknęły w stronę nieświadomego niczego mężczyzny.

Nagle strażnik przystanął niezdecydowanie i podrapał się po głowie. Rozglądnął się niepewnie dookoła.

Oliver przypatrywał mu się z zaciekawieniem zza pachnącego drzewka.

Mężczyzna zrobił krok w lewo, potem zawrócił. Okręcił się na pięcie, a następnie chwycił za włosy, mrużąc coś niezrozumiale. W końcu wzruszył ramionami, pokręcił głową i odszedł chaotycznym krokiem, bez przerwy schodząc ze ścieżki. Zdeptał nawet jeden krzak, ale nie zwrócił na niego większej uwagi. Potem zniknął za rogiem gmachu głównego.

Oliver uśmiechnął się z zadowoleniem, a następnie podniósł się z klęczek. Dobrze wiedzieć, że mają tu strażnika, który, choć obowiązkowy, nie sprawia dużo kłopotów.

Po chwili ponownie skupił się na Niezdanym Szpiegu, który wygramolił się z krzaka, a potem ostrożnie rozglądnął się dookoła. Co najmniej pięć razy patrzył dokładnie w to miejsce, w którym stał Oliver, jednak zupełnie go nie zauważył.

W tym samym momencie skryty w mroku chłopak przyglądał mu się uważnie. Niezdarny Szpieg był wysoki i szczupły, przy czym zupełnie nie wyglądał na silnego, przynajmniej w nocy. Czupryna złotych włosów połyskiwała w blasku gwiazd i księżyca. Oczy lśniły na jasnej twarzy niczym dwa miniaturowe słońca, asystując lekko zadartemu nosowi i ładnie wykrojonym ustom. Ubrany był na czarno, jak na szpiega przystało.

Gdy w końcu nieznajomy upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, wysunął się z krzaków i podkrał pod budynek główny. Następnie zaczął zaglądać w każde okno na parterze. Znudzony tym Oliver zerknął na zegarek na swoim nadgarstku. Wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył. Za pięć czwarta. Stracił już prawie dwie godziny! Rzucił Niezdanemu Szpiegowi zirytowane spojrzenie, po czym zniknął w mroku nocy. Miał zamiar wreszcie się wypaść, nie mógł więc stracić jeszcze więcej czasu z tą niezdara!

W ekspresowym tempie zrobił jako taki rekonesans, a potem wrócił na swój

balkon. Zasnął kamiennym, pozbawionym koszmarów snem natychmiast, jak tylko przyłożył głowę do poduszki.

Oliver wzdrygnął się lekko i wrócił do terażniejszości. Nie spuszczał z nieznajomego wzroku, gdy ten nabierał sobie gigantyczną porcję jajecznicy na śniadanie. Próbował zgadnąć, jaki ma charakter, czy naprawdę jest taką straszną ciapą, jak to zaprezentował nocą. Dlaczego wybrał się pod jej osłoną na obchód posesji? Też miał jakiś ukryty cel? Jeśli tak, to jaki?

W końcu blondyn zasiadł wśród swoich kolegów i koleżanek z grupy. Stłumił szerokie ziewnięcie, a następnie rzucił jakiś komentarz, który spowodował wybuch radosnego śmiechu.

Oliver skupił uwagę z powrotem na swoim stoliku. Sonia, Estera oraz Astrid cieszyły się z planowanego na ten dzień wyjazdu do Kairu, reszta dziewczyn albo milczała, albo plotkowała, chłopcy rozmawiali o nadchodzącym meczu. W rozmowie tej nie uczestniczyli tylko bracia, w ekspresowym tempie pochłaniający kolejny talerz bekonu.

– Wiecie, kto to jest? – zapytał ich Oliver, wskazując dyskretnie na Niezdarne Szpiega.

– Kto? – Bracia natychmiast wychylili głowy jak najdalej mogli i zaczęli całkowicie jawnie przypatrywać się stolikowi grupy Horusa.

– Nie! – syknął potępiająco. – Róbcie to tak, żeby nie zauważyła was od razu cała sala!

– Aaa! – Anglicy pokiwali głowami i skulili się na swoich siedzeniach, kładąc łokcie na stole. Zaczęli następnie zerkać zza nich w stronę wybranej grupy. Po chwili naradzili się szeptem oraz pokiwali w zamyśleniu głowami. W końcu Oliver nie wytrzymał i zapytał ze zniecierpliwieniem:

– I co? Znaćcie go?

Chłopcy spojrzeli na siebie niepewnie. Po dłuższej chwili odezwał się John:

– Możliwe... Ale zależy, o kogo ci chodzi.

Oliver powstrzymał chęć wywrócenia oczami.

– O tego blondyna z grzywką! W zielonej bluzie.

Bracia powrócili do niezwykle dyskretnego, ich zdaniem, podpatrywania sąsiadów. Widząc, że kompletnie sobie nie radzą, dodał z rezygnacją:

– Je jajecznicę...

– Aaa! Ten! – ucieszyli się Anglicy.

– Świetnie, że wreszcie wiecie, o kogo mi chodzi! I co?

– To Johan z Niemiec. Ma takie wielkie mięśnie, bo trenuje boks.

– Co? – zdumiał się Oliver.

Jakie wielkie mięśnie? Niezdarny Szpieg nie wyglądał na jakiegoś super silnego. Chłopak zmrużył podejrzliwie oczy. Naszła go wątpliwość, czy na pewno mówią o tej samej osobie.

Zerknął w stronę stolika grupy Horusa. I rzeczywiście, naprzeciwko nieznajomego blondyna siedział wielki, potężny mięśniak o włosach w kolorze pszenicy, który z pewnością miał trudności ze zmieszczeniem się w dwuskrzydłowych drzwiach. I też jadł jajecznicę.

– Nie chodziło mi o niego – westchnął Oliver, wywracając oczami. – Tylko o tego naprzeciwko!

– Aaa! To jeszcze nie – odpowiedzieli bracia i niemal natychmiast zerwali się z krzesel.

– Świetnie, dzięki – burknął zniechęcony.

Tyle się męczył, a tu nic! Po chwili zamrugał gwałtownie oczami, gdy dotarło do niego, co dokładnie powiedzieli Anglicy.

– Co? Jeszcze?! – Z niepokojem zwrócił podejrzliwe spojrzenie na grupę Horusa, która dosłownie przed chwilą wstała od stołu.

Nagle na jego twarz wypłynął grymas przerażenia. Ujrzał braci rozmawiających z zaskoczonym Niezdarnym Szpiegiem. Pomimo hałasu panującego w jadalni do jego uszu doleciały ich słowa:

– Hej, nasz brach pyta się, kim jesteś?

Oliver nie czekał na ciąg dalszy. Zerwał się od stołu i czym prędzej zniknął za drzwiami prowadzącymi w stronę wyjścia, zaciskając ze złości zęby. Był pewien, że bracia wszystko zepsują. A chciał być dyskretny! Co go napadło, żeby pytać akurat ich?!

Tymczasem w jadalni dwaj Anglicy ze zdumieniem rozglądali się dookoła, poszukując zaginionego kolegi, którego chcieli pokazać zaciekawionemu blondynowi. Po chwili wzruszyli ramionami i postanowili opowiedzieć mu dosłownie wszystko o swoim współlokatorze, by wynagrodzić stratę, jaka wynikła z braku jego obecności. Szczerze mówiąc, dobrze, że Oliver tego nie słyszał, bo z pewnością nie byłby zachwycony podawanymi przez nich informacjami.



Rozdział siódmy

ZNAK IZYDY

– Zaraz dojeżdżamy! – ucieszyła się Estera, a oczy Soni zabłysły.

Sonia od dawna chciała zobaczyć słynne Muzeum Egipskie, na którego zwiedzanie zarezerwowano w planie obozu prawie cały dzień. Jak tylko zapoznała się z programem zajęć, nie mogła doczekać się wyjazdu. Tyle słyszała o zgromadzonych w muzeum zabytkach oraz skarbach! Co prawda Estera nie tryskała takim entuzjazmem jak jej koleżanka, ponieważ rodzice już kilkakrotnie ją tam zabrali i za każdym razem zwiedzali doprawdy niezwykle dokładnie, ale i tak była zadowolona z interesującej wycieczki. Lubiła chodzić do muzeów oraz, jeśli tylko było to możliwe, pstrykać eksponatom mnóstwo artystycznych zdjęć. Niestety, akurat w tym muzeum nie miała takiej możliwości.

W końcu busik zatrzymał się nieopodal miejsca docelowego i wypuścił na rozgrzany chodnik Kairu rozgadaną młodzież, która rozproszyła się po najbliższej okolicy w ekspresowym tempie. Trochę czasu zabrało dwójce opiekunów, by skupić wszystkich z powrotem w jednym miejscu, ale, gdy w końcu im się to udało, już bez dalszych komplikacji udali się w stronę drzwi potężnego budynku. Z ulgą wpuszczono rozbrykaną młodzież do środka. Gdy wszyscy zniknęli w tłumie, opiekunowie odetchnęli głęboko i wolnym krokiem skierowali się w stronę pierwszego widocznego eksponatu, z zamiarem delektowania się jego pięknem.

Sonia z Esterą przemierzały pomieszczenia wypełnione niezliczonymi zabytkami, bezcennymi dziełami, wspaniałymi relikami dawnej cywilizacji. Było ich tak dużo, że Sonia doszła do wniosku, że, aby zwiedzić wszystko dokładnie, potrzeba nie tyle kilku bardzo długich godzin, ile kilku dni!

Krażyły po salach, z oczarowaniem wpatrując się w cudowne eksponaty.

Nawet nie zauważyły, kiedy minęła pierwsza godzina zwiedzania, choć Sonia mogłaby przysiąc, że to był może kwadrans. W pewnym momencie, gdy mijaly wejście do pomieszczenia z mnóstwem malutkich figurek, Sonia przystanęła i pociągnęła koleżankę za rękę, robiąc zdumioną minę.

– Patrz! Ktoś ich chyba zamienił w kamień.

Wskazała na opiekunów, stojących nieruchomo przed jakimś posązkim pawiana. Wpatrywali się w niego z niezwykłą wprost uwagą, równocześnie łagodnie gładząc swoje brody z wyrazem zadumy na twarzach.

– Może to jakaś klątwa? – zaniepokoiła się Sonia, zerkając na koleżankę. – Klątwa Pawiana. Brzmi groźnie, prawda?

– Bardzo – roześmiała się Estera. – Ale tym razem to nie jest żadna klątwa!

– To co oni robią, jeśli nie są pod działaniem straszliwych czarów, zmuszających ludzi do wpatrywania się w pawiany?

– Oni po prostu delektują się zwiedzaniem, a konkretnie delektują się widokiem tego olśniewającego posązka! Moi rodzice też tak czasem robili. No, nie dokładnie tak, bo w takim stopniu tylko przy wyjątkowych eksponatach. A ten posązek, choć bez wątplenia fascynujący, do takich z pewnością nie należy.

– No fakt – potwierdziła Sonia, obejmując wzrokiem następne piętnaście niemal identycznych posązków, stojących obok tego, na którym skupiali się opiekunowie. Następnie uśmiechnęła się radośnie, mówiąc: – Ciekawe, czy będą tak podziwiać każdego pawiana, czy może tylko jednego?

– Kto wie. – Estera zachichotała. – Możemy poczekać chwilę i zobaczyć.

Jednak, gdy przez następne osiem minut dorosli nie odstępili od statuetki, dziewczyny dały sobie spokój i ruszyły na dalsze zwiedzanie. Podczas oczekiwania na ich ruch również przyjrzały się figurkom, więc teraz знаły dosłownie każdy detal każdego posązka pawiana i miały ich naprawdę dość.

Kolejna godzina minęła im bardzo szybko. Najwięcej czasu spędziły, oglądając bajeczny skarb Tutenchamona, który okazał się jeszcze wspanialszy niż Sonia myślała.

Muzeum, choć ogromne, z każdą chwilą robiło się coraz bardziej zatłoczone. Ci, którzy zwiedzanie zaczynali grubo po południu, po długim spaniu i obfitym śniadaniu oraz obiedzie, właśnie wyruszyli na podbój tego słynnego miejsca oraz prezentowanych przez nie przedmiotów. Ich miny mówiły: „Strzeżcie się, egipskie relikty! Nadchodzimy my, władcy świata, zdobywcy największych muzeów na kuli ziemskiej!”. Jednak po kilku godzinach poznawania eksponatów z ulgą siadali na ławeczkach, prostując obolałe, zmęczone nogi.

W końcu dwie dziewczyny również odczuły zmęczenie.

– Może gdzieś usiądziemy i odpoczniemy chwilę? – zaproponowała Estera, tęsknie zerkając na jedyną pustą ławkę w okolicy.

– No nie wiem... – zawahała się Sonia.

Choć z jednej strony miała ochotę odpocząć, to z drugiej – tyle jeszcze rzeczy zostało do obejrzenia! Zawsze marzyła, by pójść do tego muzeum; czy nie lepiej więc pomęczyc się jeszcze trochę, ale zobaczyć jak najwięcej?

– No, chodź. Później przyjemniej będzie nam się zwiedzało – zachęcała Estera, powoli zbliżając się do wolnej ławki.

Jednak Sonia wciąż nie mogła się zdecydować. Coś ciągnęło ją do kolejnej sali, choć stopy wołały o natychmiastowy odpoczynek. Jakby poszukując pomocy w podjęciu decyzji, przebiegła wzrokiem po najbliższym otoczeniu. W drzwiach mignął jej Oliver, rzucający zniesmaczone spojrzenie grupce wykończonych turystów, wylegających się na ławce. To sprawiło, że Sonia wreszcie się zdecydowała.

– Ty możesz odpocząć, ale ja pójdę zwiedzać dalej – oznajmiła, uśmiechając się lekko.

Estera opuściła z rezygnacją ramiona.

– W takim razie chyba pójdę z tobą...

– Nie trzeba, naprawdę. Usiądź, ja zagłędę do najbliższych sal, a potem do ciebie wrócę. Wiesz, ty i tak byłaś tu już kilka razy...

Szatynki nie trzeba było długo przekonywać. Po chwili z zadowoleniem pobiegła w stronę ławeczki, a Sonia zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu.

Z zainteresowaniem przeglądnęła większość wystawy, gdy nagle poczuła bardzo intensywnie, że ktoś ją obserwuje. Po plecach mimowolnie przebiegł jej dreszcz, błyskawicznie odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z tym, kto na nią patrzył.

Zadrzała. W pomieszczeniu oprócz niej znajdowała się tylko grupka starszych Japończyków, skupiona na potężnej rzeźbie. Natomiast sąsiednia sala z wielkim kamiennym blokiem pokrytym malowidłami świeciła pustką.

Nikt jej nie obserwował, ale ona cały czas czuła na sobie czyjś niezwykle intensywny wzrok. Nerwowo rozglądnęła się na wszystkie strony, odczuwając ogarniający ją chłód niepokoju. Badawczo przyjrzała się Japończykom, ale zupełnie nie zwracali na nią uwagi. Ponownie rozejrzała się dookoła, powoli wycofując się w stronę drzwi.

Niespodziewanie ujrzała wlepione prosto w siebie kamienne, alabastrowe oczy posągu. Czarne zarysy źrenic na stelach również zdawały się patrzeć na nią uważnie.

I wtedy Sonia zrozumiała. Czuła na sobie spojrzenie rzeźb i malowideł!

– To niemożliwe – szepnęła zdławionym głosem.

Zadrzała, bardzo żałując, że nie ma przy niej Estery. Irracjonalny strach wkraść się do jej serca, dotykając go swymi mrocznymi, zimnymi palcami. Przyspieszyła, kierując się w stronę drzwi. Cały czas nerwowo rzucała spojrzenia na wszystkie strony, z przerażeniem dostrzegając kolejne obserwujące ją martwe

oczy. Prawie biegła, czując, jak spanikowane serce łomocze jej w piersi. *Czy ta sala nie była mniejsza?* Obejrzała się niespokojnie, nie mogąc zapanować nad drżeniem nóg oraz lodowato zimnych dłoni. *Wcześniej przebyłam ją tak szybko!*

I wtedy usłyszała, jak ktoś woła ją po imieniu głosem odległym, jakby uśpionym, dochodzącym z oddali, stłumionym i obcym, naznaczonym dziwnym akcentem.

– Sonia...! Chodź do mnie, Sonia...!

Zakręciło jej się w głowie, a przed oczami pociemniało. Zatoczyła się lekko, ale równocześnie puściła się biegiem przed siebie, wydając zduszony krzyk przerażenia. W głowie kołatała jej jedna straszliwa myśl: *To muzeum jest nawiedzone!*

Wypadła z sali, w której straszło, skrzyła gwałtownie w lewo, wbiegła do następnego pomieszczenia i, dygocąc, przypadła do jego zimnej ściany. Zamknęła oczy, drżąc z przerażenia jak w febrze. Bała się zagłębiać dalej w straszne korytarze, ale również bała się zostać blisko sali nawiedzonych posągów oraz malowideł.

Mijały chwile, a panika nie mijała. Chociaż przestała aż tak bardzo się trząść, wciąż jednak nie czuła się na siłach, by pójść dalej. Było jej tak słabo, iż obawiała się, że mogłaby zemdleć albo upaść. Po chwili zmusiła się do otwarcia oczu, ale bardziej ze strachu, że coś mogłoby się do niej podkraść.

I wówczas spojrzała w jaśniejące oczy dostojnej kobiety, namalowanej na wielkim kamiennym bloku. Sonia otworzyła usta, by krzyknąć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Stała jak skamieniała, nie mogąc oderwać oczu od malunku z rozświetlonymi życiem oczami. A właściwie okiem, gdyż postacie na egipskich malowidłach były ustawione zawsze bokiem do widza.

* * *

Oliver zdrętwiał, gdy usłyszał krzyk przerażenia. Rozejrzał się niepewnie dookoła, jakby upewniając się, czy to czasem nie była reakcja na jego widok. Ale skupieni turyści zupełnie nie zwracali na niego uwagi, co było mu bardzo na rękę. Nadstawił ucha, ale krzyk się nie powtórzył.

To pewnie jakaś znerwicowana turystka zobaczyła mumię po raz pierwszy w życiu – pomyślał, wzruszając ramionami oraz uśmiechając się kpiąco na taką myśl.

Mumie wcale nie były straszne. Ale i tak wbijał wzrok w podłogę, ilekroć musiał obok jakiejś przejść. Widok zmarłych zbyt mocno budził w nim poczucie

winy. I żal. A także masę innych, nieprzyjemnych uczuć oraz wspomnień, o których istnieniu wolał na zawsze zapomnieć. Albo raczej – które za wszelką cenę chciałby zmienić.

Skierował swe kroki do następnej sali, błędząc obojętnym wzrokiem po poważnych twarzach turystów, starożytnych eksponatach, podłodze, suficie, kamerach bezpieczeństwa, drzwiach prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia...

Nagle przystanął zmieszany. Zmarszczył niepewnie brwi, zerkając badawczo na bardzo nietypową scenę rozgrywającą się w sąsiedniej, prawie pustej sali.

Ujrzał przytuloną do ściany Sonię, która z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami wpatrywała się w dużą kamienną płytę, pokrytą hieroglifami oraz wyblakłymi malowidłami. Oliver przypomniał sobie, że jest to fragment ściany grobowca jakiegoś tam faraona, wspaniale przedstawiający jedną z egipskich bogiń, chyba Izydę. Krytycznie przyjrzał się malunkowi. Pewnie, był ładny, ale bez przesady. Tak, to musiała być Izyda, poznał ją po krowich rogach na głowie.

Po drugiej stronie pomieszczenia dwa małżeństwa, jedno stare, drugie młode, podziwiałały posąg jakiegoś faraona. Zupełnie nie zwracali uwagi na opierającą się o ścianę nastolatkę.

Oliver ponownie skierował wzrok na swoją koleżankę. Coś zaniepokoiło go w jej wyrazie twarzy. Podszedł do niej powoli, ale nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi, nawet wtedy, gdy stanął tuż obok. Spojrzał w jej przerażone, rozszerzone w panice oczy, utkwione w twarzy malowanej bogini. Będąc bliżej, zauważył, że cała się trzęsie.

Poczuł chłodny dreszcz coraz wyraźniejszego niepokoju. Czy to ona krzyczała? Ale dlaczego?

– Eee... Sonia? Zamieniło cię w kamień? – zapytał, by zwrócić na siebie jej uwagę.

I wtedy zdał sobie sprawę, że odkąd tu przyszedł, nie mrugnęła powieką ani razu. Jej oczy, niczym wyrzeźbione w kamieniu, nieruchomo wpatrywały się w płytę z grobowca. Cofnął się odruchowo o krok, obserwując ją uważnie. Co jej się stało?

Pod wpływem nagłej myśli zmrużył nieufnie oczy. Może to jakiś żart? Spojrzał na malowidło, w które dziewczyna wbijała swój przerażony wzrok. Wyglądało całkowicie normalnie. Chociaż... co to za błysk? Oliver drgnął.

Czy ten malunek falował, praktycznie niedostrzegalnie? I jeszcze migotał?

Chłopak przekrzywił głowę, wytyżając wzrok. Już miał dać sobie spokój i uznać, że coś mu się przewidziało, kiedy nagle egipska bogini obróciła się w kamieniu oraz spojrzała przed siebie dwojgiem namalowanych oczu, które w tym samym momencie poszerzyły się gwałtownie, błyskając niczym klejnoty. Po

oczach przyszła kolej na resztę twarzy, a potem na ciało. Wszystko jakby ożyło, pokryło się żywymi kolorami, pojaśniało, zapulsowało i... poruszyło się. Niby jakim cudem?!

Nagle namalowana bogini przymknęła swoje czarne oczy. Wtedy z jej serca wystrzeliły świetliste promienie, wstęgi tęczowego, migocącego światła, które wydostały się z kamienia i pomknęły we wszystkie strony, rzucając na ściany barwne refleksy.

Sonia wzdrygnęła się gwałtownie, a Oliver rozszerzonymi oczami rozglądał się po skąpanym w jasnych promieniach pomieszczeniu. Ze zdumieniem zauważył, że turyści nadal ze stoickim spokojem podziwiali podobiznę faraona, tylko jedna kobieta rzuciła w ich stronę krótkie, znudzone spojrzenie.

Chłopak zmarszczył brwi, czując w głowie chaos. To światło, refleksy, cienie. Czy oni tego naprawdę nie widzieli? Nie zauważyli, jak malowidło ożyło i zajaśniało, rozświetlając całe pomieszczenie? Chyba nie, bo nie mieliby takich znudzonych min, ale w takim razie, co tu się dzieje?

I wtedy zrozumiał. Iluzja. To dzięki niej zwykli ludzie nie widzieli dziwnego światła, żywego malunku. Ale on widział wszystko. No tak, przecież potrafił naginać światło do swoich celów. Też miał władzę nad złudzeniem, co pozwalało mu wspaniale wprowadzać innych w błąd. Dzięki temu nikt go jeszcze nie rozpoznał.

Nagle Sonia westchnęła głęboko, a następnie pewnym, ale nieśpiesznym krokiem ruszyła w stronę kamienia. Jej jasne oczy miały lekko nieobecny wyraz, ale zniknęło z nich przerażenie.

Oliver zmrużył niepewnie oczy, gdy świetliste wstęgi zwinęły się z powrotem do serca malowidła, a następnie ponownie z niego wystrzeliły i zaczęły płynnie krążyć wokół dziewczyny.

Widząc, jak blondynka przystaje przed malowidłem, a następnie unosi w jego stronę dłoń, zrobił krok naprzód, chcąc ją powstrzymać, ale oślepiając jasne promienie natychmiast zastąpiły mu drogę, zmuszając go do zmrużenia oczu i zatrzymania się. Nie miał żadnych wątpliwości, że nie da rady do niej dojść.

– Sonia, stój! – zawołał, pełen złych przeczuć, wyciągając w jej stronę rękę.

Kiedy nie zareagowała, opuścił ją, nerwowo przygryzł wargę, a następnie westchnął z irytacją.

– Zawsze wszystko ja – mruknął i w tym samym czasie błyskawicznie powiódł wzrokiem po całym pomieszczeniu, w odrzutowym tempie odnajdując kamery.

Potem zamknął oczy, skupił się oraz wykonał nieznaczny ruch opuszczoną dłonią. Wtedy wszystkie zgasły.

Chłopak uśmiechnął się z zadowoleniem. Właśnie nastąpiła awaria kamer w części muzeum. Cokolwiek ta dziwna dziewczyna robi, nikt tego na szczęście

nie zauważy. Chyba.

Z niepokojem spojrział na Sonię, która w tym samym momencie dotknęła opuszką palca starożytnego malowidła. Nagle podłoga zadrżała, kamienna płyta rozbłysła oślepiającym blaskiem, a rozjarzone wstęgi rzuciły się na dziewczynę, oplatając ją w okamgnieniu. Straszliwa jasność zmusiła Olivera do natychmiastowego osłonięcia oczu.

– Wybrałam – rozległ się pełen mocy głos, dochodzący jakby ze wszystkich stron.

Głos wydawał mu się dziwnie, przerażająco znajomy. Choć nie wiedział skąd. A potem świetliste refleksy pomknęły z powrotem do serca malowanej bogini, huknęło niezwykle donośnie, przez salę przeszedł gwałtowny podmuch wiatru. Następnie wszystko ucichło.

Zapanowała głucha cisza. Oliver ostrożnie otworzył oczy i zbladł w jednym momencie. Sonia leżała nieruchomo na podłodze, tuż obok resztek tego, co kiedyś było kamienną płytą pokrytą bezcennymi malunkami. Dokładnie przy jej dłoni spoczywał odłamek z głową bogini.

Chłopak nie mógł uwierzyć w obraz zniszczeń, jaki miał przed oczami. Cała zabytkowa, unikatowa płyta rozpadła się na wiele większych lub mniejszych kawałków, które z kolei rozprysły się po całej podłodze. Tylko szczęściem uniknął ciosu całkiem sporym odłamkiem, który upadł tuż obok niego.

Wyobraził sobie, jaka afera wybuchnie z powodu tajemniczego zniszczenia cennego eksponatu, w samym środku dnia! Był pewien, że nie chce być z tym kojarzony. Tylko tego brakowało, żeby poznali go przez głupi zbieg okoliczności!

– No, pięknie – mruknął z nieszczęśliwą miną. – Chyba coś się na mnie uwzięło!

Wiedział, że trzeba stąd zniknąć, nim wszyscy zlecą się, by sprawdzić, co spowodowało taki huk, który z pewnością nie został dostatecznie stłumiony mocą iluzji. Żeby uniknąć ewentualnych kłopotów, musiał też zniszczyć dowody, czyli zadbać o to, żeby nie kojarzono jego obecności z katastrofą. I Soni. Bo, jak to się mówi, po nitce do kłębka, jeśli przyjadą ją przesłuchiwać, przesłuchają przy okazji wszystkich innych. I klapa.

Ktoś niespodzianie wrzasnął. Oliver wzdrygnął się mimowolnie, po czym spojrział na turystów, którzy z osłupieniem oraz przerażeniem wpatrywali się w ruiny, w nieruchomą dziewczynę, w niego, w ruiny, w nieruchomą dziewczynę, w niego... I tak w kółko. Jedna zdecydowanie nieszczupła kobieta aż zemdląła z wrażenia i zwała się na ziemię z głośnym PLASK.

Zniszczyć dowody. Natychmiast.

Oliver w jednej chwili porównał w głowie kilka opcji. Wybrał tę najnudniejszą, ale niewymagającą dużego skupienia.

Machnął ręką w stronę znieruchomiałych turystów, próbujących zrozumieć

całą sytuację. Przez salę przemknął powiew suchego wiatru. Cała grupka dostała gwałtownego ataku kichania, aż łzy zakręciły im się w zapiaszczonych oczach.

Niemal w tym samym momencie Oliver podbiegł do Soni, która właśnie oparła się na łokciu i nieprzytomnym wzrokiem rozglądała się dookoła. Zamrugła ze zdziwienia na widok gwałtownie kichających turystów, którzy właśnie w tym momencie zemdleni osunęli się na posadzkę. Przez jej twarz przemknął wyraz zdenerwowania, gdy ujrzała kamienne odłamki. Kiedy zobaczyła Olivera, zmarszczyła w zamyśleniu brwi. Nie miała pojęcia, skąd się tu wziął.

– To ty zniszczyłeś tę płytę? – zapytała trochę nieprzytomnie. Równocześnie zamrugła, gdy zaczęły wracać do niej wspomnienia.

– Oczywiście, że nie, za kogo ty mnie masz?! Dobra, nie musisz odpowiadać. Chodź, szybko – wyrzucił z siebie, podając jej dłoń.

– Ale... Co tu się stało? – wyjęczała słabym głosem, odruchowo spoglądając ze zdziwieniem na swój nadgarstek.

Oliver również zatrzymał na nim wzrok. Przez twarz przemknął mu dziwny skurcz. A potem bez słowa chwycił ją za rękę, pomógł wstać i prędko wyprowadził z pomieszczenia, do którego zaczęli się zbiegać ciekawscy turyści. W jednym z korytarzy wyminęli kilku biegnących pracowników muzeum, którzy na szczęście zupełnie nie zwrócili na nich uwagi.

I Sonia, i Oliver myśleli o tym samym. Myśleli o świetlistym znaku, który jaśniał na jej nadgarstku, zasłoniętym teraz jego dłonią. Ona nie wiedziała, co oznacza, w jej głowie panował całkowity mętlik. Nie miała śmiałości, by zapytać o cokolwiek, choć czuła, jak tysiące pytań kotłują się w jej umyśle.

On natomiast błagał w myślach, żeby o nic nie pytała. Robił jak najbardziej ponurą, odpychającą minę, jaką umiał wywołać na swojej twarzy. Ale równocześnie zerkał uważnie na zagubioną koleżankę, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. Kim ona była? Ale głównie próbował zrozumieć, dlaczego akurat u niej pojawił się ten znak.

Znak Izydy.



Rozdział ósmy

ZAUFANIE

– Gdzie idziemy? – zapytała w końcu Sonia niepewnym głosem, zerkając na Olivera.

– Gdzieś, gdzie nie będzie ciekawskich tłumów – odparł, ciągnąc ją za rękę.

Nie opierała się, czując się słabo z powodu mnóstwa chaotycznych myśli zajmujących jej zszokowany umysł, który wciąż szukał jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia dziwnych zdarzeń. Postanowiła wyjątkowo zaufać dziwnie spokojnemu koledze. Nawet cieszyła się, że ktoś ją prowadzi. Obawiała się, że sama mogłaby zgubić się całkowicie, gdyż z trudem skupiała się nawet na najprostszyc rzeczach.

Była bardzo zagubiona, nie miała pojęcia, co się stało. Czy to był sen, czy może jednak rzeczywistość? Dlaczego wspomnienia sprzed pięciu minut miała takie niewyraźne? I czy to, co pamiętała, było prawdziwe?

Jedno wiedziała. Nie musi się bać. Całe wcześniejsze przerażenie uleciało z niej, zastąpione przez dziwne poczucie, że wszystko jest właśnie tak, jak należy.

Ale nie było. To coś na jej ręce... nie powinno go być. To nienaturalne. Skąd się wzięło? Dlaczego świeci? Jakim cudem świeci?!

Tyle pytań i wątpliwości zajmowało jej myśli, cały jej świat, tak uporządkowany, zachwiał się porządnie, żeby nie powiedzieć, runął.

Zatrzymali się w jakiejś pustej sali. Wtedy Oliver spiorunował wzrokiem obiektyw błyszczącej kamery. Sonia spojrzała na niego ze zdumieniem, nie mając pojęcia, że właśnie wyłączył urządzenie.

Dopiero gdy upewnił się, że jest bezpiecznie, zabrał dłoń z nadgarstka blondynki. Natychmiast ich twarze zostały oświetlone jasnym, ciepłym blaskiem bijącym od utkanego z białego światła znaku. Sonia ostrożnie uniosła rękę bliżej

twarzy, wpatrując się w symbol wielkimi, zszokowanymi oczami. Zerknęła na Olivera, przypatrującego się jej nachmurzonym wzrokiem.

– Co to jest? – szepnęła drżącym głosem, ostrożnie dotykając palcem dziwnej światłości. Biło od niej przyjemne ciepło, które jednak sprawiło, że zadrżała.

– Skąd mam wiedzieć – mruknął niechętnie chłopak, krzyżując ręce. – To nie moja ręka stała się latarką. Ty powinnaś wiedzieć.

– Ale nie mam pojęcia! Co tam się w ogóle stało?

– Napadły cię ufoludki.

– Serio? – Była tak skołowana, że mogła uwierzyć nawet w to. No bo skąd to dziwne światło, błyski, głosy...?

– Zgadnij. – Wywrócił oczami.

– Czyli nie – mruknęła urażonym głosem. – Bardzo mi pomagasz, wiesz? Jeśli ma tak być, to lepiej zostaw mnie w spokoju. Ja... – tu głos lekko jej się załamał – ja nie rozumiem. Co to było? Czułam się tak dziwnie... Jak w transie. Ktoś do mnie coś mówił... Jakaś dziewczyna. Nie, to mówiło to malowidło... Ale to przecież niemożliwe! – Spojrzała błagalnie w kamienne oczy Olivera, jakby prosząc, by wszystko jej wytłumaczył, po czym wyjęczała roztrzęsiona: – Czy ja oszalałam?!

– Nie – powiedział ku jej całkowitemu zaskoczeniu.

Chyba był tego całkowicie pewny... Sonia poczuła, że trochę jej ulżyło. Czyli wszystko z nią w porządku...

– Skąd wiesz? – zapytała nieśmiało.

– Bo przecież widzę, że ci ręka świeci, dziewczyno! A ze mną jest z całą pewnością wszystko dobrze!

– Ale w takim razie skąd to się wzięło? – wyszeptała, patrząc z wahaniem na świecący jasno znak.

– Już mówiłem, że nie wiem!

Sonia spojrzała długo na niego poważnym wzrokiem. Wyczuwała, że kłamie. I to nie tylko z tonu jego głosu, przez który przebijał się także całkowity brak zaufania. Cała jego sylwetka mówiła to samo. To było tak oczywiste, jak to, że zbiera się na deszcz, gdy na niebie gromadzą się szare chmury.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Przecież widzę, że nie mówisz mi prawdy! – zapytała z oskarżeniem wypisanym w oczach.

Choć na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, Sonia wyczuła, że trochę go to zaskoczyło. Teraz biły od niego głównie nieufność i podejrzenie.

Jejku, wcześniej nie udawało mi się odgadnąć, czy jest zadowolony, czy nie! – pomyślała Sonia z miłym zaskoczeniem.

– Czemu tak myślisz? – zapytał pozornie obojętnym tonem, sięgając do kieszeni.

– To widać – odparła, obserwując z zaciekawieniem, jak go to zaniepokoiło i zmieszało.

– W takim razie masz problemy ze wzrokiem, idź lepiej do okulisty – burknął, a następnie zmienił temat, równocześnie wyjmując zaciśniętą rękę z kieszeni. – Trochę rzucasz się w oczy z tym świecącym znakiem. Trzeba coś z nim zrobić, jeśli nie chcesz wylądować w cyrku.

Wyciągnął w jej stronę zamkniętą dłoń, którą następnie otworzył.

– Załóż to – rozkazał.

– Co to jest? – zapytała Sonia, marszcząc brwi na widok czegoś szerokiego, puchatego i będącego w kolorze piasku.

– Opaska na rękę. Idealna dla ciebie. – Oliver uśmiechnął się szeroko, ale blondynka ze zdumieniem zauważyła, że tak naprawdę wcale nie był wesoły.

Wydawał się cały czas smutny oraz zniechęcony... Dziwne.

– Wygląda jak jakieś futro – zauważyła Sonia, ostrożnie biorąc bransoletę do ręki.

– Ale zasłoni ci nadgarstek, dopóki znak nie zbladnie. – Wzruszył ramionami, po czym dodał szybko: – Jeśli zbladnie, oczywiście.

Ale Sonia wiedziała, że był całkowicie pewny, że nie będzie świecić bez końca. Tylko skąd to wiedział?

– Dzięki – powiedziała, wsuwając opaskę na rękę.

Przy okazji zastanowiło ją to, skąd ją wziął. Przecież niczego takiego nie nosił...

Oliver zignorował jej podziękowania.

– Lepiej jej nie ściągać, dopóki nie będziesz sama. I nie mów o tym nikomu, a zwłaszcza o mnie. Nie chcę być uznany za znajomego wariatki.

Sonia uniosła brwi. Wyczuła, że tak naprawdę chodziło o coś więcej. Ale nie powiedziała zupełnie nic.

Oliver odwrócił się na pięcie i szybko zniknął za progiem sali. Została sama. W zamyśleniu spojrzała na swój nadgarstek. A potem uśmiechnęła się szeroko. Właśnie dotarło do niej, że przytrafiło jej się coś absolutnie magicznego, niezwykłego oraz niesamowitego! Zawsze o tym marzyła! Czy to nie cudowne?! I choć nie miała zielonego pojęcia o tym dziwnym znaku, czuła, że nie jest to nic groźnego czy złego. W głębi duszy była zadowolona z tego, że przydarzyło się to właśnie jej. Mimo że jakaś część jej świadomości szeptała, iż to coś nienormalnego oraz niezrozumiałego, a zatem powinna się tego bać, to jednak nie czuła strachu. To dziwne uczucie w sercu mówiło jej, że wszystko jest w porządku. Postanowiła mu zaufać. Nawet, jeśli nie miała pojęcia, co się przed chwilą stało.

Jej spokój odrobinę zachwiało nagłe wspomnienie upiornie obserwujących ją posągów. Zadrżała oraz rozejrzała się wokoło spłoszonym wzrokiem, ale tym razem nikt się w nią nie wpatrywał. Mimo to poczuła się bardzo nieswojo

i wybiegła z pustej sali, postanawiając odszukać Esterę oraz opowiedzieć jej o wszystkim bardzo dokładnie. Musiała tak zrobić, chociażby po to, by upewnić się, że zdarzyło się naprawdę. Bo wciąż nie mogła w to uwierzyć.

* * *

Estera wyglądała na głęboko wstrząśniętą opowieścią Soni. W milczeniu wysłuchiwała całej historii, rzucając jedynie zdumione spojrzenia na rozemocjonowaną koleżankę. Gdy ta skończyła mówić i spojrzała na nią, błagając w myślach, by nie wzięła jej za wariatkę, szatynka zamrugła gwałtownie oraz zażądała słabym głosem, by blondynka pokazała jej nadgarstek, bo inaczej nie uwierzy.

Sonia zawahała się, ale po chwili uważnie rozejrzała dookoła. Gdy po raz setny upewniła się, że żaden z turystów nie patrzy na nie, ostrożnie odchyliła opaskę na kilka milimetrów. Ze szczeliny natychmiast wydobył się migotliwy blask, rozświetlając jej rękę. Estera pochyliła się nad nią. Sekundę później wyprostowała się oraz oznajmiła cichym głosem, że trochę jej słabo. Opadła na stojącą nieopodal ławeczkę. Pobladła mocno i w milczeniu popatrywała na Sonię, która niepewnie usiadła obok niej.

Blondynka czuła, że jej koleżanka przeżywa wewnętrzną burzę. Postanowiła dać jej trochę czasu na zrozumienie całej sytuacji, na względne poukładanie myśli, które przecież u samej Soni zdecydowanie nie były poukładane. Gdy Estera trochę się uspokoiła, blondynka zdecydowała, że nadszedł czas na decydujące stwierdzenie, które z pewnością zmieni ich przyjaźń. Tylko jak? Czy da sobie radę sama z brzemieniem tajemnicy i niepewności?

– Wierzysz mi...? – zapytała drżącym głosem, ze ściśniętym z obawy sercem.

A co, jeśli nie? Straci koleżankę? Będzie uznana za dziwadło? Wyląduje w cyrku, jak stwierdził Oliver? Może lepiej trzeba było zachować to w tajemnicy?

– Ja... – zawahała się Estera, po czym dokończyła zdławionym głosem – ...chyba ci wierzę. Ale to jest takie... dziwne. Nie mogę tego zrozumieć... Ja... Pozwól, że to przemyślę, dobra? Wtedy o tym porozmawiamy... dokładniej.

– Jasne – powiedziała natychmiast Sonia, prawie płacząc z ulgi.

A więc jednak wszystko będzie dobrze! Uwierzyła! Razem zrozumieją, co się stało. Dowiedzą się, co ukrywa Oliver, który, zdaje się, ma świetną orientację w dziwnych zdarzeniach. Razem dadzą radę.

Ponownie zapadła między nimi cisza. Estera próbowała zapanować nad

gonitwą myśli, a Sonia nie chciała jej przeszkadzać, czując bezgraniczną wdzięczność za okazane zaufanie. Jednak, gdy do końca wyznaczonego czasu na zwiedzanie brakowało niecałej godziny, blondynka zdecydowała się odezwać.

– To co teraz robimy? – zapytała.

Estera z zagubionym wyrazem twarzy zerknęła na zegarek, po czym trochę z wysiłkiem uśmiechnęła się, mówiąc:

– Mam świetny pomysł! Możemy pooglądać statuetki...

– O, nie – jęknęła natychmiast Sonia. – Mam już dość pawianów, znam każdy detal każdej figurki tej mały w tym muzeum!

– Ja też! – roześmiała się szatynka. – Ale nigdy nie wiadomo, mogło nam coś umknąć...

Obie w dużo lepszych nastrojach nieśpiesznie ruszyły na miejsce zbiórki. Sonia bardzo się cieszyła, odczytując powrót wesołości u Estery jako dobry znak.

Kiedy niezadowoleni opiekunowie pożalili się, że zdążyli zwiedzić tylko kilka sal podczas całego pobytu w muzeum, a szatynka posłała koleżance porozumiewawczy uśmiech, Sonia wiedziała, że jest już naprawdę dobrze. I coraz bardziej optymistycznie patrzyła na to dziwne zdarzenie, które naznaczyło ją świetlistym symbolem, a o którego roli oraz znaczeniu tak mało wiedziała.

W przeciwieństwie do Olivera, który z ponurą miną zagłębiał się we wspomnienia i rozmyślał o błyszczącym znaku bardzo intensywnie przez całą drogę powrotną.



Rozdział dziewiąty

CIENIE

Wrócili do ośrodka dawno po kolacji, czym bardzo zmartwili się bracia. Ku ich wielkiej uldze na całą grupę czekał posiłek, po którym część osób udała się do świetlicy, by dołączyć do oglądania jakiegoś filmu, a pozostali rozeszli się do swoich pokoi. Wśród tych drugich znajdował się Oliver, który z ulgą pozbył się trajkoczących o czymś Anglików.

Od kilku godzin nie mógł się doczekać chwili, kiedy wreszcie znajdzie się sam w pokoju. Zatrzasnął drzwi i natychmiast podszedł do swojego wielkiego plecaka. Ostrożnie wsadził do środka rękę, a następnie otworzył sprytnie ukrytą kieszeń. Bez chwili wahania sięgnął po dość gruby, czarny notes. Przekartkował gęsto zapisane drobnym, eleganckim pismem strony. Tylko on potrafił doczytać się czegoś w niezrozumiałych, pomieszanych notatkach, których odszyfrowanie każdego innego przyprawiłoby o ból głowy.

W końcu z triumfalną miną zatrzymał się przy stronie aż czarnej od ilości nakreślonych na niej słów.

– Boskie znaki – odczytał podwójnie podkreślony nagłówek.

Uśmiechnął się z nostalgią na wspomnienie, jak bardzo narzekał, że musi wszystko zapisywać, na dodatek ręcznie, zamiast na komputerze. „Po co? Przecież i tak będę wszystko pamiętał!” – złościł się wtedy. Teraz odpowiedź, że zawsze lepiej mieć wszystko spisane, bo pamięć czasem zawodzi i nigdy nie jest się pewnym, czy czegoś się nie pomieszało, wydała mu się niepozbawiona sensu. Tak, dobrze, że jednak to zapisał. Bo niby jak inaczej mógłby się upewnić?

Otrząsnął się z myśli, przypominając sobie, że nie ma wieczności na dumanie w samotności nad swoimi zapiskami. Gdy wrócą bracia, a nigdy nie jest się pewnym dnia ani godziny, kiedy to nastąpi, z pewnością będą chcieli zobaczyć,

co takiego trzyma w ręce. A dawanie im notesu to nie był dobry pomysł. Mogliby go zniszczyć lub, co gorsza, czegoś się doczytać.

Spojrzał z powrotem na kremowe karty. Obok drobnych zapisków widniał rząd malutkich rysunków. Przemknął po nich wzrokiem, zatrzymując się dopiero przy symbolu przypominającym dysk słoneczny, z którego wydobywały się różnej długości promienie oraz rozmaite wzory, przypominające kwiaty, pędy, dym, rogi lub dziwne hieroglify.

– Znak Izydy – mruknął do siebie. Taki sam jak na nadgarstku Soni. A więc jednak miał rację. Została wybrana. A niech to!

Westchnął ciężko, a potem powrócił spojrzeniem na samą górę strony, gdzie znajdował się ogólny opis znaków. Musiał się upewnić, czym dokładnie były, skąd się brały i... dlaczego.

Zdażył jednak przeczytać tylko pół słowa, bo w tym samym momencie na korytarzu rozległ się głośny tupot, a sekundę później drzwi wystrzeliły, obijając się o ścianę. Do środka wpadli weseli bracia. Czuli się już całkiem niezłe, rany na stopach szybko się goiły. Przynajmniej można było tak wywnioskować, ponieważ cały czas gdzieś biegali.

Zastali Olivera z bardzo niezadowoloną miną zapinającego swój plecak.

– Już wróciliście? – zapytał niechętnie. – Czemu tak szybko?

– Już oglądaliśmy ten film. – Steve wzruszył ramionami.

– Więc przyszliśmy do ciebie, żeby ci nie było smutno i nudno samemu – dodał John.

– Tak, było mi bardzo smutno – wycedził Oliver ze złością. – I jeszcze bardziej nudno.

Zmusił się do chwilowego zapomnienia o czarnym notesie, obiecując sobie, że znajdzie odpowiednią chwilę, by go na spokojnie przejrzeć.

* * *

Choć nie trzasnęły żadne drzwi ani nie otworzyło się żadne okno, w jeszcze przed sekundą pustym biurze ktoś się pojawił. Po prostu wyłonił się z mroku panującego niemal wszędzie, dzięki czemu trudno było stwierdzić, skąd dokładnie ta osoba wyszła albo jak się tu dostała.

Postać bezszelestnie podeszła do stojącej przy oknie gabloty, skrywającej lśniący tajemniczo w świetle księżycy wisior. Przyklękła przy niej i wlepiała połyskujące oczy w złotą ozdobę.

Amulet Ozyrysa miał może z dwadzieścia centymetrów wysokości, a trochę

ponad dziesięć szerokości. Był w kształcie krzyża ankh, symbolu życia, zawieszony na cienkim, ale mocnym łańcuchu. Został wykonany ze złota, pięknie wkomponowane w niego kamienie szlachetne połyskiwały kusząco. Wianuszek głębokiego błękitu oraz kryształowej, a może raczej diamentowej bieli otaczał krwistą czerwień królującego w samym centrum rubinu. Choć ozdoba wyglądała może trochę niepozornie, to jednak była całkowicie bezcenna. I tkwiąca nieruchomo postać doskonale o tym wiedziała.

Uniosła dłoń, oparła ją na ochronnej szybie. Jej oczy zabłyśły czerwienią. Coś kliknęło i szklane drzwiczki same się otworzyły. Postać, skryta w mroku nierozpraszanym przez wątłe światło księżyca, wyciągnęła rękę do złotej ozdoby. Gdy brakowało dosłownie kilku centymetrów, aby ją dotknąć, nieznajomy zawahał się...

Jednak tylko na krótką chwilę. Potem zacisnął rękę na ozdobie, czując, jak w tym samym momencie przepływa przez niego strumień potężnej energii.

– Tak... Wreszcie mój! – szepnęła tajemnicza osoba, przymykając oczy i unosząc amulet na kilkanaście milimetrów.

Nagle postać drgnęła i natychmiast obróciła twarz w kierunku drzwi. Zacisnęła usta ze złością, po czym odłożyła złoty przedmiot. Bezgłośnie zatrasnęła drzwiczki oraz zerwała się z dywanu. Zniknęła w mrocznym kącie dokładnie wtedy, gdy drzwi otworzyły się na całą swoją szerokość.

Błysnęło światło.

Juan Mandara zmrużonymi podejrzliwie oczami rozejrzał się po swoim gabinecie. Sprawdził, czy na pewno wszystko jest w porządku i czy nikt nie schował się gdzieś za szafą. Dopiero gdy upewnił się, że jest pusto, zgasił lampę, wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Spokoju mroku pomieszczenia nie zakłóciło już nic.

* * *

Oliver zamarł, usłyszawszy jakiś szelest piętro wyżej. Niepewnie wpatrzył się w olśniewająco białą klatkę schodową głównego budynku, jakby świecąca się w panującej wokół ciemności.

Ktoś przeszedł korytarzem na pierwszym piętrze. Trzasnęły drzwi. Oliver odetchnął z ulgą. Gdyby ten ktoś postanowił zejść na dół, z pewnością zaskoczyłaby go awaria czujek ruchu, dzięki której byle donica czy kąt stawały się świetną kryjówką. Tak, wyłączył czujki ruchu, a przygotowujące go o dreszcze kamery na szczęście pozbawione były podczerwieni, zatem nie musiał ich psuć.

I tak nic nie było przez nie widać. No i był całkowicie pewny, że nie zarejestrują go w ciemności, zakłócają jedynie gdzieś przez blade promienie księżycowego blasku.

Przekradł się pod niepozorne drzwi w głębi korytarza. Ze szpary pod nimi wydobywało się chłodne światło. Oliver stanął przed drewnianym prostokątem chronionym szyfratorem i przyklnął ze skupieniem oczy. Chwilę później je otworzył, a w ciemnych tęczęwkach załśnił blask komputerowych monitorów oraz jednej lampki oświetlającej puste teraz stanowisko strażnika. Znalazł się w środku.

Obrzucił biurko strażnika obojętnym spojrzeniem. Wśród najróżniejszych przedmiotów zauważył porzuconą w pośpiechu książkę. A zatem wywołany przez niego fałszywy alarm włamaniowy w garażu zaskoczył mężczyznę przy lekturze.

Oliver podszedł do podwójnego rzędu monitorów, wyświetlających obrazy widziane przez obiektywy kamer. Przyjrzał im się krótko, zauważając, że główny korytarz parteru jest pogrążony w prawdziwie egipskich ciemnościach, a strażnik macha latarką w krzakach przy garażu, zapewne przeszukując je w poszukiwaniu nieistniejących włamywaczy.

Następnie chłopak przyłożył dłonie do dwóch pierwszych komputerów, równocześnie marszcząc brwi i zaciskając powieki. Obrazy na wszystkich monitorach zamigotały chaotycznie, coś gdzieś błysnęło, zgrzytnęło, pisnęło, a potem zapadła cisza.

Oliver ze znużeniem opadł na fotel strażnika, opierając głowę na ręce. Cienie pod oczami wyraźnie mówiły, że jeśli zarwie kolejną noc, jeszcze bardziej opadnie z sił. Dlatego tego wieczoru wyruszył wcześniej, chcąc zakończyć wyznaczone sobie zadanie jak najszybciej. Zerknął na zmieniające się co chwilę obrazy z kamer. Choć pozornie nie widać było różnicy, wiele się zmieniło. Głównie to, że kamery przestały nagrywać, co widziały. Tylko pokazywały teraźniejszość. Nie dało się cofnąć nagrań, by coś sprawdzić, ponieważ one nie istniały.

Tak! Koniec stresujących kamer!

Na jego zmęczonej twarzy pojawił się cień zadowolonego uśmiechu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już jutro w nocy do końca zrealizuje swój cel i na zawsze stąd zniknie.

Jeśli wszystko się uda.

Westchnął oraz zmrużył z rozmarzeniem oczy. Wtedy wszystko będzie takie piękne... Wszystko się zmieni, powróci do dawnego, słusznego porządku. Znowu będzie wiódł normalne życie ze swoją rodziną. Tak, tak właśnie będzie. Tak musi być. Nie ma innej opcji.

Nagle Oliver wytrzeszczył oczy z wyrazem całkowitego zdumienia na twarzy. Zerwał się z miejsca i przypadł do jednego z monitorów, z całej siły zaciskając roztrzęsione, straszliwie pobladłe palce na krawędzi stolika.

– To... to niemożliwe! – wydusił z siebie słabym głosem, czując

przytłaczającą pustkę w głowie.

Patrzył w nachmurzoną twarz chłopca o ciemnych włosach i złotych oczach, który stał w jednych z drzwi pierwszego piętra, przytrzymywanych przez mówiącego coś Juana Mandarę.

Świat zawirował mu przed oczami. Znał tego chłopca. Świetnie go znał. Jak mało kto.

W końcu brunet pokręcił głową z niechęcią, a kierownik zatrzasnął drzwi.

– Nie! Proszę, nie! – jęknął Oliver, błyskawicznie sięgając ręką do monitora.

Musiał mu się przyjrzeć! Nagle zamarł oraz zacisnął ze złością zęby. Przecież nie dało się cofnąć nagrania!

Zerwał się z miejsca i wypadł na pogrążony w mroku korytarz. W głowie mu huczało, chaotyczne myśli szalały, a on sam nie mógł pojąć tego, co zobaczył. Czy to możliwe?!

Nagle od strony schodów rozległ się dziwny hałas. Oliver w jednym momencie schował się za bujną palmę, drżąc z rozpierających go sprzecznych emocji.

– Co się stało z tym głupim światłem?! – wydarł się męski głos gdzieś przy pierwszych stopniach. – Czemu czujki nie działają?!

– Ups – szepnął chłopak i pstryknął palcami. Nie było obawy, że mężczyzna mógłby go usłyszeć, ponieważ strasznie czymś szurał.

Lampy natychmiast zabłysły oślepiającą jasnością, sprawiając, że Oliver skulił się za drzewkiem, z bolesną miną zasłaniając oczy. Zaintrygowany dziwnymi pomrukami postanowił jednak sprawdzić, co wylądowało na podłodze obok wściekłego mężczyzny. Wyjrzał zza liścia i natychmiast uśmiechnął się niezwykle szeroko, patrząc z niedowierzaniem w zmrużonych oczach, z trudem tłumiąc śmiech.

Ujrzał pana Mandarę nieudolnie gramolącego się z podłogi. W duszy pożałował, że kamery niczego nie nagrały, chętnie bowiem obejrzałby sobie to, jak mężczyzna zwalił się ze schodów, a później nie mógł się podnieść. Bo wywnioskował, że właśnie to musiało się stać.

Kierownik sapał straszliwie i zaczerwienił się jak burak, przy czym bardzo się napuszył, przez co wyglądał jak balon, który zaraz pęknie. Gdy wreszcie wstał, obrzucił całe otoczenie wściekłym spojrzeniem i udał się w stronę wyjścia, po drodze kopiąc jakąś donicę, która miała pecha stać przy trasie jego przejścia.

Oliver przemknął za jego plecami i, przeskakując po trzy stopnie, dostał się na pierwsze piętro. Czując, jak bardzo gwałtownie bije mu serce, wpadł na całkowicie pusty korytarz.

Rozgorączkowanym wzrokiem odszukał drzwi, za którymi, według wszelkiego prawdopodobieństwa, znajdował się czarnowłosy chłopak.

Przystanął niepewnie na widok szyfratora oraz wielkiej kłódki, ale już po

chwili znalazł się w środku. Przecież nie musiał otwierać drzwi. Wystarczyła mu szpara pod nimi.

Rozglądając się po dość wygodnie urządzonej pomieszczeniu, wyłożonym drewnianą boazerią. Poczł straszliwy zawód ściskający mu serce. Wnętrze było puste.

– Rémi?! – zawołał łamiącym się głosem.

Opadł na zakurzoną sofę, czując, jak do oczu napływają mu łzy. Z całej siły zacisnął dłonie. Spuścił wzrok.

Po dłuższej chwili, którą przesiedział całkowicie nieruchomo, z bólem w oczach wpatrując się gdzieś w przestrzeń, powoli podniósł głowę i uważniej przyjrzał się otoczeniu. Nie było drugiego wyjścia. A zatem, czy to mogło być tylko przedziwne przewidzenie...? Zapewne. Musiał to przyznać, choć ta świadomość raniła go bardzo głęboko. Jego brata nigdy tu nie było. To przecież niemożliwe.

Westchnął żałosnie, a następnie ze zniechęceniem wstał z sofy. Skierował swe kroki na korytarz, a potem w stronę klatki schodowej. Niemrawo zwał się po białych stopniach, wciąż wracając myślami do obrazu, który wyrwał mu się w pamięci. Obrazu chłopca o ciemnych włosach i złotych oczach, w których zawsze błyskały figlarne, buntownicze iskielki.

Nagle Oliver przystanął. Tuż przy ostatnim schodku leżała na ziemi jakaś karta. Musiała wypaść kierownikowi, gdy wywrócił się na schodach. Podniósł ją bez zbytniego entuzjazmu, przyglądając się jej obojętnie. A potem lekko uśmiechnął się z niedowierzaniem, ale jakby bez życia. Rozpoznał ją. Był to magnetyczny klucz otwierający wszystko. Dosłownie wszystko. Skąd to wiedział? Oczywiście z nocnego rekonesansu, kiedy to uważnie oglądał nagrania z kilku umieszczonych w bardziej interesujących miejscach kamer. Wtedy to Juan Mandara takim właśnie kluczem dostał się do swojego pokoju oraz do jednego z trzech małych budyneczków. Co oznaczało, że teraz Oliver też może tam wejść. Ale dopiero jutro, na dziś już koniec.

W odrobinę lepszym nastroju odwrócił się tyłem do schodów, kiedy ponownie nawiedziły go drażliwe wspomnienia. Zmarkotniał, gdy przed oczami stanęły mu obrazy z przeszłości, i tej niedawnej, i tej dawniejszej.

Na pewno nie było tu Rémięgo. To całkowicie niemożliwe. Nierealne. Więc jakim cudem...?

W pewnym momencie Oliver drgnął pod wpływem nagłej myśli, która pojawiła się w jego umyśle całkiem przypadkowo. W jego oczach błysnęła niepewność oraz zastanowienie.

Amulet. Wskrzesza umarłych, więc może przywołuje też duchy?

Czy więc kierownik potrafi z nimi rozmawiać...?



Rozdział dziesiąty

W MROKU PIRAMID

Pomarańczowy autobus zaparkował wśród mnóstwa innych pojazdów na zatłoczonym parkingu. Po chwili z jego wnętrza pod palące promienie rażącego słońca wysypała się kilkunastoosobowa grupka nastolatków. Powietrze drgało od gorąca, falując nad złotymi piaskami pustyni.

– Rany, ale upał! – sapnęła Sonia, wachlując się czapką z daszkiem i odczuwając z zawodem, że niestety nic to nie daje.

Eстера tylko uśmiechnęła się potwierdzająco, choć nie wyglądała na aż tak zmęczoną upałem jak jej koleżanka.

– No, chodźcie! – zawołał jeden z opiekunów, ruszając w stronę wznoszących się pod samo niebo piramid.

Kolosalne budowle królowały w całej okolicy, roztaczały aurę starożytnej tajemnicy. Tuż obok nich odpoczywał niewzruszony Sfinks, jakby czekając na kogoś, kto rozwiąże jego nieznaną, dawno zapomnianą zagadkę, której treść zaginęła na przestrzeni wieków.

– Wiesz... Wyobrażałam sobie, że piramidy są trochę większe... Choć i tak są gigantyczne – powiedziała Sonia po krytycznym przyglądnięciu się zabytkom, a Eстера tylko uśmiechnęła się porozumiewawczo. Powiedziała dokładnie to samo, gdy pierwszy raz stanęła przed kamiennymi budowlami kilka lat temu.

Ruszyli w stronę starożytnych grobowców, wpatrując się w nie z oczarowaniem. Śpieszące się mrowie ludzi poruszało się kolorowym, gwarnym korowodem u ich podstaw, a szczególnie przy Sfinksie. Tłum handlarzy krążył między turystami, próbując wcisnąć im mnóstwo pamiątek czy też oferując przejażdżkę wielbłądem.

W końcu grupka stanęła przy pierwszym monumentalnym grobowcu,

a opiekun zaczął opowiadać o ich historii i przeznaczeniu.

Piramidy z Gizy nie były pierwszymi ani najstarszymi egipskimi piramidami, jednak wspaniale się zachowały. Budzą podziw swoim kształtem, ogromem i wiekiem. Te trzy najsławniejsze powstały w połowie trzeciego tysiąclecia przed naszą erą jako królewskie grobowce faraonów: Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa. W starożytności były uważane za jeden z siedmiu cudów świata, a współcześnie także nie da się przejść obok nich, nie zwróciwszy uwagi na ich piękno i magię. Grobowce faraonów są otoczone przez groby członków rodziny królewskiej oraz ważnych dostojników. Największa jest piramida Cheopsa, potem Chefrena, choć stwarza optycznie wrażenie wyższej, a na samym końcu Mykerinosa. Jednakże dziś są dużo mniejsze niż oryginalnie, a to między innymi z tego powodu, że przez wieki były świetnym źródłem pozyskiwania kamienia, głównie do celów budowlanych.

– Stoimy teraz przy piramidzie Cheopsa, zwanej też Wielką Piramidą – oznajmił opiekun. – Można ją rozpoznać po charakterystycznie ściętym wierzchołku. Została zbudowana z mnóstwa niezwykle ciężkich, kilku- lub nawet kilkunastotonowych bloków. Jest to najcięższa kamienna budowla stworzona przez człowieka. To niezwykle, że jej narożniki wyznaczają dokładnie cztery strony świata.

Słuchając o historii piramidy, podeszli pod samo wejście. Następnie wkroczyli do środka, zagłębiając się w duszny korytarz. Pokonując ciasne, niskie, często strome przejścia, Sonia oddychała płytko, starając się powstrzymać uczucie duszności oraz klaustrofobii, z czym miała jednak mały problem. Niektóre korytarze były naprawdę ciasne, trzeba było iść w pozycji pochylonej. Na dodatek w środku grobowca panowały zaduch i gorąco.

– W tej piramidzie temperatura jest zawsze taka sama, niezależnie od warunków klimatycznych na zewnątrz – sapnęła idąca tuż przed Sonią Estera.

– Naprawdę? A jak jest wysoka? – zapytała blondynka słabym głosem, próbując zignorować uciążliwy nacisk na klatkę piersiową, który odczuwała.

– Zawsze dwadzieścia stopni Celsjusza.

– Mogłoby być trochę chłodniej – westchnęła Sonia.

Swobodniej odetchnęła dopiero, gdy doszli do Wielkiej Galerii, przestronniejszej oraz wyższej niż reszta korytarzy. Wznosiła się ona, by połączyć się z wąskim, długim przedsionkiem prowadzącym do komory królewskiej. Zatrzymali się w niej na parę minut z powodu zatoru, który zrobił się gdzieś u jej końca. Blondynka rozluźniła się nieco, czując się lepiej w większej przestrzeni, i rozglądnęła dookoła z zainteresowaniem w błyszczących oczach. Po chwili grupa zaczęła powoli piąć się w górę.

W tym samym momencie Sonia drgnęła, a na jej twarz wypłynęło przerażenie. Skamieniała, nie mogąc odwrócić wzroku od dziwnego, budzącego

przerażenie stwora kulącego się w kącie Galerii, tuż przy wejściu.

Był tyczkowaty i nienaturalnie chudy. Na poczerniałej, strasznej twarzy płonęły złośliwie oczy, w ustach, a może raczej paszczy, widać było rząd cienkich, ostrych jak brzytwa zębów. Przypominał odrobinę nietoperza, ale pobladła dziewczyna nie wiedziała do końca dlaczego.

Sonia położyła, albo raczej wczepiła roztrzęsioną dłoń w ramię Estery, zatrzymując ją w miejscu.

– Hej! Co robisz? To boli – syknęła szatynka, czując, jak paznokcie koleżanki wbijają jej się w ciało.

– T... tam jest j... jakiś potwór! Spójrz! – wyjęczała po polsku blondynka, trzęsąc się ze strachu i obrzydzenia.

Estera zmarszczyła niepewnie brwi i spojrzała w kierunku, w którym patrzyła przestraszona Sonia.

Stwór wyszczerzył upiornie zęby, powodując nowe dreszcze u zszokowanej blondynki.

– Gdzie? Tam? – upewniła się szatynka szeptem.

– Tak...

Estera zmarszczyła brwi.

– Coś ty! – zerknęła na koleżankę potępiająco. – Przecież to jeden z braci! Chyba Steve, ale nie jestem pewna, bo ich zupełnie nie odróżniam.

– Co? – jęknęła zdumiona Sonia i oderwała wzrok od stwora, by spojrzeć na koleżankę z niedowierzaniem.

Potem ponownie spojrzała w stronę zajętego przez dziwadło kąta. Dopiero wtedy zauważyła kucającego nieopodal Anglika, który wiązał sobie sznurowadło buta.

– Nie! – szepnęła natychmiast blondynka. – To nie o niego mi chodziło! Przecież widzę, że to jeden z braci! Zobacz obok niego!

Estera zmarszczyła niepewnie brwi, ale zwróciła zaintrygowany wzrok z powrotem w tamtym kierunku. Sonia wbiła spojrzenie w jej twarz, natychmiast zauważając pojawiający się na niej grymas zniecierpliwienia, ale też ulgi.

– Sonia! No naprawdę – oburzyła się Estera. – Oliver?! Ja też go nie lubię, ale bez przesady! Nie strasz mnie tak następnym razem, gdy go zobaczysz, dobra? Przez chwilę naprawdę myślałam, że czai się tam jakiś potwór!

Estera pokręciła głową i podjęła marsz w górę kamiennego korytarza, zostawiając w tyle całkowicie zaskoczoną Sonię. Blondynka niepewnie spojrzała znowu w stronę kąta. Ujrzała, jak stwór szczyrzy się, spoglądając na nią złośliwie i... drapieźnie? A potem powstał i... Sonia wytrzeszczyła oczy oraz krzyknęła stłumionym głosem... przybrał postać egipskiego sprzedawcy pamiątek, który natychmiast oddalił się w stronę wyjścia z upiornym chichotem! Pomimo że wyglądał jak człowiek, jego oczy pozostały takie same. Rozżarzone niczym gorące

węgle, płonące, pełne dziwnego, zwierzęcego, straszego wyrazu.

Sonia obserwowała go przez chwilę, niezdolna się ruszyć. A potem wzdrygnęła się gwałtownie i pobiegła po stromiźnie ku reszcie grupy, potykając się co chwila oraz oglądając za siebie z przerażeniem w rozszerzonych paniką oczach.

Oparty o ścianę Oliver odprowadził ją pochmurnym spojrzeniem, a następnie zerknął na oddalającą się wąskim korytarzem sylwetkę sprzedawcy pamiątek. Z zachowania dziewczyny wywnioskował, że widziała jego prawdziwą postać. Ale jak to możliwe...? Nie mógł tego zrozumieć. Dotąd myślał, a nawet był całkowicie pewny, że tylko on je widzi.

* * *

W komorze królewskiej znajdował się jedynie duży, kamienny sarkofag i oczywiście mnóstwo ludzi. Opiekun opowiadał o konstrukcji piramidy, jednak nie wszyscy go słuchali. Sonia wciąż wracała myślami do dziwnego stwora z Wielkiej Galerii, wpatrując się nieobecny wzrokiem w pusty sarkofag.

– Mumii Cheopsa nigdy nie odnaleziono – szepnęła Estera do wciąż poblądłej blondynki, myśląc, że koleżanka podziwia kamienny twór. – Podobno nadal gdzieś tu spoczywa, w jakiejś ukrytej komnacie, razem ze wszystkimi swoimi skarbami. A ten sarkofag jest większy niż drzwi, które tu prowadzą, stąd przypuszczenie, że został tu umieszczony jeszcze podczas budowy piramidy. A słyszałaś o tajemniczych, bardzo wąskich szybach zakończonych zapieczętowanymi drzwiami?

Sonia westchnęła oraz zmusiła się do porzucenia rozmyślań na temat dziwadła. Pewnie jej się tylko przewidziało. Estera go nie widziała, prawda? Może to z powodu klaustrofobii ma halucynacje?

Skupiła się na ciekawostkach opowiadanych przez koleżankę i już po chwili dziwny twór wyleciał jej z głowy, zastąpiony wizjami tajemnych przejść, ukrytych komnat oraz skarbów otaczających sarkofag z mumią Cheopsa.

Jednak, jak tylko wyszli z Wielkiej Piramidy, niepokojący temat wrócił jak bumerang. Stało się to za sprawą dziwnego sprzedawcy pamiątek, najspokojniej w świecie prowadzącego handel z turystami, którym najwyraźniej nie przeszkadzały jego upiornie płonące oczy. Sonia zauważyła go natychmiast po wyjściu z powrotem w światło dnia i w jednym momencie straszliwie zbladła. Co gorsza, on też ją zauważył, a także uśmiechnął się drapieżnie rzędem ostrych, połyskujących zębów.

Sonia cofnęła się odruchowo i wpadła prosto na mrużącego oczy przed

słońcem Olivera, grzebiącego w plecaku w poszukiwaniu swoich okularów.

– Hej! Uważaj, jak chodzisz! – zezłościł się, a widząc jej przerażenie zmrużył powieki jeszcze bardziej i uniósł wzrok.

Na widok dziwnego sprzedawcy w jego oczach coś zalśniło. Zmarszczył brwi, ale zachował kamienną twarz.

Tymczasem Sonia próbowała się opanować. Zacisnęła drżące dłonie, przygryzła pobladłą wargę, a rozszerzone z przerażenia oczy zasłoniła ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych. Zmusiła Esterę do trzymania się opiekuna oraz nieodstępowania go na krok. Co chwila podskakiwała nerwowo i niespokojnie rozglądała się dookoła. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że cały czas jest śledzona przez upiornego sprzedawcę, który czegoś od niej chce. *To absurdalne! Przestań!* – z rozdrażnieniem rozkazała sobie w myśli, ale niestety było to niewykonalne.

Na dodatek dziwny mężczyzna przerażał ją straszliwie, nawet nie tyle niehumanicznym wyglądem, ile aurą, którą wokół siebie roztaczał. Była mroczna, pełna zła... I ogólnie jakaś taka dziwna.

Nie mogła się skupić na niczym. Gdy stali przy piramidzie Chefrena, zupełnie nie słuchała opowiadającego opiekuna, który mówił między innymi o tym, że ten grobowiec można rozpoznać po dobrze zachowanej białej okładzinie na wierzchołku.

– Kiedyś całe piramidy były taką pokryte – oznajmił mężczyzna, a Estera dodała pod nosem, myśląc, że koleżanka cały czas jej słucha, przy okazji pstrykając zdjęcia wszystkiemu dookoła:

– Były też pokryte złotymi płytami, to musiało pięknie wyglądać, gdy odbijało się w nich słońce, prawda? Albo podczas wschodu lub zachodu słońca... musiały płonąć oślepiającym blaskiem! Ale bym chciała to zobaczyć!

Przy najmniejszej z trzech piramid, będącej grobowcem Mykerinosa, Estera szeptem opowiedziała roztargnionej koleżance historię o mumii tego faraona. Piramida została otwarta dopiero w XIX wieku, znaleziono w niej szczątki Mykerinosa, które wraz z bazaltowym sarkofagiem wyprawiono w morską podróż do Anglii. Niestety, ani statek, ani sarkofag, ani tym bardziej sam faraon nie przetrwali tej podróży, ponieważ statek zatonął, pogrążając się w lodowatej otchłani wraz ze swoim bezcennym, starożytnym ładunkiem. Przy okazji szatynka opisała historię innej mumii, którą obwiniono o zatonięcie Titanica, gdyż przebywała na jego pokładzie podczas tragicznego rejsu. Opowiedziała jeszcze mnóstwo legend oraz ciekawostek, a było ich tak dużo, że wkrótce całkowicie Sonię pochłonęły.

Na samym końcu grupa podeszła pod Wielkiego Sfinksa, stojącego obok piramidy Chefrena. Stanęli na platformie, skąd podziwiali tę monumentalną rzeźbę, słuchając o jej historii.

– Świetnie! – powiedział opiekun, zerkając na zegarek, gdy już skończył

rozwódzić się nad losami starożytnego posągu. – Macie pół godziny czasu wolnego, a potem odjeżdżamy! Proszę się nie spóźnić.

Sonia zdrętwiała. Sama na pewno nie będzie tak bezpieczna jak w całkiem sporej grupie! Niestety, zanim zdążyła się do kogoś dołączyć, wszyscy rozproszyli się w tłumie. Została tylko Estera, spoglądająca na koleżankę z obawą. Wyczuwała, że coś jest nie w porządku, dlatego także była niespokojna. Blondynka widziała, że przyjaciółka chciałaby jej pomóc, ale nie wiedziała za bardzo jak.

Sonia zauważała z pewnym zaskoczeniem, że bez problemu odgaduje emocje i intencje otaczających ją osób. Czasem po prostu czuła, że ktoś myśli zupełnie inaczej, niż mówi, że jest smutny czy rozżalony, choć równocześnie się śmieje. Było to trochę dziwne.

Ta nietypowa zdolność pojawiła się tuż po tajemniczym wydarzeniu w muzeum. Czyżby miała coś wspólnego z jaśniejącym znakiem? Dziewczyna zerknęła na swój nadgarstek, aktualnie niczym nieosłonięty. Nie było takiej potrzeby, ponieważ symbol zniknął jeszcze wczorajszego wieczoru. Po prostu zbladł i wtopił się w jasną skórę ręki.

– To co robimy? – zapytała po chwili Estera po polsku, przywracając koleżankę do teraźniejszości.

– Może pójdziemy już do busa? – zaproponowała Sonia lekko zdenerwowanym głosem.

– Do busa?! – zdziwiła się jej koleżanka. – Nie wolisz usiąść gdzieś w cieniu i popatrzeć na piramidy? Możemy też kupić jakieś pamiątki...

– Nie! – wzdrygnęła się natychmiast blondynka i obrzuciła otoczenie przestraszonym spojrzeniem.

– Sonia! Co się dzieje? – Estera była autentycznie zaniepokojona. Chwyła koleżankę za lodowatą rękę.

Dziewczyna rozejrzała się z przestachem, jakby w obawie przed podsłuchem. Szatynka zmarszczyła brwi, zauważając:

– I tak nikt nas nie rozumie, nie musisz się bać. Ale możemy usiąść gdzieś w zacisznym miejscu i dopiero tam porozmawiać, co ty na to?

Sonia kiwnęła głową. Oddaliły się od zatłoczonej platformy, z której można podziwiać Wielkiego Sfinksa. Podeszły pod piramidę Mykerinosa, skąd było w miarę blisko do busa. Usiadły na jakimś samotnym kamieniu i dopiero wówczas Estera zażądała dokładnych wyjaśnień. Blondynka wzięła głęboki oddech, po czym przyciszonym głosem zaczęła relacjonować, co dokładnie ujrzała we wnętrzu Wielkiej Piramidy.

– Ale... ale ja go zupełnie nie widziałam! – wyszeptała zszokowana Estera. – Kąt był pusty! Nie było tam żadnego dziwnego stwora!

Sonia jęknęła i zakryła twarz dłońmi.

– Czy ja wariuję...? Zaczynam widzieć coś, czego nie ma, ręka mi świeci, co

będzie następne...? Trzecie oko?!

– Nie, na pewno nie wariujesz. To musi być coś innego... Na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Tylko trzeba je znaleźć – powiedziała szatynka trochę niepewnym głosem, który próbowała zatuszować pocieszającym uśmiechem.

– Tak! Już wiem! – Sonia nagle podniosła głowę.

– Co wiesz? Już masz na wszystko odpowiedź? – zdumiała się Estera.

– Nie, ale wiem, kto ją na pewno ma!

– Kto?

– Oliver!

– Oliver? – Na twarzy szatynki odmalowało się całkowite zdumienie zabarwione sporą nutką powątpiewania.

– Tak! On pomógł mi wczoraj w muzeum, wiedział, co mi się stało. Był zupełnie zaskoczony, że to przytrafiło się akurat mnie, ale doskonale wie, o co w tym wszystkim chodzi! On... on... – Sonia zająknęła się i zamilkła raptownie.

Wlepiła bardzo zaniepokojony wzrok w punkt gdzieś nad głową koleżanki. Estera odwróciła się natychmiast. Ujrzała grupkę sprzedawców pamiątek, zbliżających się w ich stronę nieśpiesznym krokiem.

– Sonia? Czy oni mają czerwone oczy? Bo według mnie nie, ale to ty jesteś specjalistką – mruknęła pod nosem, ledwo poruszając ustami.

– Mają – syknęła blondynka słabym głosem, blednąc gwałtownie i zaciskając drżące ręce na krawędzi chłodnego kamienia.

Otoczająca ich aura była pełna mroku, potęgi oraz zła.

– Może tylko tędy przechodzą? Zaraz nas miną, zobaczysz – szepnęła Estera, choć nie wierzyła w swoje słowa.

Sprzedawcy zbyt natarczywie wpatrywali się w przestraszoną blondynkę. Nie przyszli tu przypadkiem. I nie mieli zamiaru ich minąć.

– Uciekajmy! – jęknęła Sonia, poruszając się niespokojnie.

Czuła, że mieli wobec nich złe zamiary, co było przerażające.

– Za późno – stwierdziła jej koleżanka, oglądając się do tyłu. – Otoczyli nas z trzech stron. Możemy się tylko wspiąć na piramidę.

– No to dalej! To nasza jedyna szansa. Musimy być szybkie – odszepnęła pobladła blondynka. – Uwaga... Teraz, w nogi!!!

Zerwały się z kamienia i w jednej chwili dopadły kamiennej, nieregularnej ściany. Ktoś zakrzyknął gdzieś za nimi, a zabrzmiało to jak krzyk drapieżnego ptaka. Zadrzały.

Podciągnęły się w górę, nie zwracając uwagi na szorstką powierzchnię starożytnej budowli, przez którą natychmiast poraniły sobie całe dłonie oraz nogi. Ich przyspieszone oddechy świadczyły nie tyle o wysiłku fizycznym, ile o strachu przed upiornymi sprzedawcami pamiątek, którzy zaczęli zbliżać się do piramidy zdecydowanie szybszym krokiem, wwiercając w dwie koleżanki nieludzki wzrok.

– Hej, wy! Stójcie! – zawołał jeden z nich po angielsku, a jego głos zabrzmiał tak, jakby ktoś darł gruby papier.

– Nie przestawaj – sapnęła Sonia, rzucając za ramię przerażone spojrzenie.

– Nie mam zamiaru!

Nagle ktoś zaśmiał się upiornie nad ich głowami. Dziewczęta spojrzwały w górę i stanęły jak wryte. Kilka stopni wyżej siedziało paru sprzedawców pamiątek, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, którzy patrzyli na nie rozżarzonymi oczami.

– O, matko! A oni skąd się tu wzięli? – jęknęła Estera, spoglądając na koleżankę rozszerzonymi ze strachu oczami.

– Nie wiem. – Sonia pobladła tak straszliwie, że niewiele różniła się od białej kartki papieru.

Zakręciło jej się w głowie. Roztrzęsionymi dłońmi wczepiła się w szorstką ścianę piramidy, by nie zlecieć na odległą o kilka stopni ziemię.

– Jesteśmy w pułapce – szepnęła Estera. – Ale czego oni od nas chcą?

– Chyba ode mnie... – wyjąkała roztrzęsiona blondynka. – Wszystko przeze mnie... przepraszam! Mogłam nie wrzeszczeć wtedy, w piramidzie! Może by nie zwrócili na mnie uwagi?

– Przestań! – Przyjaciółka spojrzała na nią, marszcząc brwi. – To nie twoja wina i już. Teraz trzeba to tak rozegrać, żeby zająć ich jak najdłużej. Może w końcu ktoś tu przyjdzie? Nawet, jeśli to ściana od najmniej uczęszczanej strony.

– Dobra. Miejmy nadzieję, że ktoś akurat teraz zechce obejść tę piramidę naokoło. Najlepiej duża, pomocna grupa. – Sonia kiwnęła głową, czując się odrobinę pewniej, choć i tak strach paraliżował ją niemal całkowicie.

Czego oni chcieli? Jak mogli tak na nie napaść? Czemu mają tak mroczne aury oraz intencje?

Wtedy z grupy na dole wystąpił jeden mężczyzna i warknął grubym głosem:

– Otoczyć je tak, by nie mogły uciec! Złożymy naszemu panu wspaniałą ofiarę pachnącą jego wrogiem, Izydą.

Cała odwaga, która była gdzieś w sercu dziewczyn, wyparowała w tej samej sekundzie. No, może z wyjątkiem jakiegoś małego, zagubionego ziarenka. Sonia oraz Estera przybliżyły się do siebie, drżąc z przerażenia i niepewności. Co to za jedni? Jakiemu psychopacie służą, skoro ma wroga w nieistniejących, starożytnych bóstwach? I z tą ofiarą... to był żart, prawda? Ale straszliwie pobladła Sonia wyczuwała ze strachem, że niestety nie.

* * *

- Może pamiątkę?
- Nie.
- Może miniaturową piramidę? Najlepsza cena!
- Nie.
- Może przejażdżkę wielbłądem? Okazja, dla pana za pół ceny!
- Nie!
- Może figurkę faraona, Sfinksa albo egipskiego boga? Tylko za dolara!
- Nie!!!

Oliver zacisnął pięści ze złością. Czy oni nie rozumieją, że nie chce nic kupić? Ani piramidy, ani Cheopsa, ani Horusa, ani wielbłąda, ani papirusu? Niczego!

– Dzień dobry! Może kupi pan zestaw piętnastu wspaniałych pocztówek?
– Niech zgadnę, w niezwykle okazjijnej cenie? – Oliver wywrócił oczami, a sprzedawca wyszczerzył się radośnie i pokiwał energicznie głową, aż zatrzęsł mu się turban.

Właśnie miał odpowiedzieć, że zdecydowanie nie chce kupić zestawu piętnastu wspaniałych pocztówek, kiedy nagle w powietrzu rozległ się upiorny krzyk, dla zwykłego człowieka podobny może do wrzasku drapieżnego ptaka.

Oliver uniósł zaintrygowany głowę. Sprzedawca o płonących oczach także zdrętwiał, a potem mruknął coś przeproszającym tonem i prędko zniknął w tłumie.

Oliver wiedział, co oznaczał ten krzyk. Było to przywołanie. Używane przez demony. Przywołanie na polowanie, wtedy gdy ofiara jest już osaczona. Zmarszczył brwi, czując niepokój. Jaką ofiarę mogli znaleźć tutaj? Ciapowatych, rozlazłych turystów? Wielbłąda? Kota? A może...

Nagle Oliver drgnął. Jeśli to jest to... To prawdziwa katastrofa! Bardzo niebezpieczna na dodatek dla jego wspaniałego planu. Rujnująca dosłownie wszystko!

Natychmiast pobiegł w stronę piramid, bezceremonialnie roztrącając tych, którzy znaleźli się na jego drodze.

Tylko on może je powstrzymać. Oby nie było już za późno, by naprawić to, co może wszystko zepsuć. Cały plan. Wszystko.

* * *

– Kim jesteście? Co was wiąże z Izydą? Jesteście jej kapłankami? – zapytał z zaciekawieniem dziwny mężczyzna, wwiercając straszne spojrzenie w przerażone

dziewczyny, przytulone do chłodnego kamienia piramidy.

Obie wymieniły między sobą bardzo zaniepokojone spojrzenia mówiące „to jakiś wariat”. A wariaci potrafią być bardzo niebezpieczni. Zwłaszcza cała grupa wariatów o płonących oczach, na dodatek powiększająca się z każdą chwilą.

– Nie mówimy po angielsku – oznajmiła Estera ze stoickim spokojem. Oczywiście po angielsku.

– Przecież słyszałem, że mówicie – prychnął. – Wtedy, w piramidzie! I przed nią, z innymi, ble, ludźmi. – Ostatnie słowo wypowiedział z obrzydzeniem.

Szatynka szturchnęła koleżankę porozumiewawczo. Czyli oni nie uważają się za ludzi?

– Musiał pan źle słyszeć – uprzejmie wyjaśniła Sonia, choć miała bardziej ochotę krzyczeć albo się rozpłakać. Na szczęście zawsze była w miarę dobrą aktorką. – Znamy po angielsku tylko kilka słów. Może pięć. Albo sześć. No, może o kilka więcej. Nie jestem pewna, bo nie za bardzo umiem liczyć.

– Jak to? – zdumiał się mężczyzna, po czym zmarszczył złowrogo brwi, warcząc: – Nie kłam! Izyda nie wybrałaby na kapłankę kogoś głupiego!

– Proszę? Co to znaczy? Nie zrozumiałam ani słowa. Co pan powiedział? – zapytała Sonia, uśmiechając się miło, ale równocześnie zaciskając założone na plecach, drżące dłonie.

Mężczyzna warknął, jego oczy zapłonęły jeszcze mocniej.

– Co to za różnica, kim są? – rzuciła lekceważąco stojąca nad Esterą kobieta. – I tak będzie z nich dobra ofiara!

– Nie pamiętasz, jak pan się wściekł, gdy złożyliśmy na ofiarę jakąś idiotkę? Teraz to może się powtórzyć!

– Tamta kobieta nie była kapłanką Izydy!

– My też nie jesteśmy – zauważyła Estera, ze ściśniętym gardłem i rozwartymi z przerażenia oczami słuchając tej strasznej wymiany zdań. Czy oni uciekli z domu wariatów? Naprawdę składają ofiary z ludzi? Ale to nie takie ofiary, prawda? Może chodzi tylko o pęczek włosów? Albo bransoletkę? Albo to po prostu jeden wielki, beznadziejny żart?

– Nie odzywaj się – warknęła kobieta, a Estera skuliła się mimowolnie pod wpływem jej okropnego głosu.

Widząc to, stojący na dole mężczyzna prychnął lekceważąco:

– Wszyscy ludzie to tchórze! Wstyd, że jeszcze w ogóle chodzą po ziemi. Jak nasz pan dojdzie do władzy, to wszystko się zmieni.

Sonia zadrżała z przerażenia. On naprawdę w to wierzył! I był tak pewny siebie! No i, co było najbardziej przerażające, autentycznie chcieli złożyć je w ofierze! Gdyby nie była całkowicie pewna prawdziwości tej sytuacji, powiedziałaby, że to jakiś wyjątkowo paskudny koszmar. Ale, niestety, to była rzeczywistość!

Jej mózg pracował na najwyższych obrotach, próbując zrozumieć, co tu się dzieje. Niestety, nic z tego nie wychodziło. W końcu dziewczyna odważyła się zadać dręczące ją pytanie, na które odpowiedź pozornie była tylko jedna. Zaciśnęła pięści i wyprostowała się lekko. A potem wyrzuciła z siebie, co prawda z trudem, ale jednak:

– Nie jesteście ludźmi... prawda?

Mężczyzna przekrzywił głowę i przyjrzał się jej rozjarzonymi oczami. A potem zarechotał ochryple oraz rozpoczął przemianę.

Sonia krzyknęła z przerażeniem.

Z pleców wyrosły mu czarne, błoniaste skrzydła nietoperza, uszy wydłużyły się upiornie, oczy powiększyły dwukrotnie, zęby wyostrzyły. Sylwetka urosła, wychudła, stała się bardziej przygarbiona. Nienaturalnie chude kończyny poczerniały i wydłużyły się. Ubranie sprzedawcy przeistoczyło się w jakieś czarne, potargane... coś, czego nawet nie umiała nazwać.

Potem stworz wychrypiał głosem tak strasznym, że aż zjeżyły się jej włosy na głowie:

– Posłuchaj, ludzkie dziecko! W mroku piramid kryje się dużo więcej istot niż te, które wy, ludzie, znacie oraz widzicie!

– I takie istoty powinny trzymać się swojego mroku, a już na pewno nie wtykać swoich nochali w nie swoje sprawy! – rozległ się donośny, czysty, a także pełen złości głos gdzieś z góry.

Stwory poderwały spłoszone głowy do góry, a dziewczyny natychmiast także uniosły zaskoczony wzrok.

Kilka metrów nad ostatnimi stworami stał Oliver, luźno opierając się o jeden z potężnych kamieni. Z lodowatą i kpiącą miną spoglądał w dół. Duże, czarne okulary przeciwsłoneczne zasłaniały płonące złością oczy. Z jego postaci emanowała władza oraz potęga, tak mocne, że stwory odruchowo się skuliły. Blondynka jeszcze nigdy nie spotkała się z tak potężną aurą, sprzedawcy chyba również.

Sonia poczuła gwałtowny przypływ nadziei. Przecież już raz jej pomógł! Spojrzała z ulgą i radością na nie mniej od stworów zdumioną Esterę, która chyba nie do końca wierzyła w to, co widzi. Zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. Odezwał się za to nietoperzowaty stwor.

– Kim jesteś? – zapytał niepewnie.

– To ja tu zadaję pytania – prychnął z pogardą Oliver, ściągając ciemne okulary.

Zalśniły pociemniałe, kasztanowe tęczęwki. Stwory syknęły i skuliły się. Cofnęły się o krok. Nietoperz z powrotem przyjął postać sprzedawcy pamiątek, po czym dość niechętnie pochylił głowę.

– Od razu lepiej – wycedził chłopak, a następnie zeskoczył z kamiennego

stopnia na niższy.

Spojrzał wymownie na stojących niżej sprzedawców, którym natychmiast wyrosły najróżniejsze skrzydła, od nietoperzych, przez musie, aż po sępie. Stwory ciężko sfrunęły na piasek, skąd spoglądały wilkiem na niedoszłe ofiary i pełnego wyższości Olivera, który w sekundzie znalazł się obok dwójki zszokowanych dziewczyn.

– Wszystko dobrze? – zapytał cicho, nie spuszczać błyszczących oczu z kłębiących się w dole stworów.

– Tak, dzięki – wyjąkała Sonia, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje.

Zszokowana Estera nie odpowiedziała. Widząc to, Oliver wychylił się nieco i spojrzał na nią uważnie, pytając w miarę miłym tonem:

– A ty?

– Też... dzięki – zająknęła się szatynka, trochę się czerwieniąc.

– To świetnie. Teraz schodzimy na dół. Tylko uwaga, żeby was nie pogryzły.

Obie popatrzyły na niego z nową falą przerażenia.

– Ech, żartowałem przecież. – Chłopak wywrócił oczami oraz uśmiechnął się krzywo.

Jednak dziewczyny nie były tego takie pewne jak on. Rzuciły sobie zaniepokojone spojrzenia, ale odważnie zsunęły się na piasek, próbując zapanować nad trzęsącymi się nogami.

Strach ponownie ścisnął je za serca, gdy po wyjściu za róg piramidy ujrzeli łańcuch stworzony z innych sprzedawców, który miał chyba utrudnić ewentualną próbę ucieczki niedoszłych ofiar. Jednak stwory rozstały się, co prawda z niechęcią, ale natychmiast, jak tylko spoczął na nich pochmurny wzrok Olivera.

Obie odetchnęły nieco swobodniej, gdy zajęły swoje miejsca w busie, choć prawdziwą ulgę odczuły dopiero wtedy, gdy ruszyli w drogę powrotną. Spędziły ją w milczeniu, wciąż zszokowane i niepewne wcześniejszych zdarzeń. Co chwila spoglądały na ich zadumanego sąsiada, który z niezadowoloną oraz zaciętą miną wpatrywał się w horyzont, z nagromadzonymi nad nim czarnymi, burzowymi chmurami. Obie zadawały sobie w myślach to samo uciążliwe pytanie. Kim on był, że słuchały go stwory tak mroczne, złe i straszne, jak te z piramid? Kim on był?



Rozdział jedenasty

PRAWDA W ŚWIETLE BŁYSKAWIC

Z powodu burzy odwołano zaplanowane na popołudnie zajęcia sportowe. Grupa Ra dołączyła zatem do Grupy Horusa, która spędzała czas wolny w pokoju wspólnym, oglądając telewizję, grając w różne gry czy po prostu rozmawiając na rozmaite tematy.

Oliver siedział na wygodnym pufie w kącie salonu, na który niewiele osób zwracało uwagę. Z kamienną twarzą wpatrywał się w dywan, przeżywając wewnętrzną burzę, bardzo podobną do tej prawdziwej, na zewnątrz budynku.

Przyszedł w ostatniej chwili. Jeszcze minuta, a cały starannie ułożony plan runąłby z hukiem. Wszystko byłoby na nic. Wszystko! Z pewnością by go zdemaskowali. Nie zdobyłby Amuletu Ozyrysa. Po prostu świetnie. I jeszcze te głupie, nieszczęsne demony! Że też zachciało im się ofiary akurat wtedy, w momencie najmniej do tego odpowiednim! I to w dodatku tam, akurat z nich!

Oliver zmrużył oczy, zamyślając się. Najwyraźniej demony go nie rozpoznały. Zapewne poczuły tylko, że mają do czynienia z kimś potężniejszym od nich, z kimś, kogo należy słuchać. Ale nie zorientowały się.

Gdyby tak było, padłyby przed nim na twarz, drżąc ze strachu oraz błagając o litość za brak odpowiedniego powitania. Ale może to i lepiej... Nie za bardzo uśmiechała mu się wielka parada, gdy chciał być dyskretny. I jakoś nie czuł się dobrze w ich towarzystwie. Za bardzo przypominały mu ich wyklętego pobratymca. Wzdrygnął się na wspomnienie zawziętych, płonących oczu, wyszczerzonych upiornie kłów...

Nie! Nie myśl o tym! Skup się na czymś innym, na czymkolwiek! Na... Soni i Esterze, tak, właśnie na nich. Ciekawe, jak one to przeżyły... Pewnie ciężko.

Zastanowił się, dlaczego właściwie im pomógł. Przecież to było bardzo

ryzykowne, nie tyle dla niego, ile dla planu. Mogło wszystko zniweczyć. Dosłownie wszystko. Ale z drugiej strony... Musiał przyznać w duchu, że nie mógł im nie pomóc. Albo raczej nie potrafił. No bo skazać kogoś na ofiarę? I to jeszcze kogoś, kogo się zna? Na dodatek kiedy można pomóc, i to bez problemu? Nie, zdecydowanie nie mógłby postąpić inaczej. A zatem właściwie nie miał wyboru. Szczególnie, że gdyby im nie pomógł, to tym bardziej wszystko by runęło. Cały plan.

Zmarszczył z niepokojem brwi. Miał nadzieję, że stwory nie naopowiadały jakiś głupot Soni i Esterze. Zanotował w głowie, że musi się o to wypytać. Chociaż... czy to rozsądne? One wtedy także zażądają wyjaśnień. I co im powie?

Schował twarz w dłoniach. Makabra. Tylko to określenie pasuje do jego sytuacji. Czy coś się na niego wzięło? Pomijając całą ciężką do przeżycia sytuację sprzed obozu, do której wciąż się nie przyzwyczył, już dwa razy musiał pomóc jakiejś blondynce, która pojawia się zawsze tam, gdzie nie powinna. Na dodatek Estera... Super. Wkrótce cały obóz się dowie! Włącznie ze sprzątaczką oraz kucharkami. Mandara znów wystrzeli z tym swoim wykrywaczem kłamstw.

„Kim jesteś, Oliverze? Opowiedz prawdę o sobie”. Już słyszał ten okropny głos kierownika. Widział, jak wszystko się wali. Cały jego plan. Całe jego życie. Jeszcze bardziej, choć już było w ruinie.

– Cześć, mogę się przysiąść? – zapytał ktoś wesoło.

Oliver niechętnie podniósł głowę i z zaskoczeniem spojrzął w lśniące, pełne słońca oczy złotowłosego chłopaka. Niezdarny Szpieg. Co on tu robi? No tak, jego grupa też ogląda film. Czego chce? Wydawał się taki radosny, pełen życia oraz szczęścia. *W przeciwieństwie do mnie* – przemknęło Oliverowi przez myśl.

– Jeśli musisz – westchnął, a blondyn natychmiast przystawił sobie drugi puf. Opadł na niego z wyrazem zadowolenia na twarzy, zerknął z rozbawieniem na nieszczęśliwego kolegę i zagadnął:

– Piękną mamy dzisiaj burzę, prawda?

Oliver zmrużył oczy i spojrzął na niego podejrzliwie. Czy to była aluzja? Nie, na pewno nie.

– Niczego sobie. Burza jak burza – odpowiedział, wzruszając obojętnie ramionami.

– Ja to wolę słoneczko – oznajmił radośnie blondyn. – Mnóstwo słoneczka!

– Aha – mruknął w odpowiedzi, a w myślach dodał: *A co mnie to niby obchodzi?!*

– Jesteś Oliver, prawda?

– Tak.

– John i Steve wiele mi o tobie mówili! – Chłopak uśmiechnął się szeroko.

Oliver zdrętwiał. O, nie!

– Ja osobiście też lubię buraki, ale nie bardzo.

Co?! Jakie buraki?

– I nie zgadzam się, że stek najlepiej smakuje na surowo – kontynuował tymczasem blondyn, a Oliver słuchał go z rosnącym przerażeniem.

Co za głupoty mu o nim nagadali?! To jakiś koszmar!

W ciągu kolejnych minut dowiedział się bardzo wielu niezwykle ciekawych rzeczy na swój temat. Na przykład, że uwielbia jeść surowe rzeczy, wieczorami skacze po fotelach, chrapie, świetnie rzuca łyżką do celu oraz umie grać na wiolonczeli.

– Nawet nie wiem, jak to wygląda – zauważył cicho, z kwaśną miną, ale blondyn nie dał sobie przerwać. Gadał i gadał, recytując następne dziwaczne rzeczy, które nawet na myśl nie wpadłyby zszokowanemu Oliverowi, który w końcu poczerwieniał na twarzy i bezceremonialnie przerwał rozkręcającemu się koledze:

– Cudownie, ale nic z tego nie jest prawdziwe! Czy ja naprawdę wyglądam na asystenta cyrkowego?! No właśnie, nie. To może wreszcie się przedstawisz, bo ględzisz już z dziesięć minut, a ja nie wiem nawet, jak masz na imię?!

– Rale.

– Że jak? Co to ma być – burknął Oliver. – Brzmi jak nazwa makaronu.

Rale zerknął na niego z błyskiem rozbawienia w oku.

– Hej, nie wiedziałem, że masz poczucie humoru! Bo siedzisz tu w kącie z taką miną, jakbyś czekał na egzekucję. I to swoją. A tak w ogóle... Twoje imię to krzak, tak? A raczej drzewko. Oliwkowe.

– Nie – Oliver zmarszczył brwi.

– Dobra, dobra! Nie chmurz się, bo będzie padać! – Rale mrugnął żartobliwie, a jego rozmówca w jednym momencie zdrętwiał.

Rzucił blondynowi uważne spojrzenie. Tak samo mówił... *Nie! Nie myśl o tym!* Ale, czy to zwykły zbieg okoliczności, czy może zamierzona aluzja...? Już kolejna zresztą. Nie, niemożliwe. Niby skąd miałby wiedzieć? To najzwyklejszy w świecie przypadek. Na pewno.

– Choć nie... Już bardziej padać nie może. Swoją drogą, to nieco dziwne, burza na pustyni... nie uważasz? – dorzucił blondyn beztrąsko.

Oliver zdrętwiał jeszcze bardziej. Po plecach przemknął mu dreszcz. Spojrzał na Rale'a spod przymrużonych podejrzliwie powiek. Burza na pustyni... Ta aluzja była już tak oczywista, że to aż straszne! Ale to przecież niemożliwe! Nie może wiedzieć... prawda?

– No nic – westchnął blondyn. – Miło nam się gawędzi, ale czas już na mnie. Rozumiesz, obiecałem dziewczynom, że zagram z nimi w jakąś tam grę.

Wstał, a następnie uśmiechnął się porozumiewawczo i odszedł, rzucając przez ramię:

– Wiesz, jakbyś potrzebował pomocy, to wal prosto do mnie. Jestem twoim

przyjacielem, rozumiesz? I nie patrz na mnie tak, jakbyś chciał, żeby trafił mnie piorun!

Rale, chichocząc, zniknął w tłumie, a osłupiały Oliver jeszcze dłuższą chwilę siedział na swoim pufie, z niepokojem wypisanym w oczach oraz bladością na twarzy. Potem wzdrygnął się, pokręcił z niedowierzaniem głową i czym prędzej opuścił zatłoczony salon.

* * *

Pan Mandara z zastanowieniem wpatrywał się w lśniący Amulet, ustawiony za ochronną szybą w jego gabinecie. Nagle rozmyślenia przerwało natarczywe pukanie do drzwi. Do środka wsunął się jego chudy, tyczkowaty asystent.

– Coś się stało? – zapytał kierownik, marszcząc brwi na widok rozbieganego wzroku mężczyzny i dziwnie szybkiego kroku.

Pan Omar stanął przed biurkiem i oparł się o nie bladymi dłońmi.

– Ta burza – mruknął, zerkając za okno na kotłujące się, ciemnoszare chmury.

– Fakt, dziwne. Ale to pewnie tylko jakaś anomalia pogodowa. – Kierownik wzruszył ramionami. – Chyba się jej nie boisz, co?

– Nie – warknął asystent. – Nie o to chodzi. To nie jest zwykła burza.

Pan Mandara uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Nie?

Pan Omar rozejrzał się wokoło uważnie, ale też jakby trochę nerwowo.

– On tu jest – powiedział w końcu z napięciem.

– Briant de Ramen? – zapytał kierownik, czując jak gwałtownie przyspiesza mu serce. – Wreszcie!

– Nie wiem. – Asystent pokręcił głową. – Nie wiemy przecież, czy to on.

– No tak... Ale jestem prawie pewny. No, mów, kto tu jest? – zadał pytanie zaintrygowany pan Mandara.

– Mój pan. Władca ciemności. Czuję tu jego moc. A to oznacza, że jest blisko.

* * *

Oliver zamknął cicho drzwi i oparł się o nie, by zebrać zdecydowanie niepokładane myśli. Potem z odrętwieniem opadł na sofę. Na kark wylało mu się trochę wody z chyboczącej się butelki ustawionej na oparciu, ale prawie tego nie zauważył. Był zbyt wstrząśnięty wydarzeniami tego dnia. Dlaczego miał wrażenie, że nad niczym nie panuje? Że wszystko dookoła się wali, choć robi, co może, by temu zapobiec? O co chodzi z tym złotowłosym Rale'em? A te jego niby aluzje? I co znaczyło jego oświadczenie, że są przyjaciółmi? Przecież dopiero się poznali. Totalny chaos. To go otaczało. Tylko to. Oparł głowę na rękę, z roztargnieniem wpatrując się gdzieś przed siebie.

Jak on ma nad tym zapanować, skoro sam gubi się w swoich myślach? Wszędzie dookoła widzi nieprzyjazne, czyhające na niego cienie. W nocy nie może spać, ma koszmary. W dzień musi zachowywać pozory, ale równocześnie cały czas ryzykować przez jakieś idiotki, które wtykają nosy w sprawy, które ich nie dotyczą. No, może dotyczą, ale nie bardzo.

Westchnął nieszczęśliwie i z rezygnacją. Jak dalej da radę? Przecież dłużej tego nie wytrzyma! Zamknął oczy, pogrążając się w beznadziei. Może najlepiej po prostu przyznać się, kim jest? Wtedy wreszcie będzie po wszystkim. Kto wie, może to najlepsze rozwiązanie...? Co innego mu zostało?

Tak kiepsko czuł się ostatnio całkiem często. No, może nie aż tak, ale podobnie. Miał dość. Chciał wrócić do przeszłości, a najlepiej już nigdy jej nie opuścić.

Zamknął oczy i bardziej oparł się o sofę, co spowodowało poruszenie się butelki stojącej na oparciu. Zachwiała się, zawarta w niej woda zafalowała, a potem... butelka wywróciła się, natychmiast pozbywając się swojej zawartości.

Oliver wzdrygnął się i błyskawicznie zerwał z kanapy, gdy został zalany prawie litrem lodowatej wody. Zacisnął pięści ze złości. Z całej siły kopnął nieszczęsną sofę, co okazało się kiepskim pomysłem, gdyż jej bok był twardy niczym z kamienia. Jęknął z bólu i opadł na poduszki suchego fotela, chwytając się za pulsujące bólem palce u stóp.

Świetnie! Oliver zazgrzytał zębami. Wszystko przez tych głupich braci! Jak mogli postawić litr lodowatej wody w otwartej butelce na krawędzi miękkiej sofy?!

Ponownie opadło go przygnębienie. Nie miał siły ani ochoty zająć się czymś innym oprócz rozpamiętywania stanu beznadziei, w którym się znalazł. Żalność zagnieździła się gdzieś w jego sercu i nie chciała go opuścić. Z rozżaleniem oraz niechęcią spojrzął na swoje dłonie, jakby szukał w nich odpowiedzi na dręczące go pytania. Miałby się poddać? Nie. Chyba nie powinien. Jest komuś winien walkę do końca, nawet taką skazaną na niepowodzenie. Kilku osobom na dodatek. Więc musi wytrwać.

– Dla ciebie, przyjacielu – westchnął smutno, wspominając złotą czuprynę, bardzo podobną do włosów Rale'a. „Nie poddawaj się nigdy, bo wtedy przegrasz”.

Tak właśnie powiedział.

Zamyślił się na moment, a potem uśmiechnął krzywo. Wyszedł na balkon, spoglądając w szalejącą burzę. Nie zwracał uwagi na zacinający deszcz oraz wstęgi błyskawic co chwilę rozjaśniające kłębiące się szare chmury. Objął pociemniałą pustynię spojrzeniem, w którym odbijały się mroczne wzory nieba. Gdzieś na horyzoncie dojrzał małą, jasną plamkę. Oznakę, że wkrótce znów zawita tu słońce. Spojrzał prosto na nią i powiedział cicho:

– Pewnie mnie nie słyszysz, ale nie zostawię cię samego. Jak tylko dowiem się, gdzie jesteś, pośpieszę ci z pomocą. Albo cię pomszczę, jeśli będzie już za późno. Obiecuję. Nie poddam się. Tak jak mówiłeś. Będę walczył do końca, choćby świat walił mi się na głowę. Bo przecież nie wiadomo, co czeka na nas po burzy, za zakrętem drogi życia, prawda? Zawsze tak mówiłeś. Dla ciebie wytrwam tak długo, jak będzie trzeba. Albo jeszcze dłużej.

Na pewno da radę. Nawet, jeśli jego już z nim nie było, była jedna rzecz, która mu została. Walka. I tego musi się trzymać.

* * *

– Co to miało być?! – wyrzuciła z siebie wciąż zszokowana Estera, gdy znalazły się same w pokoju. – Ci sprzedawcy i... i on... Co on tam robił? Czemu oni go słuchali...? I jak wlaź bezszelestnie na odsłoniętą, pilnowaną piramidę, tuż nad punktem, w który wszyscy wlepiali te swoje... oczyska?!

Sonia nie odpowiedziała, tylko w ciężkim milczeniu opadła na sofę, próbując zebrać myśli. Tymczasem szatynka kręciła się niespokojnie po całym pomieszczeniu, chwytając się za głowę oraz jęcząc:

– Nie rozumiem. Nie rozumiem. To wszystko jest strasznie dziwne. Nienormalne. Niemożliwe!

W końcu z głębokim westchnieniem rozsiadła się w fotelu.

– Jakim cudem temu dziwadłu wyrosły błoniaste skrzydła? I zęby. I cała obrzydliwa reszta. – Estera aż się wzdrygnęła, a zaskoczona Sonia podniosła wzrok.

– Widziałaś, jak się przemienił?

– Niestety tak. A zdecydowanie wolałabym nie widzieć.

– Ale nie zauważyłaś go w piramidzie... Dziwne, co?

– Może dlatego, że potem chciał się pokazać. Albo może nie widać go w cieniu. Nie wiem.

– A jak widziałaś jego oczy?

– Najpierw były normalne, ale potem, gdy zaczął się zmieniać... – Estera poruszyła się niespokojnie oraz pokręciła z niedowierzaniem głową. – Stały się czerwone. Jak płomień. Zdawały się płonąć, były takie... rozżarzone! I straszne. Okropne. Jak to możliwe...?

– Ostatnio dzieje się wiele rzeczy nie do wytłumaczenia – zauważyła Sonia, w zamyśleniu wpatrując się w okno. – Głos oraz światło wydobywające się z poruszającego się starożytnego malowidła... Świeący symbol na mojej ręce... Dziwne stwory, które widzę cały czas, a ty nie... Jakieś brednie, w które całkowicie wierzą... Ofiary... I Oliver. Jaka jest w tym jego rola? Dużo wie, ale stara się tego nie pokazywać. Te stwory, czymkolwiek były, usłuchały go natychmiast! Dlaczego?

– No, nie wyglądały na kogoś, kto łatwo poddaje się cudzym rozkazom – powiedziała Estera z niepewną miną. – Więc czemu słuchały akurat jego?

– Nie mam pojęcia.

Obie zamyśliły się głęboko, ale nic sensownego nie przychodziło im do głowy. W końcu Sonia drgnęła i zapytała, marszcząc brwi:

– Mogę na chwilę twój aparat?

– Pewnie. A po co?

– Muszę coś sprawdzić – odpowiedziała, zaczynając przeglądać zdjęcia.

Uważnie oglądała każde, aż w końcu zbladła, po czym pokazała koleżance powiększony obraz ukazujący mówiącego opiekuna. Tuż za jego plecami stał sprzedawca pamiątek, ten sam, którego blondynka widziała w piramidzie Cheopsa. Tyle że na zdjęciu miał całkowicie normalne oczy i z krzywą miną patrzył gdzieś w bok, gdzie prawdopodobnie stała wówczas Sonia.

– To ten sam, któremu potem wyrosły błoniaste skrzydła – wykrzyknęła zaskoczona Estera.

– Tak, ale nie to jest najważniejsze. Patrz na jego oczy!

– Nie płoną... – zauważyła z wahaniem szatynka.

– No właśnie! A ja widziałam, że cały czas były inne. Aparat ukazuje zatem tylko to, co widzisz ty, a nie to, co widzę ja. Tylko nie wiem, która wersja jest prawdziwa... Czy twoja, czy moja?

Zapanowała chwila ciszy, w czasie której każda pogrzyżyła się w swoich myślach. W końcu z wahaniem odezwała się Estera:

– Ja powiedziałabym, że twoja, ale głowy nie dam. Przecież sprzedawcy cały czas byli tymi stworami, prawda? A ty ich rozpoznałaś. Ja nie. Myślę, iż możemy przyjąć, że ty widzisz prawdę.

– Prawdę?

– Tak. Ale to tylko taka hipoteza, pewności nie mamy.

– Czyli uważasz – upewniła się Sonia, a gdzieś za oknem błysnęła poszarpana wstęga błyskawicy – że ja widzę rzeczy takie, jakie są naprawdę, choć

nikt inny tego nie widzi?

– Tak – zgodziła się Estera, gdy huknął grzmot. – To chyba ma sens, prawda?

– Nie wiem. Chyba. Raczej. Możliwe. Choć i tak brzmi to trochę dziwnie.

– Oni byli jeszcze dziwniejsi! A skoro dzieje się coś takiego, co spotkało cię w muzeum, a nas przy piramidach, to twoja umiejętność wydaje się przy tym całkowicie na porządku dziennym.

– Taak – westchnęła Sonia z zakłopotaniem, zwracając wzrok z powrotem na aparat.

Obrzuciła ponurym spojrzeniem sylwetkę sprzedawcy pamiątek i, nie chcąc dłużej na niego patrzeć, przewinęła na inne zdjęcie. Nagle zmarszczyła brwi oraz pochyliła głowę nad ekranem, na którym widać było jakiegoś znajomo wyglądającego blondyna, który z nachmurzoną miną wpatrywał się gdzieś w bok. Tylko że Sonia za żadne skarby świata nie mogła skojarzyć, kto to jest. W ich grupie blondynami byli tylko bracia i Brian, ale to nie był żaden z nich.

– Estero...?

– Tak?

– Zerknij no, proszę, na to zdjęcie i powiedz mi, kto to jest? Wygląda znajomo, ale...

– No błagam, Sonia, przecież to Oliver! – przerwała jej zdziwiona szatynka.

– C...co?! – blondynka wytrzeszczyła oczy, a następnie zerknęła na koleżankę, jakby upewniając się, że ta z niej nie żartuje.

Jednak Estera patrzyła na zdjęcie z powagą, na dodatek Sonia nie wyczuła w jej głosie kłamstwa, tylko całkowitą pewność. Ale jakim cudem...?

– Przecież on ma czarne włosy – szepnęła z zaskoczeniem.

Estera zdrętwiała i spojrzała na koleżankę z podejrziwością.

– Nieprawda. Ma jasne, złote włosy.

– Ale ja widzę, że ma czarne! Od samego początku! – wykrzyknęła zszokowana dziewczyna.

– Ale... jak to?

Sonia zmarszczyła brwi oraz zerknęła na nią uważnie, a następnie powiedziała:

– A może to tak samo jak ze stworami? Tylko ja je widziałam, czyż nie? A przed chwilą ustaliłyśmy, że widzę prawdę. Czyli możliwe, że nasz kolega skrywa jeszcze więcej, niż myślałam. I że tak naprawdę ma czarne włosy.

Teraz Estera zrobiła wielkie oczy. Tajemnica. Ciemne włosy. Czy to możliwe...?

– Czarne...? Jesteś pewna, że ma czarne włosy? Nie brązowe, tylko czarne?
– wyjąkała niepewnie.

– Tak.

- Na pewno?
- Tak.
- Mój Boże, to mogłoby wiele wyjaśnić – szepnęła roztrzęsionym głosem.
- Co? – zapytała zdumiona Sonia.
- Przerazisz się, jeśli ci powiem. – Szatynka stanowczo pokręciła głową. – Najpierw sama muszę to sprawdzić. Nie chcę siał paniki. Przynajmniej na razie.

* * *

Pan Mandara wyglądał na bardzo zdenerwowanego, gdy przekazał na kolacji informację o zaginięciu jego klucza magnetycznego. Nie był to bynajmniej jedyny egzemplarz, jaki miał, ale nie był zadowolony z jego zniknięcia. Obiecał nawet, że jeśli ktoś go znajdzie, to spotka go nagroda.

Jednak nikt się do niego nie zgłosił. A autentyczny niepokój w głosie kierownika tylko umocnił pewność, że mężczyzna miał coś do ukrycia. Coś na terenie ośrodka. I może Oliver by się tym bardziej zainteresował, gdyby na tę noc nie zaplanował końcowej realizacji swojego planu.

Niestety, musiał z niej zrezygnować, gdyż pan Mandara całą noc przesiedział w swoim gabinecie przy zaświeconym świetle, więc chłopak nie miał jak tam wejść. Stojąc na deszczu, w blasku błyskawic, i obserwując ze złością rozświetlone okna, zacisnął rękę na idealnej replice Amuletu Ozyrysa, którą chciał umieścić na miejscu tego prawdziwego. A potem odwrócił się na pięcie i zniknął w mroku rozgniewanej nocy, obiecując sobie, że w takim razie zakończy swój pobyt tutaj następnego dnia.

Nie mogąc jednak znieść myśli o beczynnym siedzeniu, zaczytał się w swoich notatkach na temat znaków. Im więcej czytał, tym wyżej unosiły się jego zdziwione brwi i tym bardziej nie mógł zrozumieć zdarzenia w muzeum. Głównie nie mógł pojąć, dlaczego akurat Sonia oraz dlaczego odbyło się to w tak nietypowej formie.



Rozdział dwunasty

GRA

Następnego dnia po śniadaniu Sonia i Estera z zaciekawieniem zatrzymały się przy tablicy ogłoszeń.

– Patrz, na dziś zaplanowali nam grę terenową – ucieszyła się Sonia. – Ciekawe, co będziemy robić?

– Biegać – mruknął jakiś chłopak, którego nie kojarzyły, a który obok nich studiował plan dnia grupy Horusa.

– Skąd wiesz? – zapytała Estera.

– My mieliśmy to wczoraj – powiedział, krzywiąc się odrobinę. – Weźcie bardzo dobre buty. I czapkę. I dużo wody. To nie gra terenowa, ale długaśny tor przeszkód!

Rzucił im spojrzenie, które miało podnieść je na duchu, po czym odszedł, a one zerknęły na siebie niepewnie.

– Nie martw się, weźmiemy mnóstwo wody – powiedziała w końcu Estera i obie roześmiały się, a potem wróciły do swojego pokoju.

Kilka minut po dziewiątej spotkały się z resztą grupy przed budynkiem głównym. Od razu zauważyły, że praktycznie tylko one ubrały się całkowicie na sportowo, czyli w krótkie spodenki, bluzki na ramiączkach, tenisówki oraz czapki z daszkiem. Na ramieniu Estery spoczywał plecak wypełniony kilkoma butelkami wody.

Reszta była ubrana na półsportowo albo jak na spacer najwyżej do centrum handlowego.

– Patrz na ich buty – mruknęła Estera, uśmiechając się szeroko.

Sonia uniosła z rozbawieniem brwi na widok chybotliwych szpilek oraz eleganckich sandałów części dziewczyn.

– Czy one nie przeczytały planu? – zdziwiła się blondynka, a potem dodała z przekąsem: – No, ja nie wiem, jak Astrid chce pokonać przeszkody w tej grze terenowej w sukience.

– Miejmy nadzieję, że nie trzeba będzie przez nic skakać! – zachichotała w odpowiedzi Estera.

Chwilę później zjawił się pan Mandara. Wyglądał na średnio wyspanego, ale za to miał wspaniały humor. Rozłożył ręce w geście powitania oraz uśmiechnął się szeroko, mówiąc:

– Witajcie w ten piękny, słoneczny dzień! Będę wam dziś osobiście towarzyszył w grze terenowej, która odbędzie się kawałek stąd. Jednak zanim zaczniemy, zapytam ponownie, czy nie widział ktoś czasem niewielkiej, prostokątnej, niebieskiej karty? Nie? – W tym momencie trochę spochmurniał. – No, trudno. Może dziś się znajdzie.

Następnie poprowadził wszystkich do jednego z kilku pomarańczowych busików, którym wkrótce pojechali kilkanaście kilometrów dalej. Zatrzymali się przy jakimś sporym budynku okrążonym wielką, ogrodzoną działką. Obozowicze ze zdumieniem zerkali na różnorakie elementy otoczenia rozmieszczone w zasięgu ich wzroku, takie jak rozłożyste drzewo z przyczepionymi do niego linami, sporo różnej wielkości basenów, jakieś powbijane w grunt belki i kołki. Zauważyli nawet stojącą beczkę.

– Co można zrobić z beczką? – zdziwiła się Sonia.

– Nie mam pojęcia. Może turlać? – zgadywała Estera.

W tym momencie pan Mandara odchrząknął teatralnie. Gdy wszyscy, a raczej większość skupiła na nim wzrok, przemówił:

– Grę terenową rozegramy w tym fantastycznym miejscu. Jak widzicie, jest ono wspaniale przygotowane, znajdziemy na nim mnóstwo atrakcji, czyli wyzwań, którym dzielnie, przynajmniej taką mam nadzieję, stawicie czoło. O, nie, nie róbcie takich przerażonych min, to nie będzie nic trudnego! Zanim jednak opowiem o samej grze, musimy się podzielić na grupy. Będziecie biegli trójkami, które zaraz wylosuję z tego oto pudełka. – Kierownik wskazał na tekturowy pojemnik leżący na stoliczku kilka metrów za nim.

Następnie podszedł do niego i rozpoczął losowanie. Sonia wylądowała w drużynie z Amandą oraz Oliverem, a Estera z Johnem i Brianem.

Gdy wszyscy zostali już przydzieleni, pan Mandara przekazał każdej grupie papierową kartkę z narysowanym schematem całej działki. Umieszczono na niej symbole oznaczające kolejne punkty gry.

– Czeka was tak jakby tor przeszkód – oznajmił następnie kierownik. – Jest osiemnaście stacji do zaliczenia. Przy każdej znajduje się duża liczba. Waszym celem jest zebranie jak największej liczby kolorowych kółek, które będziecie przypinać do obręczy. Zaraz ją dostaniecie. Kółka są umieszczone na każdej stacji,

ale zdobędzie je tylko szybsza grupa, bowiem w tym samym czasie będą ze sobą konkurować dwie drużyny. Czas jest bardzo ważny, jeśli nie uda wam się zgarnąć kółka za pierwszym razem, nie radzę po nie wracać, ale biec dalej, do następnego punktu. Czas może zdecydować, czy dana grupa wygrała, czy może jednak nie. Będziecie biec sztafetą, każdy przez sześć punktów pod rząd. Zanim zaczniecie, ustalcie sobie kolejność. Wygranych czeka fantastyczna nagroda, a na dodatek udowodnią, ile są warci. To już chyba tyle. Mam nadzieję, że wszystko jasne. Niech wygra najlepszy! Aha, pierwsze grupy startują za dziesięć minut. Będą to zespoły A i B. Dopiero jak skończą, zaczną następni.

Sonia westchnęła oraz zerknęła na kartkę z planem gry.

– Jesteśmy grupą A – powiedziała, gdy pan Mandara odszedł, a każda drużyna skupiła się w swoim gronie.

Zerknęła na Amandę i Olivera, którzy nie wyglądali na zachwyconych składem ich grupy. Portugalka zezowała niechętnie na Sonię, a Oliver na Amandę. Z kolei Sonia także wolałaby kogoś innego w swoim zespole, ale niestety nie można było zgłaszać reklamacji.

– Dobra, ruszamy za dziesięć minut – przypomniała Sonia na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie słuchał, ale gdy nikt na to nie zareagował w widoczny sposób, dodała, tłumiąc westchnienie: – I myślę, że przydałoby się ustalić, jak biegniemy.

– Pokaż plan – powiedział Oliver, wyciągając wymownie rękę.

Wręczyła mu kartkę, równocześnie zerkając na jego włosy. Tak, były zdecydowanie czarne, na pewno nie blond. Ale jak to możliwe? Zafarbował, a ona widzi ich prawdziwy kolor? Nie, raczej nie, bo wtedy włosy Amandy także widziałyby jako ciemne, a tak się nie działo. Więc o co tu chodzi? Nie miała pojęcia.

Tymczasem Oliver przyglądał się planowi. Nagle zmarszczył ze zdziwieniem brwi.

– Czy tu są narysowane szpilki? – zdumiał się, a w jego oczach błysnęła niepewność.

– Pokaż. – Sonia wzięła od niego kartkę i spojrzała na symbol biegnącej nogi w szpilce. Uśmiechnęła się z niedowierzaniem. – Tak... to chyba to.

– Co to może być za konkurencja? – zastanowił się Oliver. – Bieg w szpilkach? Rzut szpilką?

– Nieważne. – Amanda wzruszyła ramionami, robiąc pewną siebie minę. – Zostawcie to profesjonalistce.

Sonia wymieniła z Oliverem zdziwione spojrzenia.

– Czyli mnie – dodała Portugalka, na wypadek, gdyby ktoś jej odpowiednio nie zrozumiał. – Żadne szpilki mi nie straszne!

– To wspaniale – mruknął chłopak z niezbyt zadowoloną miną. – Ale to

oznacza, że musiałabyś rozpocząć sztafetę.

– I co z tego? Jakiś problem?

– Dla mnie nie, raczej dla ciebie. Na początku trzeba przebiec jakieś sto pięćdziesiąt metrów. – Machnął ręką w bok, gdzie pan Mandara wbijał w piasek flagi z napisem START. Do pierwszej stacji brakowało właśnie takiej odległości. Oliver zerknął na Amandę niedowierzająco. – Dasz radę tyle przebiec?

– Eee... Ja...

Dziewczyna zarumieniła się bardzo mocno i spojrzała na swoje buty. Pozostała dwójka także skierowała na nie wzrok.

– CO?! – wybuchł nagle Oliver. – Założyłaś szpilki na grę terenową?! Czy ty myślałaś, że to będzie spacer po chodniku?!

– Nie... – wyjąkała Amanda. – Ale nie wiedziałam, że będziemy biegać...

– No, jasne! Bo to przecież taka rzadkość, bieganie na torze przeszkód! Super. Świetnie. Cudownie! – Oliver wyglądał na naprawdę wściekłego.

Sonia zerknęła na niego niepewnie. Miała ochotę powiedzieć mu, że to tylko gra, ale w ostateczności tego nie zrobiła.

– Ale za to jestem gotowa na tę konkurencję ze szpilkami – wyszeptła nieśmiało Amanda.

– I co z tego?! A jak chcesz przebiec sto pięćdziesiąt metrów w czymś takim? Może przefruniesz? – Oliver zmrużył niechętnie oczy, a Amanda poczerwieniała jeszcze bardziej.

– Chyba będziesz musiała je ściągnąć – zasugerowała ostrożnie Sonia.

– Że co?! – Portugalka spojrzała na nią jak na wariatkę. – I mam biec na bosy? No, chyba nie.

– No, chyba tak – powiedział zezłoszczony Oliver. – Inaczej nie dasz rady tego przebiec, a przy konkurencji ze szpilkami na pewno będą jakieś przeznaczone dla zawodników.

– Ale... ale... to jakiś koszmar! – Amanda wyglądała na bardzo mocno wstrząśniętą rysującą się przed nią perspektywą. – Ja nie mogę! I nie założę nie swoich butów! Nie chcę mieć grzyba. Nie mogę tego zrobić!

– Musisz. No, już, ściągnaj te buty, zaraz startujemy – mruknął niechętnie, ale stanowczo Oliver.

Amanda rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu ratunku. Nagle wpadła na jakiś wspaniały pomysł, bo aż podskoczyła z radości.

– Dobrze, pobiegnę, ale tylko jeśli ty oddasz mi swoje buty – zażądała słodkim głosikiem i zwróciła błagalny wzrok na kolegę, który przez chwilę zupełnie nie wiedział, o co jej chodzi, tylko spoglądał na nią niedowierzająco. Nagle poczerwieniał ze złości i wycodził tonem pełnym niechęci:

– A w życiu! Wiesz, czemu? Bo, po pierwsze, to MOJE buty, a pod drugie, masz większą stopę niż ja.

Odwrócił się na pięcie oraz odszedł w stronę startu. Amanda obserwowała go z wytrzeszczonymi oczami, a Sonia zerknęła najpierw na stopę koleżanki, potem na Olivera, a na końcu stłumiła chichot i również podążyła za nim, uśmiechając się szeroko. Rzeczywiście, miał rację!

Kilka minut później ponura oraz bosa Portugalka szykowała się do startu razem z Johnem z grupy B. Dała się w końcu przekonać na porzucenie swoich butów, a raczej to Oliver nie pozostawił jej za bardzo wyboru.

Ustalili, że drugi będzie biegł chłopak, a trzecia Sonia. Małym samochodzikiem bez dachu zostali podwiezieni w odpowiednie miejsca, gdzie czekali na swoich poprzedników, którzy mieli im przekazać obręcz z kółkami. Blondynka rozejrzała się dookoła. Stała obok jakiegoś drzewa oraz beczki. Natomiast Oliver oczekiwał Amandy między leżącymi na ziemi rurami a stanowiskiem do strzelania z łuku.

W grupie B drugi biegł Brian, a trzecia Estera, z czego mocno ucieszyła się Sonia, a Oliver niezwykle się naburmuszył. Wolałby każdego innego, ale niestety nie mógł niczego zmienić, z czego był ogromnie niezadowolony.

Nie lubił Briana. I to bardzo. I to nie tylko przez jego idiotyczne zachowanie, kiepskie żarciki, którymi strzelał dosłownie co minutę. Chodziło raczej o to, że byli podobni. Nie z wyglądu. Nie z charakteru. Bo zdaniem Olivera Brian był zdecydowanie denerwującym, skończonym idiotą. Co z tego, że inni wcale tak nie uważali?

Chłopak wyliczył w myślach to wszystko, co było tak niezwykle podobne. Francja. Trójka rodzeństwa – dwóch braci, jedna siostra. Cztery dogi niemieckie. I jeszcze jedna rzecz. „Chciałbym mieć na imię Brian. Tak w rzeczywistości” – powtarzał bez przerwy. „A na drugie tak mocno bym chciał mieć Set...”

To było dziwne. Nawet bardzo.

Oliver zerknął za siebie, gdzie Sonia rozmawiała wesoło z Esterą, po czym szybko odwrócił wzrok. Estery też nie lubił. Z wzajemnością.

Tymczasem Sonia wspólnie z koleżanką próbowały domyślić się, na czym polegały kolejne przeszkody, ale w niektórych przypadkach było to trudne do przewidzenia.

– Patrz, już ruszyli! – zawołała w pewnym momencie Estera.

Obie natychmiast zaczęły obserwować odległy start, co chwila coś komentując.

W tym samym czasie Oliver z kamienną twarzą przyglądał się zmaganiom Amandy z biegiem do pierwszej stacji. Starał się nie patrzeć na stojącego obok Briana, który chyba wyczuł, że kolega nie ma zamiaru z nim rozmawiać, gdyż nie odzywał się w ogóle, cierpliwie czekając na swoją kolej.

Amanda dzielnie pędziła przed siebie, ściskając w dłoni jaskrawopomarańczową obręcz, ale John był dużo szybszy od niej i pierwszy

dopał celu. Było to stanowisko, na którym należało trafić pięcioma kółkami na wbite w ziemię patyki. Rzucano się ze specjalnej linii. Dopiero po pięciokrotnym trafieniu można było iść dalej oraz wziąć przy okazji leżące na ziemi koło do obręczy. Pilnowaniem czystości gry zajmował się pan Mandara, śledzący poczynania zawodników zza kierownicy mini samochodziku, który zaparkował tuż obok pierwszego stanowiska i którym przemieszczał się zgodnie ze swoimi upodobaniami.

John nie miał chyba najlepszego oka, ponieważ przez dłuższy czas nie mógł trafić. Bez przerwy wyjmował nowe kółka z wielkiego kosza stojącego przy stanowisku. Po chwili dogoniła go Amanda. Jej szczęście bardziej dopisywało, trafiła już za trzecim razem. Po wielu trudach udało jej się dorzucić resztę kółek, co zrobiła szybciej od Johna, wciąż męczącego się z ostatnim.

Amanda natychmiast ruszyła dalej, podnosząc z piasku zielone kółko. Szybko wpięła je w obręcz, w tym samym momencie dobiegając do drugiego punktu.

Stojąc daleko, Oliver nie miał pewności, o co chodziło na tej stacji. Widział rozłożoną na ziemi niebieską folię, a na jej środku czerwone kółeczko, ale nie miał pojęcia, do czego może ona służyć. Do czasu.

Zrozumiał, gdy Amanda od razu po nadeptnięciu na nią poślizgnęła się i wywróciła, zatrzymując się dopiero dwa metry dalej. Mokra, śliska folia.

Amanda próbowała wstawać oraz posuwać się naprzód, ale szło jej bardzo niezdarnie. Bez przerwy lądowała na ziemi. W końcu dogonił ją John. Wskoczył na folię i w pozycji pochylonej przejechał kilka metrów, od razu wyprzedzając Portugalkę. Później także lepiej sobie radził.

Nie było większego zaskoczenia, że John pierwszy zdobył drugie kółko. Amanda ledwo dochodziła do połowy folii, kiedy on już skończył. Zgrabnie pokonał następną przeszkodę w postaci płotka, przy którym z gałęzi palmy zwisało na sznurku kolejne kółeczko. Przeskoczył nad przeszkodą, równocześnie je zrywając.

– Nasza grupa jest lepsza niż wasza – zauważył Brian nie bez cienia zadowolenia w głosie. – Nie macie szans.

– Zobaczymy – mruknął Oliver, mrużąc oczy ze złością.

Ja jestem najlepszy! – pomyślał niechętnie. *Inie cierpię przegrywać. Zwłaszcza z kimś, kogo nie lubię. Musimy wygrać. Na złość jemu!*

Jednak na razie to grupa B wygrywała. John dobiegał do czwartego stanowiska, gdy Amanda była jeszcze przy drugim.

Ale jednego nie przewidzieli. Czwartym wyzwaniem był bieg w szpilkach. Oliver uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc, jak Anglik nie radzi sobie nawet z założeniem damskich butów.

W tym samym czasie Portugalka dotarła do końca folii. Pognała przed siebie.

Płotek był coraz bliżej. Wskoczyła w powietrze, chcąc go stylowo pokonać i... zrobiła to za wcześnie. Zatrzymała się gwałtownie na przeszkodzie, uderzając w nią z całą siłą, aż cała zatrzeszczała.

Brian zachichotał, a Oliver zamknął na chwilę oczy z zażenowania. Ale ma grupę. I jak tu z taką wygrać?

Gdy odważył się ponownie spojrzeć na tor przeszkód, Amanda właśnie wskakiwała w szpilki. Natychmiast pobiegła przed siebie, co prawda po linii krzywej, ale szybko i skutecznie. Minęła chybotającego się Johna, porwała z ziemi różowe kółeczko oraz wpięła je w obręcz. Po chwili wyskoczyła z butów i pognęła do następnego zadania.

Był to rów z wodą, nad którym trzeba było przejść za pomocą liny zwisającej ze specjalnego rusztowania. Przyczepiono do niej kolejne kółko. Amanda wyhamowała przed rowem, ostrożnie zaglądnęła do środka i dopiero po upewnieniu się, że nie czai się tam żaden krokodyl, przyciągnęła do siebie linę. Wczepiła się w nią, wzięła rozpęd, po czym... zawisła niezgrabnie nad środkiem rowu.

Oliver jęknął cicho. To jakiś koszmar! Zerknął pochmurnie na krztuszącego się ze śmiechu Briana.

A gdyby tak jej delikatnie pomóc... Ale czy to rozsądne?

Nikt nie zobaczy – pomyślał z wahaniem. A już na pewno nikt nie będzie podejrzewał mnie. No i wygramy.

Tak upewniony, przymknął oczy i skupił się odrobinę. Pustynny wiatr połaskotał go w twarz. Natychmiast usłyszał obok siebie okrzyk zdumienia:

– Jej! Jak ona to zrobiła?

Otworzył oczy, akurat by ujrzeć, jak Amanda puszcza linę, będąc już po drugiej stronie rowu. W ręce trzymała kolejne kółko.

Nie przejął się zbyt tym, że oszukuje. To i tak tylko głupia gra. Którą, swoją drogą, mimo wszystko bardzo chciał wygrać. Bo nie znosił smaku przegranej. Tylko dlatego.

Oliver drgnął, widząc, jak pan Mandara rozgląda się dookoła podejrzliwie. Poczł niepokój. *Kierownik chyba się nie zorientował, prawda? Oby nie. A zresztą, dzisiaj w nocy i tak stąd zniknie, więc nie musi się przejmować.*

Tymczasem Amanda doszła już do swojego ostatniego punktu. Po jego pokonaniu miała podać obręcz Oliverowi.

Tylko że najpierw musiała przez ten punkt przejść.

A było to stanowisko z całkiem długą, dużą rurą ułożoną na ziemi. Trzeba było się przez nią przeczołgać. Na piasku za przeszkodami spoczywało kolejne kółko.

Amanda opadła na piasek, wpełzła do rury oraz zaczęła mozolnie przemieszczać się w stronę jej końca. Bardzo mozolnie. Właściwie cały czas

sterczała w miejscu.

Tymczasem John wreszcie doszedł do końca biegu w szpilkach i bez żadnego problemu pokonał przeszkodę z liną. Wczołgał się do drugiej, bliźniaczej rury, a po chwili wyszedł z drugiej strony.

– Ratunku! Utknęłam! – wydarła się Amanda gdzieś z połowy przeszkody. No, może miała trochę bliżej do końca niż do początku.

– No nie! Co za niezdara – jęknął ze złością Oliver.

No i pięknie. Po wygranej.

W tym momencie John przekazał Brianowi obręcz, a sam usiadł na ziemi, dysząc ciężko. Francuz zachichotał wesoło i odbiegł w stronę stanowiska łuczniczego.

– Jestem świetny w strzelaniu z łuku! – wykrzyknął przez ramię. – A kółko zdobywa ten, kto pierwszy trafi w dziesiątkę!

Oliver zacisnął zęby z determinacją. Nie da mu wygrać, o nie.

– Spróbuj iść dalej, już blisko – zawołał do Amandy z rezygnacją, bo nie wierzył, że kiedykolwiek jej się uda.

Równocześnie spod opuszczonych powiek zaczął obserwować Briana, który przyszykował się do strzału. Z niezwykłą pewnością siebie nałożył strzałę, wycelował w sam środek. Zabrzęczała cięciwa i... strzała nie trafiła nawet w tarczę. Oliver uśmiechnął się z zadowoleniem. Drugą strzałę wiatr także zdmuchnął gdzieś w bok. I trzecią. I jeszcze kolejną.

– Co jest?! – złościł się Brian, ale niewiele mu to dawało.

W końcu gdzieś z końca rury rozległo się sapnięcie ulgi.

– Już... jestem – wydyszała Amanda, wyczołgując się z przeszkody.

– Chyba dopiero.

Dziewczyna wstała, chwiejąc się, i wręczyła Oliverowi obręcz z trzema kółkami. Jak na razie remis. To i tak super, spodziewał się gorszego wyniku. Ale tylko w tej pierwszej części.

W jednym momencie znalazł się obok mamroczącego coś ze złością Briana. Sięgnął po łuk oraz strzałę. Nałożył ją na cięciwę i wycelował, zagryzając wargę. Ostatnio strzelał dobrych kilka lat wcześniej. Dobrze, że nie musiał polegać jedynie na swoich umiejętnościach strzeleckich. Wypuścił strzałę, która pomknęła o wiele za bardzo w prawo, jednak dzięki wiatrowi trafiła w samą dziesiątkę.

– Co?! Jak to możliwe? – wydusił z siebie zszokowany Brian.

– Po prostu jestem lepszy – rzucił Oliver, czując, jak poprawia mu się humor, i ruszył do następnego punktu, po drodze zbierając z piasku kółko.

Kolejną przeszkodą był bieg przez całkiem wysokie płotki, który Oliver ukończył bez trudu, trochę korzystając z pomocy wiatru. Na obręczy zawisło piąte kółko.

Przy kolejnym punkcie dogonił go Brian, zdeterminowany, by wygrać.

Trzeba było przejść po desce nad napelnionym wodą basenem. Ale deska była tylko jedna.

Oliver wbiegł na nią pierwszy. Już prawie był na środku, już sięgał ręką po kolejne kółko, kiedy nagle został pociągnięty do tyłu.

– Hej! – krzyknął z zaskoczeniem, czując, jak traci stabilność pod nogami i leci gdzieś w bok.

W następnej sekundzie wylądował w płytkim, na szczęście, basenie, rozchlapując dookoła wodę. Przez chwilę prychnął zawzięcie i mrugał oczami, słysząc oddalające się dudnienie biegnącego ze śmiechem Briana. Potem zmrużył ze złością oczy.

– Już ja ci dam! – mruknął, zrywając się z wody.

Zignorował to, że był cały mokry. Popędził przed siebie, do następnego punktu, gdzie Brian właśnie stracił kamieniem swoją puszkę stojącą na białej w ziemię belce. Zgarnął kolejne kółko i ruszył dalej.

Oliver natychmiast porwał kamień oraz rzucił nim przed siebie, nawet się nie zatrzymując. Puszka z głuchym łoskotem spadła na podłóże, a on w tym czasie dogonił Briana przy następnej stacji, na której trzeba było pokonać wyższy od nich, cienki mur.

W tym samym momencie chwycili jego krawędź oraz podciągnęli się w górę. Jednak szczuplejszy Oliver szybciej znalazł się na górze. Zeskoczył na piasek, porwał z ziemi kółko i ruszył biegiem dalej. Brian dosłownie deptał mu po piętach, a może raczej starał się to robić. I w końcu mu się to udało. Oliver wyłożył się na piasku, tracąc na chwilę oddech, a blondyn pognął dalej, śmiejąc się głośno.

– Toś ty taki – wykrztusił Oliver i w jednej chwili zebrał się z ziemi.

Pobiegł w stronę następnego punktu, wbijając zdeterminowany wzrok w plecy Briana, który właśnie zaczął wspinać się na wysoką piaskową wydnię, na której szczycie czekało złote kółko.

Oliver uśmiechnął się szeroko. To była jego konkurencja.

– Nie masz szans, Oliververver! – zawołał, doganiając grzęznącego w piachu kolegę. – Jesteś taki ciężki, że się zapadasz. Będę na szczycie pierwszy!

Tak naprawdę nie chodziło o wagę, ale nie miał zamiaru rozpowiadać o tym wszem i wobec. To była jego tajemnica.

Wbiegł na wydnię bez problemu, jakby wcale nie była wykonana z ruchomych piasków. Sekundę później porwał z jej szczytu złote kółko. Jego samozadowolenie zachwiało się dopiero, gdy kątem oka zauważył pana Mandarę, siedzącego w swoim samochodziku i zaznaczającego coś z dumą w notesie. Na ten widok przeszył go niepokój, ale szybko o nim zapomniał, gdy znalazł się przy swoim ostatnim wyzwaniu.

Było to drzewo, na którego czubku wisiało kolejne kółko do zdobycia. Oliver szybko dotarł do rośliny oraz zaczął się wspinać ku jej najwyższemu

gałęziom. Był już bardzo blisko, gdy coś mignęło mu przy podstawie rośliny. Zaryzykował szybkie spojrzenie w dół. W pierwszej chwili nie zrozumiał tego, co zobaczył. Brian dobiegł do drzewa, ale minął je i pognął w stronę czekającej na swoją kolej Estery.

No tak, nie ma przecież szans na zdobycie tego kółka – zrozumiał Oliver.

Chwycił je i zeskoczył z rośliny. Sekundę później wręczył Soni obręcz z siedmioma kółkami.

Wygrywali. Jak na razie.

Sonia pobiegła przed siebie, w kierunku swojego pierwszego punktu. Było to stanowisko z beczką, którą trzeba było wywrócić. Przynajmniej tak robiła Estera, więc blondynka doszła do wniosku, że pewnie o to chodzi. *Dziwne. To nie powinno być trudne* – pomyślała z zaskoczeniem.

Jednak bardzo się myliła. Beczka była napełniona czymś niezwykle ciężkim, ledwo dało się ją ruszyć. Estera stęknęła przy swojej beczce, dzielnie na nią naciskając. Sonia zastosowała inną taktykę. Zaczęła ją huścić, co nie było zadaniem łatwym, ale w miarę wykonalnym. W końcu obie beczki wylądowały na piasku, ta Estery pierwsza, Soni druga. Blondynka odetchnęła głęboko i pobiegła za koleżanką do kolejnej przeszkody.

Stali przy niej dwaj opiekunowie. W pierwszej chwili Sonia zdziwiła się dlaczego, ale zrozumiała, gdy zobaczyła, jak jeden z nich pomaga Esterze wejść na szczudła.

Szczudła?! Jak ja dam radę w nich chodzić?! – pomyślała z niepokojem Sonia.

Już po chwili próbowała utrzymać na nich równowagę. Na szczęście wystarczyło przejść dwa metry, by zdobyć kółko. Postawiła chwiejne kroki, podążając tuż za koleżanką. Estera pierwsza doszła do końca, przypięła do swojej obręczy następne kółko oraz pobiegła dalej.

Sonia zeskoczyła ze szczudeł i pognęła za nią. Chciała zdobyć choć jedno kółko dla swojej grupy! W końcu nawet Amanda zdobyła trzy... Ale ona jak na razie tylko straciła dwa.

Następną konkurencją było pokonanie kajakami całkiem sporego basenu. Kajaki były już umieszczone w wodzie, przy niewielkim molo, co na pewno ułatwiało sprawę, gdyż nie trzeba ich było nosić.

Sonia wskoczyła do swojego tuż za Esterą. Płynęły najszybciej jak umiały, każda chciała być pierwsza na drugim końcu. Blondynka zacisnęła zęby i włożyła we wiosłowanie jeszcze więcej siły, mając nadzieję, że nie będzie miała później odcisków. Dogoniła koleżankę... Tak! Wyprzedziła ją! Tak! Pierwsza! Zdobyła ósme kółko.

Wyskoczyła z kajaka i pobiegła w stronę następnego punktu, czując miłe uczucie dumy. Wreszcie jej się udało!

Kolejną konkurencją był rzut dyskiem jak najbliżej oddalonego o kilka metrów, położonego na ziemi kółeczka. Tutaj wygrała z kolei Estera, aczkolwiek obie były bardzo blisko.

Na przedostatniej stacji trzeba było podciągnąć się na specjalne wysokie rusztowanie, by zdobyć umieszczone nad nim kółko. Obie dziewczyny chwyciły się zimnego metalu niemal w tym samym momencie, ale to Sonia pierwszej udało się dosięgnąć celu.

Mamy już dziewięć! – ucieszyła się w duchu, pędząc do ostatniej konkurencji. Polegała ona na zrobieniu sześciu fikołków pod rząd i jak najszybszym dobiegnięciu do mety.

Estera bardzo szybko uporała się z fikołkami. Pobiegła przed siebie najszybciej jak umiała. Czując radość oraz satysfakcję, coraz bardziej zbliżała się do mety... Już prawie... Jeszcze chwila...

I wtedy, pod sam koniec przegoniła ją Sonia, dzięki czemu dotarła do mety pierwsza.

Tak! Zdobyłam dziesiąte kółko! – pomyślała z radością, próbując złapać oddech.

– Wygraliśmy! – ucieszył się Oliver, zjawiając się obok niej. Sonia zerknęła na niego, oddychając z trudem.

Wyglądał na autentycznie bardzo zadowolonego z siebie, bez przerwy rzucał przeciwnikom triumfujące spojrzenia. *Chyba nigdy wcześniej nie był z czegoś tak zadowolony!* – pomyślała ze zdumieniem. *Aż tak zależało mu na pokonaniu Briana, czy może po prostu zawsze chce być pierwszy?*

– Brawo, bardzo ładnie wam poszło – oznajmił kierownik, podjeżdżając do nich swoim samochodzikiem.

Oliver przygaśł odrobinę i zmrużył oczy, widząc, w jakim podejrzenie świetnym humorze jest pan Mandara, który zaciskał rękę na pogiętym notesie, jakby był on powodem jego wspaniałego samopoczucia. *Co w nim się znajduje, że jest dla niego taki cenny?* – zastanowił się chłopak, marszcząc brwi. Musiał to sprawdzić. A przynajmniej spróbować. Najlepiej teraz.

– Odpocznijcie sobie, macie czas wolny, dopóki inni nie skończą – powiedział śpiewnie pan Mandara, po czym zaczął nawracać swoim samochodzikiem.

Teraz albo nigdy – pomyślał Oliver, po czym zawołał najgłośniejszym jak umiał, równocześnie podbiegając do małego pojazdu:

– Hej! Proszę pana! Niech pan chwilę zaczeka!

Pan Mandara zatrzymał samochodzik i zerknął na nastolatka ze zdziwieniem, przez które przebijało się wielkie zadowolenie.

– Słucham? Chciałeś czegoś?

– Tak, mam ważne pytanie – oznajmił, przywołując na twarz wesoły

uśmiech.

Równocześnie zerknął na częściowo zakryty dłonią mężczyzny notes.

– Tak?

Oliver nagle pobladł. Na kartce z notesu widniał niewinny napis „Tabela bogów”.

– Jakie?

– Eee... Bo ja... – zająknął się Oliver, czując przerażającą pustkę w głowie. *Tabela bogów?! A cóż to niby ma znaczyć? Czy to jakiś zmyślny żart? A co, jeśli nie...?*

– No, co takiego? Pośpiesz się, nie mam całego dnia – przynaglił kierownik, marszcząc badawczo brwi. Schował także notes do kieszeni, zerkając podejrzliwie na Olivera.

No, dalej, rusz się! – ofuknął się w myślach zszokowany chłopak, próbując nad sobą zapanować. *Bo się zorientuje!* Jeśli jeszcze nie wie, rzecz jasna. Chciał to dopowiedzieć, ale nie starczyło mu do tego odwagi. To było zbyt... niepokojące. Tak, niepokojące. Nie straszne, o nie. On się przecież niczego nie boi. Prawda? A przynajmniej nie powinien się niczego bać. W praktyce wychodziło to nieco trudniej niż w teorii. Aczkolwiek nie zawsze. I tylko jak na razie. *No, dalej! Wymyśl coś! Natychmiast.*

– Muszę wiedzieć, o której wrócimy – powiedział szybko, odzyskując pewność siebie.

Tak, właśnie tak.

– Dlaczego? – zdumiał się kierownik.

No właśnie, dlaczego?

– Muszę zadzwonić dzisiaj do mamy – wypalił. – A telefon, niestety, zostawiłem w pokoju.

Super. Ale powiedział. Nic lepszego nie mógł wymyślić, serio?

– Eee... Powinniśmy wrócić na obiad – powiedział powoli mężczyzna, po chwili milczenia.

– To cudownie. Mama się ucieszy. – Oliver uśmiechnął się, choć w rzeczywistości miał ochotę czymś w kogoś rzucić. Albo kimś. W zasadzie – obojętne.

– Zapewne – mruknął nie do końca przekonany kierownik i ruszył przed siebie.

Chwilę później Oliver opadł na przyjemnie nagrzaną piasek, zastanawiając się, o co chodziło z tą tabelą bogów. I czy to była taka tabela, o jakiejś myślał. Oby nie. Pokręcił głową z przygnębieniem. Oby nie. Jeśli tak, to naprawdę kiepsko. Zwłaszcza dla niego.

Spojrzał na tor przeszkód, gdzie pierwsze osoby z następnych grup szykowały się do startu. Trochę się rozpozgodził. Przez następne pół godziny

pomagał lub przeszkadzał zawodnikom. Po to, by dostarczyć potencjalnym zainteresowanym fałszywych poszlak. Tak, powinni się nabrać.

Przestał dopiero, gdy napotkał podejrzliwy wzrok tyczkowatego asystenta, pana Omara, który siedział niedaleko pod parasolem i siorbał jakiś ziemisty napój, który nie wyglądał apetycznie. Pod wpływem jego spojrzenia Oliver poczuł się nieswojo. Przecież nie może wiedzieć, że to on... Prawda?

A co, jeśli tak? I o co chodzi z tą tabelą...?!



Rozdział trzynasty

WIADOMOŚCI

Wrócili rzeczywiście na obiad, tak jak obiecał pan Mandara. Mieli potem jeszcze wykład o kulturze i praktykach religijnych starożytnych Egipcjan, a później zorganizowano im zajęcia sportowe. Po kolacji kierownik ogłosił, że wszyscy mają udać się do świetlicy, ponieważ ma coś ważnego do oznajmienia, a atmosfera jadalni nie była jego zdaniem do tego odpowiednia.

Cały obóz czekał na pana Mandarę już od jakichś dziesięciu minut, ale nic nie wskazywało na to, żeby miał zamiar przyjść w ciągu najbliższych dwudziestu. Podobno musiał najpierw udzielić komuś reprimendy, ale nikt nie wiedział, komu i dlaczego. Oliver podejrzewał, że strażnikom, ponieważ albo dopiero teraz odkryli, że jeden z nich zdeptał pewnej nocy krzak, albo zauważyli niesfunkcjonowanie kamer, albo jeszcze coś innego. Miał nadzieję, że to ostatnie. Albo pierwsze. Ale nie drugie, proszę, nie. To byłoby dla niego dość, hm... niewygodne.

Znudzony chłopak zdecydował się przysiąść do większości swojej grupy, która oglądała wiadomości na wielkim telewizorze ustawionym przy ścianie.

– A teraz czas na przygotowany z wielkim poświęceniem specjalnie dla państwa reportaż na temat jednej z najbardziej poszukiwanych osób na świecie – oznajmił spiker z miłym uśmiechem na twarzy. – Chodzi oczywiście o Brianta de Ramena. Każdy zna teraz jego imię, co do tego nie ma wątpliwości.

Przy telewizorze rozległ się pomruk zgody. Oliver zerknął na wszystkich ze zdziwieniem, zachowując tak kamienną twarz, jak tylko potrafił.

– Przypomnę, że prawie cztery tygodnie temu zamknął całą swoją rodzinę w mieszkaniu w centrum Paryża, terroryzował ich dziwnymi pytaniami, a potem spowodował wielki wybuch, uciekając nieznanym nam sposobem – kontynuował tymczasem spiker. – Prawdopodobnie wniósł do domu bombę. Jednak szczegóły

nie są udostępniane mediom. Wszystkiego tego dowiedziano się z nagrań okolicznych kamer. Kilkanaście minut po tragedii z tłumu obserwującego pożar mieszkania, wyłonił się piętnastoletni Briant i podszedł do policji. Jak twierdzi jedna z obserwujących go wtedy osób, wyglądał na wstrząśniętego i przerażonego, aczkolwiek tylko przez chwilę. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało, bez przerwy kręcił głową w wyrazie protestu. Było to bardzo realistycznie zagrane, jednak znający prawdę nie dali się nabrać. Policja zatrzymała go i przesłuchała, ale nie przyznał się do winy. Za to bardzo się wściekł, gdy zorientował się, że wykryto jego kłamstwo. Tej samej nocy dziwnym sposobem uciekł z aresztu. Możliwe, że miał współnika, który mu w tym pomógł, ale niczego nie wiadomo dokładnie. Jak państwo widzicie, cała sprawa jest bardzo tajemnicza. Nikt nie zna odpowiedzi na dręczące nas pytanie: dlaczego to zrobił? Zdaniem pani psycholog Bleu, mogło mu chodzić o zgarnięcie rodzinnej fortuny, którą mógł nie chcieć się dzielić z trójką swojego rodzeństwa. Jednak nic nie jest pewne, dowiemy się wszystkiego dopiero wówczas, gdy zostanie on schwytany. Miejmy nadzieję, że nastąpi to wkrótce, bowiem wszystkich ogrania dreszcz na samą myśl, że taki, zdaniem paryskiej psycholog, chory na umyśle, ewentualnie opętany młodociany przestępca grasuje na wolności. Codziennie popełnia on nowe zbrodnie, o czym na bieżąco państwa informujemy. Na przykład dziś spowodował aż pięć wypadków drogowych w Niemczech, dwa włamania we Francji i trzy napady w Hiszpanii. Dodatkowo aż sto pięćdziesiąt osób z całej Europy zgłosiło dziś na policji, że widziało go przed swoim domem, czy też na ulicy. Nasz reporter rozmawiał z jedną z tych osób. Oto fragment ich rozmowy, obejrzymy go.

Na ekranie ukazano jakąś zapłakaną kobietę, która z przestachem rozejrzała się dookoła, odetchnęła nerwowo, po czym powiedziała:

– To się stało dziś rano, kiedy wyglądałam przez okno w oczekiwaniu na wizytę sąsiadki. W jednej chwili go nie było, w następnej już był. Stał naprzeciwko mojego domu i patrzył prosto na mnie spojrzeniem szaleńca. Groźnego szaleńca. Rozpoznałam go, bo wyglądał tak samo jak na zdjęciach, pokazywanych przecież wszędzie. Przeraziłam się nie na żarty! Zadzwoiłam po policję, ale on w tym czasie zniknął. Myślę, że chciał mnie okraść, lecz widząc, że sięgam po telefon, wolał zrezygnować. Ale i tak czuję się zagrożona. To było straszne, zupełnie jakbym patrzyła w okrutne oczy samego diabła!

Ponownie ukazano spikera, który przemówił:

– Takich budzących grozę zdarzeń przeżywa mnóstwo osób każdego dnia. Wygląda na to, że ten nastoletni morderca kogoś szuka. Tylko kogo...? Nie wiadomo. A teraz, obejrzymy przygotowany przez moich kolegów materiał z wywiadami z najbliższym otoczeniem Brianta de Ramena. Oto on.

Ukazano ładnie ubraną reporterkę, która odrzuciła na bok grzywę blond włosów, uśmiechnęła się pogodnie i oznajmiła:

– Witam państwa! Nasz reportaż składa się z kilku wywiadów z osobami dość bliskimi osobie Brianta de Ramena. Poszukiwania zaczęliśmy od elitarnej szkoły, do której uczęszczał. Potem przenieśliśmy się do jego rodzinnego domu. A teraz przed państwem fragment wywiadu z jednym z dawnych najlepszych kolegów przestępcy.

Na ekranie pokazano jakiegoś piegowatego, bardzo dobrze ubranego chłopca, który spojrzał niepewnie w obiektyw kamery. Przy jego głowie pojawił się napis „szkolny kolega”. Chłopak odchrząknął i powiedział niepewnie:

– Briant był naprawdę fajnym kolegą. Nigdy bym się po nim nie spodziewał, że zrobi coś takiego. Co prawda zawsze kłócił się z braćmi, ale bardzo kochał swoją siostrę. Nie mogę uwierzyć, że wysadził ich wszystkich w powietrze... Szczególnie ją, przecież zawsze bardzo się o nią troszczył.

– Cóż, ale wszyscy znamy straszną prawdę, że jednak to zrobił. – W tle rozległ się współczujący głos reporterki. – A powiedz nam, jakim dokładnie kolegą był Briant de Ramen?

– Bardzo fajnym, jak już mówiłem. – Chłopak zawahał się, a potem zaczerwienił odrobinę. – Zawsze wymyślał najlepsze kawały dla nauczycieli. I najlepsze akcje. Na przykład pomalowanie ogródka dyrektorki na różowo, w środku lekcji, i to tak, żeby się nie zorientowała.

W tym momencie gdzieś z boku rozległ się odległy, ale słyszalny, pełen zgrozy okrzyk:

– Co? Mój ogródek? To on to wymyślił?!

Chłopiec zaczerwienił się jeszcze bardziej, a reporterka zapytała:

– Powiedz, czy Briant był dobrym, czy złym chłopcem?

– To znaczy? – Piegowaty chłopak nie zrozumiał do końca.

– Był dobrym, grzecznym uczniem, czy wręcz przeciwnie?

– No... Nigdy nie przykładał się do nauki, wolał wypadki do lasu albo nad rzekę, gdzie mogliśmy robić dosłownie wszystko. Ale i tak miał dobre oceny. Gdyby chciał, myślę, że byłby najlepszy. Ale mu się nie chciało. Natomiast, czy był greczny... No, zdecydowanie nie. Ale nie był jakiś okropnie zły. Przynajmniej wtedy.

Obraz zmienił się, ukazując jakąś kobietę około czterdziestki o krótkich blond włosach. Pojawił się napis „dyrektorka szkoły”.

– Cóż, nie twierdzę, że Briant nie był inteligentny. Wręcz przeciwnie, to był chyba najbystrzejszy uczeń od wielu lat. Co czyni go teraz bardzo niebezpiecznym. To prawda, nie przykładał się do nauki, do szkolnej biblioteki nie zaglądnął chyba ani razu. Zawsze musiał skomentować coś od siebie, niezależnie od tego, gdzie to miało miejsce, ani czy to dobry pomysł. Raz przygadał jednemu z największych umysłów Europy. Tak, to było zdecydowanie nie na miejscu. Ale taki już był. Bardzo często się złościł. Prawie codziennie lądował w moim gabinecie

z najróżniejszych i bardzo oryginalnych powodów. No, na przykład pewnego dnia zakamuflował historykowi samochód gałęziami tak dobrze, że nauczyciel zgłosił na policji kradzież. A wszystko dlatego, że historyk nakrzyczał na niego, gdy bez przerwy komentował czyjeś wypowiedzi podczas jego lekcji. Że nie wspomnę o tej akcji malowania mojego ogródka! Nie wiedziałam, że to on był pomysłodawcą. Aczkolwiek to do niego podobne – westchnęła dyrektorka, a następnie pokręciła gwałtownie głową, mówiąc: – To okropne, jak źle skończył. Nasza szkoła miała dotąd tylko wybitnych uczniów oraz absolwentów, przecież to jedna z najlepszych szkół na świecie! Niełatwo się tu dostać. To okropne, doprawdy haniebane. Wstyd nam, wstyd, że uczęszczał do naszej szkoły. Nie to, co jego niemal wzorowi bracia i urocza siostra, o nie. Zupełne przeciwieństwo. Myślę, że od początku do nich nie pasował. Ani do nich, ani do jego wspaniałej rodziny, z którą znam się zresztą od dawna.

Na ekranie pokazano następnie obraz pięknego zamku z mnóstwem uroczych wieżyczek, otoczonego zadbanym parkiem oraz wstęgą rzeki. Rozległ się głos reporterki:

– Château de Ramen to siedziba rodowa rodziny de Ramen. To właśnie tutaj wychowywał się Briant, który pozbył się swojej rodziny w tak straszny sposób. Teraz, z powodu braku domowników, do rezydencji sprowadziła się najbliższa rodzina zmarłych, czyli siostra ojca przestępcy wraz z mężem i dorosłym już synem. Przeprowadziliśmy wywiad z kuzynem oraz ciotką Brianta de Ramena, a także z ich sąsiadami. Oto fragmenty.

Ukazano ponure małżeństwo, które łypało nieufnie w stronę kamery. Pojawił się napis „sąsiedzi”.

– Czy pamiętają państwo coś związanego z Briantem de Ramenem? Może jest coś charakterystycznego? – zapytała niewidoczna reporterka.

– To było dziwne dziecko. Pamiętam, że kilka razy grzebał nam w piaskownicy. Nie wiem, czego tam szukał – burknął mężczyzna. – Nie znosimy cudzych dzieci, więc ich do nas nie wpuszczaliśmy. Dlatego nie mamy dużo wspomnień.

Następnie pokazano ujęcie znudzonego życiem, ubranego w drogi garnitur dziesiętnastolatka, który z niechętną miną zaczął mówić lekko nosowym głosem, w charakterystyczny sposób przeciągając końcówki zdań:

– Nigdy nie lubiliśmy się z kuzynem. Już od początku było mi za niego wstyd i nie przyznawałem się do niego, jeśli nie musiałem. Mówiąc od początku, mam na myśli dzieciństwo. Od zawsze był zarozumiały, arogancki, egoistyczny i wredny. Można się było po nim spodziewać tak strasznego czynu, zawsze miał wybuchowy charakter. Jest on, i zdecydowanie zawsze był, zakałą dumnego rodu de Ramen, do którego, nie chwając się, należę. I z pewnością dodaję mu blasku, podczas gdy on tłumi bijące z niego światło swoim mrokiem, ciemnością oraz

złem. Ja zawsze głosowałem, żeby go wydziedziczyć. Myślę, że całe zło tego świata skupiło się właśnie w nim. Wstyd mieć kogoś takiego w rodzinie. Mam nadzieję, że to usłyszysz i że dopiecze mu to do żywego. Wyczekuję radosnego dnia, kiedy wreszcie zostanie ujęty. Może wtedy dostanie to, na co zawsze zasługiwał. Bo na pewno nie należały mu się luksusy tego miejsca, z których mogę teraz korzystać ja. A ja całkowicie na nie zasługuję. On nie. Ja tak.

– Fajna rodzinka – prychnął ktoś z grupy Horusa, ale natychmiast został uciszony.

Oliver zerknął w jego stronę. Zmarszczył ze zdziwieniem brwi, widząc Niezdarnego Szpiega, Rale'a, który uśmiechnął się do niego szeroko, ale jakby z dozą smutku i współczucia. Oliver szybko odwrócił wzrok, czując, jak serce tłucze mu się w piersi. Co to niby miało znaczyć?

Tymczasem na ekranie pokazano chudą, dumną, ale smutną kobietę, wystrojoną w kreację z dużą ilością pawich piór. Zabłysł napis „Eleonora de Ramen, ciocia”. Kobieta zatrzepotała rzęsami z rozrzewnieniem i zaczęła mówić w sposób bardzo podobny do syna.

– Mój bratanek już od małego był bardzo dziwny. Nigdy nie lubiłam, jak do nas przyjeżdżał, wolałam jego braci lub siostrę. Pamiętam, jaki był nieznośny, mając osiem lat, gdy śmiał się z mojego dwunastoletniego synka, że wszystkiego się boi. Jean, mój syn, by udowodnić, że to jego kuzyn jest tchórzem, zaczął oglądać z nimi jakiś horror, po którym ja zawsze mam lęki! Biedne dzieci, przeżyły taką traumę! Młodsze rodzeństwo mojego bratanka oraz mój syn, rzecz jasna. Gdy oni płakali ze strachu, kiedy zginął jeden z bohaterów, uciekając przed, zdaje się, jakimś zombie, ten nieznośny chłopak tylko zezłościł się, że uciekał za wolno i bez przerwy się potykał! Tak, on był naprawdę nienormalny, po prostu szalony! Od początku wiedziałam, że nie wyrośnie z niego nic dobrego, że wytnie w końcu jakiś numer! No i proszę, miałam rację, choć nie spodziewałam się czegoś aż tak okropnego! Mój biedny brat! – Tu kobieta pochlipała chwilę, a potem jęknęła cicho, lecz ze złością: – Wstrętny bachor!

A potem dodała głośniejszym głosem, z uczuciem:

– Obiecuję, że cała nasza rodzina aktywnie wesprze policję w poszukiwaniach... Zrobimy wszystko, by ta zbrodnia nie uszła mu na sucho...! Wiemy, że tylko tak możemy im pomóc... mojemu bratu, jego żonie i ich biednym dzieciom... Więc proszę was wszystkich, wy też nam pomóżcie! Nie pozwólmy, by takie zachowanie obeszło się bez należytej kary! Nie tolerujemy takich czynów!

W tym momencie ponownie pojawił się spiker, który natychmiast wykrzyknął:

– Tak! Nie pozwólmy na to! Jeśli ktoś z was ma informacje na temat tego niebezpiecznego zbiega, którego zdjęcie umieszczone zostało w rogu ekranu, prosimy o kontakt z...

Sonia nie usłyszała reszty zdania. Ze świstem wciągnęła powietrze, gdy tylko wyświetlono zdjęcie Brianta de Ramena. Poczuła, jak gardło zasupłuje jej się w węzeł uniemożliwiający oddychanie. Spojrzała na miejsce, gdzie przed chwilą siedział Oliver.

Było puste.

Z trudem przełknęła ślinę i z przerażeniem ponownie spojrzała na migające zdjęcie poważnego nastolatka o ładnych, brązowych oczach oraz włosach czarnych niczym noc.

Briant de Ramen i Oliver Green wyglądali dokładnie tak samo.



Rozdział czternasty

ZEBRANIE

Oliver wpadł do pokoju i zatrzęsął drzwi tak głośno, że z powodzeniem mogło to być słyszalne w pokoju wspólnym. Oparł się o nie plecami, zaciskając drżące dłonie. Po chwili zsunął się na podłogę i zakrył twarz rękami. Przesiedział tak dobre pół godziny, bez przerwy powtarzając w głowie te same słowa.

Nie był tym gościem, którego pokazywali w telewizji. Może i wyglądał podobnie, ale to nie był on. I nigdy nie będzie. Przynajmniej taką miał nadzieję. Ale co z tego, że on to wiedział, jeśli inni nie? A jeśli ktoś zauważył podobieństwo i od razu wyciągnął wnioski? Może już jedzie po niego policja? Albo wojsko? Agenci? Szamani? Albo jeszcze ktoś inny? Jednego był pewien. Tej nocy musi stąd zniknąć. Po prostu musi. To jedyny sposób, by nie zostać uznanym za mordercę. Bo co z tego, że za pomocą iluzji pozornie zmienił kolor swoich włosów, skoro rysy twarzy pozostały te same? Tak, musi uciekać. Nie chciał zostać skazanym za coś, czego nie zrobił. Więc musiał stąd zniknąć.

Poczuł się odrobinę lepiej po takim postanowieniu, choć wciąż był cały roztrzęsiony. W końcu był na tyle silny, by zebrać się z podłogi. Spakował wszystkie swoje rzeczy i wystawił je na balkon. Upewnił się, że replika Amuletu jest cała i gotowa zastąpić oryginał. Wyjął ze schowka w plecaku klucz magnetyczny pana Mandary, po czym przyglądał mu się w świetle padającym z pokoju. Wyglądał dość niepozornie. A otwierał wszystkie drzwi. Chyba, bo jeszcze nie miał okazji go przetestować. Ale dzisiaj to zrobi.

Zmarszczył brwi, tknięty nagłym przeczuciem. Po chwili trzymał w dłoniach dwie karty, zupełnie identyczne. Oryginał i replikę. Nigdy nie wiadomo, czy ta druga czasem się nie przyda. Schował ją do schowka, a prawdziwą kartę wsunął do kieszeni.

Gdy wrócili bracia, był już całkowicie opanowany.

– Hej, Oliver, gdzie zniknąłeś? Wszyscy mieli być w pokoju wspólnym – zapytali od razu na wejściu.

– Źle się poczułem – zmyślił. – Strasznie boli mnie głowa. A tam było tak głośno, że po prostu musiałem wyjść.

– Ech, no i przegapiłeś wyniki gier terenowych – westchnął Steve.

– Aha. To okropne – mruknął niezbyt przejęty Oliver.

– Ha, nie uwierzysz – powiedział John. – Moja drużyna wcale nie wygrała.

– O, nie. To niezwykle zaskakujące.

– A wiesz, kto wygrał? – kontynuował niezrażony John.

– Nie. Steve?

– Eee, Steve! On był jeszcze gorszy niż my. Bez urazy, brachu, ale byliście ostatni.

– Wiem, niestety – westchnął Steve.

– No to nie wiem. – Chłopak wzruszył ramionami. I tak go to nie obchodziło.

– Ty wygrałeś! Razem z Sonią i Amandą! – wykrzyknął John, zerkając na niego z zazdrością.

– Co?! Naprawdę?

– Tak. Szczęściarze – mruknął Anglik.

– To super. – Oliver zmrużył oczy z zadowoleniem i wygodnie położył się na kanapie.

No, w sumie, czemu jest taki zdumiony, w końcu to on był w tej drużynie. Aczkolwiek była też Sonia i Amanda. Czyli musiał być naprawdę świetny, skoro nadrobił za nie tyle punktów, że wygrali! Ha, to się nazywa sukces. Teraz zakosztuje chwały, a potem zniknie. Bez śladu. Tak, to jest to. Klasyczne odejście w triumfie. Cóż, musiał też przyznać, że wygrana w rywalizacji z grupą dziewczyn w szpilkach, sandałkach oraz sukienkach wcale nie była trudna.

– No i dlatego, że wygraliście, macie super nagrodę.

– Tak? Jaką?

– Macie mniejszą liczbę obowiązkowych tańców na dyskotecę pojutrze.

Super. Tylko mnie już wtedy tu nie będzie.

– No i startujecie w drugim etapie.

– To jest drugi etap? – zdziwił się Oliver.

Nie przypominał sobie, żeby ktoś o tym wcześniej wspominał.

– Tak. Ale szanse na zwycięstwo są marne.

– Dzięki, że we mnie wierzysz – wyrócił oczami. – A czemu?

– Bo wygrana drużyna jest zwolniona z obowiązkowych tańców na dyskotecę. A nikt nie chce tańczyć. Wiesz czemu? Bo to będzie jakiś koszmar, mówię ci! Tańce towarzyskie, walec... – jęknął John, krzywiąc się z przerażenia.

- Chyba walc.
- Walec – walc. No, nieważne! Ale to są tańce!
- Straszne – mruknął Oliver bez przekonania.
- Wiem. Będziemy trzymać za ciebie kciuki, prawda, Steve?
- Jasne. W końcu brachy zawsze trzymają się razem!
- Tak! Juhu!
- Taa, jasne. – Oliver ponownie wywrócił oczami.

Już dawno przestał wrzeszczeć na nich za każdym razem, gdy nazwali go swoim brachem. Już zrozumiał, że to nie ma sensu. To jak gadanie do obrazu, albo jeszcze gorzej, bo obraz przecież nie zrobi jeszcze setki razy właśnie tego, co cię denerwuje.

No i w sumie to się nawet przyzwyczyił do tych trochę dziwnych braci. Chyba brakowało mu grupy osób, z którą mógłby trzymać. Rodziny. Przyjaciół. Kogokolwiek. Oni byli tego dość marną imitacją, ale byli.

* * *

Sonia objęła kolana ramionami i nieobecny wzrokiem wpatrzyła się w królującą za oknem ciemność. *To niemożliwe. Oliver nie może być Briantem de Ramenem!* Przed oczami przewijały jej się wszystkie wiadomości, jakie oglądała, a w których była mowa właśnie o nim. Zadrżała z przerażenia. To nie może być on!

Briant de Ramen był mordercą. Uosobieniem wszystkiego, co w ludziach złe. Ciarki przechodziły każdego, kto chociaż o nim pomyślał. To był jeden z najgorszych ludzi, o jakich kiedykolwiek świat słyszał, jeśli wierzyć mediom.

Nie, Oliver nie może być Briantem de Ramenem! Przecież to bez sensu. Po co poszukiwany wszędzie morderca miałby przyjeżdżać na wakacyjny obóz? No i chyba nie dostał listu z taką propozycją... prawda? A gdyby po prostu się tu wślizgnął, to chyba by się domyślili, kim jest, co nie? Bardzo dokładnie sprawdzali, czy jesteś na pewno tą osobą, za którą się podajesz. Nie mogli go przeoczyć. *To tylko koszmarny zbieg okoliczności. To nie może być on!*

W tym momencie trzasnęły drzwi. Sonia podskoczyła na fotelu i szybko spojrzała w ich stronę.

– Estera – odetchnęła z ulgą. – Gdzie byłaś cały czas? Nie widziałam cię nawet w pokoju wspólnym.

Estera z niemrawą miną opadła na sofę, po czym spojrzała na koleżankę, czerwieniąc się lekko.

- Cóż... To ze mną rozmawiał pan Mandara. A raczej powinnam chyba

powiedzieć, to na mnie wrzeszczał pan Mandara.

Sonia zrobiła zdumioną minę.

– Co? A czemu?

– Bo złamałam regulamin – mruknęła Estera.

– Co? Ty? – Blondynka zdziwiła się jeszcze bardziej.

– Tak, ja. – Jej koleżanka uśmiechnęła się krzywo.

– Ale czemu? I jak?

– Chciałam rozejrzeć się po gabinecie kierownika. Wiesz, tak jak kiedyś planowałyśmy. Żeby wy badać, czy jest w nim coś niezwykłego. I... musiałam coś sprawdzić. Coś baaardzo ważnego.

– Aha. I co? – zaciekała się Sonia.

Trochę uraziło ją to, że Estera zabrała się za to samodzielnie, ale z drugiej strony... no, nigdy nie lubiła łamać reguł. Żadnych. Zbyttno się wtedy denerwowała. W końcu właśnie dlatego dała sobie spokój z wejściem do gabinetu kierownika. Ale była bardzo, bardzo ciekawa, czy szatynka znalazła tam coś godnego uwagi. Niewykluczone, że to pomoże jej w rozwikłaniu zagadki Olivera. Oraz Brianta de Ramena.

W tym momencie Sonia zdrętwiała i wstrzymała oddech z wrażenia na myśl, która właśnie wpadła jej do głowy. Estera i Briant de Ramen. Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Przecież się znali! Myśli gnały jak szalone. *Estera go znała... I od początku mówiła, że Oliver jej go przypomina... Dlatego tak go nie lubi. Może... może mogłaby mi o nim opowiedzieć...? To mogłoby wiele wyjaśnić! Tak, muszę ją zapytać!*

– I nic – westchnęła w tym momencie Estera.

– Co? – Sonia spojrzała na nią, jakby dopiero się obudziła.

O czym ona mówi...?

– Wszystko na próżno – mruknęła szatynka. – Nawet nie weszłam do gabinetu. Zatrzymał mnie, jak próbowałam otworzyć drzwi. I wygłosił mega długą mowę. Tyle że w sali konferencyjnej.

– Aha. Czyli nic? – upewniła się Sonia, nie za bardzo słuchając koleżanki.

Zbyt zaprzętały ją myśli o Oliverze. Zbierała się do poruszenia tematu, który tak ją intrygował. Musi się dowiedzieć! Musi się upewnić!

– Nie, nic. Na dodatek mam karę. – Estera zrobiła nieszczęśliwą minę.

– To smutne. Ale, słuchaj... Musimy poważnie porozmawiać... – Sonia zacisnęła nerwowo dłonie. Teraz, albo nigdy! – Mówiłaś, że znasz Brianta de Ramena, tak?

Estera spojrzała na nią z zaskoczeniem. Po chwili namysłu kiwnęła głową, opuszczając ramiona.

– Niestety. Poznałam go rok temu.

– Opowiesz mi o tym więcej? – poprosiła natychmiast Sonia, głosem

drżącym z emocji. – Proszę.

– Czemu? – zdumiała się jej koleżanka, zerkając na nią nieco podejrzliwie.

– To bardzo ważne. Powiem ci później, ale najpierw ty opowiedz mi o zeszłym roku.

Estera nie wyglądała na chętną do stawiania czoła wspomnieniom, ale w końcu się zgodziła.

– Jak już wiesz, moi rodzice są archeologami – zaczęła powoli. – Od dawna współpracowali z rodziną de Ramen, która organizowała różne wykopaliska, fundowała je i prawie zawsze w nich uczestniczyła. Tak było i rok temu. Pani de Ramen znalazła jakieś źródła mówiące o położeniu pewnego grobowca w głębi pustyni. Zaczęła badać dokładniej. W końcu jej się udało. Odkryła piramidę. Na środku pustyni. Natychmiast zaczęły się wykopaliska. Moi rodzice też pojechali. Zabrali mnie ze sobą. Na miejscu spotkałam dzieci państwa de Ramen, całą czwórkę. W tym Brianta. Nie polubiłam go od pierwszego spotkania. Był taki... arogancki. I dumny. Potem, podczas całego pobytu na pustyni miałam z nim kilka nieprzyjemnych zająć. Bezustannie wchodził mi w drogę. Włóczył się wszędzie. I za każdym razem zjawiał się wtedy, kiedy był najmniej potrzebny. Denerwował mnie. A potem przez niego pracownicy się zbuntowali i zażądali zamknięcia wykopalisk. Bo on cały czas musiał głądzić o wisiorze wskrzeszającym zmarłych! Mówił, że słyszy w nocy kroki mumii. No i wszystkich wystraszył. Może dla niego to był jeden wielki żart, ale ja tak bardzo chciałam zostać tam dłużej! Wszystko przez niego. Nawet to, że zwichnęłam sobie rękę. No, cóż... to tyle. Koniec opowieści.

Sonia zagryzła wargę. Ta historia niewiele jej wyjaśniła.

– A co? – zapytała Estera. – Dlaczego chciałaś to wiedzieć?

– Bo... – Sonia zawahała się. Jak to powiedzieć?!

– No?

– Bo... widzisz, dziś w wiadomościach pokazywali całkiem długi reportaż o Briancie de Ramenie. Pokazali też jego zdjęcie... I wyglądał zupełnie jak Oliver. Tylko że miał czarne włosy – zakończyła cicho, po czym zerknęła niepewnie na mocno pobladłą koleżankę.

– O rany – jęknęła Estera słabym głosem. – Czyli nie tylko ja to zauważyłam! Bo... oni wyglądają identycznie. Ale nie wiem, co o tym myśleć. No bo jak to możliwe...?!

* * *

Kilka godzin później, gdy bracia, oraz prawdopodobnie reszta obozu, zasnęli, Oliver przystanął przed budynkiem głównym. Czuł w kieszeni ciężar fałszywego Amuletu. Zerknął w stronę okien gabinetu kierownika, po czym zmarszczył brwi ze złością. Znów było w nim jasno. No, nie do końca, bo główne światła nie były włączone, ale i tak nie było tam ciemno. Super. Czyli musi skorzystać z drzwi. Oraz schodów.

Bezszelestnie idąc w stronę wejścia, zastanowił się z niepokojem, czy to na pewno dobry pomysł. *Co, jeśli pan Mandara postanowił czuwać w swoim gabinecie drugą noc z rzędu? Dwie nieprzespane noce dają w kość. Może sobie przyśnie, a ja wtedy szybko załatwię to, po co tu przyjechałem, i zniknę. A może po prostu zapomniał zgasić lampkę przy biurku? No, dobra. Mało prawdopodobne. Ale niewykluczone.*

Nagle zamarł, gdy usłyszał za sobą kroki. I cichy chichot. Natychmiast wskoczył za rosnący przy wejściu krzak. Ktoś szedł w jego stronę. I nie był sam.

Kto to może być? Strażnicy? Chichoczący dziewczęcym głosem? Nie, raczej nie. Więc kto? W napięciu czekał, aż go miną. Po chwili wreszcie wychynęli z mroku nocy i zjawili się przy drzwiach. Oliver zmarszczył brwi ze zdziwieniem. Obozowicze?! A co oni tu robią w środku nocy?

Kilkuosobowa grupka weszła do budynku, po czym zniknęła gdzieś w środku. Odczekał chwilę, aby upewnić się, że nie czają się gdzieś za drzwiami, i dopiero wtedy wyszedł zza krzaka oraz podszedł do przeszkłonych drzwi, rzucających jasne cienie na kostkę brukową przed nimi. Cały korytarz był rozświetlony. Oliver zmrużył oczy i rozglądnął się dookoła podejrzliwie. Nie powinien tak nagle wyłączyć światła, bo kogoś zbyt gorliwego może to zainteresować. Więc musi wejść w jaskrawo oświetlony korytarz, gdzie nie ma ani skrawka cienia. Super. Ale jeśli będzie szybki, to nikt go nie zauważy.

Położył dłoń na klamce, po czym zatrzymał się z wahaniem. *A kamery? Co z tego, że nie nagrywają, skoro może jakiś strażnik siedzi sobie przed monitorem i ogląda wszystko, co się w środku dzieje? Zauważy mnie od razu!*

Nagle przekrzywił głowę, a na twarz wypłynął mu zadowolony uśmiech. Jeszcze ktoś zbliżał się w jego stronę ścieżką prowadzącą od budynku mieszkalnego. Świetnie, trzeba to wykorzystać. Chyba często przeciągi wwiewają do środka trochę piasku, prawda?

Przymknął oczy, czując, jak owiewa go chłodny pustynny wiatr. Gdy chwilę później jakiś nastolatek pojawił się przed wejściem, nikogo nie zauważył. Otworzył drzwi i wtedy do środka wpadła piaszczysta bryza, przemknęła przez jasny korytarz, a następnie zatrzymała się na schowanych w półcieniu schodach. Po chwili obozowicz zniknął w jednym z korytarzy parteru, a Oliver zagłębił się w, na szczęście dla niego, nieoświetlone piętro.

Kilka sekund później przystanął przed drzwiami biura kierownika. Szpara

pod nimi rzucała na korytarz bladą, ale jasną, nieruchomą smugę. Oliver wsłuchał się w ciszę gabinetu. Kiedy upewnił się, że na pewno jest pusty, wsunął w czytnik klucz magnetyczny i powoli nacisnął klamkę. Drzwi uchylły się prawie bezszelestnie. Wyjął kartę, po czym wsunął się do środka, cicho je za sobą zamykając. Rozglądnięt się dookoła, czując nieprzyjemny ucisk w okolicy klatki piersiowej. Chwilę później odetchnął z widoczną ulgą. Był sam. A słaby blask wydobywał się ze szpary w uchylonych drzwiach, schowanych za tapetą oraz boazerią.

Podszedł bliżej biurka, krocząc po miękkim, wzorzystym, kolorowym dywanie, ściskając w ręku klucz magnetyczny. Widział już gablotę z Amuletem. Jego cel.

Nagle wzdrygnął się i odskoczył za potężny globus. Serce załomotało mu w piersi. Głos pana Mandary dobiegał prosto od strony okien. Czy więc go nie zauważył? Nie, niemożliwe. Nie może go tu być!

Położył dłonie na puszystym dywanie i ostrożnie wyjrzał zza przedmiotu go osłaniającego. Był w gabinecie sam. Ale jak to możliwe? Skąd więc te głosy? Oraz światło?

Nagle wzdrygnął się i obejrzał z przestachem. Widział tu już jednego ducha... Czy więc to miejsce jest... nawiedzone? *NIE! Przestań* – rozkazał sobie w myślach, chwytając się za głowę oraz walcząc z narastającą paniką. Od pewnego czasu duchy budziły w nim niepokój. Łagodnie mówiąc – niepokój. Raczej przerażenie.

Oliver drgnął, zaciskając oczy. *A co, jeśli nawiedzi mnie Rémi? I będzie mnie obwiniał?* Wzdrygnął się na wyobrażenie brata o trupiobladej twarzy, który wyciąga do niego zimne, sine dłonie...

– Nie! – warknął. – To niemożliwe! Duchy nie istnieją. Nie widziałeś Rémięgo. Coś musiało ci się przewidzieć. Tak... byłem wtedy przecież zmęczony. Tak było. Nie ma duchów. Nie ma ich!

Nagle drgnął, gdy usłyszał głos kierownika, mówiący:

– Witam was wszystkich na naszym drugim spotkaniu!

Natychmiast otworzył zdumione oczy. Strach prysnął jak bańka mydlana. Albo pan Mandara przewodzi spotkaniu zjaw, albo to odgłosy spotkania, na które spieszyli tamci obozowicze. Stawiał, że to drugie.

Tylko dlaczego ich słyszy, skoro gromadzili się gdzieś na dole? Rozglądnięt się dookoła. Dźwięki dobiegały zza uchylonych drzwi. *Dokąd one prowadzą?* – zaciekawił się Oliver. Wstał i po chwili przyłożył do prześwitu oko. Widział tylko balustradę, sufit oraz kawowe ściany. Jest więc wysoko... Zaraz, zaraz... w sali spełniającej rolę konferencyjnej do ściany przylegała spirala schodów... Może to te?

Ostrożnie powiększył szparę, która rzuciła na niego więcej światła,

zmuszając go do zmrużenia oczu. Po chwili, gnany ciekawością, podczołgał się pod samą krawędź podestu, tuż przy pierwszym stopniu, tak by zasłaniała go tralka, i spojrzął w dół przez przestrzeń pod balustradą.

Ujrzał stojącego na podium pana Mandarę, wystrojonego w jakieś złote ozdoby oraz bardzo dziwne nakrycie głowy, które świeciło i nie przypominało niczego, co Oliver dotąd widział. W tym momencie zmieniło się jego wyobrażenie o najbardziej beznadziejnej rzeczy, jaką można założyć na głowę. Wyglądało jak wywrócone żółte wiadro, przemienione w lampę, do którego przyczepiono złote piórka. Czyli niezwykle komicznie.

– W dniu dzisiejszym nie dołączył do nas nikt – oznajmił kierownik, rozkładając ręce.

Wtedy Oliver zauważył, że mężczyzna ma na sobie jaskrawoczerwoną pelerynę. *Po co mu ona? Nie mam pojęcia. Może przebrał się za cezara? Albo raczej próbował.*

Na krzesłach przed podium siedziało z piętnaście osób, które kojarzył tylko z widzenia. Prawie się roześmiał na widok osoby znajdującej się zupełnie z boku. Miała ona na sobie białe prześcieradło, a na głowie maskę o wielkich oczach i złej minie. Co to za maskarada? Organizują bal przebierańców? Konkurs na najdziwniejsze przebranie? Przyglądał się uważniej całemu towarzystwu, szukając jeszcze innych strojów, ale żadnych nowych nie znalazł. Za to dopiero wtedy zauważył Astrid, siedzącą niepewnie na samym tyle. Jej duże, zielone oczy błędziły w zamyśleniu po otoczeniu, a blade palce mechanicznie szarpały kruczoczarne kosmyki, opadające gęstą kaskadą na prawą stronę głowy. *O co tu chodzi?* – zdziwił się.

– Dzisiejsze spotkanie będzie krótsze niż wczorajsze – powiedział kierownik, a Oliver drgnął.

To dlatego w środku nocy świeciło się wczoraj światło! Ale o co chodzi z tym spotkaniem?

– Na pierwszym zebraniu wytłumaczyłem wam wszystkim, kim jesteście, więc dzisiaj nie będę się powtarzał. Ale muszę przypomnieć, że to nie żaden żart! To się dzieje naprawdę! Odrodziliśmy się, by zmienić świat na lepsze. By nim rządzić. Nie zapominajmy o tym.

Że co?! Oliver zmarszczył brwi, czując ogarniające go napięcie. I niepokój. Coś tu było nie tak. On chce rządzić światem? A odrodził się jako... co?

– Wczoraj wspominałem już o akcji o kryptonimie „Władca Piasków”. Wiecie, na czym polega, ale chciałbym się was spytać, czy macie już jakichś kandydatów?

Oliver z trudem przełknął ślinę. Czemu miał takie złe przeczucia? I ten „Władca Piasków”. Nie chodzi im o to, prawda?

– Przypomnę, że szukamy Władcy Piasków. Czyli osoby, która kocha

ciemność i mrok, a nie znosi światła. Która od jasności dnia woli cienie nocy. Która otacza się brakiem zorganizowania oraz całkowitym nieporządkiem. Która uwielbia burze i klęski żywiołowe. Trzęsienia ziemi. Huragany. Która od świeżej zieleni ogrodów woli wysuszone, gorące piaski pustyni. A także jest do cna przesiąknięta złem.

O, to nie ja. Nie jestem do cna przesiąknięty złem – odetchnął z ulgą Oliver, czując, jak gigantyczne napięcie trochę maleje. Przez chwilę naprawdę się bał!

– Innymi słowy, szukamy boga chaosu – oznajmił pan Mandara.

Oliver z wrażenia prawie zleciał ze schodów.

Szukają boga?! Chaosu? Zwariowali? O co w tym wszystkim chodzi, do licha?!

– Skąd mamy pewność, że jest tu z nami na obozie? – zapytała jakaś dziewczyna.

– Pewności nie mamy. Szczerze mówiąc, bardzo możliwe, że go tu nie ma. Już myślałem, że go znalazłem, ale to był chyba fałszywy alarm – westchnął z przygnębieniem kierownik, po czym dodał: – Ale wy szukajcie dalej, jutro chcę usłyszeć nazwiska kandydatów!

– Tylko dlaczego miał tu niby przyjechać? Przecież, jeśli jest bogiem chaosu, to chyba nie lubi uporządkowanych wyjazdów? – spytał jakiś chłopak.

– Między innymi dlatego jesteśmy na pustyni. No i jest tu coś, na czym bardzo mu zależy. No, nie tylko jemu, ale też. A może szczególnie jemu.

– Co to?

– Amulet. Ma w sobie moc Ozyrysa, którą z pewnością pragnie zdobyć. Dzięki niej stanie się jeszcze silniejszy i jeszcze groźniejszy. A tego na pewno bardzo chce.

– Gdzie jest ów przedmiot?

– W moim gabinecie.

– Bezpiecznie trzymać go na widoku?

– Z pewnością nie.

– A co, jeśli on go ukradnie i zwieje?

– Och, jestem przygotowany na taką możliwość. – Kierownik się roześmiał.

– Od wczoraj w moim gabinecie jest tylko wspaniała replika Amuletu, do której przyczepiłem nadajnik. Oryginał jest schowany gdzie indziej.

Oliver zdrętwiał. Rzucił spojrzenie w stronę pokoju, gdzie w gablocie lśnił fałszywy Amulet. No i pięknie, podmieniłby replikę! Dobrze, że go uprzedzili. Teraz nie wdepnie w ich sprytną pułapkę! Znajdzie oryginał. Hm, bezpieczne miejsce... Może te trzy małe budynki? Są porządnie zamknięte. Trzeba będzie sprawdzić.

– Możemy zobaczyć tę replikę? – zapytał ktoś.

Oliver spojrzął na osobę, która to powiedziała, i zbladł. Niezdarny Szpieg?

Rale?

Aha, mój przyjaciel, tak? Już ja ci zaufam, podły oszuście! – zazgrzytał zębami. A zaczynał go lubić. Mimo że był z grupy Horusa.

– Czemu? – zdumiał się kierownik. W jego głosie słychać było nutę podejrzliwości.

– Władca Piasków na pewno nie jest głupi. A co, jeśli rozpozna, że to podróbka?

– Replika jest wykonana z niezwykłą precyzją.

– Możemy się upewnić? Tylko zerkniemy przez szybę. – Rale uśmiechnął się przymilnie.

– Hm... No, dobrze, w zasadzie, czemu nie? – mruknął pan Mandara.

Wszyscy wstali ze swoich miejsc. Oliver natychmiast odczołgał się z powrotem do biura. Zerwał się z podłogi, po czym błyskawicznie pobiegł w stronę wyjścia, słysząc, jak trzeszczą schody pod ich stopami. Dopadł drzwi i sięgnął do klamki. Na szczęście nie musiał użyć klucza, to by zajęło więcej czasu.

O nie, klucz!

Nie pamiętał, żeby go chował. Nie pamiętał, żeby cokolwiek z nim robił!

Nerwowo sięgnął do kieszeni. Był w niej tylko fałszywy Amulet. Rozglądnął się dookoła. Pusto. Gdzie on może być?! Na dywanie? Raczej nie. Na schodach? Chyba nie. Nie, na pewno nie. Więc gdzie?

W tym momencie zamaskowane drzwi zaczęły otwierać się coraz szerzej. Za późno! Oliver błyskawicznie zamknął oczy, skupiając się. Kilka sekund później biegł już ścieżką w stronę budynku mieszkalnego. Odetchnął nieco lżej. Naprawdę mało brakowało! Ale ten nieszczęsny klucz... No i wygląda na to, że niestety nie uda mu się dzisiaj stąd zniknąć. Znowu. Trudno, musi wytrwać jeszcze trochę.

Ale co on mógł zrobić z tym głupim kluczem...?!

Tymczasem w gabinecie pana Mandary Rale rozglądnął się dookoła, mrużąc podejrzliwie złote oczy. Podszedł do wielkiego globusa i udał, że musi zawiązać sobie but. Zgarnął z kolorowego dywanu niebieski klucz magnetyczny, niewidoczny na materiale w prawie takim samym odcieniu. Schował go do kieszeni, uśmiechając się skrycie.

Dzięki, Oliver. Ale chyba musisz być nieco ostrożniejszy – pomyślał, kręcąc z rozbawieniem głową. I wrócił do reszty grupy, podziwiającej replikę Amuletu Ozyrysa.



Rozdział piętnasty

FINAŁ

– Oliver Green! – zawołał donośnie pan Mandara.

Oliver odwrócił się niechętnie.

– Dlaczego nie było cię wczoraj wieczorem w pokoju wspólnym? – zagrzemiał mężczyzna, zerkając na niego podejrzliwie.

– Bolała mnie głowa.

– Ach tak? – Kierownik spojrzał na niego badawczo, a potem rzucił niedbale: – A co tam u mamy?

– U mamy? – powtórzył zdziwiony Oliver.

U jakiej mamy?

– Tak. Miałeś do niej wczoraj dzwonić. Chyba, że... kłamałeś?

– Aaa! U mojej mamy? Wszystko dobrze, bardzo się ucieszyła, że zadzwoniłem. I ja nie kłamię – skłamał natychmiast Oliver.

– To wspaniale, bardzo mnie to cieszy – mruknął pan Mandara. – Mam nadzieję, że dasz z siebie wszystko na dzisiejszej grze terenowej. Chyba wiesz, że wygraliście wśród osób z waszej grupy?

– Tak, wiem. Koledzy mi przekazali. – Oliver uśmiechnął się miło.

– Świetnie. W takim razie to już wszystko, życzę powodzenia.

Kierownik oddalił się w stronę czekających busów, zostawiając nastolatka samego na nagrzanym ścieżce. Wszyscy obozowicze powoli się na niej zbierali, ponieważ zaraz cały obóz miał jechać na finał gry terenowej. Oliver odetchnął i właśnie zamierzał pójść w stronę swojej grupy, kiedy nagle ktoś go zawołał. Po chwili patrzył w roześmiane, słoneczne oczy Rale'a.

– Cześć!

Oliver tylko spojrzał na niego ponuro.

– Wiesz – mówił tymczasem złotowłosy chłopak – byłem wczoraj wieczorem w gabinecie kierownika.

Oliver zmrużył podejrzliwie oczy. *Cóż to? Kolejna aluzja?*

– I wiesz, co znalazłem tam na podłodze? – zapytał wesoło Rale.

– Nie. Może zdechłą muchę?

– Nie – zaśmiał się blondyn. – Klucz.

– Nic mnie to nie obchodzi. Po co mi to mówisz? – zapytał chłodno Oliver.

– Czekaj, jeszcze nie skończyłem! Widziałem tam też czyjś cień.

– Super. Coś jeszcze? – Wywrócił oczami, czując jednocześnie, jak po plecach przebiega mu dreszcz.

Czy to znaczy, że został zauważony? Przez Rale'a? Czy może jeszcze przez kogoś?

– Tak. Nikt się o tym nie dowiedział.

– Ja się właśnie dowiedziałem – zauważył Oliver.

– Oj, przestań! Jestem twoim przyjacielem, nie rozumiesz? Jestem po twojej stronie!

– Ale może ja nie jestem po twojej. – Wzruszył ramionami.

– Jasne, jasne. Tu są tylko dwie strony. My i oni. Przecież wiesz.

My i oni? Chyba ja i wy.

– Zawsze tworzyliśmy zgrany zespół, nie uważasz?

Że co?!

– Znamy się od kilku dni – zaprotestował Oliver. – I nigdy nie tworzyliśmy żadnego zespołu. Nie wiem, o co ci chodzi.

– No, tak, zapomniałem! – zachichotał Rale. – Ty jeszcze nie wiesz! No, cóż. Może kiedyś ci powiem...

– Niby co?

– Jak mam na imię, oczywiście.

– Przecież wiem. Rale.

– Ale jak mam naprawdę na imię! A, no tak. Właściwie... już ci powiedziałem. Trzeba tylko dobrze to odczytać. Moje imię samo w sobie jest zagadką. Pomogę ci ją rozwiązać, jeśli mi powiesz, co knujesz, Władco Piasków?

– Że niby jak mnie nazwałeś? Władcą Piasków? – prychnął Oliver i zaśmiał się odrobinę nerwowo.

Skąd u niego ten pomysł?! Czy to Mandara mu go podsunął?

– Nie jestem żadnym królem – dodał, gdy Rale uniósł brwi z niedowierzaniem.

– A bogiem? – zapytał uśmiechnięty blondyn.

Jego roześmiane oczy mówiły: „I tak ci nie wierzę, cokolwiek mi nakłamiesz, więc daj sobie spokój”.

– Czy ja wyglądam na boga? – Oliver spojrzał na kolegę jak na wariata.

– A czy ja wyglądam na boga? – odpowiedział pytaniem Rale, mrugając porozumiewawczo.

– Nie.

– No to powodzenia w finale – zachichotał Rale. – Moja drużyna też wygrała. I możesz mi wierzyć, jest doprawdy boska. A także bardzo nie chce tańczyć. Cześć, do zobaczenia na miejscu!

Złotowłosy chłopak pobiegł do busa. Oliver stał jak wrośnięty w ziemię i odprowadził go pochmurnym wzrokiem do samych drzwi.

Co im się wszystkim dzisiaj stało? Chyba się umówili, żeby się do mnie doczepić. Najpierw Mandara, a potem on! Boska drużyna? A cóż to znaczy?! Może drużyna egoistów? Bo chyba nie TO. Pomyśleć, że już dawno miało mnie tu nie być... Ale dzisiaj zniknę na sto procent. Mam już tego wszystkiego dość.

Chwilę później rozsiadł się na swoim miejscu, próbując rozszyfrować wiecznie radosnego Rale'a. Nie za bardzo mu się udało. Doszedł tylko do wniosku, że prowadzi on własną grę, o której naturze niewiele mógł powiedzieć. Z jednej strony mówi, że jest jego przyjacielem... Ale czy to prawda? A może raczej jakiś podstęp? I o co chodziło z tym imieniem?

Czy oni naprawdę wierzą, że jestem Władcą Piasków?, zaniepokoił się Oliver. Tylko tego mu brakowało. Super.

Oby doszli do przekonania, że się mylą.

* * *

Sonia westchnęła, siadając na fotelu w busie. Bardzo się cieszyła, że wygrali grę terenową, choć, szczerze mówiąc, niezbyt zależało jej na zwycięstwie w finale. I tak miała zamiar tańczyć na dyskotecę. Była pewna, że Amanda myśli podobnie. Ale mimo to postarają się w finale. No bo przegrać? Cóż, Oliver by tego nie ścierpiał. Więc pewnie będą musieli dać z siebie wszystko. Sporym pocieszeniem było to, że Amanda miała dziś na sobie typowo sportowe buty.

Sonia zerknęła niepewnie na siedzącego obok chłopaka. Był całkowicie pogrążony w rozmyślaniach, nawet nie zgromił jej wzorkiem, że na niego patrzy. Dziwne.

Czy przejmuje się tak wczorajszymi wiadomościami? Przerażona Sonia nie mogła spać przez co najmniej pół nocy, rozmyślając nad tym bardzo intensywnie. Ale i tak nie wiedziała, co myśleć o dziwnym podobieństwie kolegi do poszukiwanego przestępcy.

Narada z Esterą też mało wyjaśniła. Tylko wzmocniła niepokój. Ona też

widziała to przerażające podobieństwo. Ale czy to znaczy, że Oliver i Briant de Ramen to jedna osoba?! Nie... W sumie byli chyba identyczni. Jeśli Oliver naprawdę ma czarne włosy, to już zupełnie. No i zachowywał się trochę dziwnie od samego początku. Choć, z drugiej strony... Nie wyglądał na mordercę. Ale to niczego nie dowodziło.

Jeśli wierzyć wiadomościom, Briant de Ramen szalał w Europie. Jednakże wczorajszego wieczoru Sonia dokładnie przyjrzała się kreowanej przez media rzeczywistości. I doszła do wniosku, że jeśli wszystkie podawane przez nie informacje są prawdziwe, to jest co najmniej kilku, jeśli nie kilkunastu Briantów de Ramenów, którzy straszą ludzi i powodują wypadki. No bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że kilkanaście zgłoszeń na policję, wypadek, włamanie oraz dwie napaści wydarzyły się około piętnastej poprzedniego dnia? Wszystkie, bez wyjątku? I całość miał spowodować właśnie on? Przecież to bez sensu! Zatem możliwe, że media oszukują. Może chcą zyskać większą oglądalność? Trudno powiedzieć.

Jedno było pewne. Oliver czasami zachowywał się naprawdę dziwnie. Czy był więc poszukiwanym na całym świecie przestępcą...? Nie miała pojęcia. Miała jednak nadzieję, że nie. Briant de Ramen był przecież zwyrodniałym mordercą. A Oliver nie był taki zły, nie licząc tego, że bez przerwy coś komentował, był irytujący i często się denerwował.

To nie mógł być on... prawda?

* * *

– Do finału przeszły tylko cztery drużyny – oznajmił pan Mandara – ponieważ całej grupie Thota poszło wybitnie źle. Ich najlepsze wyniki były podobne do najgorszych pozostałych grup. Wobec tego ich przedstawiciele nie biorą udziału w finalnej grze terenowej. A zatem, o tytuł mistrza będą rywalizowały grupy Ozyrysa, Izydy, Horusa oraz Ra! Brawa dla aktualnych wygranych!

Rozległ się niemrawy aplauz. Kierownik zmarszczył brwi, ale kontynuował lekkim tonem:

– Reguły są prawie identyczne, jak w etapie pierwszym. Prawie, bo tym razem cała grupa biegnie naraz, przez cały tor. Niektóre przeszkody będzie mogła pokonać tylko jedna osoba, aczkolwiek nie przeszkadzałoby nam to, gdyby zrobili to wszyscy. Zbieracie kółka, które wpinacie do obręczy. Czas jest bardzo istotny, proszę o tym nie zapominać. Tym razem gra także składa się z osiemnastu stacji.

Nie musicie być cały czas razem, ale to byłoby najlepsze. Co jakiś czas zobaczycie na ziemi grube czerwone linie, które możecie przekroczyć tylko całą grupą. No, to chyba wszystko. Za pięć minut startują pierwsze drużyny, czyli grupa Ra i grupa Horusa! Przygotujcie się!

Oliver znad dużych, ciemnych okularów spojrział w stronę grupy Horusa. Rale natychmiast do niego pomachał, szczerząc się radośnie. Oliver zacisnął zęby. Jak przegrają, to może wreszcie przestanie się uśmiechać. Dlatego oni muszą wygrać. Żeby zetrzeć ten wieczny, jasny uśmiech z jego twarzy. Nie dlatego, żeby nie tańczyć. I tak go tu jutro nie będzie.

– Hej, ich jest czwórka – zauważyła zaniepokojona Amanda, również patrząc na przeciwników. – To nie fair! Mają przewagę...

– Ale tylko liczebną – mruknął Oliver. – Łatwiej przemieszczać się mniejszą grupą. No i my jesteśmy lepsi.

Bo ja tu jestem – dodał w myślach.

– Tym razem nie dali nam planu – powiedziała Sonia. – Nie możemy się przygotować.

– Ostatnio nasze przygotowanie polegało na tym, żeby przekonać kogoś, że nie może pokonać całej gry w szpilkach – stwierdził Oliver, uśmiechając się krzywo, a Amanda spłonęła rumieńcem.

Tymczasem Sonia przyglądała się przeciwnikom. Jeden z nich to był ten złotowłosy znajomy Olivera. Nie wyglądał potężnie, ale drobny też nie był.

Oprócz niego w drużynie były trzy dziewczyny. Pierwsza z nich poruszała się z prawdziwie kocią zwinnością. Jej duże, wąskie oczy także miały w sobie coś z kota, ale Sonia nie była pewna, co dokładnie. Miała wrażenie, że ta dziewczyna, choć wcale nie wielka i silna, jest bardzo szybka oraz wysportowana.

Druga miała na głowie prawdziwą grzywę prostych, puszystych rudoblonde włosów, które sterczały jej wokół głowy niczym usztywnione pianą. Wyglądała na bardzo mocną i to nie tylko z powodu wyraźnie zarysowanych mięśni. Po prostu emanowała siłą.

Natomiast trzecia była bardzo chuda, miała czarne, połyskujące włosy zaplecione w ciasny warkocz, który śmiesznie odstawał jej od pleców niczym jadowity kolec u skorpiona.

Jej, ale mam skojarzenie! Warkocz i skorpion. Dziwne – zdumiała się Sonia, po czym wróciła do rzeczywistości swojej grupy.

Amanda z Oliverem o coś zawzięcie się kłócili, ale zanim zdążyła zorientować się, o co chodziło, rozległ się gwizdek oznaczający, że zaraz zacznie się gra. Natychmiast zebrali się przy łopoczącej chorągiewce.

– Trzy!

Obie grupy spojrzały w stronę pierwszej stacji. Był to całkiem spory basen, z wystającymi z wody pieńkami.

– Dwa!

– Chyba trzeba po nich skakać, żeby dostać się na drugą stronę – powiedział cicho Oliver, a Sonia potakująco kiwnęła głową.

– Jeden!

Dwie grupy przygotowały się do biegu.

– Start!

Natychmiast pognali przed siebie, wszystkie siedem osób. Oliver jako pierwszy dobiegł do basenu. Bez wahania skakał po pieńkach, zbliżając się coraz bardziej do brzegu.

Nagle usłyszał za sobą plusk, a potem następny.

– Hej, Oliver! – zawołał depczący mu po piętach Rale. – Uważaj na słońce!

– Co? – nie rozumiał.

Jakie słońce? I wtedy stracił zdolność widzenia. Oślepiiony straszliwie jasnym, słonecznym promieniem, zachwiał się przy samym końcu basenu. Rale minął go, chichocząc radośnie, po czym zgarnął pierwsze kółko.

– Hej! Oszukujesz! – wykrzyknął za nim Oliver.

Nie miał wątpliwości, że to jego wina! A przy tej okropnej jasności nawet okulary przeciwsłoneczne zupełnie na nic się zdały!

– Jak to? – odkrzyknął Rale niewinnym głosem. – Przecież to słońce, nie ja!

Oliver zagotował się ze złości. Skoro oni oszukują całkowicie bez skrpułów, to on też zacznie!

– Oliver? Czemu nie biegniesz? – zapytała Sonia, zjawiając się obok niego.

Cała ociekała wodą. Widząc jego zdumione spojrzenie, mruknęła pod nosem:

– Wepchnęli mnie. Specjalnie. Amandę też. Powinni zostać zdyskwalifikowani!

– Nie martw się, my też możemy im dopiec – zapewnił, spoglądając za biegnącą czwórką płonącym wzrokiem.

– Jak? – zdziwiła się Sonia.

– Zobaczysz. Ale najpierw przydałoby się ich dogonić. Gdzie Amanda?

– Już jestem – sapnęła dziewczyna, ocierając mokrą twarz krawędzią równie mokrej bluzki.

– To świetnie. Chodźcie.

Ruszyli w tym samym momencie, ale Oliver szybko wysunął się do przodu. Widział, jak przy drugiej stacji Rale napina łuk, celując w tarczę. W dzień wcale nie był taką ciapą jak w tę pamiętną noc, kiedy próbował się skradać.

Strzała ze świstem pomknęła przed siebie. Oliver zmrużył oczy. I wtedy zwiąło ją gdzieś w bok.

Tak! Uśmiechnął się z zadowoleniem. Sekundę później ponownie uniemożliwił Rale'owi strzał. Blondyn odwrócił się w jego stronę z krzywym

uśmiechem.

– Cóż to? Nareszcie zaczynamy grać nie fair?

– To wy zaczęliście. – Oliver wzruszył ramionami, sięgając po swój łuk. – I nie wiem, o co ci chodzi.

Napiął cięciwę. Wycelował. Już miał wypuścić strzałę... kiedy został nagle tak oślepiony, że aż zgiął się wpół. Strzała wbiła się w piach.

– Rale! Przestań – syknął, zaciskając piekące oczy. – Wiem, że to ty...

– O co ci chodzi? – udał zdziwienie Rale, ale straszliwa jasność zniknęła.

Oliver odetchnął z ulgą. To było okropne!

Natychmiast błyskawicznie napiął łuk i nawet nie celując, wypuścił strzałę, zanim ponownie go oślepiło.

– Brawo, Oliver! Kółko twoje! – ucieszyła się Sonia.

Wraz z Amandą szybko minęły obu chłopców i pognały dalej, w ślad za koleżankami Rale'a.

– Ładny strzał. Tak szybki, że aż nie zdążyłem – mruknął blondyn z cieniem uznania, po czym także ruszył przed siebie.

Słońce tak bardzo raziło Olivera, że jeszcze przez chwilę nie mógł nawet podejść po kółko. W końcu jednak zacisnął na nim palce i ostrożnie ruszył przed siebie, mając nadzieję, że o nic się nie potknie ani w nic nie wejdzie. Wreszcie oślepiający blask zniknął, a on mógł z powrotem widzieć normalnie. W sekundzie przyspieszył. Musi ich dogonić!

Tymczasem Sonia i Amanda wyhamowały obok trzech przeciwniczek czekających przy grubej, czerwonej linii, tuż przed kolejnym zadaniem.

Wkrótce dołączył do nich Rale i ich rywale zaczęli niezwykle sprawnie pokonywać bieg z przeszkodami.

– Oni są jacyś dziwni – zauważyła nieśmiało Amanda, zerkając na Sonię z niepewnością. – Co nie?

– Tak – zgodziła się dziewczyna, obserwując, jak z niezwykłą lekkością oraz minimalnym wysiłkiem pokonują skomplikowane, trudne przeszkody.

Po chwili dogonił je Oliver i razem zaczęli ścigać grupę Horusa. Nie było to łatwe, ponieważ drużyna rozpoczęła już wykonywanie czwartego zadania.

– W życiu im nie dorównamy – sapnęła Amanda, pokonując slalom między zapalonymi pochodniami.

Chłopak zmrużył oczy, w których zamigotały złośliwe iskierki.

– Nie martw się, nie będą z nami mieli aż tak łatwo – powiedział cicho. *Już ja tego dopilnuję.*

W tym samym momencie wspinająca się po linie na wysoką platformę dziewczyna w warkoczu pisnęła i spadła na ziemię.

– Co ci się stało? – zdumiał się Rale, pomagając jej wstać.

– Mam wiadro piasku pod powiekami. Eh, okropne uczucie! Po prostu nie

mogłam się dalej trzymać – przyznała niechętnie, trąc oczy, po czym dodała żalnym głosem: – Nic nie widzę!

Rale podejrzliwie zerknął za siebie, akurat wtedy, gdy dogonił go Oliver wraz z Amandą i Sonią.

– Co tak na mnie patrzysz? – prychnął chłopak z grupy Ra, chwytając drugą linę.

Zacisnął powieki, zanim uderzyła w niego fala światła. *Nie otwieraj, nie otwieraj!* – powtarzał sobie w myślach, choć pokusa patrzenia, jak daleko jeszcze musi się wspinać, była naprawdę spora.

Kilka sekund później stał już na górze i za pomocą spojrzenia przyzywającego powiew pełen piasku przeszkodził Rale'owi w wejściu na platformę.

– Hej! – Tym razem blondyn był naprawdę zirytowany. – Przestań!

– Ale co? Przecież to wiatr, nie ja. – Wzruszył ramionami, w tym samym momencie sprawiając, że gwałtowny podmuch zakręcił wspinającą się dziewczyną z grupy Horusa niczym huśtawką. Krzyknęła i puściła się, nie mogąc dłużej się utrzymać.

Oliver pomógł swojej drużynie wejść na podest, cały czas uniemożliwiając to dwojgu przeciwnikom. Pozostałe dwie dziewczyny już dawno zniknęły gdzieś przed nimi. W końcu, gdy cała drużyna Ra była gotowa do dalszego biegu, zostawili szamoczącą się z liną konkurencję, a sami pobiegli dalej.

Zbliżali się już do końca pierwszej części podestu. Przed sobą ujrzeli gigantyczne... coś, co rozmiarami było podobne do średniej wielkości sali gimnastycznej.

– Co to? Jakaś duża siatka? – wydyszała Amanda ze zdumieniem.

Dopiero gdy znaleźli się bliżej, zorientowali się, że była to naprawdę niewiarygodnie wielka klatka pełna... okropnych szczurów. Dziewczyny wzdrygnęły się z obrzydzenia, a Oliverowi także nieco zrzędała mina.

– M... mamy przez to przejść? – wyjąkała Sonia, gwałtownie otrzepując się od wchodzących na nią wyimaginowanych gryzoni.

– Tak. No, dalej, patrzcie, one już dochodzą do kółka! – zauważył chłopak.

Rzeczywiście, dwie przytulone do siebie przeciwniczki właśnie podchodziły do czerwonego kółka, zawieszzonego na sznurku przy końcu klatki. Co dziwne, szczury zdawały się ich unikać, a nawet uciekały od nich w popłochu. *Jak od kota.* Oliver zmrużył oczy, zerkając badawczo na jedną z dziewczyn, skradającą się z... cóż, prawdziwie kocią zwinnością.

– Chodźcie – powiedział, uchylając klapowate drzwiczki klatki. Spojrzał wyczekująco na poblądłe z przerażenia, albo raczej obrzydzenia koleżanki. – Zaraz nas przegonią.

– To bez sensu – oświadczyła Sonia drżącym głosem. – One zaraz zdobędą

to kółko, więc może obejdziemy tę klatkę dookoła...? Nikt się nie dowie...

– Nie. Po pierwsze, to my zdobędziemy to kółko, nie one. – W tym momencie gwałtowny piaskowy podmuch napadł na przeciwniczki, które zaczęły prychać i trzeć oczy, ale nie przestawały dążyć do celu. Widząc to, Oliver zmarszczył brwi, a obciążony trofeum sznurek zakręcił się jak szalony oraz zaczął chaotycznie wirować po swojej najbliższej okolicy. – Po drugie, i tak musimy przez to przejść, bo nas zdyskwalifikują. No, szkoda czasu na gadanie, idziemy!

Wskoczył do klatki, prawie nadeptując na szczura, który, sycząc, wyszczerzył groźnie swoje ząbki, ale, zgromiony złym spojrzeniem zawodnika, uciekł gdzieś w bok, tracąc chęć do ataku czy walki. Oliver pobiegł w stronę kółka, ślizgając się na brudnej podłodze oraz unikając wszechobecnych gryzoni. W końcu z triumfującą miną sięgnął po wirujące kółko... I wtedy napadło go stado spanikowanych szczurów. Upadł pod ich ciężarem, z obrzydzeniem czując, jak przebiega po nim mnóstwo drobnych łapek.

– Fe, złaćcie ze mnie! – wykrzyknął, z trudem zrywając się z podłogi.

Wzdrygnął się jeszcze raz, kopnął skaczącego w jego stronę gryzonia i wyciągnął rękę w stronę szalejącego kółka, jakby za wszelką cenę chcącego uciec od zwinnych dłoni dwóch dziewczyn, ze złością próbujących je złapać.

– Oliver, uważaj! – Usłyszał krzyk Soni.

I wtedy zachwiał się, gdy na głowę wskoczył mu wielki, gruby kocur. Pazury wbiły mu się w skórę, futrzaste cielsko zasłoniło mu twarz. To pewnie przed nim uciekały tamte szczury...

– Złaż! – wrzasnął, zrzucając kocisko z głowy.

Poczuł pieczenie w miejscach, które podrapały pazury stworzenia, ale nie zwrócił na nie uwagi. Zerwał czerwone kółko i odskoczył przed napaścią kolejnego, jeszcze większego kota.

– Aaa! Oliver... za tobą! – pisnęła przerażona Amanda.

Odwrócił się błyskawicznie, stając twarzą w twarz z...

– To jest lew?! – wyjąkał z niedowierzaniem.

Wielki kot czaił się przy podłodze, wbijając złe spojrzenie w znieruchomiłego chłopaka. Jego lśniaca grzywa falowała delikatnie pod wpływem wiatru. Oszalałe szczury próbowały uciec ze swojej klatki. Sonia i Amanda stały przerażone w jej połowie, nie wiedząc, co robić. *Skąd tu się wziął lew? I koty. Ale lew...?*

– Słuchaj, kolego. – Usłyszał warknięcie po swojej lewej stronie.

Zerknął tam i ujrzał dziewczynę o grzywie złotorudych włosów. *Ma grzywę jak... lew! Dość podejrzanе podobieństwo* – przemknęło mu przez myśl.

– Oddaj nam kółko, a nic ci się nie stanie.

– I tak nic mi się nie stanie – prychnął Oliver z wymuszonym rozbawieniem.

Zerknął znacząco na swoje koleżanki z drużyny, a potem na wyjście. Sonia

kiwnęła głową i pociągnęła Amandę za rękę. Obie powoli zaczęły się skradać w jego kierunku.

– Oddawaj, bo inaczej... – Dziewczyna groźnie zawiesiła głos.

– Nie waż mi się grozić. – Zmroził ją wściekłym spojrzeniem. *Jak ona śmie?!*

– Będę robić, co mi się podoba – oznajmiła wyzywająco dziewczyna.

– Świetnie, ale nie będziesz mi rozkazywać!

– Bo co?

Oliver zerknął w stronę koleżanek. Właśnie wyszły z klatki i obserwowały go z niepokojem. Uśmiechnął się wywyższająco.

– Bo pożałujesz. Jak nie teraz, to wkrótce na pewno. No i twoje groźby nie robią na mnie wrażenia. A na pewno nie ułatwią ci zadania – powiedział i zamachnął się z całej siły.

Czerwone kółko pomknęło przed siebie. Sonia wsunęła do klatki rękę i przechwyciła je bez problemu. Chłopak rzucił wściekłym przeciwniczkom zadowolone spojrzenie, wzywając bardzo piaszczysty wiatr.

Rywalki warknęły niechętnie. Natychmiast zawtórował im lew. I w jednym momencie rzucił się na Olivera.

Amanda oraz Sonia wrzasnęły przeraźliwie, a zagrożony chłopak zbladł i w jednej chwili odskoczył w bok.

– Na co czekacie, biegnijcie dalej! Zaraz was dogonię! – krzyknął do śmiertelnie pobladłych, zastygłych z przerażenia koleżanek.

Lew wylądował na podłodze klatki, zarył w niej pazurami, zakręcił i ponownie skoczył w jego stronę, otwierając paszczę. Oliver odruchowo zakrył twarz rękoma.

– Nie! – wrzasnął z przerażeniem Rale, wskakując do wnętrza klatki.

Wezwane wcześniej tumany wirującego piasku nagle opadły na nią, utrudniając widoczność.

Lew ryczał wściekle, roztrzęsiona Sonia rozpaczliwie wpatrywała się w miejsce, gdzie stał przed chwilą ich kolega, ale nie mogła nic dojrzeć przez wirujący piach.

I może nawet nie chciała tego zobaczyć. Ale z drugiej strony, miała nadzieję, że może jakimś cudem przeżył. Może ukrył się gdzieś w tej niby-chmurze...

– Sonia – wyjąkała rozedrgana Amanda. – Chodźmy po pomoc...!

– Tak, szybko – zgodziła się oszołomiona blondynka, zaciskając dłoń na czerwonym kółku.

Odwróciły się i pobiegły przed siebie, wciąż zszokowane tym, co się przed chwilą stało.

– Jak myślisz, czy on...? – zapytała Amanda płaczliwym głosem.

– Nie! Przestań! – powiedziała stanowczo Sonia.

Nie, to niemożliwe! On żyje. Musi żyć. Na pewno. Ten lew nie mógł być przecież prawdziwy!

Zeskoczyły z podestu i zaczęły rozglądać się dookoła. Pusto. Przystanęły niezdecydowane. W którą stronę będzie najbliższej?

– Hej, co tak stoicie? Jesteśmy na przodzie! Możemy wygrać!

Obie obróciły się jak na komendę.

– Oliver?!

Zadowolony chłopak podbiegł do nich, uśmiechając się trochę wymuszenie, ale jednak. Spojrzały na niego z niedowierzaniem w wytrzeszczonych oczach.

– No co? – zapytał, przekrzywiając głowę.

– Myślałyśmy... – wydukała Sonia – że... że...

– Pożarł cię lew – wydusiła z siebie Amanda.

– Eee tam! – Zaśmiał się trochę nieszczerze, z bladością na twarzy oraz odrobinę drżącym głosem. – On nawet nie był prawdziwy! No bo niby jak się tam tak nagle pojawił? I przecież mówiłem, że zaraz was dogonię. Ale wymyślili zadanie, co? Powinniśmy za nie dostać co najmniej trzydzieści kółek, a nie tylko jedno! Chodźcie i zapomnijcie o tym beznadziejnym utrudnieniu. Też mi atrakcja! A teraz trzeba wykorzystać naszą przewagę.

Dziewczyny wyglądały na nie do końca przekonane, ale pobiegły za nim w stronę następnego zadania.

Było to stanowisko rzutu oszczepem. Szybko się z nim uporali i po chwili pędzili ku kolejnemu wyzwaniu, wpinając w swoją obręcz trzecie kółko.

Przy następnej stacji dogoniła ich grupa Horsa. Wyglądała na wstrząśniętą widokiem Olivera, ale nie skomentowała tego ani słowem. Rale był ponadto wściekły, dziewczyna z grzywą włosów zawstydzona oraz przestraszona, a pozostałe niepewne. Wszyscy odetchnęli na widok tylko trochę podrapanego kolegi. Od razu odzyskali wigor i determinację, by wygrać.

Stanowisko, przy którym się spotkali, było rozciągnięte między dwoma kolejnymi podestami. Trzeba było przejść po różnorodnych przeszkodach zawieszonych prawie dwa metry nad ziemią. Pomimo że trójosobowa drużyna bardzo się starała, kółko zdobyła grupa Horsa, ponieważ dziewczyna o kocich ruchach i równie kocim spojrzeniu błyskawicznie przeszła na drugą stronę.

Później, przy szybszym przejściu przez bardzo wysoki mur, znów wygrali oni. W czołganiu pierwszy był Oliver. W zjeździe po linie Amanda, jako chyba najcięższa ze wszystkich. Ognisko także szybciej rozpałała grupa Ra, z kolei ich konkurencja prędej przeszła przez umieszczone poziomo w powietrzu drabinki, które trzeba było pokonać przy użyciu samych rąk i nie dotykając ziemi.

Oczywiście przy każdej z tych konkurencji grupa Ra musiała uskakiwać przed wściekłymi kotami lub mrużyć oczy przed słońcem, które tak biło po oczach, że Amanda z pięć razy wpadła w jakąś przeszkodę, Sonia trzy, a Oliver co najmniej

sześć.

Natomiast drużyna Rale'a narzekała na wszechobecny piach, wiatr czy grząski teren.

W końcu doszli do kilkusetmetrowego biegu po pustyni. Grupa Horusa zaczęła go jako pierwsza, pokonali już ćwiartkę, gdy ich przeciwnicy dopiero zaczęli.

Oliver natychmiast wysunął się do przodu. Chwilę później minął grzęznącego w piachu Rale'a oraz jego dwie koleżanki. Daleko przed sobą widział zwinną dziewczynę, która pędziła najszybciej ze swojej drużyny. Naprawdę świetnie sobie radziła, ale mimo to została w końcu przez niego prześcignięta. Cóż, on w ogóle nie zapadał się w miękkich wydmach, za to postarał się, by ona grzęzła jeszcze bardziej.

Dzięki niemu zdobyli kolejne kółko i wysunęli się na prowadzenie.

Oliver nie czekał, aż Sonia wraz z Amandą do niego dobiegną. Od razu ruszył przed siebie. Po chwili ujrzał kolejną stację. Zmrużył niepewnie oczy.

Trampolina. Wysoko nad nią pozioma belka. A jeszcze kawałek wyżej zielone kółko, zawieszane na cienkim sznurku.

– Dobra... Założmy, że wiem, co mam robić – mruknął i wspiął się na trampolinę.

Zaczął skakać najwyżej jak umiał, ale wciąż brakowało mu jakiś dwudziestu centymetrów, by dosięgnąć belki.

Kto wymyślił, żeby to było takie wysokie?! To miała być atrakcja dla wielkoludów, czy co?

Dobra, spróbuje jeszcze raz. Wybił się najmocniej, jak się dało... Pomknął w górę... Wyciągnął rękę... I opadł z powrotem, nawet nie musnąwszy swego celu. Zmrużył oczy z zastanowieniem.

Chyba nikt nie zauważy... A zresztą, Rale i tak myśli o mnie nie wiadomo co, więc bardziej go nie zaskoczę.

Ponownie odbił się od sprężystego podłoża i wystrzelił w górę. Mocne dmuchnięcie wiatru pomogło mu dosięgnąć belki. Złapał ją obiema rękami, po czym natychmiast podciągnął się w górę. Objął belkę jedną ręką, a drugą wyciągnął w stronę kółka. Zacisnął na nim palce oraz równocześnie pociągnął. Urwany sznurek zafalował na wietrze. Chłopak puścił się i lekko opadł na trampolinę. Następnie zeskoczył na ziemię oraz pobiegł dalej, ścigany okrzykami goniących go przeciwników, którzy dosłownie przed chwilą uporali się z biegiem przez wydmy.

– Zrób coś! – wydarł się Rale, a jego głos doleciał nawet do pędzącego przed siebie co sił Olivera.

– Znów będziesz na mnie krzyczał! – zawołała urażonym głosem jakaś dziewczyna.

Pewnie ta z grzywą, wcześniej wyglądała, jakby ktoś na nią nawrzeszczał – przemknęło przez myśl Oliverowi.

– Powiedziałem, zrób coś!

– Ale co?

– Cokolwiek! Ja nie chcę, żeby on wygrał!

– Ale ja umiem tylko jedno... – jęknęła dziewczyna.

– No to zrób to!

Oliver przyhamował gwałtownie, czując, jak błyskawicznie przyspiesza mu puls, gdy na ścieżce przed nim zmaterializował się drugi, ciemnożółty lew.

Tak, zmaterializował!

W jednej chwili go nie było, w następnej groźnie szczyrzył kły. Ignorując napływający do jego serca strach, chłopak porwał z ziemi garść piachu, po czym cisnął nią prosto w oczy dzikiego zwierzęcia. Lew parsknął i zaczął ocierać łapą swój wielki łeb.

Korzystając z chwili jego nieuwagi, Oliver przemknął obok, mając nadzieję, że drapieżnik nie rzuci się za nim w pogoń. Przy okazji odczuł satysfakcję, że udało mu się przechytryć groźnego kota przyzwanego przez dziewczynę. Był już pewien, kim ona jest. Zdemaskowała się w dość głupi sposób. Żeby nie powiedzieć – banalny.

Oliver szybko uporał się z rzutem piłką w słupek, aby strącić z niego szklaną kulę z kółkiem w środku. Kula rozprysła się na wszystkie strony, a on chwycił żółte kółko i pobiegł dalej. Niestety, musiał zatrzymać się przed kolejnym zadaniem, gdyż oddzielała go od niego gruba, czerwona linia. Miał obowiązek czekać na Sonię oraz Amandę.

Grupa Horusa minęła Olivera, obrzucając go uważnymi, triumfującymi spojrzeniami. Rale na dodatek ponownie się uśmiechał, tym razem trochę dziwnie, i mrugnął do niego porozumiewawczo, aczkolwiek Oliver nie miał pewności, o co mu chodziło.

Chłopak z grupy Ra niechętnie obserwował, jak pomimo utrudnień, jakie im fundował, jego przeciwnicy uporali się z przepłynięciem kajakami przez basen z falami. Z zawodem pogodził się z tym, że nikt z nich nie wpadł do wody, choć fale, jakim musieli stawić czoło, były naprawdę ogromne. Cóż, trochę im pomógł w osiągnięciu takiego rozmiaru...

W końcu dogoniły go Sonia i Amanda. Natychmiast wskoczyli do ich kajaka, a po chwili biegli w stronę kolejnej przeszkody, bardzo chcąc dogonić przeciwników. Dziewczyna z warkoczem obróciła się, a widząc, że są już blisko, zacisnęła ze złością wąskie wargi. W tym samym momencie Amanda wrzasnęła z przerażeniem i pociągnęła swoją drużynę do tyłu, by się zatrzymali.

– Hej! Co robisz? – zaprotestował Oliver.

– Patrz! To... to skorpion! – wyjąkała ze strachem, wskazując na piasek

przed nimi. Rzeczywiście, wielki, czarny skorpion stał tam i patrzył prosto na nich.

– Phi – prychnął lekceważąco chłopak. – Te wielkie są niegroźne. No a to przecież tylko gra.

Bez wahania podszedł do skorpiona, po czym z całej siły na niego nadepnął. Dziewczyny wzdrygnęły się z obrzydzenia i niepewności. Oliver cofnął nogę. Skorpion zniknął.

– Łe! Przykleił mu się do buta! – jęknęła z obrzydzeniem Amanda.

Chłopak rzucił jej ciężkie spojrzenie, ale nic nie powiedział, tylko ruszył przed siebie. Po chwili dogoniła go Sonia. Zerknęła na niego powątpiewająco i zapytała, unosząc brwi:

– To też było sztuczne?

– Pewnie – powiedział natychmiast, nawet na nią nie patrząc.

Ale choć jego głos był bardzo pewny, wyczuła, że kłamał. Tak samo jak z lwem. Oba były prawdziwe. I on o tym wiedział. Ona teraz też. Ale nie za bardzo to rozumiała. Dlaczego organizatorzy wpuścili tu takie niebezpieczne stworzenia? Przecież mogły zrobić komuś krzywdę! A lew mógł nawet kogoś pożreć.

Następną przeszkodą była duża niby-sieć pajęczna, przez którą należało przejść, co wcale nie było takie proste. Gdzieś u jej góry zawieszono kółko, ale zostało ono już zabrane przez grupę Rale'a. Dzięki temu drużyna Soni nie musiała się bardzo starać i przeszła przez sieć dość szybko.

Przy ostatniej stacji dogonili grupę Horusa, która nie mogła sobie poradzić z dorzuceniem podkowy na specjalny słupek. Może dlatego, że uparty wiatr cały czas w tajemniczy sposób zwiewał ciężkie przedmioty gdzieś w bok.

– Rzut podkową? Serio? – zdziwiła się Sonia.

– Tak, niezwykle zabójczy sport. – Oliver uśmiechnął się kpiąco, sięgając po podkową.

Trafił już za pierwszym razem, przez co grupa Horusa wściekła się jeszcze bardziej. Kilkadziesiąt sekund później Oliver, Sonia i Amanda przekroczyli linię mety, z dziewięcioma zdobytymi kółkami.

– Mamy remis z grupą Horusa – zauważyła po chwili Polka.

W tym samym momencie podszedł do nich ponownie szeroko uśmiechnięty Rale, aczkolwiek tym razem jego uśmiech nie był aż tak szczery jak wcześniej.

– Gratuluję – powiedział, nie odrywając zadowolonego i pełnego satysfakcji wzroku od Olivera, który pod jego wpływem poczuł lekki dreszcz niepokoju. *O co mu chodzi? I czego się tak szczerzy? Przecież nie wygrał...*

– Dzięki za wspaniałą grę, która wyjaśniła mi naprawdę wiele rzeczy – dorzucił wesoło Rale i odszedł, rzucając przez ramię: – Teraz już jestem pewny, kim jesteś, Oliver! Ale nie musisz się niczym martwić... przyjacielu.

Chłopak odprowadził go wzrokiem, czując, jak odpływa z niego dobry nastrój. O co mu chodziło? Czego jest pewien? Co kryło się za jego

niejednoznacznyimi słowami?



Rozdział szesnasty

W ZAMKNIĘCIU

Sonia rozłożyła się na leżaku na balkonie, czując zamęt w głowie. Potrzebowała chwili, by wszystko przemyśleć. Jak zwykle, zaczęła od dziwnych wydarzeń w muzeum. Potarła swój nadgarstek, ale tajemniczy znak nadal był niewidoczny. Przepadł jak kamień w wodę. Sama nie wiedziała, co o nim myśleć. Zaczynała wątpić, czy naprawdę istniał. A może to był tylko sen...?

Poczuła smutek. Szkoda. Zawsze marzyła, by brać udział w czymś niezwykłym. By zdarzyło jej się coś magicznego. Było jej przykro, że świecący symbol zniknął. Że prawdopodobnie nigdy tam się nie znajdował. Ale, zaraz... Oliver też go widział! I Estera. Czyli to nie był sen. To dobrze, bo zaczynała w to wątpić.

A wydarzenia spod piramid? Też były dziwne. Wciąż czuła swoje przerażenie, gdy jeden ze stworów wspomniał, że chce zrobić z nich ofiarę. Ale może to też był sen...? No, błagam. Potwory w piramidach? Serio? Wyrastające nietoperze skrzydła? Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę. Może nawdychała się jakichś szkodliwych oparów w piramidzie? Albo jakiś sprzedawca pamiątek próbował sprzedać komuś przestarzałe kadzidełko albo perfumy, których zapach rozwiął wiatr i w efekcie dosięgnął też Soni oraz Estery, które miały potem dziwne halucynacje?

Przerzuciła się na rozmyślanie o obu grach terenowych, ale bardziej skupiła się na tej drugiej. Działy się podczas niej bardzo dziwne rzeczy, których nie umiała racjonalnie wytłumaczyć. Najbardziej zastanawiał ją podobno nieprawdziwy lew, który pojawił się znikąd w klatce ze szczurami. Nie wyjechał na żadnej klapie, nie

został zrzucony z sufitu. Po prostu się pojawił. Tak samo jak skorpion, jednakże on mógł wypełznąć z piasku. Ale ogromny, żywy lew na pewno nie wypełzł z metalowej podłogi klatki. Więc jakim cudem się w niej pojawił...?

Podczas finału wydarzyły się także inne rzeczy, które bardzo mocno ją zastanawiały. Nagły, piaszczysty wiatr. Słońce rażące mimo okularów ochronnych. Na dodatek chyba hodowano tam całą kolonię wściekłych kotów, które rzucały się na uczestników gry. No i dziwaczne zachowanie grupy Horusa oraz Olivera. O co im chodziło?

Nie wspominając, oczywiście, o przerażającym podobieństwie ich kolegi do poszukiwanego mordercy.

Sonia coraz bardziej plątała się w swoich myślach. W końcu dała sobie spokój i postanowiła się przejść.

Chwilę później stała już na ścieżce. Gdzie mogłaby pójść? Może na basen? Tak, to dobry pomysł. Skierowała swoje kroki w jego stronę, zerkając na słońce powoli chylące się ku zachodowi. Wkrótce kolacja, ale zdąży trochę pospacerować. Postanowiła dojść do basenu drogą wiodącą obok trzech małych budynków. Uznała, że będzie ona nieco krótsza. I spokojniejsza, a tego właśnie potrzebowała, by wszystko ułożyć sobie w głowie.

Nagle, gdy dochodziła do pierwszego z trzech budynków, usłyszała jakiś podejrzany hałas. Przystanęła i wsłuchiwała się w delikatnie zakłócaną ciszę. Ostrożnie podążyła za odgłosem. Podkraśla się na drugą stronę budynku, a następnie powoli wyjrzała za jego róg. Zmarszczyła brwi i cofnęła się niepewnie. Z napięciem przyłgnęła do ściany, próbując zrozumieć to, co zobaczyła.

Złotowłosego przyjaciel Olivera włamywał się do jednego z trzech małych budynków!

Sonia widziała, jak trzyma dłoń na niebieskim kluczu magnetycznym, równocześnie wybierając kod na klawiaturze szyfratora. A zatem to on był złodziejem! No, proszę, a wyglądał na dobrego, miłego, wesołego chłopca. Zaraz, jak on miał na imię...? Ra... Rale? Chyba tak.

Ale dlaczego...? *Może powinnam komuś o tym powiedzieć?* – zawahała się Sonia. A jeśli coś ukradnie? Coś cennego? Wtedy będzie miała gigantyczne wyrzuty sumienia.

Ale z drugiej strony... czy to dla niej bezpieczne? Jeśli chłopak się dowie, że to ona, pewnie będzie się chciał jakoś odegrać?

Jedno było pewne. Musi stąd odejść. Jak najszybciej. Później podejmie decyzję, co dalej. Gdy będzie z dala od włamywacza, poczuje się lepiej i łatwiej coś wymyśli.

Zaczęła powolutku wycofywać się tą samą drogą, którą tu przysła. Nie odrywając wzroku od rogu budynku, powtarzała sobie w myślach: *Proszę, niech mnie tylko nie usłyszy! Proszę, proszę!*

Była coraz bliżej. Z każdym krokiem czuła się coraz pewniej, stopniowo odpływało gigantyczne napięcie, ręce mniej drżały... Już zaraz będzie wystarczająco daleko, by puścić się biegiem. Już blisko. Jeszcze bliżej. A zza rogu nikt jeszcze nie wyszedł. Uda się jej! Chłopak jej nie usłyszy! Odetchnęła z ulgą i zwróciła się twarzą do budynku głównego.

Krzyknęła ze strachu oraz zaskoczenia, gdy znalazła się twarzą w twarz ze złotowłosym Rale'em. Skąd on się tu tak nagle wziął?! W pierwszym odruchu Sonia chciała uciec w przeciwną stronę, ale z przerażeniem odkryła, że nie może się ruszyć. Ani o milimetr. Czuła się jakby była skrzepowana niewidzialną liną. Albo zatopiona w przezroczystym betonie. Dziwne. I przerażające.

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy – powiedział lodowato chłopak, wpatrując się w nią chłodno złotymi oczami. – Co tu robisz?

– Nic – odparła, zauważając z ulgą, że może mówić.

Ale dlaczego nie może ruszać rękami? Ani nogami? Co tu się w ogóle dzieje?!

– Nic? – Rale uniósł z powątpiewaniem brwi.

– No, idę... idę na basen.

– Jaki pech, że musiałaś przechodzić akurat tędy – wycedził. – Masz bardzo kiepskie wyczucie czasu. A szkoda. Twoja strata. Twój problem. Nie mój.

– C...co masz na myśli?

– Chyba domyślasz się, że wiem, że mnie widziałaś. Tak, nie rób takiej miny. A zatem, nie mogę pozwolić, żebyś komuś o tym powiedziała. Zbyt dużo od tego zależy. Muszę się upewnić, że mi nie zaszkodziś.

– Ja... ja nikomu nie powiem! – wyjąkała przerażona Sonia.

Zaczynała bać się coraz bardziej. Nagle ten miły, uśmiechnięty Rale zamienił się w kogoś bezwzględnego, budzącego obawę... Co miał na myśli? Czemu tak dziwnie mówił? Co znaczyły jego słowa? I dlaczego ona nie może się ruszyć?!

– Jasne, jasne. – Chłopak spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Obiecuję! Nikt się o tym nie dowie! Ja nawet nie chciałam nikomu nic powiedzieć. Miałam zachować to dla siebie!

– Tak, oczywiście. Słuchaj, naprawdę myślisz, że ci uwierzę?

– Ale to prawda! Możesz mi zaufać, naprawdę!

– Ja ufam tylko sobie. – Wzruszył ramionami, uśmiechając się lekko. – I tobie radzę robić to samo. A teraz, wybac, ale nie mam dla ciebie dużo czasu. Za to ty będziesz miała go dla siebie bardzo dużo. Powiedziałbym nawet, za dużo.

– Co masz na myśli? – zapytała pobladła Sonia.

Ogarnęły ją naprawdę złe przeczucia. Bardzo się bała.

– Po prostu, zamknę cię w jednym z tych budynków – oznajmił spokojnie, uśmiechając się pogodnie. – Gdy już będę miał pewność, że mi nie zaszkodziś,

wypuszczę cię. Albo raczej pozwolę, by znalazł cię kierownik. Może będzie to jutro, może nawet dzisiaj w nocy, jeszcze zobaczę. W każdym razie, on dowie się, że to ty ukradłaś mu klucz, włamałaś się do środka i chciałaś coś zabrać. Cóż, nie sądzę, by twoje następne przeżycia były miłe. Ale to, jak już wspominałem, nie mój problem.

– Nie, nie rób tego! – wykrzyknęła błagalnie Sonia.

To jakiś koszmar! A może to tylko bardzo okropny żart? Ale wiedziała, że nie. Wyczytała to z chłodnych oczu blondyna. Naprawdę chciał to zrobić! Chciał ją zamknąć i zrzucić na nią całą swoją winę! Przecież nie była złodziejką!

– Bardzo mi przykro, ale chyba znalazłaś się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze – oznajmił z lodowatym uśmiechem.

Sonia zadrżała.

– Jeśli to zrobisz, moi przyjaciele ci tego nie darują – zagroziła drżącym głosem.

Może to go przekona? *Błagam, oby tak!*

Ale Rale tylko się roześmiał.

– Niby kto? Estera?

– Oliver – powiedziała Sonia najpewniej, jak mogła.

Ale bynajmniej nie była co do tego przekonana. Nawet szczerze w to wątpiła. Lecz Rale nie mógł o tym wiedzieć. No i Oliver już dwa razy jej pomógł... A także podczas gry terenowej, to już trzy.

– Oliver?! – parsknął śmiechem blondyn.

– Tak. Zależy mu na mnie – zmyśliła, pragnąc, by jej uwierzył. By ją zostawił. By jej nie zamykał!

– Coś ty! – prychnął Rale z rozbawieniem, prawie dusząc się ze śmiechu. – Jemu zależy tylko na sobie!

– Nieprawda!

– Prawda, prawda. Znam go dłużej niż ty – oznajmił blondyn, a Sonia zrozumiała, że nigdy go nie przekona.

Poczuła jeszcze większe przerażenie ściskające ją za serce. Pozostał ostatni sposób, by się jakoś uratować. A gdyby tak... Może ktoś ją usłyszy i jej pomoże? To chyba ostatnia nadzieja. Wzięła głęboki wdech, po czym wrzasnęła ile sił w płucach:

– Ratunku!!! Pomo...

Nagle coś bardzo mocno ścisnęło ją za gardło. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przed oczami jej pociemniało, rozkołysane obrazy straciły wyraźne kontury, stały się tylko kolorowymi, bladymi plamami. Serce łomotało jej jak szalone. W głowie huczało coraz bardziej. Nie mogła się ruszyć. Zupełnie.

– Jaka szkoda, że nikt cię nie usłyszy – uchwyciła kpiący głos Rale'a.

A może to był Oliver? Wiedziała tylko to, że zaczyna spadać gdzieś w tył,

w bezdenną przepaść. Ogarniała ją ciemność. Głowa prawie eksplodowała. Serce tłukło się oszalałe.

– Szkoda, że twoja przygoda z tym obozem zakończy się już dziś. A zapowiadało się naprawdę ciekawie. – Dobiegł do niej czyjś lodowaty, nieludzki śmiech.

I wtedy zapanowała wielka, niezgłębiona ciemność.

* * *

Pierwszą myślą, która pojawiła się w jej głowie, była świadomość, że może oddychać. Uchyliła ostrożnie powieki. Była w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Zaraz, zaraz... Może jest u siebie w pokoju i właśnie przebudziła się z jakiegoś koszmaru?

Nagle drgnęła. Zalała ją fala wspomnień. Rale. Budynki. Rale. Straszne uczucie słabości, niewiarygodny ból głowy. Rale!

Wciąż leżąc na zimnej podłodze, przysunęła ręce do szyi, potem do głowy. Wszystko było z nimi dobrze. Wzięła głęboki oddech. Mogła oddychać! Żyła! Rozpłakała się z ulgi. Naprawdę się bała!

Potem ze zdwojoną mocą dotarło do niej, co się stało. On coś zrobił. Sprawił, że straciła przytomność! Nie wiedziała jak, ale to na pewno był on. Tylko... jakim cudem? Tak się przecież nie da! Teoretycznie, rzecz jasna. A zatem, następna dziwna rzecz, która nie powinna się nigdy zdarzyć.

Sonia drgnęła. Rale zamknął ją tutaj, by na niego nie doniosła. Wymyślił sobie, że mają ją ukarać za to, czego nie zrobiła. Za kradzież. Za włamanie. Już widziała aferę, jaka się rozpęta. Jej rodzice będą załamani. Ona też. Ale nie będzie mogła udowodnić, że jest niewinna. No bo jak? Powie, że jej kolega związał ją niewidzialnymi linami?! Że ją zatopił w nieistniejącym betonie?! Nie. To nic nie da. Jeszcze wezmą ją za wariatkę. I dopiero będzie problem. Ale w takim razie co ma zrobić? Może nagrania z kamer pokażą, co tak naprawdę się stało? Ale, zaraz. Jeśli Rale zupełnie bez krycia próbował się tu włamać, to pewnie musiał się wcześniej jakoś zabezpieczyć. A może zapomniał? Mało prawdopodobne.

Jednego była pewna. To już dla niej koniec. Okropne piętno włamywaczki i złodziejki zostanie z nią do końca życia. Będzie ją to dręczyło. Jej życie już nigdy nie będzie takie, jak dawniej. To koniec. Zupełny koniec.

Ale to niemożliwe! Musi być jakiś sposób na wyjście z tej sytuacji... Musi!

Zerwała się z podłogi i dopadła drzwi. Szarpała za klamkę, bardzo długo desperacko uderzała w nie pięściami. Ale nic to nie dało. Były zamknięte. I bardzo

dobrze wykonane. Nie da rady się stąd wydostać. Nie sama.

Osunęła się na chłodną podłogę. Zapłakała rozpaczliwie, chowając twarz w dłoniach. Czuła się okropnie skrzywdzona, ale nie mogła niczego zmienić. Czemu wszystko musi być takie niesprawiedliwe?! Dlaczego on musiał zrujnować jej życie? Jak mógł być taki okrutny?

Pląkała bardzo długo, aż w końcu zabrakło jej łez. Później siedziała skulona nieruchomo przy ciemnym prostokącie oddzielającym ją od wolności i nieszczęśliwym, zrezygnowanym wzrokiem wpatrywała się gdzieś przed siebie.

A potem postanowiła zająć się czymś, by choć na chwilę zapomnieć o przyszłym losie. Uważnie rozglądnęła się dookoła, przenikając wzrokiem półmrok, zakłócany jedynie przez słaby blask zachodzącego słońca bijący od małego okienka gdzieś u sufitu. Znajdowała się w jednym z trzech budyneków. Musiał być już bardzo późny wieczór. Nie wiedziała, jak długo leżała zemdlna. Ani jak długo płakała. Nie miała przy sobie zegarka, by to sprawdzić.

Było ciemno, ale przyzwyczajone do tego oczy z łatwością odróżniały jeszcze kontury poszczególnych przedmiotów.

Pomieszczenie, w którym się znajdowała, było całkiem spore, musiało więc zajmować większą część budynku. Na ścianie naprzeciwko wielkich, grubych, nawet od środka chronionych szyfratorem drzwi, znajdowała się duża tablica z jakimiś wycinkami, zapisanymi kartkami, najróżniejszymi przyczepionymi przedmiotami i gigantyczną mapą świata, sięgającą od podłogi aż do sufitu. Na dwóch ścianach obok niej znajdowały się rzędy niewielkich szafek, które również zajmowały całą przestrzeń, od dołu do góry. Na lewo oraz prawo od drzwi ustawione były kolejne szafki, ale większe i trochę inne od tych przy mapie. W centrum stało spore biurko z licznymi szufladami oraz kilkoma krzesłami. Z sufitu zwisała duża lampa.

Sonia zmusiła się do chwilowego zapomnienia o swoich zmartwieniach. Może znajdzie jakiś sposób, by stąd wyjść? Jakaś zapasową kartę? Telefon? Cokolwiek. Nawet jakąś kryjówkę, w której mogłaby się schować, gdy wróci po nią Rale z kierownikiem.

Z niewielką nadzieją podniosła się na nogi. Natychmiast zawirowało jej przed oczami. Oparła się o promieniującą siłą, a także chłodem drzwi. Obróciła głowę i ujrzała obok siebie pstryczek. Światło! Niestety, nie działało. Pewnie trzeba było użyć klucza magnetycznego nie tylko po to, by otworzyć wejście.

Po chwili, gdy trochę ochłonęła, podeszła do wielkiej mapy. Nakreślono na niej mnóstwo jakiś dziwnych symboli. Najwięcej znajdowało się w Egipcie, ale w zasadzie były porzucane po całym świecie. Zmrużyła oczy, ale nie dała rady nic odczytać. Nic z nich nie rozumiała, a na dodatek robiło się coraz ciemniej, więc z każdą chwilą słabiej widziała.

Przeniósła wzrok na przyczepione dookoła kartki. Zauważyła mnóstwo

wycinków z gazet całego świata mówiących o Briancie de Ramenie, dziwnych zjawiskach pogodowych, nasileniu się burz piaskowych, tajemniczych zdarzeniach w małych miasteczkach. Ogólnie, tematyka była bardzo rozległa i Sonia nie widziała powiązania między, przykładowo, wielką burzą piaskową na pustyni Gobi oraz chłopcem, który potrafił poskramiać krokodyle.

Później Sonia podeszła do biurka. Wszystkie szuflady były zamknięte na klucz. Opadła na miękki fotel z rezygnacją. To bez sensu! Nic nie znajdzie.

Po chwili sięgnęła po jakąś śnieżnobiałą, a przez to jakby świecąca w ciemności kartkę, leżącą na blacie. *Cóż to?* – zdziwiła się i przeczytała w myślach – *Tura z Azji, z Afryki, z Ameryk, z Europy, z Australii i Oceanii.* A obok nich daty.

Nagle przekrzywiła głowę, patrząc na daty widoczne przy turze z Europy. Był to dokładnie ten przedział, w którym odbywał się obóz, na którym właśnie była. I który, według tego wstrętnego Rale'a, miał się dla niej wkrótce skończyć. Może nawet dzisiaj.

Odłożyła z przygnębieniem kartkę. Cóż z tego, że pan Mandara organizuje takie obozy dla całego świata? Niezbyt ją to interesowało. Wolałaby dowiedzieć się, że kierownik trzyma gdzieś tu zapasowy klucz, albo że jest stąd jeszcze jakieś wyjście.

Wstała i podeszła do rzędu mniejszych szafek, zajmujących całe dwie ściany. Na jednej miały one kolor chyba niebieski, na drugiej zielony. Przynajmniej tak podejrzewała, ponieważ z każdą chwilą gęstniał otaczający ją mrok. Wkrótce nie będzie widziała kolorów. Tylko różne odcienie czerni oraz szarości.

Przyjrzała się niebieskiemu szafkom. Na każdej znajdował się napis „Europa” oraz...

Sonia zbladła i uniosła z zaskoczeniem brwi.

Patrzyła na szafkę oznaczoną jakimś numerkiem oraz jej imieniem i nazwiskiem. A także jej adresem.

Spojrzała w bok. Ujrzała szafki wszystkich osób z jej grupy. Estery, braci, Olivera, Astrid. Wszystkich. A także nazwiska osób z pozostałych grup. Wszyscy tu byli. Mieli swoje szafki. A co w nich było?

Spróbowała otworzyć swoją, ale ta ani drgnęła. Ponownie szamotała się z szufladami w biurku, które mogły zawierać do niej kluczyk, ale były bardzo dokładnie zamknięte. Nic nie wskórała. Długo stała przed swoją szafką, próbując zgadnąć, co jest w środku. Lecz nie miała pojęcia.

W końcu przyjrzała się dokładnie pozostałym niebieskim szafkom, ale one także były mocno zamknięte. W pewnym momencie zamarła i wydała zduszony okrzyk. Wpatrywała się w etykietkę oznaczoną „Briant de Ramen”.

Po chwili szoku poczuła ulgę. Oliver też miał swoją szafkę. Czyli nie mógł być tym okropnym przestępcą! Nie zdaniem organizatorów tego obozu.

Gigantyczny kamień spadł jej z serca. Nie miała czego się bać. Jej kolega nie był mordercą. Chyba.

Był tylko do niego podobny z wyglądu. Całe szczęście! Ale czemu kierownik ma szafkę z nazwiskiem przestępcy...? Nie miała zielonego pojęcia.

Po zbadaniu jednej ściany podbiegła do drugiej. Zielone szafki zamiast napisu „Europa” miały „Ameryka Południowa” lub „Północna”. Tak jak te niebieskie opatrzone były imionami, nazwiskami, adresami oraz numerkami. I także były zamknięte.

Na samym końcu Sonia podeszła do większych, czarnych szafek, znajdujących się po dwóch stronach drzwi. Spojrzała na pierwszą z brzegu i zamarła. Zmarszczyła brwi.

– Izyda? – szepnęła z zaskoczeniem. – Czemu tu jest napisane „Izyda”?!

Nie znalazła odpowiedzi na to pytanie. Wszystkie czarne szafki były oznaczone imionami egipskich bogów. Na niektóre naklejono zielone kółka, na inne znaki zapytania. Sonia nie wiedziała, o co w tym chodziło. I jeszcze przez jakiś czas miała tego nie wiedzieć.

Zrezygnowana po raz setny objęła wzrokiem całe pomieszczenie. Nie odnalazła żadnego ratunku. Żadnej zapasowej karty. Żadnych ukrytych drzwi. I tylko pojawiły się w jej głowie kolejne pytania oraz tajemnice, których natury nawet nie potrafiła się domyślić.

Musiała stawić czoła prawdzie. Nie da rady uciec od losu, który przeznaczył jej Rale. Nie ucieknie. Nie ma szans.

* * *

Siedziała pod biurkiem, myśląc o tym, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Na twarzy lśniły ślady łez, które powróciły, jak tylko zasiadła w swojej kryjówce, by czekać na Rale’a oraz kierownika. Czarne, ponure, pozbawione promyka światła myśli krążyły po jej głowie. Panowała przerażająca, niezakłócana niczym cisza. Mrok kłębił się wokoło, nadając zwykłym przedmiotom upiorne kształty.

Sonia objęła kolana ramionami i starała się nie spanikować. Ta cisza wokół niej wzbudzała najgorsze wspomnienia. Ciemność przypominała wszystkie koszmary oraz horrory. I była sama. Całkiem sama. Czekala, aż ktoś wreszcie po nią przyjdzie, by wyrzucić ją z obozu i na zawsze naznaczyć jej życie piętnem włamywaczki, złodziejki.

Bała się, jak chyba nigdy wcześniej. Była tak nieszczęśliwa, że myślała, iż gorzej już być nie może. Miała wrażenie, że jej łzy zaleją zaraz cały pokój albo

przynajmniej stworzą dużą kałużę u jej stóp. To czekanie było okropne. Nie mogła unikać smutnych myśli, niewesołych wizji najbliższej przyszłości. Siedziała więc skulona pod biurkiem i czekała.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, ale miała wrażenie, jakby to była wieczność. Za oknem panowała noc, która jeszcze nie bladła, by ustąpić miejsca porankowi.

I nagle, gdy zmęczona pogrążaniem się w ponurych myślach powoli zasypiała, opierając głowę o ściankę mebla, rozległ się dźwięk, który rozdarł zalegającą wszędzie ciszę niczym grzmot, a ją samą przyprawił o gwałtowne bicie spłoszonego serca.

Był to dźwięk wsuwanego w zamek klucza magnetycznego.

Sonia skuliła się w swojej kryjówce, drżąc jak w febrze. A więc koniec już nadszedł. W jej oczach na nowo zaślniły łzy. Starła się przygotować na tę chwilę, ale nic to nie dało.

Rale, czy też może pan Mandara, bez wahania wstukał kod w klawiaturę szyfratora.

Sonia zacisnęła powieki i wstrzymała oddech, gdy rozległ się dźwięk otwieranych ostrożnie drzwi. Serce biło jej w piersi tak gwałtownie, jakby zaraz miało wyskoczyć. Była pewna, że ten, kto po nią przyszedł, słyszał je na pewno.

Każdy krok Rale'a lub kierownika sprawiał, że wzdrygała się gwałtownie. Ten, kto wszedł do środka, cicho zamknął za sobą drzwi. Jedyne dróg ucieczki odcięta!

Następnie skierował się gdzieś w bok. Krążył w mroku, co jakiś czas przystając, a Sonia cierpiała katusze, bojąc się chwili, gdy wreszcie znajdzie jej kryjówkę. Z całej siły zaciskała powieki, paznokcie wbijały jej się w skórę nóg, ale ledwo to zauważała. Czuła tak gigantyczne napięcie, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby nagle wybuchła.

W końcu ten, kto po nią przyszedł, skierował swe ostrożne kroki w stronę biurka, pod którym się ukrywała.

Sonia nie wytrzymała nerwowo. Nie dała rady, to było zbyt straszne. Mimowolnie zaszlochała cicho. Natychmiast zakryła usta pobladłymi dłońmi, ale było już za późno. Rale lub kierownik przystanął i zamarł.

Sonia otworzyła szeroko przerażone oczy, czekając na koniec. Łomoczące serce chciało wyrwać się z jej piersi oraz odfrunąć gdzieś, gdzie nie byłoby narażone na tak nerwowe napięcie.

Ten, który wszedł do pomieszczenia, zaczął skradać się w jej kierunku tak cicho, że łowiła jedynie delikatne dźwięki. Po chwili nie słyszała już nic. Ze strachem wpatrywała się w mrok.

Krzyknęła z przerażeniem, gdy nagle ktoś się przed nią pojawił. Wyłonił się z mroku, cicho jak duch przykląkł na podłodze i aż cofnął się odrobinę na jej

widok.

Nie rozpoznała go, ponieważ było bardzo ciemno, a zasłaniał sobą jedyne, blade zresztą światło padające z okna. Zadrżała jeszcze bardziej, czekając, aż wykrzyknie coś w stylu: „Tu jesteś, złodziejko!”. Ale on tylko wyjąkał cichym głosem, ze zdumieniem oraz widoczną ulgą:

– A co ty tu robisz?!

Prawie zemdląła z wrażenia.

– Oliver...? – wyszeptała z niedowierzaniem.

– Tak, no raczej nie John. – Była pewna, że mówiąc to, wywrócił oczami, ale było zbyt ciemno, by mogła to zobaczyć.

– Przyszedłeś po mnie...? – zapytała z wahaniem oraz obawą.

– Po ciebie? A niby po co? – zdumiał się, a Sonia poczuła się bardzo dziwnie.

Nie przyszedł po nią. Czyli jeszcze nie nadszedł jej koniec. Oh, jak dobrze! Cała góra kamieni spadła jej z serca. Nie wytrzymała tak gwałtownego rozładowania napięcia i rozplakała się. To było silniejsze od niej, łzy same cisnęły jej się do oczu.

– Sonia! Przestań! – syknął Oliver z przerażeniem, rozglądając się błyskawicznie dookoła i zastanawiając się z obawą, czy to czasem nie jego wina. – To tylko ja!

– Jak ja się cieszę na twój widok! – zaszlochała Sonia. – Nawet nie wiesz, jak ja się cieszę!

Oliver zastygł w bezruchu z wrażenia. Przez chwilę analizował to, co usłyszał. Czy to jakiś żart? No bo chyba nie mówi poważnie? A może jednak...? Uśmiechnął się lekko. Pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna usłyszał coś takiego. Ktoś cieszył się na jego widok! *Ale tylko dlatego, że nie wie, kim jesteś. Tak naprawdę, oczywiście* – szepnął jakiś głos w głębi jego duszy, ale został całkowicie zignorowany. Ona cieszyła się na jego widok! Czyli może jednak nie jest aż tak źle.

Oliver opadł na fotel i zamyślił się, zerkając na bardzo powoli uspokajającą się Sonię. Co ona tu robiła?! Też znalazła klucz? Może ten, który zgubił? Ale czy nie znalazł go czasem Rale? Skąd mogła znać kod? Też oglądnęła kiedyś obrazy z kamer? No, ale dlaczego siedziała pod biurkiem? Chowala się? Przed kim?

Nagle zbladł. Zapytała, czy po nią przyszedł. Czyli spodziewa się, że ktoś po nią przyjdzie. Pewnie wkrótce. Czyli tu nie jest bezpiecznie. Co, jeśli nagle zabłyśnie światło? Nie będzie miał jak uciec niespostrzeżenie, bez zostawiania śladów. Czyli musi stąd odejść. Trudno, przyjdzie później. Przeczeka, aż ją zabiorą, i dopiero wtedy wszystko zbada. Ale właściwie, dlaczego mają po nią przyjść? Co zrobiła? Co tu się dzieje? Był pewien, że ma choć ogólne wiadomości o wszystkim w okolicy. Jednak się mylił. Ale o co chodziło?

Zapytał ją, korzystając z chwili, gdy całkowicie przestała płakać.

– Twój przyjaciel mnie tu zamknął – wyszeptała ledwo słyszalnym głosem, rozglądając się dookoła z trwogą, jakby miał on zaraz wyskoczyć z jakiegoś kąta z groźnym okrzykiem.

– Co? Mój przyjaciel? – powtórzył zaskoczony Oliver.

Ja tu nie mam przyjaciół. Możliwe, że nie mam ich w ogóle. Więc o kim ona mówi?!

– Tak. Ra... Rade, czy jakoś tak.

– Ach, Rale – prychnął chłopak, mrużąc oczy na jego wspomnienie, po czym dodał z naciskiem: – To nie jest mój przyjaciel. Coś sobie ubzdurał, ja go w ogóle nie znam. Kilka dni temu zobaczyłem go pierwszy raz w życiu. Ale... czemu cię tu zamknął?

– Ponieważ widziałam, jak tu wchodził. A ty co tu robisz?

Oliver zdrętwiał. Rale tu wchodził. Czego szukał? Miał właśnie o to zapytać, kiedy nagle znieruchomiał i przekrzywił głowę, jeszcze bardziej mrużąc oczy.

– Co robisz? – zdziwiła się Sonia, która rozluźniła się nieco w jego towarzystwie.

Może jej pomoże, jak zwykle? I nie wyrzucą jej z obozu?

– Cicho!

Sonia zmarszczyła brwi. Co mu się stało?

– Czemu?

– Ktoś tu chyba idzie, ale nie będę pewny, dopóki się nie uciszysz! – zezłościł się chłopak.

Dziewczyna wzdrygnęła się gwałtownie, a jej oczy poszerzyły się ze strachu, gdy w jej głowie pojawiła się przerażająca myśl.

– Idą po mnie – wydusiła z siebie słabym głosem.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, po czym wstał z fotela, mówiąc:

– Na to wygląda. I dlatego muszę już iść.

– Co?! – wydusiła z siebie, nic nie rozumiejąc.

Jak to? Nie pomoże jej?

Oliver tylko wzruszył ramionami i zaczął szybko zmierzać ku drzwiom.

– Jak to, musisz już iść?! – wykrzyknęła z oburzeniem, doganiając go oraz zagradzając mu drogę. – Nie pomożesz mi?! Oni mnie wywalą za coś, czego nie zrobiłam! Przecież możesz mi pomóc! Masz klucz!

– Nie.

– Co, nie?! Nie masz klucza? Przecież wiem, że tak.

– Nie. W sensie: nie, nie pomogę ci.

– Ale... ale czemu? – wyjąkała płaczliwie, wciąż nic nie rozumiejąc.

– Bo nie. A teraz odsuń się, z łaski swojej.

Oliver wyminął ją, równocześnie wyciągając z kieszeni błękitną replikę

klucza magnetycznego.

– I tak po prostu sobie pójdiesz?! – krzyknęła coraz bardziej zezłoszczona Sonia.

– Tak.

– Jak możesz?! – W jednym momencie podskoczyła do niego i wyrwała mu kartę z ręki.

Chłopak spojrzał na nią lodowato.

– To ja znam kod – zauważył.

– Wiem. Ale oddam ci klucz tylko pod warunkiem, że mi pomożesz! – zawołała z napięciem.

W tym momencie zza drzwi rozległ się odgłos pośpiesznych kroków. Serce Soni zatrzepotało z przerażenia. Spojrzała prosząco na niewzruszonego Olivera, który uśmiechnął się chłodno i powiedział:

– Na moje szczęście nie potrzebuję klucza. A teraz, żegnam.

Odkoczył w ciemność, a Sonia zszokowana patrzyła, jak karta rozsypuje się w jej dłoni. Wzdrygnęła się i strzepnęła złoty proszek z cichym okrzykiem. Czy to był piasek?!

Nagle zdrętwiała na odgłos rozmowy dobiegającej zza drzwi. Rozpoznała głos kierownika oraz... Rale'a!

W panice rozglądnęła się dookoła, ale Oliver zniknął. Nigdzie nie mogła go zauważyć. Pewnie schował się w jakimś kącie. Ale wciąż tu był, czuła na sobie jego wzrok. Lecz nie mogła go w żadnym miejscu wypatrzeć. Jedno wiedziała. On był jej jedynym ratunkiem.

– Oliver! – syknęła w ciemność. – Wiem, że mnie słyszysz! Pomóż mi!

Nic nie poruszyło się w mroku. Sonia z przerażeniem zerknęła na drzwi, zza których dało się słyszeć strzępy rozmowy.

– Wtedy wyrwałem jej klucz i zamknąłem ją w środku – mówił właśnie Rale.

Dziewczyna poczuła jeszcze większą panikę.

– Oliver! Błagam cię, pomóż! Wiem, że możesz – poprosiła zduszonym głosem.

Co prawda wcale nie była tego taka pewna, ale uczepiła się tej myśli jako jedynej deski ratunku. Tylko, że on nie miał zamiaru zareagować. I ona wiedziała, że potrzeba cudu, by to zmienić. Ale przecież czasem cuda się zdarzają. Czemu więc nie teraz?

– Proszę cię! Pomóż mi – zawołała z trudem przed ściśniętym przerażeniem gardło.

Powoli wycofywała się pod ścianę naprzeciwko drzwi, nie przestając przemawiać prosząco do otaczającego ją mroku. Miała irytujące wrażenie, że równie dobrze mogła prosić o pomoc obraz albo ścianę. To było bez sensu!

Wreszcie to do niej dotarło. On nie ma zamiaru się ruszyć ze swojego miejsca, gdziekolwiek ono jest!

Głosy pod drzwiami stały się donośniejsze. Do jej uszu dotarło przerażające:

– Dobra, czas rozprawić się z tą dziewczuchą!

– Oliver! – wyjąkała z paniką.

Co mogłoby go przekonać, jeśli nie piękne prośby wzmacniane łzami?

Jej myśli szalały. Usłyszała, jak kierownik wkłada do zamka klucz magnetyczny. Nagle oczy Soni zabłyśły. Znalazła rozwiązanie! Skoro się schował, to pewnie nie chce, by ktokolwiek dowiedział się, że tu był... Czas to wykorzystać. Albo to, albo nic.

– Słuchaj, jeśli natychmiast mi nie pomożesz, rozpowiem wszystkim, że tu byłeś – syknęła ponownie w ciemność, czując, jak łomocze je serce. – I że się tu gdzieś schowałeś! I że masz klucz, który rozsypał się w piasek! Powiem wszystko, od zdarzeń w muzeum, przez piramidy, aż po grę terenową!

Zamilkła, czekając, aż się pojawi. Zapadła ogłuszająca, pełna napięcia cisza.

Kierownik skończył wstukiwac kod.

Sonia pobladła tak straszliwie, że wyglądała niczym duch unoszący się w otaczającym ją mroku.

Kliknęło.

Poczuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

Drzwi były otwarte!

Zadrzała z przerażenia i bezsilności. W jej pociemniałych oczach zalśniły łzy.

Drzwi powolutku zaczęły się uchylać.

To koniec. Przeliczyła się. Oliver nie pomoże. Rale miał rację. Jemu zależy tylko na sobie. Zacisnęła powieki, słysząc skrzypienie zawiasów. W głowie huczało jej jak chyba nigdy wcześniej, zawirowało przed oczami. Poczuła, że robi jej się słabo. To koniec.

I wtedy ktoś szarpnął ją za rękę. Zatoczyła się do tyłu. Otworzyła gwałtownie przerażone oczy, a serce załomotało jej jeszcze bardziej. Kątem oka zobaczyła, jak do pomieszczenia wsuwają się dwie osoby, a ona sama leci na spotkanie ze ścianą.

Odruchowo zacisnęła powieki, czekając na zderzenie, błysk światła i okrzyk: „Tu jesteś, złodziejko!”. Ale nic z tych rzeczy się nie stało.

Było cicho. Wciąż ktoś trzymał ją za rękę. Nagle poczuła na twarzy chłodny powiew wiatru.

Natychmiast otworzyła zdumione oczy. Była na zewnątrz, w jakichś krzakach. Spojrzała w gwiazdy królujące na niebie. Uśmiechnęła się ze zdumieniem. Niemożliwe!

Zerknęła w bok, prosto w twarz bardzo niezadowolonego Olivera, który

z widocznym trudem tłumił złość, natychmiast puścił jej dłoń i wycedził niechętnie:

– Tym razem ci się udało. Ale nie licz na więcej. Wyczerpałaś moją cierpliwość do ciebie.

– Pomogłeś mi – wyszeptała Sonia z niedowierzaniem. – Naprawdę to zrobiłeś! A już myślałam, że to koniec! Dziękuję. Ale jakim cudem znaleźliśmy się tutaj, na świeżym powietrzu?! Były tam jakieś sekretne drzwi?

Chłopak całkowicie ją zignorował, tylko ciągnął dalej z wielką niechęcią w głosie:

– Nikogo z nas tam dzisiaj nie było. Jasne?! Nic się tam nie zdarzyło. Ja nic nie powiem, ty nic nie powiesz. Tak, jak obiecałaś. Ja spełniłem swój warunek, teraz czas na ciebie. Nie radzę nie dotrzymywać słowa. Jesteśmy tuż obok budynku mieszkalnego. Trzy metry od ciebie znajdują się drzwi. Chyba się nie zgubisz, co? Mam nadzieję, że nie, bo jeszcze tylko tego brakuje!

Odwrócił się na pięcie i właśnie chciał odejść, kiedy Sonia zawołała:

– Hej, poczekaj!

Zatrzymał się, a następnie spojrzał na nią, wywracając oczami.

– Co? – burknął niemilo.

– Pomogłeś mi. Dziękuję! Może mogę ci się jakoś odwdzięczyć?

– Po prostu nikomu o tym nie mów.

– Tylko tyle? – upewniła się. W końcu on zrobił dla niej dużo więcej!

Oliver westchnął ze zniecierpliwieniem.

– A umiesz cofnąć czas? – zapytał z powątpiewaniem.

– Cofnąć czas? – zdziwiła się.

Czemu?

– Tak właśnie powiedziałem. Umiesz czy nie?

– No... nie.

– Więc nie możesz dla mnie nic zrobić.

Znow chciał odejść, kiedy Sonia zapytała:

– Czy tego właśnie byś chciał? Cofnąć czas?

– Tak. Tylko tego – powiedział ponuro.

– A jak daleko chciałbyś go cofnąć?

Oliver przystanął oraz ponownie wywrócił oczami. Czy ona się nigdy nie odczepi?! Nie rozumie, że ma jej dość? I że nie chce z nią rozmawiać?

– Ten moment jest wystarczająco niedawny, bym rozmyślał, co by było gdyby, i wystarczająco dawny, by nieodwracalnie zmienić moje życie – stwierdził niechętnie.

– Czyli nic nie mogę zrobić – odezwała się dziewczyna.

– Owszem, możesz. Po prostu nie mów nic nikomu. Tak jak obiecałaś.

Sonia spojrzała na niego długo. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

Uśmiechnęła się szeroko, wciąż z niedowierzaniem oraz niewyobrażalną ulgą. Była cały czas roztrzęsiona i wiedziała, że tak łatwo się nie uspokoi. Tyle strachu, stresu oraz niepewności najadła się przez niego! Może czas, by on też trochę się czymś przejął.

– Zastanowię się jeszcze, czy komuś o tym nie powiem. – Wzruszyła ramionami, mrużąc oczy z udanym namysłem. – W końcu miałeś mi pomóc natychmiast, a przetrzymałeś mnie dosłownie do ostatniej chwili. To nie było w porządku. Dlatego muszę to jeszcze rozważyć.

Odeszła, uśmiechając się lekko, wciąż z powątpiewaniem, czując, jak stopniowo odpływa z niej straszliwe napięcie, zdenerwowanie i panika. Zdecydowanie musiała wszystko przemyśleć. Najważniejsze, że była bezpieczna. Nie wyrzucą jej z obozu! Jeszcze kilka sekund temu była w pułapce. Teraz szła w stronę pokoju, jakby nic się nie stało. Musiała otrząsnąć się z tego szoku. Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Myślni nadal jeszcze była tam, w środku, czekając na wyrok. Ale przecież to już przeszłość. Tylko, jakim cudem...?!

Tymczasem zdrętwiały Oliver odprowadził ją wściekłym, zszokowanym spojrzeniem. W jego sercu zagnieździł się wielki niepokój. A co, jeśli komuś o tym powie...? To będzie przecież zupełna katastrofa!

* * *

Błądząc zamyślonym wzrokiem po otoczeniu pogrążonym w nocnej ciszy, Sonia powoli wspięła się na trzecie piętro. W pokoju zastała czekającą na nią Esterę, powoli przysypiającą na fotelu. Jednak na widok przyjaciółki natychmiast zerwała się na równe nogi.

– Sonia! – jęknęła z ulgą. – Gdzieś ty była? Tak się martwiłam, że coś ci się stało!

– Już wszystko dobrze...

– Gdzie zniknęłaś na tyle godzin? I to na dodatek nic mi nie mówiąc! – Estera spojrzała na nią z urazą.

Blondynka uśmiechnęła się niepewnie.

– Wcale tego nie planowałam. Po prostu... – zawahała się na sekundę. – Cóż, zatrzasnęłam się w jednym pomieszczeniu i musiałam czekać, aż mnie ktoś uwolni.

– Ojej. – Szatynka zrobiła współczującą minę. – Może miej już ze sobą zawsze telefon, co?

– To bardzo dobry pomysł – zgodziła się Sonia, marząc tylko o tym, by

wreszcie położyć się spać i zakończyć ten dzień wypełniony stresującymi wydarzeniami.



Rozdział siedemnasty

SOJUSZ

Sonia pobiegła na śniadanie pierwsza, gdy nikogo jeszcze nie było ani na korytarzach, ani w jadalni. Obawiała się spotkania z innymi. A właściwie z Rale'em. Odczuwała też niepokój na myśl o rozmowie z kierownikiem, ale byłoby to lepsze niż konfrontacja ze złotowłosym chłopcem. Miała co do tego całkowitą pewność. Dlatego zrobiła sobie kanapki, zawinęła je w serwetkę i uciekła do pokoju. Dopiero tam poczuła się bezpiecznie, choć w głębi duszy wiedziała, że było to wrażenie złudne. Przecież Rale mógł tu przyjść. Bez wysiłku był w stanie się dowiedzieć, gdzie mieszka.

Siedząc na miękkiej sofie oraz żując śniadanie, po raz setny rozmyślała o budzących dreszcz zdarzeniach poprzedniego wieczoru, czy może raczej nocy. Jednak nie wymyśliła niczego nowego. Wciąż nie mogła uwierzyć, że to nie był sen, ale koszmarna, niewiarygodna rzeczywistość. Jak to możliwe?

Rale potrafił robić dziwne rzeczy. Nienormalne. Jak to możliwe, że zjawił się za nią tak nagle, skoro widziała go chwilę wcześniej zupełnie gdzie indziej? Dlaczego chciał wejść do tych małych budynków? Kto był złodziejem? On czy Oliver? Obaj mieli klucze... tylko że klucz Olivera rozsypał się potem w piach. Jakim cudem?! I jak wydostali się z budynku, skoro na pewno nie użyli drzwi? Przecież to niemożliwe! *Tak jak stwory spod piramid. I znak na mojej ręce.*

Tyle pytań. Zero odpowiedzi. Co tu się działo? Nie wiedziała. W głowie czuła tylko mętlik.

Nadal nie знаła odpowiedzi na pytanie, czy Oliver i Briant de Ramen to jedna osoba. Co prawda widziała szafki w małym budynku, ale zdawała sobie

sprawę, że nie miała pewności odnośnie do słuszności ich podziału. Ktoś mógł się przecież pomylić. Albo nie widzieć dziwnego podobieństwa. Najpierw była przekonana, że szafki wystarczą, by przekreślić wszystkie podejrzenia. Ale potem pojawiły się wątpliwości.

Chociaż, czy przestępca by jej pomógł...? Nawet za cenę milczenia? Nie wiedziała.

Gdy wróciła Estera, zebrały się i udały na zbiórkę koło parkingu. Mieli dziś jechać na wycieczkę do Kairu. Sonia jak nigdy wcześniej trzymała się z rozgadаныmi dziewczynami z jej grupy. Śmiała się oraz żartowała, bo w tłumie była bezpieczna. Rale nie mógł jej nagle napaść. Dopóki była częścią większej grupki, czuła się pewniej.

Oliver z ponurą miną obserwował dziwnie towarzyską Sonię. Jego zdaniem ta przemiana była mocno podejrzana. O, a czemu one tak uważnie jej słuchają? Może właśnie opowiada im o tym, co się wczoraj zdarzyło? Dlaczego one się tak śmieją? Ale chyba to nie jest związane z nim, prawda?

Z każdą chwilą odczuwał coraz większy niepokój. Nie mógł spać przez pół nocy, denerwując się, że ta głupia dziewczyna wszystko rozpowie i zrukuje jego wspaniały plan, którego jakoś nie był w stanie zrealizować do końca. Przecież dawno miało go tu nie być! Wciąż nie miał pojęcia, gdzie może być schowany prawdziwy Amulet. Przeszukał dwa z trzech małych budynków, ale nie natrafił na jego ślad. Trzeciego nie mógł sprawdzić do końca, bo oczywiście ona musiała dać się tam zamknąć! Ale zobaczył wystarczająco dużo, by zaniepokoić się jeszcze bardziej.

Szafki. Intrygujące, ale nie zawierały w sobie nic potężnego. Pewnie tylko papiery.

Amuletu nie mogło tam być. Więc gdzie jest? Czy uda mu się go znaleźć, zanim ona wszystko rozpowie? Bo chyba ma taki zamiar, co go mocno przerażało. Musiał ją jakoś powstrzymać.

Przypatrywał się jej podejrzliwie, bijąc się z myślami. Miał pewien pomysł, ale nie był z niego zadowolony. Stanowił za duże ryzyko. No i przecież przysięgł sobie, że nigdy nikomu nie zaufa, nawet odrobinę. „Nie ufaj nikomu”, tego miał się trzymać. W końcu nikt nie wygada jego sekretów, jeśli nie będzie ich znał. Ale teraz wszystko się zmieniło. Przecież nie musi jej mówić wszystkiego, prawda? Dlatego w końcu, po wielu wahaniach, podjął decyzję. Wziął głęboki oddech, przywołał na twarz względnie miły wyraz i skierował swe kroki w stronę rozgadanej grupki dziewczyn.

Gdy stanął obok nich, zamilkły, po czym spojrzały na niego z zaskoczeniem oraz niedowierzaniem. On nigdy się do nich nie zbliżał z własnej woli! Nie spodziewały się takiej zmiany. No i jeszcze ten całkowity brak drwiącej miny. Czy to jest... nie, niemożliwe. Były pewne, że on nie potrafi się miło uśmiechać! A tu –

proszę, co za niespodzianka!

Oliver zmusił się do niezgromienia wszystkich wzrokiem. Zignorował osiem wpatrzonych w siebie par oczu. Spojrzał na przypatrującą mu się uważnie Sonię i zapytał w miarę miłym tonem:

– Pozwolisz na chwilę?

Dziewczyny rozdziawiły z niedowierzaniem usta.

– Tak, jasne – zgodziła się trochę niepewnie.

Rzuciła Esterze szybkie spojrzenie, a następnie, odprowadzana szmerem zdumienia, podążyła za Oliverem, który odszedł duży kawałek dalej i przystanął za palmą. Uśmiech natychmiast zgasł na jego twarzy, ustępując wahaniu, napięciu oraz nerwowości, które po chwili zniknęły za kamienną maską. Z nieprzeniknionym wyrazem oczu obserwował, jak zbliża się Sonia. W końcu, gdy stanęła tuż obok, zerkając na niego ciekawie, zlustrował otoczenie, po czym, upewniwszy się, że nikt ich nie podsłuchuje, wziął głęboki wdech, spojrzał jej w oczy i wyrzucił z siebie z powagą:

– Sojusz. Proponuję sojusz.

W oczach dziewczyny pojawiło się zaskoczenie.

– Sojusz? – powtórzyła jak zdziwione echo.

– Tak.

Zerknęła na niego z zainteresowaniem oraz uśmiechnęła się szeroko.

– Wiedziałałam, że czegoś ode mnie chcesz!

– Co? Skąd? – spojrzał na nią podejrzliwie.

– No, wiesz, byłeś dla mnie dziwnie miły!

– Ha, ha, ha. – Zrobił skrzywioną minę i wywrócił oczami. – Bardzo śmieszne. To co, zgadzasz się?

– A na czym będzie polegał nasz sojusz? Bo ta nazwa niewiele mi wyjaśnia.

– Próbowała wyczuć, czy to nie jakiś żart.

Ale nie, mówił całkiem serio! I to było bardzo dziwne.

– Po prostu na dyskrecji. Ty nie powiesz nikomu, ale to nikomu o wczorajszym wieczorze oraz wcześniejszych zdarzeniach, ja tak samo nie wspomnę o tym, że miałaś być włamywaczką, ani o znaku na twojej ręce, ani o niczym innym. Oprócz tego będziemy się w miarę możliwości wspierać w wytłumaczeniu tych sytuacji przed innymi, by nic nie wyszło na jaw. Będziemy współpracować.

Sonia zamyśliła się na chwilę. Następnie obrzuciła niespokojnie kręcącego się w miejscu kolegę uważnym spojrzeniem i powiedziała powoli:

– Mogłabym się ewentualnie na to zgodzić, ale pod jeszcze dwoma warunkami.

– Jakimi? – zapytał Oliver, marszcząc brwi.

– Po pierwsze, odpowiesz mi na wszystkie pytania, jakie ci zadam.

Wytłumaczysz mi, o co chodzi z tym, co się dookoła mnie dzieje. Jakim cudem potrafisz to, co potrafisz. Albo Rale, czy też inni. Dlaczego na mojej ręce pojawił się znak? Jak to możliwe? I czy ma on jakieś znaczenie, rolę? Czym były stwory z piramid? O czym one mówiły? Czemu cię posłuchały? No i jeszcze...

– Nie! – przerwał jej stanowczo, mrużąc niechętnie oczy. – Na to nie mogę się zgodzić. Pewne rzeczy to moja sprawa. Tylko moja.

– Ale ja chcę wiedzieć, co się dzieje wokół mnie! Tylko jeśli mi to wytłumaczysz, będę w stanie zawrzeć z tobą sojusz.

Oliver nachmurzył się. A potem jakaś myśl wpadła mu do głowy. *Przecież nie muszę jej tego wszystkiego mówić dzisiaj... A jutro już mnie tu nie będzie!*

– Zgoda. – Wzruszył ramionami, a Sonia spojrzała na niego podejrzliwie.

Coś zbyt łatwo dał się przekonać... Co knuje tym razem?

– Mój drugi warunek to ochrona.

– Ochrona? – nie zrozumiał Oliver.

O co jej chodzi? Ma ją bronić przed upałem? A może przed robakami?

– Tak. – Sonia kiwnęła głową.

– Przed czym?

– Raczej przed kim. Przed Rale'em.

– Rale'em? Serio? A co on ci może zrobić? – zdumiał się Oliver, ale jego twarz stężała prawie niedostrzegalnie na wspomnienie złotowłosego kolegi.

Wstrętny oszust! – pomyślał ze złością, ale na głos powiedział ostrożnie:

– Wygląda niegroźnie. I raczej miło.

Choć to nieprawda. Prowadzi podwójną grę. Uśmiecha się, jednocześnie planując, jak cię podejść!

– Pozory czasem mylą – zauważyła Sonia, po czym niespokojnie rozejrzała się dookoła. Następnie zapytała cicho: – Wiesz, czemu dziś od rana trzymam się większych grup ludzi?

– Nie.

– Ponieważ czuję się bezpieczniej. Boję się Rale'a. Zamknął mnie wczoraj i skazał na niesłuszne oskarżenia o włamanie oraz próbę kradzieży. Widziałam, jak wchodził do jednego z małych budynków. To dla niego niebezpieczne. Dlatego się boję. Jestem pewna, że nie da mi spokoju.

Oliver zamyślił się na chwilę. Nie uśmiechało mu się bycie ochroniarzem jakiejś dziewczyny. Ale, w sumie, na wycieczce nie będzie Rale'a. Później, do wieczora jakoś wytrwa. Tej nocy zniknie. Musi, bo już dłużej nie wytrzyma. A zatem, kilka godzin jeszcze da radę. Chyba. A potem ucieknie stąd na zawsze. I już nigdy jej nie zobaczy. Ten dzień powinien jakoś przeżyć. Bo chyba nie musi deptać jej po piętach? Będzie, hm... bardzo dyskretnym ochroniarzem. Tak dyskretnym, że w ogóle nie będzie go obok Soni. I nawet na nią nie popatrzy. Niech sobie sama radzi. Tak, to dobry plan.

– Może być – zgodził się łaskawie. – Czyli mamy umowę, tak?

– Nie, jeszcze jedno! Jeszcze jeden warunek – powiedziała szybko dziewczyna, ciesząc się w duszy, że tak dobrze jej idzie uzgadnianie zasad. Jak na razie na wszystko się zgodził! Widać, że bardzo mu zależy. Trzeba to wykorzystać.

– Miały być dwa – przypomniał, mrużąc ostrzegawczo oczy.

– Wiem, ale bez tego trzeciego nie zgodzę się na sojusz.

Oliver zacisnął zęby ze złością, ale powstrzymał się od powiedzenia czegoś bardzo niemiłego, co cisnęło mu się na usta.

– No, co to ma być? – wycedził ze zniecierpliwieniem.

– Nic wielkiego – zaszczębiotała Sonia. – Chciałabym tylko, żebyś był miły dla mnie i Estery.

– Że co?! – wybełkotał całkowicie zaskoczony, po czym dodał z niedowierzaniem: – Mam być dla was miły?!

Ależ to prawdziwa tortura!

– Tak.

– Ale... – zaczął, unosząc ręce w geście protestu.

Obiecał sobie, że nie będzie już nigdy dla nikogo miły, odkąd to się stało. Miał złamać swoje przyrzeczenie, bo jakaś nastolatka ma głupi kaprys? W życiu! Trzeba wybić jej to z głowy. Tym bardziej że on nie miał ochoty być dla nikogo miły częściej, niż to całkowicie konieczne!

– Nie chcę sojuszu z kimś, kto ma mnie bez przerwy obrażać – przerwała mu stanowczo Sonia. – I nie zmienię zdania. Albo się zgadzasz, albo ja rezygnuję.

Oliver zamrugał z zaskoczeniem. Ma być dla kogoś miły? Uznał, że takie zachowanie należy u niego do przeszłości, kiedy miał jeszcze powody, by być zadowolony z życia. Na dodatek irytowało go, że dyktowała mu warunki. To on zawsze tak robił. To inni ulegali jemu. Jak więc wyjść z tej beznadziejnej sytuacji?! Zgodzić się i spróbować przeżyć ten koszmarny dzień jako sympatyczny ochroniarz? Czy nie zgodzić się, a potem denerwować się bez przerwy, czy dziewczyna komuś czasem wszystkiego nie rozpowie? Wziął głęboki wdech oraz przymknął oczy. *To tylko jeden dzień. Tylko jeden. Jakoś dasz radę. Potem zapomnisz, że coś takiego się wydarzyło. I już nigdy nie będziesz dla nikogo, ale to dla nikogo miły. Musisz przetrwać ten dzień. Tylko do wieczora.*

– Dobra – zgodził się niechętnie, z rezygnacją opuszczając ramiona. – Ale tylko dla ciebie! Nie mam sojuszu z Esterą, jej to nie dotyczy i nie chce jej w to włączać. Koniec, kropka.

– Świetnie! – Sonia uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Cudnie! Właśnie o to jej chodziło. Tak naprawdę, to nie za bardzo wierzyła, że się zgodzi. Widocznie zależało mu na tym sojuszu jeszcze mocniej, niż myślała. A Estera jakoś to przeżyje. W końcu i tak na pewno nie ma zamiaru z nim rozmawiać.

– Czyli mamy umowę – odetchnął Oliver i wysunął dłoń.
– Tak – potwierdziła, uściśnęła ją, po czym odwróciła się z powrotem w stronę reszty dziewczyn, wwiercających w nią zazdrosne spojrzenia.

Na odchodnym zerknęła jeszcze na średnio zadowolonego kolegę oraz rzuciła, mrugając porozumiewawczo:

– Świetnie, współniku! Tylko nie zapomnij, teraz jesteś dla mnie miły!

Następnie na jej twarzy wykwitł zamyślony uśmiech, ale dopiero wtedy, gdy Oliver nie mógł go już zobaczyć.

Tymczasem on posłał jej nachmurzone spojrzenie, nie ruszając się z miejsca. *Przynajmniej nic nie powie.* Z ponurą miną zastanowił się, czy jej milczenie było aż tak ważne, że zgodził się na wszystkie warunki. Ale doszedł do wniosku, że tak. Było bardzo ważne. Jakoś przetrwa ten dzień. A potem w końcu stąd odejdzie. I na zawsze o tym zapomni.

* * *

Kair. Zatłoczony bazar. Mrowie ludzi z każdej strony. Fala najróżniejszych, intensywnych zapachów. Niewyobrażalny hałas i chaos. A na dodatek pan Mandara bez przerwy patrzący na nią dziwnie. Uważnie oraz podejrzliwie.

Sonia wzruszyła ramionami, pozbywając się męczących wspomnień minionych godzin. Wzięła głęboki oddech, delektując się ciszą swojego pokoju. Tak, wreszcie cicho! Przymknęła powieki, wylegując się na sofie. Tak cicho...

Nagle otworzyła oczy, czując, jak po plecach przebiega jej dreszcz. Jeszcze nigdy nie spotkała się na tym obozie z tak głęboką ciszą. Tak pełną, że aż upiorną.

Wszyscy są na boisku – rozumiała z niepokojem. Wszyscy. Zostałam tu sama! A grupa Horusa nie miała dziś żadnej wycieczki.

Sonia wzdrygnęła się z przerażeniem. Rale może być wszędzie! A ona, zamiast odpoczywać w pokoju, powinna trzymać się swojej hałaśliwej, rozwrzeszczanej grupy. Nawet jeśli to ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę.

Natychmiast zerwała się z sofy i dopadła drzwi. Wsłuchiwała się w panującą na korytarzu ciszę. Jej serce łomotało jak szalone. Gdy upewniła się, że na pewno jest pusto, jak najszybciej wybiegła z pokoju i pognąła w dół po schodach. Jej kroki odbijały się echem po pustych korytarzach.

Jedno piętro... Dwa... Parter!

Wypadła na oświetloną blaskiem czujnego słońca ścieżkę. Udało się! Zmusiła się do zwolnienia kroku. Nie chciałaby, żeby ktoś zobaczył, jak biegnie spanikowana. Bo jak to wytłumaczy? Najważniejsze, że udało jej się wyjść

z budynku. Zaraz ujrzy boisko. Jeszcze tylko piętnaście metrów... Udało jej się uniknąć Rale'a!

I wtedy, gdzieś z tyłu...

– Hej, ty, zatrzymaj się!

Sonia zdrętwiała. I bynajmniej nie zrobiła tego, czego chciał. Wręcz przeciwnie. Przyspieszyła, czując, że robi jej się słabo.

– Głucha jesteś?! Powiedziałem, stój!

Po plecach przemknął jej lodowaty dreszcz. Przestraszone serce przyspieszyło. Ten głos pojawiał się w koszmarach z minionej nocy. Z trudem przełknęła ślinę.

Nagle ktoś chwycił ją za ramię i przytrzymał w miejscu. Spróbowała się wyszarpnąć, ale nie dała rady. Sekundę później patrzyła w płonące złością złote oczy.

– Cześć, Sonia – wycedził Rale, wbijając palce w jej ramię.

Nie odpowiedziała. I to nie tylko dlatego, że nie chciała. Coś za bardzo ścisnęło ją za gardło. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Spojrzała niepewnie na zaciętą minę Rale'a. Oj, źle. Bardzo źle. Ale gdzie jest Oliver?! Miał jej pomagać!

Ale jego tu nie było. Była sama. *Jak mogłaś prosić go o pomoc?* – pomyślała, czując w głowie przerażającą pustkę. *Przecież on myśli tylko o sobie.* Zaschło jej w gardle. Pobladła jak duch.

I wtedy do głowy wpadła jej pewna pełna goryczy myśl: *Nie miał zamiaru ci pomóc, Sonia. Chciał tylko pewności, że nikomu nic nie powiesz. Nic dla niego nie znaczyś. Jemu naprawdę zależy tylko na sobie!*

* * *

Oliver uśmiechnął się z zadowoleniem do swojego odbicia w szybie budynku głównego. Za plecami widział resztę grupy szalejącej na boisku. Że też im się chce w taki upał! W takim słońcu! Nie mógł tego zrozumieć.

Był dziś w wyjątkowo dobrym humorze. Pomimo porannych zdarzeń, kiedy to obiecał być sympatycznym ochroniarzem. Ale gdy Sonia obiecała, że nikomu nic nie powie, był bezpieczny. Miał sojusza. Świetna robota! *I tak nie miałem zamiaru dotrzymywać tego słowa. No bo po co? Przecież to tylko jakaś Sonia. Co z tego, że została wybrana? Nic mnie to nie obchodzi. Rzecz jasna, do czasu, aż może mi zagrozić. Lub gdy stanie się ważna. Ale, kto wie, może to się nigdy nie zdarzy?*

Zerknął za ramię, w stronę ganiających za piłką tłumów z trzech grup. Po

chwili zmarszczył brwi. A gdzie ona jest? Zmrużył oczy i uważniej spenetrował całe boisko. Nigdzie nie mógł jej wypatrzeć. Poczł ukłucie niepokoju. Zagryzł wargę. *Dlaczego się tak nagle nią przejmuję?* – pomyślał ze zdumieniem. To przecież tylko jakaś Sonia. Co z tego, że czasem przypomina mu siostrę? To tylko przypadek. *Pewnie siedzi w pokoju i ogląda zakupy. Jak to dziewczyna.*

Przypomniał sobie, co mówiła rano. Ponownie przeczesał wzrokiem kłębiący się na boisku tłum. *Gdzie jest Rale?* – zaniepokoił się. *Boję się Rale'a.* Tak powiedziała. Może nie bez powodu prosiła go o ochronę. Może właśnie teraz jej potrzebuje? *Ale ja nie chcę być niczym ochroniarzem. A zwłaszcza miłym.* Jakiś głos w jego umyśle nieśmiało zwracał uwagę, że przecież obiecał. *I tak nie miałem zamiaru dotrzymać słowa* – przypomniał sobie, ale z mniejszą pewnością niż wcześniej. Może powinien chociaż podejść pod budynek główny? Albo pod jej balkon. Tak, żeby się upewnić, że wszystko dobrze. Pierwszy raz tego dnia zainteresować się, co robi jego sojuszniczka.

Oliver spojrzł na swoje odbicie. Patrzyło na niego wielkimi, niepewnymi oczami, w których ujrzał także cień poczucia winy. Nigdy nie oszukałby siostry. A Sonia była czasem do niej taka podoba... Prawie jednakowo się uśmiechały. Gdyby to była Élodie... *Ale nie jest. I nigdy nie będzie.*

Nagle przed oczami pojawił się obraz siostry, patrzącej na niego z niedowierzaniem. I urazą. *Obiecałeś* – mówiły jej oczy. *Obiecałeś. Ale ciebie nie ma. A ja się boję. Gdzie jesteś?*

Otrząsnął się z niepokojącej wizji. Spojrzł w twarz swojego niespokojnego odbicia.

– Tak, obiecałem – warknął niechętnie, spuszczać wzrok. – Chyba czas spróbować dotrzymać tej nieszczęsnej obietnicy. Ale zainteresuję się tylko raz!

Westchnął i skierował swe kroki w stronę rogu budynku. Wyborny nastrój zamienił się w umiarkowane zadowolenie. Albo wręcz niezadowolenie.

Wyszedł zza rogu akurat w momencie, by zobaczyć, jak płonący gniewem Rale zaciska dłoń na ramieniu straszliwie pobladłej Soni. Zatrzymał się zaskoczony, jednocześnie ciesząc się w duszy, że zasłaniają go krzaki. Przez chwilę wahał się, czy iść do przodu, czy może jednak zawrócić i udać, że wcale nie widział przerażonej koleżanki oraz wściekłego kolegi... A może raczej wroga? Wciąż nie wiedział.

Obiecałem – przypomniał sobie w myślach. *Przecież po to tu przyszedłem.*

Zdecydowanym krokiem wyszedł zza krzaków i cicho jak duch zaczął iść w stronę syczącego coś ze złością Rale'a.

Nie zauważyli go. Ani ona, ani on.

– Pożałujesz tego – warknął Rale akurat wtedy, gdy chłopak był już bardzo blisko.

Oliver zmarszczył brwi. To nie brzmiało dobrze.

– Jakiś problem? – zapytał głośno, przystając obok nich.

Rale natychmiast zwrócił w jego stronę wykrzywioną grymasem złości twarz. Sonia wzdrygnęła się, spojrzała na niego ze zdumieniem, które potem ustąpiło miejsca niedowierzaniu, wreszcie uldze.

– To nie twoja sprawa, Oliver – wyrzucił z siebie niechętnie Rale, ale miłszym tonem niż do Soni. – Odejdź.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić. – Wzruszył ramionami, czując, jak ogrania go złość. – I to ja zdecyduję, czy to moja sprawa, czy nie.

– Nie tym razem. Odejdź, dobrze ci radzę.

– Nie interesują mnie niczyje rady. To ty odejdź, Rale. Zostaw ją.

– A co ona tak nagle cię ciekawi? – zdumiał się blondyn.

– Nie twój interes. A jeśli ci coś nie pasuje w związku z natychmiastowym opuszczeniem tego miejsca... – Groźnie zawiesił głos.

– To co? – Rale zaczepnie zmrużył lśniącego gniewem oczy.

– Z łatwością możesz się przekonać, że to nic miłego. – Oliver wbił w niego swoje płonące złością spojrzenie, a złotowłosego chłopak zmarszczył brwi.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

Nagle złote oczy Rale'a rozszerzyły się z zaskoczenia.

– Oliver... – wyszeptał, jeszcze bardziej mrużąc powieki. – To byłeś ty...! Prawda?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł chłodno, jednocześnie zastanawiając się z niepokojem, o czym on tym razem mówi. Czeką go kolejny komplet dziwnych aluzji?

Rale puścił ramię Soni i zbliżył się do Olivera. Nachylił się do niego, ignorując grymas zniechęcenia na twarzy odchylającego się kolegi, po czym powiedział z napięciem, ledwie słyszalnym głosem:

– To ty byłeś wczoraj w Archiwum... prawda?

– Gdzie? – zdziwił się Oliver, czując, jak ogarnia go niepokój.

– W tych małych budynkach – mruknął Rale, zerkając na niego badawczo lśnjącymi oczami. – Ty jej pomogłeś. I to przez ciebie miałem problemy z Mandarą. To nie jest wina tej Soni, prawda? Tylko twoja!

– Moja wina?! – Poczzerwieniał na twarzy. – Po pierwsze, nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi. Po drugie, nie mieszaj się w moje sprawy, to nic ci się nie stanie!

– Amulet to nie tylko twoja sprawa – syknął blondyn, mrużąc ostrzegawczo oczy.

– Możliwe, ale twoja też nie.

Oczy Rale'a zabłyśły złotym światłem, przybrał niechętny wyraz twarzy. Zerknął krzywo na przysłuchującą się ze zdumieniem Sonię, po czym mruknął ze złością:

– Nie czas teraz na tę rozmowę, ale możesz być pewien, że do niej wrócimy, przyjacielu.

– Nie jestem twoim przyjacielem – zareagował natychmiast Oliver.

– To się jeszcze okaże – powiedział chłodno złotowłosego chłopak i odwrócił się na pięcie.

Zerknął jeszcze na Polkę, po czym odszedł dumnym krokiem, rzucając za ramię:

– Chyba miałaś rację co do jednego. Możliwe, że rzeczywiście mu zależy.

Oliver i Sonia patrzyli w milczeniu, jak Rale znika w budynku mieszkalnym. Dopiero gdy zasłoniły go schody, pobladła dziewczyna odważyła się spojrzeć na ponurego kolegę.

– Myślałam, że nie przyjdiesz – odezwała się cicho, głosem wyższym niż normalnie.

– Czemu? Przecież mamy umowę. – Wzruszył obojętnie ramionami.

Nie dodał, że początkowo wcale nie miał zamiaru się z niej wywiązywać. Ale ona i tak wyczytała to z wyrazu jego oczu.



Rozdział osiemnasty

BOGOWIE

Oliver przysiadł na krawędzi fotela, zajętego przez ubrania bliźniaków. Bracia leżeli na dywanie, ustawiali na nim wieżę z butów i zupełnie nie zwracali na niego uwagi.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze pół godziny do kolacji. Ze znudzeniem powiódł spojrzeniem po zabałaganionym pokoju. Nagle jego zadumaną twarz zalało nagle światło. Poblądł gwałtownie i podskoczył na krawędzi fotela. Zachwiał się, po czym zleciał na podłogę, prosto na jedną z różowych, pożyczonych wieki temu walizek.

– Wszystko dobrze, brachu? – zawołali bracia, nawet nie podnosząc głów zza stosu obuwia. Na szczęście.

– Tak! Nic mi się nie stało – wyjąkał szybko Oliver, nie zwracając uwagi na obolałe plecy.

Nie odwracał zszokowanego wzroku od liter utkanych ze światła, falujących w błyskającym od słońca powietrzu. Szumiało mu w głowie, puls przyspieszył. Poblądł, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. *To... to jest wiadomość!*

Zawsze dostawał takie wiadomości od niego. Od swojego przyjaciela, który wszystkiego go nauczył. Ale przecież to niemożliwe. To nie może być od niego! *Chyba że to podstęp.*

Nie, na pewno nie. Nie wiedzą, że tu jest. Chyba. Oliver zastygł z zaskoczenia, czytając jaśniejące zdania.

„Dziś wieczorem, o dziesiątej, w sali konferencyjnej. Musisz przyjść, jeśli chcesz zdobyć Amulet Ozyrysa. To prawdopodobnie jedyna szansa. Nie spóźnij się, a wiele się dowiesz. Trzymaj się cienia. Zostań w ukryciu. Twój przyjaciel”.

Po chwili litery zafalowały i rozpląnęły się, aż nie zostało z nich nic. Chłopak z trudem przełknął ślinę. *Twój przyjaciel*. Czyli kto...? Czy można mu zaufać?

* * *

Ogłuszająca muzyka otaczała ich ze wszystkich stron. Kolorowe światełka przemykały po ścianach i stłoczonej przy nich młodzieży.

Oliver z ponurą miną zerknął na świstek papieru oznaczony jego imieniem. Liczba obowiązkowych tańców: pięć. To dlatego, że nie wygrali gry terenowej. Razem z grupą Rale'a zajęli drugie miejsce. Wygrały osoby z grupy Izydy.

Na szczęście opiekunowie odwołali walc oraz tańce towarzyskie, mówiąc, że to był tylko żart, żeby wszystkich bardziej zmotywować. *I tak nie mam zamiaru tańczyć* – prychnął w myślach Oliver. Tym bardziej że nie za bardzo mu wypadało. Ale tego już nie dodał. Nawet w myślach.

Obecność na dyskotecie była, niestety, obowiązkowa. Jak tylko przyszedł, podpisał się na liście oraz dostał kartkę z liczbą tańców oraz talerzyk z czekoladową babeczką. Zerknął na nią krzywo. Jego siostra bardzo lubiła czekoladę. I dlatego nie czuł się na siłach, by zjeść poczęstunek. Za bardzo mu o niej przypominał.

Rozejrzał się dookoła uważnie. Zaraz znajdzie kogoś, komu mógłby dać babeczkę. *Gdzie ci bracia? Gdy ich potrzebuję, to oczywiście ich nie ma!* – zirytował się w myślach. Nagle uśmiechnął się z zadowoleniem. Chwilę później zjawił się przy Soni, wesoło rozmawiającej z Esterą.

– Cześć – powiedział głośno, by go usłyszały mimo dudniącej muzyki.

Blondynka uśmiechnęła się miło, trzymając już w ręce dwie babeczki, a szatynka tylko skrzywiła się niechętnie, ale nie zwrócił na nią uwagi. To nie do niej przyszedł.

– Chcesz moje ciastko? – zapytał, potrząsając kolorowym talerzykiem.

– Co? – zdumiała się Sonia, przekrzykując wyjącego artystę. – Czy smakuje mi ciasto? Jakie ciasto?

– Nie! Pytam, czy chcesz to?!

– Aaa! Dobrze, co nie?

– Nie! – Oliver z rosnącą złością zauważył, że sam ledwo siebie słyszał przez okropne dudnienie.

– Nie?! Nie smakuje ci?

– Nie!!! Nie o to mi chodzi! – Chłopak poczerwieniał z irytacji.

Głupia, ogłuszająca muzyka!

– Idziesz się ochłodzić? – Sonia spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie! – zezłościł się, po czym wskazał na swoje ciastko, a potem na nią, krzyżując: – To dla ciebie!

– O! Dzięki – ucieszyła się dziewczyna, po czym zerknęła na niego podejrzliwie. – Spadło ci na podłogę?

– Nie. Nie lubię czekolady.

– Co? Robisz się za stary?!

– Nie!!! Nie jadam czekolady! – wydarł się Oliver, próbując przekrzywić ryczących wykonawców.

– Czemu? – zdziwiła się Sonia.

– Bo nie.

– Konie? Co?! Gdzie? – wrzasnęła blondynka, ale jej głos zgubił się wśród łomotu.

– Nigdzie!

– W miodzie?!

– Nie! Nieważne. – Chłopak zazgrzytał zębami, po czym wepchnął jej talerz w ręce i sekundę później zniknął w tłumie.

Miał zamiar znaleźć sobie jakiś wolny kąt, w którym mógłby przeczekać do dziesiątej, z dala od wszystkich przygłuchych koleżanek. Kolegów w zasadzie też. Chwilę później zapadł się w miękkim pufie, z rozdrażnieniem zdając sobie sprawę, że jeśli dłuższą chwilę posiedzi na tej dyskotecie, to z pewnością straci słuch. *Byle do dziesiątej. Jeszcze tylko trochę ponad godzinę. Muszę wytrzymać* – westchnął w myślach, po czym z ponurą miną zaczął przyglądać się podłodze.

* * *

Estera zerknęła na zegarek. Do dziesiątej brakowało kilku minut. Już od jakiegoś czasu obserwowała ze zdumieniem, jak kolejne osoby opuszczają dyskotekę. Nie wyglądali na zmęczonych ani na chorych. Wyczuwała, że coś jest nie tak. Przeczesała otoczenie uważnym spojrzeniem, podskakując do dudniącego rytmu tuż obok odrobinę poblądłej Soni.

Nagle zmarszczyła brwi. *Gdzie jest Oliver?* Nie widziała, żeby wychodził drzwiami. A miała na nie oko cały wieczór.

Odprowadziła wzrokiem kolejną dziewczynę, którą opiekunowie wypuścili na korytarz. Dziwne. Normalnie nikt nie mógł nigdzie wychodzić. Dopiero o jedenastej, gdy skończy się dyskoteka.

Może odpowiedź znajdę właśnie tam, gdzie oni wszyscy idą? Bo była pewna, że gdzieś idą. Ale chyba zauważyła to jako jedyna. Zerknęła na dziwnie bladą przyjaciółkę. W jej głowie pojawił się plan.

– Dobrze się czujesz? – zapytała troskliwie.

– Trochę boli mnie głowa. A właściwie bardzo – przyznała Sonia niemrawym głosem.

– To świetnie. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Świetnie? – powtórzyła słabo jej koleżanka, marszcząc brwi.

– Nie wiem, jak ty, ale ja chętnie wyjdę już z tej dyskoteki – powiedziała Estera. – Dasz radę poudawać, że twój stan jest bardzo poważny?

* * *

Oliver obserwował z góry, jak w sali konferencyjnej gromadziło się coraz więcej nastolatków. Siadali na krzesłach i najwyraźniej na kogoś czekali. Pewnie na Juana Mandarę.

Przyczaił się na szczycie schodów, prowadzących do gabinetu kierownika. Tym razem zadbał o to, by iluzja upodobniła go do pogrążonych w półmroku kawowych ścian. Był niewidoczny. I o to chodziło.

Zmarszczył brwi. Jeśli wierzyć wiadomości, miała to być jedyna okazja na zdobycie Amuletu. Ale czy to prawda? A może pułapka? Kolejny fałszywy Amulet? A może w ogóle go nie będzie?

Jednego był pewien. Ktoś uwierzył, że tu przyjdzie. Może jego przyjaciel, może nie. Ale to spotkanie jest prawdopodobnie ważne. Może paplanina kierownika dziś mu coś wyjaśni?

Nawet jeśli to pułapka, w każdej chwili może stąd zniknąć. Nie musi czuć się zagrożony. Noc to jego czas. Szczególnie na pustyni. On jest panem sytuacji. Tylko on.

Zgromadzonych ciągle przybywało. Zastanowił się, czy w ogóle ktoś został na tej nieszczęsnej, dudniącej dyskotece. W sumie możliwe, że nie. No, może kilka osób.

W końcu drzwi do sali otworzyły się po raz kolejny, lecz tym razem wszyscy zebrani, zamiast wybuchnąć nową falą komentarzy, zamilkli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Chłopak wyprostował się na swoim podeście, czując ogarniające go napięcie.

Do środka wszedł pan Mandara, ponownie ubrany w dziwny strój oraz świecące nakrycie głowy. Dumnym krokiem podszedł do oświetlonej jasno sceny.

Tuż za nim kroczyło straszycło w prześcieradle, z wykrzywioną maską na miejscu twarzy. Oliver ponownie prawie parsknął śmiechem na jego widok. Lecz jednocześnie zastanowiło go, kto kryje się pod karnawałową, komiczną postacią? Nie miał pojęcia, ani nawet pomysłów.

Uważnie obserwował, jak kierownik wdrapał się na podium, prawie przydeptując sobie krawędź krwistoczerwonej peleryny. Straszycło zasiadło na krześle ustawionym dziwnie z dala od innych. A potem pan Mandara przemówił, rozkładając szeroko ręce. Oliver zdrętwiał i wytrzeszczył oczy, słysząc jego słowa. *Niemożliwe!*

* * *

– Moja koleżanka bardzo źle się czuje! – zmartwiła się Estera. – Możemy wyjść? Chciałabym ją odprowadzić do pokoju, bo boję się, że sama nie dojdzie.

– Co?! – krzyknął opiekun, próbując być głośniejszym od otaczającej ich muzyki, co było bardzo trudne. – Możesz powtórzyć?

Dziewczyna westchnęła z rezygnacją. To był już trzeci opiekun, z którym próbowały się dogadać! Jak na razie bez skutku.

Uśmiechnęła się miło i po raz kolejny wyrecytowała historyjkę o umierającej Soni, która zdążyła już utrwalić się w jej pamięci. Może tym razem się uda! Oby.

* * *

– A zatem uważam nasze dzisiejsze spotkanie za rozpoczęte! – wykrzyknął następnie pan Mandara. – Najpierw jednak chciałbym wam opowiedzieć o najważniejszej oraz najpotężniejszej rzeczy, jaka kiedykolwiek istniała. O wierze. To ona napędza świat. Dodaje nam sił. Porusza miliony. Działa cuda. Zmienia świat. Tak, wiara. To jest dla nas najistotniejsza rzecz.

Oliver zmrużył pełne blasku oczy. Słyszał już podobne słowa. Niemal identyczne. Ale z ust kogoś zupełnie innego. Zaciśnął drżące dłonie, starając się choć trochę uspokoić. Miał wrażenie, że zaraz wybuchnie z powodu nagromadzonego w nim napięcia. Wiedział, że postąpił właściwie, przychodząc tu. Zapowiadało się niezwykle intrygująco. Może wreszcie wszystko zrozumie.

Z namysłem przemknął wzrokiem po zebranych poniżej nastolatkach.

A zatem oni wszyscy... Niewiarygodne. Wszyscy w jednym miejscu. Przypadek? Z pewnością nie. Nie istnieje coś takiego. Był o tym coraz bardziej przekonany. Skierował roziskrzony wzrok na kierownika, który podjął swoją mowę:

– Wiecie, kim jesteście. Wiecie, kim my jesteśmy. Mówiłem o tym wiele razy, ale pozwolę sobie powtórzyć jeszcze raz. Czemu? Bo potrzebujecie wiary. Musicie uwierzyć, kim jesteście. Co potraficie. Co możecie osiągnąć. Musicie zrozumieć, że to prawda.

Oliver wstrzymał oddech, czując, jak łomocze mu serce. Wiedział, że mężczyzna znów to powie. Te same słowa, które padły dziś z jego ust jako pierwsze.

– Musicie uwierzyć, że jesteście bogami! – oznajmił pan Mandara z mocą. – Egipskimi bóstwami, które wróciły do swojego królestwa po wiekach uśpienia. Odrodziliśmy się, by przywrócić światu ład. By zmienić go na lepsze. By nim rządzić. Dzięki nam wszystko będzie piękne. Znowu. Uwierzcie w tę prawdę, a świat będzie wasz! Ponoć wiara przenosi góry. Ale wiara zwykłych ludzi. Nasza wiara potrafi je stworzyć.

* * *

– Dasz radę sama dojść do pokoju? – zapytała cicho Estera, idąc z koleżanką pustym korytarzem, po tym, gdy wreszcie udało im się dogadać z opiekunami i przekonać ich, że Sonia wcale nie udaje kiepskiego samopoczucia.

Niestety, zajęło im to mnóstwo czasu. Szatynka obawiała się, że albo nikogo już nie znajdzie, bo odeszli gdzieś daleko, albo spotkanie już się skończyło. Miała jednak nadzieję, że nie.

– Chyba tak – wyjęczała blada jak kartka papieru blondynka. – A ty? Nie idziesz ze mną?

– Nie. Najpierw muszę coś sprawdzić.

– A długo ci to zajmie?

– Nie, nie powinno – odparła Estera pewnym głosem, uważnie rozglądając się dookoła.

Gdzie oni mogą być? Taki tłum nie zmieści się byle gdzie. Zaraz... a może... *Bingo! To może być to. Sala konferencyjna! Warto sprawdzić.*

* * *

– Dzisiejsze zebranie nie będzie takie jak inne – oznajmił Juan Mandara. – Zbliża się koniec zorganizowanego przeze mnie obozu. Obozu, który miał was wszystkich zebrać. Miał pomóc mi was odnaleźć i wskazać nową, otwierającą się przed wami drogę.

Oliver zbladł. Czyli miał rację! Przecucie go nie myliło. To była pułapka. Zastawiona nie tylko na niego. Na wszystkich.

– Od teraz nic nie będzie już takie, jak dawniej – mówił tymczasem pan Mandara. – Odkryliście w was samych dawną moc. Teraz musicie przypomnieć sobie, jak jej używać. Wciąż jesteście słabi, nie macie pojęcia nawet o procencie tego, co potrafiliście przed Upadkiem.

Chłopak przymknął oczy. Upadek. Tak. Upadek Egiptu faraonów. I równocześnie upadek jego bogów.

– Pewnie zastanawiacie się, jakim sposobem udało mi się zebrać was wszystkich w jednym miejscu. Przecież do niedawna nawet nie wiedzieliście, kim jesteście. Skąd ja wiedziałem?

Oliver otworzył gwałtownie oczy i nadstawił uszu. To było bardzo dobre pytanie.

– Cóż, to wcale nie było takie trudne. Każdy z bogów ma zbiór swoich charakterystycznych cech. I charakteru, i wyglądu. Wystarczyło wyszukać osoby, które pasowały do cech danego boga, potem wyeliminować tych, którzy nie byli w odpowiednim wieku, wykonać jeszcze kilka testów... I lista potencjalnych bóstw gotowa. Potem tylko wysłać list z propozycją uczestnictwa... Oraz upewnić się, że każdy z was przyjedzie. Oczywiście, nie wszyscy okazali się tymi, za kogo ich brałem. Niektórzy są, niestety, tylko podobni. Ale w większości przypadków się nie myliłem. I dzięki mnie prawie wszyscy jesteśmy tu razem.

Oliver zmarszczył brwi. Jego przyjaciel stosował dokładnie taką samą metodę. Przypomniał sobie, jak podczas jednego z ich ostatnich spotkań pochwalił się, że jest już bardzo blisko. *Wkrótce zbiorę wszystkich, zobaczysz – cieszył się. Mam już pierwszą listę. Setki osób. Z każdego kontynentu. Część z nich to pewnie pomyłka, jeszcze inni mogą być Podobnymi. Kto wie, może są już jacyś Wybrani!*

Juan Mandara działał dokładnie tak samo. Przypadek? *Pewnie, że nie. Nie istnieje coś takiego. Więc jakim cudem...? Nie mam pojęcia. Ale to wszystko jest mocno podejrzan.*

– Panie! – zawołał ktoś.

Oliver zrobił zdumioną minę. *Panie?!*

– Udzielam ci głosu, mów – odezwał się łaskawie pan Mandara.

Chłopak zamrugnął ze zdziwieniem. *Panie?! Dlaczego tak do niego mówią?!* Zmrużył podejrzliwie oczy i zerknął na wystrojonego w świecące coś kierownika.

Wiecie, kim my jesteśmy. Tak powiedział. Więc on też...? Nie. Niemożliwe. Nie pasuje do nikogo. A może jednak? Kim on może być? Nie wygląda na boga. Zdecydowanie nie.

– Panie, powiedziałaś, że prawie wszyscy jesteśmy tu razem. Kogoś więc brakuje, czyż nie?

Oliver poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz. Pewnie, że im kogoś brakuje.

– Cóż, wciąż nie ma z nami Izydy oraz nieznannej mi dokładnie liczby mniejszych bóstw, których imiona zagubiły się przez wieki – westchnął kierownik.

– Nie wiem nawet, ile ich jeszcze jest. I oprócz tego brakuje Ozyrysa. Ale on chwilowo przebywa w innym świecie. Lecz nie na długo. Będziemy musieli go stamtąd sprowadzić. Już wkrótce przywrócimy go do życia...

– To już wszyscy? – zapytał ktoś z zaskoczeniem. – Tylko tyłu?

Przez chwilę zapadła cisza. Kierownik zmrużył oczy, a Oliver wstrzymał oddech.

– Nie, skąd. Brak nam także Seta – powiedział w końcu.

– Władcy Piasków, tak? – dorzucił ktoś, a skryty na podeście chłopak zdrętwiał.

– Tak – potwierdził pan Mandara. – Ale poszukiwania trwają. Mam nadzieję, że wkrótce się zakończą. Sukcesem, rzecz jasna. Muszę wam powiedzieć, że to niezwykle ważne, by go znaleźć.

– Dlaczego?

– On jest wcieleniem zła – mruknął mężczyzna. – Nie chcielibyście mieć go po przeciwnej stronie. Przyda się jako sojusznik. Dlatego poszukiwań nie prowadzę wyłącznie tutaj. Moi, hm, nazwijmy ich „agenci”, szukają po całym świecie. Ale zupełnie możliwe, że jest tu z nami. Stąd akcja „Władca Piasków”, czyż nie? Prosiłem o przemyślenie sprawy. A teraz, proszę, przedstawcie imiona kandydatów.

Zebrani zaczęli się zgłaszać i wypowiadać imiona różnych obozowiczów. Oliver słuchał ich z rosnącym zadowoleniem. A zatem dali się nabrać! Wszyscy wymienieni byli fałszywymi tropami. On o to zadbał.

Wtedy ktoś wykrzyknął:

– Oliver Green!

Na sali zapadła cisza. Kierownik zmrużył oczy.

– Szczerze mówiąc, ja też tak myślałem... – powiedział powoli, a wzmiankowany chłopak poczuł, że robi mu się słabo.

Czyli jednak uznali, że jest Władcą Piasków! Niedobrze.

– Nie, to na pewno nie on – rozległ się czyjś przekonany głos.

Oliver zerknął w stronę jego właściciela. Zmarszczył ze zdumieniem brwi na widok złotych włosów i pełnych słońca oczu.

– Rale?! – wyszeptał z niedowierzaniem. *Ale... przecież to ostatnia osoba, po której bym się tego spodziewał! Tym bardziej że jest chyba przekonany, że jestem Władcą Piasków. O co tu więc chodzi?!*

– Czemu tak uważasz? – zapytał kierownik podejrzliwie.

– Jestem pewien, że Oliver nie jest tym, kogo szukamy. – W głosie Rale’a brzmiała całkowita pewność. – Też tak na początku myślałem, ale teraz wiem, że to złudne wrażenie. To prawda, że coś tam umie, ale niedużo, szczerze mówiąc.

Oliver słuchał z osłupieniem. *Niedużo?! Ja ci dam, niedużo!*

– Rozmawiałem z nim i wiele mi o sobie powiedział – kontynuował tymczasem Rale. – To zupełnie nie pasuje do Władcy Piasków.

– Na przykład? Co takiego mówił? – zadał pytania kierownik.

– Hm, bardzo dużo, nie pamiętam wszystkiego dokładnie... Mówił na przykład, że uwielbia się opalać w swoim ogrodzie. To trochę niepodobne do Władcy Piasków, co nie? On raczej unika słońca. No, chyba że na pustyni.

Opalać? Ja?! A po co miałbym się opalać? To dobre dla dziewczyn – pomyślał oburzony Oliver.

– Albo że lubi jeść wszystko na surowo. – Rale zmarszczył brwi z zastanowieniem. – Uwielbia buraki. Pracuje w cyrku jako asystent. Wieczorami skacze po fotelach, to jego ulubione zajęcie na czas wolny. Straszliwie chrapie. Świetnie rzuca łyżką do celu. Umie grać na wiolonczeli. Nie umie za to pływać, bo bardzo boi się wody. No i przede wszystkim – ciemność go przeraża. Mówił mi, że w domu śpi z zaświeconym światłem, ale tutaj tego nie robi, bo za bardzo mu wstyd.

Co?! To jakieś brednie – zazgrzytał zębami w myślach Oliver. *Na dodatek te, które naopowiadali mu John i Steve! No, pięknie. Mam teraz wspaniałą opinię! Dzięki, Rale. Ale przynajmniej może wybije im to z głowy pomysł z Władcą Piasków... Oby.*

– Hm – odchrząknął niepewnie kierownik. – To rzeczywiście nie za bardzo pasuje do boga ciemności i chaosu...

Tak!

– ... ale sam widziałem, jak zachowywał się podczas gry terenowej. W końcu właśnie po to ją zorganizowałem. To był sprawdzian. O jego posunięciach podczas finału też mi szczegółowo opowiedzieliście. One mówią same za siebie. To nie jest zwykła osoba.

Nie!

Oliver pobladł straszliwie. Ta gra... To wszystko było ukartowane. Żeby sprawdzić, kim jest! Pięknie. To już koniec...

– No, tak, ale... – zaczął Rale. – To na pewno nie jest Władca Piasków.

– Przecież widziałeś, co potrafi – wykrzyknęła dziewczyna z grzywą rudych

włosów nad czołem. Ta sama, która przywołała lwy podczas finału. – To musi być Set! Władca Piasków!

– Nie. – Blondyn pokręcił głową. – Owszem, widziałem, co umie. Ale to nie jest nic specjalnego...

Sam jesteś „nic specjalnego” – obraził się w duszy Oliver.

– Myślę – kontynuował tymczasem złotowłosy chłopak – że to może być najwyżej tylko jakiś pomniejszy bożek pustynny... albo coś w tym rodzaju. Ale na pewno nie ten bóg. Jest na to za słaby.

Sam jesteś za słaby – pomyślał ze złością Oliver. On, słaby! Bardzo śmieszne. Nie był słaby... Na pewno nie.

– Hm, możesz mieć rację. – Pan Mandara nie wyglądał na całkowicie przekonanego, gdy to mówił. – Bardzo dziękuję za imiona, zobaczę, czy pomogą... A teraz, myślę, że nadszedł czas na powitanie naszego nowego kolegi! Nie wiem jeszcze, kim dokładnie jest, ale wymieniliście go na ostatnich spotkaniach jako głównego kandydata na Władcę Piasków. Sprawdziłem to i, cóż, rzeczywiście wskazuje na to wiele poszlak. A zatem... zapraszamy!

Kierownik pokazał ręką na drzwi. Oliver również zerknął w tamtą stronę. Zmarszczył brwi na widok stojącego przy nich tyczkowatego asystenta kierownika, pana Omara.

A co on tu robi? – zdumiał się w myślach. *Nie jest człowiekiem, ale nie powinien im służyć. Demony mają tylko jednego pana.*

Drzwi otworzyły się na oścież, a do sali niepewnie wszedł samotny jasnowłosy chłopak.

Oliver wciągnął ze świstem powietrze.

– Powitajcie Olivera! – wykrzyknął Juan Mandara.

– Briana – poprawił go natychmiast nowo przybyły, rozglądając się dookoła uważnie. – Wolę, jak mówi mi się Brian.

* * *

Estera skuliła się za potężną donicą z krzaczastą palmą, gdy tylko uchyliły się drzwi sali konferencyjnej i wypuściły jasną smugę światła na pogrążony w półmroku korytarz. Czując, jak dudni jej roztrzepotane serce, obserwowała, jak Brian wchodzi do środka. Była dziwnie słaba, drżała z emocji i niedowierzania. W głowie miała tylko pustkę. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Cały czas szumiały jej w uszach słowa kierownika.

– Bogowie. To są bogowie! – wyszeptała z niedowierzaniem.

Drzwi ponownie się zatrzasnęły, a ona bezszelestnie podkrađła się pod nie, choć zza donicy i tak całość słyszała. Jednak nie mogła w to uwierzyć. Niepewnie zerknęła przez całkiem sporą dziurkę od klucza. Musiała ich zobaczyć. Ogarnęła wzrokiem całą salę, a właściwie ten skrawek, który było widać. *Bogowie...! Oni wszyscy to... bogowie! Kto by pomyślał?! Ale... to wszystko wyjaśnia. Grę terenową. Wszystko.*

Jej oczy załśniły, uważniej przyjrzała się czuprynom znajdujących się w niewielkim zasięgu jej wzroku osób. Serce zatrzepotało jeszcze bardziej. *Czy ona też jest wśród nich...? Zmarszczyła brwi. Nie. Przecież mówili, że jeszcze jej nie znaleźli. Ale w takim razie... gdzie jesteś, moja przyjaciółko? Czemu nie ma cię tam, gdzie wszyscy inni?*

* * *

Oliver z niechęcią oraz podejrzliwością obserwował, jak Brian podchodzi pod podium i przystaje, rozglądając się dookoła niepewnie.

Władca Piasków? On?! Serio? To najgorszy żart, jaki w życiu słyszałem. Ale w sumie sam się prosił. Cały czas zachowywał się podejrzanie. Nawet ja to zauważyłem. A może szczególnie ja. Ciekawe, czy teraz będzie zadowolony, głupek jeden.

– Posłuchaj, Brian – zaczął kierownik z powagą. – Zapewne ciekawi cię, dlaczego tu jesteś?

– No, trochę – przyznał wolno zapytany. – Ciekawi mnie też jeszcze jedna rzecz. Czy mogę o coś spytać?

– Tak – zgodził się łaskawie pan Mandara. – Byle szybko!

– Dobrze. Hm, a co pan ma na głowie?

O, dobre pytanie! – pomyślał Oliver z rozbawieniem.

Kierownik zmarszczył delikatnie brwi.

– To moja boska korona, chłopcze – powiedział dostojnie.

– Boska? W sensie, że super, tak?

– Nie. Ja jestem Ra, Słońce. Odrodzony bóg egipski.

Brian z nieprzekonaną miną spojrział na niego jak na wariata, a w tym samym momencie w czaszce Olivera eksplodowała lawina gwałtownych myśli. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie złości. Czuł, jak od wściekłości pali go skóra. Jego brązowe zwykle oczy poczerwieniały lekko.

W głowie huczały mu płonące słowa, cały czas te same: *Ja jestem Ra, Słońce. Odrodzony bóg egipski.*

– Kłamca! – syknął chłopak, drżąc z palącego gniewu. *Jak on śmie tak kłamać! Ra wygląda inaczej. Zachowuje się inaczej. Nawet mówi inaczej! I został pojmany przez naszych wrogów. Uratował mnie. Był najlepszą osobą na tym świecie. A ten obrzydliwy oszust niszczy jego imię swoją świecącą, cudaczną koroną!* – Nie jesteś Ra – warknął. – Nawet nie dorastasz mu do pięt, człowieku.

* * *

Ja jestem Ra, Słońce. Odrodzony bóg egipski. Te słowa cały czas huczały jej w głowie. *Odrodzony bóg egipski. A więc to prawda. Naprawdę się odrodzili. Mówiła prawdę! Była odrodzoną boginią!*

Każdy inny na jej miejscu uznałby to za żart, za obozowe przedstawienie lub jeszcze coś innego. Ale ona miała w pamięci obraz sprzed roku, gdy na jej ręce rozbłysł świetlisty znak. Prawie taki sam jak na nadgarstku Soni. Pamiętała głos, który do niej mówił. Moc, która przez nią przepłynęła. *Jestem Izyda. Bogini magii, Estero.*

Tak powiedziała. Od tamtej pory, gdy Estera straciła Amulet Ozyrysa, szukała jakichkolwiek śladów. I drogiego skarbu bogów, i pozostałych bóstw. Z czasem przestała wierzyć, że zdarzyło się to naprawdę. Znak nie zajaśniał od dawna. Bogini nie przemówiła do niej od tak dawna.

Ale... co tu się dzieje?!

* * *

Oliver zacisnął powieki. Czuł, jak myśli szaleją mu w głowie, powoli formując się w przerażający obraz. Elementy układanki, wskakujące na swoje miejsca po tym, jak uznał je za niepasujące.

Znów stanął mu przed oczami tamten dzień. Dzień, w którym zabrali Ra. Tego prawdziwego, jego przyjaciela, który wszystko mu pokazał.

Jeszcze raz ujrzał upiornie płonące oczy, usłyszał głos jakby z zaświatów. Zobaczył demona. Wyklętego demona, który jakimś cudem powrócił. Współpracował z tymi, którzy zrujnowali mu życie. Zabrali Ra. Pewnie też rodzinę. I chcieli jeszcze jego.

Na obozie także był demon. Pan Omar, nawet zwykłym ludziom

przypominający komara. Jego oczy, zawsze skryte za szkiełkami ciemnych okularów, by nie pokazać płonącego w nich ognia potencjalnym bogom znajdującym się na iluzji. Mandara współpracował z demonami. Tak jak porywacze. A może nawet mordercy.

* * *

Nagle drzwi się otworzyły. Tak szybko, że zszokowana Estera nie zdążyła zareagować. W jednej sekundzie wszystko było dobrze. W następnej stała w samym środku oświetlonego prostokąta, a pan Omar zaciskał rękę na jej ramieniu.

– Intruz – syknął głosem, który przypominał darcie papieru.

Estera zbladła. Darcie papieru! Taki sam głos miały stwory spod piramid! Spojrzała w czarne szkła jego okularów. Nikt normalny nie nosi ciemnych szkieł wewnątrz budynku, na dodatek w nocy. Chyba że chce ukryć rozżarzone oczy. Oczy potwora!

– Co się dzieje? – Usłyszała zaniepokojony głos kierownika. A raczej boga Słońca.

– Intruz – ryknął pan Omar. – Podśluchiwała pod drzwiami. Teraz gorzko tego pożałuje!

– Nie! – krzyknęła Estera, czując, jak zasycha jej w gardle.

Ale ona знаła ich sekrety. Nie pozwolą jej odejść, jakby nic się nie stało!

Oh, pomóż! – pomyślała przerażona. Ale nie wierzyła, żeby bogini odpowiedziała. Tak jak nie zareagowała na wszystkie wcześniejsze próby.

* * *

Mam wrażenie, że ktoś myszkował w moich notatkach. Oliver zmarszczył brwi i zacisnął powieki. Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że ktoś był w moim domu. Przepatrywał biuro. Zadrżał na wspomnienie tych przesiąkniętych niepokojem słów. Śledzą mnie. Czuję to na każdym kroku. Boję się, żeby nie zauważyli i ciebie. Coraz trudniejsze będzie zorganizowanie spotkań. Ale nie martw się, damy radę! Tak mówił. Ra.

A Mandara posługuje się tym samym systemem co on. Wszystko jest takie

podobne. Takie samo! To wszystko to dzieło Ra. Ale tego prawdziwego. *On... on to wszystko ukradł! Obrzydliwy złodziej!*

Tak musiało się stać. To takie oczywiste! Dlaczego widzi to dopiero teraz?!

* * *

Estera jak we śnie widziała, że jest prowadzona przed podium, na którym stał dziwnie wystrojony kierownik. Nie! To przecież nie człowiek, ale bóg Słońce.

– Spokojnie, nie ma powodu do niepokoju. – Usłyszała głos pana Mandary. A raczej Ra. – Zaraz o wszystkim zapomni. Nie możemy przecież pozwolić, żeby nam zaszkoziła.

Zdrętwiała. Jak to?! *Bogini, pomóż!*

Bóg Słońce wyciągnął z kieszeni złoty wisior, a w głowie Estery eksplodowały gwałtowne myśli. Zszokowana obserwowała, jak lśnią szlachetne kamienie, jak w złocie odbija się otaczający ją świat. *Amulet Ozyrysa! Cały czas był tutaj! Skarb bogów, który wskrzesza umarłych! Amulet, którego szukałam dosłownie wszędzie. I który powinien być u mnie! To ja go potrzebuję.*

Ra uniósł wisior.

– Będiesz pierwszą, która straci dziś swój umysł. – Bóg Słońce się uśmiechnął.

– Nie...! – wyszeptała Estera, próbując wyrwać się z żelaznego uchwytu asystenta, ale nic to nie dało.

Był za silny. Stanowczo za silny.

– Tak, bogowie! – zakrzyknął Ra. – Dziś zacząłem realizować nasz plan. Oczyszczimy umysły tych obozowiczów, którzy nie należą do naszego grona. Zrobimy z nich posłuszne nam marionetki. Oni stworzą naszą armię. A raczej jej zaczątek. Będą naszymi niewolnikami. Będą nam posłuszni. A wkrótce cały świat do nich dołączy. My będziemy rządzić! To do nas należy Ziemia! Jesteśmy lepsi. Jesteśmy bogami. To nam należy się władza i potęga. Znow będziemy żyć tak, jak powinniśmy. Czyli otaczani czcią. Będziemy żyć jak bogowie. Dosłownie.

Szatyńka poczuła, że robi jej się słabo. Ten plan był okropny. Straszny. Ale nie była pewna, czy niemożliwy do wypełnienia. To przecież bogowie!

– Ciesz się, przypadła ci bowiem rola bycia pierwszym naszym poddanym. – Ra uśmiechnął się lodowato, a Estera zadrżała z przerażenia.

To jej koniec! Będzie marionetką. Będzie ich niewolnikiem! I wtedy poczuła, jak napęnia ją moc, a znak na nadgarstku zaczyna parzyć oraz jaśnieć delikatnie. *No, jasne!*

– Nie! Stójcie! – zawołała natychmiast, a jej głos poniósł się echem po całej sali.

Ra spojrział na nią, unosząc brwi. Polka wyprostowała się dumnie.

– Ja jestem Izyda! Bogini magii. Nie możecie mi nic zrobić. Chyba, że nie chcecie, bym do was dołączyła – oznajmiła, patrząc Słońcu w oczy i czując, jak łomocze jej serce.

* * *

Teraz wszystko było jasne. Mandara stał za całością wydarzeń! Porwał Ra. Prawdziwego. Ukradł to, co bóg miał. Nawet tożsamość. *A przez to zniszczył też moje życie.* Ale nie miał pojęcia, z kim zadarł.

– Złodziej – syknął Oliver, otwierając świecące furią oczy. – Morderca!

Spojrzał na podium. Jego płonące czerwienią oczy zabłysły na widok Amuletu. *Świetnie. Wreszcie mój!*

– Tak, bogowie! Dziś zacząłem realizować nasz plan – wykrzyknął w tym momencie kierownik, a Oliver zmrużył oczy, zaciskając pięści. Czuł wzbierającą w nim moc, tylko czekającą na jego znak.

Słyszał słowa wypowiedane przez pana Mandarę. Docierały do niego gdzieś z daleka. Lecz był zbyt zajęty kotłującymi się myślami, by zwrócić na nie szczególną uwagę. Szykował się do ataku.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej lśniąca replikę Amuletu Ozyrysa. Zacisnął na niej palce, a ona rozsypała się w piach. Już nie będzie mu potrzebna.

Zmrużył oczy. Amulet. Tylko po niego tu przyszedł. Nie po zemstę. Nie, by się ujawnić. Tylko po Amulet.

Ale czy ma go zabrać i odejść...? Tak po prostu? I nie ukarać ich? Ani trochę? Przecież w końcu go znalazł. Wreszcie. Tego, kto odebrał mu przyjaciela. Kto zniszczył mu życie. I ma nic nie zrobić? Naprawdę?! Oliver zagryzł wargę. Przecież miał ich nie ignorować. Może mają jakiegoś asa w rękawie, jakąś sprytną pułapkę? Czy naprawdę warto ryzykować?

Zastygł w bezruchu, bijąc się z myślami. Nie jest słaby. Na pewno dałby im radę. Jednakże ryzyko jest duże. Mnóstwo wrogów. Możliwość pułapki. A on nie może stracić Amuletu. Nie po tym, co przeszedł. Nie, gdy jest to jego jedyna nadzieja. Jedyne cel. Szansa na lepszą przyszłość. Zacisnął zęby ze złością.

Amulet. Taki był jego cel. Tylko taki. Zemsta musi poczekać. Ale tylko po to, by być jeszcze straszliwszą. Tak, właśnie tak. Jeszcze nie nadszedł jej czas. Lecz gdy nadejdzie, już nic go nie powstrzyma. Jego wrogowie będą cierpieć.

Właśnie tak. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

Oliver uniósł głowę. Spojrzał na człowieka, który zrujnował mu życie.

– Stójcie! Jestem Izyda. Bogini magii – wykrzyknęła wtedy Estera, a on spojrzał na nią przelotnie. No, tego to by w życiu nie zgadł!

A potem popatrzył na fałszywego boga Słońce.

– Nie jesteś Ra. I nigdy nie będziesz – mruknął, mrużąc wrogo powieki.

Czuł, jak wypełnia go pałaca złość. Jego oczy rozjarzyły się czerwienią. Zalśniły złowrogo. Wyprostował się dumnie.

I wtedy w jego tęczęwkach zawirował złoty piasek. W tym momencie zgasło światło. Rozległy się zaskoczone okrzyki. Wybuchł chaos.

– Hej! Co się dzieje? – wykrzyknął zdziwiony kierownik, którego korona była jedynym źródłem światła.

Oliver zniknął w mroku, by w tej samej sekundzie wyłonić się z cienia za plecami kierownika. Rzucił się w jego stronę i podciął go tak, że mężczyzna runął na podłogę. Jego świetlista korona potoczyła się po scenie, a następnie spadła z podestu, rozjaśniając pograżonych w chaosie bogów.

Chłopak błyskawicznie wyrwał Amulet Ozyrysa z rąk fałszywego Ra, przy okazji nie mogąc powstrzymać się od nadeptnięcia na niego z całej siły, po czym w jednym momencie odskoczył poza jego zasięg. Zacisnął palce na drogocennym przedmiocie, czując, jak przenika go fala niewyobrażalnej mocy, odbierając mu na chwilę dech. Oczy zalśniły jasnym blaskiem, włosy pojaśniały, zafalowały jak pod wpływem niewidzialnego wiatru. Opadła z nich iluzja, ukazując ich naturalną barwę, czyli czarną. Ale Oliver nie miał o tym pojęcia.

Szybko zeskoczył ze sceny, przystanął i ostatni raz obrócił się w jej stronę. Na jego twarzy pojawił się grymas złości. Wyciągnął przed siebie dłoń, a podium natychmiast zajęło się złoto-czerwonym ogniem. Po jego twarzy przemknął cień zadowolonego uśmiechu.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę drzwi, przyciskając do ciała magiczny wisior, zdobycz, na którą czekał tak długo.

Wyminął zszokowaną Esterę, przeskoczył nad Rale'em, który przed sekundą potknął się o krzesło. Tak jak w noc, gdy Oliver pierwszy raz go zobaczył. Widocznie zupełnie nie umiał poruszać się w ciemności. *Śmieszne.*

Nagle Oliver wpadł na przebrane straszdyło, które znikąd pojawiło się na jego drodze. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Potem brunet odtrącił przebierańca na bok i po chwili zniknął w mroku panującym przy drzwiach.

Nie mógł wiedzieć, że w tym samym momencie straszdyło wypowiedziało jego prawdziwe imię. Że zsunęło z twarzy wykrzywioną maskę. Że w wielkich, zszokowanych oczach w kolorze złota pojawiło się niedowierzanie. Że w czarnych jak noc włosach odbiły się tańczące złośliwie płomienie.

Nie wiedział tego. Zniknął, pozostawiając po sobie jedynie litery, płonące na

ścianie przylegającej do sceny.

MANDARA,

To ty zniszczyłeś mi życie, obrzydliwa, kłamliwa kreaturo.

Teraz ja zniszczę Twoje.

Przyjść, gdy nikt nie będzie się mnie spodziewał.

Mój gniew jest straszny.

Nawet nie podejrzewasz, jak bardzo.



Rozdział dziewiętnasty

SONIA

Oliver wyłonił się z mroku panującego na balkonie przylegającym do jego pokoju. Opadł na leżak, nie odrywając wzroku od trzymanego w rękach złotego wisiora, emanującego potęgą.

Jego cel. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Wreszcie! Tyle na to czekał. A teraz w końcu go ma.

Spojrzał w królującą noc rozświetloną gwiazdami. Teraz wszystko się zmieni. Świat znów będzie piękny. Oni wrócą. On będzie mógł powrócić do domu. Jego życie ponownie będzie takie, jakie powinno być. Idealne.

Ale jedna rzecz nie dawała mu spokoju. I nie pozwalała całkowicie cieszyć się nadchodzącym szczęściem. Mandara. Fałszywy Ra.

Oliver zagryzł wargę. Nie był zadowolony, że zrobił tylko tyle. Że tylko go przypiekl. Że tylko go zdeptał. I zabrał mu jego najcenniejszy skarb. *To za mało. On musi cierpieć. Musi. Za to, co mi zrobił. Co mu zrobił.*

Powinien był zrobić coś więcej. Ale co...? Cokolwiek. Cokolwiek, byle by Mandara poczuł, że to był zły pomysł atakować kogoś z jego bliskiego otoczenia. Bardzo zły pomysł. Zemsta musi być straszna. Nigdy mu nie daruje. Nigdy nie zapomni. O, nie. Teraz miał okazję. A nic nie zrobił. Może powinien wrócić...?

Spojrzał na lśniący skarb dający życie. Skarb, który zwróci im życie. Skarb, który zmieni wszystko. Który sprawi, że wszystko będzie dobrze. Znowu.

Oliver zmrużył oczy. Nie. Nie może wrócić. Nie teraz. Kto wie, może mają coś, co mogliby wykorzystać przeciw niemu? Nie może sobie pozwolić na błąd. Nie w tej chwili. Nie może stracić Amuletu. Nie teraz, kiedy wreszcie może odejść.

Przypomniał sobie, co mówili na zebraniu. O niewolnikach. Przed oczami stanął mu obraz całej jego grupy. W sumie nie byli tacy źli... A teraz przestaną być

sobą. Będą marionetkami w rękach szaleńca. I innych bogów.

Zrobiło mu się przykro na tę myśl. Zerknął na drzwi balkonowe. W środku chrapali sobie niczego nieświadomi bracia. Nie miał pojęcia, że ich lubi. Aż do teraz. Nagle uświadomił sobie, że mimo wszystko czuje do nich sympatię. Westchnął, a potem wstał z leżaka. Chwilę później popchnął drzwi i wszedł do środka. Musi ich ostrzec. Pomoże im uciec. Nie zostawi ich samych. Nie może.

Nagle przystanął, czując, jak ogarnia go niedowierzanie, a także rozdrażnienie. Pokój był pusty. Albo bracia znowu gdzieś się wykradli, albo... Oliver zacisnął powieki, przeczesując w pamięci osoby obecne na zebraniu. Albo są z nimi! Są bogami. Są z Mandarą! Poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Objął wzrokiem cały pokój, zavalony śmieciami. A więc oni też...!

Zatrzasnął drzwi balkonowe, potem opadł ze zniechęceniem na swój leżak. W sercu czuł wzbierającą gorycz, zupełnie, jakby go zdradzili. A przecież wiedział, że to nie ich wina. Ale nie docierało to do niego. Był zbyt zły. I rozgoryczony. Mandara zabrał mu wszystkich. Nawet męczących braci, z którymi był w pokoju. Wszystkich. Został sam. Ponownie. Tak jak tego dnia, gdy po raz pierwszy odkrył, że może podróżować za pomocą cienia. Gdy stanął w wielkiej, pustej, zakurzonej świątyni. Gdy słyszał tylko echo swoich kroków. Tylko swój głos. Otaczała go martwa cisza. Miał wówczas jedynie wspomnienia – przyjaciela, rodziny. Znowu był sam. Tak jak wtedy.

Uniósł Amulet Ozyrysa, aż zaśniły w nim odbite gwiazdy.

Nie, teraz jest przecież inaczej. Teraz ma swój skarb. Teraz może wszystko zmienić. Uśmiechnął się z satysfakcją. Tak. Teraz wszystko będzie inaczej. Tak jak on chce.

Nagle spokój nocy przeciął jakiś niespodziewany hałas dochodzący z pokoju. Oliver podskoczył zaskoczony. Ten dźwięk. Tak jakby... jakby ktoś nadepnął na plastikową butelkę? O, nie.

Zerwał się z leżaka, złapał swój dawno już spakowany plecak i przyskoczył do ścianki odgradzającej ich balkon od sąsiadów. Amulet Ozyrysa wibrował łagodnie w jego dłoni.

W pokoju zabłysło światło lampy.

Zmrużył oczy na widok jakiś dwóch chłopaków, którzy rozglądali się dookoła niepewnie. Jeden z nich próbował odzepić od siebie kolorowe rzepy, drugi z obrzydzeniem próbował ściągnąć mydło z włosów. Oliver uśmiechnął się krzywo. Nikt nie umiał przechodzić przez ich pokój bez wejścia w cokolwiek.

Nagle zadrżał i poczuł cięń lodowatego strachu ściskającego go za serce. Zupełnie nie słyszał, kiedy wchodzili! Mogli go zaskoczyć, na balkonie, stojącego tyłem do nich, z Amuletem w dłoni!

Ale co ci tu robią...? I jak udało im się poruszać tak cicho?

– Gdzie on jest? – zdumiał się nagle jeden z nieznanym.

– Nie wiem – mruknął drugi, po czym wrzasnął ile sił w płucach: – Oliver Green! Gdzie jesteś, kolego?! Wszyscy mają się zebrać na dole! Słyszysz?!

– Przestań, głowa mnie boli – syknął pierwszy. – Na pewno go tu nie ma. Może ktoś był tu już przed nami?

– Może. Oby. Bo jak nie, Ra będzie zły. Wszyscy mają się zebrać na dole. No wiesz, pierwsze pranie mózgu, czy jakoś tak.

– Taa... Nie rozumiem, czemu teraz, a nie rano.

– Przez tego kogoś, kto ukradł Amulet – warknął zniecierpliwiony chłopak. – Sprawdzamy też, kogo nie ma, nie słuchałeś? Bo złodziej albo zwiął, albo schował gdzieś swój łup. Po praniu mózgow, gdy Ra pozna myśli i wspomnienia pozostałych obozowiczów, dowie się wszystkiego.

– Myślisz, że to w porządku? – zawahał się pierwszy.

– Ale co?

– To pranie mózgow – wyszeptał, rozglądając się wokół niepewnie. – Myślisz, że to w porządku...?

– Nie wiem – mruknął drugi, odwracając wzrok, po czym dorzucił nerwowo:

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać. Chodź, nikogo tu nie ma.

Wyszli, a Oliver oparł głowę o ściankę, unosząc wzrok do gwiazd. Zmrużył oczy.

Po praniu mózgow, gdy Ra pozna myśli i wspomnienia pozostałych obozowiczów, dowie się wszystkiego. Oliver pobladł. Sonia! Ona wie o nim zdecydowanie za dużo. Nie mogą przeczytać jej myśli! Musi ją stąd zabrać. Razem uciekną. Ona będzie bezpieczna. I jego sekrety też. Tak jak ustalili podczas zawierania sojuszu.

Oby nie było za późno...

* * *

Sonia obudziła się natychmiast, jak tylko ktoś wpadł do jej pokoju. Błysnęło światło. Jęknęła, zaciskając powieki i chowając twarz w poduszkę. Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Świat falował wokół niej. Wszystko się kręciło, niczym podczas sztormu na oceanie.

– Sonia! Wstawaj! – Usłyszała pełen napięcia, ale też ulgi głos Olivera, który ledwo dotarł do jej świadomości, zagłuszanej przez dudnienie gdzieś wewnątrz czaszki.

Mrużąc oczy, wystawiła głowę spod przykrycia i spojrzała w stronę wejścia, nie spodziewając się tak naprawdę nikogo tam ujrzeć. To pewnie kolejny okropny,

męczący sen. Ale nie, rzeczywiście zobaczyła czyjąś sylwetkę. Tak, to chyba Oliver... Zerknęła na zegarek.

A co on tu robi?! — zdumiała się.

– Zwariowałaś? – wymruczała ze znużeniem. – Czemu budzisz mnie o trzeciej nad ranem?! I co ty tu w ogóle robisz? Daj mi spać, pogadamy przy śniadaniu...

– Nie będzie żadnego śniadania, musimy uciekać!

– Uciekać? To jakiś żart? – Sonia popatrzyła na niego niepewnie.

Ze zdumieniem pomyślała, że chyba jednak nie. Nie żartował. Ponadto jego chaotycznie wirująca aura była pełna sprzecznych emocji. Zdecydowania, zadowolenia, satysfakcji, ale też gniewu, potęgi, smutku i zawziętości. Wszystko naraz. Ta mieszanka przyprawiła ją o jeszcze uciążliwszy ból głowy.

– Co się stało? – spytała powoli, tłumiąc ziewnięcie oraz próbując się skupić mimo koszmarnej dolegliwości.

Po coś tu przyszedł. Po coś się pofatygował piętro wyżej niż mieszka. Dziwne. To musiało być coś naprawdę ważnego. Tylko co?

– Mają już cały komplet... – wyjęczał, zerkając nerwowo w stronę drzwi. – Brakuje im tylko mnie... I Izidy. I jeszcze kogoś tam. Nie mogą się dowiedzieć, kim jestem! Ale to nieważne! Ze wszystkich innych, zwykłych, normalnych ludzi chcą zrobić swoich niewolników. Z ciebie też! Rozumiesz? Niewolników! Marionetki. Przeczytają twoje myśli. Będą kontrolować, co mówisz, robisz, a nawet myślisz! A prościej, bo widzę, że nie rozumiesz, chcą ci zniszczyć umysł! A ja chcę ci pomóc, bo po to przecież zawarliśmy sojusz, prawda?

Dziewczyna zerknęła na niego podejrzliwie. *Że co?* Może to jakiś dziwny sen? Nagle zakręciło jej się w głowie, a łomotanie wzmogło się jeszcze bardziej.

– Ja... ja nie mogę na to pozwolić! – mówił tymczasem Oliver. – Nie pozwolę im zrobić z ciebie bezmyślnej maszyny... której będą czytać w myślach. I wspomnieniach. Mamy przecież umowę, prawda? Dlatego musimy uciekać, rozumiesz?

Spojrzał na nią, a widząc jej niepewną minę, skrzywił się ze zniecierpliwieniem.

– Nie rozumiesz, o czym mówię? To trudno. Wszystko ci wytłumaczę, obiecuję, ale teraz naprawdę musimy iść! Zaraz mogą tu przyjść. A to nie będzie super sympatyczne, z pewnością nie.

Sonia pociemniało na chwilę przed oczami. Słowa Olivera docierały do niej jakby z oddali, momentami nie rozumiała nawet co do niej mówił. Może Estera ma jakąś tabletkę...

Właśnie! Sonia wzięła głęboki oddech. Jak mogła o niej zapomnieć?

– A Estera? Co z nią? – zapytała trochę nieprzytomnie, zerkając na łóżko współlokatorki.

Było puste.

Dziewczyna spojrzała na kolegę przestraszonym wzrokiem

– Gdzie ona jest? Czy oni już coś jej zrobili? Musimy jej pomóc!

Sonia spróbowała wstać, ale nie dała rady. Ogłuszające pulsowanie oraz zawroty głowy zmusiły ją do zaniechania tych prób.

Oliver tylko spuścił wzrok i nawet nie drgnął.

– Nie chcesz jej pomóc? – zdumiała się słabym głosem.

Spojrzał na nią z powagą.

– Nie trzeba jej pomagać.

– Jak to? – nie rozumiała. – Przecież gdzieś zniknęła. Skoro mówiłeś prawdę, to ona też jest w niebezpieczeństwie. Pewnie już ją zabrali. Musimy ją znaleźć i...

– Nie – przerwał jej, marszcząc brwi. – Ona jest z nimi. Nic jej nie zrobią, wręcz przeciwnie, to jej powinniśmy się strzec.

– Z kim jest? – zdziwiła się Sonia.

– Z tymi, przed którymi musimy uciekać.

– Ach! Z nimi... – powtórzyła dziewczyna, myśląc jednocześnie o tym, jak bardzo boli ją głowa.

Estera na pewno nie chciałyby zrobić z nikogo niewolnika. To pewnie jakaś pomyłka. A raczej jeden wielki, głupi żart. Czy dziś zielona noc? Chyba nie, ale czuła taki ból, że nie była tego pewna. W końcu uznała, że to jednak musi być zielona noc. Pewnie zaraz na jej twarzy wyląduje cała tubka pasty do zębów.

– Musimy iść – powiedział tymczasem Oliver bardzo zniecierpliwionym tonem, a jego głos dochodził do niej jakby zza grubej zasłony. – Nie przesadzam, zaraz tu przyjdą, mówię ci. Głucha jesteś? Naprawdę mam jeszcze raz powtórzyć?

Sonia spojrzała na niego z niechęcią, z trudem skupiając wzrok. Naprawdę myślał, że ją tak łatwo nabierze? Nie była aż tak łatwowierna! Nie da sobie wciskać jakiś bzdur na temat swojej koleżanki, o nie. Doprawdy mógł wymyślić coś bardziej realnego.

– Nigdzie nie idę – oświadczyła chłodno, a świat zakołysał się wokół niej. Czuła się coraz gorzej. – A teraz wyjdź, proszę, z mojego pokoju i daj mi spokój. Nie jestem w nastroju na żarty – jęknęła w stronę, gdzie, wydawało jej się, stał Oliver, po czym wtuliła twarz w poduszkę.

Chłopak spojrzał na nią ze zdumieniem, gdy zwróciła się do okna, prosząc, by wyszedł. Domyślił się, że Sonia mówiła do niego, nie do okna, ale on stał przecież dokładnie po przeciwnej stronie niż balkon. Być może wyrwał ją ze snu w środku nocy, ale przecież nie mogła być aż tak zaspana, by nie zauważyć, gdzie stał! No i czy on naprawdę wygląda teraz na kogoś w nastroju na żarty?

– Eee... Ja jestem tutaj – rzekł niepewnie, a gdy nie zareagowała, położył jej rękę na ramieniu oraz dodał: – A teraz spakuj się i idziemy. Tylko szybko, bo

w takim tempie to się nigdy nie zbierzesz, a mnie wyrośnie broda!

– Nigdzie z tobą nie idę! Już mówiłam, że nie mam nastroju na głupie kawały! – Sonia popatrzyła na niego niechętnie szklistymi oczami.

Z niepokojem zauważył, że na policzkach rozkwitły jej niezdrowe rumieńce, lecz poza twarzą jej skóra była nienormalnie jasna. Ostrożnie dotknął jej czoła. Było bardzo gorące, zdecydowanie za gorące. No pięknie. Trzeba uciekać, a ona nagle się rozchorowała! I co jeszcze?!

– Sonia – jęknął. – No, rusz się wreszcie!

Dziewczyna tylko mruknęła coś o paście do zębów i ponownie wtuliła głowę w poduszkę. Oliver spojrział na nią ze zdumieniem. W takiej chwili zachciało jej się umyć zęby? Oderwał wzrok od zaspanej koleżanki, słysząc kroki na korytarzu. W jego oczach pojawiła się determinacja. Nie ma mowy, żeby pozwolił im zamienić kogoś w bezmyślnego służącego, który, na dodatek, może im zdradzić ważne informacje! Tym razem to nie oni będą decydować o losie osób z jego otoczenia. Teraz on przejmuje stery. I na pewno im ich nie odda.

Popatrzył na Sonię, która chyba nadal nie miała zamiaru wstać.

– Nawet nie jesteś spakowana, a wciąż się wylegujesz! – Skrzywił się, po czym zerknął na nią, unosząc brwi. – A właściwie nie masz zamiaru się spakować, tak? Co oznacza, że ja muszę to zrobić za ciebie. Super.

Wyprostował się i przymknął oczy, koncentrując się na otoczeniu. Kurz oraz naniesione ziarenka piasku zawirowały, skupiając się na środku pomieszczenia. Oliver zmarszczył brwi i otworzył oczy, a drobinki opadły na podłogę, tworząc ledwie zauważalny kopczyk.

– Za czysto – mruknął z niedowierzaniem.

W jego pokoju nie byłoby problemu. Ale to był przecież pokój dziewczyn.

Zlustrował okolicę bystrym spojrzeniem. Rozważał właśnie zniszczenie jakiejś szafy, gdy jego wzrok padł na drzwi balkonowe. Oczy mu zalśniły, a po twarzy przemknął cień radości. Świetnie, za oknem jest bardzo, bardzo dużo piachu!

Dokładnie wtedy, gdy położył dłoń na klamce od wejścia balkonowego, w sąsiednim pokoju trzasnęły drzwi. Przez cienką ściankę słychać było szum rozmowy, jednak nie dało się rozróżnić słów.

Jednocześnie ktoś inny zbliżał się do pokoju Soni, czego można było się domyślić po coraz lepiej słyszalnych, śpiesznych krokach na korytarzu.

Nie zostało dużo czasu. A zanim dziewczyna zwlecze się z łóżka, minie go tyle, że cały obóz zdąży tu przyjść! Trzeba działać natychmiast. I dać jej więcej czasu. *Najlepiej całą wieczność* – pomyślał zgryźliwie.

Obrócił się w stronę drzwi, zaciskając ręce. Kurz oraz piasek poderwały się z podłogi i zawirowały wokół jego dłoni. Zmrużył oczy, kiedy klamka opadła w dół.

Gdy drzwi wystrzeliły z zawiasów, Oliver błyskawicznie otworzył dłonie. Uwolniony podmuch wiatru pomknął przed siebie, zabierając ze sobą kurz oraz piach. Uderzył w intruza, odbierając mu oddech i odrzucając go na przeciwną ścianę korytarza.

Drzwi natychmiast zatrzasnęły się z głośnym hukiem, a zamek sam się przekręcił. Równocześnie chłopak wyskoczył na posadzkę balkonu. Stał naprzeciw pustyni, po czym wznosił ręce, skupiając się maksymalnie. Spojrzał w niebo, które w tym samym momencie przecięła odległa wstęga błyskawicy. Zamknął oczy, a w tej samej sekundzie zagrzmiało.

Nagle od strony Sahary zawiął silny wiatr, niosący ze sobą pierwszy tuman piasku. Po chwili cała pustynia uniosła się i w dzikim, chaotycznym tańcu zawirowała w powietrzu. Wiatr wył, atakując wszystko, co spotkał na swej drodze.

W końcu stojący dotąd nieruchomo niczym posąg Oliver opuścił ręce. Spojrzeniem, w którym wirował złoty piasek, zlustrował nadciągającą wściekłą ścianę ziarenek, które były niegdyś spokojnymi wydmami. Mocne wietrzyisko niosące drobinki mu nie przeszkadzało. Burza piaskowa to był w końcu jego żywioł!

Uśmiechnął się z zadowoleniem i wrócił do pokoju Soni, przymykając za sobą drzwi.

Cała podłoga była już zasłana piaszczystym dywanem. Oliver spoglądał na niego długo, w efekcie czego piasek zawirował w powietrzu. Niesiony podmuchami, które pojawiły się zdecydowanie nie wiadomo skąd, skierował się do szafy, której drzwiczki otworzyły się w następnej sekundzie z głośnym trzaskiem. Ze środka wyleciały sterty ubrań, które posłusznie wpakowały się do wyciągniętej przez inny podmuch zielonej walizki. Taki sam los spotkał wszystkie rzeczy Soni znajdujące się w łazience oraz w pokoju na szafce czy na podłodze.

Uff, całe szczęście, że to samo wykrywa, które rzeczy są Soni – pomyślał Oliver z ulgą, obserwując fruujące przedmioty. Nie chciałbym zgadywać, jeszcze wziąłbym coś Esterze. I już zawsze nazywałaby mnie wstrętnym złodziejem!

Po chwili uważnie zlustrował pokój, zastanawiając się, czy niczego nie przeoczył, po czym zapiął zieloną torbę. Następnie piaszczysty podmuch uniósł ją w powietrze oraz postawił pod drzwiami balkonowymi. Gdy tylko je uchylił, do środka wdarł się niezwykle silny wiatr, który załopotał śnieżnobiałymi firankami, przypominającymi teraz targane bryzą żagle.

Oliver błyszczącymi oczami spojrzał prosto w nadciągającą burzę piaskową. Zaczynała dosięgać już budynku, w którym mieszkali. Sam ją wywołał i uważał, że była cudowna! Uśmiechnął się z dumą, a następnie wytargał walizkę na balkon. Później udało mu się dźwignąć bagaż na barierkę, choć wiatr prawie go zrzucił. Wprawdzie chłopak teoretycznie nie był narażony na działanie burzy, ale walizka wręcz przeciwnie – gdyby jej nie trzymał, zostałyby już dawno porwana

w powietrze.

Z całej siły przytrzymując zieloną torbę, Oliver ściągnął z pleców swój plecak i przypiął go do niej.

W ostatniej chwili przypomniał sobie o drogocennym Amulecie Ozyrysa. Wyciągnął go z kieszeni, po czym wsunął do plecaka.

Następnie wyrzucił obie rzeczy z balkonu. Torba z miotającym się na wietrze plecakiem, odprowadzana jego spojrzeniem przenikającym tumany piasku, pomknęła w dół i wryła się w wydnię znajdującą się nieopodal ogrodzenia, na pustyni. Chłopak skrzywił się. Miał nadzieję, że walizka się nie zniszczyła, Sonia nie byłaby z tego zadowolona. Szybko zmusił torby do zostania na wydmie, zakazując wiatrowi zbliżać się do nich.

Nagle, właśnie gdy miał się odwrócić, by wejść do pokoju, na pustyni rozległo się upiorne wycie, które każdego innego zmroziłoby do szpiku kości.

Oliver zamarł, wstrzymał oddech i wsłuchał się w głębokie dźwięki. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Gdy zrobiło się cicho, nasłuchiwał jeszcze chwilę, lecz wycie się nie powtórzyło. Zmarszczył brwi.

Czy to możliwe, żeby to była ona? Sahara? Tak się za nią stęsknił! Nie widział jej od roku, kiedy była tylko małą, puszystą kulą o wielkich uszach, oczach oraz równie puszystym ogonie! Teraz musiała być już dużo większa. Westchnął. To nie może być ona. Przecież jej stado żyło na samym środku pustyni, przynajmniej rok temu. Może to jakiś inny, podobny do niej zwierz. Może nawet takiej samej rasy.

– Oh, Saharo... Chciałbym, żebyś tu była – szepnął cicho, po czym z trudem zmusił się do porzucenia myśli o niej.

Potem wskoczył z powrotem do pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. W środku wszystko było całe w piachu, włącznie z Sonią.

– Ups – mruknął Oliver bez przekonania, a pokrywający ją piasek natychmiast spłynął na podłogę.

Sonia miała zamknięte oczy, bardzo zboląłą minę i oddychała ciężko. Uznał, że chyba jakimś cudem udało jej się zasnąć.

– Sonia, wstawaj! Nie czas na drzemkę! – wrzasnął do niej, przekrzykując burzę.

Nie zareagowała. Poczul się trochę głupio. *Chyba zemdlala* – pomyślał z niepokojem. *Bo nie śpi na pewno.*

Rozważał właśnie wylanie jej na głowę zimnej wody spod prysznica, gdy ktoś, a raczej cały tłum, zaczął dobijać się do drzwi. Zapewne również coś krzyczeli, ale on słyszał tylko swoje myśli oraz burzę piaskową.

Rzucił na drzwi błyskawiczne spojrzenie, z kwaśną miną zdając sobie sprawę, że nie nadają się do obłężenia i że długo nie wytrzymają. Tylko tego brakowało, żeby po wyważeniu ich dziki tłum zastał tu chorą Sonię. Możliwe, iż

wtedy nie dałby rady jej uratować.

Żałując, że pozbył się już walizki, która mogłaby być wspaniałym wózkiem, Oliver z niewyraźną miną wziął ją na rękę, a następnie wyszedł na balkon, tworząc wokół siebie okrągłą ochronną strefę, do której nie wnikał wiatr ani piach. Przy okazji zauważył ze zdumieniem, że jego koleżanka była ubrana bynajmniej nie w piżamę, ale w normalne ubranie. Uznał to za dość dziwne.

Stanąwszy przy balustradzie, wysunął Sonię jak najdalej od siebie i skupił się najmocniej jak umiał.

Nieprzytomna powolutku uniosła się kilka centymetrów w górę, a potem ostrożnie i w takim samym tempie poszybowała w ślad za swoją walizką, otoczona ochronną strefą.

Mniej więcej w połowie drogi między balkonem a wybraną przez Olivera wydumą, ludzie z korytarza zaczęli niespodziewanie dobijać się tak głośno, że na ułamek sekundy stracił koncentrację nad lotem Soni. Choć odzyskał ją praktycznie od razu, ten krótki odcinek czasu wystarczył, by błyskawicznie opadła o dwa metry. Widząc to, zbladł gwałtownie i skrzywił się z przerażeniem. Aż do momentu, gdy nieprzytomna bezpiecznie wylądowała na wydmie, był cały spięty oraz czuł, że serce bije mu jak szalone. Nie chciał przecież jej zabić! Dopiero po zakończeniu całej akcji odetchnął z ulgą, a nawet uśmiechnął się lekko.

Wskoczył na balustradę i miał właśnie skoczyć w burzę piaskową, gdy nagle naszła go pewna myśl. Zastygł w bezruchu. *Sonia jest chora, chyba bardzo. Czy rozsądnie zabierać ją stąd? Jedyne lekarstwo, jakie znam, które na dodatek nie jest lekarstwem, to witamina C. Raczej jej nie pomogę. Nie sądzę, żebym umiał. Może oni potrafią...?* Wtedy przypomniał sobie, że przecież jeszcze wieczorem nic jej nie było. Choroba dziewczyny była dosyć podejrzana. Momentalnie odrzucił pomysł wciągnięcia jej z powrotem do pokoju.

Oliver zawahał się pod wpływem nagłej myśli. A może... hm, w sumie czemu nie? Być może mógłby ją uzdrowić... Wątpliwe, choć warto spróbować... Ale potrzebuje apteczki, tak na wszelki wypadek. A najbliższa jest na korytarzu, przy klatce schodowej. Musi po nią wrócić.

Westchnął. Przepchanie się przez tłum bez przerwy dobijający się do drzwi nie zapowiadało się przyjemnie. No trudno.

Lekko zeskoczył z barierki i wszedł do środka. Idąc po miękkim dywanie, sprawił, że cały piach, który został naniesiony do pokoju, uniósł się oraz zawirował dziko.

W tym momencie ludzie z korytarza przestali dobijać się do środka. Za drzwiami zapanowała podejrzana cisza. *Coś knują* – pomyślał Oliver. Czas stąd wyjść.

Tym razem ręcznie przekręcił zamek. Drzwi w jednej chwili wystrzeliły gwałtownie, wypuszczając wściekle tumany piasku. Na korytarzu rozległy się

okrzyki zaskoczenia.

Wyskoczył z pokoju, wpadając na zszokowany tłumek składający się z większości sąsiadów Soni. Odepchnął ich na boki i pobiegł w stronę schodów.

– Hej, ty! Stój! – zawołał ktoś, ale on tylko pstryknął palcami, z poślizgiem zatrzymując się przy przymocowanej do ściany apteczce.

W tej samej sekundzie zgasło światło, pogrążając korytarz w iście egipskich ciemnościach. Oliver wiedział, że jego koledzy właśnie zmagają się ze zwidami. Jęczeli oraz kotłowali się, nie mogąc odnaleźć się w wirującym wokół nich świetle. Tak, iluzja. Przydatna rzecz.

Szarpnął apteczkę zawieszoną na ścianie obok gaśnicy. Nic. Miała bardzo mocne zapięcie, co nie było zbyt praktyczne podczas nagłych wypadków, ale świetnie sprawdzało się jako opóźniacz wroga czy ściganego, który chciał ją zdobyć.

Nagle z drugiego końca korytarza doleciał do niego głos pana Mandary, krzyczącego ze zdumieniem i irytacją:

– A co tu się dzieje?! Powariowaliście wszyscy, czy co? Jak długo mam jeszcze na was czekać?!

Chłopak skrzywił się niechętnie, siłując się z upartą apteczką. Fałszywy Ra!

– Ten, kto za to odpowiada, gorzko pożałuje, jeśli natychmiast się nie uspokoi! – zezłościł się kierownik, a na twarz Olivera wypłynął kpiący, pełen wyższości uśmiech. *Co on mi niby może zrobić? Jestem bogiem.*

Przyłożył dłoń do zatrzasku, trzymającego pudło przy ścianie. Myślami był już przy Soni. Zaraz przeniesie się tam cieniem. Jeszcze tylko chwila, potrzebna na to, by zniszczyć kawałek metalu.

I wtedy wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Błysnęło światło, sprawiając, że musiał gwałtownie zmrużyć oczy.

Potężnym szarpnięciem wreszcie udało mu się wyrwać podejrzenie ciężką apteczkę ze ściany. Zatoczył się krok do tyłu, łapiąc równowagę.

– Ty!!! Zaraz...

Rozpoznał pełen napięcia głos fałszywego Ra.

Jego oczy zabłyśły, ale wiedział, że to jeszcze nie czas na zemstę. Odwrócił się w bok. Zaraz zniknie stąd na zawsze.

– Nie! Stój!!! – wydarł się natychmiast kierownik.

Oliver kątem oka zauważył dziwny ruch jego ręki.

Coś załśniło matową czernią. W tej samej sekundzie huknął strzał pistoletu.

Nieprzyjemne echo poniosło się po całym korytarzu, a kostka Olivera eksplodowała straszliwym bólem.



Rozdział dwudziesty

SAHARA

Apteczka z łoskotem upadła na podłogę.

Oliverowi pociemniało przed oczami. Zachwiał się i oparł o ścianę, czując ogarniającą go słabość. Ta noga... ach, jak bolała!

Rana pulsowała, odbierając mu siły. Dziwne...

Odważył się na nią spojrzeć. Natychmiast zbladł oraz skrzywił się z przerażenia. Tyle krwi...! Widział, jak karmazynowa kałuża na podłodze powiększa się z każdą chwilą. Cały drżał. Zamknął oczy, nie chcąc zwymiotować lub zasłabnąć. *Jak to? Czy bogowie nie powinni być odporni na zranienia?! –* pomyślał roztrzęsiony, czując, jak oczy wypełniają mu się łzami.

Usłyszał kroki. Ktoś zbliżał się do niego, spokojnie krocząc po płytkach. Uchylił powieki. Ujrzał kierownika, a tuż za nim obozowiczów, powoli pozbywających się otaczającej ich iluzji.

Nagle poczuł lodowaty dreszcz. Wielkimi oczami wpatrzył się w czarny pistolet, skierowany prosto w jego serce.

– No, proszę. Briant de Ramen – syknął pan Mandara lodowatym tonem, uśmiechając się kpiąco. – Tak myślałem, że się kiedyś spotkamy. Kto by pomyślał! Szukam cię po całej Europie, a ty jesteś tu! Pod moim nosem. Jako Oliver Green, prawda? Dobrze, że znów masz czarne włosy. To wszystko wyjaśniło.

Oliver drgnął, próbując zachować jasność umysłu pomimo grymasu bólu, który tak bardzo chciał wypłynąć mu na twarz i zająć całe jego myśli. *Czarne?! Ale jak to?*

Tymczasem pan Mandara dodał, mrużąc podejrzliwie oczy:

– Nic ci nie jest, Briant. Dziwne. Czyżbyś nie dostał babeczki?

Babeczki?! A co ma piernik do wiatraka? Nagle drgnął. To z tą babeczką

musiało być coś nie tak! *Dziś zacząłem realizować nasz plan. Tak powiedział. To pewnie o to chodziło! Babeczki musiały mieć w sobie coś przygotowującego do tego „prania mózgów”.* A Sonia zjadła przecież aż trzy! Pewnie dlatego jej stan był tak poważny. Ale... czy to bardzo groźne?

– No, mniejsza o to. I tak nie mam zamiaru przyjmować cię do szeregu moich bogów. Chciałem, ale teraz wiem, że nie jesteś tym, kogo szukam. Jakoś przeżyję brak jednego pustynnego bóstewka. W sumie, to nie za bardzo wierzyłem, że naprawdę tu jesteś. Ale teraz jestem już pewny. Kolor włosów wszystko zmienia.

Pan Mandara pomachał pistoletem, uśmiechając się krzywo.

– Co prawda cię nie zabije, ale unieszkodliwi. Potem tylko odbiorę ci moc, co powinno mi się udać, bo, mimo pozorów, nie jesteś potężny. I przekażę cię policji, oczywiście.

Oliver pobladł jeszcze bardziej. *Nie!!!*

– Ale najpierw oddawaj, co ukradłeś – warknął pan Mandara. – To oszczędzi ci bólu, możesz mi wierzyć.

Świat przed Oliverem zawirował. Ta noga... Bolała tak strasznie, że to aż niewiarygodne! Miał wielką ochotę się rozplakać, ale panował nad sobą wystarczająco, by do tego nie dopuścić. Jeszcze tylko brakuje jego płaczu! Powinien być twardy... ale czemu to takie trudne?!

– Gdzie jest Amulet? W twoim pokoju? Ale... co robisz tu, na tym piętrze? I po jakie лихо ci apteczka?

Oliver powstrzymał mdłości. Z trudem utrzymywał się na drżących nogach. Z całej siły opierał się o ścianę, ale wiedział, że zaraz zsunie się na podłogę i chyba zemdleje. To będzie koniec. Odbiorą mu moc. A potem... *Nie! Nawet o tym nie myśl.*

– Gdzie jest Amulet?! – zawołał kierownik z groźbą w głosie. – Jeśli natychmiast mi nie powiesz, to nie będę już taki miły.

Oliver spojrział na fałszywego Ra, dumnie unosząc głowę.

– Nigdy ci go nie oddam – warknął, czując, że coraz trudniej formuje mu się myśli. – I nigdy go nie znajdziesz... Jest już daleko. A ja nie powiem ci gdzie... Nigdy. Możesz mi robić nie wiadomo co, ale mnie nie złamiesz. Nie wiesz, kim jestem. Nie masz pojęcia.

Kierownik wykrzywił się, w jego oczach błysnęła wściekłość oraz bezwzględność.

– Zaraz będziesz błagał, bym cię wysłuchał – syknął, opuszczając pistolet w stronę jego drugiej kostki.

Oliver zbładł jeszcze bardziej, ale był zbyt osłabiony, by zrobić cokolwiek. Mógł tylko dumnie znieść swój los. *Przepraszam, Sonia. Chciałem dobrze... Ale nie dane nam jest uciec oraz zwyciężyć. Przykro mi, że cię w to wciągnąłem –*

pomyślał ponuro.

Wtedy na drugim końcu korytarza pojawiła się sylwetka o blond włosach. Natychmiast przystanęła z zaskoczeniem. Oliver nie widział jej twarzy. Świat zamazywał mu się przed oczami. Czas zwolnił.

Kierownik nacisnął spust.

Chłopak o złotych włosach uniósł rękę w wyrazie desperacji. Jego twarz krzyczała „nie!”.

Rozległ się huk, a kula wystrzeliła przed siebie.

Wtedy cały świat zalała oślepiająca jasność.

Kula rozleciała się na złote odłamki. Wszystkie dźwięki zanikły. Był tylko on. Nienaturalny blask.

Oliver zmrużył oczy. *Umarłem...? Czy właśnie tak wygląda niebo dla bogów?* – pomyślał z osłupieniem, czując, że odpływa. Zsunął się na lodowatą posadzkę. Siły uciekały z niego. Świadomość uchodziła.

Wtedy z oślepiającej jasności wyłoniła się czyjaś sylwetka. Chłopak o blond włosach przykląkł przy Oliverze i chwycił go za drżącą rękę. Jego twarz...

– Rale?! – wyszeptał ze zdumieniem Oliver.

Blondyn uśmiechnął się krzywo.

– Tak, to ja. Niespodzianka.

– Co robisz? Przecież jesteś z nimi.

Rale skrzywił się.

– No, niby tak, odkąd mnie przyłapali na szpiegowaniu pewnej nocy.

Oliver przypomniał sobie, jak beznadziejnym szpiegiem był Rale. Nic dziwnego, że go złapali. To byłby cud, gdyby tego nie zrobili. *A nie mówiłem, że wpadnie, gdy nie będę mu pomagał?*

Tymczasem Rale kontynuował:

– Musiałem się do nich przyłączyć. Ale to tylko pozory. Gdy nadejdzie czas, stanę po drugiej stronie. Bo wiesz, współpracujemy już od bardzo dawna. Też przybyłem tu, by odzyskać Amulet. Ale weź go sobie, tobie bardziej się przyda. Najważniejsze, by nie mieli go oni, tylko któryś z nas. Oh, tak się cieszę, że uwierzyłeś mojej dzisiejszej wiadomości! Bałem się, że pomyślisz, że to jakiś podstęp.

– To byłeś ty?! – zdumiał się bezgranicznie Oliver.

– Tak. I dobrze, że ci powiedziałem o tym spotkaniu, prawda? Teraz mamy Amulet. Próbowałem znaleźć go już wcześniej, ale Mandara musi mieć jakąś dobrą kryjówkę. To właśnie po to poszedłem do Archiwum wtedy, kiedy zauważyła mnie ta Sonia.

– Aha. A teraz... co się właściwie stało? Gdzie zniknął Mandara?

– Nigdzie. Nadal stoi trzy metry od ciebie.

– Nie widzę go. Tylko to światło. Czemu?

– Wiesz, nie tylko ty masz jakieś zdolności. – Rale mrugnął, szczerząc się radośnie. – Ja na przykład umiem zatrzymać czas.

Oliver uniósł brwi z zaskoczeniem. *Ale super!*

– Ale na razie tylko na chwilę. To jest bardzo trudne i męczące – dorzucił blondyn. – Nie mamy więc dużo czasu. Zaraz wrócimy do rzeczywistości. Wtedy mnie już tu nie będzie, bo nie mogę się zdemaskować, a ty musisz uciec. Nie zdołam cię wyleczyć, nie jestem bogiem lekarzy. Ale potrafię oddać ci część moich sił. Nie dużo, bo samo zatrzymanie czasu strasznie mnie wykończyło, ale wystarczająco, byś nie zemdlął przez jakiś czas. Te kule nie są zwykłe. Dlatego tak okropnie się czujesz. Są zrobione specjalnie z myślą o bogach. A nim przecież jesteś, prawda? Tak jak mówiłem. Wiedziałem od początku. Ale jestem po twojej stronie. Zawsze byłem. I zawsze będę. A te kule wysysają z ciebie siły, osłabiają cię, by ułatwić im odebranie ci mocy. W twoim przypadku to prawie niemożliwe, lecz oni przecież nie wiedzą, co nie? Uwaga, zaczynam.

Oliver wciągnął gwałtownie powietrze, gdy przez rękę Rale'a wpłynęła do niego moc, rozjaśniając umysł.

– No, teraz chyba wierzysz, że jesteśmy przyjaciółmi, co? – Jego oczy zabłyśły. – Cóż, nasz czas się kończy, muszę już iść. Ty też się już zbieraj. Zabezpieczyłem tę kulę, więc chwilowo ci nie grozi, ale wykorzystaj zaskoczenie kierownika. Trzymaj się, przyjacielu! Trzymaj się, uciekaj i zwyciężaj. Jestem z tobą.

Rale wstał. Jego sylwetka zaczęła rozmywać się w blasku, gdy odwrócił się, a potem szybko się oddalał.

– Rale! – zawołał wciąż słabym głosem Oliver. – Zaczekaj! Umiesz zatrzymywać czas... Kim więc jesteś?

– Kim ja jestem? – Dobiegł go coraz odleglejszy chichot. – Cóż, chyba czas na moją obiecaną podpowiedź, co? Ale, tak szczerze... dziwne, że jeszcze się nie domyśliłeś. To oczywiste. Gra terenowa, przyjacielu. Tylko jeden bóg włada naszą gwiazdą... Cześć!

Rale zniknął, a Oliver zrobił zdumioną minę. *Co?!*

Nagle otaczająca go jasność zaczęła blednąć. Za chwilę wszystko miało wrócić do normy.

W jednym momencie zapomniał o Rale'u. Szybko spojrzał na swoją kostkę. Zacisnął zęby. Musi coś z nią zrobić! Na szczęście był trochę silniejszy niż przed chwilą, ale i tak czuł, jak rana wysysa z niego energię w zatrważającym tempie.

Natychmiast piasek, a także kurz z podłogi zawirowały w powietrzu i utworzyły coś podobnego do opatrunku, który zacisnął się na jego kostce. Oliver wrzasnął z bólu, ale zmusił się do wytrwania, mimo okropnego uczucia oraz zawrotów głowy.

Otoczenie zaczęło nabierać konturów. Niewiele czasu mu zostało. Może

kilka sekund.

Spojrzał w stronę schodów. Tak. To droga jego ucieczki!

Wyciągnął rękę w stronę leżącej nieopodal apteczki. Wiatr porwał ją z ziemi i pomknął z nią w stronę balustrady.

Wtedy świat ruszył do przodu.

– C...co? – wyjąkał pan Mandara, wytrzeszczając oczy.

Wpatrywał się w miejsce, gdzie eksplodowała jego kula.

Chłopak zacisnął pięści. Potężne uderzenie wiatru odrzuciło kierownika w tył, odbierając mu oddech. W tym samym momencie runęła na niego lawina piachu, kurzu oraz śmieci z kątów korytarza, zasypując go prawie w całości.

Równocześnie wiatr pomógł Oliverowi zebrać się z podłogi, przy okazji prawie rzucając nim o ścianę. Ignorując nieszczęsną nogę, podskoczył do balustrady i chwycił się jej drżącą ręką.

Z każdą chwilą czuł się coraz bardziej osłabiony.

Schylił się, by z trudem podnieść podręczną apteczkę, odnosząc przy okazji wrażenie, że stała się co najmniej pięć razy cięższa niż ostatnio.

Dobiegł go dźwięk biegnących, zbliżających się osób. To pewnie inni obozowicze. Może nawet pan Mandara.

Szybko!

Oliver zacisnął palce na pudełku i przewalił się przez balustradę, słysząc za sobą okrzyki zaskoczenia.

Spadał bardzo prędko, z każdą chwilą będąc bliżej podłogi parteru.

Tuż przed zderzeniem oraz rozplaszczaniem się na płytkach, wezwał wiatr, który poderwał go w bok i pomknął z nim w stronę wyjścia.

No nie! A co oni tu robią?! Wyjście było całkowicie zablokowane przez rozemocjonowany tłum, zbyt gęsty, by się przez niego przebić. Natychmiast rozkazał wiatrowi skrócić, co okazało się kiepskim pomysłem, gdyż obok znajdował się tylko ślepy zaułek z wielkim oknem wychodzącym na marny krzak. *Może się rozbije, jak w nią wlecę* – pomyślał z bardzo złym przeczuciem. Pomknął prosto w szybę, wiedząc, że i tak nie dałby rady wyhamować. BUM!

Jęknął, całe ciało pulsowało mu kłującym bólem. Kostka bolała jeszcze bardziej. Na dodatek rozpadł się piaskowy opatrunek. Siły zaczęły uciekać z niego ze zdwojoną mocą. Czuł zimno podłogi, na której leżał, rozchodzące się bardzo powoli oraz stopniowo łagodzące konsekwencje zderzenia z szybą, która bynajmniej nie rozleciała się na kawałki, jak myślał. Pojawiło się w niej tylko pęknięcie, ale i tak nie tak duże, jakie powinno być po takim zderzeniu.

Straszliwie szumiało mu w głowie, ale szok powoli mijał. W końcu udało mu się otworzyć oczy, a nawet podciągnąć się do pozycji siedzącej, by oprzeć plecy o nieszczęsną szybę. Usłyszał pośpieszny stukot wielu par butów.

Powoli, ignorując ból, uniósł głowę. Kątem oka zauważył leżącą obok niego

wywróconą apteczkę.

Zbliżali się do niego ludzie, którzy wcześniej zagrodzili mu wyjście. Obozowicze, którzy byli na wieczornym spotkaniu z Mandarą. Inni bogowie.

Zobaczył wśród nich Briana, a raczej Oliverververa, spoglądającego na niego podejrzliwie.

W tym momencie ktoś przykląkł przy nim i zapytał przestraszonym głosem:

– Nic ci nie jest? To było zderzenie! Jak ty to... – Nagle dziewczyna, a konkretnie Estera zająknęła się, po czym ucichła.

Jej oczy załśniły wrogo.

– To ty! – syknęła prawie niedosłyszalnie.

– Oliver? – wykrzyknął ktoś z tłumu. – Myślałem, że masz jasne włosy!

– To nie jest żaden Oliver! – warknęła Estera. W jej oczach czaiła się wściekłość, z całej siły zaciskała pięści. – To Briant de Ramen!

Oliverowi zakręciło się w głowie. Dało się słyszeć zdumione okrzyki grozy. Wszyscy oprócz szatynki cofnęli się o krok.

– To ty ukradłeś Amulet Ozyrysa – stwierdziła Estera, z trudem nad sobą panując. – Znowu. Oddaj go.

– Spadaj – mruknął niechętnie.

Jak on jej nie lubił!

– Oddaj mi wisior. Natychmiast – wycodziła przez zaciśnięte zęby, z całej siły wczepiając się w jego rękę i wbijając w nią paznokcie, aż syknął z bólu.

Nagle ktoś krzyknął donośnie od strony klatki schodowej:

– Gdzie on jest?! Gdzie ten mały przestępca?! I co to za zbiegowisko, mieliście zadania do wykonania!

Oliver jęknął cicho. Widocznie Juan Mandara zdążył zejść po schodach. *Świetnie, to już po mnie...*

Słyszając głos mężczyzny, wszyscy poruszyli się niespokojnie, a Estera, ku uldze Olivera, puściła jego rękę. Rzucając mu nienawistne spojrzenie, wstała i pobiegła do pana Mandary.

Tymczasem chłopak skupił się na oddychaniu, chciał się uspokoić oraz zebrać ostatek sił, by nie wyglądać aż tak żałośnie, gdy kierownik do niego podejdzie. Jak przegrywać, to w wielkim stylu. Szczególnie, że był podobno słynnym, poszukiwanym na całym świecie przestępca.

W tym samym czasie, gdy zbierał siły, docierał do niego odległy głos Estery, tłumaczącej się szybko:

– Zgodnie z rozkazem poszłam do pokoju po Sonię, ale nie dałam rady dostać się do środka. W wejściu zostałam odrzucona przez bardzo silny wiatr, a drzwi się zatrzasnęły. Nie mogłam ich otworzyć. Poprosiłam wszystkich, którzy również mieszkają na naszym piętrze, żeby dalej próbowali jakoś wejść, a ja pobiegłam komuś o tym powiedzieć. Spotkałam ich wszystkich tu, na dole,

i właśnie pytałam, czy czasem pana nie widzieli, kiedy on – ten wyraz wymówiła z obrzydzeniem – przemknął obok nas, a w następnej sekundzie grzmotnął w szybę. Zranił się w nogę, chyba nie może chodzić. To Briant de Ramen!

Jej ostatnie słowa wprost ociekały odrazą.

– Wiem – warknął Juan Mandara i zaczął przepychać się w stronę Olivera, mówiąc: – To on był w pokoju Soni Milewskiej, która zniknęła. Wolę nie myśleć, co mógł jej zrobić taki zwyrodniały morderca jak on.

Przez tłum przebiegł szum niepokoju. Estera zmrużyła wrogo oczy, w których zalśnił też lęk o koleżankę.

Oliver zacisnął zęby, czując się bardzo słabo. Za słabo na cokolwiek. Nawet na stworzenie nowego opatrunku.

Zdawało mu się, że pomoc od Rale'a była bardzo mała. Ale i tak chwilowo uratowała mu życie. Szkoda, że chwilowo.

– A wy, czemu staliście w korytarzu? Kazałem wam zabezpieczyć teren na zewnątrz – zauważył lodowato kierownik, będąc coraz bliżej szyby. – Sobek, odpowiedz.

Oliverowi szybciej zabiło serce. Kto jest Sobkiem?

– Tak, panie – odrzekł jakiś chłopak, którego zasłaniał rannemu brunetowi inni. Bardzo chciał go zobaczyć, lecz nie dał rady. Sfrustrowany zacisnął zęby. – Tak mieliśmy zrobić, ale usłyszeliśmy upiorne wycie od strony pustyni. Rozważaliśmy, jaką broń wziąć ze sobą, czy taką na istoty żywe, czy na umarłe...

– Bzdura – burknął Juan Mandara. – Oczywiście, że na żywe. Umarli by się tu nie zapuścili, chyba, że kazałby im Ozyrys. A jego nie ma na tym świecie. Jeszcze. Czyli nie mógł tego zrobić. Musi to być jakiś żywy zwierz.

– Albo upiór lub demon – jęknął ktoś z tłumu.

– Cicho, Bastet. Set musiałby go wezwać, a nie ma go wśród nas. Wciąż.

Aha – pomyślał w duchu Oliver, zbierając w sobie ostatek sił. *Ale oni tępi.*

– A co do ciebie... – Pan Mandara spojrział na niego takim wzrokiem, że chłopak natychmiast poczuł chłód i zadrżał. – Wyznaczono wysoką nagrodę za twoją głowę...

Uniósł lekko pistolet, uśmiechając się okropnie, a Oliverowi przyspieszyło serce. Wpatrywał się w czarny przedmiot ze zgrozą, zastanawiając się intensywnie, lecz z niepokojem, czy bogowie są naprawdę nieśmiertelni. Bo jeśli tak, to czy nie powinni być przy okazji odporni na zranienia?

Tymczasem Juan Mandara odbezpieczył pistolet oraz powiedział:

– Chyba czas zadzwonić do odpowiednich osób. Zawiadomić ich o tragedii, która miała tu dziś miejsce.

Mężczyzna zaczął powoli unosić broń jeszcze wyżej, delektując się tą chwilą.

Chłopak zamarł, czekając na strzał i bardzo starając się nie pokazać strachu.

Zaraz zobaczymy, czy bogowie żyją wiecznie – pomyślał, po czym zadrżał. Wcale nie był tego pewny.

I wtedy bardzo blisko budynku rozległo się głośnie, upiorne wycie. Wszyscy wstrzymali oddech, a także zaczęli spoglądać na siebie z przerażeniem. Twarz Olivera drgnęła, w jego powiększonych oczach zajaśniało niedowierzenie.

– Co to było...? – zapytał ktoś cicho, ze strachem.

– Salaawa – odparł Oliver spokojnym głosem, patrząc na przerażonych przeciwników błyszczącymi oczami.

Uśmiechnął się słabo, ale radośnie.

– Nie, to niemożliwe! Co on też plecie? – odezwał się nerwowo zmęczony Rale, wyłaniając się z tłumu i przystając obok Olivera.

W następnej sekundzie, gdy pan Mandara otworzył usta, by coś powiedzieć, zwierzę ponownie zawyło upiornie, lecz tym razem musiało być jeszcze bliżej niż wcześniej. Wszyscy zadrżeli. Oliver zmrużył lśniącego oczy.

Wtedy rozległ się ogłuszający dźwięk tłuczonego szkła. Coś wielkiego wpadło na nadwyrężoną szybę, roztrzaskało ją w drobny mak i z poślizgiem wyładowało na podłodze korytarza.

Szklane odłamki rozdzwoniły się na podłodze, ścianach. Dosięły też obozowiczów, którzy natychmiast odskoczyli do tyłu, osłaniając twarze z okrzykiem zaskoczenia.

Potem wszyscy z osłupieniem wpatrzyli się w wielkie, warczące zwierzę, jakiego jeszcze nigdy nie widzieli.

Stworzenie zerknęło szybko na Olivera, a potem na obozowiczów i zjeżyło biały grzbiet, odsłoniło lśniącego, ostre kły oraz zawarczało głucho. W wibrujących tonach czaiło się ostrzeżenie, a także groźba.

Ranny chłopak uśmiechnął się radośnie.

– Sahara... – jęknął ze wzruszeniem. A jednak cuda się zdarzają!

Zwierzę było wielkim psem, tylko trochę mniejszym od doga, o niezwykłym, groźnym wyglądzie oraz długim, puszystym ogonie. Ciało miało muskularne, ale bardzo smukłe, pokryte krótką, jasną, kremową sierścią. Jego głowa była zakończona pyskiem większym, a właściwie dłuższym niż u normalnego psowatego. Miało ono na dodatek sterczące do góry, lekko owalne uszy, niezwykle duże, a przynajmniej dużo większe od normalnych psich uszu.

Wielki pies warczał basowo, odsłaniając ostre zęby, i z inteligencją w dużych oczach, będących w kolorze płynnego złota, wpatrywał się w zmarłego z zaskoczenia Juana Mandarę, a także w otaczających go przerażonych nastolatków.

– To coś osłania Olive... znaczy Brianta – zauważył ktoś stłumionym głosem.

– Ale co to jest? – zapytała cicho jakaś dziewczyna, bojąc się ruszyć.

– To Salaawa – powtórzył głośno Oliver zadowolonym tonem.

Pan Mandara zbladł, wziął gwałtowny wdech, a potem powiedział zdumiony:

– Nie. Niemożliwe! Przecież to jest...

Zamilkł i zrobił zaniepokojoną minę, zerkając badawczo na rannego chłopaka.

– To jest co? – zadał pytanie drżącym głosem ktoś z tłumu.

– Zwierzę Seta – dokończył mężczyzna, patrząc uważnie w kasztanowe oczy.

– Właśnie. – Oliver uśmiechnął się triumfalnie, po czym dodał, krzywiąc się wrednie: – Tak, to ja. To mnie szukaliście. Ja jestem Władcą Piasków!

Wszyscy wytrzeszczyli oczy i zastygli z zaskoczenia.

Oliver wzdrygnął się i natychmiast szybko wycofał się z tłumu.

Rale zagryzł nerwowo wargę, równocześnie odprowadzając Francuza zdziwionym spojrzeniem, w którym czaiła się także nuta podejrzliwości.

Tymczasem Oliver dorzucił rozkazującym tonem, mrużąc lśniąco niebezpiecznie oczy:

– Sahara, zabierz mu broń!

Salaawa lotem błyskawicy skoczyła przed siebie, powalając i przygniatając kierownika.

Otoczający go tłum natychmiast rozbiegł się w panice, wrzeszcząc.

Ranny chłopak sięgnął po apteczkę, ignorując nową falę osłabienia. W tym samym momencie podbiegła do niego Sahara, trzymając w pysku czarny pistolet. Szybko go zabezpieczył, upewniając się równocześnie, że kierownik dopiero zrywa się z podłogi.

– Na niego – mruknął szybko, a pies warknął i błyskawicznie skoczył na mężczyznę, ponownie go przyduszając. Przystawił odsłonięte groźnie kły do jego gardła, warczał głucho oraz zerkał to na Olivera, to na zamartwionego z przerażenia kierownika, czekając na pozwolenie.

– Zabierz to – jęknął z paniką pan Mandara. – Nie zabijaj mnie!

Chłopak obrzucił go lodowatym, nienawistnym spojrzeniem.

– Nie jesteś godny, by ona cię zabiła – prychnął kpiąco. – A oprócz tego, to by było zbyt szybkie i proste. Moja zemsta będzie straszna, a twoja śmierć długa i bolesna. Szykuj się.

Następnie resztkami sił sprawił, że burza piaskowa sięgnęła po niego swoimi piaszczystymi ramionami przez wybitą szybę.

– Sahara! Do mnie – zawołał, a ona natychmiast odskoczyła od kierownika, by w następnej sekundzie zniknąć w złotym, wirującym tumanie piachu.

Zostali porwani w powietrze i wystrzelili w stronę wydmy, gdzie czekała prawdopodobnie wciąż nieprzytomna Sonia.

Juan Mandara patrzył, jak znikają, próbując szybko zebrać się z podłogi oraz wrzeszcząc z wściekłością:

– NIE!!! Łapcie go! Przecież to Set! Macie go złapać, póki jest słaby!!!

Tylko że wszyscy dawno schowali się na wyższym piętrze ze strachu przed Salaawą i nikt nie odważył się przyjść na jego zawołanie.

Jedynie Oliververver nie trzymał się reszty przestraszonych bogów. Wpadł do swojego pokoju, a potem wyciągnął ze skrytki w walizce czarny telefon. Błyskawicznie wybrał jakiś numer oraz przygryzał nerwowo wargę, czekając w napięciu, aż osoba po drugiej stronie odbierze.

W końcu wzdrygnął się na dźwięk twardego, męskiego głosu.

– Szefie, znalazłem go – zgłosił szybko, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem. – Tak, jestem pewien. Sam to powiedział.

Tak! Wreszcie. Jego misja zakończyła się sukcesem. No, prawie. Jeszcze musieli go złapać. Szybciej niż ta banda nieudaczników, nazywająca siebie dumnie egipskimi bogami.



Rozdział dwudziesty pierwszy

WŁADCA PIASKÓW

Oliver mógł tylko trochę osłabić impet, z jakim pustynny wiatr cisnął nim, Saharą oraz apteczką o wydmnę. Był tak wyczerpany, że całkowicie tracił panowanie nad otoczeniem. Burza piaskowa nadal szalała, ale wyczuwał, że powoli słabnie. Siła uderzenia o podłoże wycisnęła mu z płuc całe powietrze, przez chwilę nie mógł w ogóle oddychać. Potem powoli dźwignął się na łokcie i podciągnął się na szczyt wzniesienia, gdzie usiadł, znajdując oparcie w zielonej walizce. Choć wszędzie dookoła szalał wiatr, na wydmie było nienaturalnie spokojnie.

Zamknął oczy i zmusił się do zachowania przytomności umysłu. Nie było to łatwe, kostka straszliwie go bolała, na dodatek był cały w siniakach po zderzeniu z solidną szybą. Z wyczerpania kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że zapada się w wydmnę, spada gdzieś do tyłu. Nigdy w życiu nie czuł się aż tak źle. Wydawało mu się, że Rale wcale mu nie pomógł. Był wykończony.

Nagle coś mokrego dotknęło jego twarzy. Z trudem otworzył oczy i ujrzał siedzącą przy nim Saharę. Salaawa przekrzywiła głowę, po czym ponownie dotknęła wilgotnym nosem policzka swego pana, popiskując cicho.

– Hej. – Uśmiechnął się blado, kładąc rękę na jej głowie. – Też się cieszę, że cię widzę. Urosłaś od ostatniego lata, wiesz? Nie jesteś już puszystą kulą, tylko największym psem, jakiego w życiu widziałem. Oprócz dogów, rzecz jasna.

Oliver spojrzał nad jasnym grzbietem Sahary na wciąż nieprzytomną Sonię, leżącą z trzy metry dalej. Pocztał niepokój. Co z nią? Nie mógł nawet sprawdzić, czy wciąż ma gorączkę. Nie miał siły, by wstać, ani by w jakikolwiek inny sposób się ruszyć. *Jak ja mam jej pomóc w takim stanie?* – zaniepokoił się nie na żarty.

Odetchnął niespokojnie. Najpierw musi zająć się swoją nogą. To nie ulegało wątpliwości. Bez tego nie da rady ruszyć dalej. Im szybciej pozbędzie się źródła

osłabienia, czyli kuli na bogów, tym lepiej. Zmusił się do spojrzenia na nieszczęsną kostkę, która bez przerwy straszliwie go bolała. Piasek wokół niej był cały we krwi. Musiał się uzdrowić. Nie był co prawda pewien, czy potrafi, ale miał nadzieję, że tak. Nie wiedział jeszcze, jak się do tego zabrać, ale jedno nie ulegało wątpliwości. Na początek musi pozbyć się buta. Bał się zacząć, lecz w końcu, myśląc, że im szybciej się do tego zabierze, tym szybciej skończy, przełamał się i zmusił do działania.

Zacisnął zęby z całej siły, a następnie z trudem przesunął zranioną nogę bliżej siebie. Powoli ściągnął zakrwawiony but, drżąc z bólu. Z oczu nieprzerwanie płynęły mu strumienie łez.

Gdy nieszczęsne obuwie wreszcie wylądowało na piasku, Oliver schował wykrzywioną cierpieniem twarz w roztrzęsionych dłoniach. To tak strasznie bolało! Był taki wyczerpany! Na samą myśl, ile skupienia oraz wysiłku potrzeba do tego, co planował, zakręciło mu się w głowie. W życiu nie da rady!

Wtedy poczuł, jak coś wielkiego oraz ciepłego przytula się do niego. Była to Sahara. Objął ją z całej siły i wtulił głowę w jej ciepłą szyję, szukając pomocy oraz ucieczki od bólu. Po chwili trochę się uspokoił. Cały czas przytulając się do pustynnego zwierzęcia, wyszeptał smętnie, drżącym głosem:

– Nie dam rady. Potrzebuję więcej siły, wiesz?

Spojrzał na swoją kostkę. Spuchła do naprawdę wielkich rozmiarów, była cała czerwona i wciąż krwawiła. *Przynajmniej jakoś zatamuję krwotok* – postanowił, czując się całkowicie wykończonym. Wiedział, że nie da rady użyć swojej mocy. Może liczyć tylko na apteczkę. Jak zwykły śmiertelnik. Akurat wtedy, gdy magia najbardziej by mu się przydała. Cóż za ironia.

– Sahara, apteczka – wyszeptał, puszczając Salaawę, która błyskawicznie przyciągnęła do niego metalowe pudło, a potem usiadła bliźutko swojego pana, podtrzymując go nieco.

Oliver zaczął siłować się z zatraskiem apteczki. Była zamknięta aż za dobrze, za nic nie chciała się otworzyć, choć starał się, jak mógł. W końcu oparł się wyczerpany o walizkę, dysząc ciężko oraz cudem powstrzymując się od omdlenia. Głupie pudło!

Nagle Sahara napięła mięśnie i zawarczała ostrzegawczo. Zaniepokojony Oliver z trudem otworzył oczy, czując coraz większe zawroty głowy. Zerknął na Salaawę, która z odsłoniętymi zębami wpatrywała się w piasek jakiś metr od niego. Również spojrzał w tamtą stronę. Ujrzał mały cień, przemieszczający się powoli po wydmie.

Skorpion! Na pewno jadowity.

Nagle drgnął, gdy przypomniało mu się coś szalenie ważnego. Poczł wzbierające w nim napięcie. Jego przyjaciel, prawdziwy Ra, nie ten grubas w świecącej koronie, jakieś pół roku temu opowiadał mu coś o skorpionach!

Wyteżył pamięć. Co to było? Co on mówił? Spróbował cofnąć się pamięcią do tamtej chwili. Zamknął oczy, czując, jak powoli odpływa.

* * *

Mężczyzna o złotych włosach oraz poważnych, słonecznych oczach siedział na ławce obok placu zabaw i uśmiechał się pogodnie.

– Wiesz – mówił – bogowie mogą czerpać siłę ze stworzeń, które są im poddane. Mogą to jednak robić tylko w naprawdę poważnych sytuacjach.

– Jak to? – zdziwił się tamten dawny chłopak, słysząc śmiech młodszej siostry dobiegający od strony huśtawek. – Dlaczego tylko wtedy? To niebezpieczne?

– Nie, skąd – zaśmiał się mężczyzna. – Ale trzeba wypowiedzieć specjalne słowa.

– Jaki to problem? Słów można się przecież nauczyć na pamięć, jeśli nie można ich zapamiętać.

– Tak, ale widzisz, te konkretne słowa zna się tylko w odpowiednich chwilach. Później od razu się je zapomina.

– Można zapisać – zauważył.

– Zapewniam cię, że i tak znikną. Ale, ale! Nie chmurz się, bo będzie padać. Gdy będziesz ich potrzebował, przyjdą do ciebie i na pewno cię nie zawiodą.

– Jaki jest pożytek ze słów, których się nie zna? No, a skąd mam wiedzieć, która chwila jest odpowiednia? – burknął z niezadowoleniem.

– Bystry jesteś, więc na pewno zorientujesz się, gdy nadejdzie czas. A co do pierwszego pytania, to pożytek jest naprawdę wielki. Zabierając zwierzęciu jego energię, wchłaniasz ją w siebie. Dzięki temu odzyskujesz pełnię sił, mija senność, rany znikają, a także niektóre objawy chorób...

– To bogowie chorują? – jęknął z zawodem.

– ... i wiele innych, zależnie od potrzeby oraz sytuacji. Tak, chorują, tak samo jak ludzie.

– Eee, to beznadziejnie! A wracając do tematu, to jakich zwierząt można użyć?

– Zależy, każdy bóg ma inne.

– A ty?

– Głównie ptaki. Są to zwierzęta ze środowiska, nad którym jakiś bóg panuje szczególnie. U mnie to powietrze.

– A u mnie?

– Nie wiesz? To w miarę oczywiste. Pustynia. Set to w końcu pan pustyni.
– Ale super! Czyli na przykład moim zwierzęciem jest dingo?
– Tak, ale także skorpiony, węże i wiele innych. Ale tylko te gatunki, które żyją na pustyni, pamiętaj.
– A lepiej użyć tych większych zwierząt, prawda? – drażył temat. – Wtedy zyskuje się więcej energii?
– Nie, za każdym razem odzyskuje się pełnię sił. Zatem lepiej używać tych mniejszych stworzeń, bo odebranie im energii kosztuje mniej wysiłku. To może czasami zaważyć nad losem twoim i twojego otoczenia.
– Super! Nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę czemuś energię pierwszy raz!
– No, nie wiem. – Ra miał dość niepewną minę. – Takie okazje trafiają się tylko w skomplikowanych, beznadziejnych, przerażających chwilach.
– Tylko?
– Tak.
– To trudno, w takim razie jakoś bez tego przeżyję. – Wzruszył ramionami. Nagle rozbłysły mu oczy i spojrzał na przyjaciela z ciekawością. – Czy wszyscy bogowie mają taką samą moc?
– Nie, są bogowie silni i słabi.
– A ja do których należę?
Mężczyzna zachichotał wesoło.

* * *

Echo jego głosu wciąż rozbrzmiewało w powietrzu, gdy Oliver otworzył rozjaśnione oczy, wracając do rzeczywistości. Doskonale pamiętał odpowiedź, jaką dał mu bóg Słońca.

– Jesteś najsilniejszy, Secie. Pewnie nigdy nie odkryjesz, jak bardzo – wyszeptał do siebie usłyszane dawno słowa, czując, jak do serca wraca mu nadzieja.

Tak, był Władcą Piasków. Najpotężniejszym z bogów. To właśnie on.

Nagle zakręciło mu się w głowie, świat zakołysał, stracił kontury i bardzo chciał odpląnąć gdzieś w dal. Chłopak odniósł przerażające wrażenie, że ledwo udało mu się nie stracić świadomości. *Taaa, najsilniejszy. Ale chyba nie w tej chwili. Muszę się spieszyć* – pomyślał z rosnącym niepokojem. *Jeszcze tylko tego brakuje, żebym teraz zemdlął i żeby nas przez to złapali!*

Czując się bardzo słabo, zupełnie nie jak niezwykle potężne egipskie bóstwo, spojrzał w bok. Skorpion nadal spacerował sobie gdzieś z dwa metry dalej,

zupełnie nie zwracając na niego uwagi.

Sahara wciąż głucho warczała i obserwowała intruza, gotowa się na niego rzucić, gdyby podszedł za blisko lub rzucił się na jej pana.

Oliver położył Salaawie uspokajająco rękę na grzbiecie. Zrozumiała. Popatrzyła na niego swymi wielkimi, mądrymi oczami w kolorze płynnego złota, a następnie położyła się na piasku, opierając łeb na potężnych łapach. Nie spuszczała jednak czujnego wzroku ze skorpiona, strzygąc uważnie uszami.

Chłopak drugą dłoń położył na piasku, wnętrzem do góry. Wiedział, co robić, bardzo dokładnie, choć nie miał pewności skąd. Tak jak mówił Ra. Słowa do niego przyszły. Jego oczy jaśniały w mroku nocy, wydawało się, jakby płynnie, łagodnie wirował w nich piasek.

– Stworzenie pustyni, przyjdź na wezwanie twojego władcy – powiedział cicho, z powagą oraz mocą, czując, jak powietrze wokół niego wypełnia wibrująca energia.

Czarny punkt natychmiast zareagował, przystając. Prędko zawrócił i żwawo ruszył w stronę Olivera, który wraz z Saharą obserwował jego trasę bardzo uważnie.

Mroczne stworzenie bez wahania weszło na wyciągniętą w jego stronę dłoń, po czym zastygło w bezruchu. Chłopak uśmiechnął się z dumą, jaśniejący piasek w jego oczach zatańczył niczym pod wpływem podmuchu wiatru.

Władca Piasków uniósł rękę, zatrzymując ją na poziomie twarzy. Skorpion ani drgnął. Czekał na rozkaz.

– Oddaj życie swemu panu, jednemu z Nieśmiertelnych. Niech twój duch oraz ciało stanie się częścią potężnej, wiecznej pustyni, a siła częścią jej strażnika i władcy. Zawiruj wraz z moją burzą piaskową, pustynne stworzenie – wyrecytował uroczyście Set, wpatrując się w czarnego skorpiona, a potem dmuchnął na niego lekko, przymrużając oczy.

Natychmiast zerwał się gwałtowny wiatr, który wzburzył piasek wydmy, uniósł go w szaleńczym tańcu i niczym za zasłoną zamknął boga pustyni oraz jego małego sługę w wirującym piaszczystym tumanie. Sahara odskoczyła w bok, z niepokojem zerkając na dziwne zjawisko.

Oliver poczuł nagle, jak opuszczają go wszystkie siły, słabł i słabł, i słabł. Miał wrażenie, że nigdy się to nie skończy, choć wszystko działo się błyskawicznie. A potem raptownie wziął gwałtowny wdech oraz wytrzeszczył oczy, czując, jak moc wlewa się w niego gigantycznym strumieniem. Ciągle jej przybywało, a w porównaniu z wcześniejszą ucieczką siły, była o wiele szybsza i potężniejsza.

Piasek wirujący wokół niego zaczął świecić jasnym, złotym blaskiem, który stawał się coraz intensywniejszy.

Poczuł, jak skorpion w jego dłoni zaczyna się sypać w proch. On sam nie

mógł się ruszyć, ani nawet drgnąć, ale jednak zauważał zachodzące w nim zmiany. Zniknęło osłabienie i zmęczenie, a także ból głowy oraz wszystkie inne dolegliwości. Myśli znów stały się jasne i przejrzyste. Obolałe ciało stopniowo przestawało dokuczać. Kostka bolała o niebo mniej. Czuł się potężny jak jeszcze nigdy. A siły wciąż przybywało. Miał wrażenie, że jej rwący strumień nie zatrzyma się nigdy. A potem...

Oliver zachłysnął się powietrzem i zamrugał intensywnie, gdy nagle jego otoczenie zabłysło oslepiająco, a wirująca zasłona zatrzymała się, po czym opadła na wydmnę, rozsypując się dookoła.

Czując, jak mocno bije mu serce, z osłupieniem spojrzął na swoją dłoń. Znajdował się na niej tylko kopczyk złotego piasku, który połyskiwał i lśnił w świetle wielkiego, jaśniejszego zimnym blaskiem księżyca oraz otaczających go gwiazd.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem. Udało mu się! Skorpion stał się częścią pustyni, a on odzyskał pełnię sił, nie był już w ogóle śpiący, czuł drżącą w sobie gigantyczną moc, gotową zniszczyć cały świat, nic go nie bolało... Zaraz! NIC?!

Błyskawicznie zwrócił wzrok na postrzeloną kostkę. Zamrugał gwałtownie, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Nie było rany, płynącej krwi, opuchlizny. Stopa miała nawet normalny kolor. Jednym słowem, nie było najmniejszego śladu po wcześniejszym urazie! Przynajmniej z zewnątrz.

Niedowierzając jeszcze, że to, co tak piękne, może być prawdziwe, powoli poruszył nogą, wpatrując się w nią z napięciem. Poczuł gigantyczną ulgę, gdy nic go nie zabolalo. Był zdrowy, całkiem zdrowy!

Zerwał się na nogi, wciąż wpatrując się w prawą kostkę. Na szczęście funkcjonowała zupełnie jak dawniej. Nie bolała ani trochę.

– Ale super! – ucieszył się dziwnie wysokim, niedowierzającym głosem, a echo jego śmiechu rozniosło się po pustyni.

Sahara zjawiła się przy nim, machając ogonem oraz przekrzywiając głowę. Opadł na kolana i przytulił się do niej mocno, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Potem nagle przypominał sobie o Soni. Otworzył szeroko oczy i odsunął się od Salaawy, patrząc w stronę dziewczyny. Spoważniał, zdając sobie sprawę, że nie wie, co jej jest. *Ale to nic poważnego, prawda...?*

Gdy tylko znalazł się przy niej, zdał sobie sprawę, że niestety było z nią nie najlepiej. Łagodnie mówiąc, nie najlepiej. Oddychała ciężko oraz płytko, krzywiła twarz przy napadach drgawek, była cała rozpalona, ale równocześnie trupio blada. Przysiadł obok niej, intensywnie zastanawiając się, co teraz? Sahara przytruchtała i usiadła po drugiej stronie chorej, przypatrując się jej uważnie.

Znał tylko jedną rzecz, która mogłaby ją uzdrowić.

Wstał, a sekundę później wyciągnął ze swojego plecaka lśniący złotem

Amulet Ozyrysa. Gdy tylko go dotknął, poczuł iskrę potężnej energii, która przemknęła przez jego ciało, sięgając aż do serca. Oliver spojrział na błyskające kusząco kamienie szlachetne. Amulet posiadał bardzo potężną moc, nie miał co do tego wątpliwości. Martwiło go, czy umie ją uwolnić. Usiadł obok Soni i zmarszczył brwi. Może na początek spróbuje położyć go na jej ręce? Może zadziała?

Z niewielką nadzieją włożył go w jej zaciśniętą kurczowo dłoń, co wcale nie było takie proste. *Proszę, zadziałaj* – pomyślał, wstrzymując oddech. Czekał dłuższą chwilę. Wypatrywał jakiegoś znaku, światła, czegokolwiek. Ale nic się nie zdarzyło. Zupełnie nic.

Wrócił do oddychania, szukając w głowie innych rozwiązań.

– Włącz się – zażądał, ale nadal nic się nie stało.

To nie to. Muszę znaleźć inny sposób.

Ułożył Amulet na jej głowie, szyi, łokciu, potem ustawił go obok głowy, za nią, pod nią. Zakopał go w piasku, przytrzymał nad nią. Wypróbował przy tym najróżniejsze zaklęcia, nawet „abrakadabra”, ale nie zadziałało. W sumie miał wątpliwości, czy w ogóle istnieje coś takiego jak „magiczne zaklęcia”, ale nie mógł wyobrazić sobie innego sposobu na włączenie starożytnego, boskiego wisiora, przepelnionego nieskończoną (chyba) mocą.

Nic. Bez skutku. Żaden z jego błyskotliwych pomysłów nie zadziałał. Miał tylko przerażające wrażenie, że z każdą chwilą było z nią coraz gorzej.

– Nie, no błagam – jęknął z rosnącym rozdrażnieniem. – To nie może być takie trudne!

Lecz gdy następne próby nie dały zupełnie żadnych rezultatów, całkowicie się zirytował.

– Super! Nie umiem go używać – zezłościł się, z całej siły ciskając Amulet gdzieś na bok.

I co teraz? Rzucił Saharze bezsilne, zdenerwowane spojrzenie.

– Co ze mnie za bóg, skoro nawet nie mogę jej pomóc? – skrzywił się niechętnie. – A podobno jestem taki potężny... Taaa, jasne. To dlaczego nie umiem jej uzdrowić?!

Sahara tylko zastrzygła smutno uszami.

– Jestem do niczego – mruknął smętnie. – A już dawno powinno nas tu nie być. Mielibyśmy dużo więcej czasu, gdybym nie poszedł po to... – Nagle zająknął się i wytrzeszczył oczy. – O rany! Głupie pudło!

Odwrócił się w stronę zielonej walizki, obok której na piasku leżała sobie porzucona apteczka. Wyciągnął w jej stronę rękę, a pustynny podmuch posłusznie porwał ją z ziemi i podstawił na wydmie tuż przed jego dłonią. Tym razem wystarczyło, że mocno szarpnął, a pudełko otworzyło się z głośnym zgrzytem. W środku znajdowało się mnóstwo tabletek, bandaży oraz innych rzeczy, których zastosowania nawet się nie domyślał. Był tylko jeden, dość istotny problem –

wszystko było podpisane po arabsku.

– Nieee...! – stęknął Oliver. – A tyle się trudziłem, żeby to zdobyć. Nie mam nawet pojęcia, co tu jest! Bez sensu, zupełnie bez sensu.

Zagryzł wargę, zatrzasnął wieko apteczki i odepchnął ją ze złością na bok. Super. Teraz nawet Rale się nie zjawi i mu nie pomoże. Jest sam. Musi sobie jakoś poradzić.

Nagle pewna myśl zaświtała mu w głowie. Zamarł. Rale! On... on mu pomógł. Przelał w niego część swojej energii! Tak! *Może ja też tak mogę zrobić? A gdy połączę to z mocą Amuletu... Tak! To może być to.* Na twarzy rozkwitł mu sprytny uśmiech. Miał nowy pomysł. Może tym razem zadziała. Oby.

Sięgnął po odrzucony na bok Amulet. Gdy tylko go dotknął, poczuł przepływający przez niego strumień energii. Dokładnie o to chodzi! Może mógłby przepłynąć do Soni i, kto wie, może mógłby ją uzdrowić...? W końcu wskrzesza zmarłych, a to jest dużo trudniejsze od uzdrowienia chorej nastolatki.

– Proszę, niech to zadziała – wyszeptał, zaciskając palce na drogocennym wisiorze.

Wolną ręką chwycił drżącą dłoń Soni i zamknął ze skupieniem oczy.

Wyczuł, jak gwałtownie zalewa go odblokowana moc Amuletu Ozyrysa. Pozwolił, by płynęła, równocześnie kierując ją do drugiej ręki. Skupił się najmocniej, jak umiał.

Moc wystrzeliła z jego palców i zaczęła przepływać do dłoni chorej. Oliver wzmocnił strumień swoją własną siłą. Czuł, jak płynie. Nie wiedział, czy powinien już przestać, czy może jeszcze nie. Miał nadzieję, że Amulet sam pozna, gdy Sonia będzie już zdrowa.

Dlatego czekał. A moc płynęła.

Nagle dłoń dziewczyny drgnęła. Właśnie miał się ucieszyć, gdy strumień energii w pewnym momencie zupełnie zmienił swój kierunek. Natychmiast zatrzymał swoją falę i skrzywił się.

Tym razem to z palców Soni przepływała do niego moc Amuletu. Ale nie była czysta. Była skażona, pełna choroby.

Syknął z bólu, czując, jak wrzące, palące zaburzenie wpływa do jego krwi. Miał wrażenie, że zaraz spali się od wewnątrz. Zdawałoby się nieskończony strumień choroby płynął przez niego nieprzerwanie, znikając w lodowatym Amulecie Ozyrysa.

Z całej siły zacisnął powieki i zęby, starając się wytrzymać parzącą torturę.

Wreszcie wszystko ustało tak nagle, jak nożem uciał.

Otworzył szeroko oczy, intensywnie mrugając. Odrzucił wisior, wciąż czując się niepewnie. Zszokowany rozglądął się dookoła.

Ze zdumieniem zauważył, że Sonia lekko świeci, jednak jej blask był coraz bardziej nikły, aż całkiem się zdematerializował.

Oddychała normalnie: spokojnie i głęboko. Uśmiechnął się z gigantyczną ulgą. Nie było śladów dziwnej choroby, wszystko wróciło do właściwego, zdrowego stanu.

– Uff! Jak dobrze – odetchnął, po czym uśmiechnął się radośnie. – Tak! Udało mi się! Uratowałem ją. Jestem super!

Czując rozpierającą go, pełną triumfu energię, zerwał się z ziemi i spojrzał roziskrzonym wzrokiem, przez resztki burzy piaskowej, w stronę obozowych budynków.

– Uzdrowiłem ją i siebie, słyszycie? Nic mi nie możecie zrobić. Jestem Set, bóg pustyni! Najsilniejszy ze wszystkich bogów! – oznajmił dumnie, z blaskiem w kasztanowych oczach. – I mam dość bycia tylko pionkiem w ręku ślepego losu. Od dziś to ja decyduję o tym, co dzieje się wokół mnie. Pokrzyżuję wam wszystkie plany. Nie będziecie rządzić światem! A potem was zniszczę. Jednego po drugim, albo wszystkich naraz. Zemszczę się za to, co mi zrobiliście. Jestem tak potężny, że na pewno mi się uda!

Rozpromieniony rzucił budynkom wyzywające spojrzenie, a potem objął wzrokiem rozciągającą się dalej niż horyzont pustynię, wciąż czarną pomimo różowiącego się nieba.

Świtało. Zanim zrobi się całkiem widno, powinni stąd zniknąć.

W tym momencie Sonia wzięła głęboki oddech i jęknęła cicho. Odwrócił się w jej stronę, akurat w chwili, w której otworzyła oczy. Podszedł do niej, gdy usiadła.

Spojrzała z całkowitym zdumieniem najpierw na niego, potem na otaczającą ich pustynię, wreszcie na swoją walizkę, po czym otworzyła usta, by coś powiedzieć. Jednak zabrakło jej słów, więc zamknęła je i tylko spojrzała na niego z osłupieniem.

– Cześć. Jak się czujesz? – zapytał trochę niepewnie.

Nie wiedział, co Sonia o tym wszystkim pomyśli. Czy pamięta cokolwiek sprzed paru godzin? Jak by zareagowała, gdyby jej wszystko opowiedział?

– D...dobrze – odparła cicho, a potem dodała z zagubioną miną: – Ale co ja tutaj robię? Jak się tu znalazłam? Czemu ty tu jesteś i dlaczego zamiast w pokoju, budę się na pustyni?

– Musieliśmy się ewakuować, a... – zaczął, po czym się zaciął.

Czy na pewno powinien jej wszystko powiedzieć?

Nie, zdecydowanie nie. Wziął głęboki oddech i zdecydował się na obranie innej drogi rozmowy.

– Co? Ewakuować? Dlaczego? – zadawała pytania zdumiona Sonia.

– Ee... nieważne. Ale... nie pamiętasz, co ci mówiłem? – zdziwił się. – O ucieczce, marionetkach...

– No, szczerze... – Dziewczyna spojrzała na niego jeszcze bardziej

zaskoczona. – Nie za bardzo. A raczej w ogóle. Mówiłeś coś takiego?

– Tak! Nie pamiętasz?

– Nie.

– Zupełnie nic? – upewnił się z rosnącą rezygnacją.

– No... – Blondynka zmrużyła oczy, starając sobie coś przypomnieć, po czym powiedziała bardzo wolno: – Czekaj, czekaj... Oh! – wykrzyknęła po chwili, rzuciła koledze obrażone spojrzenie i dodała: – Pamiętam tylko, jak przychodzisz do mnie w środku nocy, zapalasz wszystkie światła, a potem coś do mnie wrzeszczysz!

Oliver zrobił niepewną minę, która szybko ustąpiła miejsca niedowierzaniu oraz oburzeniu. Miał nadzieję, że Sonia jednak potraktowała jego mowę w miarę poważnie, a tu okazało się, że nawet go nie słuchała! Świetnie.

– Przez ciebie poczułam się jeszcze gorzej! – kontynuowała tymczasem dziewczyna, wciąż z niezadowoloną miną. – To był jakiś koszmar! A ta głowa...

– Dobra, dobra, przestań już – przerwał jej błyskawicznie. – Teraz nie ma czasu. Musimy wiać – mruknął i dodał urażonym tonem: – Naprawdę nie słuchałaś tego, co mówiłem?

– Eee... Wiesz... – Sonia wyglądała na lekko zdenerwowaną, gniotąc rąbek bluzki. Nagle spojrzała na nią niepewnie. Czemu to jest ta sama, którą miała na dyskotece? Zmrużyła oczy, próbując sobie przypomnieć. W końcu olśniło ją, że wieczorem tak źle się czuła, że nawet się nie przebrała. Po prostu padła na łóżko i w sekundzie zasnęła.

Skrzywiła się. Cudnie. Choć, w sumie... paradować w piżamie po pustyni... Z czepiającym się wszystkiego kolegą... Cóż, nie byłaby tym zachwycona. Zatem chyba nie wyszło najgorzej.

– Zrozumiałem, że nie – westchnął tymczasem Oliver. – No, nieważne. Wstawaj, niedługo świt. Nie powinno nas tu być.

Na jej twarzy pojawił się wyraz niepewności. Czuła, że naprawdę powinni stąd odejść. Ale dlaczego? I o co tu chodzi?!

Nagle wytrzeszczyła oczy.

– O rany! A co to jest?!

Oliver podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i ujrzał Saharę. Widocznie Sonia dopiero teraz ją zauważyła. Chłopak uśmiechnął się radośnie, zapominając na chwilę o tym, że jest obrażony, a jego koleżanka wyjąkała całkowicie zaskoczona:

– To... to, to zwierzę! Ono mi się dziś śniło!

– Tak? – zdziwił się.

– Tak! Śniło mi się, że byłam otoczona przez straszliwą ciemność, która wzbudzała we mnie panikę. Ale nie mogłam się z niej wydostać. Biegałam przed siebie na oślep, próbując znaleźć jakieś wyjście, ale było tylko gorzej. A potem

nagle zobaczyłam jakieś światełko. Natychmiast skierowałam się w jego stronę. W końcu zobaczyłam, że było ono tak naprawdę palącą się pochodnią trzymaną przez... – dziewczyna zawahała się – przez... ee... coś.

– Coś? – zapytał niezbyt zainteresowany Oliver.

– Tak, coś... – Przez chwilę szukała właściwego słowa. – To był taki... stwór...

– Stwór? – powtórzył niepewnie.

– Tak. Taki bardzo dziwny oraz brzydki. I trochę przypominał mi ciebie...

– No dzięki! – Chłopak zrobił bardzo obrażoną minę.

– Nie w tym sensie! – wykrzyknęła natychmiast Sonia, wiedząc, że właśnie popełniła wielki błąd. – Nie dlatego przypominał mi ciebie, że był dziwny i brzydki! Po prostu jak go ujrzałam, to pomyślałam o tobie! Nie wiem, czemu.

– Jasne, jasne – burknął Oliver. – Wielkie dzięki. Tak łatwo się nie wykręcisz!

– Oj, naprawdę! A ten stwór, który był, rzecz jasna, zupełnie do ciebie niepodobny, miał ciało człowieka, ale dziwną, niezwykłą głowę, jakby jakiegoś zwierzęcia. I to było właśnie to zwierzę! To dziwadło miało głowę tego... psa!

– Co?! – wyjąkał zszokowany chłopak.

Wpatrując się w nią wielkimi oczami, myślał o tym, że przecież Set jest przedstawiany z głową Salaawy... *A więc tym dziwnym oraz brzydkim stworem jestem właśnie ja! Hm, super. Miło.*

Na widok jego niepewnej, krzywej miny, Sonia zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy powiedziała coś nie tak.

– Co to za zwierzę? – zapytała w końcu z zaciekawieniem, obserwując, jak Sahara kładzie się na piasku i zezuje wielkimi oczami to na nią, to na swojego pana. – W życiu takiego nie widziałam! Co to?

– Nieważne. Potem ci powiem, ale teraz naprawdę nie ma czasu! – oznajmił trochę ponurym głosem.

Sonia pokręciła niepewnie głową.

– Ale ja mam tyle pytań... Nic nie rozumiem! Powiedz, co tu się dzieje?

– Może wyjaśnię ci to później? – zapytał z nadzieją. – Nie powinno nas tu być, jak wszędzie słońce...

– Nie ma mowy. – Znów pokręciła głową, tym razem stanowczo. – Nigdzie się nie ruszam, dopóki wszystkiego się nie dowiem. I dlaczego nie powinno nas tu być?

Oliver westchnął niechętnie.

– Gdybyś mnie słuchała, wiedziałabyś, o co chodzi. – Zmrużył oczy z urazą, a Sonia zrobiła niepewną minę. – Później może ci to powtórzę, ale teraz nie mamy na to czasu. Musimy stąd zniknąć jak najszybciej, chyba że chcesz zostać służącą, której będą czytać w myślach.

Blondynka zmarszczyła brwi. Jej oczy mówiły: „Że co?! O czym on, do licha, mówi?”.

– Ja... – wydukała, ale Oliver natychmiast jej przerwał:

– Nie ma teraz czasu! Ta historia ciągnie się i ciągnie, więc, żeby ci ją wytłumaczyć, potrzebuję trochę więcej niż trzy sekundy, jasne?

– No...

– Świetnie, że się zgadzasz – powiedział szybko, choć mina Soni była pełna protestu oraz niezadowolenia.

– Hej! – zaczęła oburzona, ale nie dane jej było dokończyć.

– Nie! Musimy iść! Natychmiast!

Dziewczyna zamrużyła gwałtownie. To wszystko było bardzo dziwne. Ale wyczuła w jego głosie, że pośpiech był rzeczywiście ważny, więc nie zaprotestowała i postanowiła mu zaufać. Nie mogła zapomnieć jednak o męczącej, nieskończonej liście pytań. Kiedy pozna na nie odpowiedzi? Czy Oliver rzeczywiście wszystko jej powie? Co oni tu robią? Dlaczego muszą uciekać? O co chodzi? I... kim on tak naprawdę jest?

– Nigdzie się nie ruszę.

Chłopak zrobił zniecierpliwioną minę oraz wywrócił oczami. *Po co ja ją zabierałem?!*

– Nie, błagam... Nie teraz! Zbieraj się!

– Nie. Najpierw musisz mi powiedzieć, kim jesteś – zażądała. – Czemu masz takie niezwykle zdolności? I... jakie masz włosy, ale tak naprawdę.

Oliver zrobił zdumioną minę.

– C...co? – wyjąkał.

– No, czy twoje włosy są jasne, czy może ciemne?

– Nie widzisz ich lśniącego blondu? – zapytał podejrzliwie.

– Nie. Widzę, że są czarne. Od początku. Tylko na zdjęciach masz jasne włosy. A jakie są naprawdę?

Chłopak zamarł. W głowie szalały mu chaotyczne myśli. Że co?! Jakim cudem?! Przypomniał sobie, że w Gizie Sonia też widziała demony. Zmrużył oczy. Skąd wzięła się u niej ta dziwna umiejętność przenikania iluzji? Ale, zaraz... może to przez Znak Izydy...?

– Tak naprawdę są czarne – przyznał niechętnie.

Uznał, że i tak nie ma sensu kłamać, skoro widzi ich prawdziwy kolor. No, a w końcu musi się dowiedzieć.

– Tak! Wiedziałam – Sonia uśmiechnęła się z satysfakcją. – A dlaczego...?

– Nie! Nie mamy dużo czasu.

– Dobra, dobra! Ale powiedz mi, o co chodzi z tymi twoimi nienormalnymi umiejętnościami?

– Jakimi? – Udał zdziwienie, równocześnie sprawiając, że kupka piasku

uformowała się w zastępczy but, który natychmiast założył na uzdrowioną stopę. Bo przecież nie miał zamiaru używać tego zakrwawionego, o nie!

– Nie żartuj! Widziałam, co robiłeś na grach terenowych. I wiesz wszystko o tym dziwnym symbolu, który pojawił się na mojej ręce. Czemu? Słucham.

Spojrzała na niego wyczekująco. Oliver zrobił krzywą minę.

– No, czekam na wyjaśnienia. Kim jesteś?

– Nie zadowolili cię odpowiedzi, że nie powiem?

– Nie.

– To trudno. Nie powiem.

– Hej! – oburzyła się dziewczyna, a on uśmiechnął się wrednie.

– No, rusz się. Musimy iść, poważnie.

– Nie! – zaprotestowała. – Najpierw mi powiedz. Bo nigdzie nie pójde.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Sonia błagała w myślach, żeby się zgodził, bo gdyby zdecydował się odejść, to i tak poszłaby za nim. Nie chciała zostać sama.

– Dobra, niech ci będzie – westchnął w końcu. – Ale najpierw pytanie pierwsze – zaczął powoli, zerkając na nią uważnie. – Uważasz mnie za wariata?

– Nie... – odparła zdumiona blondynka.

– Ani trochę? – upewnił się.

– Ani trochę – potwierdziła.

– Na pewno? Jesteś tak całkowicie pewna?

– Tak. A nie powinnam?

– Nie, skąd. To dobrze. Powiem ci coś, ale obiecaj, że nie zmienisz tego zdania oraz że nie będziesz się ze mnie śmiać. A, no i nie przerywaj, nie odpowiadam na głupie pytania. Obiecujesz?

– Tak... – mówiąc to, miała dość niepewną minę. Zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać.

– Widziałaś już część tego, co potrafię. Na przykład mam władzę nad piaskiem. Jestem, cóż, chyba można tak powiedzieć, Władcą Piasków. – Oliver uśmiechnął się na trafność tego tytułu i uniósł dłoń, nad którą natychmiast zawirowało trochę złotych ziarenek, tworząc malutki wir. – Ale to nie wszystko. Ja... – Wziął głęboki oddech, po czym popatrzył na nią uważnie. – Ja sam potrafię zamieniać się w piasek.

Sonia rzuciła mu nieufne spojrzenie, marszcząc brwi. Najdziwniejsze było to, że mówił całkiem na serio!

– Naprawdę potrafię – powtórzył, a następnie uśmiechnął się chytrze, mrużąc oczy, i rzucił: – Patrz, jeśli nie wierzysz...

Po czym rozsypał się na milion złocistych drobinek, które w jednym momencie opadły na wydmnę, stając się jej częścią. Dziewczyna wydała zduszony okrzyk, zasłaniając sobie usta dłonią i rozglądając się z przestraszeniem dookoła.

W jej wielkich oczach zamiast nieufności widniało całkowite zdumienie oraz niedowierzenie.

– O... Oliver...? – zapytała drżącym głosem.

Część ziarenek piasku zawirowała nagle w powietrzu. Sekundę później w tym miejscu siedział jej bardzo zadowolony z siebie kolega. Sonia z osłupieniem wpatrywała się w niego oczami ogromnymi jak spodki, z niedowierzaniem wypisanym na twarzy.

– Jak...? – wyjąkała.

– Nie wiem do końca, jak to możliwe. Po prostu to potrafię, i już. Pustynia jest jakby częścią mnie, a ja częścią jej. Gdy zamieniam się w piasek, to czuję się tak, jakbym był w domu, u siebie. Ale wciąż widzę, słyszę oraz czuję to, co dzieje się dookoła. Nadal pozostaję sobą, ale nie jestem niczym ograniczony. Jednym wywołanym przeze mnie podmuchem mogę przenieść się dalej... To cudowne. – Uśmiechnął się z rozmarzeniem, ale po chwili znów spowaźniał. – Umiem również wywoływać burzę, zarówno piaskową, jak i taką zwykłą. Jestem w stanie sprawić, że zgasną wszystkie światła lub przygaśnie ogień. Jedną myślą sprawiam, że otaczający mnie ludzie czy zwierzęta czują się zagubieni, miotają się bezcelowo. Wprowadzam w ich życie chaos. Słucha mnie pustynia oraz żyjące na niej zwierzęta. Słuchają mnie stworzenia służące ciemności. Demony. I inne, o których istnieniu nie masz pojęcia. Demony spotkałaś w Gizie, więc wiesz, że to prawda. Zapewnie nie rozumiesz tylko, czemu właśnie mnie są posłuszne?

Oliver zerknął na Sonię, która słuchała go z lekko zmrużonymi oczami.

– Podsumowując, mogę robić wiele dziwnych rzeczy. Na początku nie miałem pojęcia, dlaczego potrafię to wszystko. Nie rozumiałem, co było we mnie takiego niezwykłego. Wtedy spotkałem mężczyznę o niepospolitych złotych włosach. Powiedział mi, kim tak naprawdę jestem.

– Czyli...? – zapytała dziewczyna, wpatrując się w niego uważnie. – Kim jesteś?

– Bogiem – odparł z blaskiem w kasztanowych oczach. – Jestem bogiem.

Sonia najpierw parsknęła śmiechem.

– Ty? Bogiem? – Chichotała szaleńczo.

– Hej! Miałaś się nie śmiać!

– To którym bogiem jesteś? Zeusem? – prychnęła blondynka z rozbawieniem, gdy pierwszy atak śmiechu minął.

Zrobił obrażoną minę, po czym powiedział urażonym tonem:

– Czy ja mam brodę i noszę białe prześcieradło? Jesteśmy w Egipcie! Jestem bogiem egipskim!

– Którym? Bo nie jesteś do żadnego podobny. – Sonia uśmiechnęła się szeroko.

– Nie? – zdziwił się.

– Nie. Musiałbyś mieć głowę jakiegoś zwierzęcia. Ty mógłbyś mieć głowę bobra. – Zachichotała. – Byłbyś bogiem tam, wykałaczek oraz dentystów.

– Hej! – wykrzyknął jeszcze bardziej obrażony Oliver. – Nie słuchałaś? Jestem bogiem pustyni!

Blondynka ochłonęła nieco i spojrzała na niego, wysoko unosząc brwi, a także uśmiechając się dziwnie.

– Twierdzisz więc, że jesteś Setem, tak?

– Nie, ja nie twierdzę, że nim jestem, ja to wiem – podkreślił Oliver, czując się bardzo zmęczony tą rozmową.

– Aha... – Sonia pokiwała głową, patrząc na niego jak na wariata.

Chłopak jęknął.

– Z moją głową jest wszystko w porządku, naprawdę! Jestem Setem! Bogiem pustyni, burzy, ciemności, chaosu i czegoś tam jeszcze! Potrafię panować nad piaskiem, sam się nawet w niego zamieniam! Zwykli ludzie tego nie potrafią!

Dziewczyna wciąż patrzyła na niego z politowaniem. Oliver zrobił nieszczęśliwą minę. Czy ona kiedykolwiek mu uwierzy? Na szczęście miał jeszcze jeden argument do przedstawienia. Westchnął żałośnie i podjął ostatnią próbę, wskazując na Saharę oraz mówiąc:

– Wiesz, co to jest?

Sonia pokręciła głową, a białe zwierzę, wiedząc, że się o nim mówi, wstało, podbiegło do Olivera i usiadło obok niego na piasku.

– To jest Salaawa – tłumaczył w tym samym czasie. – Nazywana też Zwierzęciem Seta. Wiesz czemu? Bo na wszystkich wizerunkach Set ma właśnie jej głowę! To ją znalazłem rok temu na pustyni, podczas burzy piaskowej. Salaawy to bardzo dzikie oraz niebezpieczne psy. Napadają na wioski, a nawet przedmieścia, gryzą mieszkańców. Widuje się je na dodatek bardzo rzadko. Część ludzi nie wierzy nawet, że istnieją. Każdy się ich panicznie boi. Pewnie cię to dziwi, bo przecież jest teraz bardzo łagodna, ale to dlatego, że ja tu jestem. Wszystkie Salaawy są mi całkowicie posłuszne. To moje zwierzęta.

Sonia zerknęła na Saharę z niewyraźną miną.

– Rzeczywiście, Set miał podobną głowę – przyznała w końcu. – Ale to niczego nie dowodzi! I tak ci nie wierzę. Przecież to bez sensu! No i... czy w takim razie nie powinieneś mieć głowy psa?

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Błagam cię, a jak by to wyglądało?! Te wszystkie przedstawienia to tylko metafory! Starożytni nie wiedzieli, jak inaczej ukazać, że bóg wygląda jak człowiek, ale potrafi zamieniać się w jakieś zwierzę. Więc malowali pół na pół. Pół człowiek, pół zwierzę. Człowiek ze zwierzęcą głową. Jasne?

Sonia miała bardzo zagubioną minę. Zupełnie nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. W jej głowie panował chaos. Nie chciała przyznać przed samą

sobą, że domyślała się, iż to, co mówił, jest prawdą. Widziała to w jego oczach, czuła w jego głosie. No i na dodatek to przecież wszystko wyjaśniało! Pasowało do układanki. I choć nie tłumaczyło, czy Oliver był Briantem de Ramenem, to jednak wiedziała, że tym razem mówił prawdę.

Ale nie chciała tego zaakceptować. To wszystko jest zbyt niemożliwe, żeby miało być prawdziwe. Starożytni bogowie? We współczesności? Jako nastolatki? Serio?! Na dodatek odzywał się w niej duch chrześcijanki. „Że co?! To nieprawdopodobne!” – protestował. „Chyba nie uwierzysz w istnienie jakichś egipskich bałwanów?! Sonia! Oni nie istnieją i nigdy nie istnieli! To wszystko były przecież wymysły starożytnych!”.

Ale w takim razie siedziała obok starożytnego wymysłu. Który na dodatek jej się dziś śnił. Świetnie.

– To jakiś absurd – jęknęła, a Oliver wywrócił oczami ze zniecierpliwieniem.

– A co konkretnie? Wszystko? – prychnął.

– Tak! To niemożliwe!

Jego oczy pojaśniały.

– O, nie. Uwierź mi, że tak naprawdę nic nie jest niemożliwe.

– Ale to jest! – zaprotestowała. – Ja... ja nie mogę w to uwierzyć.

Twierdzisz, że jesteś starożytnym egipskim bogiem!

– Bo jestem.

– Ale to nie ma sensu. Oni nie istnieli.

– A skąd wiesz?

– Prawdziwy Bóg jest tylko jeden. Wszyscy inni to wymysły!

– Dzięki – mruknął.

– Oj, proszę cię! Nie mów, że wierzyłeś w jakieś prastare bóstwa zanim nie odkryłeś, że potrafisz robić coś nienormalnego!

Spoważniał jeszcze bardziej. Odezwał się dopiero po chwili:

– Nie, nie wierzyłem. Ale teraz widzę, co potrafię. I już nie jestem tego taki pewny. A choć czasem szczerze wątpię, by określenie „bóg” było idealne, to przecież nie jestem człowiekiem. Przynajmniej nie takim zwykłym. Jeśli ma ci to pomóc przyswoić nowe informacje, to możesz sobie myśleć, że tak naprawdę nie jestem bóstwem. W końcu starożytni Egipcjanie mogli nazwać tak kogokolwiek, kto robił coś dla nich niezrozumiałego. Kto wie, może nie jest to dobre określenie. Lecz jak na razie to ja jestem bogiem, nie ty. Ale jakbyś znalazła odpowiedź, to daj mi znać. Chętnie dowiem się, kim jestem tak naprawdę. Ach, no i jeszcze jedno. Nie jestem prastary. Mam piętnaście lat.



Rozdział dwudziesty drugi

ODWIECZNI WROGOWIE

Oliver wstał z piasku i spojrział na wschodzące słońce wzrokiem, w którym kłębiły się ponure, burzowe chmury.

– Musimy już iść – powiedział odrobinę chłodno.

– Gdzie? – zapytała Sonia, stając koło niego. – Na pustynię?

– Nie. – Pokręcił głową. – Do Kairu.

– Do Kairu? – powtórzyła z zaskoczeniem. – Po co?

– W Kairze jest lotnisko. Jutro musisz wrócić do domu. Pomogę ci, żebyś nie ci się po drodze nie stało.

– Co?! – wykrzyknęła z niedowierzaniem. – Mam wracać do domu? Akurat wtedy, gdy dzieją się takie ciekawe rzeczy? To moja jedyna szansa, żeby przeżyć prawdziwą przygodę! Przecież coś takiego nie trafia się na co dzień! Żartujesz, prawda?

– Nie, mówię całkiem serio. – Popatrzył na nią poważnie, zachowując kamienną twarz. – Będę spokojny dopiero wtedy, gdy staniesz się bezpieczna. Nie po to cię ratowałem, by narażać na niebezpieczeństwo. Moje towarzystwo raczej nie wyjdzie ci na dobre...

– Nieprawda! – krzyknęła oburzona Sonia. – Co mnie może spotkać przy boku, eee... boga? Bo, gdybyś mówił prawdę, to... To właśnie przy tobie będę całkowicie bezpieczna!

– Nie, nie będziesz. Wszyscy inni bogowie wkrótce rozpoczną polowanie. Polowanie na mnie. Wiesz, co to znaczy? Będę się ukrywał, uciekał, walczył. A oni będą wysyłać przeciwko mnie swoje najgorsze moce. Potwory i sam nie wiem, co jeszcze.

– Mogę ci pomagać – zaproponowała, spoglądając na niego prosząco. –

Mogę być przydatna! Nie zwrócą na mnie uwagi, gdy będę w pobliżu, bo jestem zwykłą osobą. Mogę ich podsłuchać.

– Nie!

– Przecież muszę ci się jakoś odwdziaczyć! – wykrzyknęła dziewczyna. – To może być moja ostatnia szansa! Proszę... Zawsze marzyłam o prawdziwej przygodzie...

– Nie! Odwdzięczysz mi się, jadąc bezpiecznie do domu! Zostaniesz u siebie i nie będziesz się wychylać. Nie będziesz miała więcej dylematów, czy egipscy bogowie istnieli, czy też nie. Nic ci nie będzie grozić... Nic nikomu nie powiesz. Tak możesz mi pomóc najbardziej. Tylko w ten sposób. Rozumiesz?

– Ale... – zaczęła prawie płaczącym tonem, gdy nagle Sahara wydała z siebie ostrzegawcze warknięcie.

Sonia natychmiast zamilkła i spojrzała z niepokojem na Olivera.

– Na ziemię – syknął, po czym jednym, ledwo zauważalnym ruchem ręki sprawił, że stojące na szczycie wydmy bagaże oraz apteczka zsunęły się do jej podstawy, przy morzu piasku, gdzie były zupełnie niewidoczne dla kogoś będącego po stronie obozowych budynków.

Sekundę później cała trójka – dziewczyna, bóg chaosu i pustynny pies, leżała po tej samej stronie wydmy, nasłuchując uważnie.

Po chwili Salaawa zastrzygła uszami. Ktoś się zbliżał.

Sonia nie mogła powstrzymać wzdrygnięcia, gdy Oliver nagle zniknął, zamieniając się w piasek. Niemożliwe! Całkowicie niewiarygodne. A jednak prawdziwe.

Czując się bardzo niepewnie, z mocno bijącym sercem przybliżyła się odrobinę do nastroszonej Sahary, nieruchomo leżącej na piasku. Bojąc się podnieść głowę, przekrzywiła ją lekko w jej kierunku i utkwiała w niej spojrzenie rozszerzonych oczu, mając nadzieję, że pustynny pies ostrzeże ją, gdy będzie trzeba.

Tymczasem leciutki wiaterek niosący ze sobą garść piasku pomknął nad podłożem. Zniknął nagle po przemknięciu nad murem oraz po zetknięciu się z czteroosobową grupką czujnych nastolatków.

– Brr... – otrząsnął się jeden z nich. – Dziwny ten wiatr, co?

– Eee tam, przesadzasz. – Drugi wzruszył ramionami. – Wiatr jak wiatr. Jesteś przewrażliwiony i tyle.

– No właśnie! W każdym skrzypieniu piachu pod nogami dopatrujesz się skradającego się Seta – poparła go dziewczyna, trzecia z grupki.

– Ale on może być wszędzie! Może się chować za każdym kamieniem oraz każdą wydumą, jaką widzimy! – bronił się pierwszy z nich przejętym tonem.

– Musiałby być strasznie głupi, gdyby tak robił – mruknął czwarty ze zniechęceniem. – Pewnie od dawna go tu już nie ma, a my, zamiast spać po tej

okropnej nocy, musimy łązić po całej okolicy i szukać go na jego terenie. Co za idiotyzm – ścigać boga pustyni na pustyni!

– Prawda, ale nie możemy wrócić, póki ktoś nie trafi na jego ślad – westchnęła dziewczyna. – Miejmy nadzieję, że jakaś inna grupa zrobi to szybko...

– A może to nam się poszczęści? – emocjonował się chłopak, który odezwał się pierwszy. – Ra mówił, że Set jest ranny i wykończony oraz że na pewno nie uciekł daleko, bo nie miał siły! Widzieliście jego kostkę? Z taką nogą nie mógł daleko zajść!

– No i po co targałby ze sobą apteczkę, gdyby nie była mu bardzo potrzebna? – dodała dziewczyna. – Musi być gdzieś niedaleko!

– Podobno jak zwiął, to był bliski omdlenia. Zapewne leży gdzieś teraz nieprzytomny... – zadumał się jeden z nich, a potem dodał z blaskiem w oku: – I czeka, aż ktoś go z łatwością znajdzie! To możemy być my! Pomyślcie, jaką nagrodę dostaniemy!

Wszyscy westchnęli z rozmarzeniem.

– Ale nie zapominajcie o tym jego psie! Był straszny, co? – Dziewczyna się wzdrygnęła.

– Damy sobie z nim radę – mruknął idący obok niej chłopak. – Przecież jesteśmy bogami!

– Masz rację! – Tym razem uśmiechnęła się pewnie.

Przez chwilę przeczesywali w ciszy okoliczne marne krzaki.

– Szkoda, że Ra nie pozwolił iść Horusowi – powiedział jeden z chłopaków. – A tak się rwał, żeby iść! Myślałem, że wybuchnie z wściekłości, gdy Ra mu tego zabronił. On znalazłby Seta w mgnieniu oka. Ponoć świetnie go zna. Ciekawe skąd...

– Nie wiem... Ale na pewno szybko by mu poszło – odparł drugi z nich. – Zamieniłby się w sokoła oraz przeczesałby teren z powietrza!

– Myślicie, że umie? Mnie jeszcze niezbyt wychodzi... – przyznała się dziewczyna.

– A mnie owszem. Jestem w tym świetny – pochwalił się jeden z chłopaków. – Mogę wam pokazać!

– Tylko pamiętaj, za ogrodzeniem! W środku nie możemy czarować – przypomniała mu zaniepokojona dziewczyna.

– No to wyjdźmy i się zmienię!

– Nie – warknął drugi chłopak. – Po co marnować czas na głupie popisy! Jak tylko wyjdziemy, to wypuścimy Tropiciele. On znajdzie każdy, nawet najmniejszy ślad Seta w promieniu kilkunastu metrów oraz zaprowadzi nas do niego. Ale na naszym kawałku terenu zapewne nic nie wytropi, więc szybko skończymy misję, a potem odpoczniemy sobie pod drzewem.

– No dobra... – zgodził się niechętnie chłopak, który chciał się przemienić.

Następnie powiedział, ziewając: – Im szybciej sprawdzimy teren, tym szybciej pójdę spać.

– Bez sensu szukać w tym miejscu. Tu nic nie ma – mruknął ktoś cicho.

– No to chodźmy wreszcie za mur i wypuśćmy Tropicieła – zaproponowała dziewczyna, po czym cała czwórka zgodnie ruszyła w stronę ogrodzenia.

Gdy byli już w połowie drogi, jeden z chłopaków zapytał niepewnie:

– Co to właściwie jest ten Tropicieł? Nie było mnie wtedy, gdy Ra o tym mówił.

– A gdzie byłeś? – burknęła dziewczyna.

– Wykonywałem rozkaz.

– Czyli?

– Przeszukiwałem pokój Seta. Niestety, wszystko zabrał ze sobą, a miałem znaleźć coś właśnie dla Tropicieła, by mógł poznać jego zapach, a później łatwo go odszukać.

– I co? Musiałeś coś wymyślić, skoro tu jesteśmy?

– Tak. Przyniosłem jego poduszkę. Na szczęście wystarczyło. Ale powiecie mi wreszcie, czym jest ten stwór?

– Nikt do końca nie wie – przyznała dziewczyna. – To demon. Umarły demon. Chyba jedyny w całej historii świata.

– Jak to „umarły” demon. – Chłopak nie rozumiał. – Przecież nie da się ich zabić!

– No właśnie. Dlatego nawet Ra był zdumiony jego przypadkiem. Udało mu się wyciągnąć z potwora tylko tyle, że zabił go sam Set, tysiące lat temu. Nie wyjawiał dlaczego, ale musiało być to coś poważnego. Teraz demon pragnie tylko zemsty na swoim dawnym panu. Wprost dyszy żądzą jego krwi. Zrobi wszystko, by go dopaść oraz zadać mu cierpienie. Pragnie słyszeć jego krzyki, błaganie o litość, tak jak on kiedyś krzyczał i błagał. Straszne... – Wzdrygnęła się. – Jak o tym myślę, zaczynam mu współczuć...

– Komu? Demonowi? – zdziwił się jej kolega.

– Nie! Setowi. – Wywróciła oczami.

– Lepiej się do tego nie przyznawaj – mruknął jeden z chłopaków. – Szczególnie przed Ra...

– No... Bo on pragnie krwi Władcy Piasków co najmniej tak samo jak Tropicieł – prychnął inny.

– Taak – stęknął pierwszy, a po chwili dodał, wciąż z niepewną miną: – Jednego wciąż nie rozumiem. Czy ten demon potrafi być w kilku miejscach naraz? Bo przecież każda grupka ma swojego...

– Nie jestem pewna – odparła dziewczyna. – Ale wydaje mi się, że u żadnej z grup nie ma tego prawdziwego... Tylko jakaś kopia... Chyba mówili o niej „cień”. On pojawi się tak naprawdę dopiero, gdy wyczuje ślad Seta. Bo wiecie, to

jest demon burzy piaskowej, przynajmniej tak powiedział. Ciekawe, co takiego zrobił, że został ukarany śmiercią...

Po tych słowach zaczęli snuć różne przypuszczenia, wciąż zbliżając się do furtki w murze. Nie zauważyli, że nagle część piasku oderwała się od ziemi, zawirowała dziko w powietrzu i na skrzydłach wiatru pomknęła w stronę pewnej znajdującej się nieopodal wydmy.

Sekundę później obok zniecierpliwionej oraz krańcowo zaniepokojonej Soni zmaterializował się nienaturalnie blady Oliver. Dziewczyna zauważyła ze zdziwieniem, że w jego rozszerzonych oczach widać było panikę, ponadto cały drżał.

– Co się stało? – wyszeptała.

Nie odpowiedział, tylko pokręcił głową i pociągnął ją w dół wydmy, do bagaży. Sahara natychmiast zerwała się z piasku, po czym potruchtała za nimi. Będąc już na dole, Sonia zdołała wydusić z kolegi tylko tyle, że muszą uciekać, i to jak najszybciej.

– Dlaczego? – zapytała, patrząc na niego z przerażeniem.

Spojrzał na nią uważnie, a potem, już bardziej opanowany, uśmiechnął się kwaśno, mówiąc:

– Wolę nie spotkać tego, który zaraz tu będzie. On od tysiącleci czeka, bym odpowiedział za to, co mu zrobiłem. Niech poczeka jeszcze trochę. Naprawdę nie mam ochoty na to spotkanie.

Następnie wyciągnął rękę w stronę sąsiedniej wydmy. Jej piasek natychmiast zaburzył się i zaczął skupiać u jej podstawy. Blondynka ze zdumieniem obserwowała, jak powstaje z niego samochód w kolorze złota. Nie rozpoznała marki, której znakiem była srebrna głowa psa oraz jakieś hieroglify.

Popatrzyła na kolegę ze zdumieniem.

– Wskakuj do środka – powiedział tylko, wskazując jej drzwiczki. – Przyda nam się szybki transport.

Jednym spojrzeniem sprawił, że zielona walizka wraz z przypiętym plecakiem oraz „podręczna” apteczka znalazły się w bagażniku samochodu. Następnie otworzył Saharze tylne drzwi, a gdy wskoczyła na skórzane fotele, usadowił się na miejscu kierowcy. Sonia siedziała już na sąsiednim fotelu, patrząc na niego z uniesioną brwią.

– Umiesz prowadzić? – zapytała, mrużąc niepewnie oczy.

– Jasne, że tak. – Uśmiechnął się do niej uroczo. – Ale lepiej zapnij pasy.

W momencie, w którym samochód skoczył do przodu i z zawrotną prędkością pomknął w pustynię, w powietrzu rozległ się mrozący krew w żyłach ryk.

Oliver mimowolnie wzdrygnął się oraz zacisnął powieki, starając się powstrzymać napływ dawnych wspomnień.

Duma i potęga...

Zaufanie, na które nie zasłużono...

Zasypane, zniszczone złote miasto...

Zasypani kapłani, jego kapłani...

Zasypana świątynia, jego najwspanialsza świątynia...

Wściekłość, straszna wściekłość...

Kara oraz wyklęcie na wieczność...

– Oliver, uważaj!

Co to za dziewczęcy głos? Nie było tam żadnej dziewczyny godnej jego uwagi... Nikogo tam nie było. Wszyscy zasypani... No i... kim jest Oliver? A może raczej był? Nie, nie znał nikogo o takim imieniu.

– OLIVER! Wydma!

Co..? Zaraz... Sonia!

Otworzył oczy. Zobaczył zbliżającą się ścianę piasku. Skręcił gwałtownie, mijając jej krawędź dosłownie o kilka centymetrów.

– Oliver! – Sonia miała wściekłą oraz przerażoną minę. – Nie waż się więcej tego robić! Mogliśmy się rozbić! Nie wariuj, jasne? Nie jedź z zamkniętymi oczami, kiedy musimy uciekać! Nie wszyscy są tutaj bogami albo czymś w tym rodzaju! Tak w ogóle, to chyba nie chcesz, żeby to nas dopadło, prawda?

– Oj, nie chcę – potwierdził z kwaśną miną.

W tym momencie znów dał się słyszeć straszliwy ryk.

– Co to w ogóle jest? – zapytała zdławionym głosem, z przerażeniem zerkając we wsteczne lustro, w którym na szczęście widać było tylko morze piaskowych wydmy.

– Stary znajomy – odparł pozornie kamiennym głosem. – Nawet bardzo stary. Za stary. Mój odwieczny wróg, który marzy o spotkaniu ze mną. Mamy do omówienia pewną nader zaległą i bardzo drażliwą sprawę.

– Rozumiem, że to nie może być rozmowa w warunkach pokojowych? – jęknęła.

– Nie, załatwienie tej sprawy wymaga bardziej drastycznych środków.

– Pozwól, że nie będę pytać o szczegóły – pisnęła, gdy powietrze ponownie przeciął pełen furii wrzask.

– Proszę bardzo – mruknął cicho, kręcąc kierownicą.

Wspinali się na wydmy oraz zjeżdżali, a właściwie sfruwali z nich, bez przerwy wspomagani wiatrem czy piaskiem, który nie zsuwał się pod kołami, lecz tworzył idealne podłoże do jazdy. Choć i tak samochodem bez przerwy rzucało na boki, w górę oraz w dół.

Sonia z całej siły trzymała się fotela, z pobielającą twarzą obserwując kolejne wydmy, zbliżające się do nich w zastraszającym tempie. Sahara popiskiwała co chwilę, gdy objęła się o otoczenie na tylnym siedzeniu. A Oliver kurczowo ścisnął

kierownicę i nie zdejmował nogi z gazu, cały czas nerwowo zerkając w lusterko.

Nagle jęknął cicho i jeszcze bardziej przyspieszył, choć wydawałoby się, że nie jest to możliwe, samochód bowiem dosłownie przefruwał z wydmy na wydmy. Sonia szybko obejrzała się za siebie. Z przerażeniem zauważyła w oddali chmurę czarnego piasku, wirującą szalenie oraz zbliżającą się do nich z każdą sekundą. Było w niej coś mrocznego, co sprawiło, że zadrżała. Natychmiast zmusiła się do oderwania od niej wzroku.

Zerknęła na tablicę rozdzielczą, co okazało się nienajlepszym pomysłem, gdyż zbladła jeszcze bardziej i mocniej wczepiła się w fotel. Jechali tak szybko... Nie wiedziała, że tak w ogóle się da! A jednak czarny piasek był szybszy.

– To coś jest coraz bliżej! – krzyknęła do kredowobiałego kolegi, ponownie spoglądając w lusterko.

– Wiem! – jęknął słabym głosem.

– Nie możesz go powstrzymać? Jesteś przecież bogiem! Podobno – dodała dużo ciszej.

– Nie, nie mogę. – Pokręcił głową. – Nie dam rady! To demon, na dodatek bardzo silny. Jestem jeszcze zbyt słaby, by z nim walczyć. Nawet dawno temu byłem od niego tylko trochę potężniejszy, jeśli chodzi o rzecz jasna o burzę piaskową.

– Czemu akurat o nią?

– To demon burzy piaskowej – wyjaśnił. – Dlatego wolę jej nie rozpętać, gdyż stałby się wtedy jeszcze mocniejszy...

– A on? Może wywołać burzę piaskową, skoro jest jej demonem? – zapytała z niepokojem Sonia.

– Kiedyś mógł, ale dawno odebrałem mu to prawo.

Sonia uznała, że nie jest to najlepszy moment na obszerniejsze wyjaśnienia, więc zamilkła, pozwalając koledze przez chwilę kierować we względnym spokoju oraz ciszy.

Nie odrywała wzroku od lusterka, w którym widziała powiększającą się, mroczną chmurę.

– Dlaczego on jest czarny? – nie powstrzymała się od zadania tego pytania.

– Jest przeklęty – mruknął ponuro Oliver. – I nigdy nie odzyska zaszczytu bycia częścią złotej pustyni.

– Och – szepnęła Sonia, nie bardzo orientując się w sprawach między bogiem a służącymi mu demonami.

W lusterku zauważyła, że chmura jest już bardzo blisko, mogła się jej dokładniej przyjrzeć. Ujrzała, że jakby się kotłuje, na widok czego odruchowo pomyślała o bulgoczącej smole. Krzyknęła z przerażeniem, gdy w pewnym momencie w kłębiącej się masie mignęły okrutne czerwone ślepia oraz podłużny pysk pełen ostrych zębów.

Oliver zerknął w lusterko, akurat by zobaczyć, jak część czarnego piasku formuje się w mroczne ręce zakończone długimi szponami.

– Zaraz nas dopadnie! – wykrzyknął z rosnącą złością i gwałtownie skręcił samochodem w bok, unikając pochwycenia przez demona, który zawył z irytacją, a potem rzucił się za nimi ze zdwojoną energią.

– Sonia! Musisz wyskoczyć z samochodu! Teraz! – wrzasnął bóg pustyni. – Zabierz też Saharę!

– A ty? – Dziewczyna zerknęła na niego ze strachem.

Spojrzał jej w oczy z powagą, a potem dumnie uniósł głowę i powiedział:

– Nawet jeśli w to nie wierzysz, to jestem bogiem, na dodatek nie byle jakim, więc na pewno dam sobie radę. Ten żaloszny demon pożałuje, że ośmielił się stanąć przeciwko mnie... Na pewno już zapomniał, jaki potrafię być wściekły.

Sonia rzuciła mu zdumione spojrzenie. Przed chwilą był kredowobiały ze strachu oraz cały się trząsał, teraz wręcz przeciwnie – w oczach miał gniew, determinację, a także dziwny blask. Nie miała pojęcia, co go tak odmieniło. Podejrzewała, że Set, jeśli jednak jakimś cudem istnieje, to z natury nie jest po prostu strachliwy, że niestandardowe wydarzenia raczej go złością niż przerażają, a oprócz tego, że jest zmienny jak pustynia, raz spokojna, raz wzburzona, w dzień gorąca, w nocy lodowata. I w każdej chwili mogąca przeistoczyć się w straszliwą potęgę burzy piaskowej.

Cieszyła ją ta zmiana. Dzięki niej odzyskała cień nadziei oraz pewność, że Oliver nie podda się łatwo. Postanowiła wziąć z niego przykład oraz uwierzyć, że nie jest aż tak źle.

Zacisnęła zęby i sięgnęła do klamki. Z trudem otworzyła drzwiczki, w czym przeszkadzał jej niezwykle silny opór powietrza oraz wiatr wciskający jej do oczu ziarenka piasku. Gdy wreszcie uchyliła je na taką szerokość, żeby w miarę bezpiecznie wyskoczyć, z całej siły przytrzymała je ramieniem i zawołała Saharę, która w sekundzie znalazła się obok niej.

Nie chciała skoczyć, dopóki nie nakazał jej tego Oliver, wciąż szaleńczo lawirujący między wydmami, starający się uniknąć złapania przez siedzącego im na ogonie demona.

Gdy Salaawa wreszcie wyskoczyła, Sonia skupiła się na migających przed nią wydmach. Wstrzymała oddech, czując jak strasznie mocno bije jej serce. Bała się, ale musiała pokonać ogarniające ją przerażenie. *No, dalej! Sonia, musisz to zrobić. TERAZ!* – pomyślała, trzęsąc się pod wpływem strachu oraz adrenaliny. Skoczyła w momencie, w którym samochód zadrzał, a następnie został brutalnie porwany w powietrze. Krzycząc, pomknęła w stronę pochyłej ściany piasku, podświadomie zastanawiając się, czy nic sobie nie złamie.

A potem, tuż przed niemiłym zderzeniem, czas jakby zwolnił.

Widziała, że zbliża się do ziemi, ale robiła to bardzo wolno. Krzyk zamarł jej

na ustach. Opadła na piasek niezwykle delikatnie, niemal nie czując momentu, w którym go dotknęła.

Przez chwilę siedziała na nim nieruchomo, nie rozumiejąc, co się stało. Później uśmiechnęła się lekko, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Ech, Oliver... To twoja sprawka! Naprawdę nie mogłeś mi powiedzieć? – wyjęczała słabym głosem.

Wtedy coś ryknęło za jej plecami. Odwróciła się błyskawicznie i zamarła z przerażenia. To, co ujrziała, sprawiło, że stanęło jej serce.

Dziesięć metrów od niej stał demon. On sam miał co najmniej sześć metrów wysokości, a wyglądał jak wielki, straszliwie wychudzony szakal, tyle że zachowywał również pewne cechy ludzkie. Stał na dwóch nogach, jednak w zgarbionej, skulonej pozycji. Miał dużą psią głowę z wielkimi, upiornie gorejącymi ślepiami i ostrymi jak brzytwa zębami w potężnej, podłużnej szczęce. Jego ręce oraz stopy były nienaturalnie wydłużone, choć bardziej podobne do ludzkich niż zwierzęcych. Na dodatek zakończone były długimi, lśniąco szponami, bez wątpienia potrafiącymi bezproblemowo rozedrzeć samochodową karoserię na strzępy. Całe ciało demona było nienormalnie wysuszone oraz chude, jakby nie jadł od miesięcy, dosłownie sama skóra i kości, przy czym było ono pokryte ciemną, przylegającą, a w niektórych miejscach nawet wytartą sierścią. Czarny, zakończony kolczastym kłębem ogon z wściekłym świstem przecinał drgające od słońca powietrze. Demon był przerażający, pokryty licznymi bliznami, a na dodatek brakowało mu kawałka jednego ucha. Otaczały go wijące się tumany czarnego piasku, skupiające się szczególnie przy jego stopach, jakby nie dopuszczając, by dotknął pustyni. Miał on na sobie pomiętą egipską spódniczkę, kiedyś zapewne białą i wyszytą złotymi nićmi, z których zostały tylko gdzieniegdzie podarte strzępy. Na szyi pobłyskiwał złoty wisior, niegdyś z pewnością coś przedstawiający, lecz teraz wzory były zatarte z powodu upływu czasu. Kilka szponów demona zdobiły błyszczące pierścienie z krwistoczerwonymi kamieniami szlachetnymi. Pomimo całej jego chudości, wydawał się bardzo silny oraz potężny, zwłaszcza że w wyciągniętych rękach trzymał samochód w barwie złota.

Sonia wrzasnęła przeraźliwie, gdy stwór rozerwał auto na dwie części. Oczami nieznośnej wyobraźni widziała, jak wypada z niego Oliver, jak upada na ziemię, jak demon go depcze lub zgniata resztkami samochodu.

Jednak nic takiego się nie stało. W środku nikogo nie było. Demon zawył z wściekłością i odrzucił na bok kawałki złotego pojazdu.

W momencie, w którym obie części zetknęły się z podłożem, zamieniły się w złocisty piasek oraz zmieszały się z wydymami. Całkiem niedaleko od przerażonej dziewczyny leżały teraz tylko trzy rzeczy: zielona walizka, przypięty do niej plecak oraz apteczka.

Jednak ona prawie nie zwróciła uwagi na przedmioty, jej myśli zaprzętało bowiem coś zupełnie innego. Gdzie podział się Oliver? I jak ona poradzi sobie z demonem sama?



Rozdział dwudziesty trzeci

WYBRANA

– Gdzie jesteś?! – zawył nagle z furią demon, rozglądając się dokoła. – Pokaż się, Secie!

Sonia zamarła z przerażenia, gdy czerwone ślepie zwróciły się w jej stronę. Zapłonęły w nich złośliwość oraz okrucieństwo.

Demon przekrzywił głowę, po czym postąpił krok w stronę dziewczyny, wydając dźwięk tylko odrobinę podobny do chichotu i sycząc:

– Śmiertelniczka! Kto by pomyślał! Jesteś jego koleżanką? To chyba niezbyt mu na tobie zależy, skoro zostawił cię samą... Ciekawe, jak zareaguje, gdy oderwę ci głowę...

Zbliżając się do niej, demon roześmiał się tak okropnie, że Soni włosy stanęły dęba. Była tak przerażona, że nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa czy dźwięku. W panice zerwała się z piasku i odskoczyła w bok, akurat w momencie, kiedy czarny stwór wyciągnął w jej stronę rękę. Nie odrywając od niego wzroku, rzuciła się do ucieczki.

Nagle poczuła, że zaczepia stopą o coś twardego oraz zaczyna lecieć do przodu, prosto w piasek.

Krzyknęła, wyobrażając sobie, że to demon jakimś sposobem chwycił ją za stopy. Wylądowała na brzuchu, twarzą w piasku. Natychmiast odwróciła się na plecy i wtedy zobaczyła, że to nie on był winny jej upadku. Ze zgrozą spojrzała w płonące ślepie zbliżającego się potwora. Tuż przed nią, niczym kłoda na drodze, leżała na ziemi metalowa apteczka. To o nią się potknęła.

– Nie... – załkała, w popłochu próbując cofnąć się jak najszybciej.

Jednak wiedziała, że to nic nie da. Już po niej! Demon wyszczerzył się upiornie, a następnie zarechotał jeszcze gorzej. Sonia skuliła się na piasku, cała

drząc.

Mroczna ręka była coraz bliżej...

Trzy metry...

Dwa metry...

Sonia zacisnęła powieki, szlochając spazmatycznie oraz obłądnie bojąc się tego, co zaraz nastąpi. Tak bardzo nie chciała umierać...!

I wtedy, w momencie, w którym demonowi brakowało już tylko jakiś trzydziestu centymetrów, by ją dosięgnąć, piasek przed Sonią eksplodował gwałtownie, trafiając z całą mocą w czarnego stwora. Demon syknął gniewnie, wyprostował się i obrzucił okolicę baczny, złym spojrzeniem.

– Znajdź sobie godniejszego przeciwnika niż bezbronna dziewczyna – warknął Oliver, materializując się pomiędzy nimi. – Na przykład mnie.

Sonia ostrożnie uchyliła powieki, nie do końca mogąc uwierzyć w jego nagłe przybycie. Ale jednak wrócił, rzeczywiście!

Odetchnęła głębiej i prawie rozpląkała się na nowo, tyle że z radości. Wciąż cała trzęsła się ze strachu, lecz teraz nie była już sama! Oliver na pewno ją ocali! Znowu. Choć z drugiej strony, wyglądał tak marnie przy tym wielkim demonie, którego oczy rozbłysły triumfem natychmiast, jak się pojawił!

– Set! – ucieszył się potwór. – Wreszcie! Tak długo czekałem, by...

– Gdzie on jest? – przerwał mu chłopak stanowczym tonem, wpatrując się w płonące ślepia – widział je poprzednio w ten straszny dzień, gdy unosiły się nad podrapaną kierownicą samochodu, który prawie go przejechał. – Co mu zrobiłeś?

– Komu? Temu niedołodze, którego kiedyś złapaliśmy? – zachichotał stwór.

– Jak śmiesz go tak nazywać! – warknął brunet, drząc z oburzenia i wściekłości. – On jest bogiem. Gdzie go zabraliście? Co mu zrobiliście?

– Nie wiem. – Demon wzruszył ramionami, szczerząc się przerażająco. – Ja tylko go złapałem. Potem byłem już skupiony na innym celu. Na tobie.

– No pewnie. To było do przewidzenia. A kim byli ci ludzie, którzy ci towarzyszyli? Służą Mandarze? To on ich wysłał, mam rację?

– Tak – ucieszył się demon. – To jacyś idioci, którzy dali się nabrać na jego obietnice.

– Jak zapewne i ty – zauważył z pogardą Oliver.

– Ja nie jestem takim gamoniem jak oni. Ale, tak, w jednym masz rację. Mój nowy pan coś mi obiecał...

– Demony mają tylko jednego pana. Mnie – stwierdził chłodno Władca Piasków.

– O, nie, już nie. – Płonące ślepia zabłysły upiornie. – A wiesz co mój nowy pan mi obiecał? Zemstę. Tak długo na nią czekałem! Wszystko dokładnie obmyśliłem. Nawet nie wyobrażasz sobie, co cię czeka! Będziesz umierał powoli, bardzo powoli...

– Boga nie da się zabić – przerwał mu chłopak lodowatym głosem.

Czarny stwór prychnął lekceważąco, a następnie oznajmił:

– Ty tak myślisz... Ha! Wszyscy tak myślą... Ja też kiedyś nie wierzyłem, że jest to możliwe. Ale miałem mnóstwo, mnóstwo czasu, żeby wszystko obmyślić... Dzięki tobie. – Uśmiechnął się kpiąco, a potem kontynuował z triumfem: – I w końcu mi się udało! Tak, odkryłem sposób, jak zabić boga!

– Kłamiesz – przeszkodził mu stanowczo Władca Piasków. – To oczywiste, że zmyślasz.

– Taak? – Oczy demona zabłyśły niebezpiecznie. – A skąd to niby wiesz? Czyżbyś przez te trzy tysiące lat stał się też patronem kłamstw?

– Nie, ale to było niezwykle proste. – Chłopak wzruszył ramionami, a potem rzucił czarnemu stworowi wywyższające spojrzenie. – Przecież jesteś zbyt tępy, aby coś takiego wymyślić.

Demon zadrżał i zacisnął pięści, a potem syknął:

– Dobrze wiesz, że tak nie jest! I zmienisz zdanie, jak tylko zacznę... Choć, z drugiej strony, na pewno nie wytrzymasz tak długo, jak zakładałem. Jesteś teraz taki młody, słaby... Zapamiętałem cię zupełnie inaczej. Nigdy bym nie pomyślał, że to powiem, ale jesteś taki malutki! Ha! A cóż to, nie masz nawet swojego Berła Zniszczenia? Niemożliwe! To co ty teraz potrafisz? Mały Setuś! Bożek piaskownicy!

– Dla ciebie pan i władca, nawet jeśli już mi nie służysz – warknął bóg pustyni, czując, jak robi mu się słabo. Berło! No jasne, jak mógł zapomnieć. Berło Zniszczenia. Obiekt potężny jak mało który. Musi go odzyskać. – Dobrze wiesz, że nie toleruję, gdy poddani zapominają, jak mają się do mnie zwracać.

– No tak, wybacz mi, panie – prychnął demon kpiąco. – Jak tylko z tobą zacznę, to ty będziesz tak do mnie mówił! Będziesz jęczał, błagał i przepraszał za te zniewagi!

– Dobry żart! Niczego nie zaczniesz. Najpierw musiałbyś mnie pokonać, a dziś, jak zawsze zresztą, to ty będziesz błagał, bym wreszcie przestał oraz odszedł. Nie jesteś nawet godny tego, by ze mną walczyć.

Potem uśmiechnął się wrednie, myśląc jednocześnie z przykrością oraz niechęcią, że to raczej on zostanie szybko pokonany, chyba pierwszy raz w całej historii. Sługa, wyniszczony, wyklęty sługa ma wprost gigantyczne szanse, by pokonać swego podobno niezwykle silnego władcę, dopiero odzyskującego pełnię swej potęgi. Nie pozwolił, by przeciwnik domyślił się, jakie niemiłe myśli krążą mu po głowie, wciąż uśmiechał się z fałszywą pewnością siebie, a w końcu rzucił łaskawym tonem:

– Jednak dziś wyjątkowo będę dla ciebie bardzo litościwy i zamiast po prostu rozwalić cię jednym słowem, załatwię to nieco dłużej. Spotka cię niezwykle zaszczyt, bowiem ja, Set, pan pustyni, niżę się do twojego poziomu, żałosna

kreatury.

Demon wyszczerzył kły i warknął:

– Kiedyś nazywałeś mnie inaczej. Byłem przyjacielem, ulubionym demonem, to mi powierzałeś najważniejsze zadania!

– Dawne czasy – odparł chłodno Oliver. – Było, minęło. Nikt nawet tego nie pamięta, tylko ty. I wierz mi, to już nigdy nie wróci. Szczytem twojej kariery może być teraz jedynie zebranie, bo nikt oprócz mnie nie przyjmie do siebie demona. A u mnie miałaś już swoją szansę, którą zresztą zmarnowałaś i to w okropnym stylu.

– Mylisz się. – Demon zmrużył swoje płonące nienawiścią, czerwone ślepia. – Ra mnie znalazł. On sam zaproponował, bym zrobił to, o czym marzę... Wiesz, co to?

– Mogę się domyślić, że to coś w rodzaju zniszczenia mnie. Cóż, idiotyczny pomysł.

– Tak! Miałem cię wytropić i pokonać. Potem Ra...

– Ale ty jesteś głupi. Albo coś nie tak z moją pamięcią, albo przez te tysiące lat stałeś się jeszcze głupszy. – Chłopak spojrział na niego z pogardą. – I ślepy na dodatek. To nie jest Ra, tylko jakiś gruby oszust, podszywający się pod niego, na dodatek bardzo nieumiejętnie!

– Nie lubisz go, co? – Demon uśmiechnął się, ze zrozumieniem kiwając głową. – On ciebie też... Ukradłeś mu ulubioną błyskotkę. Ośmieszylesz...

– Zasłużył sobie – mruknął bóg pustyni.

– Być może. – Czarny stwór wzruszył ramionami. – Nic mnie to nie obchodzi. Ważne, iż obiecali mi, że jak już z tobą skończą, to będę mógł się wreszcie zemścić! Potrzebowali mnie! Głupcy... Ty będziesz pierwszym bogiem, który umrze, oni będą następnymi.

– No tak... To bardzo w twoim stylu. – Oliver spojrział na niego z odrazą. – Najpierw pomagać, potem zdradzić.

Demon zarechotał.

– Tak, to bardzo w moim stylu! – zgodził się z zadowoleniem. – W końcu jestem sługą boga zła...

– Byłeś, jeżeli już – przerwał mu lodowatym tonem Władca Piasków. – Nie zapominaj.

– Dobra, dobra, w sumie żadna różnica... Byłem sługą boga zła. I to od niego nauczyłem się różnych wrednych forteli. Czyż nie, panie?

– Być może, lecz wykorzystać je na swoim władcy to był szczyt głupoty. Zobacz, jak marnie skończyłeś!

– No cóż, fakt, że myślałem, iż jakoś mi się upiecze. Nie wiedziałem, że aż tak lubiłeś to miasto.

– Tam była moja największa świątynia! Moi najwierniejsi kapłani!

– Phi! Też mi coś. To tylko ludzie. Zresztą, to było oczywiste, że w końcu i tak powrócę, wyjdę z tego bagna śmierci!

– Było też do przewidzenia, że ja cię do niego z powrotem wrzucę!

Demon roześmiał się straszliwie, a potem powiedział:

– Kiedyś może i dałbyś radę, lecz teraz... jesteś zwyczajnie za słaby. Teraz to ty jesteś żałosny, nie ja. Mnie przynajmniej ktoś potrzebuje, a Ciebie... nie!

– Tak, rzeczywiście! – Set zachichotał wrednie. – Ciebie rzeczywiście bardzo potrzebują! Muszą być szalenie zdesperowani, skoro zniżyli się do tego, by prosić o pomoc samo dno! I to jeszcze wyklęte dno z bagna, jak sam to ująłeś, które nie zasługuje nawet, by myśleć o bogach, a co dopiero na nich patrzeć!

Demon warknął wściekle i rzucił się do przodu, jednak bóg pustyni był już na to przygotowany. W tej samej sekundzie sypnął czarnemu stworowi w twarz piaskiem, który w locie zamienił się w kilkanaście małych, lecz bardzo ostrych noży. Równocześnie stworzył przed sobą gruby betonowy, a raczej piaskowy mur, cały naszpikowany lśniącymi kolcami.

Usłyszał dochodzący zza niego ryk bólu, gdy noże dosięgły swego celu, a potem lekko stłumione BUM, od którego zadrżało całe otoczenie.

Oliver rzucił za siebie szybkie spojrzenie, a widząc, że Sonia wciąż siedzi na ziemi i wpatruje się w niego wielkimi oczami, pobladł.

– Co ty tu jeszcze robisz?! – wykrzyknął. – Za wydme, jeśli ci życie miłe! A potem uciekaj jak najdalej stąd! Nie zatrzymuj się ani nie patrz do tyłu, choćby nie wiem co się działo, jasne?

Dziewczyna pokiwała niepewnie głową, z trudem trawiąc usłyszane przed chwilą informacje.

Tymczasem Oliver wznosił ręce i spojrzał w niebo, a to natychmiast pociemniało. Rozbłysła błyskawica, trafiając w wyjącego z furii demona. Set zmienił się w piasek, który rozwiął się po okolicy, by chwilę później rzucić się na przeciwnika ze lśniącymi mieczami w rękach.

Sonia otrząsnęła się z szoku i natychmiast zerwała się z piasku. Pomknęła przed siebie najszybciej jak mogła, ślizgając się na sypkiej wydmie, potykając oraz upadając, by natychmiast podnieść się i biec dalej. W głowie szalały jej chaotyczne, przerażone, niewiarygodne myśli.

To wszystko prawda. On jest bogiem! Ma wroga w wyklętym demonie! Walczą na śmierć i życie. A ona musi uciekać. Nie może pomóc. Nie umie.

W końcu dopadła szczytu wielkiej wydmy. Zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech oraz spojrzeć za siebie. Widziała, jak Oliver wiruje wokół mrocznego demona, jak co chwilę znika, by zaatakować go z innej strony. Z piachu wyskakiwały złote, płonące włócznie, które jednak rozsypywały się w czarny proch wraz ze zbliżaniem się do ciała potwora. Niebo stało się ciemnoszare, chmury kotłowały się, wypluwając z siebie ryczące, jasne wstęgi błyskawic.

Mimo czarnego nieba, nie padało. Nie wiedziała, czemu. Może deszcz bardziej zaszkodziłby bogu pustyni niż demonowi...? Nie była pewna.

Nagle zamrugła ze zdziwieniem. A cóż to? Czyżby piasek pod nogami demona się ruszał? Zmrużyła oczy.

– Skorpiony! – jęknęła, wzdrygając się.

Była to prawda. Pustynia stała się teraz łęgowiskiem tysięcy złotych skorpionów, których chyba jedynym celem w życiu było wejście na głowę demona. Przynajmniej tak to wyglądało.

Sonia z bólem patrzyła, jak demon odtrąca na bok pociski, jakby były z papieru. Przy każdym ruchu deptał lśniące, złote pancerze. Bez trudu odpierał ataki płonących mieczy Olivera... a raczej Seta. Chyba nie było sensu, by dalej udawać, że w to nie wierzy. Musiała przyznać. To prawda. Nie był człowiekiem. Co prawda nie nazwałaby go też bogiem, ale na pewno nie był zwykłym człowiekiem.

Demon miał w ręku gigantyczny, czarny, budzący grozę miecz, o długości co najmniej dwóch metrów. Nie wiedziała, skąd go wziął, może wyczarował tak jak Oliver swoje. Ciął nim powietrze z ostrym świstem tak szybko, że Sonia z trudem mogła uwierzyć, że jej kolega jakimś cudem robi naprawdę skuteczne uniki. A wyglądał przy swoim przeciwniku jak mrówka. Widziała, że demon wcale się nie trudzi. Raczej dobrze się bawi, jak drapieżnik ofiarą. Zadrżała z przerażenia. Nadzieja topniała w jej sercu. Przecież Oliver nie ma szans!

Nagle uderzyła ją pewna straszna myśl, odbierając jej na chwilę dech. Przecież chłopak umiał zamieniać się w piasek. Mógł bez trudu uciec, gdyby tylko chciał.

Ale nie! Został i walczył z tym strasznym demonem.

Poczuła, że robi jej się słabo. To przez nią! Ona nie miałaby jak uciec. Musiałby ją zostawić. Ale tego nie zrobił.

Teraz powoli przegrywał. Widziała, że demon coraz więcej siły wkłada w swoje ciosy. Patrzyła, jak Oliver chwieje się pod ich naporem. Jak się cofa. Jak wreszcie potwór odrzuca go daleko w tył na złote wydmy Sahary.

Demon zaśmiał się upiornie i zrobił krok do przodu, unosząc czarny miecz.

Sonia krzyknęła ze zgrozą.

Chłopak wciąż leżał nieruchomo na złotym piasku, zapewne próbując odzyskać oddech. A może przytomność...?

Szybko rozejrzała się dookoła, ale w zasięgu jej wzroku nie było żadnej, ale to żadnej rzeczy nadającej się na prowizoryczną broń. W odruchu desperacji porwała z ziemi garść piachu i próbowała cisnąć nim w stronę demona. Jednak złote drobiny, lśniąc, natychmiast opadły na wydnię.

Nie widziała żadnego sposobu, by pomóc koledze. Ale nie chciała dopuścić do siebie tej przerażającej myśli. *Zaraz go zabije!* – pomyślała z paniką. A jego

koniec to jej koniec.

Demon zatrzymał swój uniesiony wysoko miecz, jakby delektując się tą chwilą triumfu. Szykując się do ciosu, wyszczerzył przerażająco ostre kły...

Ale wtedy nagle jakaś złota smuga przecięła krajobraz pustyni, skoczyła z wydmy... I wylądowała prosto na karku demona, z furią wgrzyzając się w jego szyję!

Sahara! Sonia widziała jej białą sierść, puszysty ogon, duże uszy. Kochane zwierzę przybyło, by pomóc swemu panu.

Ujrzała, jak potwór sięga ręką do tyłu, jak chwyta białego psa, a potem odrzuca go gdzieś na bok. Załkała z przerażenia. Ta walka była beznadziejna...

Oliver z trudem podniósł się na nogi. Wykrzywił twarz w grymasie złości.

– Nie waż się tykać mojego psa! – wrzasnął.

Sahara piszczała oraz próbowała jakoś wstać z piasku kilkanaście metrów dalej, ale nie mogła. Pobladłej śmiertelnie Soni serce ścisnęło się z bólu na odgłos jej żalosego skowytu.

Wiedziała, że powinna uciekać. Ale gdzie...? Byli na środku pustyni! No, a oprócz tego nie mogła go zostawić. Nie potrafiła. To by było jak zdrada... Tym bardziej że demon i tak mógłby ją potem z łatwością dopaść. Potem, gdy już...
Nie! Przestań!

Kolejne błyskawice zaatakowały Wyklętego, kolejne płonące włócznie wystrzeliły z piasku. Oliver z nową energią skoczył w stronę demona.

Sonia zamarła w napięciu, obserwowała ich pojedynek, próbując wymyślić jakieś wyjście z sytuacji. Ale nic nie wpadło jej do głowy. Nie było ratunku. Nie miała jak pomóc. Mogła tylko kontynuować beznadziejną ucieczkę, albo patrzeć, jak jej kolega przegrywa równie beznadziejną walkę na śmierć i życie.

Bo przegrywał. Szło mu coraz gorzej, choć z niezwykłym uporem nie dopuszczał do siebie myśli o porażce, która stawała się z każdą sekundą bardziej realna.

Sonia miała przerażającą pustkę w głowie. Wiedziała, że koniec już blisko. I wtedy poczuła, że nadgarstek zaczyna ją palić żywym ogniem. Spojrzała na niego, akurat by ujrzeć, jak znak na jej ręce rozjarza się oślepiającym blaskiem.

Pisnęła zaskoczona. Wówczas usłyszała pełen napięcia, dziewczęcy głos, dobiegający jakby z oddali:

– Sonia! Pomóż mu!

Podskoczyła z wrażenia i rozglądnęła się dookoła, ale nikogo nie zobaczyła. Zadrzała. Dziwne. Nawet bardzo. A ta dziewczyna... jej głos brzmiał tak niezwykle znajomo. Hm, zaraz... Skąd może ją znać? Nagle drgnęła.

Tak, no jasne! Tę samą dziewczynę słyszała w kairskim muzeum! Mówiła do niej... Przekonała, że Sonia powinna dotknąć pokrytej malunkami ściany... A potem pojawił się ten znak! Ten na jej ręce.

Ale... przecież tej dziewczyny naprawdę nie ma! Tak jak wtedy, w Kairze. Co tu się w takim razie dzieje?!

– Kto tu jest? Kim jesteś? – wyjąkała Sonia, rozglądając się dookoła niepewnie.

– Izydą.

Izydą... Ale... Nie! To niemożliwe, prawda...? I jej głos... Dochodził jakby... z jej głowy! Że co?!

– Tą Izydą?!

– Tak. Boginią. – W jej głosie dało się słyszeć rozbawienie.

– Co?! Gdzie jesteś? Nie widzę cię! – wyjąkała Sonia, ignorując wewnętrzny głos chcący wrzasnąć: „Nie wierzę ci! To niemożliwe!”.

Nagle pisnęła z przerażeniem, gdy demon ponownie odrzucił Olivera daleko na bok, gdzie wrył się w złotą wydmy. Sekundę później uniósł go, prawie miażdżąc w pomarszczonej... dłoni? Łapie?

Nie rozumiała, czemu chłopak nie zamienia się w piasek! Przecież potrafi! Mógłby w ten sposób uciec, by zaatakować ponownie. Ale czemu nic nie robi?!

– Sam nie da rady – powiedziała z napięciem Izyda. – Potrzebuje wsparcia.

– To mu pomóż! Skoro jesteś boginią, to na pewno potrafisz! – wykrzyknęła trupioblada Sonia. – Szybko! Proszę, pomóż Oliverowi!

– Oliverowi? – zdumiała się natychmiast Izyda. – Kto to? Estera powiedziała, żebym pomogła tobie. Mówiła też, że jest z tobą Briant de Ramen... – Tu w jej głosie zabrzmiała jakby tęsknota. – To prawda?

Blondynka zmarszczyła brwi i spojrzała na syczącego coś z wredną miną boga chaosu. Co?! On... Briant...? *Nie, przecież to niemożliwe. To nieprawda. Już to ustaliłam!*

– Nie? – Brzmienie głosu Izydy wskazywało na gigantyczne rozczarowanie. I... smutek? Płaczliwy ton? Niiiee.

– Ty... ty znasz moje myśli?! Ale to niemożliwe – wydukała zdezorientowana Polka.

– A jednak, przecież cię wybrałam – przyznała z przygnębieniem. – No i jestem boginią.

– To mu pomóż! Proszę!

– Nie mogę – odparła z rozdrażnieniem. – Ja nie, ale ty – owszem. No, dalej, zrób to! Pomóż mu.

– Jak? – Sonia nie rozumiała.

Co? Ona może mu pomóc?

– Jak? Moimi siłami. Moją mocą. Moją magią – oznajmiła dumnie bogini. – Nie będziesz sama. Jesteś Wybraną. Jestem z tobą. Pomogę wam. Dalej, Sonia. Pokażmy im potęgę światła!

Nastolatka rozglądnęła się dookoła. Oczekiwała eksplozji mocy,

jakiegokolwiek znaku.

Tylko że nic się nie stało.

Poczuła gigantyczne rozczarowanie, gdzieś na dnie serca. A co, jeśli to tylko wytwór jej wyobraźni? Oznaka szaleństwa? Postradanego rozumu? Albo, co, jeśli Izyda (zakładając, że naprawdę istnieje) jednak nie da rady mu pomóc...? Co wtedy?

– Izydo...? Czemu nic się nie dzieje? – wyjąkała z niepokojem blondynka, zerkając na pobladłego Olivera, wciąż będącego w żelaznym uścisku warczącego coś demona.

– Sonia, musisz wyzwolić w sobie potęgę – wyjaśniła szybko Izyda. – Wspomogę cię moją magią i razem damy radę. Ale tylko razem. Sama... no, nie wiem nawet za bardzo, co się u ciebie dzieje. Odczuwam tylko twoje emocje. Widzę niektóre obrazy. Myśli. Ale nie jestem tam ciałem. Musisz się otworzyć!

– Ale... jak?! – pisnęła przerażona dziewczyna, czując, jak strach ściska jej serce. Jeśli czegoś nie zrobią natychmiast, to nie będzie już kogo ratować!

– Musisz uwierzyć w siebie. W swoje siły. W swoją moc. Wiara to podstawa. Daje ci władzę. Dalej, Sonia! Wyzwól ją w sobie. Pozwól, by płynęła. Niech cię wypełni!

Dziewczyna zacisnęła dłonie, aż paznokcie wbiły jej się w skórę. Lecz nie zwróciła na to uwagi. Przymknęła oczy, zmarszczyła brwi. W głowie wciąż szumiały jej słowa bogini. *Dalej, Sonia! Wyzwól ją w sobie. Pozwól, by płynęła. Niech cię wypełni!* Przed jej oczami przewijały się obrazy. Tysiące obrazów. Scen. Słów. Zdań. Widziała siebie, w muzeum, przy piramidach, zamkniętą w małym budyneczku. Ujrzała siebie, przerażoną, bezradną. Samotną lub z równie przestraszoną oraz zaskoczoną Esterą. Widziała Olivera. Jaki był okropny i niemiły. Ale potem, jak jej pomógł w muzeum. Z demonami. W tym małym budynku. Jak przeraziła się, że zjadł go lew podczas gry terenowej. Ujrzała Rale'a, który chciał oskarżyć ją o coś, czego nie zrobiła. Demony, które pragnęły złożyć ją w ofierze. Przeżyła. Czy po tym wszystkim ma zginąć na środku pustyni? Czy naprawdę ona oraz Oliver już nigdy nie mają zobaczyć domu...?!

Wypełniły ją emocje. Rozpacz, strach, bezsilność. Niedowierzenie, niepewność, podejrzliwość. Zadowolenie, radość, ulga. Wszystko to, co przeżyła podczas całego obozu. Emocje płynęły, wypełniając ją całą. A potem zalała ją fala niezmierzonej potęgi, mocy nieskończonej niczym bezdenny ocean.

– Tak! Świetnie! – Bogini się roześmiała.

Sonia uniosła głowę. Otworzyła rozjaśnione, pełne blasku oczy.

– Izydo, jak można zniszczyć demona? – zapytała, ze zdumieniem zauważając, że nie czuje już strachu. Jedyne pewność, że władza jest w jej ręku. Może zmienić świat. Jest niezwyciężona.

– To nie jest proste. I nie jest szybkie. Potrzebujemy czasu.

Zmarszczyła brwi. Oliver był już w sytuacji bez wyjścia. Liczyła się każda sekunda.

Nagle jakaś śmiała myśl zaświtała jej w głowie. Była ona tak odważna, że aż całkowicie nierealna.

– Sonia! – W głosie bogini dało się wyczuć bezgraniczne zdumienie, z nutką zadowolenia i satysfakcji. – To może się udać!

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Tak. Pokieruj tobą, nie martw się. Ty tylko zacznij.

Sonia nie za bardzo wiedziała, jak rozpocząć, ale na szczęście pokierował nią instynkt.

Spojrzała w niebo, z którego błyskawicznie zaczęły odpływać chmury i wzniosła ręce, uwalniając swoją wolę oraz magię bogini światła. Z góry wystrzelił oślepiający promień, który spotkał się z wirem piasku, a ten z kolei zerwał się ze złotej wydmy.

Dziewczyna przymknęła oczy. Wyobraziła sobie, że stoi przed nią Oliver. Pomyślała, jaki jest. Kim jest. Jak się zachowuje. Jak postrzega świat. Co potrafi. Chciała wykorzystać moc starożytniej bogini, by stworzyć jego sobowtóra. I wiedziała, że jest to możliwe. Cały czas czuła zawirowania dochodzące z miejsca, w którym promień spotykał się z piaskiem.

W końcu Izyda wykrzyknęła:

– Stój! Wystarczy.

Natychmiast opuściła ręce, zatrzymując strumień magii. Odetchnęła, po czym otworzyła jaśniejące oczy. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, widząc, jak stojący przed nią chłopak, identyczny jak Oliver, rozgląda się dookoła ze zdumieniem.

– C...co? – wyjąkał. – Ale ja...

Jejku! Ma nawet identyczny głos! – przemknęło jej przez myśl. Wciąż nie mogła w to uwierzyć!

Wówczas demon ryknął z wściekłością. Drugi Oliver odwrócił się w jego stronę. Gwałtownie wciągnął powietrze, widząc siebie w ręku czarnego potwora. Zmarszczył brwi. Potem wzdrygnął się gwałtownie. Zrozumiał. W jego złotych oczach załśniło niedowierzanie. Bo tylko oczy miał inne. Złote jak słońce. Z osłupieniem spojrzał najpierw na siebie, potem na Sonię.

– No, dalej, chyba nie pozwolisz, żeby twój wróg cię pokonał, co? – Uśmiechnęła się nieśmiało. Nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć. „Cześć, sobowótze mojego kolegi!”

– Pewnie, że nie – mruknął słabym głosem, takim samym jak jego pierwowzór.

Popatrzył na szykującego się do ciosu demona. Zmrużył oczy, w których natychmiast zawirowała wściekłość.

– Hej, ty! – zawołał z pogardą.

Demon i Set jak na komendę spojrzeli w jego stronę. Stwór skrzywił się z niezrozumieniem. Bóg pustyni wytrzeszczył oczy, nic nie rozumiejąc.

– Nie pozwolę ci mnie skrzywdzić! – wydarł się w tym samym momencie drugi Oliver i skoczył przed siebie.

W jego rękę pojawił się płonący miecz.

Demon nie miał szans zareagować na czas. Tym bardziej że wciąż był skamieniały ze zdumienia. Sobowtór Olivera wbił miecz w jego nogę. Stwór zawył i wypuścił swojego wroga, który wylądował na piasku kilka metrów dalej.

Oryginał usiadł na piachu, próbując połapać się w sytuacji. Podejrzliwie popatrzył na swojego sobowtóra, który zjawił się obok i wyciągnął ku niemu rękę z pewnym siebie uśmiechem.

– Wstawaj, brachu. Czas spuścić komuś łomot!

Oliver zerknął z wahaniem w bok, jego oczy spotkały się ze spojrzeniem Soni. Uniósł brwi na widok jej zadowolonej miny. Potem wszystko zrozumiał. Uśmiechnął się chytrze i uściśnął rękę sobowtóra, wstając.

– Czemu nie? Ale nie mów do mnie brachu.

W jego rękach pojawiły się dwa nowe miecze. Razem zaatakowali Wyklętego.

– Udało się nam – wyszeptała tymczasem niedowierzająco Sonia.

– Pewnie, że tak. Ale teraz musimy się skupić na demonie – odpowiedziała Izyda.

– Czy on... oni teraz nie dadzą rady go pokonać? Przecież jest ich dwóch. Są silni.

– Posłuchaj, Sonia. Zła złem nie pokonasz. Ciemności ciemnością nie przegnasz. Tylko dobro pokona zło, a tylko jasność rozproszy mrok. Rozumiesz? Dlatego my musimy to zrobić. Oni mogą walczyć, ale my światłem dokonamy dużo więcej.

– Dobrze. Czyli naszą główną bronią jest światło? Bo demony, jako istoty ciemności, na pewno go nie znoszą?

– Właśnie tak. Skup się. To będzie wymagało dużo sił oraz koncentracji.

Sonia rzuciła ostatnie spojrzenie na Olivera i jego sobowtóra, wirujących wokół wymachującego mieczem demona. Tym razem sytuacja przedstawiała się znacznie lepiej. Choć demon i tak przerażająco dobrze sobie radził. Zbyt dobrze.

Zamknęła oczy, skupiając się po raz kolejny, ale tym razem jeszcze bardziej. Wiedziała, co robić. Może dzięki Izydzie, może nie.

Czuła, jak wypełnia ją buzująca, oślepiąco jasna energia. Napływała i napływała, jakby nigdy nie miała się zatrzymać. W końcu, gdy myślała, że zaraz nie zapanuje nad stłoczoną w sobie mocą, poczuła, że to już ten moment. Gwałtownie wciągnęła powietrze, rozłożyła ramiona. Uświadomiła sobie, że jej

stopy odrywają się od podłoża. Promieniowała potęgą. Wzniosła się na kilka metrów nad złotą wydmę i tam zawisała w powietrzu.

– Jesteś gotowa. – Usłyszała lekko zmęczony głos bogini.

Wiedziała to. Uniosła głowę oraz otworzyła płonące oślepiającym światłem oczy.

Ujrzała, jak dymiący z furii demon ściska w swoich szponach wiercącego się zawzięcie Olivera, a raczej aż dwóch, każdego w innej dłoni. Znowu okazał się silniejszy.

Lecz tym razem nie na długo.

– Oliver! Czas zakończyć ten nierówny pojedynek – wykrzyknęła otoczona rażącą poświatą Sonia. – Zamknij oczy!

Nie wiedziała, czy zrozumiał. Musiała działać szybko. A czas na działanie nadszedł.

Spojrzała w niebo i przymknęła oczy, pozwalając, by uwolniła się nagromadzona w niej energia. Oślepiająca jasność wystrzeliła z jej serca, po czym zalała całe otoczenie olśniewającą falą blasku, jakiego jeszcze świat nie widział.

Usłyszała pełne bólu, demoniczne wycie.

Wtedy wyczerpała się jej moc. Natychmiast opadła na piasek, z trudem łapiąc równowagę na sypkim terenie. Modląc się w duchu, by wszystko zadziało, spojrzała w stronę wyjącego z wściekłością demona, wokół którego powoli rozpraszał się nienaturalny, wywołany przez nią blask.



Rozdział dwudziesty czwarty

SERCE PUSTYNI

– Czas zakończyć ten nierówny pojedynek! – wykrzyknęła wojowniczo Sonia.

Oliver próbował właśnie wyswobodzić się z dymiącego łąpska próbującego go zmiażdżyć. Nie mógł oddychać. Jednak nie to zajmowało jego uwagę. Był zbyt wściekły, by zważać na takie przyziemne sprawy. Usiłował spalić wzrokiem swojego wroga. Sobowtór, czy cokolwiek to było, też.

Wówczas jego sojuszniczka wrzasnęła nagłaco:

– Zamknij oczy!

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Niby po co? Ale w głosie Soni wyczuł stanowczość oraz pewność siebie. Zerknął w jej stronę, ze zdumieniem zauważając, że wisi w powietrzu i świeci niczym nowe słońce.

Wtedy zrozumiał. Światło! Natychmiast zacisnął powieki oraz odwrócił od niej twarz, którą chętnie zasłoniłby rękami, ale były właśnie miażdżone przez Wyklętego.

– Boisz się mnie? – wycharczał potwór z wielkim zadowoleniem. – Słusznie! Bo to właśnie ja zniszczyłem ci życie! Ra mi pozwolił i zrobiłem to. To ja zabiłem twoją rodzinę, Secie! Właśnie JA!

Oliver zamarł.

To ja zabiłem twoją rodzinę. Wtedy to do niego dotarło. Z podwójną siłą. Cios był tak wielki, że aż zrobiło mu się niedobrze. Był zbyt zszokowany, żeby zrobić cokolwiek. Zabrakło mu tchu. Zakręciło się w głowie. To on ich zabił.

Szok błyskawicznie ustąpił miejsca furii.

Właśnie miał otworzyć płonące wściekłością oraz bólem oczy. Właśnie miał otworzyć usta, by zacząć wrzeszczeć jak nigdy wcześniej. Właśnie miał zrobić

wszystko, byle tylko go dopaść.

Ale nie zdążył. Bowiem dokładnie w tym momencie świat zalała fala blasku.

Demon nie połapał się w sytuacji wystarczająco szybko. Był zbyt skupiony na dwóch bogach pustyni trzymany w garściach. I to go zgubiło.

Jasność była tak oślepiająca, że oczy zapiekły Olivera mimo największej ochrony, jaką mógł im zapewnić.

Stwór zawył z bólu. Władca Piasków poczuł, jak ucisk jego szponów słabnie. Sekundę później wyslizgnął się z łapy Wyklętego i runął na twarde piasek, odległy o dobre kilka metrów.

Nie pozwolił, by zderzenie z ziemią zmusiło go do uchylenia powiek choć na milimetr. Wciąż atakowało go bolesne światło. Wcisnął twarz w piasek, zasłaniając głowę rękami.

Jego myśli zajmowało tylko jedno. Świadomość, że to właśnie on, akurat ten demon, jego odwieczny wróg ich zabił. Jego rodzinę. A przez to zniszczył mu całe życie.

Potwór bez przerwy wył z bólu. Oliver podejrzewał, że był jeszcze bardziej wrażliwy na jasność niż on, ponieważ został wyklęty i tysiące lat spędził w najciemniejszym kącie podziemia.

W końcu poczuł, jak blask słabnie. Po chwili odważył się ostrożnie uchylić powieki. Jak przez mgłę zobaczył, że demon zasłania krwawiące na czarno oczy rękami i chwieje się na skulonych nogach.

Na jego widok coś w nim drgnęło. Ponownie ujrzał ich twarze. Jego rodziny. Patrzyli na niego z melancholią. Wszyscy. To on ich zabił.

Nagle usłyszał ostrzegawczy okrzyk Soni.

– Oliver!

W tej samej sekundzie zrozumiał, dlaczego krzyczała. Chwiejący się demon właśnie potknął się na wyczarowanej przez jego boskiego sobowtóra gigantycznej kłodzie. Zawył z bólu, zaskoczenia oraz furii i runął do tyłu. Prosto w to miejsce, gdzie leżał właśnie on, Władca Piasków, jego odwieczny wróg.

Oliver wytrzeszczył oczy i natychmiast odturlał się na bok, a z piasku na przebytej przez niego drodze wystrzelił w tej samej sekundzie rząd ostrych, lśniących szpikulców.

Jakimś cudem był szybszy od spadającego demona. Stwór upadł prosto na kolce, kilkanaście centymetrów od boga pustyni.

Wyklęty zawył z jeszcze większym bólem oraz wściekłością, gdy szpikulce przebiły jego ciało.

– Uwaga! Zaraz się podniesie! – wrzasnął ostrzegawczo sobowtór.

Oliver nie zareagował. Z osłupieniem wpatrywał się w odległego o centymetry wroga. Jakimś cudem mu się udało! Nie został zmiażdżony.

Ale prawie tego nie zauważał. Wciąż był pod wpływem szoku. Patrzył na

swojego dawnego sługę, ale jakby go nie widział. W głowie kołatały mu się tylko te przerażające słowa: *To ja zabiłem twoją rodzinę.*

* * *

Sonia z trwogą obserwowała, jak stwór próbuje się podnieść. Ciemna maź skapywała na otaczający go piasek.

– Zrób coś! – jęknęła słabo Izyda. – Ja nie mam siły na cokolwiek, a już szczególnie, by coś wymyślić. Wyczerpałam prawie całą moją moc. Ale mną się nie przejmuj. W końcu odzyskam siły. Oddam ci wszystko. Tylko się uratuj...

Sonia zagryzła z wahaniem wargę. W głowie zajaśniał jej pewien pomysł, ale... miałyby kogoś skrzywdzić...? Naprawdę? *On chciał ci urwać głowę* – przypomniała sobie, a w jej oczach zabłysło zdecydowanie. On nie zasługuje na litość.

Po raz kolejny uniosła ręce, sięgając do swego serca po nową porcję energii. Powietrze nad gramolącym się ze szpikulców demonem załśniło oraz zamigotało.

Izyda ponownie jęknęła gdzieś w głowie Soni.

Wtedy nad stworem zmaterializował się gigantyczny posąg pawiana – obiekt, którego każdy szczegół blondynka знаła doskonale, a zatem bez problemu mogła go sobie wyobrazić. Był to dokładnie taki sam posąg, z jakiego śmiała się z Esterą w muzeum. Tylko, że bardzo ciężki.

Runął na wściekłego demona i natychmiast wgniótł go w piasek. Gdzieś spod rzeźby rozległo się jego stłumione, ale i tak bardzo głośne wycie, a może raczej rżenie.

Sonia pobladła, gdy zrozumiała, że przy okazji prawie zgmiotła Olivera.

W tym samym momencie załamały się pod nią nogi. Opadła na piasek, wpatrując się w wielką, kamienną podobiznę małpy. Poczula się nagle bardzo zmęczona.

– Sonia – jęknęła słabo Izyda, po raz kolejny, a jej głos był coraz dalszy. – Tak mi słabo! Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy... Pamiętaj... Jesteś Wybraną. Podarowałam ci najcenniejszy Dar, jaki miałam... Dar Magii. Pewnie zastanawia cię tak wiele rzeczy. Szkoda, że nie mamy teraz czasu, by porozmawiać... Przypuszczalnie już wiesz, że widzisz prawdę, Sonia. Widzisz rzeczy takimi, jakie są w rzeczywistości. Widzisz ich prawdziwą naturę. A Dary to... Ach...! Kiedyś zrozumiesz...

– Izydo? – wyjąkała dziewczyna, czując, jak tajemnicza osobowość odpływa z jej serca. – Dziękuję... I, czekaj! Gdzie mogę cię spotkać?

Ale nikt jej nie odpowiedział. Znow była w pełni oraz tylko sobą. Poczwała się odrobinę samotnie, a także smutno.

W tej samej chwili ktoś wypowiedział jej imię. Uniosła głowę i zobaczyła zbliżającego się Olivera. Zataczał się, a na twarzy miał wypisane szok oraz ból. Jego oczy błędziły dookoła nieprzytomnie. Kiedy jednak do niej doszedł, udał, że jest w miarę opanowany.

– Nie wiedziałem, że potrafisz świecić jak słońce – powiedział słabo.

– Ja też. – Uśmiechnęła się z cieniem niedowierzania.

– No, to trochę pomogło. Ale sam i tak dałbym sobie radę.

Spojrzała na niego niedowierzająco.

– No co? – obruszył się, pomagając jej wstać. Próbował zachowywać się normalnie, choć widziała przecież, że musiał przeżyć przed chwilą potężny cios psychiczny. Nie wiedziała tylko, jaki? – Jestem potężnym bogiem. Bardzo potężnym bogiem. I tak na przyszłość. – Tu ściszył głos, zerkając znacząco w bok, gdzie jego sobowtór oglądał złamaną nogę Sahary. – Nie życzę sobie żadnych moich kopii. Ja jestem unikatowy. Co to w ogóle jest?

– Twój sobowtór. Właśnie przestałeś być unikatowy. – Wzruszyła ramionami.

Nie wyglądał na zadowolonego. Westchnął rzewnie, po czym przymknął na chwilę oczy. W głowie wciąż huczały mu te słowa. Cały drżał. Miał ochotę samotnie zaszyć się gdzieś, w jakimś ciemnym kącie i krzyczeć. Jego rodzina...

Nie! Przestań. Nie teraz. Nie możesz. Jakimś cudem zdołał trochę odciąć się od wspomnień, które sprawiały, że chciał się rozplakać, a równocześnie wybuchnąć ze złości. Ale musiał się opanować. Nie mógł się teraz rozkleić. Stworzył w głowie gruby mur, który odgrodził go od tych myśli. Szkoda, że niezbyt skutecznie.

– Gdyby nie on, to by nas tu pewnie nie było – przypomniała mu w tym momencie Sonia. – Ty potrzebowałeś wsparcia, a ja czasu. On nas uratował.

Przez chwilę zastanawiał się, o czym ona w ogóle mówi. W końcu zrozumiał, że o jego sobowtórze.

– Sam dałbym sobie radę – mruknął.

– Jasne – prychnęła.

– Pewnie, że tak. No i prawie mnie zmiażdżyłaś. Dwa razy. Raz moim odwiecznym wrogiem, potem jakimś dziwnym posągiem. W ogóle, skąd ten pomysł na pawiana? Przecież on jest taki... no, sam nie wiem. To małpa. Nie lubię małp. Co innego skorpiony.

– O nie! Tylko nie skorpiony. – Wzdrygnęła się.

– Uważasz, że pawiany są lepsze od skorpionów? – zapytał podejrzliwie.

– Wszystko jest lepsze od skorpionów – odważyła się powiedzieć.

Skrzywił się.

– Nieprawda.

– Jak dla kogo – bąknęła, po czym, chcąc zmienić temat, powiedziała: – Świetny z ciebie, eee... wojownik. Nie wiedziałam, że umiesz tak walczyć. Chodziłeś na jakąś szermierkę czy coś w tym rodzaju?

– Nie. Pierwszy raz trzymałem w ręku prawdziwy miecz.

Uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Ale... – zaczęła.

– Tak, wiem, o co chcesz spytać. Czemu zatem tak dobrze mi szło? Bo jestem bogiem wojny. Walkę mam we krwi.

– Ach – westchnęła, robiąc dziwną minę, ale postanowiła nic więcej nie mówić. No bo jak mogłaby to skomentować?

Przeniosła za to spojrzenie na zbliżającego się do nich sobowtóra, z trudem niosącego wielkiego pustynnego psa.

– Co z nią? – zapytał natychmiast zaniepokojony Oliver, przy okazji zerkając podejrzliwie na swoją kopię.

– Ma złamaną nogę – oznajmił sobowtór identycznym głosem jak oryginał. – I przy okazji, Sonia, to było super! Dzięki za pomoc.

Oliver spojrział na niego jak na dziwoląga, a dziewczyna uśmiechnęła się ciepło. Wreszcie ktoś ją docenił!

– Tak właściwie, to nie moja zasługa, ale Izydy – przyznała.

– Izydy? – odezwał się zdumiony chórek.

– Tak. Dziwne, nie? Powiedziała, że dała mi jakiś Dar... Ale nie za bardzo wiem, o co jej chodziło. Bez niej nie potrafię czarować. Nie czuję się obdarzona czymkolwiek.

– Och, to smutne – mruknął prawdziwy Oliver, obserwując, jak jego sobowtór ostrożnie układa Saharę na piasku.

– Ale ty... wy wszystko wiecie – wypaliła oskarżycielsko Sonia. – Możecie mi wreszcie wytłumaczyć, co tu się dzieje?

Tym razem nikt się nie odezwał. Obaj wykazali nadzwyczajne zainteresowanie wydumą.

Blondynka zmarszczyła brwi.

– To ma być drużyna, która wspólnie pokonała strasznego demona? – pożałowała się. – Zero zaufania. Nie tak powinno być.

– Powiem ci, jak będziesz gotowa przyswoić sobie mnóstwo dziwnych informacji – przemówił ostrożnie bóg pustyni.

– Czyli kiedy? Nigdy?!

– Nie... Nie nigdy, tylko później.

Zrobiła zniecierpliwioną minę. Czuli, że tak naprawdę Oliver nie ma ochoty jej wszystkiego tłumaczyć. Właśnie miała się odezwać, gdy nagle leżąca dotąd spokojnie Sahara uniosła głowę oraz zawarczała ostrzegawczo.

– Co się stało? – zapytała z niepokojem, wpatrując się w zastygłego

w bezruchu psa.

– Patrzcie. – Sobowtór Olivera wskazał na horyzont.

Odwrociła się i zamarło jej serce.

– To bogowie – warknął Władca Piasków.

Widziała kilka punktów na błękitnym niebie, zbliżających się z każdą chwilą. Jeden z nich to z pewnością helikopter. Inne były chyba jakimiś ptakami, a może nie? Nie miała pewności. Na dodatek po złotych piaskach pustyni mknęło kilka aut oraz parę jakiś niezidentyfikowanych obiektów, których kształtów nie mogła rozpoznać. Zbliżyli się rozległym wachlarzem.

– Co robimy? Uciekamy? – Spojrzała niepewnie na swojego kolegę i jego sobowtóra.

– Przecież damy im radę – prychnął lekceważąco Set.

– Ale nie o to chodzi – zaprotestował jego sobowtór. – Amulet jest zbyt cenny, by ryzykować!

Sonia spojrzała na nich ze zdumieniem. Jak na oryginał i sobowtór niezbyt się zgadzali.

– Jaki amulet?

– Nieważne – mruknął Oliver, mrużąc oczy.

Sonia ponownie popatrzyła na zbliżające się obiekty.

– Dlaczego nas szukają? – dociekała drżącym głosem.

– Właśnie przez Amulet – wyjaśnił sobowtór. – Ma wielką moc. To on cię uzdrowił.

– Co? – zdumiała się. – Uzdrowił?

– Nieważne! – warknął Set, rzucając swojemu sobowtórowi mordercze spojrzenie.

– No co? Przecież kiedyś i tak jej powiemy, nie?

– Nie.

– Hej! – oburzyła się Sonia. – O co tu chodzi? Chcę wiedzieć!

Oliver obrócił głowę, by na nią spojrzeć. I wtedy gwałtownie poblądł. Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– To... to wojsko! – wydusił z siebie z trudem.

Sonia natychmiast zerknęła za ramię, czując, jak paraliżujący strach ścisną ją za serce.

– Wojsko...? – wyjęczała z niedowierzaniem i zdenerwowaniem. – O co tu chodzi?!

– Jesteśmy otoczeni – syknął nagle sobowtór Olivera.

Dziewczyna błyskawicznie obróciła się dookoła swej osi, blednąc.

Z każdej strony zbliżały się do nich wielkie, ciemne samoloty, wcześniej niewidoczne. Po pustyni pędziły szeregi terenowych aut, nawet kilka czołgów.

Z przerażeniem obserwowała zbliżające się maszyny. Były wszędzie i było

ich tak dużo! W jej sercu pojawiło się przerażenie. Wojsko?! Ale... ona nic nie zrobiła! Co tu się w ogóle dzieje? Wysłać armię za parą nastolatków, która, pewnie w ich oczach, uciekła na pustynię?! Gdzie tu logika?

– Dlaczego jest ich tak wiele? – wyszeptała drżącym głosem, nic nie rozumiejąc.

Oliver wymienił ze swoją kopią szybkie spojrzenie.

– Nie mam pojęcia – skłamał, co Sonia oczywiście wyczuła w tonie jego głosu.

Natychmiast odwróciła twarz w jego kierunku.

– Możesz przestać mnie okłamywać? Przecież wiem, że to nieprawda.

– Niby skąd? – prychnął powątpiewająco.

– Powiem ci, kiedy będziesz gotowy przyswoić sobie mnóstwo dziwnych informacji – przedrzeźniła go.

Nie odpowiedział. Z przestrachem wpatrywał się w pustynię aż czarną od wielkich aut i czołgów, w niebo pełne samolotów. Zadrżał.

– To wszystko moja wina – szepnął.

– Nieprawda – burknął jego sobowtór. – Musimy przestać się obwiniać. A teraz uciekajcie, ja ich zatrzymam. No, szybko!

Sonia spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Niby jak? – zapytał z wahaniem Oliver.

– O to się nie martw. – Uśmiechnął się chytrze. – Wyglądam jak ty. Na pewno się nabiorą. Zwłaszcza gdy wywołam im tutaj piękną burzę piaskową.

Władca Piasków przez kilka długich sekund wpatrywał się w złote oczy swego sobowtóra. Ten jeden jedyny szczegół ich różnił. Barwa oczu.

– Dlaczego? – spytał w końcu. – Dlaczego chcesz to zrobić?

– Jestem tylko twoją kopią – mruknął z nutą rozżalenia. – Nie liczę się, w przeciwieństwie do ciebie. Dobrze to wiesz. No, szybko! Musicie uciec. Dalej!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Pamiętaj, jesteś aż moją kopią. Nie tylko. To różnica – powiedział w końcu Oliver, z niezwykłą jak na niego powagą.

Jego sobowtór skrzywił się odrobinę, a następnie skierował dłoń w stronę leżących poniżej bagaży, które w jednej chwili wystrzeliły w powietrze. Piasek uniósł się z ziemi oraz zawirował chaotycznie, formując się w kształt nowego samochodu.

W tym samym momencie Władca Piasków dźwignął z podłoża wielkiego psa i ześlizgnął się po wydmie aż do jej podstawy. Sonia rzuciła jeszcze krótkie, niespokojne spojrzenie na zastraszająco szybko zbliżające się maszyny, a następnie pobiegła za kolegą, który właśnie usadowił Saharę na tylnym siedzeniu. Wskoczyła do samochodu, a Oliver szybko zajął miejsce kierowcy, ostatni raz napotyając wzrok swego sobowtóra.

Sekundę później złote auto wystrzeliło do przodu.

– Masz jakiś plan? Przecież jesteśmy otoczeni – wyjąkała przerażona blondynka, próbując zapanować nad drżącymi dłońmi.

– Ja zawsze mam plan – odpowiedział tylko.

Mknęli przed siebie, przeskakując nad piaskiem. Żłociste słońce lśniło w karoserii, odbijało się w ciemnych szybach. Byli coraz bliżej pierwszych, rozpędzonych, wojskowych samochodów. Tuż za nimi nadlatywały samoloty i helikoptery.

Sonia pobladła niczym duch. Wielkimi oczami wpatrywała się w rój maszyn. Dlaczego było ich tak dużo? Nie miała pojęcia. Ale to nie wróżyło dobrze.

– Czy ty chcesz się z nimi zderzyć? – zapytała nagle z przerażeniem, widząc, że odległość między nimi a wojskiem zmniejsza się coraz bardziej, a Oliver nic nie robi.

– Coś ty! – prychnął, po czym dorzucił z blaskiem w oczach: – Teraz lepiej się trzymaj.

Sonia zbladła jeszcze mocniej i wczepiła palce w fotel. Ujrzała, jak piasek z najbliższej wydmy formuje się w... co?! Skocznię?!

– Oliver! – pisnęła w panice.

Byli coraz bliżej. I...

Wrzasnęła ile sił w płucach, gdy wjechali na skocznię oraz wystrzelili w powietrze, przelatując bardzo, bardzo wysoko nad wojskowymi pojazdami.

Odruchowo zacisnęła powieki, oczekując, że zaraz runą w dół i rozbiją się na piasku.

Ale nic się nie stało. Nawet nie poczuła tego charakterystycznego uczucia w żołądku, jakie towarzyszy spadaniu... Natychmiast otworzyła oczy. I krzyknęła jeszcze głośniej, wbijając paznokcie w to, co wcześniej było jej fotelem.

Kiedyś, bo już nie było. Zamiast w samochodzie siedziała teraz na grzbiecie wielkiego ptaka, którego długie pióra w barwach złota oraz czerwieni roztaczały wokół aureę płomieni. Ptak był naprawdę gigantyczny, a jego oczy pełne lodowatego błękitu, ostry dziób lśnił srebrem, głowę zdobiły trzy wyjątkowo długie, piękne pióra, podobne trochę do pawich. Takie same pióra tworzyły ciągnący się za nim tęczyowy ogon.

Sonia mocniej wczepiła drżące palce w miękkie pierze. Ze zdumieniem zauważyła, że nawet pasy samochodowe stały się pojedynczymi piórami. Dobrze, że nie znikły, bo gdyby nie one, na pewno by już spadła.

Spostrzegła, że nie siedziała teraz obok Olivera, ale za nim. Zerknęła za ramię i zobaczyła nastroszoną Saharę oraz walizki, również obwiązane piórami.

Wtedy ujrzała też oddalającą się zatrważająco szybko pustynię, małą sylwetkę, wokół której zbierała się burza piaskowa, oraz samochody, z trudem wyhamowujące i zawracające.

Jęknęła. Jeśli teraz spadną...

Nagle ptak zakrzyknął wojowniczo i runął w dół, wirując wokół własnej osi. Sonia pisnęła z przerażeniem.

Stworzenie ponownie zrobiło niezapowiedziany zwrot. Tym razem wystrzeliło w górę, wznosząc się ponad ryczące samoloty.

– Fajnie, nie? – zawołał Oliver, odwracając się do niej na chwilę.

Tym razem wyczuła, że udawał wesołość jeszcze bardziej niż zwykle, bardziej niż na obozie. Tak naprawdę był wielce nieszczęśliwy. Nie wiedziała tylko dlaczego.

– Nie! – pisnęła z przerażeniem. – Co to w ogóle jest?!

– Feniks! – odkrzyknął.

– Feniks? – zdumiała się. – W Egipcie?

– No tak. A czemu nie?

Nagle coś jej się przypomniało.

Czy feniksy czasem nie potrafiły... stawać w płomieniach?

W tym momencie ptak rozłożył szeroko skrzydła, znów zakrzyknął wojowniczo i... rzeczywiście, cały zapłonął.

Sonia wrzasnęła z trwogą. Dopiero po chwili zauważyła, że trochę bezpodstawnie. Nie odczuwała bólu, raczej tylko ciepło szalejących płomieni.

Feniks ponownie zanurkował, zapalając przy okazji dwa zbliżające się samoloty. Później wystrzelił w bok, powoli się wznosząc. Ujrzała jeszcze szalejącą, zbliżającą się do nich burzę piaskową, która wyglądała jeszcze bardziej przerażająco niż na filmach. Sonia szybko zakryła nos dłońmi, zacisnęła oczy.

Wtedy wślizgnęli się prosto w największy piaskowy tuman.

Wszystkie odgłosy z zewnątrz ucichły nagle, jakby odcięte nożem. Dziewczyna słyszała tylko przytłumione wycie piasku. Zaraz, czy nie powinno być straszliwie głośno?! Nie czuła uderzeń piaszczystych podmuchów. Odważyła się uchylić powieki.

Natychmiast zamrugła ze zdziwieniem. Było ciemno. I tak... falująco. Wszędzie dookoła wirowały wściekle ziarenka piasku. Ale skręcały tuż przed szybującym spokojnie feniksem, jakby odpychał je gigantyczny magnes. Odgłosy burzy piaskowej były bardzo odległe, jakby ona sama nie szalała wszędzie dookoła.

– Ale ładnie, co? – zapytał Oliver, odwracając się do niej z zadowoloną miną.

Zawahała się. Było trochę upiornie. Niesamowicie. Ale ładnie? No, nie byłoby to pierwsze słowo, jakiego by użyła, aby opisać środek burzy piaskowej.

– Może być – powiedziała niepewnie.

– Uwielbiam burzę piaskową – oznajmił z zadowoleniem, choć, jak zwykle, pozowanym. – Teraz w życiu nas nie znajdą. Ani nie dogonią.

– A gdzie my właściwie lecimy? – spytała.

Zastanowił się chwilę.

– Chciałem cię odstawić do Kairu, na lotnisko. Kiedy masz lot?

– Jutro po południu.

– No właśnie. Dopiero jutro. Dlatego to nie najlepszy pomysł lecieć do Kairu teraz. Jeszcze mogliby nas namierzyć. Pomyślałem – tu zawahał się – no... znam takie jedno miejsce, gdzie nie będą nas szukać. A nawet, gdyby szukali, to nigdy tego miejsca nie znajdą.

– Co to za miejsce?

Zerknął na nią uważnie.

– Mój pałac.

Sonia zrobiła zdumioną minę.

– Mieszkasz w pałacu?

– Tak właściwie to kiedyś mieszkałem. Tysiące lat temu.

– Gdzie to jest? – zaciekała się.

– W samym sercu pustyni. Tylko ja mogę tam trafić, dlatego to najlepsze miejsce, w którym możemy się zatrzymać. No i stamtąd łatwo przejdziemy do Kairu.

– Przejdziemy?!

– Tak. Bo widzisz, ja nie potrzebuję ludzkich środków transportu, by się gdzieś dostać. Mogę podróżować cieniem, czyli wyłonić się praktycznie w każdym miejscu, w którym jest ciemno. Mogę zamienić się w piasek, który zostanie przeniesiony gdzieś przez wiatr. Jeśli się skupię, to jestem w stanie w taki sam sposób przetransportować jakiś obiekt. Osobę pewnie też, ale jeszcze nie...

– To czemu od razu nie przeniesiesz nas do swojego pałacu? – zdziwiła się. – To jest prostsze i szybsze, prawda?

– Niby tak. Tylko że obie te czynności są dla mnie bardzo męczące, przynajmniej na razie. Nie dałbym rady przenieść i ciebie, i Sahary, i jeszcze bagaży. To trudne. Ewentualnie mógłbym stworzyć Piaskową Bramę, czyli coś w stylu portalu prowadzącego wyłącznie do mojego pałacu.

– To dlaczego tego nie zrobisz?

– Bo chcę ci pokazać cały kompleks pałacowy z góry. Wtedy robi największe wrażenie. Myślę, że naprawdę warto to zobaczyć. No i będziesz pierwszą śmiertelniczką, która ma taką okazję.

– Aha. To... naprawdę świetnie. A długo będziemy lecieć?

– No... trochę. Wracając do środków transportu, na co dzień najchętniej korzystam z portali. Są wygodne, a podróżowanie za ich pomocą nie kosztuje mnie żadnego wysiłku. No, chyba że nie mogę się zdecydować, gdzie chcę się dostać. Albo gdy stwarzam nowy portal. Właśnie dzięki takim bramom bez problemu dostaniemy się na lotnisko w Kairze, gdzie wsiądziesz do samolotu i polecisz do domu.

Sonia zmarszczyła brwi.

– Skoro to jest takie proste, to czy nie lepiej od razu przenieść się do Krakowa? Po co mam lecieć samolotem, skoro nie muszę.

– Musisz – oświadczył tylko.

– Niby czemu? – nie zrozumiała.

– Po pierwsze, masz już bilet, co nie? Po drugie, nie znam Krakuna, więc możemy wylądować przez przypadek nie wiadomo gdzie. Po trzecie, czy nie sądzisz, że byłoby to odrobinę dziwne, gdybyś nagle ni w pięć, ni w dziesięć pojawiła się gdzieś wśród ludzi? Albo jeszcze lepiej, gdzieś na lotnisku. Ale byłaby afera! Bo na pewno ktoś by cię zauważył. Dlatego, uwierz, będzie bezpieczniej, jeśli odbędziesz tę podróż tak, jak to sobie kiedyś zaplanowałaś.

– No dobra, przekonałeś mnie – powiedziała, a potem uśmiechnęła się. – Wiesz co, chętnie zobaczę, jak mieszkali dawni bogowie!

– Możesz być pewna, że czegoś tak wspaniałego jeszcze nie widziałaś – oznajmił z dumą Oliver.

– To się jeszcze okaże. – Wzruszyła ramionami, myśląc jednocześnie, że wprost nie może się doczekać, aż zobaczy tak starożytne miejsce jak ten jego pałac!

Nagle przez jej twarz przemknął wyraz zastanowienia. Spojrzała na zadowolonego kolegę, przekrzywiając lekko głowę.

– Właściwie, jak to się stało, że starożytne egipskie bóstwo żyje we współczesności? – zapytała, po czym dodała szybko: – Tylko się nie obrażaj! Wcale nie mam nic przeciwko temu, że istniejesz. Tylko... dlaczego?

Oliver odrobinę przygaśł.

– Sam chciałybym wiedzieć. Nie pamiętam wszystkiego sprzed Zaśnięcia.

– Zaśnięcia? – powtórzyła ze zdziwieniem.

– Tak, dobrze usłyszałaś. Spróbuję ci wyjaśnić to, co wiem, ale musisz mnie uważnie słuchać.

– Dobra. Mów. Słucham.

Zamyślił się na chwilę, po czym zaczął powoli:

– Jak już mówiłem, nie pamiętam wszystkiego sprzed Zaśnięcia. Każdego dnia przypominam sobie nowe szczegóły, ale i tak nie jest tego dużo. Wiem, kim byłem. Gdzie mieszkałem. Kilka zdarzeń. Ale to tylko kwestie ogólne. Jeśli chodzi o innych bogów... Pamiętam kilku. Horusa. Paskudny typ. Nie znoszę go. Ra. Taki sobie. I jeszcze jacyś inni, ale to nieważne. My, bogowie, pierwsi poczuliśmy, że koniec Egiptu był bliski. Ludzie jeszcze nie mieli o tym pojęcia, choć z wolna przestawali w nas wierzyć. Nasze państwo umierało, a my powoli razem z nim. Znaleźliśmy jednak sposób, by nie stracić całej mocy i nie stać się marnymi skorupami bez poddanych. Bogowie są nieśmiertelni, ale gdy nadchodzi koniec ich cywilizacji, stają się tacy... nijacy. Moce zanikają. Powoli zapominasz, kim jesteś.

To okropne, gorsze od śmierci. Znaleźliśmy jednak sposób, jak tego uniknąć. Zasnęliśmy, by odrodzić się w odpowiednim czasie. Widocznie teraz ten czas już nadszedł. Ale, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego przez kilkanaście lat żyłem sobie jak ktoś zupełnie zwykły i dopiero jak pewnego dnia zgubiłem się na pustyni, zaczęło się to zmieniać.

– Jak to? – zdumiała się. – Tak po prostu się zgubiłeś?

– Nie. Ale to zbyt skomplikowane, żeby ci tłumaczyć. Ważne jest to, że uciekłem na pustynię i się zgubiłem. Na dodatek nadeszła burza piaskowa. W sumie, czasem sobie myślę, że sam ją wywołałem. Podświadomie, ale jednak. Wtedy, podczas tego dnia oraz nocy, obudziłem swoją prawdziwą tożsamość. Spotkałem Saharę. I przeżyłem. Ale nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Szczerze, to chyba nigdy nie zapomnę, kiedy przez przypadek spowodowałem wybuch wielkiej kamiennej rzeźby. Prawie zemdlałem ze strachu! Tylko nikomu nie mów – dodał szybko. – Każdego dnia odkrywałem coś nowego. Ale wciąż nie wiedziałem, kim tak naprawdę jestem. I wtedy spotkałem jego. Boga, jak ja. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Powiedział, że ma na imię Ra. Że jest egipskim bogiem Słońca. Wy tłumaczył, kim ja jestem. Obiecał, że wszystkiego mnie nauczy. Tak to się zaczęło. Spotykaliśmy się co jakiś czas, a on opowiadał mi różne rzeczy. O bogach. O ich mocach. Trochę o ich historii.

– Skąd to wiedział? – zdziwiła się. – Ty nic nie pamiętałeś, więc skąd on miałby wszystko wiedzieć?

Oliver zamyślił się na sekundę.

– Szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia. Kiedyś go zapytałem, ale tylko się roześmiał. I tyle. Nie chciał powiedzieć. Ale tak sobie myślę... on był ode mnie starszy. Może dlatego szybciej wszystko mu się przypomniało?

– No, nieważne, opowiadaj dalej – poprosiła.

– Dobra. Jakiś czas później dostałem list z zaproszeniem na ten okropny obóz organizowany przez Mandarę. – Jego twarz przybrała trochę ponury wyraz. Wydał się nagle bardzo znużony życiem. – Oczywiście się tym nie zainteresowałem. Miałem lepsze plany. Wydało mi się to wtedy takie zabawne. Że mógłbym jechać na obóz, na którym uczyłbym się o sobie samym. Szybko zapomniałem o ofercie. Potem... pewnego dnia poszedłem na zwykłe spotkanie z Ra. Ale, niestety, ktoś się o nas dowiedział. Już wcześniej bóg mówił mi, że chyba ktoś go śledzi. Ale nie za bardzo się tym przejmowałem. Tego dnia... gdy przyszedłem na miejsce spotkania, nie był sam. Otaczali go nasi wrogowie. Teraz wiem, że byli to ludzie Mandary. Jacyś agenci albo ktoś w tym stylu. Wtedy rozpoznałem tylko jednego z nich. Wyklętego. Tego samego, którego mieliśmy dziś nieprzyjemność spotkać. Ja... jakoś udało mi się uciec. To właśnie wtedy objawiła mi się nowa umiejętność zamieniania się w piasek. Ale to nieważne. Ja uciekłem. Lecz Ra został. Nie wiem, co się z nim stało. Dotąd żywiłem się

nadzieją, że bogów nie można zabić, a zatem, że gdzieś tam jest, a ja pewnego dnia go odnajdę i uwolnię, ścierając naszych wrogów w proch. Ale teraz już tak nie uważam. Może go po prostu nie ma... Skąd mogę to wiedzieć?

Przez chwilę panowała cisza. Oliver wpatrywał się w szalejącą ścianę piachu z zaciętym, ale i trochę smętnym wyrazem twarzy. Sonia próbowała wymyślić jakikolwiek sposób, żeby go pocieszyć. Ale nic nie przychodziło jej do głowy. Nie chciała częstować go jakimś banałem w stylu: „Nie martw się, na pewno nic mu nie jest”. Przecież widziała dziś tego demona. Był taki okrutny! Skąd mogą przypuszczać, czy nie zrobił czegoś Ra?

W końcu bóg pustyni otrząsnął się z zamyślenia i powrócił do wyjaśnień:

– Musisz wiedzieć, że razem z Ra udało nam się znaleźć starożytny boski artefakt. Amulet Ozyrysa.

– Estera mi o nim mówiła – przypomniała sobie Sonia. – Ale... udało ci się go znaleźć?! Wisior wskrzeszający zmarłych? – W jej wielkich oczach pojawił się podziw, ale i cień obawy. Nie lubiła umarłych. Zawsze ją przerażali.

– Tak, ale tego dnia, gdy zabrali boga Słońca, zabrali też Amulet. Od tamtego czasu bez przerwy go szukałem. W końcu przez przypadek dowiedziałem się, że ma go Mandara.

– Skąd? – zdumiała się.

– Na stronie internetowej obozu jest jego wielkie zdjęcie z wisiosem w dłoni – mruknął niechętnie Oliver. – Dlatego tu przyjechałem. Żeby odzyskać Amulet Ozyrysa z rąk wstrętnego złodzieja oraz oszusta.

– Udało ci się, prawda? Twój, eee... sobowtór mówił, że właśnie dlatego nas ścigają. Ale czemu wszyscy? O co chodzi?

– Bo, widzisz, na tym obozie nie wszystko jest tym, na co wygląda.

– Co masz na myśli?

– Mandara stworzył ten obóz, by zebrać w jednym miejscu wszystkie, a przynajmniej większość odrodzonych bóstw.

– Jakim cudem? Zaprosił cały świat? Przecież nie wiadomo, kto jest bogiem, a kto nie. Nawet wy dowiadujecie się tego po latach. Skąd on mógł wiedzieć?

– Posłużył się specjalnym systemem wymyślonym przez Ra. Dowiedział się o nim pewnie wtedy, gdy porwał mojego przyjaciela. Ten system jest trochę skomplikowany, w sumie to nigdy do końca nie interesowało mnie, jak działa, ale grunt, że dzięki niemu można sporządzić listę osób z całego świata, które mogłyby być jakimiś bogami. Bierze się pod uwagę wygląd, cechy charakteru, zachowanie, upodobania... I wiele innych aspektów, których nawet nie pamiętam. Już Ra sporządził swoją pierwszą listę. Nie była jeszcze gotowa, ale widocznie Mandara ją dokończył. I zaprosił wszystkich kandydatów na obóz.

Oczy Soni zrobiły się wielkie jak spodki. Na jej twarzy rozkwitło niedowierzanie, ale też wielkie zadowolenie.

– Chcesz powiedzieć, że jestem podobna do jakiejś bogini? – pisnęła z zachwytem. – Jak myślisz, do której?

– A bo ja wiem. – Wzruszył ramionami bez szczególnej fascynacji tematem.
– Może do tej od krów.

– Hej! – oburzyła się. – Czy ja wyglądam jak krowa?

– Chyba nie. Mogę kontynuować, czy chcesz dokończyć rozmowę o krowach?

– Nie chcę. – Odrobinę się nachmurzyła.

– To świetnie. A zatem, ten obóz miał skupić w jednym miejscu wszystkich bogów. Byłaś w Archiwum, więc pewnie pamiętasz, że zorganizowano kilka tur, dla każdego kontynentu osobną. Raczej cały świat by się na jednym obozie nie zmieścił. W plan wyjazdu wpleciono zajęcia, które mogłyby zdemaskować bogów lub pomóc odkryć ich moce.

– Jakie na przykład?

– Gra terenowa. Pewnie zauważyłaś, że Mandara jeździł dookoła stacji w tym swoim małym samochodziku i zaznaczał coś w notesie?

– Eee, widziałam tylko, że jeździł – przyznała Sonia.

– Ale też coś notował. Dzięki temu zbierał bogów. Spotykał się z nimi oraz wyznaczał im zadania szukania następnych. Obserwowania. Szpiegowania. I z każdym dniem było ich coraz więcej.

– Kto oprócz ciebie jest jakimś bogiem? – zapytała z zaciekawieniem.

– Cały tłum.

– Na przykład?

– Estera. – Skrzywił się odrobinę.

Sonia zamarła. Estera?!

– Co? – wyjąkała.

– Ona jest Izydą. I, cóż, trzyma z Mandarą. Choć, z drugiej strony, pomogła ci w walce z demonem... Dziwne.

Myśli blondynki wirowały jak szalone. Estera... Izydą?! Ale to niemożliwe! Przecież głos Izydy, która jej pomogła, nie był głosem Estery. Zerknęła na kolegę, ze złością wspominającego szatynkę. Wtedy podjęła decyzję. Nie, nie powie mu o tym. Zachowa to tylko dla siebie. Sama spróbuje rozgryźć niejasności związane z głosem, który słyszała.

– Kto jeszcze? – spytała słabo.

– Rale.

– A jakim jest bogiem?

Oliver właśnie miał odpowiedzieć, że jakimś pomniejszym bóstwem Słońca, kiedy przypomniał mu się Rale zatrzymujący czas. To nie jest umiejętność pomniejszego bóstewka.

Nagle coś zaskoczyło mu w głowie. Pobladł, a jego oczy zrobiły się

ogromne. Jeszcze raz usłyszał jego głos: *Tylko jeden bóg włada naszą gwiazdą.* Wstrzymał oddech. Nasza gwiazda to oczywiście Słońce. Ale...

Nowe słowa Rale'a napłynęły do niego z przeszłości. *Ty jeszcze nie wiesz! No, cóż. Może kiedyś ci powiem... Jak mam na imię, oczywiście.* Rale. Tak miał na imię. *Ale jak mam naprawdę na imię! A, no tak. Właściwie... już ci powiedziałem. Trzeba tylko dobrze to odczytać. Moje imię samo w sobie jest zagadką. Pomogę ci ją rozwiązać, jeśli mi powiesz, co knujesz, Władco Piasków?*

Świat zawirował mu przed oczami. Bogiem Słońca był oczywiście Ra. Nazywany także Re. A Rale... Oliver pobladł. ...to prawie jak Ra/e. Ra. Re. Bóg Słońce. *No, teraz chyba wierzysz, że jesteśmy przyjaciółmi, co?* Oliverowi zakręciło się w głowie.

– To jest Ra – wyjęczał słabym głosem.

Ale... ale... co z jego przyjacielem?! Kim więc on jest? Kolejnym oszustem? Nie! Na pewno nie!

– Rale to Ra? – Sonia zmarszczyła niepewnie brwi. – Ale przed chwilą powiedziałeś mi, że Ra ci pomagał i że został porwany. To był Rale? I uciekł? Lecz w takim razie, czemu go nie lubiłeś? I dlaczego nikt go nie rozpoznał? Twierdzisz, że to pan Mandara za tym wszystkim stoi. Więc powinien był go poznać, co nie? A...

– Nie – przerwał jej, po czym dodał słabym głosem: – Ra, który mi pomagał, nie był Rale'em.

Dziewczyna spojrzała na niego niepewnie.

– Czyli jest dwóch bogów Słońca?

– Nie. – Pokręcił głową. – Tylko jeden. Pozostaje pytanie, który nim jest.

Wbił spojrzenie w powoli rozjaśniającą się burzę piaskową.

– Może Ra też ma sobowtóra? – podsunęła nagle Sonia.

Oliver skrzywił się. Jego przyjaciel nie wyglądał identycznie jak Rale. Był podobny, pewnie, ale nie identyczny. Był starszy. Wyższy. Jakiś taki... bardziej potężny oraz królewski. Z drugiej strony – mieli takie samo poczucie humoru. I te jaśniejące, złote oczy. I włosy w kolorze słońca. Nawet śmiali się prawie jednakowo.

Nagle drgnął na wspomnienie pewnych słów. *Nie chmurz się, bo będzie padać!* Tak mówił mu przyjaciel. Tak samo odezwał się Rale. Zbieg okoliczności? Sam już nie wiedział. Był pewien, że nie byli sobowtórami. Więc kim?

Rale dawał sygnały, jakby znali się od dawna. Jakby wiedział coś, o czym on, Władca Piasków, nie miał pojęcia. Jakby współpracowali. Wiedział o nim bardzo wiele.

Ale jego przyjaciel nie wspominał o kimś trzecim. Choć, czy to nie podejrzanę, że był dziwnie starszy od pozostałych bóstw?

Oliver zamknął oczy, próbując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodziło.

Ale nic nie wymyślił. Na dodatek poczuł się, jakby ktoś, komu tak bardzo ufał i kogo tak bardzo podziwiał, wbił mu nóż w plecy. Zdradził go. Co prawda miał za mało dowodów, by dowieść, że przyjaciel kłamał. Ale było ich również za mało, by orzec, że mówił prawdę.

Poczuł rękę na swoim ramieniu. Spojrzał w bok.

– Nie zamartwiaj się i nie wyciągaj pochopnych wniosków – powiedziała cicho Sonia. – Prawda na pewno jest mniej ponura niż myślisz. Poczekaj, a w końcu się ujawni. A teraz nie myśl już o tym. Opowiedz, co było dalej?

Zmusił się do odsunięcia na bok problemu boga Słońca.

– A na czym stanąłem? – zapytał, próbując sobie przypomnieć.

– Na tym, jak kierownik zbierał przy sobie bogów.

– A, no tak. Pewnie zastanawia cię, po co mu byli wszyscy w jednym miejscu. Bo widzisz, on ma plan. Przy pomocy odrodzonych bóstw chce stworzyć swoją armię złożoną z marionetkowych śmiertelników i dzięki niej przejąć władzę nad światem.

– Po co? – zdumiała się blondynka.

Jakiś dziwny był ten plan. Taki... abstrakcyjny. Przejąć władzę nad światem? Serio?

– Myślisz, że wiem? To świr, jego toku rozumowania nie da się tak po prostu pojąć – prychnął. – On chce rządzić. Uważa się za nie wiadomo co. Chce być królem całego świata.

– Czekaj! – przerwała mu Sonia, marszcząc brwi. – A bogowie go słuchają?

– Tak. Niestety.

– Ale dlaczego? On też jest jednym z nich?

– Nie – warknął bóg pustyni, a w jego oczach zabłyśły wrogie ogniki. Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem. – On wmawia wszystkim, że jest Ra. A ci idioci mu wierzą!

Zamrugła zdziwiona. *Trzech bogów Słońca?!*

– Ale to nieprawda – mówił tymczasem Oliver. – To tylko zwykły człowiek. Jakiś mega zakompleksiony, serio. Rozpaczliwie chce udowodnić, że jest lepszy od innych. Stąd ta cała szopka i maskarada. Pragnie władzy oraz potęgi, własnych sług. Chce żyć jak jakiś celebryta. I zrobi wszystko, by osiągnąć swój cel.

W głowie Soni szalały myśli, układając się w nowe pytania.

– A skąd miał pewność, że wszyscy potencjalni bogowie przyjadą na obóz?

– Powiedział, że upewnił się, że zrobi to każdy z zaproszonych.

– Ale jak? – zastanowiła się.

Oliver zamyślił się na chwilę.

– W moim przypadku porwał Ra – przyznał bezbarwnym głosem. – Potem wystarczyło, że zamieścił na stronie zdjęcie Amuletu. Jak tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że nie mam wyboru. Że muszę pojechać, bo to najlepszy sposób, by go

zdobyć. U ciebie też coś takiego było?

Sonia zmarszczyła brwi. Już miała odpowiedzieć, że nie, kiedy nagle przerażająca myśl wpadła jej do głowy. Pobladła.

– Co się stało? – zaniepokoił się chłopak.

Ale ona go nie usłyszała. Rozszerzonymi oczami wpatrywała się w przestrzeń, widząc jednak coś zupełnie innego.

– Moja siostra – wyszeptała. – Mieliśmy jechać na rodzinne wakacje, ale w trochę dziwnych okolicznościach złamała sobie nogę na spacerze. Dlatego przyjechałam tutaj. Bo to była jedyna szansa na jakikolwiek wyjazd. Myślisz, że to może być właśnie coś takiego?

– Obawiam się, że tak. Teraz już wiemy, jaki on jest – mruknął ponuro, starając się odegnać z pamięci obraz swojej rodziny.

Przez jakąś chwilę panowała cisza. Przerwała ją dopiero Sonia, chcąc również porzucić smutne rozmyślenia.

– Mówiłeś, że Mandara ma zamiar stworzyć armię marionetek, tak? Niby jak?

– Nie wiem do końca. Ale chce w jakiś sposób oczyścić umysły zwykłych ludzi. Dzięki temu będą go bezgranicznie słuchać.

– Ale jak chce oczyścić te umysły? – Mina blondynki mówiła, że nie za bardzo jest w stanie to sobie wyobrazić.

– Może pomoże mu jakiś bóg. Nie wiem. Ale na pewno dodał coś do tych babeczek, które rozdawali wczoraj na dyskotecę. Musiał w nich być jakiś składnik przygotowujący kandydata do oczyszczenia.

Sonia pobladła.

– Ja zjadłam aż trzy – wyszeptała z przerażeniem.

Oliver zrobił niepewną minę.

– No i to nie był najlepszy pomysł – przyznał. – Nie wyszło ci to na dobre.

– Co masz na myśli? – Zmarszczyła badawczo brwi.

– Nic takiego – powiedział, przypominając sobie jej beznadziejny stan. – Ale sama widzisz, nie pamiętasz niczego, co się w nocy działo.

– To fakt. A co się działo?

– Mandara miał super plan, żeby w swoje pierwsze marionetki pozamieniać obozowiczów, którzy jak się okazało, nie byli bogami. Jak już zdobyłem Amulet, to pomyślałem, że głupio byłoby cię zostawić, skoro mamy sojusz.

I na dodatek mogłabyś im za dużo o mnie zdradzić – pomyślał.

– Dlatego poszedłem do ciebie. Ale nie czułaś się za dobrze, łagodnie rzecz ujmując. Miałaś gorączkę, i w ogóle... Ale jakoś daliśmy radę. Po drodze postanowiłem, że tak na wszelki wypadek wezmę apteczkę. No i przy okazji natknąłem się na Mandarę. Zaczął strasznie wrzeszczeć, z wrażenia spadłem ze schodów, zraniłem się w nogę, a potem zostałem otoczony przez cały obóz. Na

szczęście pojawiła się Sahara. Była świetna, mówię ci! Warczała jak kosiarka. Wszyscy uciekli z wrzaskiem. To było super! A Mandara prawie zemdłał z przerażenia. Szybko dołączyliśmy do ciebie, ale bardzo źle się czułaś. Musiałem jakoś cię uzdrowić, co mi się w końcu udało.

– Za pomocą Amuletu, tak? – Sonia przypomniała sobie słowa jego sobowtóra.

– Tak. No i potem już wszystko pamiętasz.

Dziewczyna zmrużyła oczy, próbując uporządkować sobie wszystko w głowie. Wciąż miała mnóstwo pytań. Ale równocześnie było jej dziwnie słabo. Chyba miała już dość niewiarygodnych informacji, jakimi zasypał ją Oliver. Obawiała się, że niedługo przekroczy limit przyswajania sobie dziwactw.

– Czyli czemu właściwie nas szukają? Bo ukradłeś im Amulet?

– Nie ukradłem – obraził się. – Odebrałem tylko to, co należy do mnie.

– A nie do Ozyrysa? – zastanowiła się.

– Nie. A zresztą, Ozyrys ponoć nie żyje. Te ciapy muszą go dopiero ożywić.

– Ach. – Sonia zrobiła bardzo niepewną minę. – A podobno bogowie są nieśmiertelni...?

– No tak, ale Ozyrys to szczególny przypadek. Ma osłabioną odporność, z tego co pamiętam. I to chyba moja wina. A ścigają nas z wielu powodów. Po pierwsze, Amulet, który bardzo, ale to bardzo chcą odzyskać. Po drugie, jestem najpotężniejszym bogiem, którego chcieli mieć po swojej stronie, a teraz nie chcą dopuścić, żebym im uciekł. Po trzecie, ich przywódca, czyli Mandara, odkrył dziś, że jestem jego wielkim wrogiem, więc chce się zemścić, dopaść mnie, i generalnie jest wściekły. Pewnie jeszcze coś by się znalazło.

– Dlaczego chcieli cię mieć po swojej stronie?

– Bo chcą mieć wszystkich bogów do dyspozycji. No i obawiali się mnie jako ich wroga. Twierdzą, że jestem wcieleniem zła. Nieźle, co?

– Taaa, super. A wojsko?

– Co wojsko? – Zmrużył oczy, udając, że nie rozumie.

– Czemu nas ściga?

Odwrócił wzrok.

– Patrz, wylatujemy z burzy piaskowej – powiedział sztucznie pogodnym tonem. – Pustynia wygląda olśniewająco, szczególnie z lotu ptaka. Na pewno ci się spodoba!

Sonia zacisnęła usta. Nie zwróciła uwagi na coraz jaśniejsze otoczenie.

– Dlaczego?

Bóg pustyni widocznie posmutniał.

– To skomplikowane. Bardziej niż myślisz – wyszeptał ponuro.



Rozdział dwudziesty piąty

PAŁAC POŚRÓD PIASKÓW

Zalana złotym światłem słońca pustynia była naprawdę cudownym widokiem. Ale tylko przez pierwszą godzinę, przynajmniej dla Soni. Bo Oliverowi krajobraz nie znudził się nawet po bardzo długim czasie, podczas którego nie zamienili ze sobą prawie żadnego słowa, nie licząc jakiś banałów typu „Która godzina?”. Bóg pustyni unikał rozmowy jak ognia, a blondynka i tak potrzebowała chwili, by wszystko sobie przyswoić.

Ale te godziny bynajmniej nie były chwilą.

– Ile jeszcze? – zapytała po raz kolejny znużona Sonia.

– Niedługo – odpowiedział, z niezmienną fascynacją wpatrując się w przemykającą pod nimi pustynię.

– Tak samo mówiłeś dwie godziny temu – pożałowała się. – Mam już dość. I jestem głodna.

– Nic na to nie poradzę. Feniks to nie latająca restauracja.

Westchnęła.

– A szkoda.

Zerknęła na rozpiętą nad nimi płachtę, chroniącą przed słońcem. Niestety, nie zatrzymywała ona spływającego z oślepiająco jasnego nieba żaru. Było jej bardzo, bardzo gorąco. Już dawno wypila cały zapas wody. A ostatni posiłek jadła poprzedniego dnia.

Jakiś czas temu Oliver spróbował wyczarować z piasku kanapki. Jemu bardzo smakowały, ale ona nie mogła ich przełknąć. Smakowały piachem, co nie było dobre. Choć chłopak zaklinał się, że on nic nie czuł. No cóż, gdyby była bogiem piasku, pewnie też by jej nie przeszkadzał.

Sonia odetchnęła głęboko. Miała już dość. Chciała zapytać Olivera o jeszcze

jakieś rzeczy, ale nie była pewna jego reakcji. Od kilku godzin wciąż wydawał się taki podenerwowany. I bardzo przygnębiony. W końcu jednak nie wytrzymała. Musiała się skupić na czymś innym niż na pustyni, głodzie oraz pragnieniu!

– Ten demon – zaczęła powoli. – Ten, którego udało nam się pokonać... Co ci zrobił, że tak bardzo go nie cierpisz?

Oliver drgnął, do jego oczu napłynęły szare chmury.

– To dość długa historia – mruknął niechętnie, co oznaczało: „Nie chcę o tym mówić”.

– Aha... To wytłumacz mi słowa Izydy. Powiedziała, że jestem Wybraną. Co to znaczy? Albo Dar. Co to jest?

Skrzywił się lekko.

– To jeszcze dłuższa historia!

– Nie musisz mi odpowiadać jednym słowem. A czasu mamy dużo, prawda? Możesz mi wszystko powiedzieć.

– Nie teraz – powiedział niechętnie. – To będzie trudne wytłumaczyć ci to wszystko o Darach... Muszę pomyśleć, jak ci to przekazać, żebyś cokolwiek zrozumiała.

– No to opowiedz mi o demonie.

Wywrócił oczami, po czym zastanowił się chwilę.

– No dobrze – westchnął w końcu z rezygnacją, dochodząc do wniosku, że chyba i tak jego towarzyszka nie da mu spokoju, po czym z pewnym oporem rozpoczął swoją opowieść: – Wszystko zaczęło się tysiące lat temu, gdy Egipt znajdował się u szczytu swej potęgi, a ja byłem jednym z jego najbardziej popularnych bogów. Uwielbiano mnie, naprawdę. W wielkiej oazie, daleko od Nilu, zbudowano dla mnie miasto, Miasto Seta, Miasto na Środku Pustyni. Było pełne majestatycznych świątyń. Gigantyczne skarbcze wypełniono po brzegi. To tam skupiała się większość moich kapłanów. Tych najważniejszych, którzy dostąpili zaszczytu spotkania się ze mną, którzy byli mi wierni jak mało kto. Ale moimi głównymi sługami zawsze były demony. Jednego z nich cechowała wyjątkowa potęga. Szybko wybił się na szczyt, stał się najbardziej zaufanym sługą. Uważał, że ludzie powinni zostać wytępieni. Nie znosił ich, choć nie wiem, czemu. Moja największa świątynia też mu się nie podobała. Uważał, że powinna należeć właśnie do demonów. Ale ja ją lubiłem. Nie zgadzałem się na jego pomysły zagłady ludzkości. Pewnego dnia musiałem udać się gdzieś osobiście. Gdy wróciłem, Miasta Seta już nie było. Zniszczył je. Rozpętał gigantyczną burzę piaskową, przeklął oazę, zabił wszystkich kapłanów. Nikt nie przeżył. Powiedział mi, że teraz ta świątynia wreszcie należy do nich, do demonów. Ale ja byłem wściekły. Spotkała go najgorsza kara, jaka może dotknąć demona pustyni. Został wyklęty, stracił swoje imię. Już nigdy nie mógł dotknąć czystego piasku. Stracił wszystko. Został zamknięty w najgorszym kącie Podziemia. Na zawsze. Miał nigdy

nie umrzeć, stale cierpieć. Opustoszałe miasto częściowo przykryła z czasem pustynia. – W głosie Olivera pojawiła się pełna nostalgii zaduma. – Potem wiele razy tam przychodziłem. Spacerowałem między bielejącymi w słońcu kośćmi, między ukruszonymi posągami, blaknącymi malowidłami. Widziałem rozsypujące się w proch zwoje papirusów zawierające największe sekrety świątyni.

Uśmiechnął się smutno, a Sonia przekrzywiła lekko głowę, słuchając go uważnie.

– Nieraz, gdy wiatr przemknie przez opustoszałe sale Wielkiej Świątyni, słyhać tam jęki pełne rozpacz i złości – kontynuował spokojnym głosem. – To duchy kapłanów, które nie odeszły do Zaświatów, lecz zostały, pragnąc zemsty na każdym intruzie, który ośmielił się naruszyć spokój tego przeklętego, nawiedzonego miejsca.

W tym momencie do jego oczu z powrotem napłynęły ciemne, burzowe chmury.

– Od czasu tej tragedii ludzie zaczęli postrzegać mnie jako kogoś nieskończenie złego, stracili do mnie cały szacunek i podziw. Myśleli, że to ja zniszczyłem własne miasto, z powodu byle kaprysu. Od tamtego czasu stałem się demonicznym, potępianym bogiem zła oraz wszystkiego, co złe. Tylko moi nieliczni kapłani, którzy mieli szczęście nie przebywać w Mieście na Środku Pustyni tego pamiętnego dnia, znali prawdę. Tylko oni mnie nie opuścili. To im oddałem moje Berło Zniszczenia, gdy nadszedł czas na wszystkich bogów. Gdy zasnęliśmy, by obudzić się tysiące lat później, we współczesności. Oto cała historia. Już wiesz, czemu dotąd nie mogę mu tego wybaczyć.

Zapadła między nimi cisza. Sonia wbiła zamyślony wzrok gdzieś w przestrzeń. Nie wiedziała, co mogłaby mu odpowiedzieć.

Dopiero po dłuższym czasie odezwał się Oliver, zerkając na nią z blaskiem w oczach.

– Przygotuj się. Zaraz lądujemy.

W tym momencie zza jednej wyjątkowo wysokiej wydmy wyłoniła się oaza. W jej centrum znajdował się kompleks wielkich kamiennych budowli, podobnych do gigantycznych egipskich świątyń, z majestatycznymi posągami, masywnymi kolumnami, krużgankami, dziedzińcami. Sonia wielkimi oczami wpatrywała się w fontanny i oczka wodne, wplecione między piękne pałace, z których jeden był wyjątkowo okazały. Choć wszystkie sprawiały wrażenie kolosalnych.

– Witam w moim domu. – Bóg pustyni uśmiechnął się do niej z dumą. – W Pałacu Pośród Piasków.

Feniks zanurkował, kierując się w stronę placu przed głównym pałacem. Po chwili Sonia zsunęła się z grzbietu złoto-czerwonego ptaka. Zdrętwiałe nogi natychmiast ugięły się pod nią. Zachwiała się i odruchowo oparła o skrzydło feniksa, rozglądając się dookoła.

Znajdowali się tuż przed głównym wejściem do pałacu, gdzie na straży stały dwa wielkie posągi człowieka z głową Salaawy. Jasne ściany majestatycznej budowli były pokryte malowidłami oraz hieroglifami. Przebywali na kamiennym placu, w którego centrum ustawiony był kolejny posąg, lecz nieco mniejszy. Otaczała ich ściana zieleni – palm i innych drzew oraz krzewów, których nazw nie znała. Od strony tego wielkiego ogrodu bił spokój i harmonia, jakby kontrastując z wybuchowym charakterem boga chaosu. Słychać było najróżniejsze owady oraz zwierzęta. Gdzieniegdzie załśnił w słońcu wielki motyl, zaskrzeczała papuga, zaświergotał inny ptak, zatrzęsły się krzaki poruszone przez jakiegoś czworonoga. Zza roślinności przebijały się kolejne olśniewająco jasne ściany pałaców.

– Jak tu pięknie – wyszeptła Sonia, z oczarowaniem wodząc oczami po starożytnych zabudowaniach oraz otaczającym je ogrodzie.

– Prawda? A to dopiero początek, jeszcze nie widziałaś środka...

Odwróciła się w stronę Olivera, który właśnie położył na piasku przygnębioną Saharę, nieodrywającą od niego swoich wielkich, smutnych oczu. Jedna jej noga była wykrzywiona pod bardzo dziwnym kątem, na dodatek cała opuchnięta.

– To wszystko ma tysiące lat, tak? – zapytała blondynka z niedowierzaniem.

– Tak.

– Czyli wszystko to jest tak niesamowicie stare i świetnie zachowane?

Wydawało jej się to zbyt surrealistyczne.

– Tak.

Uśmiechnęła się z radością. Uwielbiała wszystko, co starożytne.

– Będę mogła trochę pozwiedzać?

– Pewnie, czemu nie. – Chłopak wzruszył ramionami, po czym nagle się rozpromienił. Zerknął w jej stronę, przekrzywiając głowę. – Ciekawe, jaką minę zrobisz, gdy pokażę ci skarbiec. Czegoś takiego świat nigdy nie widział, możesz mi wierzyć. Mój prywatny skarbiec jest tylko trochę mniejszy od tego w Mieście na Środku Pustyni. Czyli naprawdę gigantyczny. Nawet ja sam nie zdążyłem zaglądnąć do każdej z komnat. Wszystko ci pokażę, ale najpierw muszę zająć się moją kochaną Saharą. Biedna, podróż całkiem ją wykończyła. No i ta noga... Nie za dobrze. Na szczęście nie muszę polegać tylko na sobie.

– Może ci pomóc?

– W sumie możesz przynieść trochę wody.

– Dobra. W czym?

Natychmiast część piasku uniosła się w powietrze i uformowała dużą miskę. Sonia rozglądnęła się dookoła.

– A skąd mam wziąć wodę?

– Możesz iść na główny dziedziniec, tam jest taka duża fontanna.

Miała właśnie zapytać, gdzie jest główny dziedziniec, ale nie zdążyła.

– Za tobą. Przechodzisz przez bramę i już jesteś. Chyba się nie zgubisz, co?

– Pewnie, że nie – prychnęła, wzięła do rąk miskę oraz odwróciła się w stronę bramy.

Spojrzała w górę, na monumentalne posągi, po czym ruszyła przed siebie, rozglądając się dookoła z fascynacją. Ale i z cieniem obawy. W końcu nikt nie mieszkał w tym miejscu od tysięcy lat... Kto wie, co tu mogło się zagnieździć? Może czai się gdzieś jakiś demon...?

Zagłębiła się w chłodny cień bramy, mając wrażenie, że to wszystko jest zbyt piękne, by było prawdziwe. Gdy wyszła na dziedziniec, przystanęła oniemiała. Rozejrzała się wokoło, z oczami lśniącymi niczym gwiazdy. Ogromny podwórzec był otoczony przez jaśniejące ściany pokryte malowidłami. Gdzieś tam widać było kamienne posągi. Centrum dziedzińca zajmowała gigantyczna, kilkupoziomowa, zdobiona złotem fontanna z kryształową wodą, migoczącą w blasku słońca. Fontannę otaczała sieć eleganckich ścieżek oraz olśniewających klombów złożonych ze wspaniałych, kolorowych, kwitnących roślin. Na dodatek wszystko było takie majestatyczne, nieco przytłaczające, ale równocześnie zachwycające.

– Jak tu pięknie – wyszeptwała, zbliżając się do szmerzącej hipnotyzująco fontanny.

Napełniła miskę przyjemnie lodowatą wodą, przy okazji nie mogąc powstrzymać się od zanurzenia w niej rąk oraz twarzy. Woda była tak cudownie orzeźwiająca... Sonia poczuła się naprawdę bardzo szczęśliwa. Już uwielbiała to miejsce!

Chwilę później postawiła miskę przy zmęczonej Saharze i przysiadła obok Olivera, który właśnie wygrzebał z plecaka piękny, złoty wisior.

– To Amulet Ozyrysa? – zapytała cicho, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

– Tak. Ale teraz nie przeszkadzaj.

Chłopak zacisnął dłoń na wisiorze, drugą rękę położył na Saharze, po czym zamknął ze skupieniem oczy. Sonia zerknęła na niego z zainteresowaniem. Jego sobowtór twierdził, że to właśnie Amulet ją uzdrowił. Była ciekawa, jak to wyglądało.

Po chwili ze zdumieniem zauważyła, że Sahara zaczyna świecić. Najpierw pojawiła się wokół niej blada poświata, potem cała zaczęła jaśnieć białym blaskiem. Oliver wzdrygnął się i skrzywił, gdy jasność bijąca od Salaawy stała się niemal nie do wytrzymania. Potem światło poczęło gwałtownie blednąć, a bóg pustyni skrzywił się jeszcze bardziej. Kilka sekund później otworzył rozjaśnione oczy i szybko odrzucił od siebie wisior, wzdrygając się gwałtownie.

Sahara zerwała się z piasku, machając ogonem. Do jej oczu wróciło szczęście. Szczeknęła, zakręciła się za ogonem, po czym przypadła do Olivera,

który zerknął z rozbawieniem na Sonię, wpatrującą się w niego wielkimi oczami.

– To było fantastyczne! – wydusiła w końcu z siebie. – Wygląda, jakby nigdy nie miała złamanej nogi! To niesamowite!

– Prawda? – Uśmiechnął się, drapiąc Salaawę za uchem.

Chwilę później wstał i podszedł do majestatycznego feniksa, wciąż siedzącego na piasku ze stoickim spokojem w błękitnych oczach. Oliver zdjął z niego bagaże, po czym położył dłoń na jego karmazynowym boku. Feniks zadrżał, a następnie rozsypał się w kaskadę piachu. A właściwie nie do końca. Sonia ze zdumieniem zauważyła jego mniejszą wersję odlatującą w stronę drzew. Spojrzała na kolegę.

– Był trochę za duży jak na moje ogrody. Musiałem go zmniejszyć. – Oliver wzruszył ramionami, po czym zarzucił na ramię swój wielki plecak.

Zagłębili się w zakurzone, trzymające chłód korytarze. Sonia rozglądała się z niemym zachwytem oraz fascynacją, tuż obok truchtała zadowolona Sahara, strzygąc uszami i także rozglądając się dookoła uważnie, a bóg pustyni opowiadał.

– Pałac Pośród Piasków to właściwie cały kompleks pałaców oraz świątyń. Najważniejsze z nich to Pałac Cieni i Świątynia Gwiazd. Inne są trochę mniejsze i bardziej na uboczu.

– Po co ci tutaj świątynie? – zdumiała się. – Przecież i tak tylko ty tu mieszkasz, prawda? Nie ma tu kapłanów lub kogoś takiego?

– Nie, ale przecież muszę mieć jakiś kontakt z moimi pozostałymi świątyniami. No, teraz to tylko ruiny, albo czasem zupełnie nic, ale kiedyś było przecież inaczej. A wracając do tematu, wszystkie pałace oraz świątynie otacza Ogród Nocy.

– Skąd ta nazwa? – zaciękała się.

– Zobaczysz wieczorem. Wtedy jest piękny! Kwiaty łagodnie jaśnieją, drzewa poruszają się i szeleszczą, słychać cykady, ptaki... Coś cudownego.

Sonia zerknęła przez wielkie okno, które właśnie mijali. Ogród już za dnia był olśniewający. Czy to możliwe, żeby był jeszcze wspanialszy?

– Tak właściwie, po co ci tyle pałaców? – zapytała niepewnie. – Nie wystarczyłby jeden?

– Nie – odpowiedział chłopak takim tonem, jakby to było oczywiste, na dodatek zerkając na nią dziwnie.

– Aha.

Nie rozumiała jego poglądów. Jak dla niej tego wszystkiego było za dużo. Można się zgubić, a zresztą, po co komuś kilka domów w jednym miejscu?! *Ale cóż, nie jestem starożytnym bóstwem. Może dlatego tego nie rozumiem.*

Przez chwilę w ciszy pokonywali kolejne korytarze. Było ich tak dużo, że Sonia już dawno by się zgubiła, gdyby nie okna, wychodzące na różne dziedzińce i ogrody.

– Jesteśmy tu sami, czy może jest ktoś jeszcze? – spytała, gdy mijali kolejne wielkie, zakurzone sale, oświetlone złotymi smugami światła wpadającego przez okna.

– Sami, o ile mi wiadomo.

– O ile ci wiadomo? – Pobladła gwałtownie.

Przed jej oczami pojawiły się wizje jakichś przerażających stworów, które mogły się zagnieździć w takim opuszczonym miejscu na przestrzeni wieków... Zjawy, widma, duchy... Wzdrygnęła się.

– No tak. Nie mam pewności, bo dość długo mnie tu nie było. Ale raczej jesteśmy tu tylko my.

– A jakaś demoniczna służba? No wiesz, w końcu jesteś bogiem, służą ci demony i takie tam...

– Niby tak. – Miał nie do końca przekonaną minę. – Ale tuż przed Zaśnięciem zakazałem im tu wstępu. Miałem powody, by podejrzewać, że wszystko tu rozniosą, gdy mnie nie będzie. A odkąd wróciłem, nie cofnąłem tego zakazu. Chwilowo nie przepadam za demonami. Na razie nie mam żadnych sług. Jakoś radzę sobie sam.

W końcu doszli do części Pałacu Cieni, w której nie było kurzu.

– Mieszkałem tu przez kilka dni – wyjaśnił.

Weszli do rozległego salonu z tarasem wychodzącym na ogród oraz lazurkowe oczko wodne. Sonia uniosła ze zdumieniem brwi na widok wyposażenia starożytnego pomieszczenia, które bynajmniej nie miało tysięcy lat.

– Masz tu telewizor?

– Tak, bo co? – powiedział tonem, jakby nie widział w tym nic dziwnego.

– A prąd? Skąd bierzesz prąd? – zapytała niepewnie.

– Na początku go naturalnie nie było. Ale potem zamontowałem kilka baterii słonecznych, oczywiście trochę ulepszonych za pomocą magii. W zupełności wystarczają – oznajmił, rzucając plecak na wielką kanapę.

Nagle drgnął i otworzył szeroko oczy. Uniósł głowę. Dużą część jednej ściany zajmował ogromny, kamienny kominek. A na nim stały zdjęcia. Mnóstwo zdjęć, jedynych pamiątek, jakie mu zostały.

Bóg pustyni pobladł, błyskawicznie zerkając na Sonię, która chwilowo podziwiała widok z tarasu. Szybko skupił się z powrotem na nieszczęsnych zdjęciach. Widział na nich twarze swojej rodziny. Swój dom. Swoich przyjaciół. Swoje psy.

Zmrużył oczy, a wszystkie fotografie pokrył w jednej chwili wiekowy kurz, na dodatek w takiej ilości, że wyglądały teraz jak nowy gzyms. Odetchnął z ulgą. Gdyby to zobaczyła...

Raptem wzdrygnął się ponownie i obrócił błyskawicznie. Na przeciwległej ścianie wisiała gigantyczna tkanina przedstawiająca elegancki zamek. „*Nie może*

tego zobaczyć! – pomyślał z przestraczem. Natychmiast ścianę tę pokryła nowa warstwa piasku, tworząc na niej pierwsze lepsze malowidło, jakie wpadło mu do głowy. Byle niezwiązane z jego utraconym życiem. Spojrzał na nie krytycznie. Przypominało malowidło z jakiegoś grobowca, ale było już za późno, by cokolwiek zmienić. Sonia właśnie spojrzała w jego stronę z zachwytem.

– Czy na tej ścianie nie było czegoś innego? – zapytała natychmiast ze zdumieniem, podejrzliwie przyglądając się malunkowi przedstawiającemu Sąd Ozyrysa.

Oliver skrzywił się, dopiero wtedy zauważając charakterystyczną postać boga Podziemi. No pięknie. Dlaczego akurat Ozyrys?! Przecież to właśnie Set, czyli on, zabił go tysiące lat temu i uczynił zieloną mumią, panem umarłych.

– Hm, sąd umarłych jest dość ciekawym motywem dla nieśmiertelnego boga. Takim optymistycznym – powiedziała dziewczyna, unosząc z rozbawieniem brwi.

– No właśnie – mruknął, po czym dodał szybko: – Rozgość się, a ja zaraz wracam.

Wybiegł z komnaty, głównie po to, by uniknąć kłopotliwej rozmowy oraz pozbyć się pozostałych śladów, a Sonia odprowadziła go zdumionym spojrzeniem.

Potem wzruszyła ramionami i wróciła na taras, aby podziwiać urocze oczko wodne. Przycupnęła na nagrzanym kamieniu, a następnie wpatrzyła się w wodę, mrużąc z rozmarzeniem oczy. Próbowała wyobrazić sobie siebie w roli jakiejś bogini, lecz wizje tłumów składających jej cześć były tak komiczne, że w końcu nie wytrzymała i wybuchła śmiechem.

– W sumie ciekawe, do której jestem podobna? – szepnęła do siebie, gdy atak śmiechu minął. – Może do Izydy...?

Po chwili usłyszała, że Oliver wrócił. Natychmiast wstała i odwróciła się w stronę salonu. Znieruchomiała z zaskoczenia na widok niesionych przez niego siatek, wypełnionych różnorakimi produktami spożywczymi.

– Masz tu sklep? – zapytała ze zdumieniem.

– Nie. Mam portale – odpowiedział tylko, po czym udał się do położonej nieopodal kuchni, żeby zabrać się za przyrządzanie kanapek.

– No tak, portale. Głupie pytanie. – Sonia westchnęła i – chcąc nie chcąc – podążyła za nim.

Z obiadem rozsiedli się nad oczkiem wodnym.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi ze znakiem na mojej ręce? – zaczęła Sonia, sięgając po kubek soku pomarańczowego.

– Każdy Wybrany ma na sobie znak boga, który go wybrał.

– Aha. Czyli co to niby znaczy?

– Wtedy, w muzeum, Izyda wskazała ciebie. Nie wiem, dlaczego, ale to zrobiła. Zazwyczaj bogowie wybierają kogoś, kto wykazał się nadzwyczajną odwagą, zaimponował im, czy coś takiego. Nie wiem, co to mogło być w twoim

przypadku. W każdym razie, gdy bóg kogoś sobie upatrzy, oddaje mu do dyspozycji jedną ze swoich umiejętności, zwanych Darami.

Sonia otworzyła szeroko oczy.

– Izyda powiedziała, że ofiarowała mi Dar Magii!

– No właśnie.

– I powiedziała, że widzę rzeczy takie, jakimi są naprawdę.

– Czyli? Co to niby znaczy? – zapytał niepewnie.

– No... widzę prawdę. Jak z twoimi włosami. Są czarne, a ja wiedziałam o tym od początku. Mimo że wszystkim innym wydawało się, że są blond.

– Aha... – Oliver zmrużył oczy w zamyśleniu, po czym kontynuował: – A wracając do tematu, każdy bóg ma wiele Darów, ich ilość zależy od mocy oraz, hm... różnorodności rzeczy, jakimi się zajmuje.

– Czyli?

– Na przykład ja mógłbym komuś dać Dar Cieni, Dar Chaosu, Dar Piasków, Dar Burzy, Dar Królowania nad Demonami, Dar Nocy, Dar Iluzji lub jeszcze jakieś inne. Ale pomniejszy bożek, który zajmuje się wyłącznie kwiatkami, może podarować tylko Dar Kwiatków.

– Jest ktoś taki, kto się zajmuje kwiatkami? – dociekała Sonia.

– A bo ja wiem. – Wzruszył ramionami. – Jeśli Izyda dała ci Dar Magii, to jesteś teraz Wybraną. Ty też potrafisz władać magią. W jednej dziedzinie masz umiejętności prawie takie same jak ona.

– Jak to? – zdumiała się. – Wcale tego nie umiem!

– No bo musisz się nauczyć. Aha, to dość ważne. Jeden bóg nie może kilka razy wybrać tej samej osoby, na przykład żeby ofiarować jej więcej Darów. Jest to dopuszczalne tylko raz.

– Dlaczego?

– Żeby nie stworzyć nowego bóstwa, na dodatek identycznego.

– A kilku może wybrać jedną osobę? – zaciekała się.

– Tak, ale to zdarza się niezwykle rzadko. Bardzo rzadko. Prawie nigdy.

– A ty kiedyś kogoś wybrałaś? – zapytała, zerkając na niego ciekawie.

– Nie. Nigdy – powiedział trochę ponuro.

Przez chwilę panowała cisza.

– Dlaczego mój Znak nie jest zawsze widoczny, lecz bardzo rzadko? – zadała w końcu pytanie Sonia.

– Bo można go zobaczyć tylko wtedy, gdy posługujesz się magią. Albo za jego pośrednictwem rozmawiasz z bogiem, który cię wybrał.

– Aha... Ty od razu wiedziałeś, że jestem Wybraną, prawda? Wtedy, w muzeum.

– Tak. To nie było trudne. Tylko w takim przypadku świecą ludziom dziwne symbole na rękach.

– A wiedziałeś, kto mnie wybrał? – spytała z ciekawością.

– Tak.

– Skąd?

– To proste. Znak każdego boga wygląda trochę inaczej. Można nawet z niego wyczytać, jaki dostałaś Dar. Jeśli się umie, oczywiście.

Jej oczy zabłyśły. Obróciła swoją rękę, by spojrzeć na niewyróżniający się niczym magicznym nadgarstek.

– Ale fantastycznie! A jak?

– Patrz. – Oliver zbliżył swoją dłoń do jej nadgarstka, a Znak dziewczyny natychmiast rozjarzył się złotym światłem, który nie zniknął nawet, gdy cofnął rękę.

Sonia uśmiechnęła się z niedowierzaniem, wodząc oczami po mieniących się liniach, tworzących rozmaite wzory. Symbol przypominający dysk słoneczny, w którym jaśniał jakiś hieroglif, którego otaczały promienie oraz najróżniejsze kształty, budzące skojarzenia z kwiatami, wstęgami lub nieistniejącym pismem.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała z oszołomieniem.

– Normalnie – powiedział, po czym zmienił temat. – Widzisz ten hieroglif w centrum? On oznacza właśnie Izydę. Natomiast te dookoła symbolizują różne moce i umiejętności, które możesz opanować. Symbole są jak litery albo słowa, coś sygnalizują. Niestety, te nie są zrozumiałe przez nikogo oprócz Izydy. Każdy bóg ma swoje własne oznaczenia. Żeby nikt nie wiedział, jaki Dar ofiarował swemu Wybranemu.

– Jaki on piękny – zachwyciła się Sonia, nie mogąc oderwać spojrzenia od mieniącego się Znaku.

Przesiedziała tak całkiem długo. Jednak blask z każdą chwilą bladł coraz bardziej, aż w końcu zniknął. Znak ponownie przestał być widoczny.

– Oprócz Wybranych jest jeszcze inna kategoria ludzi związanych z bogami – rzekł wtedy Oliver, widząc, że jest szansa, że koleżanka będzie go słuchać. – Jeśli jesteś podobna do jakiegoś bóstwa i teoretycznie mogłabyś nim być, gdyby nie wybrał kogoś innego na swoje „wcielenie”, to jesteś Podobnym. Czasami zdarza się, że Podobni mają jakąś drobną umiejętność danego boga, ale jest to coś bardzo mało znaczącego, na przykład umiejętność wywoływania fatamorgany, a u Izydy to mogłaby być tęcza.

– Kto jest na przykład takim Podobnym? – spytała, nie do końca rozumiejąc.

– Wszyscy, którzy zostali zaproszeni na obóz, a nie okazali się bogami, nawet jeśli idealnie na jakiegoś pasują.

Soni pociemniało gwałtownie przed oczami.

– Chcesz powiedzieć, że ja jestem Podobną?! – wyjąkała z niedowierzaniem.

– Tak. Stąd pewnie wzięła się twoja umiejętność przejrzenia iluzji.

– I naprawdę mogłabym być jakąś boginią? – rozpromieniła się.

– Teoretycznie – mruknął pod nosem Oliver, zerkając ze zdziwieniem na uśmiechniętą szeroko Sonię, wpatrującą się w zamyśleniu gdzieś w przestrzeń.

W tym momencie podbiegła do nich Sahara i położyła się na nagrzanym kamieniu, zezując na nich przyjaźnie.

– Skąd ty ją w ogóle wzięłeś? – zadała pytanie blondynka, porzucając fantazyjne rozmyślenia.

– Cóż, łączy się to z tym, jak odkryłem, kim tak naprawdę jestem. Byliśmy wtedy na środku pustyni, na w... wakacjach. Wyszedłem na pustynię, a gdy chciałem wrócić, dopadła mnie burza piaskowa. Zgubiłem się, o czym już wcześniej ci wspominałem. Było strasznie. Słyszałem upiorne wycie i odgłosy dobiegające niewiadomo skąd. Bałem się, że zostanę zasypany i nikt nigdy nie znajdzie mojego ciała. To była chyba najpotworniejsza chwila w całym moim życiu. A potem, błądząc wśród wirującego piasku, nagle o coś się potknąłem. Był to mały pustynny piesek, z wielkimi uszami oraz puszystym ogonem. Przytuliłem się do niego i razem przetrwaliśmy burzę. Wtedy poczułem, że jestem częścią pustyni, która dała mi przeżyć. Wówczas wszystko się zaczęło. Odkryłem, że umiem panować nad piaskiem. Kilka dni później wywołałem swoją pierwszą burzę piaskową. Ten mały piesek to właśnie była Sahara. Trochę urosła od tamtego czasu...

Przez chwilę przyglądali jej się w ciszy.

– To co, chcesz trochę pozwiedzać? – zaproponował w końcu.

– Pewnie – rozpromieniła się. – Od czego zaczniemy?

– Od początku. Chodź, pokażę ci najstarszą część. Nie uwierzysz, kiedy ci powiem, ile ma tysięcy lat!

Uśmiechnęła się radośnie. Już niemal zapomniała, że uciekli z obozu przed starożytnymi bóstwami chcącymi zamienić ją w niewolnika. Bóstwami, które mimo wszystkich fantastycznych mocy, były w sumie bardzo ludzkie.

* * *

Wielki, lśniący diamentową bielą księżyc zaglądał do starożytnego wnętrza świątynnej komnaty przez pozbawione szyb okna. Jego zimne światło oświetlało lodowate, nieczułe posągi. Oliver z niedowierzaniem i rozpaczą spojrzął na trzymany w dłoniach Amulet Ozyrysa. Z całej siły rzucił skarbem o ścianę pokrytą prastarymi malowidłami. Czerń nocy rozdarła odległa błyskawica. Chwilę później gniewny pomruk nieba dotarł także do Pałacu Pośród Piasków. Oliver wiedział, że właśnie gdzieś na świecie wywołał niszczycielski huragan, ale nie zaprzątnęło to

jego uwagi. Był zbyt skupiony na swoim własnym nieszczęściu. Zacisnął drżące pięści i wbił wściekłe spojrzenie w połyskujący delikatnie wisior. Po chwili zsunął się na twardą posadzkę i spuścił zrezygowany wzrok.

– Wszystko na nic – wyjąkał płaczliwie. – Zupełnie na próżno. Bez sensu.

Bo cóż z tego, że dowiedział się wreszcie, że to Wyklęty zabił jego rodzinę? Cóż z tego, skoro nie wiedział, jak ich ożywić? Nie umiał uruchomić wskrzeszającej mocy Amuletu. Nie miał pojęcia, jak stworzyć im drogę powrotną do życia. Wszystko na próżno.

Nagle zamarł, zdając sobie z czegoś sprawę. Z czegoś przerażającego. Wyklęty. Powiedział, że... O, nie... że ma teraz nowego pana. A najbardziej przerażające było to, kim mógł być jego nowy król.

Oliver uniósł głowę, a w jego wielkich oczach odbił się biały blask księżyca.

– Nie – wydusił z bólem w słabym głosie. – Jak mogłem być taki ślepy. Taki głupi, żeby tego nie zauważyć! To przecież jest tak oczywiste!

Wyklęty ich zabił. Ale był tylko sługą. Nawet sam powiedział, że jego pan pozwolił mu na tę straszną zbrodnię. Czyli ten ktoś, jego nowy pan, był równie winny. Też był mordercą.

Oliver zacisnął pięści z całej siły.

– Nie...! Gdybym wiedział... Ale nie, ja oczywiście nic mu nie zrobiłem! – wyszeptał z rozpaczą oraz wściekłością. – Nic, choć mogłem. Mogłem ich pomścić. Mogłem go ukarać. Dlaczego nic nie zrobiłem?! Dlaczego...?



Rozdział dwudziesty szósty

STRASZNA PRAWDA

Popołudniowe słońce śmiało zaglądało do wnętrza okazałej komnaty, rozświetlając ją oraz czyniąc jeszcze piękniejszą. Sonia zapięła zamek swojej walizki i rozglądnęła się wokoło.

– Chyba nic nie zostawiłam – powiedziała do siebie cicho.

Z westchnieniem usiadła na ozdobnym siedzisku z wygiętym oparciem. Jak właściwie wszystko w tym pokoju – był złoty, z błękitnymi zdobieniami. Oliver powiedział, że to najładniejszy pokój gościnny w całym Pałacu Cieni.

Uśmiechnęła się. Był rzeczywiście cudowny. I tak jak w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach komnat, prawie zupełnie niezmieniony. Jego wystrój był taki sam jak za czasów starożytnych. Zdziwiająca, że wciąż wyglądał na świeży. A liczył sobie przecież tysiące lat!

Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak wieczorem zaczęła się zastanawiać, czy właśnie tak wyglądały pokoje Kleopatry. Oliver tylko wywrócił oczami i prychnął, że oczywiście, że nie.

– Dlaczego? – zapytała wtedy z lekkim zawodem.

– Komnaty w moim pałacu są z pewnością ładniejsze od tych jakiejś marnej królowej – oświadczył tonem, jakby to było oczywiste. Na dodatek patrząc, jakby chciał powiedzieć: „I po co się jeszcze pytasz?”

Jednakże, mimo że jej pokój był olśniewający, trochę obawiała się w nim spać. W końcu wszystko było tu takie stare... a do niedawna zupełnie opuszczone. Co, jeśli na dodatek nawiedzone?

Na szczęście wieczorem, po długim zwiedzaniu oraz zachwycającym spacerze po nadzwyczajnym Ogrodzie Nocy, który rzeczywiście był przepiękny po zachodzie słońca, była tak wykończona, że zasnęła od razu, jak tylko przyłożyła

głowę do poduszki. Nawet nie zwróciła uwagi na koncert, który cykady urządziły w przylegających do jej okien kwitnących drzewkach i krzakach.

Miała piękne sny, pełne migoczącej magii, skarbów lśniących złotem oraz tęczą szlachetnych kamieni, a także karmazynowych feniksów tańczących w płomieniach. Śnił jej się też Oliver, ale był zupełnie inny niż w rzeczywistości. Wyglądał tak samo, ale cały czas się uśmiechał. Był wesoły i szczęśliwy. Zupełnie nie taki, jaki był naprawdę.

Zabezpieczyła walizkę kłódką. Do wylotu miała jeszcze mnóstwo czasu, ale jej kolega uparł się, żeby spakowała się już teraz.

– Później będziesz nerwowa i przez pomyłkę zapakujesz nie to, co trzeba – tłumaczył. – A ja nie będę ci później dostarczał zapomnianych rzeczy! Nie jestem twoim służącym.

Sonia westchnęła i postanowiła go poszukać, by powiedzieć, że jest już gotowa. Chciała na dodatek jeszcze raz przedyskutować z nim kwestię konieczności trzymania się przez nią z dala od całego świata egipskich bogów.

Tego dnia spierali się o to już trzy razy. Ona twierdziła, że zawsze marzyła o przygodach, że dopiero odkryła w sobie niezwykłą moc, więc chce ją wykorzystać oraz mu pomóc. I że w końcu i tak została już w to wplątana. No i przecież na pewno nic by się jej nie stało u boku starożytnego boga, prawda?

On twierdził, że nie ma mowy, że to dla niej zbyt niebezpieczne, że on będzie miał dużo rzeczy na głowie i nie będzie mógł cały czas się nią zajmować, że ona się nie nadaje. Że powinna zapomnieć o całej sprawie i „cieszyć się beztróskim życiem z rodziną”. Co proszę?! Ach, no i jeszcze ten stały tekst: „Tak naprawdę to wcale nie chcesz mieć ze mną nic do czynienia”. Ten uparty bóg pustyni zaczynał jej porządnie działać na nerwy. No bo co to niby miało znaczyć? Inna sprawa, że czuła, iż cały czas coś przed nią ukrywał. Wyczytywała to z jego oczu. Głosu. A nawet postawy oraz gestów.

Wyszła na łagodnie oświetlony światłem słońca korytarz. Postanowiła dotrzeć do jednego z większych dziedzińców, jednak po dłuższej chwili przemierzania Pałacu Cieni zdała sobie sprawę, że chyba się zgubiła. Z tego, co pamiętała, już dawno powinna była znaleźć się u celu, a tymczasem jedyne wyjścia prowadziły do gęsto zarośniętego ogrodu.

Postanowiła iść dalej, kierowana ciekawością, gdyż nie widziała jeszcze tej części pałacu. Zaintrygowało ją, gdzie dojdzie nieznanym korytarzem. Nie uszło jej uwagi, że było w nim w miarę czysto, co oznaczało, że to skrzydło również należało do używanych.

Mijała kolejne wejścia do kolejnych komnat. Czasami ośmielała się do nich zaglądnąć, choć nie zawsze. Zresztą zazwyczaj były opuszczone oraz zaniedbane, pokryte wieloletnim kurzem.

Szła i szła, ze zdumieniem dostrzegając, że korytarz był niewiarygodnie

długi, a na dodatek praktycznie się nie rozgałęział.

Nagle przystanęła, zauważając coś odmiennego. Komnata, przed którą stała, zdecydowanie była zamieszкана.

– Oliver? – zawołała, zaglądając do środka.

Przypuszczała, że to był właśnie jego pokój. Przeczesała pograżoną w półcieniu komnatę szybkim spojrzeniem. Była pusta. Już miała się wycofać i ruszyć dalej, gdy nagle dostrzegła na ścianie coś, co przykuło jej uwagę.

Znieruchomiała na sekundę, po czym, nie odrywając zdumionych oczu od oryginalnego jak na Egipt malunku, weszła do środka. Przystanęła naprzeciw niego, przekrzywiając badawczo głowę.

– Czy to jest zamek? – wyszeptała z niedowierzaniem.

Nie miała pewności, gdyż było dość ciemno. Podeszła do okna i pociągnęła za płachtę pełniącą rolę zasłony. Karmazynowy materiał lekko spłynął na posadzkę, wpuszczając do wnętrza złote promienie. Sonia ponownie spojrzała na malunek, który ukazał jej się teraz w pełnej okazałości.

Ujrzała piękny zamek, otoczony zielenią parku oraz błękitem nieba i rzeki czy też stawu. W duchu zdumiała się, ponieważ miała wrażenie, że gdzieś go już widziała.

Korzystając z tego, że do komnaty wreszcie zawitało słońce, rozglądnęła się dookoła. Nagle zamarła.

W centrum pomieszczenia stało masywne biurko, prawie w całości zastawione jakimiś drobiazgami, papierami, laptopem.

I zdjęciami. Całą masę zdjęć, które były dosłownie wszędzie. Na szafach oraz półkach. Na ścianie i kominkowym gzymsie. A nawet na parapecie.

Nie widziała pozostałej części wyposażenia komnaty. Jak w transie podeszła do biurka, a następnie wzięła do ręki pierwszą z brzegu ramkę. Spojrzała w twarze czwórki rodzeństwa, pozujących na tle zamczyska. Trójka braci oraz siostra.

Rozpoznała ich od razu. Jej serce zamarło.

Ponownie zwróciła swoje oczy na biurko, czując, jak drżą jej ręce. Wszystkie inne zdjęcia przedstawiały podobne sceny i te same osoby.

Pobladła gwałtownie, gdy jej uwagę przykuła jakaś pojedyncza, niepozorna kartka, leżąca na wierzchu wysokiej sterty.

* * *

– Sonia? Spakowałaś się już? – zapytał trochę znudzony Oliver, zaglądając do jej pokoju.

Widząc, że jest pusty, a walizka spakowana, zrobił bardzo zdumioną minę. *A gdzież ona się podziała? Pewnie już zdążyła się zgubić* – pomyślał zgryźliwie. Nagle zastygł w bezruchu. Przyszedł jedyną znaną jej trasą. Ale jej nie spotkał. Do serca wkradły mu się złe przeczucia. Spochmurniał w jednym momencie. Zgubienie się Soni w Pałacu Pośród Piasków mogło być dla niego bardzo niekorzystne. Zwłaszcza gdyby weszła tam, gdzie nie trzeba.

Natychmiast odwrócił się na pięcie i zniknął za zakrętem korytarza. Musiał ją znaleźć. Jak najszybciej.

* * *

Zdjęcie wysunęło się jej z dłoni. Ramka z trzaskiem rozbiła się o kamienną podłogę. Szklane drobiny rozprysły się wokoło. Ale Sonia tego nie usłyszała. Była głucha i ślepa na cały otaczający ją świat. Na wszystko oprócz śnieżnobiałego listu, który ścisnęła w lodowatych rękach. Było to zaproszenie na obóz „Na piaskach egipskiej pustyni”. Takie samo, jakie dostała ona.

Ale nie to sprawiło, że zamarło jej serce, a oddech uwiązał w gardle. List bynajmniej nie był zaadresowany do Olivera Greena.

– To niemożliwe – wydusiła z siebie.

Odbiorcą był ktoś zupełnie inny. Briant de Ramen!

Świat zakolysał się wokół niej. Drżącymi dłońmi oparła się o blat biurka, by nie upaść lub nie zemdleć. Briant de Ramen i Oliver Green. Nie tylko wyglądali tak samo. Byli w rzeczywistości tą samą osobą! Oliver Green nigdy nie istniał. Za to Briant de Ramen wręcz przeciwnie.

Wielkimi oczami rozglądnęła się dookoła. Spojrzała w twarz jego rodzeństwa. W malowidle ujrzała zamek, który był jego domem. Poczła się tak, jakby ktoś wbił jej sztylet prosto w serce. Nagle wszystko stało się tak przerażająco jasne. Elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Zakręciło jej się w głowie. Przed oczami pociemniało. Zagadki rozwiązały się w sekundzie.

To dlatego był taki podobny do poszukiwanego mordercy!

Dlatego uciekł, gdy oglądali wiadomości.

Dlatego był taki skryty i nieufny.

Dlatego miał tyle tajemnic oraz trzymał się na boku.

Dlatego nie lubił Estery, która przecież spotkała go już wcześniej.

Dlatego tak przejął się jej opowieścią o Amulecie Ozyrysa w pierwszy dzień.

Dlatego interesowało się nimi wojsko.

Wszystko stało się tak oczywiste. Gdyby tylko zauważyła kilka drobnych

szczegółów, mogła odkryć to wcześniej. Ale nie. Ona musiała być taka ufna. Teraz miała za swoje. Choć musiała przyznać, że gdzieś w głębi duszy czuła to od bardzo dawna. Szkoda tylko, że zignorowała ten wewnętrzny głos.

– Nie... – wyszeptała, czując, jakby świat walił jej się pod nogami, jakby dostała cymś w twarz. – Niemożliwe!

I wtedy to usłyszała.

– Sonia!

Jego głos.

Zadrżała oraz zachwiała się ponownie. Przez przypadek zahaczyła o jedno ze zdjęć, które popchnęło kolejne, a to jeszcze parę innych. Kilka ramek roztrzaskało się na podłodze. Ostry dźwięk brutalnie przeciął ciszę starożytnych pomieszczeń.

– Sonia?

Pobladła jeszcze bardziej, jej oczy poszerzyły się ze strachu. W popłochu rozglądnęła się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki czy drogi ucieczki.

– Sonia? Jesteś tam?

Był coraz bliżej!

Utkwiła spojrzenie w oknie wychodzącym na rozświetlony ogród. Tak!

W jednej chwili znalazła się tuż obok okna, podciągnęła na kamienny parapet i zeskoczyła na piasek ścieżki. Błyskawicznie wpadła między kwitnące krzewy, a następnie pognąła przed siebie najszybciej, jak mogła.

* * *

Przystanął przy wejściu do jednej z zagospodarowanych przez niego komnat, czując, jak ogarnia go chłód.

Ujrzał leżącą na posadzce zasłonę, promienie słońca rozświetlające wirujący łagodnie w powietrzu kurz. Potłuczone ramki. Pojedynczą kartkę spoczywającą na ziemi.

Podszedł bliżej, pogrążony w odrętwieniu podobnym do snu.

Podniósł list, na którym czerniło się jego prawdziwe imię. Spojrzał na jedno z niegdyś ustawionych na biurku zdjęć siebie i swojego rodzeństwa, teraz przygniecione szklanymi szczątkami.

W sekundzie poszarzał na twarzy.

W końcu zrozumiała. Już wie.

* * *

Sonia prawie nie czuła liści i gałęzi, które smagały ciało. Jej myśli wypełniało coś zupełnie innego. Burza emocji. Przeważenie, panika, niezrozumienie.

Przed oczami widziała tylko jego twarz. Twarz mordercy.

– Nie...! – wyszeptała płaczliwie.

Z oczu płynęły jej strumienie łez. Wciąż nie mogła tego pojąć.

On jest mordercą! Co, jeśli zaraz ją zabije, bo poznała prawdę?! Bo pewnie już się domyślił, a nawet, jeśli jeszcze nie, to na pewno zaraz to nastąpi. Zaszłochała z przeważeniem, nie słysząc niczego oprócz własnego nieszczęścia. Musi uciec. Uciec, jak najdalej od niego. Może uda jej się uratować! Ona nie chce przecież umierać! A co, jeśli on ją zabije? Ale jak można stąd uciec?! Przecież wywiózł ją na sam środek pustyni!

I wtedy ją olśniło. Portale! Ucieknie portalami.

Pokazał jej Sonia jeszcze poprzedniego wieczora, kiedy oprowadzał ją po całym pałacu.

Łzy płynęły jej po policzkach, gdy przecinała zatopione w słońcu dziedzińce, gdy biegła przez opustoszałe, zacienione korytarze, z sercem trzepoczącym z przeważenia. Świat kołysał się wokół niej i zamazywał, ale nie pozwalała sobie na zatrzymanie. Mógł ją dogonić w każdej chwili! Może czai się za tym zakrętem, z nożem w dłoni? *Sonia! On nie potrzebuje noża. To bóg! Najgorszy ze wszystkich!*

Zaszłochała, rozglądając się dookoła z paniką. Wypadła na kolejny rozświetlony słońcem dziedziniec. Tak! Wreszcie rozpoznała okolicę.

Przeskoczyła nad kanałem wypełnionym krystaliczną wodą, mknąc jak na skrzydłach wiatru. Wpadła z powrotem w mrok korytarzy i chwilę później znalazła się w komnacie, którą przeznaczył dla niej. Dopadła swojej walizki, porwała ją z ziemi, po czym pociągnęła w stronę wyjścia.

Czuła się przeważająco bezbronna, ale nie mogła sobie pozwolić nawet na chwilę zwłoki, by znaleźć jakąś prowizoryczną broń. Tylko szybkość mogła ją uratować. Tylko ona się liczyła. Choć wiedziała, że i tak nie ma szans z mocą starożytnego boga.

Biegła, kierując się w stronę Świątyni Gwiazd. Portale były jej jedynym ratunkiem! Kółka walizki terkotały po kamiennej posadzce, szurały na kamienistych ścieżkach, co sprawiało, że jej serce jeszcze bardziej trzepotało ze strachu.

W końcu wpadła do świątyni opanowanej przez głuchą, straszną ciszę. Kurz wirował łagodnie nad podłogą. Złote promienie popołudnia wpadały przez nieliczne okna, oświetlając starożytne malowidła na ścianach. Monumentalne

posągi roztaczały wokoło aurę tajemnicy oraz niepokoju. W kątach panował mrok.

Przemknęła przez sale wypełnione jego podobiznami. I wreszcie wpadła do rozległej, podłużnej Komnaty Piasków, w której znajdowały się portale. Przystanąła niepewnie na widok rzędu mrocznych przejść. Które to było?!

– Sonia? Jesteś tu? – Usłyszała jego odległy głos oraz pośpieszne kroki, coraz bliższe i bliższe. Podskoczyła z przerażenia.

– Niech to! Które to było? – wyszeptała przez łyzy.

Przymknęła na chwilę oczy. Co on mówił...? Nie, nie mogła sobie niczego przypomnieć. Jej myśli wypełniała panika. Nie umiała teraz myśleć racjonalnie. Przerażonym spojrzeniem objęła upiornie mroczne przejścia. Nie może źle wybrać, bo wyląduje w jakiś opuszczonych ruinach jego świątyni! Bo, jeśli wierzyć słowom chłopaka, to większość portali prowadziła do jego dawnych miejsc kultu. Jeśli trafi na jedno z tych pustkowi, będzie łatwiejszym celem do zlikwidowania.

– Tu jesteś.

Wzdrygnęła się i natychmiast odwróciła w stronę wejścia, czując, że zaraz chyba zemdleje.

Stał w nich on, Briant de Ramen, patrząc na nią z dziwnie spokojnym, przygaszonym wyrazem twarzy, z bólem wypisanym w kasztanowych oczach. Oczach mordercy!

– Nie zbliżaj się – pisnęła odruchowo, cofając się w panice.

Serce prawie wyrywało jej się z piersi. Nogi drżały jakby były z waty. Nie mogła zapanować nad spoconymi dłońmi.

– Przecież nic ci nie zrobię.

Wciąż nawet nie drgnął, choć spodziewała się, że zaraz się na nią rzuci. Albo może wyśle Saharę! Stał ciągle w tym samym miejscu, tak bardzo podobny do tych swoich posągów. I tylko na nią patrzył. Spojrzeniem pełnym fałszywego zapewne nieszczęścia.

– Wiesz już, że nie jestem żaden Oliver – stwierdził z rezygnacją. – I dlatego odchodzisz. Rozumiem. Też bym tak pewnie zrobił na twoim miejscu. Ale... cokolwiek o mnie myślisz, musisz wiedzieć, że ja jestem niewinny. To nie ja ich zabiłem. Nie mógłbym tego zrobić. Nie byłbym do tego zdolny. Naprawdę.

Rozglądnęła się w panice, próbując przypomnieć sobie, który portal jest tym właściwym. Nie chciała go słuchać. Miała już dość kolejnych kłamstw. Oprócz tego, jemu nie można ufać. Jemu nie można wierzyć. On jest zły. Na pewno chce ją oszukać. Ponownie.

– Cóż, ale ty i tak mi nie uwierzysz, więc chyba to, czy ci cokolwiek wyjaśnię, nic nie zmieni – mówił przybity. – Nikt nie chce mnie wysłuchać. Jestem z góry przegrany. Nikt mi nigdy nie uwierzy, choć to ja mówię prawdę – powiedział z goryczą. – Rozumiem. Już się przyzwyczailem. Wiem, że nigdy się to nie zmieni.

Zagryzła wargę, z trudem powstrzymując się od płaczu. Strach ścisnął ją za gardło. Och, który z portali jest tym właściwym?!

– No, ale widzisz, że jak zwykle miałem rację. Wcale nie chcesz mi pomóc – zauważył z przygnębieniem.

Nagle ją olśniło. Tak, to ten portal, ten największy! Ten, w którym tak jednostajnie wirował złoty piasek. Mówił, że można się nim dostać dosłownie wszędzie, gdzie tylko jest jakikolwiek skrawek cienia. A w domu na pewno jakiś się znajdzie.

– Dziwi cię to? – Zmrużyła oczy i błyskawicznie skoczyła prosto w wirującą ścianę piasku największego portalu. Podobno wyczuwał on, czego się chce, ale na wszelki wypadek pomyślała bardzo intensywnie: *Kraków!*

– Nie. – Usłyszała jeszcze jego oddalający się głos. – Ani trochę. Żegnaj, Sonia. Miło było choć przez chwilę poczuć się, jakby nigdy...

Nie usłyszała dalszej części zdania. Runęła gdzieś wraz z wirującym wściekle piaskiem. Zaciśnęła powieki i wstrzymała oddech, by uniknąć złośliwych ziarenek oraz gwałtownego wiatru. Po chwili wszystko niespodziewanie ustało. Uświadomiła sobie, że znalazła się gdzieś na zewnątrz.

Czuła ciepło słońca, chłód lasu, delikatny wietrzyk poruszający liśćmi i przynoszący rozmaite zapachy natury. Ostrożnie uchyliła powieki. Zamrugła ze zdumieniem oraz rozglądnęła się dookoła. Spojrzała w górę, w zielone korony drzew, które poruszały się łagodnie, powodując migotanie słonecznych refleksów na jej twarzy. Gdzieś pomiędzy zielenią widać było górujący nad okolicą pagór. Po chwili nie miała już wątpliwości. Jej oczy poszerzyły się z niedowierzania. Była w lesie przy Kopcu Piłsudskiego. W Polsce, w Krakowie!

Poczuła, że robi jej się słabo. Zsunęła się na ziemię i schowała twarz w dłoniach. Jest już bezpieczna. Jest już w domu.

Ale ta myśl wcale nie uśmierzyła bólu złamanego serca, świadomości zdrady, oszustwa. Zaufała mu. Ale on na to nie zasłużył. Był mordercą.



Rozdział dwudziesty siódmy

BRIANT DE RAMEN

Estera była tak roztargniona i pogrążona we własnych myślach, że zorientowała się, iż nie jest w pokoju sama, dopiero gdy ktoś położył jej rękę na ramieniu. Wzdrygnęła się gwałtownie, po czym spojrzała z zaskoczeniem w piękne, smutne, zielone oczy.

– Astrid? – wykrztusiła, próbując powstrzymać drżenie głosu. – Nie słyszałam, jak wchodziłaś.

Brunetka niepewnie przysiadła obok niej na kanapie.

– Cóż... Taki już mój los. Niewiele osób mnie zauważa. Ale nie po to tu przyszłam... Chodzi o ciebie, Estero. Wyglądasz na tak bardzo smutną – powiedziała cicho, po czym dodała ostrożnie: – Zupełnie, jakbyś się czymś zamartwiała... Chodzi o Sonię, prawda?

Szatynka tylko zerknęła na nią podejrzliwie, zachowując jak najbardziej kamienny wyraz twarzy.

– Estero, ja rozumiem. Gdyby to moją przyjaciółkę chcieli zabić...

Esterze serce ścisnęło się z nagłego bólu. Drgnęła, a do oczu po raz kolejny napłynęły niechciane łzy. Przygryzła wargę, by się całkowicie nie rozpłakać. Jej lodowate dłonie drżały jak w febrze. Wbiła wzrok w podłogę. Z trudem nad sobą panowała.

– Ale, Estero... Dlaczego nic z tym nie robisz? Nie chcesz jej ostrzec?

Pewnie, że by chciała! Przecież tylko o tym myślała przez ostatnie godziny. Ale nie miała pojęcia, jak mogłaby to zrobić. *A Izyda, moja ostatnia nadzieja, nie odpowiada. Nie dają rady się z nią skontaktować* – pomyślała z rozpaczą. *A co innego mogę zrobić?! Po co Astrid do niej przyszła? Na przeszpiegi?*

– Czego chcesz? – zapytała oschle, drżącym głosem, a jej nieufne oczy

napotkały dziwnie spokojne spojrzenie brunetki, która uśmiechnęła się delikatnie.

– Pomóc. Tylko pomóc.

– Komu?

– Soni, oczywiście.

– Niby czemu? Przecież praktycznie jej nie znasz. I dlaczego zjawiłaś się akurat u mnie? Wysłał cię kierownik, tak? – w jej głosie dało się wyczuć rosnące rozdrażnienie. – To powiedz mu w takim razie, że...

– Nie, nikt mnie nie przysłał. – Czarnowłosa dziewczyna przerwała jej stanowczo, marszcząc brwi. – Ja po prostu nie godzę się na to, co planują. To, co chcą zrobić Soni, twojej przyjaciółce, jest okropne. Potworne. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – I nie mam zamiaru im na to pozwolić. Bo nie można dawać przyzwolenia na coś takiego. Nigdy. Sama jestem panią swego losu, nie będą mi mówić, na co mam się zgadzać i co popierać, a co nie. A ty? Naprawdę jesteś gotowa skazać ją na śmierć?

Estera zacisnęła pięści.

– Żartujesz? Oczywiście, że nie! – wybuchła. – Ale co mogę zrobić? Nawet nie mam jak się z nią skomunikować! Nie znam jej numeru telefonu... Zresztą, gdzieś na pustyni na pewno i tak nie ma zasięgu.

Oczy Astrid załśniły.

– Jesteśmy boginiami – wyszeptwała. – Znamy inne sposoby.

– Ja nie znam! Nie umiem rozmawiać z kimś telepatycznie, ani wysyłać wiadomości tęczą, ani niczego innego, o co mnie pytaliście. Nie potrafię czegoś takiego.

– Spokojnie, odkryjesz w sobie jeszcze te moce – pocieszyła ją brunetka, po czym dodała, mrużąc lśniąco oczy: – Ale ja, owszem, znam takie sposoby! Razem możemy ich ostrzec. A ją uratować.

Polka spojrzała na nią podejrzliwie.

– Ich?

– Tak. Przecież uciekła z Oliverem, prawda?

– Briantem, jak coś – mruknęła niechętnie Estera. – I jestem pewna, że nie poszła z nim dobrowolnie. Na pewno ją porwał!

– No... nie wiem, ale nie to jest teraz ważne. Skoro ją ze sobą zabrał, to pewnie chciał jej pomóc, prawda?

Cóż, raczej szczerze wątpię! – prychnęła w myślach szatynka, wzdrygając się na wspomnienie swego wroga.

– Więc na pewno jest w stanie pomóc jej i teraz! – zauważyła Astrid z podnieceniem, a jej oczy zabłysły z wiarą.

Cóż, Estera musiała przyznać, przy całej niechęci, jaką czuła do Brianta de Ramena, że nie było to pozbawione sensu. Co prawda nie miała pojęcia, czemu miałby pomóc Soni, ale... już raz to zrobił. Przynajmniej raz.

Może rzeczywiście był teraz ich jedyną szansą na uratowanie koleżanki? Jeśli by tak było... to może jest jeszcze nadzieja!

– Naprawdę umiałabyś się z nimi skontaktować? – zapytała cicho, podczas gdy w jej głowie szalały myśli.

– Pewnie. Bez problemu.

Szatynka zmrużyła podejrzliwie oczy i zerknęła na nią uważnie.

– To czemu tu jesteś? Do czego ja jestem ci potrzebna? Przecież sama możesz to zrobić.

– Ale mi nie uwierzają. To nie ja jestem przyjaciółką Soni. Tobie są w stanie zaufać. Ja mogę nas tam przenieść, ale to ty musisz mówić.

– Ach... – wyszeptała z wahaniem Estera.

A więc miałyby porozmawiać z... nim? Ale... przecież to jest właśnie on! Osoba, która z zimną krwią zabiła jej najlepszego przyjaciela! Tego, który był dla niej najważniejszy na świecie... Który ją tak bardzo oczarował... Briant go zabił. Swojego starszego brata. I przez to zniszczył jej świat. A teraz miałyby go o coś prosić?!

Z trudem przełknęła ślinę. Cóż. Chyba nie ma wyboru. Musi to zrobić. *Dla ciebie, Sonia, jestem gotowa pogodzić się nawet z moim najgorszym wrogiem* – pomyślała odrobinę ponuro.

– Dobrze – westchnęła. – Tylko się pośpieszmy, demon niedługo wyruszy. I chcę mieć to już za sobą. Tylko nikomu ani słowa, bo będzie z nami bardzo źle, jasne?

– Oczywiście!

Oczy Astrid zabłyśły, pojawiła się w nich powaga oraz duma.

Wstała z kanapy, przymknęła oczy i uniosła ręce. Estera patrzyła ze zdumieniem, jak przed dziewczyną powoli pojawia się coraz większa oraz coraz gęstsza ciemnoszara mgła, kłębiąca się trochę przerażająco i wirująca w pionowej płaszczyźnie, niczym na jakimś niewidocznym ekranie. W końcu bogini odetchnęła, opuściła ramiona oraz spojrzała na zszokowaną koleżankę błyszczącymi oczami. Wyciągnęła w jej stronę bladą dłoń, uśmiechając się delikatnie. Estera ostrożnie ją ujęła, a Astrid z zadowoleniem zwróciła wzrok w wirującą mgłę.

– Chyba ci jeszcze nie mówiłam – powiedziała dziwnie cicho i spokojnie. – Jestem Neftyda. Pani Śmierci oraz Opiekunka Zmarłych.

I skoczyła w kłębiasty wir, pociągając za sobą zaskoczoną Polkę.

W jednej chwili otoczył je przytłaczający, promieniujący smutkiem mrok. Estera zadrżała, czując ogarniający ją chłód. Astrid ciągnęła ją gdzieś do przodu i cały czas ścisnęła ją za nadgarstek, ale jej dłoń wcale nie była dużo cieplejsza od otoczenia. Choć szatynka wyteżała wzrok najbardziej jak mogła, otaczająca je ciemność była nieprzenikniona. Na dodatek przywoływała wszystkie nieprzyjemne

i smutne zdarzenia z przeszłości. Potęgowało to poczucie winy oraz strachu o przyjaciółkę, która przebywała gdzieś tam, w towarzystwie boga zła.

Gdy myślała, że już dłuższej nie wytrzyma wzrastającego w jej sercu uczucia nieszczęścia i rozpacz, nagle okalający je kłębiący się mrok zafalował, następnie błyskawicznie zaczął się rozwiewać, a ją poraził raptowny blask słońca. Zamrugła gwałtownie, biorąc głęboki wdech, jakby wynurzyła się z wody po długim nurkowaniu. Brunetka puściła jej dłoń.

Estera uniosła wzrok. Stały po łydki w fontannie na złotym, kamiennym dziedzińcu, otoczonym ogrodem oraz rażąco białymi ścianami. Nie miała pojęcia, gdzie jest. I chwilowo niezbyt ją to interesowało, gdyż jej myśli w jednym momencie wypełniła wyłącznie wściekłość. Nawet nie widziała cudownego błękitu nieba czy złotych fal widocznej za palmami pustyni.

Kilka metrów od nich stał, zastygły z zaskoczenia, całkowicie zdumiony Briant de Ramen, wpatrujący się w Esterę oczami wielkimi jak spodki. Na Astrid nawet nie zwrócił uwagi.

– Estera Czarnecka, kto by pomyślał! – Zmrużył podejrzliwie oczy i dodał głosem, w którym czaiły się niepewność oraz zaciekawienie: – Czy ty... nie żyjesz?

Szatynka zadrżała z palącej złości, przy okazji zastanawiając się, skąd u niego ten pomysł? Briant był dziwny, i to zdecydowanie, ale chyba nie aż tak!

Drgnęła, gdy dotarło do niej, że nie czuje słonecznego ciepła, tylko ten orzeźwiający chłód wody. A także to zimno w sercu, które zagnieździło się podczas podróży mgłą. Tchnięta nagłym przecuciem, spojrzała na siebie. Jej oczy błyskawicznie poszerzyły się ze zdziwienia, gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Co się ze mną stało? – wyszeptała zszokowana i przestraszona.

Nie miała swojego ciała! Była teraz półprzezroczystym widmem, składającym się prawdopodobnie z dymu lub... mgły. Uniosła swoje dłonie, już nie jasne, lecz błękitnoszare, a miejscami wręcz przezroczyste.

– No, ja ci na pewno nie powiem. Ale jeśli nie żyjesz... Ech, nie, to by było zbyt piękne. Choć nie. Gdybyś umarła, mogłabyś prześladować mnie już do końca życia. Czyli raczej dość długo. Miałbym słyszeć twój okropny, zawodzący głos już zawsze... O, nie. Wszystko, tylko nie to. Więc jesteś w końcu tym duchem, czy nie?

– Nie jestem, idioto – warknęła niechętnie.

– To nie ja stoję w fontannie i wlepiam w kogoś wyłupiaste oczy z tępą miną – zauważył lodowato. – Jak się tu dostałaś? I dlaczego nawiedzasz akurat moją fontannę?!

– Niczego nie nawiedzam! – Poczwała, że zaraz wybuchnie. – I to nie twój interes, jakich czarów użyłyśmy z Astrid.

Wzruszył ramionami.

– I tak mnie to nie obchodzi. To czego chcesz? Bo po coś tu przylazłaś? No, chyba, że tak bez celu. W sumie bym się nawet nie zdziwił.

– Przyszłyśmy pomóc – oznajmiła Astrid.

Uniósł brwi.

– Pomóc? A niby komu? Mnie?! Ja nie potrzebuję pomocy.

– Domyślam się. – Estera zmrużyła oczy. – Zresztą mało kto by chciał ci jej udzielić.

– A jednak nawet ty tu przyszłaś – zauważył szyderczo.

Poczerwieniała.

– Nie! To, eee... to Astrid chciała ci pomóc, nie myśl, że ja. To ostatnia rzecz, jaką pragnęłabym zrobić.

– Astrid? – zdumiał się. – Niby czemu? I po co mi jej pomoc?

– Mamy ważne informacje – powiedziała urażona brunetka, marszcząc brwi.

– Które mogą uratować ludzkie życia.

Nie wyglądał na bardzo zainteresowanego.

– Eee, ja jestem bogiem zła – stwierdził z lekkim zdziwieniem. – Jeśli szukacie bohatera, który wam pomoże, to zgłóście się do jakiegoś frajera typu Horus. On tylko czeka na takie okazje.

Estera wywróciła oczami. Już miała dość rozmowy z nim. Chyba dłużej nie wytrzyma! Potrzebuje normalnego rozmówcy, a konkretnie, przyjaciółki. Powinna ją ostrzec.

– Gdzie jest Sonia? Muszę z nią porozmawiać – oznajmiła chłodno, starając się opanować.

Z trudem powstrzymała się od wyskoczenia z fontanny i uduszenia go, albo przynajmniej złamania mu tego nosa, który tak chętnie zadzierał do góry. Zupełnie jakby był nie wiadomo kim! I pewnie już dawno by się na niego rzuciła, gdyby nie fakt, że dziwnym sposobem nie mogła ruszyć się z miejsca. *Pamiętaj, po co tu jesteś! Dla Soni.*

– Nie ma jej tu – prychnął, pozornie z lekceważeniem. – Możesz porozmawiać tylko ze mną. A czego chcesz?

Estera zbladła. Przynajmniej tak jej się wydawało. Nie wiedziała, czy ktoś stworzony z dymu może pobrać.

– Jak to jej nie ma? Przecież uciekliście razem! Gdzie ona jest? – zapytała natychmiast, zdenerwowanym tonem.

– Nie wiem. Na pewno nie ma jej tutaj.

– Co jej zrobiłeś? – warknęła wrogo, mrużąc płonące oczy.

– Nic, zupełnie nic.

– Kłamiesz!

– A niby po co? Przy tobie nie muszę się tak wysilać, i tak mi nie wierzysz.

– No więc gdzie jest Sonia?!

– A co?

Zacisnęła pięści oraz zadrżała z wściekłości.

– Jeśli coś jej zrobiłeś... – zawiesiła groźnie głos.

Jego oczy zabłyśły wyzywająco, szydząc niemo: „To co? Co się stanie? No, pokaż jaka jesteś potężna”.

– No, już się boję. A tak na serio, nic jej nie zrobiłem – burknął niechętnie. – Oprócz tego, przypominam, że to nie ja chciałem ją zaprowadzić do Mandary na pranie mózgu, ale ty! Jej najlepsza koleżanka! Jesteś jeszcze bardziej fałszywa niż ja. Nie widzisz tego?

Esterę zapiekły policzki.

– Nie! Ja wcale nie chciałam tego zrobić!

– Taaa, jasne. – Spojrzał na nią kpiąco.

– A żebyś wiedział! Chciałam tak to wszystko urządzić, by myśleli, że Sonia też jest boginią. Chciałam jej pomóc i wszystko by się udało, gdybyś ty wszystkiego nie zniszczył!

– Tak?! Więc to moja wina? – wybuchł.

– Tak!

– Super, oczywiście! Zwalcie wszystko na mnie, bo i tak mam już zrujnowane życie. Świetnie! A jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to Sonia wróciła do domu. Do Krakuna, Krakena, czy jakoś tak.

– Do czego? Może do Krakowa, geniuszu? – prychnęła, czując jednocześnie panikę ściskającą ją za serce. Jednak jakimś cudem powstrzymała się od krzyczenia wniebogłosy.

– Nieważne, co za różnica. Ważne, że wróciła, nie? A co do ciebie, to jeśli przyszłaś tu tylko po to, żeby na mnie nawrzeszczyć, to idź już sobie. Nie obchodzi mnie jak, ale opuść w końcu moją fontannę! Mam cię dość. Rozmowy z takimi idiotkami jak ty mnie męczą. I denerwują.

Odwrócił się na pięcie, po czym zaczął się oddalać gniewnym krokiem.

– Zaczekaj! – zawołała Astrid. – To bardzo ważne. I dotyczy Soni!

Nawet nie zwolnił, więc przerażona bogini wczepiła swoją lodowata dłoń w ramię przygaszonej Estery.

– Co teraz? – wyszeptwała.

Polka pobladła jeszcze bardziej, gdy zmroziła ją nagła, straszna myśl. Ale co w takim wypadku będzie z Sonią? W jej oczach załśniły łzy. To chyba koniec. Ale jak to możliwe...?

– On jest ostatnim ratunkiem dla twojej przyjaciółki – zauważyła Astrid. – A mnie kompletnie ignoruje. Do ciebie się przynajmniej odzywa! Nie możesz chociaż spróbować się z nim dogadać?

Estera zagryzła wargę. Bała się, że, niestety, jest to niemożliwe. Ale co z Sonią...?!

Przymknęła oczy. Wiedziała, że Astrid miała rację. On był jedynym wybawieniem. Nawet, jeśli był jej najgorszym wrogiem. Musi go namówić do współpracy. Musi. Dla Soni. Uniosła powieki. W błękitnych tęczęwkach zabłysła ponura determinacja.

– Hej, nie! Stój! – krzyknęła ze strachem, widząc, że znika już wśród bogatej roślinności.

Nawet nie drgnął, jakby nie usłyszał. Ale wiedziała, że po prostu ją zignorował.

– Nie, Briant! – zawołała łamiącym się głosem, z którego (co prawda tylko pozornie i chwilowo) uciekła cała nienawiść. – Proszę, zatrzymaj się. Słyszysz? Proszę, zrób to. Jeśli mnie nie wysłuchasz, to Sonia zginie. A chyba tego nie chcesz, prawda? Nie chcesz mieć na sumieniu kolejnej niewinnej osoby. Więc wróć. Ona potrzebuje twojej pomocy. Ja... no cóż, też. Proszę, pomóż jej. Ochroniłeś ją przed planem Mandary, ale to, co przeznaczył jej teraz, jest o wiele gorsze. Musimy zawiesić chwilowo broń. Dla Soni. Słyszysz? Briant!

Widziała, jak zamarł w bezruchu i spędził tak kilka przerażająco długich sekund. Potem odwrócił się. Z zaskoczeniem zauważyła, jak bardzo stał się poważny.

– Pewnie, że słyszę – oznajmił wyniośle. – Nie jestem głuchy. O co chodzi? Mów. Wyjątkowo cię wysłucham.

* * *

Często przychodziła tu z rodzicami, a zwłaszcza z tatą. Głównie z powodu zoo, położonego tuż obok. Lubili razem spacerować nieopodal kopca. Nie wiedziała, dlaczego znalazła się akurat przy nim. Podejrzewała, że może portal wysłał ją w to miejsce, o którym pomyślała, choć przecież Kraków kojarzył jej się też z rynkiem, domem, Wawelem. Z kopcem dużo mniej.

W sumie nie miała pewności, czy portal mógł odczytać jej myśli. Przecież to były tylko drzwi. Trochę inne, ale jednak.

Sonia opierała się o swoją walizkę, siedząc na leśnej ściółce i wpatrując się w wyłaniający się zza drzew zarys Kopca Piłsudskiego. Lecz tak naprawdę nie widziała ani nieba, ani słońca, ani lasu, ani ptaków. Wciąż na nowo przeżywała ostatnie wydarzenia. Obóz. Ucieczkę. Pobyt w Pałacu Pośród Piasków.

Próbowała otrząsnąć się z szoku, jak na razie bezskutecznie. Nie miała nawet dość siły, żeby wrócić do domu. Przez pierwsze dwie godziny płakała, chcąc zrozumieć. Na próżno. Potem skończyły jej się łzy i przyszedł jeszcze gorszy czas.

Czas rozmyślań. Czas wyroków. Bezustannie widziała przed sobą jego twarz. Powracały do niej różne zdania, które on wypowiedział, które o nim wygłoszono. Słyszała swoje dawne myśli, spostrzeżenia. Poszlaki, które teraz wydawały się tak oczywiste. Przypomniła sobie reportaże na jego temat. Wiadomości w telewizji, radiu, Internecie.

To był Briant de Ramen. Morderca. Przestępca. Szaleniec. Opętany. Bandyta. Bandzior nad bandziorami.

To był również Set. Bóg zła. Ciemności. Nocy. Demonów. Chaosu. Wojny. Wszystkiego, co złe.

To był właśnie on. Osoba do cna przesiąknięta złem. Kłamca.

Zacisnęła powieki. Wciąż echem odbijały jej się w głowie pełne goryczy zdania, jakie wygłosił. A także to rozpaczliwe zapewnienie. *Jestem niewinny*. Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Czowała się okropnie. Zdradzona, oszukana, zagrożona. Nieszczęśliwa.

– Dlaczego? – wyszeptwała płaczliwie, czując, jak oczy ponownie wypełniają jej się łzami. – I skąd ja mam wiedzieć, co o tym wszystkim myśleć?

Schowała twarz w dłoniach.

– Co mam zrobić? Komu uwierzyć? Czemu musiało trafić akurat na mnie?! Na dodatek nikt mi nie może pomóc. Nikt!

To była prawda. Rodzinie nie mogła powiedzieć, że poznała boga pustyni, który jest na dodatek poszukiwanym wszędzie przestępcą. Przyjaciółkom tym bardziej, przecież za nic nie dadzą wiary.

Chciała porozmawiać z Esterą. Ale jej tu nie było. I pewnie już nigdy się nie zobaczą. Będzie musiała stawić czoło swoim wątpliwościom sama. Sama zdecydować, którą drogę wybiera. Wydać wyrok zupełnie samodzielnie, mając mieszane odczucia, przerażenie w krwawiącym sercu oraz łyzy nieszczęścia w oczach.

Co ma zrobić? Jaka jest prawda? I co przyniesie jej przyszłość? Zemstę strasznego boga? Zapomnienie? Cierpienie w samotności i ciszy swego umysłu? A może zjawią się po nią agenci pozostałych bogów, pana Mandary? Co z tego wszystkiego będzie najlepsze? A co najgorsze...?

I przede wszystkim, co myśleć o nim? O Oliverze... a raczej o Briancie. Kim jest tak naprawdę? Jakie były jego intencje? A jakie cele? Dlaczego jej pomógł? Czy może polubił ją chociaż odrobinę? Nie podejrzewała tego, ale w końcu pozwolił jej odejść. I nie był taki okropny oraz niemiły jak na początku. Co nim kierowało? Czemu był tak bardzo smutny? Wydawało się, jakby stale cierpiał. Czy aż tak żałuje swoich czynów? Ale w takim razie, czemu dopuścił się czegoś tak strasznego, jeśli teraz nie może się z tym pogodzić?

Czy kiedykolwiek się tego dowie? Czy może raczej do końca życia będzie się zadrećczać tymi pytaniami, na które tylko Briant de Ramen mógłby

odpowiedzieć? A których nigdy mu nie zada. No bo jak? Nie chce mieć z nim już nic do czynienia. On jest zły.

A ona jest dobra.

Prawda...?



Rozdział dwudziesty ósmy

ZEMSTA DEMONA

– Z drogi – warknął, przepychając się przez tłum turystów zagradzający mu drogę. A w zasadzie zajmujący całą przestrzeń ulicy prowadzącej do sporego placu pewnego europejskiego miasta.

Biegł, wymijając ludzi, schylając się i przeciskając przez wąskie szpary wolnej przestrzeni. Gdyby nie był bogiem chaosu, już dawno by utknął w tej tłuszczy. Uśmiechnął się trochę ponuro. Cóż, byłoby tak, gdyby nie był kimś niezwykłym.

Zatrzymał się w centrum placu, po czym wbił czujne spojrzenie w olśniewająco błękitne niebo. Jakby na coś czekał.

Wtedy ujrzał pasażerski samolot, wokół którego wirowały mroczne wstęgi. A zatem Estera podała mu dobre informacje. Zmrużył oczy.

Tylko jedna istota mogła stworzyć coś takiego jak te czarne kłębiaste chmury, nie licząc jego samego. Demon.

Nagle ktoś krzyknął, a głowy wszystkich turystów uniosły się.

Wiedział, dlaczego zaczęli krzyczeć. Samolot opadał niekontrolowanie, co chwilę wstrząsany nowymi uderzeniami czarnych smug. Samolot lecący do Krakowa. Ten, którym leciałaby Sonia, gdyby nie uciekła portalem. Wiedział, że to właśnie z jej powodu demon zaatakował. Chciał ją zabić. Tyle, że jej tam nie było. Ale kreatura nie mogła tego wiedzieć.

Maszyna spadała. Prosto na miasto. Prosto na plac.

Ludzie zaczęli wrzeszczeć i uciekać na wszystkie strony, pogrążając się w coraz większym chaosie. On nawet nie drgnął. Tylko intensywnie wpatrywał się w samolot.

Maszyna była coraz bliżej. Cień spowił plac. Spanikowani ludzie piszcze

oraz tłoczyli się w wąskich ulicach, próbując uciec jak najdalej.

I wtedy, gdy przerażająco krótkie chwile dzieliły samolot od katastrofy, Władca Piasków wezwał swoją moc oraz uniósł ręce. Zmrużył oczy, w których zawirował szaleńczo piasek. Gwałtowny podmuch gorącego wiatru wtargnął na plac, zaplątał się w płachty straganów z pamiątkami i pomknął w górę. Z dłoni boga pustyni wystrzeliły wstęgi mocy, podobne nieco do jasnych błyskawic. Połączyły się z wiatrem, a następnie rozlały nad miastem, lśniąc bielą wśród ciemności. Cały plac pogrążył się w pełnym huku mroku. Samolot runął prosto w tę moc. Briant jeszcze bardziej zmrużył oczy, zaciskając z wysiłku zęby. Zabłyśło, z jego rąk wystrzeliły kolejne, oślepiające promienie.

Powstrzymana maszyna zawisła tuż nad egipskim bogiem. Wirowały wokół niej wstęgi płonących błyskawic.

Chłopak opuścił ręce i spojrzał w odległy od niego o dwa metry dziób samolotu. Odetchnął. Udało się! Nie dopuścił do zemsty demona. Odsunął się trochę i pozwolił maszynie opaść łagodnie na plac. Jej dziób oparł się o bruk, skrzydła oraz tył zahaczyły o pobliskie kamieniczki. Gdzieś zapadł się dach, odpadł tynk. Ale Briant zupełnie się tym nie przejął. Ważne, że nikt nie zginął. Niech ludzie sami zajmą się maszyną i ewentualnymi uszkodzonymi. Jego rola zakończona.

Kasztanowe oczy załśniły, gdy ujrzał na niebie czarną chmurę z zębami oraz mrocznymi oczami, która, sycząc, wpatrywała się prosto w niego. Cień Wyklętego. Widocznie jego wróg, wciąż tkwiąc w piaskach Sahary, był w stanie wysłać jedynie coś tak nieudolnego.

Na jego widok Briant poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Niestety, to był tylko cień. Byle co mogło sprawić, że zniknie. To nie był Wyklęty. Nie mógł poczuć bólu. A szkoda.

– Znów przegrałeś – mruknął z pogardą, wiedząc, że ten marny cień i tak go usłyszy. – Jesteś beznadziejny.

Wtedy demon wyszczerzył się złowrogo, jego ślepie zapłonęły okrutnie, po czym pomknął w niebo, gdzie zniknął wśród bladych obłoków.

Władca Piasków pobladł. Wyczytał z jego oczu, że to wcale nie koniec. Zobaczył w nich blask planowanego triumfu. Wtedy zrozumiał. To zdecydowanie jeszcze nie kres wszystkiego. Co gorsza, przekaz był bardzo jasny. *Będzie cierpiała jak ty.*

Usłyszał ciche pstryknięcie. Natychmiast odwrócił się w stronę osłupiałego tłumu, wpatrującego się w niego z niezrozumieniem. Jakieś struchlałe dziecko zrobiło mu zdjęcie.

Uśmiechnął się krzywo i pstryknął palcami. Zamienił się w złoty piasek, który wiatr poniosł gdzieś w górę, a oszołomiony chłopiec z piaskiem odrzucił spalony aparat.

* * *

Sonia nagle ocknęła się z letargu. Rozejrzała się dookoła wciąż lekko nieprzytomnym wzrokiem, czując w duszy przerażającą pustkę. Po godzinach odreagowywania stresu była zupełnie wyzuta z emocji. Czuła się jak nie ona, raczej jak ktoś obcy. Jak posąg. Albo wyniosła istota bez uczuć, jak zawsze wyobrażała sobie starożytnych bogów.

Ze zdumieniem zauważyła, że robi się już ciemno. Zerknęła na zegarek. Wytrzeszczyła oczy. Szybko dokonała w myślach kalkulacji i pobladła.

Jej samolot powinien zaraz lądować! A więc jest już tak późno?!

Natychmiast wyciągnęła z walizki torebkę, a z niej telefon. Napisała szybką wiadomość: „Tato, już przylecieliśmy, ale sama wrócę do domu. Nie przyjeżdżajcie po mnie”. Po chwili namysłu dodała jeszcze, tak żeby ich uspokoić: „Wracam z koleżanką, mieszka całkiem niedaleko”.

Potem westchnęła i zmusiła się do wstania. Jak w transie pociągnęła walizkę przez las, aż doszła do drogi. Zamówiła taksówkę.

– To gdzie jedziemy? – zapytał kierowca, gdy zapinała pasy.

Wzdrygnęła się i otrząsnęła z osłupienia. Wyrecytowała adres podkrakowskiej miejscowości. Niewidzącym wzrokiem patrzyła za okno. Znów wracały do niej wspomnienia. Serce znów bolało. Oczy ponownie chciały wypełnić się kryształowymi łzami. *Nie! Przestań, Sonia! Uspokój się.* Gdzieś w duchu zdenerwowało ją to, że tak się tym wszystkim przejmuje. *Powinnam o tym wszystkim zapomnieć. Jak najszybciej.*

Ale nie mogła. Wiedziała, że nigdy nie uda jej się o nim zapomnieć. Ani o całym świecie egipskich bóstw.

Drgnęła, czując w dłoni wibracje dzwoniącego telefonu. Zerknęła na ekran. „Tata”. Zacisnęła usta. Nie odbierze. Nie miała siły na rozmowę. Bała się, że mogłaby się rozpłakać. Nie była jeszcze gotowa.

Pokonywali kolejne skrzyżowania, zakręty. Z każdym metrem coraz bardziej zbliżała się do domu. Rozpoznawała już okolicę. Do serca wkradło się ciepło domu. Uśmiechnęła się delikatnie.

Wtedy taksówkarz nagle zahamował i zaklął pod nosem. Sonia gwałtownie poleciała do przodu. Pomimo pasów odbiła się od siedzenia przed sobą. Zamrugowała intensywnie, po czym spojrzała przez szybę, by zobaczyć, dlaczego musieli się tak nagle zatrzymać. Zmarszczyła brwi.

– Chyba dalej już nie pojedziemy – stwierdził kierowca. – Jeśli dobrze widzę, to na jezdnię zważyło się jakieś wielkie drzewo. Ojej, chyba niedaleko jest

na dodatek jakiś pożar!

Sonia pobladła gwałtownie. Właśnie gdzieś nieopodal unoszącego się w czarne niebo dymu był jej dom! Natychmiast zapłaciła i wyskoczyła z taksówki. Pełna złych przeczuc pobięła przed siebie, ciągnąc walizkę po chodniku oraz mijając długi sznur zniecierpliwionych samochodów tych, którzy musieli czekać, by dojechać do domów. Ich reflektory były obok latarni jedynymi źródłami światła oświetlającymi pograżoną w wieczornej ciemności okolicę. Groza w jej sercu rosła z każdą sekundą. Pędziła przed siebie, wciąż nie mogąc w to uwierzyć. Czyj dom się palił? Ale chyba nie jej, prawda?

Przedarła się przez intensywnie pachnące gałęzie powalonego drzewa. Jak tylko wyłoniła się z zieleni, jej oczom ukazał się przerażający widok. Jej serce zamarło. Zapomniana walizka opadła na chodnik. Sonia pognęła przed siebie, mając w głowie tylko tę straszliwą świadomość tego, w co tak trudno było jej uwierzyć.

– Nie! – krzychała, przedzierając się przez zgromadzony wokoło tłum.

W jej szklistych oczach odbijał się migotliwy blask pożaru. Pożaru białego domu o uroczych wieżyczkach, krytych gontem. Domu o dużych oknach i rozległym ogrodzie.

Jej domu.

* * *

Zakochana para spacerowała wśród okrytych ciemnością zmierzchu drzew. Wpatrywali się sobie w oczy, uśmiechając się z rozmarzeniem.

Nagle błysnęło, a z pograżonych w ciemnościach krzaków wyłoniła się jakaś mroczna postać. Zaskoczona dziewczyna krzyknęła. Jej narzeczony osłupiał.

Bóg pustyni obrzucił ich zniecierpliwionym spojrzeniem i szybko rozglądnął się dookoła. Wiedział, że właśnie w to miejsce przeniosła się Sonia. Ale dlaczego do lasu?! A co to za góra? I dokąd potem poszła dziewczyna?

Wtedy dostrzegł ślady wąskich kółek na ziemi. Gdyby nie to, że tak świetnie widział w ciemności, na pewno by je przeoczył. W jego oczach zabłysła satysfakcja. Natychmiast skoczył między drzewa i pobięł śladami walizki oraz osoby, która ją ciągnęła.

Zakochana para jeszcze chwilę wpatrywała się zszokowana w miejsce, w którym bezszelestnie zniknęła.

– Czy to był Briant de Ramen? – wyszeptęła narzeczona, zerkając na swojego towarzysza z wahaniem. – Ten z telewizji?

- Chyba tak.
Chłopak miał bardzo niepewną minę.
– Co robimy? Nie powinniśmy kogoś o tym powiadomić...? – zastanowiła się z obawą dziewczyna.
– Hm, chyba powinniśmy – powiedział z wahaniem, sięgając po telefon.

* * *

Jej myśli były bólem. Jej myśli były rozpaczą. Jej myśli były przerażeniem. Przepychała się przez tłum nieruchomych sąsiadów, nie mogąc oderwać wzroku od tego straszego widoku płonącego domu. Dach i okna trawione straszliwą pożogą, rozświetlającą wszystko dookoła. Jej pokój, teraz wypełniony czerwonymi płomieniami.

Po jej twarzy płynęły łzy. Świadomość wypełniała tylko jedna myśl: *To mój dom*. Nagle poczuła, jak paraliżuje ją jakaś dziwna, potężna oraz przerażająca siła. Zamarła, nie mogąc się ruszyć.

I wtedy go zobaczyła. Stał dwa metry przed nią, pośród niemego tłumu, który jakby ich nie zauważał. Briant de Ramen, patrzący na nią spojrzeniem płonącym okrucieństwem.

– To ty? – wyjąkała przez łzy. – Ty to zrobiłeś?

Uśmiechnął się lodowato.

– Tak. To właśnie ja.

Jej serce wypełniła nienawiść. Dusza wyła z rozpacz.

– Jak mogłeś! Ty potworze – wrzasnęła, próbując pokonać tajemniczą siłę i dorwać go, uderzyć, zadusić.

Wtedy usłyszała, jak jakaś kobieta zapłakała, a następnie powiedziała do swojego męża słabym głosem:

– Boże, w środku jest dziecko!

Sonia zamarła. Jej duszę przeciął w tym momencie lodowaty sztylet przerażenia. Dziecko... Nie, tylko nie to!

– LILIA! – zawyła z żalnością, jeszcze bardziej szarpiąc się z niewidzialnymi więzami.

Jej siostra! Nie mogła stłumić rozpaczliwego szlochu. Zasłoniła usta rękami i wlepiła płonący nienawiścią wzrok w boga zła, który patrzył na nią spokojnie, z zadowoleniem w bezlitosnym, ognistym spojrzeniu.

– Dlaczego? – wychlipała. – Dlaczego mi to robisz?!

Zaśmiał się strasznie, aż przeszedł ją dreszcz.

– Dlaczego? To proste. Ty masz wszystko. A ja nie mam już nic. – Jego oczy zabłyśły chorobliwie. – Teraz zrozumiesz, jak się czuję. I poza tym, jedyna rzecz, jaka sprawia mi przyjemność, to patrzeć, jak ktoś cierpi. Jak jego życie rujnuje się przeze mnie! Tak. A ty, głupia, naprawdę myślałaś, że możesz mi uciec? To moja zemsta – wysyczał. – Będziesz cierpieć. Będziesz na to wszystko patrzeć, nie mogąc nic zrobić. O, tak! To wspaniała tortura. Uwielbiam to! Wy, śmiertelnicy, jesteście skazani na zniszczenie, na straszną śmierć. – Roześmiał się upiornie. Następnie, cedząc każde słowo, by wybrzmiewało z coraz większą mocą, powiedział: – Patrz, jak rujnuję twoje życie i zapamiętaj moją twarz. Ja jestem twoim przekleństwem! I bardzo mnie to cieszy, ty wstrętne, naiwne, beznadziejna...

W tym momencie zachwiał się gwałtownie. Z osłupieniem spojrzął na włócznię, która przebiła go na wylot.

– C...co? – wyjąkał, po czym oczy stanęły mu w ślup i rozsypał się w czarny popiół.

Sonia poczuła, że już nic jej nie blokuje. Natychmiast puściła się przed siebie biegiem, nie mając w głowie nic innego, niż tylko rozpaczliwą chęć ratowania młodszej siostry, uwięzionej w śmiertelnej pułapce pożaru. Niemożęcej uciec, unieruchomionej przez skomplikowanie złamaną nogę.

Pędziła, roztrzając okropnych gapiów, mając ochotę krzyczeć oraz płakać jak jeszcze nigdy wcześniej. Tylko ona się liczyła. Lilia.

Nie widziała, kto podniósł lśniąca włócznię, która natychmiast rozsypała się na złote drobiny, i kto powiódł za nią spojrzeniem, próbując zrozumieć całą sytuację. Nie mogła wiedzieć, czyje oczy nagle otworzyły się szeroko, w mig wszystko pojmując. Że pojawiło się w nich przerażenie oraz ból. A także determinacja.

Sonia wyrывała się z uścisków rąk osób próbujących ją powstrzymać. Głosy dookoła wołały:

– Nie, Sonia, stój! Już za późno, tak nam przykro...

Ale ona nie chciała tego słuchać. Zrozumiała, że nie przyjedzie straż pożarna. Przecież droga była zatamowana przez powalone drzewo. Nikt nie mógł jej pomóc! Chyba, że ona, Sonia, da radę. Jest w końcu Wybraną, podobno ma w sobie wielką moc starożytnych bogów. Musi ją uruchomić, by uratować siostrę. A nawet jeśli jej się nie uda, to robi to innym sposobem. Nie może być już za późno! Przecież to Lilia! Jej kochana młodsza siostrzyczka! Ona nie może zginąć. To niemożliwe!

Krzyknęła przeraźliwie, gdy ktoś złapał ją za ramiona, przytrzymując w miejscu, kilka metrów od płonącego domu. Zaczęła się szarpać, z oczu płynęły jej potoki łez, serce krwawiło.

– Nie! Zostawcie mnie! Ja muszę jej pomóc – szlochała. – Lilia!

Ktoś obrócił ją bokiem do pożaru i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

– Nie rób tego. Nie jesteś nieśmiertelna. – Usłyszała czyjś zdeterminowany głos. – Zginiesz, rozumiesz? Ale ja mogę tam wejść. Uratuję ją, słyszysz? Nie chcę, byś przechodziła przez to, co ja! Strata kogoś bliskiego to prawdziwa tragedia. Nie pozwolę, by i ciebie spotkała. Zostań, ja tam wejdę. Nic mi się nie stanie. Jestem bogiem!

Prawie nie słyszała jego słów. Była głucha na wszystko oprócz trzasku płomieni oraz wewnętrznego krzyku, zagłuszającego wszystkie inne myśli.

– Nie, Lilia! – Zapłakała, gdy ten ktoś wreszcie ją puścił, po czym wskoczył w śmiertelne płomienie.

Jednak postanowiła mu zaufać, kimkolwiek był. Została na zewnątrz, nawet cofnęła się kilka kroków, tak okropny był żar bijący od płomieni. Natychmiast zjawili się przy niej rodzice. Zamknęli ją w pełnym rozpaczliwym uścisku. Wszyscy troje płakali, wpatrując się w ogień.

Sekundy mijały, a nieznajomy nie wracał. Sonia zrozumiała w pewnym momencie, że to pewnie był tylko wytwór jej zrozpaczonego umysłu. A nawet jeśli nie, to ten ktoś musiał zginąć w płomieniach. Przecież by już wrócił, prawda? Ale nie odrywała spanikowanego spojrzenia od ściany ognia. Wciąż czekała, żyjąc tą jedyną, lecz szybko umierającą nadzieją.

Sekundy nadal mijały. Nikt się nie zjawiał.

Zapłakała jeszcze bardziej, chowając twarz w dłoniach. Już z pewnością za późno!

To koniec.

I wtedy zgromadzony tłum wydał z siebie zdumione westchnienie. Uniosła oczy, akurat by zobaczyć, jak ktoś wyskakuje ze spowitego płomieniami okna na piętrze. Jej serce zamarło.

Ten ktoś lekko opadł na trawę, odsunął się od ognia i natychmiast położył na ziemi jakiś nieruchomy kształt.

– Lilia – wydusiła z siebie rozpaczliwie Sonia, wrywając się z uścisku rodziców.

Natychmiast znalazła się obok, nie odrywając wzroku od skulonego kształtu. W jednym momencie otoczyli ich wszyscy sąsiedzi oraz gapie.

– Powiedz im, żeby się odsunęli – syknął niecierpliwie nieznajomy po angielsku.

– Odsunście się! – wykrzyknęła natychmiast płaczliwie, a otaczający ich tłum niechętnie cofnął się o krok.

Sonia pochyliła się nad siostrą, marszcząc z niepokojem brwi.

– Nie patrz – powiedział nieznajomy z przerażeniem, po czym dodał usprawiedliwiająco: – Jest bardzo poparzona.

W jej oczach ponownie zalśniły łzy strachu. Jęknęła rozpaczliwie.

– Nie martw się. Spróbuję jej pomóc – zapewnił obcy trochę drżącym głosem.

W jego dłoni coś zabłysło, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Nie odrywała oczu od Lilii, tłumiąc szloch i drżąc z trwogi. Jej myśli wypełniało tylko przerażające pytanie, czy siostra przeżyje.

Sonia wzdrygnęła się, gdy nagle Lilia zaczęła... świecić! Po prostu rozjarzyła się oślepiającym blaskiem.

Po kilku straszliwych sekundach dziewczynka wzdrygnęła się i zaczęła gwałtownie kaszeć oraz z trudem łapać powietrze. Spowijająca ją jasność powoli rozplywała się w mroku. Sonia zamarła z niedowierzaniem.

Lilia otworzyła przestraszone oczy, a jej siostra natychmiast zapłakała z radości i porwała ją w ramiona. Dopiero wtedy uniosła wzrok, zdając sobie sprawę, że jakiś nieznajomy uratował jej kochaną siostrę. Chciała zobaczyć, kim był, bo wcześniej zupełnie nie zwracała na niego uwagi. Wówczas liczyła się tylko dziewczynka. Ale teraz, skoro panika stopniała, zastąpiona niezmierną ulgą, że siostrzyczka żyje, zastanowiło ją, kim był ten ktoś.

Ujrzała jarzące się lekką czerwienią brązowe oczy i wiszący na szyi złoty egipski wisior, tak przerażająco znajomy.

Zastygła, próbując to zrozumieć.

Z osłupieniem obserwowała, jak on tylko uśmiecha się odrobinę smutno oraz pstryka palcami.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Dostrzegła, jak ogień trawiący jej dom gaśnie nagle, z niezadowolonym, jakby wrogim syczeniem.

Potem znów zwróciła oszołomione spojrzenie w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się nieznajomy. Ale już go nie było. Dawno zniknął bez słowa.

Zamarła. Ale to przecież nie mógł być on. Przecież to niemożliwe. Briant de Ramen był zły. I to on wywołał ten pożar. Więc... czemu teraz go ugasił?

I czy w takim razie to on uratował Lilię? Ale... dlaczego?!



Rozdział dwudziesty dziewiąty

CIENIE TAJEMNIC

Sonia nieobecny wzrokiem wpatrywała się w sufit, leżąc na plecach na ładnie pościelonym łóżku w pokoju gościnnym babci i dziadka, u których chwilowo zamieszkali. Złote słońce zaglądało przez okno, rzucając na beżową ścianę magiczne refleksy.

Lecz ona nie zauważała piękna tego ranka. Przed oczami wciąż przewijały jej się obrazy dnia poprzedniego. Cały czas wracały, na nowo wywołując lawinę wrażeń oraz emocji. Bez przerwy próbowała wszystko zrozumieć, wciąż bezskutecznie, choć dosłownie godzinami jej myśli były zaprzątnięte niemal tylko jednym zagadnieniem.

Widziała, jak przytula uzdrowioną Lilię, jak w końcu przybywa straż pożarna, policja i karetka. Jak zostają przetransportowani do szpitala. Jak później muszą przetrwać niekończące się serie badań. Nieskończoną falę pytań. Oraz jeszcze przetrwać tę pustkę w głowie.

I wreszcie, po trwającej wieczność męczarni, pozwolono jej opuścić szpital. Cały czas wracały do niej zdumione, nic nierozumiejące twarze lekarzy, gdy okazało się, że bardzo skomplikowanie złamana noga Lili i cudownie się zrosła. Wszystko było jak dawniej. Jakby nigdy nie miała nic złamanego. I nikt nie mógł zrozumieć, jak to możliwe.

Oprócz Soni. Wiedziała, że to zasługa Amuletu Ozyrysa.

Okazało się, że straszliwy pożar wcale nie był tak niszczycielski, na jaki wyglądał. Osobiście podejrzewała, lecz bez całkowitej pewności, że miało to związek z magią. Jej dom nie był w tak okropnym stanie, jakiego można by się było spodziewać. Stał osmalony, przypalony, ale z pewnością nie doszczętnie spalony. Bardzo się z tego powodu cieszyła, nawet jeśli musiał jeszcze minąć

całkiem długi czas, nim będą mogli opuścić gościnny dom dziadków i wrócić do siebie.

Sonia westchnęła ciężko. Wieczorem badano ich strasznie długo. Była wykończona psychicznie oraz fizycznie, miała dość. Chciała się porządnie wypłakać, zamknąć się gdzieś w samotności, by wszystko uporządkować, zrozumieć, że to nie dziwny, okropny sen, ale rzeczywistość.

Teraz leżała, wreszcie sama. Lecz oczywiście, jak na złość, łzy nie nadchodziły, choć w końcu mogła pozwolić im swobodnie płynąć. Obróciła się na bok, zagryzając wargę w wyrazie rozterki. Nie wiedziała, co miała myśleć o tym wszystkim, co ją spotkało. Uwierzyła już w istnienie starożytnych sił, ale nie mogła pojąć tajemnicy osoby Brianta de Ramena. Wbiła spojrzenie w gazetę leżącą na podłodze, z jego wielkim zdjęciem na pierwszej stronie. Przyjrzała mu się uważnie. Kim był naprawdę? I jaką prowadził grę?

Wszyscy mówili, że był straszny. Szalony. Opętany. Ale jej kojarzył się raczej z kimś nieszczęśliwym, osaczonym, przerażonym.

Po raz setny postanowiła zastanowić się nad tym, kim był. Wszystkie media trąbiły na okrągło, iż zabił swoją rodzinę. Ale czy na pewno malowany przez nie obraz jest prawdziwy...? Zmarszczyła brwi, gdy wróciły do niej wspomnienia zupełnie temu przeczące. Tym razem ich nie stłumiła. Postanowiła sobie zaufać. Sobie oraz swojej intuicji. Powiedział, że tego nie zrobił. Zaciśnęła oczy, próbując jak najdokładniej przywołać sobie jego twarz z tamtej chwili. Ten ton głosu. Wyraz oczu. Zaciśnięte pięści. To wszystko powiedziało jej, że chyba mówił prawdę. Na dodatek był taki nieszczęśliwy. *Przecież mogę się mylić. Ludzie widzą podobno to, co chcą widzieć. Czy i tak jest w tym przypadku? Czy nie na siłę próbuję doszukać się w każdym dobra?* Westchnęła zmartwiona. Czy on naprawdę był taki zły? W końcu pozwolił jej odejść z Pałacu Pośród Piasków. Nie zamierzał jej nic zrobić, choć znała prawdę o nim. Uratował ją. I to nie raz. Czy do czegoś takiego byłby zdolny bezwzględny morderca czerpiący radość ze śmierci lub cierpienia innych? Raczej nie. Chyba nie.

A co z wczorajszym pożarem? – szeptała jakaś część jej rozdartej duszy. Przecież chciał, byś cierpiała. Spalił twój dom. Prawie zabił twoją siostrę. Czyż nie chciał zrujnować ci życia?

No właśnie. Ale potem jednak pomógł. Zmienił zdanie? Miał rozdwojenie osobowości? A może... Z trudem przełknęła ślinę, bojąc się, że zanurza się w głębiny abstrakcji... To nie był on?

– Nie! – jęknęła. – To niemożliwe. Przestań go bronić. On jest zły. Zrozum to.

Lecz jakaś jej część wciąż snuła fantazje. Zagłębiała się w różne teorie. Sonia nie chciała w nie wierzyć. Przestała się opierać dopiero wtedy, gdy stanął jej przed oczami obraz Brianta mówiącego z płonącymi okrutnie oczami, że to on

spowodował pożar. Widziała tę scenę jak żywą. Tę chorobliwość w spojrzeniu. Nienawiść, którą ociekały słowa. Pragnienie zemsty. Tylko za co?

Coś tu nie grało. I to całkiem mocno. Lecz wciąż nie mogła wyłapać tego elementu. Nagle zamarła. Pamiętała, że ktoś przebił Władcę Piasków włócznią, dzięki czemu ją uwolnił. Wstrzymała oddech, czując, że jest już bardzo blisko rozwiązania zagadki. On był czymś w rodzaju boga. Podobno nieśmiertelnym. Ale rozsypał się w czarny proch. Czarny proch?! Wydawało jej się, że umiał się zamienić tylko w piasek. Ale przecież nie mogła mieć pewności. Teraz wiedziała, że tak naprawdę nic o nim nie wie.

Ale kto go zniszczył? Zakręciło jej się w głowie, gdy zaświtała jej pewna absurdalna, ale jakże pasująca do obecnej sytuacji myśl. Ktoś pozbył się agresora. A później powstrzymał ją od skoczenia w ogień. Potem ta sama osoba uratowała Lilię, i z płomieni, i z objęć śmierci. Dzięki Amuletowi Ozyrysa. A także zgasiła ogień. Jednym ruchem. No, a potem zniknęła w mroku nocy. W jednej chwili powróciły do niej echa jego słów. *Nie rób tego. Nie jesteś nieśmiertelna.* To musiał być on. Nikt oprócz nich nie znał tajemnicy odrodzenia się starożytnych egipskich bogów.

Nie chcę, byś przechodziła przez to, co ja. Zadrżała. Czyżby to było odwołanie do...? No, bo przecież jego rodzina też zginęła w pożarze. Czy to w takim razie oznacza, że naprawdę przeżywał to tak mocno, jak jej się wydawało? Ale, logicznie rozumując, skoro ich zabił, to dlaczego potem tak rozpacział? Może to był straszny wypadek?

Nic mi się nie stanie. Jestem bogiem. Tak. To musiał być on. Znała przecież tylko jedną osobę, która mogła to zrobić oraz tak powiedzieć. I na pewno był to właśnie ten poszukiwany na całym świecie przestępca. Pytanie tylko, kto spowodował pożar. Bo miała przeczucie, że nie była to ta sama osoba.

Zastanowiło ją, czy ogień w spojrzeniu tego, który ją unieruchomił, był tylko grą iluzji, czy może czymś naturalnym, charakterystycznym dla... demona?

Zrobiła nieszczęśliwą minę. Z każdą sekundą sytuacja wydawała się coraz bardziej zagmatwana. A gdzie szukać rozwiązania zagadki? Gdzie znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania? Znała tylko jedno wyjście, ale nie do końca przypadało jej ono do gustu. Bo przecież wszystkie odpowiedzi znał tylko on sam, czyż nie...?

* * *

Sonia przystanęła nieopodal klatki schodowej, gdzie odczekała, aż

dziadkowie udadzą się na swój codzienny spacer. Dopiero, gdy upewniła się, że wyszli i niczego nie zapomnieli, powoli zeszła na parter. Przystanęła niepewnie przy wejściu do salonu. Z wahaniem spojrzała na swoją mamę, bezskutecznie próbującą skupić się na lekturze jakiejś książki.

Zmusiła się do podejścia do sofy, na którą opadła z pełnym nieszczęściem westchnieniem. Zaskoczona mama podniosła wzrok, a widząc niepewność w oczach córki, natychmiast odłożyła na bok opasły tom.

Sonia zagryzła wargę, nie wiedząc, jak zacząć.

– To co się stało? – zapytała w końcu kobieta, przekrzywiając głowę i uśmiechając się zachęcająco.

– Och, mam – sapnęła żałośnie Sonia, po czym wydusiła smętnie: – Nie mam pojęcia, co myśleć o pewnej sprawie...

– Jakiej?

– W Egipcie poznałam takiego kolegę... Chodzi o to, że wszyscy mówią, że zrobił coś złego, ale ja nie jestem pewna. Są przekonani, że jest okropny, ale ja... Sama nie wiem.

– Co takiego zrobił?

Sonia pobladła odrobinę.

– Eee, nieważne, naprawdę. Ale to coś okropnego... Tylko że on kompletnie nie wygląda na takiego, kto byłby zdolny to zrobić. Był dla mnie miły – postanowiła zignorować te wszystkie momenty, gdy było wręcz przeciwnie – i kilka razy bardzo mi pomógł. Nie mogę uwierzyć, że to, co o nim mówią, to prawda. Ale przecież nie mam pewności co do jego niewinności, to tylko moje odczucia... Nie wiem, co mam o tym myśleć. I teraz bardzo gryzie mnie sumienie, bo pokłóciliśmy się przed wyjazdem... właśnie o coś związanego z tym, co podobno zrobił, choć on twierdzi, że nie. Ale ja czuję, że oni wszyscy nie mają racji. On jest bardzo nieszczęśliwy z tego powodu... i ogólnie źle się z tym czuje. I nie wiem, czy ufać sobie, czy może wszystkim innym. Co ty o tym sądzisz? – spytała cichutko, zerkając na mamę, na której twarzy malowała się niepewność.

– Wiesz, Sonia – zaczęła powoli kobieta. – Nie znam całej sytuacji, więc nie za bardzo mogę ci pomóc. Nie chcę ci źle doradzić, ale wydaje mi się, że powinno się ufać samemu sobie, choć oczywiście nie można przesadzać, ludzie potrafią być naprawdę okropni... Ciężko mi powiedzieć – skoro wszyscy mówią, że coś takiego miało miejsce, to pewnie coś w tym jest... Ale z drugiej strony, skoro logika i serce podpowiada ci coś innego, a na dodatek ten ktoś wydaje się nieszczęśliwy z powodu tych plotek, to może rzeczywiście masz rację. Myślę, że trzeba wszystko dokładnie przemyśleć...

Sonia skrzywiła się w duchu, wciąż uważnie słuchając mamy. Już tyle o tym myślała!

– ... a zdecydowanie najlepszą drogą, by dowiedzieć się prawdy, jest

szczerze z tym kimś porozmawiać. Zakładając oczywiście, że nie jest jakimś oszustem oraz kłamcą. Ale rozmowa może bardzo pomóc, zarówno tobie, jak i jemu. Pewnie masz z nim jakiś kontakt, prawda? Jeśli tak cię to dręczy, to chyba tylko to może ci pomóc. Co o tym sądzisz?

Sonia zastygła z wrażenia. Wszystko prowadziło właśnie do tego. Do rozmowy. Jej samej takie rozwiązanie krążyło po głowie, teraz na dodatek mama wypowiedziała na głos to, co ona sama bała się sformułować w myślach. Ale czy to nie oznacza, że to jedyne wyjście z sytuacji?

– Sonia? – zapytała mama, a jej głos prawie nie dotarł do zamyślanej córki. – Wszystko dobrze?

Drgnęła, wreszcie podejmując decyzję.

– Tak, jasne. – Uśmiechnęła się odrobinę za szeroko. – Dziękuję, bardzo mi pomogłaś. Chyba rzeczywiście to najlepsze rozwiązanie.

Zrobi to. Porozmawia z Briantem de Ramenem. Pozostawało jednakże pewne bardzo istotne pytanie. Jak...?

* * *

Kilka godzin później Sonia wodziła zamyślonym wzrokiem po ścianach pokoju gościnnego, nie mogąc skupić się na niczym konkretnym. Dręczyła ją świadomość, że jedyną drogą ku prawdzie jest rozmowa z kimś, kto znajduje się na drugim kontynencie, na środku pustyni, jest przestępcą, a na dodatek bogiem zła. Najbardziej męczyło ją to, iż nie wiedziała, jak mogłaby się z nim skontaktować.

Jej spojrzenie przesunęło się po gigantycznej kolekcji pamiątek oraz zdjęć, ustawionych na zajmującej pół ściany komodzie.

Nagle zdrętwiała. Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Wśród wielu drobiazgów znajdowała się mała klepsydra wypełniona piaskiem, którą kupiła kiedyś babci.

Wstrzymała oddech. Piasek! W jej głowie pojawił się plan; choć bardzo niepewny, to może zadziała! Zerwała się z łóżka, a chwilę później wypadła z domu. Przebiegła przez kilka uliczek i wreszcie znalazła się tam, gdzie mogły ziszczyć się jej pragnienia. Na placu zabaw.

Przebiegła po nim wzrokiem, nie zatrzymując się na żadnej z rozmaitych atrakcji. Całą uwagę Soni przykuła dopiero piaskownica. Jej cel. Natychmiast podeszła do niej energicznym krokiem. Zignorowała dwójkę małych dzieci, budujących zamek, przysiadła w narożniku najbardziej od nich oddalonym i z ogłuszająco bijącym sercem wpatrzyła się w złoty piach.

Dzieci obrzuciły ją niepewnym spojrzeniem, ale ona nawet tego nie zauważyła. Jej uwagę zaprzętało tylko jedno pytanie. Czy zadziała...?

W końcu wstrzymała oddech, decydując się spróbować. Drżącym palcem nerwowo napisała na piasku angielskie słowa: „Kimkolwiek jesteś, jeśli ta wiadomość do ciebie dotrze, odpowiedz. Proszę. Musimy się spotkać. Sonia”.

Cofnęła rękę i zacisnęła zęby, nie odrywając pełnego napięcia wzroku od kawałka piaskownicy. *Proszę, niech zadziała!* – błagała w myślach. Jednak sekundy mijały, a nic się nie działo. Z każdą chwilą traciła nadzieję. W końcu opuściła z rezygnacją ramiona oraz spuściła smętnie głowę, czując gigantyczny zawód. Przez chwilę naprawdę myślała, że znalazła sposób. Ale, oczywiście, się myliła. Westchnęła smutno, starając się zapanować nad zdenerwowaniem i zniechęceniem. To nie ma sensu. Nigdy nie dowie się prawdy.

Właśnie miała się podnieść, by wrócić do domu, właśnie z rezygnacją rzuciła ostatnie spojrzenie na wypisane słowa, gdy zdarzyło coś, co niemal przyprawiło ją o zawał. Pod jej własnymi zdaniami zaczęły pojawiać się inne słowa. Błyskawicznie w piasku ukazywały się kolejne wgłębienia, formując się w lśniące lekko litery. Soni zakręciło się w głowie. Roześmiała się z niedowierzaniem i szybko przeczytała wiadomość.

„Ha. Ha. Ha. Bardzo kiepski podstęp. Naprawdę myślisz, że jestem taki głupi, żeby się na to nabrać i dać się złapać jakiejś bandzie bałwanów?! Co i tak, powiedzmy to sobie szczerze, jest niewykonalne. Więc daj sobie spokój. Nic nie wskórasz”.

Sonia zagryzła wargę. Początkowa euforia wypływająca ze świadomości, że się nie myliła, radość z powodu kolejnego cudu, ustąpiły miejsca wahaniu. No pięknie. Jak go przekonać?

Roztrzęsioną dłonią zamazała swoje pierwsze słowa. „To nie podstęp. Naprawdę. Chcę tylko porozmawiać. Proszę, zaufaj mi. Chcę wiedzieć, kim jesteś. Tak naprawdę. I co się wczoraj stało”.

Odetchnęła, zaciskając palce z nerwów oraz czekając na odpowiedź.

Jednakże sekundy mijały, a nic się nie działo. Poczula niepokój. Czy chłopak już się nie odezwie? Uznał konwersację za zakończoną, choć nie do końca się jeszcze zaczęła?

Ale cierpliwość popłaciła. Po nieskończone długim czasie na piasku pojawiły się nowe słowa.

„Kim jestem? Prawie zawsze tylko i wyłącznie sobą. A skoro tak bardzo ci na tym zależy, mogę się ewentualnie zgodzić. Gdzie i kiedy chcesz się spotkać?”

Poczula gigantyczną ulgę, ale równocześnie coś ścisnęło ją za serce. Po chwili wahania nakreśliła kolejne słowa.

„Dziś o 18.00. Na Rynku Głównym w Krakowie, przy Wieży Ratuszowej”.

Odpowiedź pokazała się natychmiast.

„Świetnie. Do zobaczenia. Choć i tak nie wierzę, że to nie jest pułapka. No, ale zobaczymy. Może wyjątkowo się mylę”.

Sonia zmarszczyła brwi.

„To nie jest pułapka. Naprawdę”.

Choć jasne było, że jej nie wierzył. Z dwóch kolejnych, jakże krótkich słów, emanowały bezgraniczna kpina oraz całkowity brak zaufania.

„Aha. Jasne”.



Rozdział trzydziesty

POD WIEŻĄ RATUSZOWĄ

– To daj znać, jak będziesz chciała wrócić do domu – powiedziała mama, uśmiechając się do Soni, która siedziała obok niej w samochodzie i próbowała ukryć wielkie zdenerwowanie.

– Dobrze. – Kiwnęła głową, choć słowa z trudem wydobywały jej się ze ściśniętego gardła. – A gdzie będziesz?

– Przecież już ci mówiłam. Zmienię tatę przy Lilijce. Myślę, że uda mi się przekonać lekarzy, żeby wróciła do domu. To niezwykle – mama pokręciła głowę z uśmiechem niedowierzania – że zdarzył się taki cud. Nikt nie może w to uwierzyć, a już najbardziej specjaliści. Ale skoro jest całkowicie zdrowa, to może wyjść ze szpitala, prawda?

– Chyba tak. A co, jeśli się nie zgodzą?

– Takiej opcji nie przewiduję. – Kobieta mrugnęła do córki porozumiewawczo.

– Ach. – Sonia zmusiła się do delikatnego uniesienia kącików swoich ust. – Czyli naprawdę po mnie przyjedziesz?

– Tak, oczywiście! Nie ma mowy, żebyś wracała sama.

– Czemu? – zdumiała się. Mogła przecież wrócić autobusem. Albo ewentualnie taksówką.

Mama spoważniała.

– Nie oglądałaś dziś wiadomości, prawda? – zapytała.

– Nie.

Sonia zastanowiła się z niepokojem, co takiego się stało. Tymczasem mama wzdrygnęła się, a następnie powiedziała poważnie:

– Wczoraj wieczorem widziano w Krakowie Brianta de Ramena. Jakaś para

zgłosiła to na policję. Już i tak sama nie wiem, czemu zgodziłam się, żebyś się z kimkolwiek dziś spotkała!

– Mamo! To Rynek. Tam zawsze jest dużo ludzi. I jest zupełnie bezpiecznie. Na dodatek wyjrzyj tylko przez okno! Policja jest dosłownie wszędzie. Musieli się nieźle przestraszyć.

– Jak wszyscy. Nie jestem taka pewna tego bezpieczeństwa... Dlatego jak tylko będziesz chciała wrócić, daj znać, dobrze?

– Dobrze.

Chwilę później Sonia opuściła klimatyzowane wnętrze pojazdu i znalazła się na jasno oświetlonym letnim słońcem chodniku. Mama pomachała oraz odjechała, a ona z trudem odetchnęła głębiej, czując ciarki na plecach. Zacisnęła pięści, by zatrzymać ich drżenie. *Już za późno, żeby się wycofać* – pomyślała, czując, jak obawa ściska ją za serce.

Bała się, ale powoli ruszyła przed siebie, z każdym krokiem coraz bardziej zbliżając się do Rynku Głównego. Niby mimochodem wsunęła ręce do kieszeni krótkich spodenek. Zacisnęła śliskie palce na scyzoryku, który był jedynym rodzajem broni, jaki mogła dyskretnie ze sobą wziąć. Na początku chciała ukradkiem zabrać z domu wielki nóż kuchenny, ale po pierwsze, był gigantyczny i nie mieścił się w żadnej z jej torebek, a co dopiero w kieszeni, a po drugie, obawiała się, że wyglądałoby to bardzo dziwnie, gdyby z czymś takim szła sobie ulicą. No i na pewno wzbudziłoby wiele podejrzeń. Dlatego musiała zadowolić się scyzorykiem, choć teraz dałaby wszystko za coś większego. Tak na wszelki wypadek.

W końcu wraz z tłumem turystów znalazła się na rynku. Strach tak bardzo ściskał ją za gardło, że ledwo mogła oddychać. Prawie nie zwróciła uwagi na hejnał wygrywany na trąbce z wieży górującego nad otoczeniem kościoła Mariackiego. Obrzuciła spojrzeniem tak świetnie znane jej Sukiennice, otaczające Rynek Główny kamienice i wreszcie jej cel. Wieżę Ratuszową.

Cała się trzęsła. Obawiała się na dodatek, że wszyscy dookoła to widzą. Serce łomotało jej w piersi jak szalone. Teraz już wcale nie była pewna, że spotkanie to taki świetny pomysł. Wiele by dała, żeby stąd uciec. Albo żeby cofnąć czas. Już nie odczuwała mocnego pragnienia odkrycia prawdy. Chyba wolałaby żyć w nieświadomości. Szkoda tylko, że dowiedziała się tego teraz, gdy nie było już odwrotu.

Jak w transie zbliżała się do monumentalnej budowli. W końcu stanęła przy jej podstawie oraz rozglądnęła się dookoła uważnie, czując się trochę słabo. Wokół niej wirował tłum obcych twarzy. Po raz kolejny przyjrzała się otoczeniu, wciąż nie mogąc nigdzie dojrzeć Brianta.

Nagle poczuła, że ktoś ją obserwuje. Odruchowo spojrzała w kierunku ławeczek przytulonych do wieży.

Jej serce zatrzepotało z wrażenia, gdy rozpoznała opartą o stare mury postać o kruczoczarnych włosach, która wpatrywała się w nią bardzo uważnie, z kamiennym wyrazem twarzy.

Sonia ostrożnie podeszła bliżej, choć tak naprawdę miała ochotę uciec.

– Już myślałam, że nie przyjdiesz – powiedziała lekko drżącym głosem, nie spuszczając z niego czujnego wzroku.

Wzruszył ramionami, a potem oznajmił trochę nienaturalnie spokojnym głosem, patrząc gdzieś w przestrzeń:

– Duży ten rynek.

– Największy w Europie – zauważyła słabo, z trudem wypowiadając słowa.

Przez chwilę panowało bardzo kłopotliwe milczenie.

– Nigdy wcześniej nie byłem w Krakowie – oświadczył w końcu. – Ani nigdzie w Polsce. A szkoda, bardzo tu ładnie.

Uśmiechnęła się z przymusem, starając się zapanować nad zjadającymi ją nerwami.

– Wiem. Ale dzięki i tak – stwierdziła trochę nienaturalnym tonem, a następnie dorzuciła, zanim zdążyła ugryźć się w język: – Francja też jest urokliwa.

Ponownie wzruszył ramionami, z obojętną miną, po czym bardzo podejrzliwie rozglądnął się dookoła.

– No to kiedy rzuci się na mnie policja? – zapytał.

– Przestań! Nie rzuci się – oburzyła się Sonia.

– Nie?

– Nie.

– Na pewno nie? – Wyglądał na autentycznie zdziwionego.

– Tak. Nikomu nie powiedziałam o naszym spotkaniu.

– Hm. A to ciekawe. Zupełnie się nie spodziewałem – przyznał zaskoczony.

– To po co chciałaś się spotkać?

– Żeby porozmawiać – rzekła, po czym dodała niepewnie: – W ogóle się nie ukrywasz.

Nachmurzył się w jednym momencie, więc szybko dopowiedziała:

– W sensie, że wyglądasz tak, jak naprawdę wyglądasz. Nie boisz się, że ktoś cię rozpozna?

– Nie. Po pierwsze, czy ja wyglądam na tchórza? Po drugie, normalni ludzie widzą nie mnie, ale grubego, rudego dzieciaka. Idealny kamuflaż. Nikt mnie nie zidentyfikuje. A że ty widzisz prawdę, to już zupełnie inna sprawa. Ach, no i zadbałem o to, żeby nikt nas nie podsłuchał.

– Jak?

– Odstrasżającą aurą – powiedział, jakby to było oczywiste, a ona zrobiła bardzo niepewną minę.

– A jak ci się udało oszukać organizatorów obozu? Bo przecież wysłali list do ciebie, a nie do Olivera Greena, prawda?

– To nie było trudne. Wystarczyło wprowadzić trochę chaosu do ich myśli oraz użyć odrobiny iluzji, żeby się przekonali, że jednak są zainteresowani taką osobą. I że to właśnie jestem ja. To o czym chciałaś porozmawiać?

– O wielu rzeczach. – Odetchnęła głęboko, a następnie zaczęła powoli: – Po pierwsze, uratowałeś moją młodszą siostrę... Bo to byłeś ty, prawda?

– Tak. Nie chciałbym, żebyś przechodziła przez to samo, co ja. – Posmutniał. – Strata bliskiej osoby to straszny cios. Prawdziwa tragedia. Chciałem cię przed nią uchronić. Moje własne nieszczęście w zupełności mi wystarczy.

Spojrzała na niego uważnie. Wyczytała z jego smutnych oczu, że mówił prawdę. Rzeczywiście to wszystko przeżywał! Czy zatem mógł ich zabić...?

– Dziękuję ci. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Lilia to cały mój świat.

– No, zapewne... – zaczął, ale umilkł w jednej chwili, zerkając w bok z zaskoczeniem.

Jakiś mężczyzna przeszedł zdecydowanie za blisko nich, warcząc pod nosem przekleństwa oraz różne wielce obraźliwe rzeczy na temat Brianta de Ramena.

Sonia rzuciła szybkie spojrzenie na swojego towarzysza, który opierał się o ścianę z bardzo nieszczęśliwą miną, mówiącą, że choć nie rozumiał polskiego, to jednak domyślił się treści przekazu z nienawiści w głosie człowieka oraz jadu, jakim ociekały słowa, gdy wymawiał jego imię.

– Ludzie mnie nie cierpią – jęknął z przygnębieniem, osuwając się na ławkę. – Ciężko tego nie zauważyć. Ale dlaczego?! Ja nic nie zrobiłem. To wszystko to jedno wielkie kłamstwo. Nikogo nie zabiłem.

– Ale oni tego nie wiedzą – zauważyła Sonia, myśląc jednocześnie, że ona także nie jest pewna jego niewinności.

Chociaż, przecież uratował Lilię. Nie mógł być zły. I z jego głosu biła prawdziwa szczerść. Nie kłamał. Albo świetnie się maskował. Choć wiedziała, że to raczej niemożliwe. Był zbyt przejęty. Oznaczałoby to, że był niewinny. Czy to realna możliwość?

Ostrożnie przycupnęła na skraju ławki.

– Ludzie mnie nie cierpią – powtórzył nieszczęśliwie. – I to podwójnie. Rodzina mnie nie znosi. Przyjaciele nagle mówią, że nigdy mnie nie lubili. Cały świat jest zwrócony przeciwko mnie.

Wyglądał tak bardzo żałośnie, że postanowiła jakoś go pocieszyć.

– Nie przejmuj się nimi – powiedziała niepewnie.

– Niby jak? Mają rację. Ja sam coraz bardziej żałuję, że nie jestem kimś innym. Byle kim, tylko nie mną. Chciałbym móc zmienić swoje życie. Oddałbym wszystko, by wyglądało jak dawniej. Tęsknię nawet za moim młodszym bratem,

choć zawsze myślałem, że go nie znoszę. Tyle bym dał, żeby nigdy się to nie stało. Czemu akurat ja muszę być jakimś starożytnym... czymś? Wolałbym być zwykłym człowiekiem.

– Ale nie jesteś. A bardzo wielu ludzi zrobiłoby wszystko, by mieć takie możliwości jak ty. Lecz to nie oni zostali wyróżnieni, tylko ty – zauważyła, ze zdumieniem zdając sobie sprawę z faktu, iż już się tak bardzo nie boi. Miała wrażenie, jakby rozmawiała z przyjacielem, choć przecież nie była to prawda. – I może tak jest lepiej? Nie zmienisz przeszłości, ale możesz mieć wpływ na przyszłość.

– Nie przeprosiłem brata – wyznał po chwili ponuro. – Już nigdy mu nie powiem, że to jednak on miał rację. Pokłóciliśmy się o taką głupotę, że to aż dziwne.

– On na pewno już ci wybaczył, tak jak ty jemu. – Sonia zerknęła na niego ostrożnie. – Nie żyj tym, co minęło, i nie rezygnuj ze swoich możliwości. Dzięki nim możesz zmienić losy świata. Nie dopuścić, by innym stało się to, co tobie. Tak jak wczoraj. Kto wie, może gdyby nie pewne wstrząsające wydarzenia, nigdy nie stanąłbyś po stronie przeciwstawiającej się złu? W końcu jesteś bogiem zła, tak? Ale robisz też dobre rzeczy. Może bez tego wstrząsu nie byłbyś do tego zdolny?

Skrzywił się.

– Dobry bóg zła – prychnął. – To nawet brzmi kiepsko. Set jest bogiem zła. Co więcej, on sam jest zły. No, ale to niesprawiedliwe! Bo w takim razie ja też powinienem być przesiąknięty złem. Ale ja nie chcę. Nie całkowicie. Bo być tak zupełnie dobrym... Nie, to musi być strasznie nudne. Beznadziejne. Ale tak trochę, czemu nie? Ale czy to możliwe? Żeby bóg zła robił też dobre rzeczy i sprzeciwiał się temu, nad czym panuje? Żeby był też chociaż odrobinę dobry...? Czy to nie zaprzeczanie samemu sobie?

Sonia zamyśliła się na chwilę.

– Wiesz – powiedziała w końcu z wahaniem. – Nikt nie jest do końca zły ani dobry. Możliwe, że nawet bóg zła. A przecież nikt nie może ci narzucić, jaki masz być. Ty to ty i tylko ty wiesz, jaki jesteś naprawdę. A ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć. Więc może lepiej nie zwracaj na nich uwagi.

– Chodzi o to, że ja sam nie wiem, jaki jestem – mruknął. – Właściwie to z góry, z dnia na dzień narzucono mi, że mam być bogiem zła. Czyli niby mam być zły. Ale nie mogę i nie potrafię tak nagle stać się jakimś wariatem jeżdżącym po świecie oraz starającym się zniszczyć całe dobro i piękno. Może jest tak dlatego, że od niedawna wiem, kim tak naprawdę jestem. A może dlatego, iż nie zawsze byłem tym złym oraz okropnym bogiem. Pewnie nie wiesz, ale na początku istnienia Egiptu byłem bogiem wojny, pustyni, ale też patronem części kraju faraonów, z których zresztą dwaj nosili imiona na moją cześć. Byłem potężny oraz ważny. Dopiero potem stałem się kimś bezdusznym i budzącym grozę. A zatem nie są to

moje jedyne cechy, tylko niektóre z nich. Więc... może masz rację? Może nawet bóg zła nie może być tylko i wyłącznie zły.

Zamyślił się na chwilę, po czym uśmiechnął się słabo.

– Czy to w ogóle ma sens? Bo mam wrażenie, że gadamy o czymś kompletnie nielogicznym i abstrakcyjnym.

– Wiesz, bardzo wielu osobom istnienie starożytnych bóstw wydaje się nielogiczne i abstrakcyjne – zauważyła.

Dawne nerwowe napięcie zniknęło. Czowała się już dość dobrze, prawie całkowicie spokojnie, a także w miarę bezpiecznie.

– Opowiesz mi proszę, co się wczoraj właściwie... – zaczęła, kiedy nagle Briant wytrzeszczył oczy oraz poblądł jak upiór.

W tej samej sekundzie odwróciła głowę i zobaczyła dwóch policjantów, uśmiechających się miło. Zastygła w bezruchu. Jej myśli eksplodowały przerażeniem. *Nie!*

– Dzień dobry – powiedział jeden z nich. – W związku z pojawieniem się w naszym mieście groźnego przestępcy, mamy do pani pytanie, czy nie widziała pani niczego niepokojącego? Wszystko w porządku?

Sonia poczuła, jak momentalnie się rozluźnia. Uśmiechnęła się z trudem.

– Och, tak, u mnie wszystko dobrze. I nie widziałam niczego dziwnego.

– Hm, w takim razie do widzenia pani.

Policjanci podeszli do kolejnej osoby, by zadać jej to samo pytanie, a Sonia zwróciła spojrzenie w miejsce, gdzie przed chwilą siedział Briant.

Tylko że nikogo tam nie było. Zaniepokoiła się nie na żarty.

– Hej! Gdzie jesteś? – syknęła, rozglądając się dookoła.

Natychmiast w powietrzu zawirował piasek, a przy wieży z powrotem zmaterializował się przerażony, poblądły bóg pustyni.

– To była tylko kontrola – stwierdziła uspokajająco, nie chcąc, by się nagle rozmyślił i zniknął na zawsze, przed wyjaśnieniem najważniejszych rzeczy.

Spojrzał na nią nieufnie. Przez chwilę milczał, aż w końcu powiedział tonem nagle przesiąkniętym podejrzliwością oraz zdenerwowaniem:

– A skąd mogę to wiedzieć? Nie rozumiem tego twojego dziwnego języka. Mogłaś im zameldować dosłownie wszystko.

– No to musisz mi uwierzyć na słowo. – Wzruszyła ramionami. – Ale naprawdę, to była tylko kontrola. Wszyscy bardzo się przejęli tym, że się wczoraj tu zjawiłeś. Gdybyś był bardziej dyskretny, nie byłoby tej paniki.

– Gdybym był bardziej dyskretny, to nie ruszałbym się z Pałacu Pośród Piasków, a nawet, gdybym się ruszył, to zachowując ostrożność, zdążyłbym przyjść akurat w momencie, kiedy Wyklęty by już wszystkich zabił – prychnął. – Ciebie też. Głównie ciebie. Po to tam przyszedł.

Sonia wytrzeszczyła oczy i poczuła, jak robi jej się słabo.

– Wyklęty? On tam był? – wyszeptała, wspominając mroczną, przerażającą sylwetkę demona.

– Tak. A właściwie jego cień.

Wtedy coś zaskoczyło jej w głowie. Spojrzała na Brianta wielkimi oczami.

– On wyglądał jak ty, prawda? A czy... to ty przebiłeś go włócznią? Ale... jeśli tak, to skąd wiedziałeś, że przyjdzie?

– Estera mi powiedziała.

Skrzywił się na jej wspomnienie. Za każdym razem, gdy o niej myślał, wracały do niego obrazy z przeszłości, na nowo rozbudzające dręczące go poczucie winy. Przypominał sobie, jak spotkali się po raz pierwszy rok wcześniej, w czasie wykopalisk na Saharze. Jak cały czas spędzała z jego starszym bratem, Denem. To właśnie podczas tego wyjazdu Briant zgubił się na pustyni i obudził swą dawną moc. Spotkał Saharę. Jakiś czas potem wykopaliska niestety zamknięto. Rozczarowani przerwanych przedwcześnie egzotycznymi wakacjami wrócili do domów, ale Estera i jego brat wciąż pozostawali ze sobą w kontakcie. Stali się prawdziwymi przyjaciółmi. Den miał nawet na biurku ustawione jej zdjęcie. Briant przechodził kiedyś obok drzwi jego pokoju i zobaczył, jak brat wpatruje się w nie z uwielbieniem.

– Ona ci się podoba! – parsknął wtedy śmiechem.

Den spojrzał na niego z urazą.

– Coś w tym złego?

W odpowiedzi tylko roześmiał się bardziej drwiąco.

– Przestań!

– Nie mogę. To zbyt zabawne.

– Dlaczego? – Starszy chłopak zmarszczył brwi. – To przecież normalne.

– Powiedziałaś jej? – zachichotał.

– Nie, jeszcze nie. – Uśmiechnął się niepewnie, a na twarz wypłynął mu lekki rumieniec. – Ale poproszę jutro rodziców, żeby zaprosili jej rodzinę do nas w odwiedziny. Chociaż na kilka dni. Myślisz, że mogliby się zgodzić?

– Pff! Pewnie, że nie. – Jego młodszy brat spojrzał na niego z politowaniem.

– Przecież to dziewczyna.

– I co z tego? Przecież nasi rodzice i państwo Czarneccy to dobrzy przyjaciele... Kilka razy już u nas byli.

– Sami.

– Tak, bo jej jeszcze wtedy nie znaliśmy! Mam nadzieję, że rodzice się zgodzą. A jak Estera przyjedzie... to wtedy jej powiem.

– Lepiej nie – ostrzegł, z trudem zachowując w miarę poważny ton. – Bo ucieknie od ciebie z krzykiem.

– Ej!

Briant szybko uciekł z pokoju, zanim brat zdążył czymś w niego rzucić.

Śmiał się jeszcze bardzo długo. Tak naprawdę wiedział, że Estera z pewnością nie uciekłyby z krzykiem. W jego klasie wszystkie dziewczyny skrycie kochały się w Denie. Chyba był bardzo przystojny. A Estera bardzo go lubiła.

Lecz Den nigdy nie powiedział jej, co do niej czuje. Nawet nie porozmawiał z rodzicami. Bowiem następnego dnia zginął w płomieniach. I on, i reszta ich rodziny.

Briant był przekonany, że była to całkowicie jego wina. To nie musiało się stać. Gdyby tylko zachował większą ostrożność... Oni wszyscy mogliby żyć. Ale tak nie było. A za każdym razem, kiedy widział Esterę, przypominał mu się Den. Jego plany oraz marzenia. I były to bardzo bolesne wspomnienia.

Z trudem odsunął myśli o utraconym bracie na bok. Z powrotem skupił się na Soni, czekającej na wyjaśnienia.

– Wyklętego wysłał Mandara – oznajmił, gdy już przypomniał mu się przerwany wątek. – Z dwóch powodów. By wyładował swoją wściekłość, a także, by pozbył się niewygodnych świadków. Czyli ciebie. Estera uważa się za twoją przyjaciółkę, więc, jak tylko się o tym dowiedziała, poczuła się zobowiązana, by cię ostrzec. Jakoś udało jej się ze mną skontaktować. Błagała mnie, żebym ci pomógł. No i zrobiłem to. Najpierw powstrzymałem cię Wyklętego od spowodowania katastrofy lotniczej. Prawie udało mu się rozbić samolot, którym teoretycznie ty miałaś lecieć. Kiedy jednak jego plan nie wypalił, postanowił zemścić się inaczej. Chciał spalić twój dom oraz twoją rodzinę. I ciebie też zlikwidować w odpowiednim czasie. No bo gdybyś leciała samolotem, który uratowałem, to wróciłaś do Krakuna, gdy wszystko dawno by spłonęło.

– Jak to? – zdumiała się. – Dokładnie wyliczyłam, kiedy powinnam wrócić, żeby nikt się nie zorientował, że nie używałam samolotu. No i jesteśmy w Krakowie, nie żadnym Krakunie.

Briant uniósł jedną brew, ignorując drugą część jej wypowiedzi.

– No to chyba nie umiesz liczyć. Albo coś ci się pomieszało.

Sonia zamrugła gwałtownie. Czy to możliwe? Jeszcze raz spróbowała przypomnieć sobie, kiedy miała przylecieć... I która była godzina, gdy ruszyła spod Kopca Piłsudskiego. I wtedy poczuła, że się rumieni.

– O nie... – jęknęła niedowierzająco.

Pomyliła się o godzinę! Widocznie była jeszcze bardziej roztargniona, niż jej się wydawało! Wszystko jej się pomieszało i w efekcie przekręciła porę przylotu. Cudnie. Czyli wróciła do domu wcześniej! I nikt się nie zorientował? No tak. W końcu mieli ważniejsze rzeczy na głowie.

– No właśnie. – Briant bezbłędnie rozszyfrował jej minę. – Świetny z ciebie matematyk – zadrwił.

Postanowiła jak najszybciej zmienić temat, czyli powrócić do poprzedniego wątku.

– Powiedz mi... Wyklęty wyglądał jak ty, tak?

– Tak.

– Ale... przecież ja widzę podobno prawdę. Czemu nie ujrzałam, że to nie byłeś ty?

Briant zdrętwiał.

– Dobre pytanie – powiedział i zamyślił się głęboko.

Nagle wzdrygnął się gwałtownie, a następnie spojrzał na nią wielkimi oczami, mówiąc:

– No jasne! Zmienność to naturalna cecha demonów. Potrafią upodobnić się do czegoś lub kogoś. Tak jakby stać się tym czymś. One nie tworzą wokół siebie iluzji, którą niektórzy bogowie i Wybrani potrafią przejrzeć. One przeistaczają się w dany obiekt, przyjmują jego formę.

Sonia uniosła brwi. To by tłumaczyło, dlaczego przy piramidach także widziała demony jako sprzedawców. Co prawda z czerwonymi, ognistymi oczami, ale oprócz tego wyglądających normalnie, jak ludzie.

Tymczasem Władca Piasków kontynuował:

– To dlatego go nie rozpoznałaś... A on udawał mnie. Tak... To pewnie też on lub jakieś inne demony szaleją po całej Europie, powodując te wszystkie wypadki i napaści, które są potem dopisywane do mojego konta. Cudnie. Tylko po co? Może uznali, że to najlepsza droga, by mnie dopaść...? Nie wiem. A wczoraj Wyklęty doszedł zapewne do wniosku, że taka forma zemsty będzie idealnie okrutna. Że to niby ja chciałem wziąć odwet. On nawet obiecał, że będziesz cierpieła jak ja. Czyli... że twoja rodzina spłonie. Jak moja. I to na dodatek niby ja miałbym to spowodować.

Ponownie osunął się na ławkę obok niej. Zacisnął pięści oraz wpatrzył się gdzieś w przestrzeń. Dopiero po chwili przeniósł na Sonię płonący wzrok i zaczął mówić lekko drżącym głosem:

– Wiesz, jakie to okropne? Ze wszystkich stron słyszysz, że jesteś mordercą. W końcu sam zaczniesz w to wierzyć. Zachowywać się, jakby to była prawda. Myśleć o sobie jak o mordercy. Popadasz w paranoję. To jest naprawdę straszne. A najgorsze jest to, że nie możesz udowodnić swojej niewinności. Mają przecież nagrania, na których jesteś właśnie ty. Nic nie rozumiesz. Nic nie możesz zrobić. Tak było i ze mną. Bo to nie ja zabiłem moją rodzinę! – zapewnił rozpaczliwie.

A Sonia wiedziała, że z całą pewnością nie kłamał. Coś drgnęło w jej sercu. Teraz już nie miała wątpliwości. Na pewno był niewinny. Ale... kto w takim razie był winowajcą?

– W czasie, gdy to się stało, szukałem śladów Ra oraz Amuletu Ozyrysa – mówił roztrzęsionym głosem. – Wracalem już, gdy zobaczyłem dym, unoszący się z pietra, na którym znajdował się nasz apartament. Przepchałem się przez tłum, stojący obok miejsca tragedii i nierobiący zupełnie nic. Wierzyłem, że mogę to

jakoś powstrzymać. Ale zanim zdążyłem zbliżyć się do wejścia, zatrzymała mnie policja. Powiedzieli, że już za późno. Że nie można ich uratować. Że spłonęli. – Ból w jego spojrzeniu zastąpił nagle stalowy błysk złości. – A potem oznajmili, że to ja ich zabiłem. Nic nie rozumiałem. Ale na nagraniach rzeczywiście byłem ja. Całe moje życie runęło, nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem udowodnić, że to wcale nie ja byłem za to odpowiedzialny. No bo jak? Musiałem uciec. Wtedy odkryłem, że mogę podróżować cieniem oraz mrokiem. A ci idioci myślą, że mam współnika, który pomógł mi umknąć! Właśnie wówczas pierwszy raz od tysięcy lat stanąłem w Pałacu Pośród Piasków. I poprzysiągłem zemstę temu, kto za tym wszystkim stał. Potem cały czas szukałem jakiegokolwiek śladu prawdziwego mordercy. Ale nie mogłem nic znaleźć. Szukałem też Amuletu oraz Ra. Tu miałem większe szczęście. Nawet większe, niż mi się wydawało. Za jednym razem odnalazłem ich obu, i złodzieja oraz porywacza, i zabójcę mojej rodziny. Bo tak naprawdę jest to jedna i ta sama osoba. To właśnie ona stoi za tym wszystkim.

Sonia nie odrywała od niego swojego uważnego spojrzenia. Tymczasem Briant skrzywił się, a następnie powiedział odrobinę bezbarwnym głosem:

– Teraz już wiem, że to Wyklęty spowodował tamten pożar. Przybrał moją postać. Tak samo było wczoraj. To też Wyklęty zabrał Amulet. I Ra.

– Więc to on – wyszeptała przerażona Sonia.

– Nie.

Zmrużył oczy z nienawiścią, a ona zmarszczyła niepewnie brwi.

– Nie – powtórzył. – Wyklęty był tylko narzędziem. Psem spuszczone z łańcucha. Za tym wszystkim stoi ktoś inny.

Ktoś inny? Ale... kto?

Wtedy coś zaskoczyło jej w głowie. I wszystko stało się tak przerażająco jasne. Zakręciło jej się przed oczami. Czyżby to był...?

– Mandara – warknął Briant. – To on zniszczył mi życie. Zabił mi rodzinę. Porwał przyjaciela. I chciał zabić ciebie.

Sonia pobladła niczym duch. Więc jednak!

Świat zawirował wokół niej. Ujrzała przerażającą sylwetkę Hiszpana, który nakazał pozbycie się jej. Poczowała, jak po plecach przemyka lodowaty dreszcz.

– Ale czemu? – zapytała słabo.

– Mnie się pytasz? – prychnął z rozdrażnieniem. – To nie ja chcę przejąć władzę nad światem i to nie ja wydaję rozkazy! Ja nie kazałbym nikogo zabić.

Chyba – dodał z wahaniem w myślach.

Przez chwilę panowała między nimi cisza. Sonia, czując chłód w sercu, nie mogła otrząsnąć się spod niezwykle silnego wrażenia, jakie wywarło na niej to, co przed chwilą usłyszała.

Cały świat był w błędzie. Briant de Ramen nie był strasznym mordercą. Był nim pewien mężczyzna, organizator obozów młodzieżowych, którego marzeniem

była władza nad światem.

– Briant, co zamierzasz teraz zrobić? – spytała w końcu drżącym głosem, wciąż nie mogąc w to wszystko uwierzyć.

– Jak to co? – zdziwił się Władca Piasków, a jego oczy załśniły. – Oczywiście chcę się zemścić. Zniszczę ich. Nie pozwolę, by zrealizowali swoje plany. To mój cel. Chcę, by odpowiedzialni za śmierć mojej rodziny drogo za to zapłacili. Będą cierpieć tak jak oni cierpieli. Tak jak ja.

Sonia obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Wiedziała, że będzie walczył z nimi do końca. Że nigdy się nie podda i nigdy do nich nie dołączy.

– Równocześnie będę prowadził poszukiwania – oznajmił. – Muszę odzyskać dawną potęgę. Pomoże mi w tym coś, co należy do mnie, ale zaginęło wieki temu.

– Co to takiego? – zaciekawiała się.

– Berło Zniszczenia – powiedział dumnie Władca Piasków. – Coś o niewyobrażalnej mocy. Gdy je odzyskam, nic mnie już nie powstrzyma. A oni będą bez szans.

Na jej twarz wypłynął uśmiech.

– Świetnie. A ja ci pomogę – oznajmiła.

Briant zerknął na nią, jakby nagle oszalała.

– Możesz sobie mówić, co chcesz, ale ja i tak stanę po twojej stronie. Nie będę stała z boku. Chcę wziąć w tym udział. Jestem Wybraną. I już jestem w to wplątana. Doskonale wiesz, że nigdy nie będę bezpieczna. Ani ja, ani nikt z moich bliskich. Dlatego pójdę z tobą. Pomogę ci. Razem z całą pewnością udaremnimy ich plany. Nie zwyciężą. Dobrze? Briant?

Wpatrywał się w nią ze zdumieniem. W jego oczach widziała wątpliwość. Zdecydowanie nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

Sonia przygotowała się do wygłoszenia kolejnych argumentów, gdyby po raz kolejny odrzucił jej pomoc. Ale on zapytał tylko, z gigantycznym niedowierzaniem w głosie:

– Naprawdę tego chcesz? Nawet, jeśli wiesz, kim tak naprawdę jestem? Wciąż chcesz mnie znać?

– Pewnie, że tak – odpowiedziała, posyłając mu czarujący uśmiech.

– Ale... ale w najbliższej przyszłości nic nie będzie łatwe. To, co nas spotkało, to zaledwie początek. Najgorsze dopiero nadejdzie. Mandara będzie chciał mnie złapać. Wojsko też. Wszyscy będą przeciwko mnie.

– Ja nie będę. A razem damy radę. Pomogę ci.

– Żartujesz, prawda?

– Nie!

Władca Piasków zamrugnął ze zdziwieniem i westchnął.

A potem jego oczy pojaśniały i uśmiechnął się. Ale nie z drwiną. Był to

pierwszy szczery, prawdziwy uśmiech, jaki ujrzała na jego twarzy.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Wtedy zrozumiała, że wreszcie jej zaufał.

Epilog

Promienie złotego słońca wpadały do wnętrza gabinetu i rzucały jasne smugi na kolorowy, perski dywan.

Juan Mandara z głębokim zamyśleniem wpatrywał się w pustą gablotę, w której jeszcze całkiem niedawno spoczywał wielki skarb. Amulet Ozyrysa.

Nagle niemalże nienaturalną ciszę przerwało donośne pukanie do drzwi, a sekundę później do środka wszedł wysoki nastolatek. Czarne włosy załśniły w słonecznych smugach, gdy zbliżył się do biurka. W złotych, miodowych oczach błyskały tłumione z trudem iskierki złości. Nie odrywał swego spojrzenia od twarzy kierownika. W ręce ścisnął maskę o komicznie wykrzywionym obliczu.

Juan Mandara uniósł wzrok.

– Rémi? – udał zdumienie. – Dlaczego nie masz na sobie maski? Przecież kazałem ci jej nie zdejmować.

Chłopak zacisnął pięści.

– To bez sensu – wybuchł. – I tak wszyscy już wyjechali! Nikt mnie nie zobaczy. A ja już jej nie chcę. Tak w ogóle, to żądam wyjaśnień. Mam już dość wykrętnych odpowiedzi. Chcę poznać prawdę. Kto jest naszym wrogiem? Kim jest Set?

Juan Mandara drgnął. Jego twarz stężała.

– Rémi, mój drogi – zaczął. – Tak myślałem, że w końcu mnie o to zapytasz. Twoje wątpliwości powoduje zapewne fakt, iż wydawało ci się, że Set był podobny do twojego brata, tak?

– Tak – przyznał zgaszony w sekundzie chłopak, a jego warga drgnęła prawie niedostrzegalnie.

Przed oczami stanął mu obraz, gdy, podczas jednego z tych długich spotkań z resztą bogów, nagle zgasły światła. Jak zerwał się ze swojego krzesła, nie wiedząc, co się dzieje. Jak nagle wpadła na niego jakaś pogrążona w mroku osoba, obrzuciła wywyższającym spojrzeniem płonących oczu wykrzywioną maskę zakrywającą mu twarz i rozviała się gdzieś w ciemności. Osoba identyczna jak jego zmarły niedawno brat. Rémi zacisnął zęby i z trudem się opanował.

Kierownik westchnął teatralnie.

– Tak myślałem. Pozwolę sobie jeszcze raz wyjaśnić ci wszystko od początku. Tego strasznego dnia, gdy...

– Nie! – przerwał natychmiast Rémi, a jego oczy ponownie zabłysły niebezpiecznie. – Nie chcę już tego słuchać! Mam dość. Ciągłe powtarza mi pan,

jak zginęła moja rodzina. Nie chcę. Tę historię znam aż za dobrze. Wiem, że Set przejął kontrolę nad moim bratem i spowodował pożar. Wiem już, że nie zginąłem, gdyż jestem bogiem. Wiem też, że wszyscy inni spłonęli. Mam świadomość, że Set zrzucił całą odpowiedzialność na mojego brata. Wiem, że zniszczył jego reputację. Ludzie myślą, że mój brat jest mordercą. A to właśnie on był ofiarą! Ale już wszystko to znam! Wiem, jaka jest prawda. Nie musi mi pan tego ponownie tłumaczyć. Teraz chcę wiedzieć, dlaczego on wybrał akurat jego? I czemu cały czas przyjmuje jego postać?

– Rémi – westchnął pan Mandara. – Chyba już ci o tym wspominałem. On chce dopaść ciebie. Liczy, że przekona cię, iż jest twoim bratem. Że spróbujesz się z nim skontaktować. I że zdobędzie twoje zaufanie. Ale zależy mu tylko na jednym. Na twojej śmierci. Tak, za wszelką cenę chce cię zniszczyć, tak jak kiedyś zniszczył Ozyrysa. Jesteście odwiecznymi wrogami. A on zawsze posługuje się fortelami. Iluzją. Pułapkami. Jest zbyt wielkim tchórzem, by stanąć z tobą twarzą w twarz. Dlatego, cokolwiek będzie ci się wydawało, że widzisz czy myślisz, wiedz, że to kłamstwo. Twój brat nie żyje. A Set się pod niego podszywa. By dopaść ciebie. Dlatego pamiętaj, zawsze się mnie słuchaj, gdyż dobrze na tym wyjdiesz. Jasne?

– Tak – mruknął Rémi, po czym dodał wojowniczo: – Ale wciąż nie rozumiem, skąd ta maskarada. Skoro wie, kim jestem, to jaki sens chować się za jakąś idiotyczną maską? I czemu nie pozwoliłeś mi wziąć udziału w pościgu?! Pragnę tylko jego zniszczenia. Byłbym najskuteczniejszy. I, nie okłamujmy się, jestem najpotężniejszy z tej całej początkującej zgrai, którą zwerbowałeś, i nie wiem, po co odesłałeś ich do domów. A Zmienieni? Skoro mają być naszą armią, to dlaczego też odeszli?

Kierownik w duchu uśmiechnął się chytrze, choć na zewnątrz pozostał poważny.

– Wielu rzeczy nie rozumiesz, drogi Rémi. Jesteś jeszcze za młody. Wiedz, że miałem swoje powody, by nie dopuszczać cię do pościgu. A maska cały czas cię chroni. Nie ściągaj jej. Nigdy, chyba, że rozkażę, byś uczynił inaczej. A odnośnie do Zmienionych i pozostałych bogów – o nic się nie martw. Wrócą i powstaną, gdy tylko ich wezwę. Na razie niech tworzą pozory oraz rozprzestrzeniają sieć naszych sług. Niech tworzą podwaliny pod realizację naszego zamysłu. Już wkrótce nadejdzie jednak czas. A wtedy nastąpi koniec świata takiego, jaki znamy. Będziemy rządzić. Ty, tak, oczywiście, będziesz miał swoją zemstę. A teraz odejdz, mam ważniejsze sprawy na głowie niż rozmowa z tobą.

Rémi spuścił wściekły wzrok, a następnie bez słowa opuścił gabinet Ra. Z całej siły trzasnął drzwiami, nie dbając o to, że pewnie później spotka go za to jakaś dyskretna kara. Trudno.

Jego pełne złości kroki odbijały się echem po pustym korytarzu, gdy

skierował się ku dobrze znanym sobie drzwiom. Otworzył kłódkę srebrnym kluczem i wpisał aż za dobrze znany kod na szyfratorze. Po chwili znalazł się w zakurzonej, wygodnie urządzonej pomieszczeniu. Podszedł do lampy i nacisnął umieszczony przy niej pstryczek. Część boazerii odskoczyła, ukazując ukryte wejście.

Słabo oświetlony korytarz doprowadził go do niedużego pokoju, do którego wpadało przez nie za duże okno złote światło.

Ze złością rzucił maską o ścianę i opadł na łóżko. Po chwili gniewnej zadumy wbił wzrok w fotografię przedstawiającą czwórkę roześmianego rodzeństwa w zamkowym parku. Zatrzymał spojrzenie na twarzy chłopca o czarnych włosach oraz brązowych oczach.

– Briant – wyszeptał smutno. – Tak mi przykro. Gdybyśmy się wtedy nie pokłócili, nie wyszedłbyś z domu i nie wpadł w sidła złego boga. Przepraszam, bracie. Mam nadzieję, że to słyszysz, a także, że kiedyś mi wybaczysz. Przysięgam, że cię pomszczę. Ludzie poznają prawdę o tobie. A morderca twój oraz naszej rodziny będzie cierpiał. Obiecuję.

Następnie jego twarz przybrała gniewny grymas. Podszedł do okna i, z całej siły zaciskając pięści, wbił płonące spojrzenie w złote piaski pustyni.

– Słuchaj, Secie – warknął z nienawiścią. – Wiem, że gdzieś tam jesteś. Pewnego dnia cię dopadnę. Pożałujesz tego, co zrobiłeś mojej rodzinie. Nigdy ci tego nie zapomnę. Zniszczę cię. Zawsze byliśmy wrogami. I zawsze nimi będziemy. Nie masz szans. W tej wojnie wygram ja, jak zawsze zresztą było, za jakże dawnych czasów. Chcesz mnie dopaść, tak? To świetnie. Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy. Wiedz, że będę wyczekiwał momentu, kiedy wreszcie zobaczę twoją prawdziwą twarz. Będziesz cierpiał jak oni. Nie uciekniesz przed swoim przeznaczeniem, Władco Piasków. A jestem nim właśnie ja. Horus.

